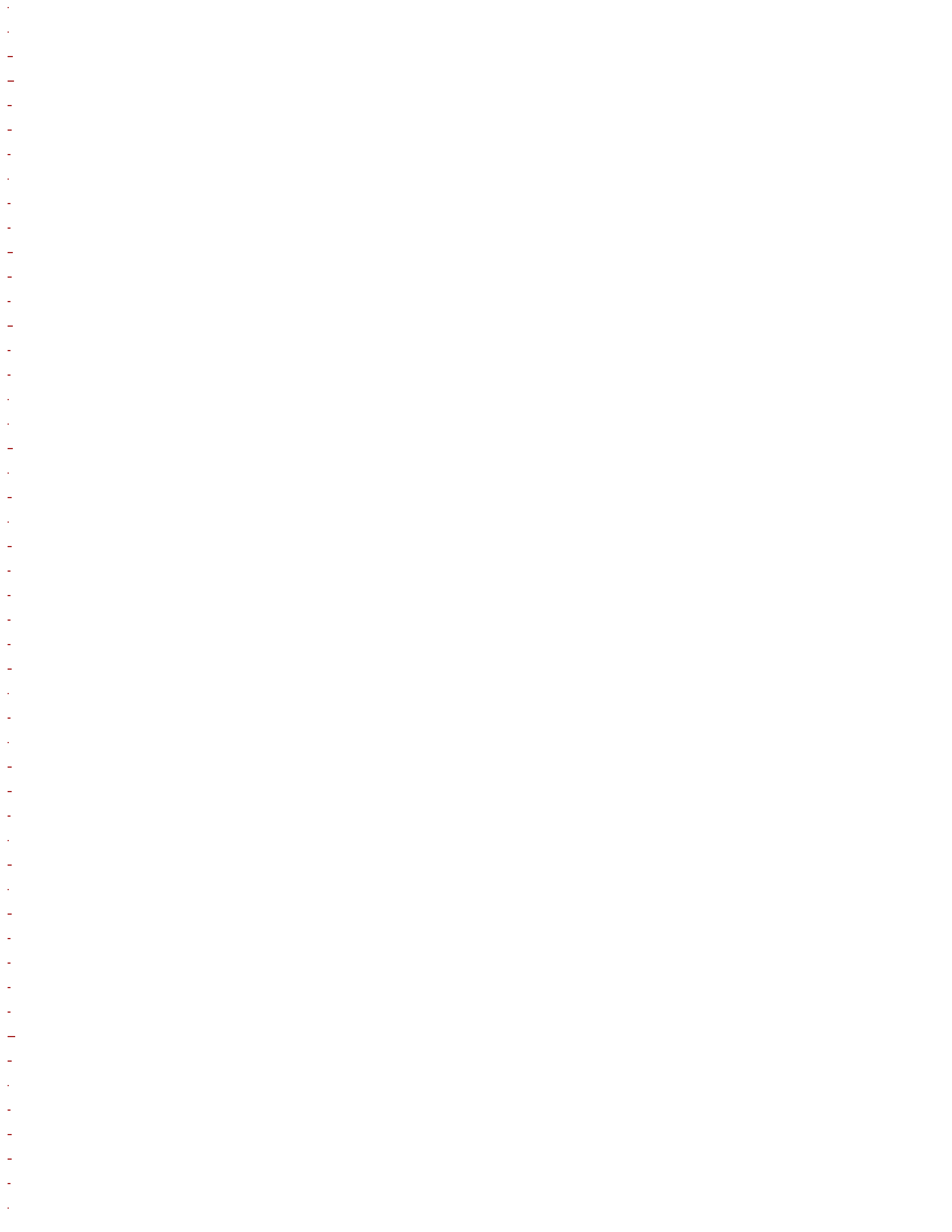


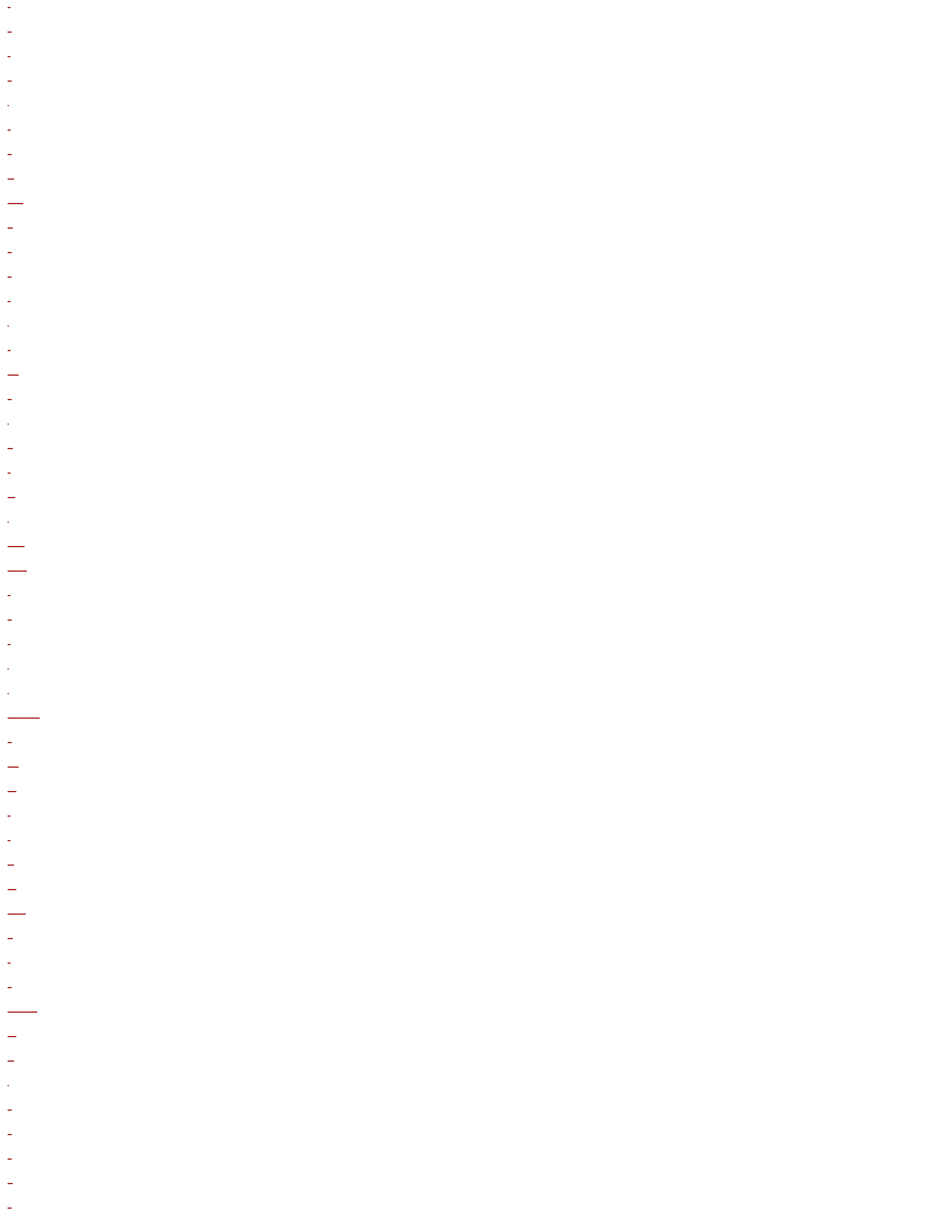
DEIRDRE PURCELL

TECZOWE
NIEBO

Prószyński i S-ka





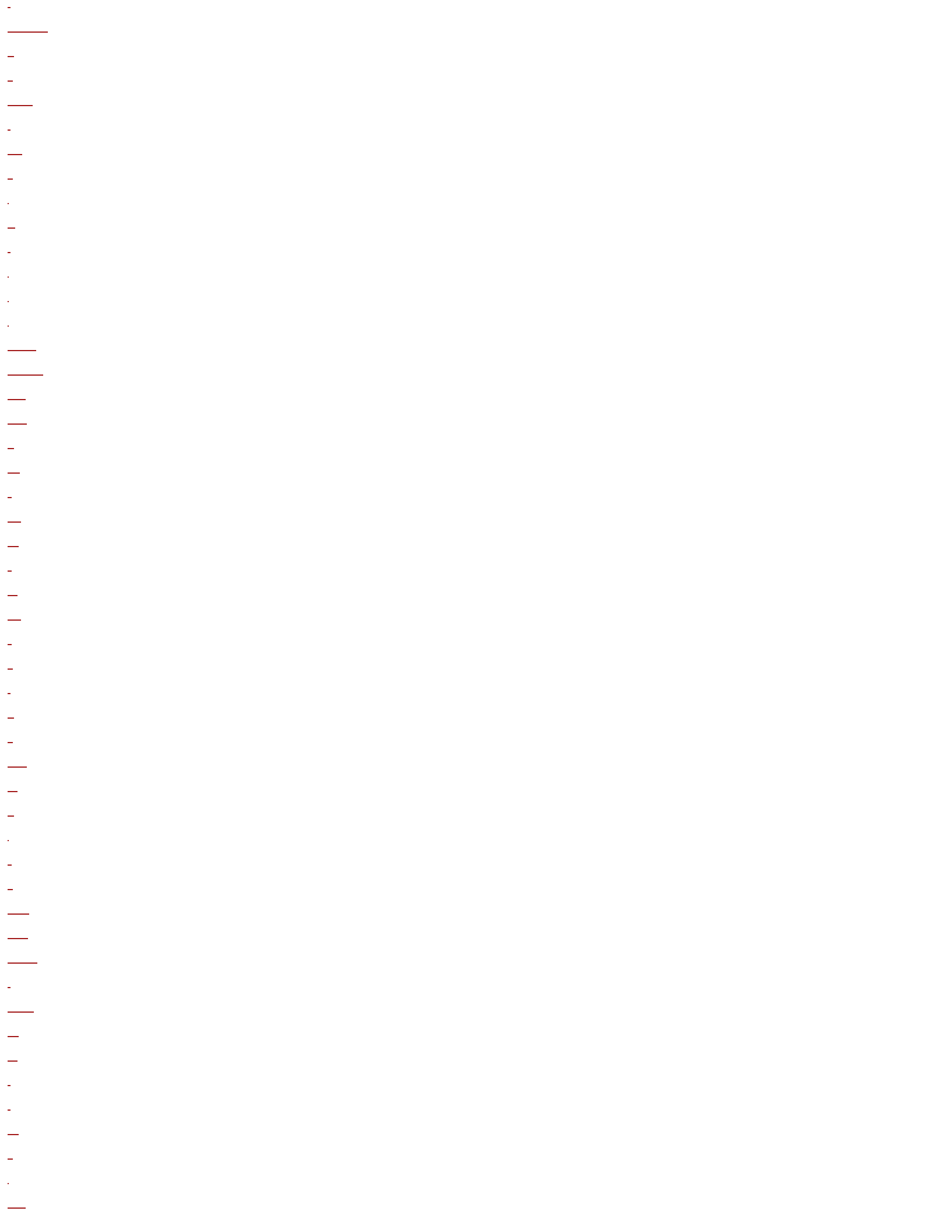


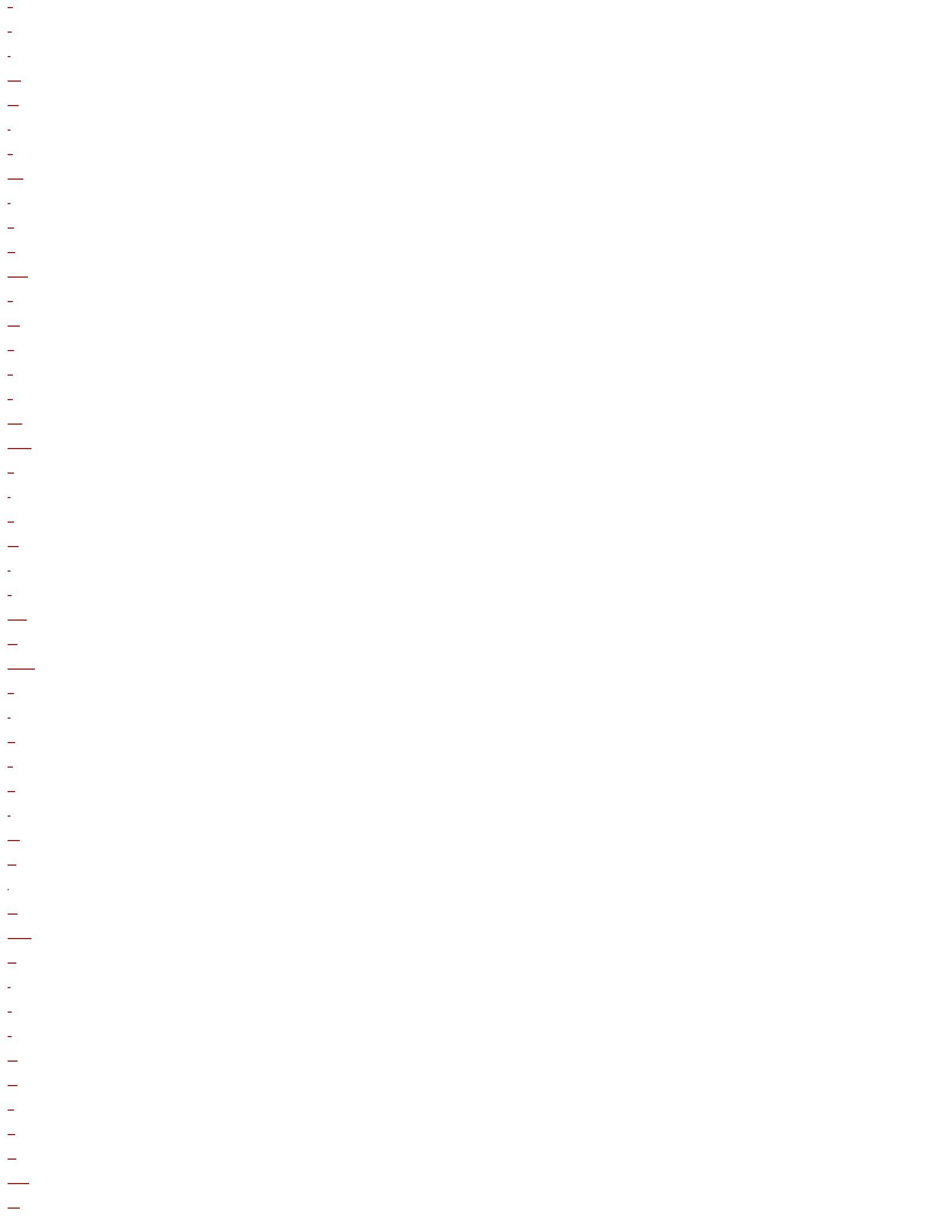














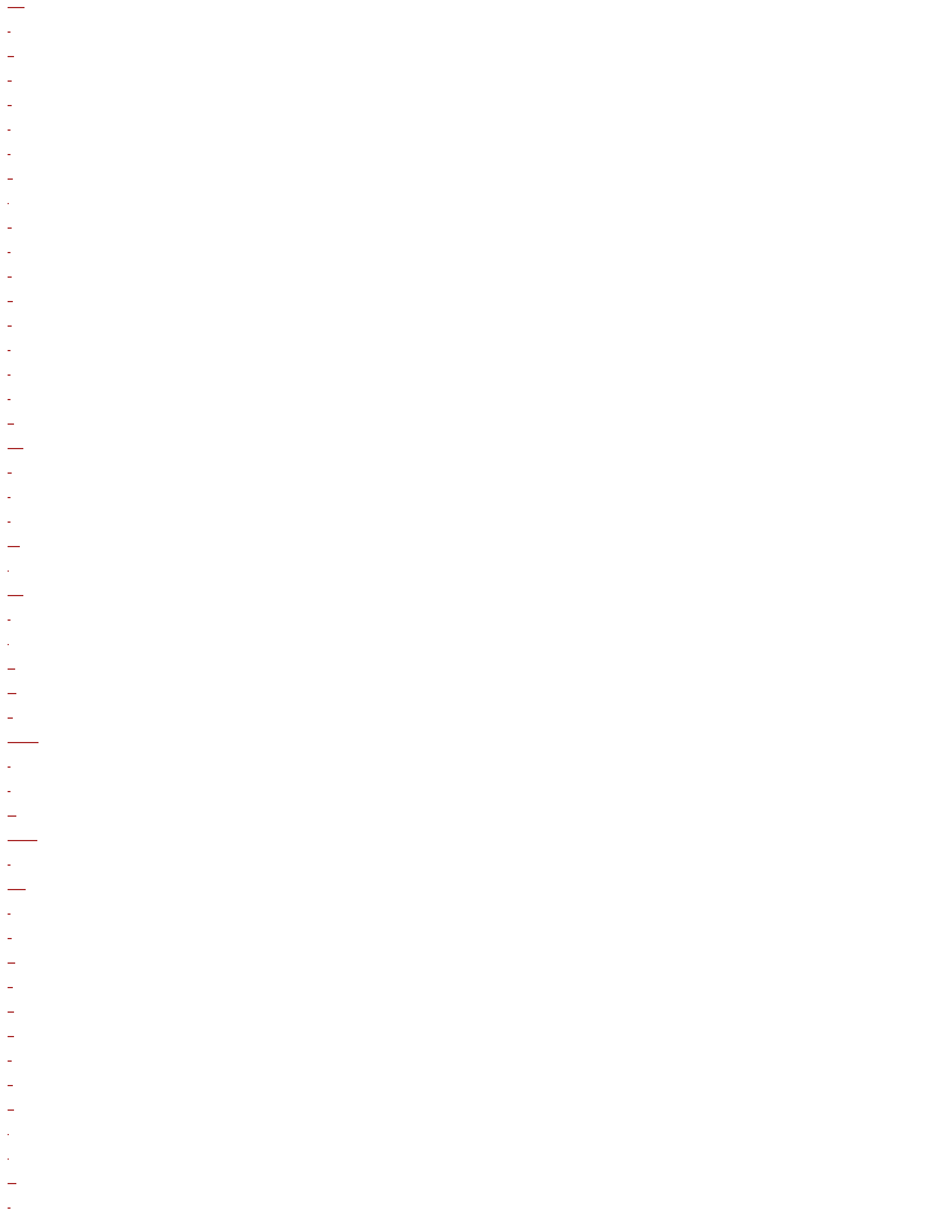


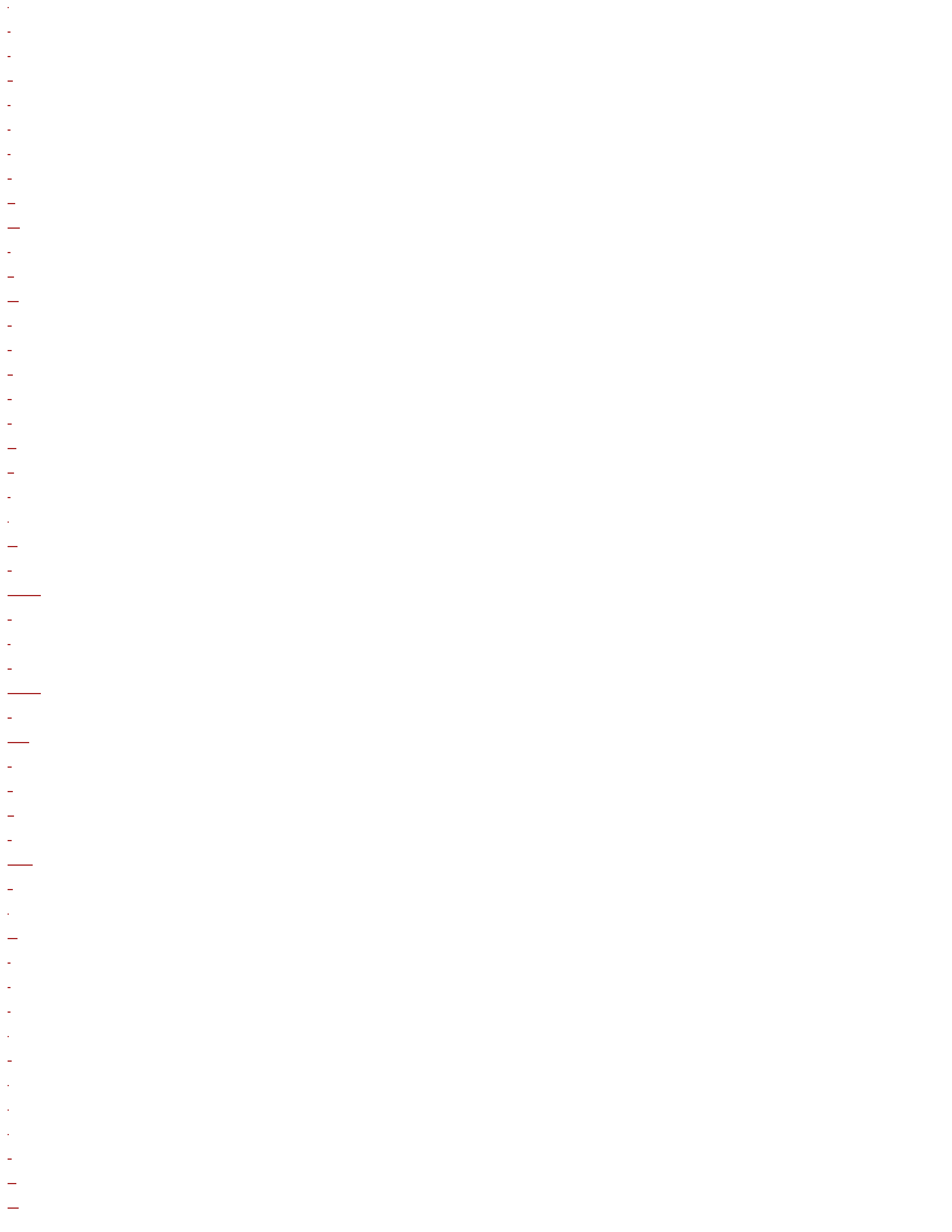




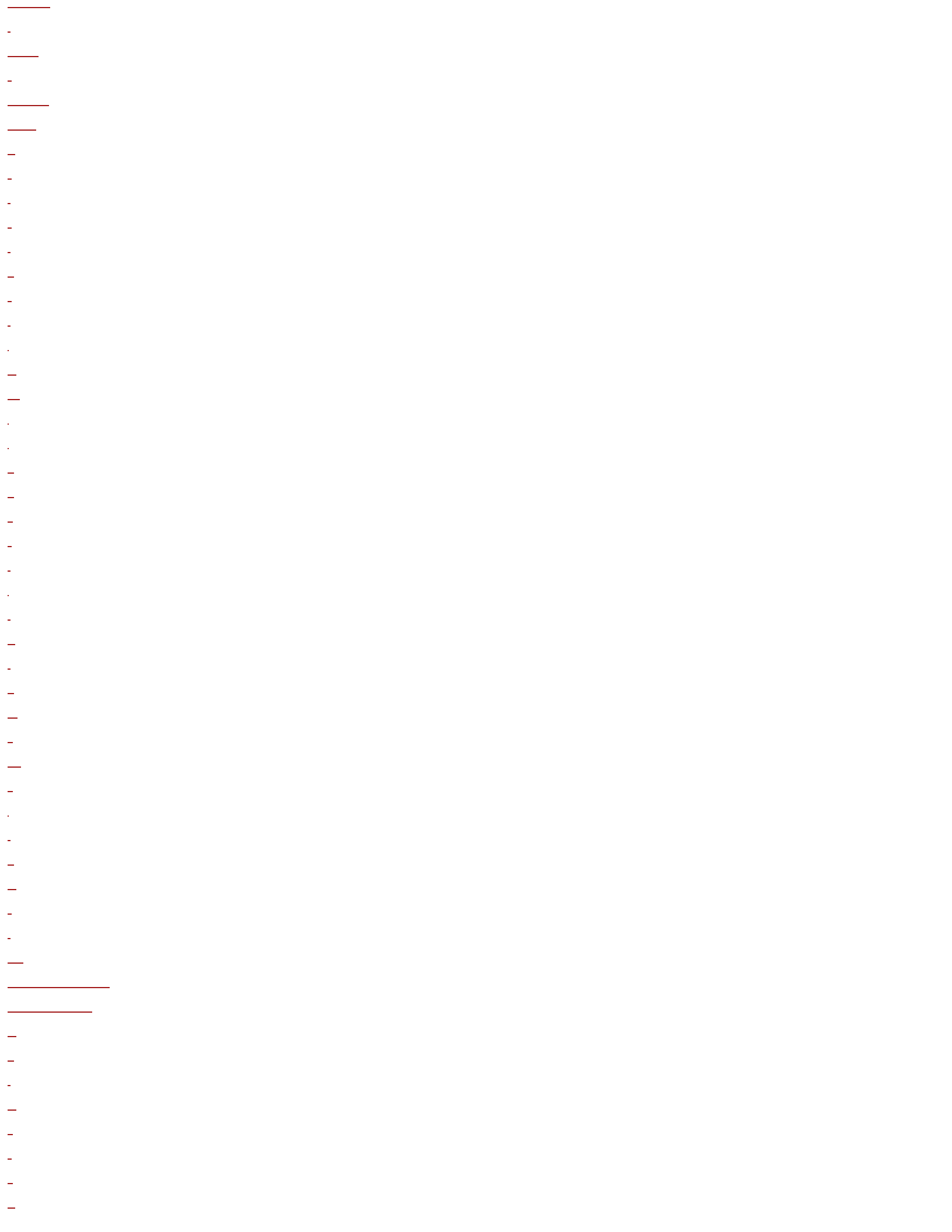


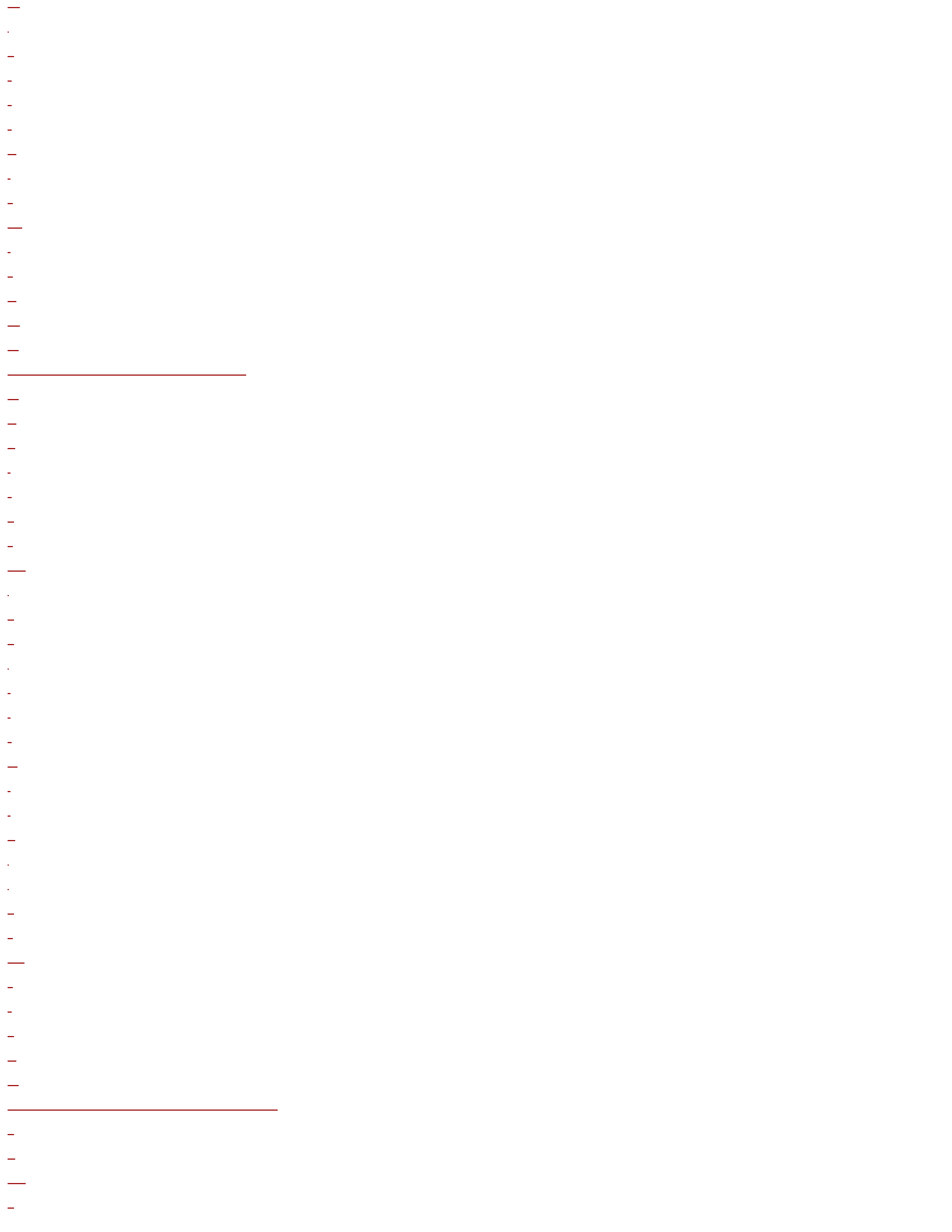


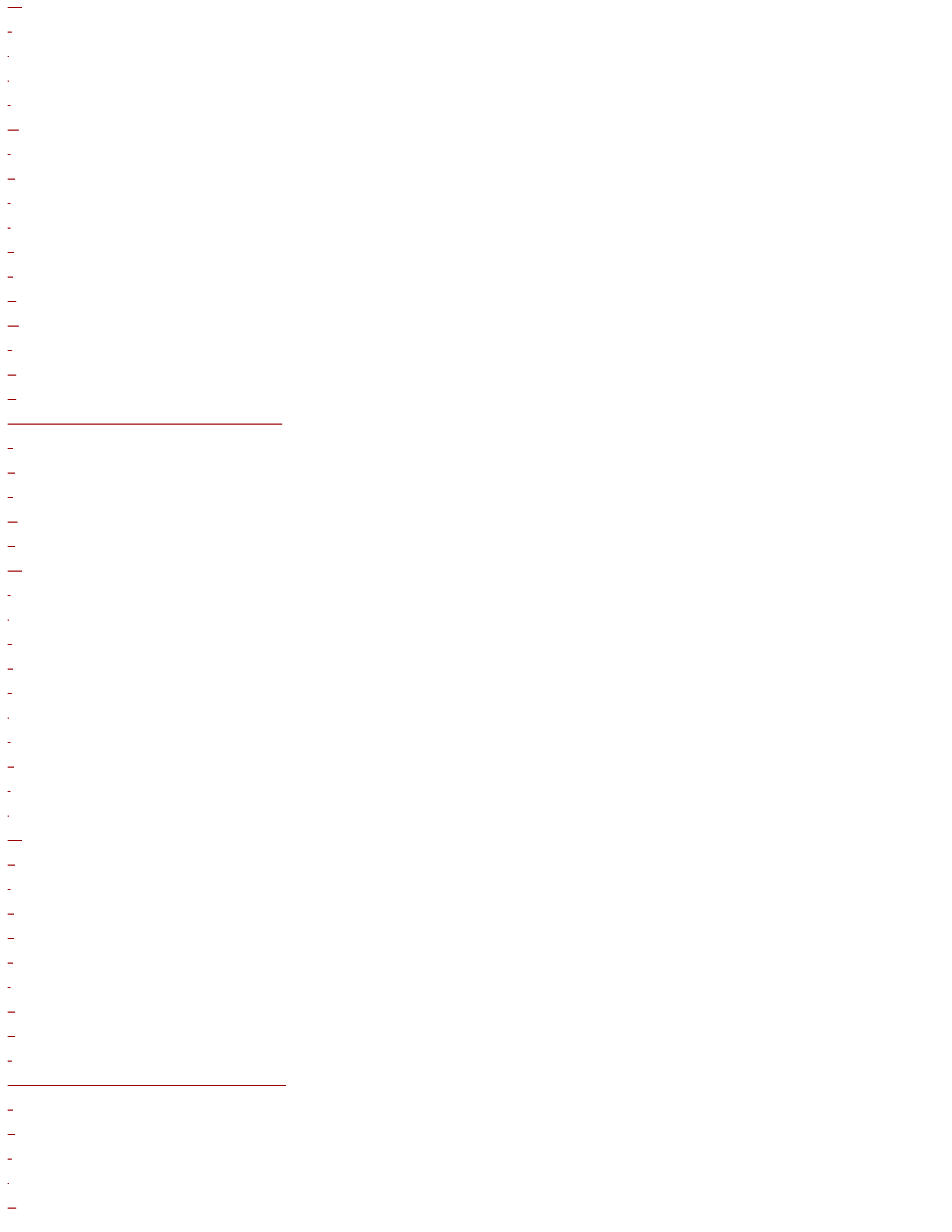


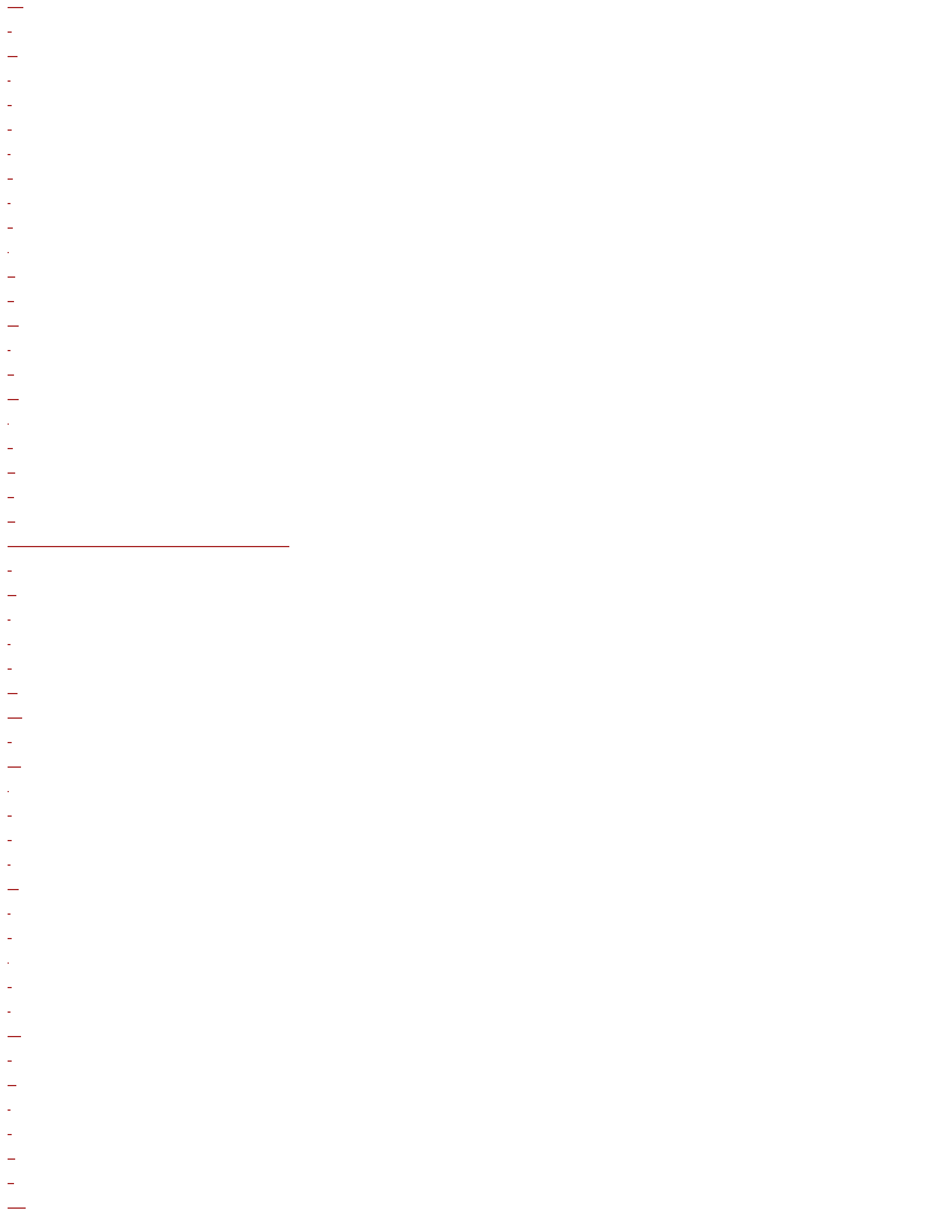


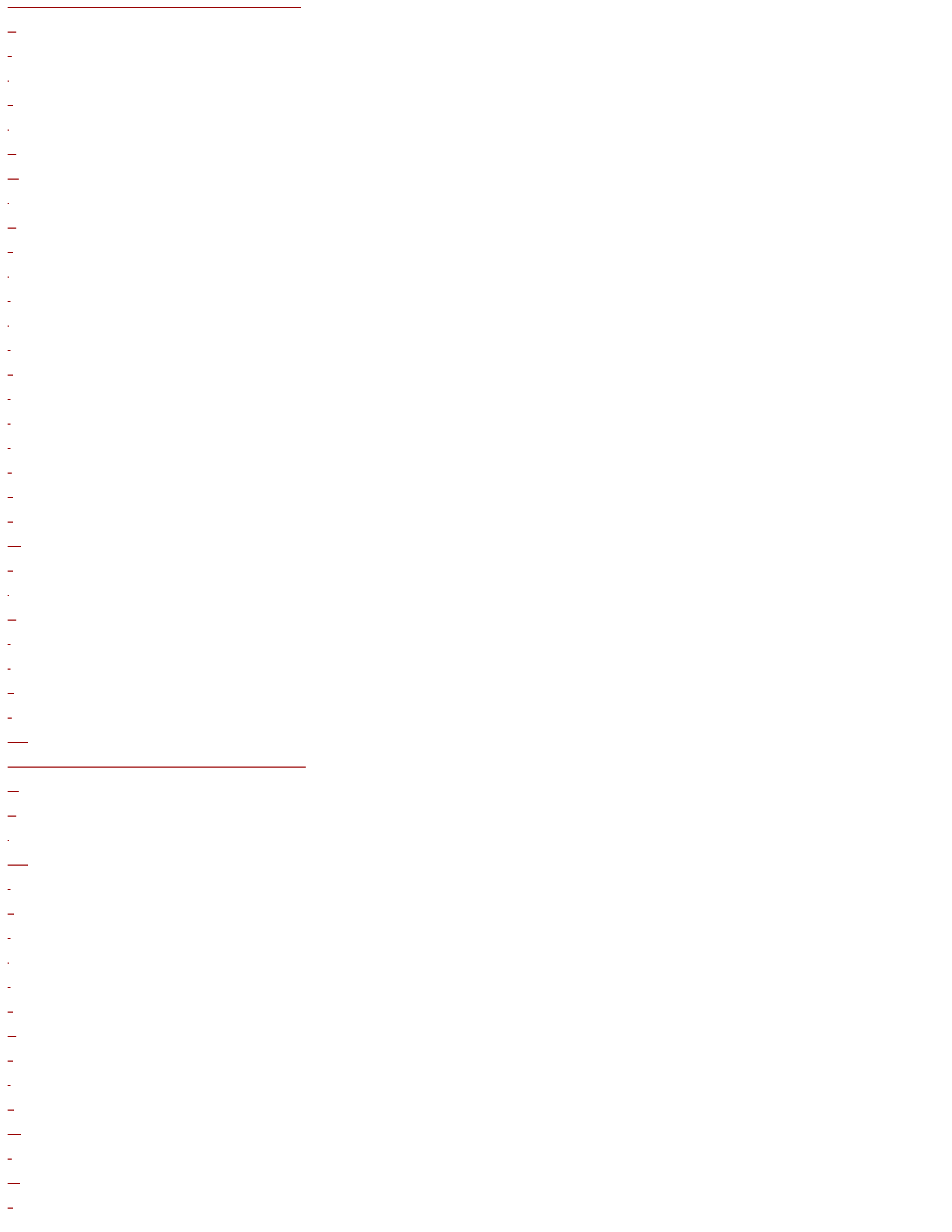


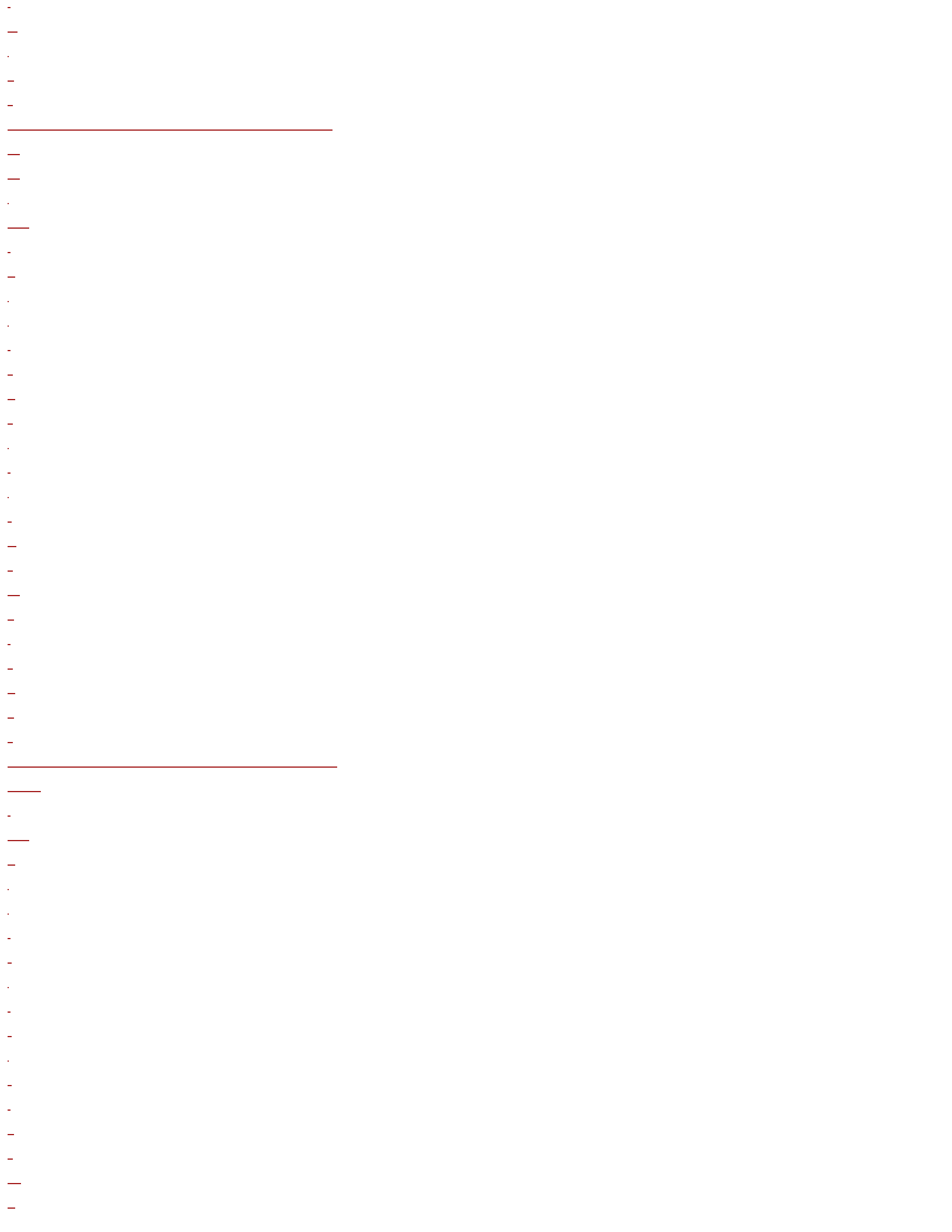


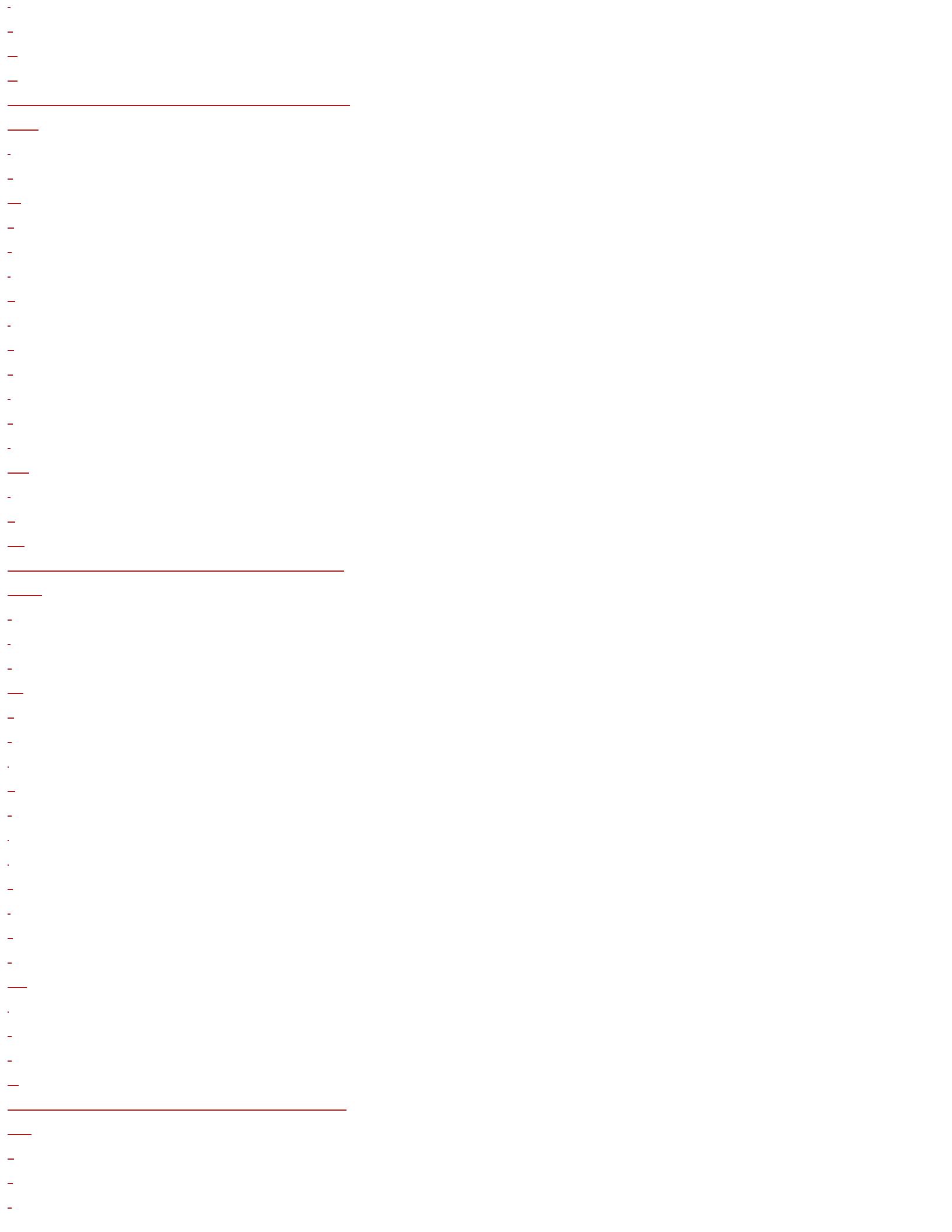


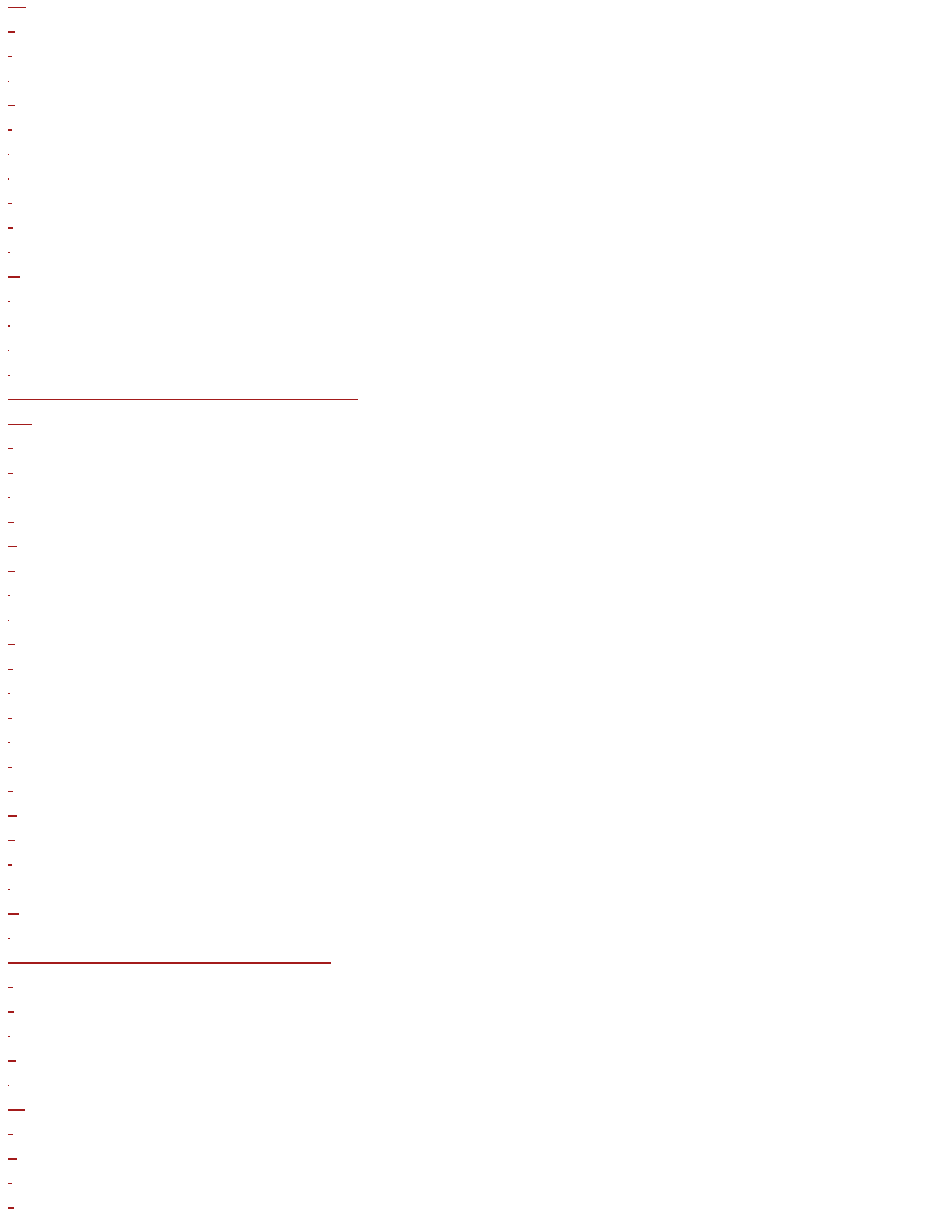


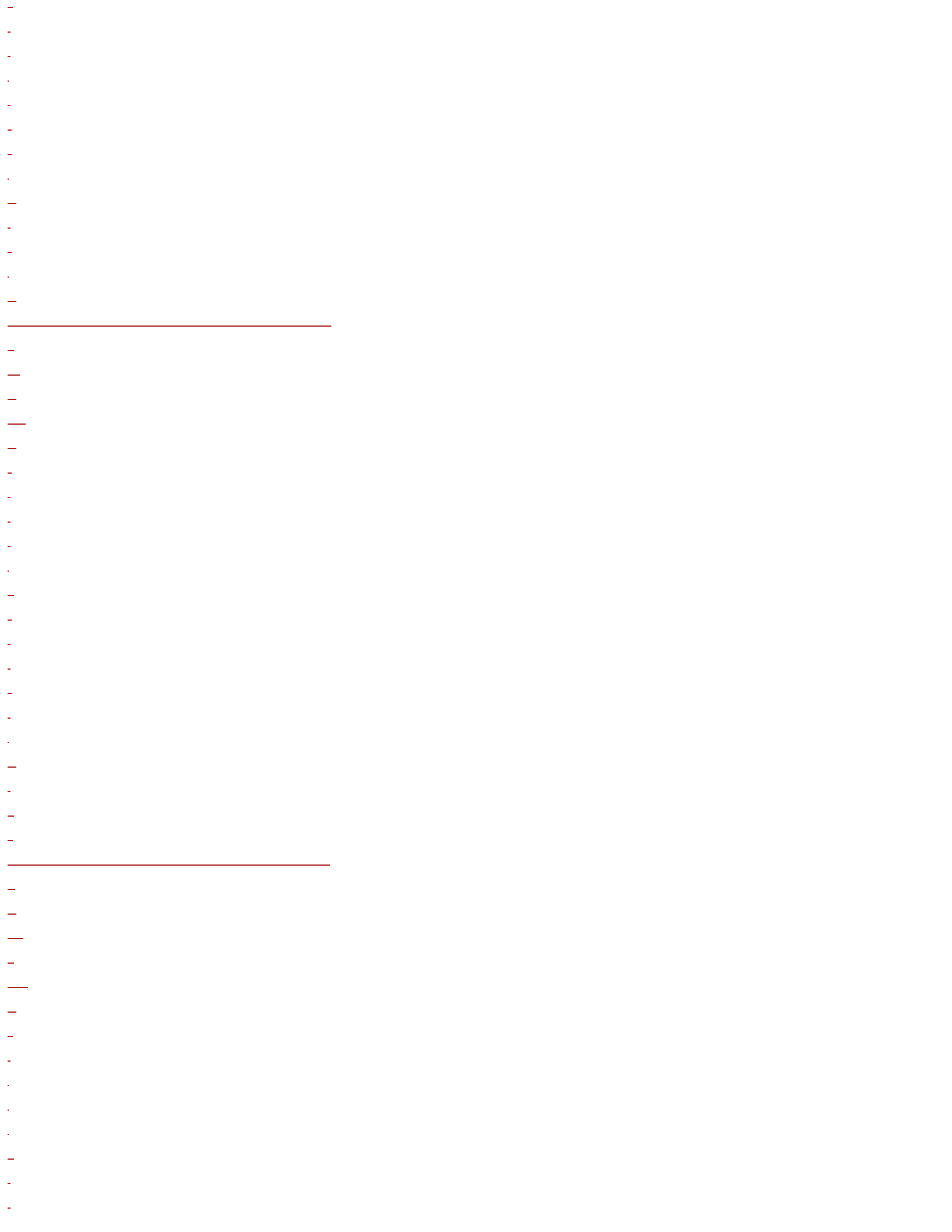


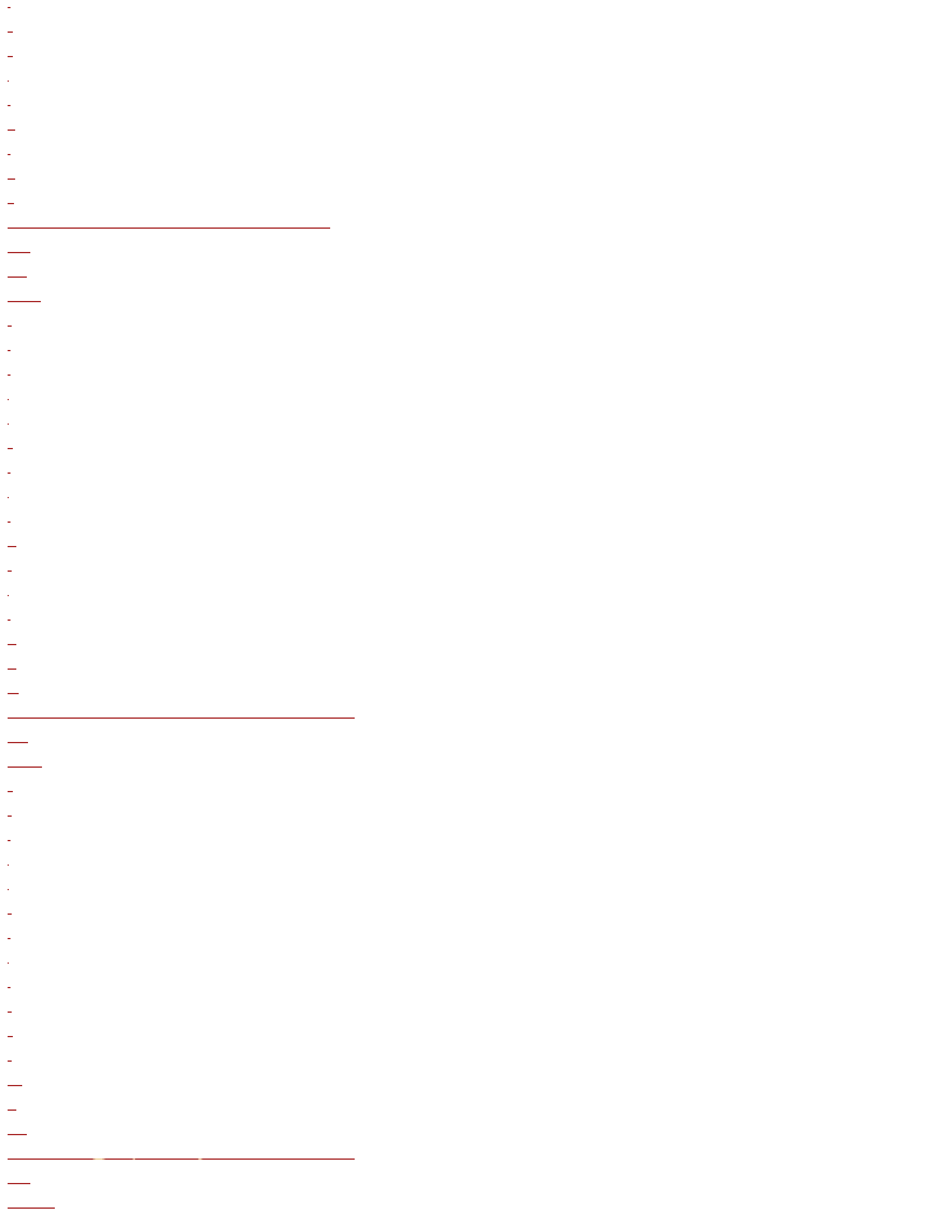


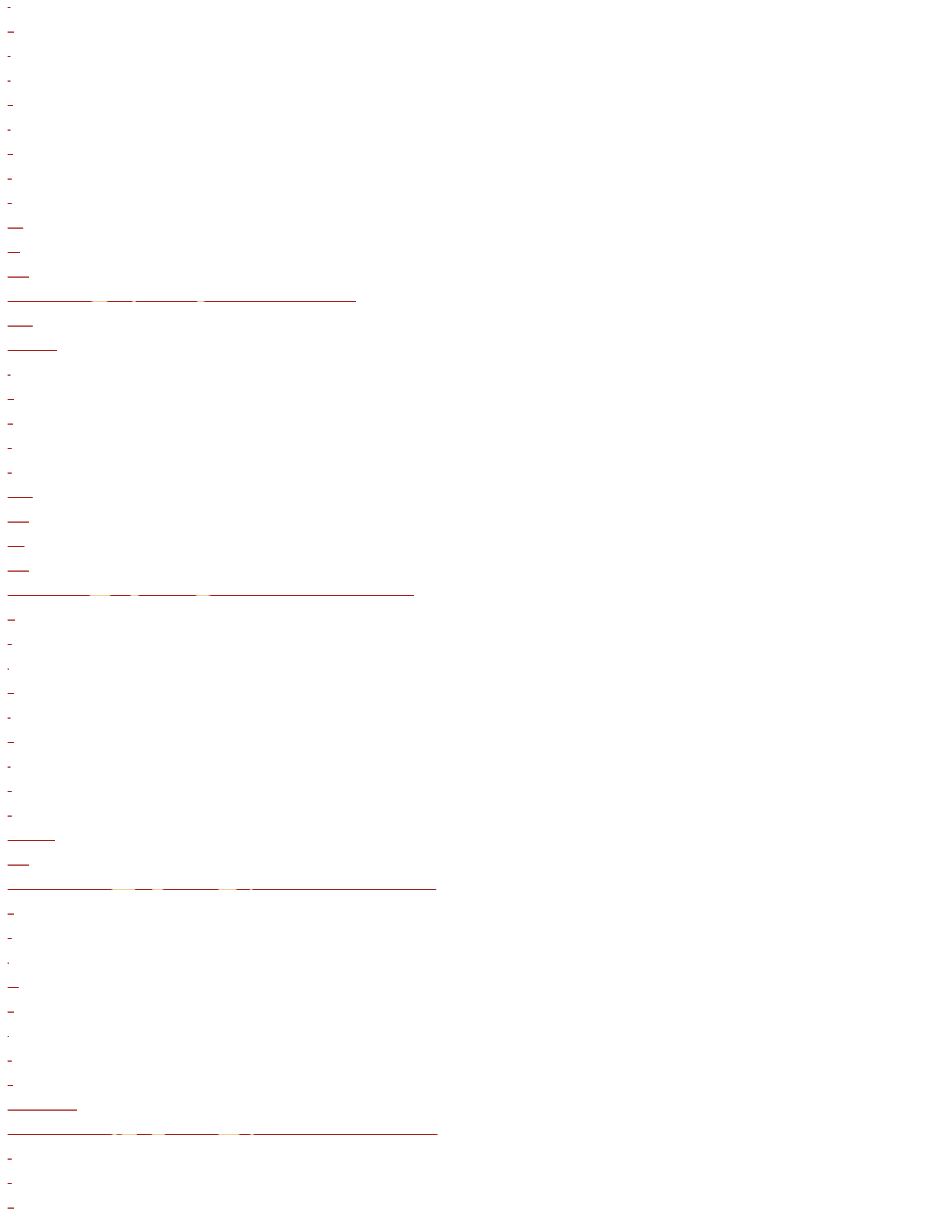


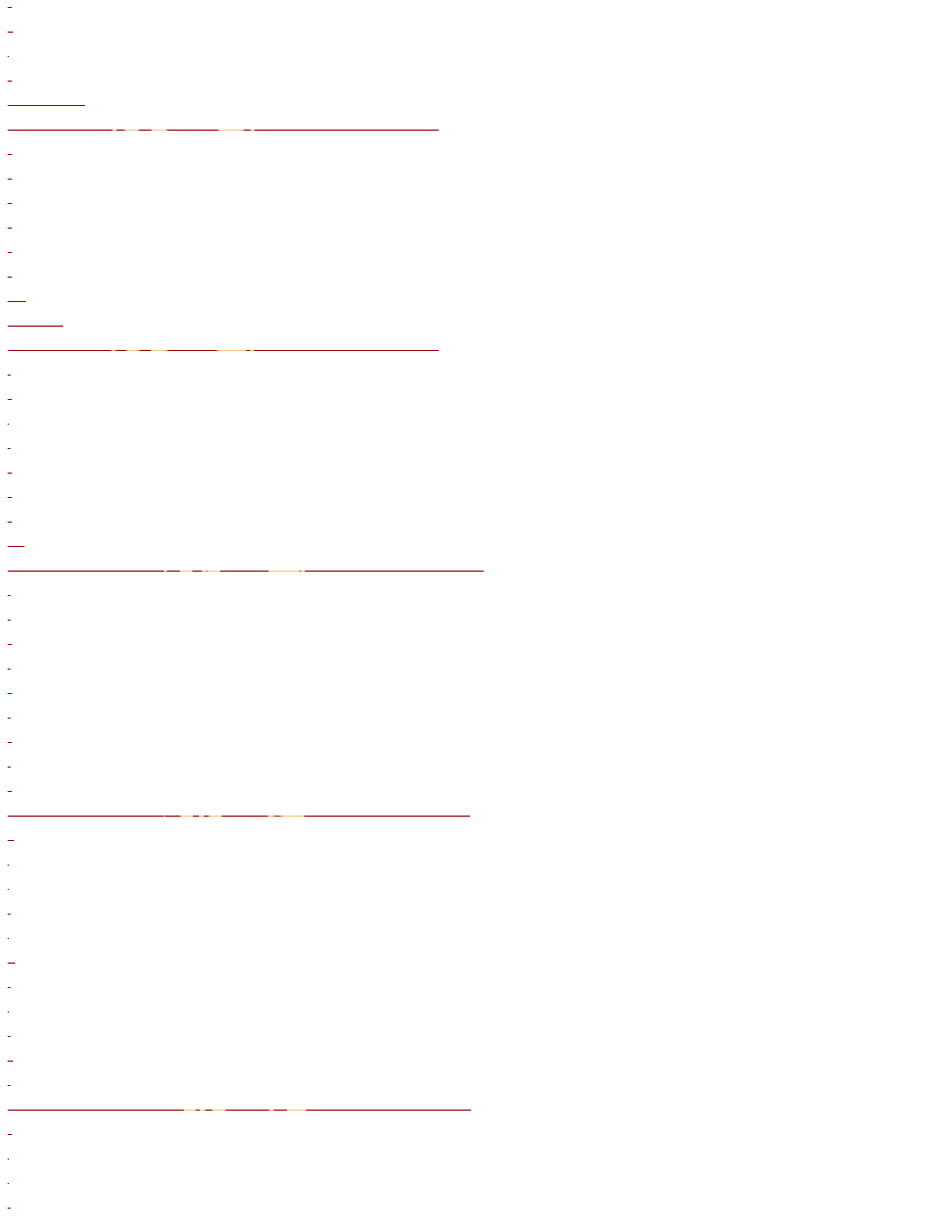


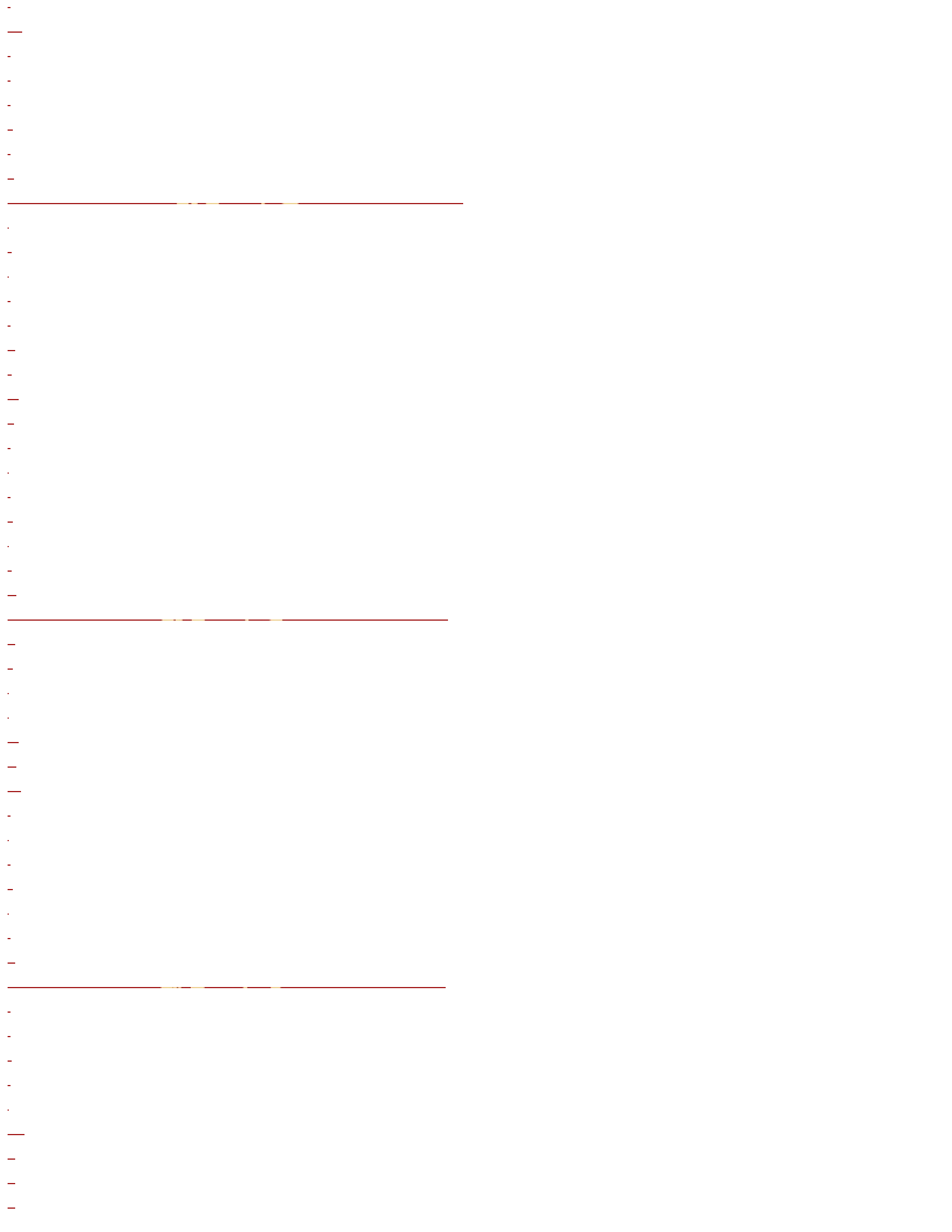


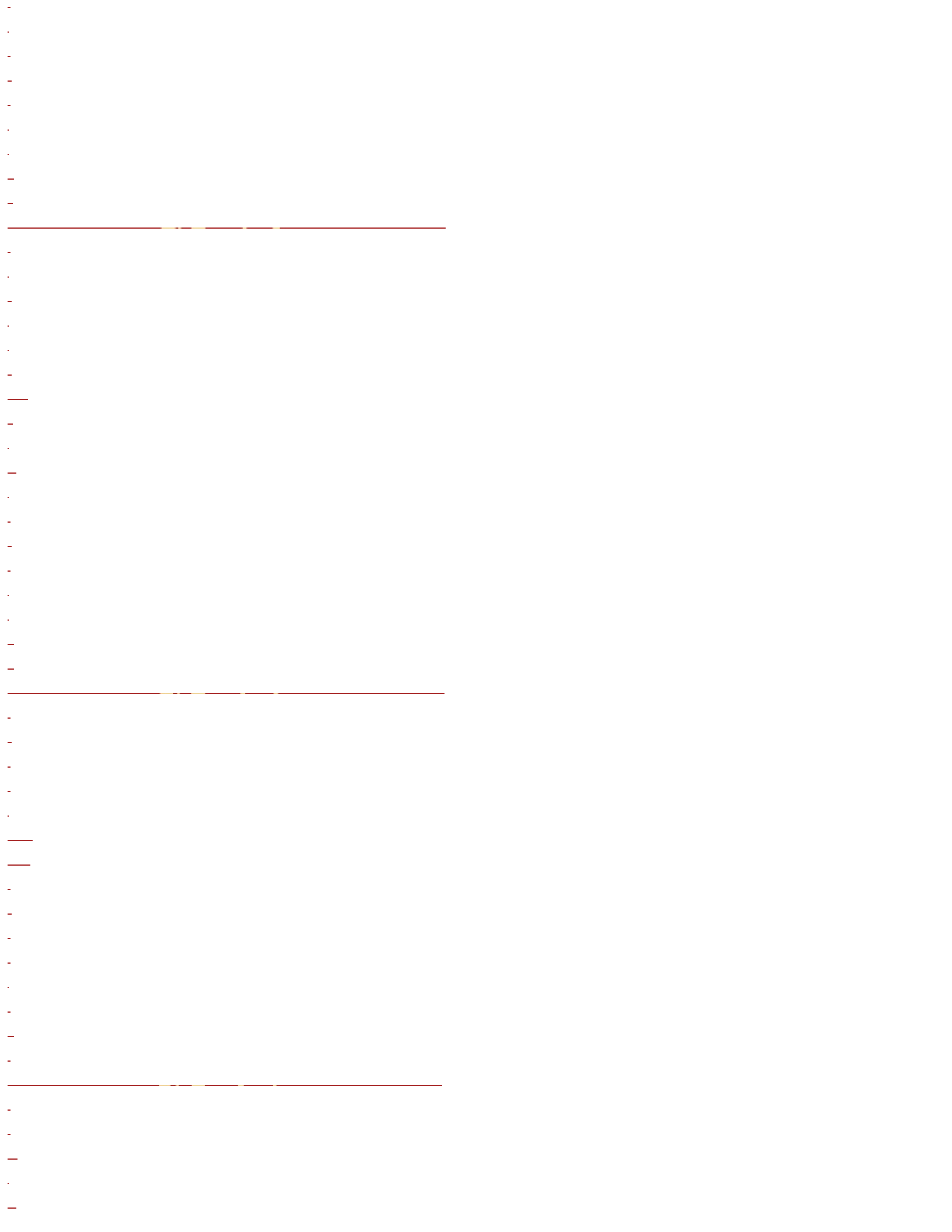


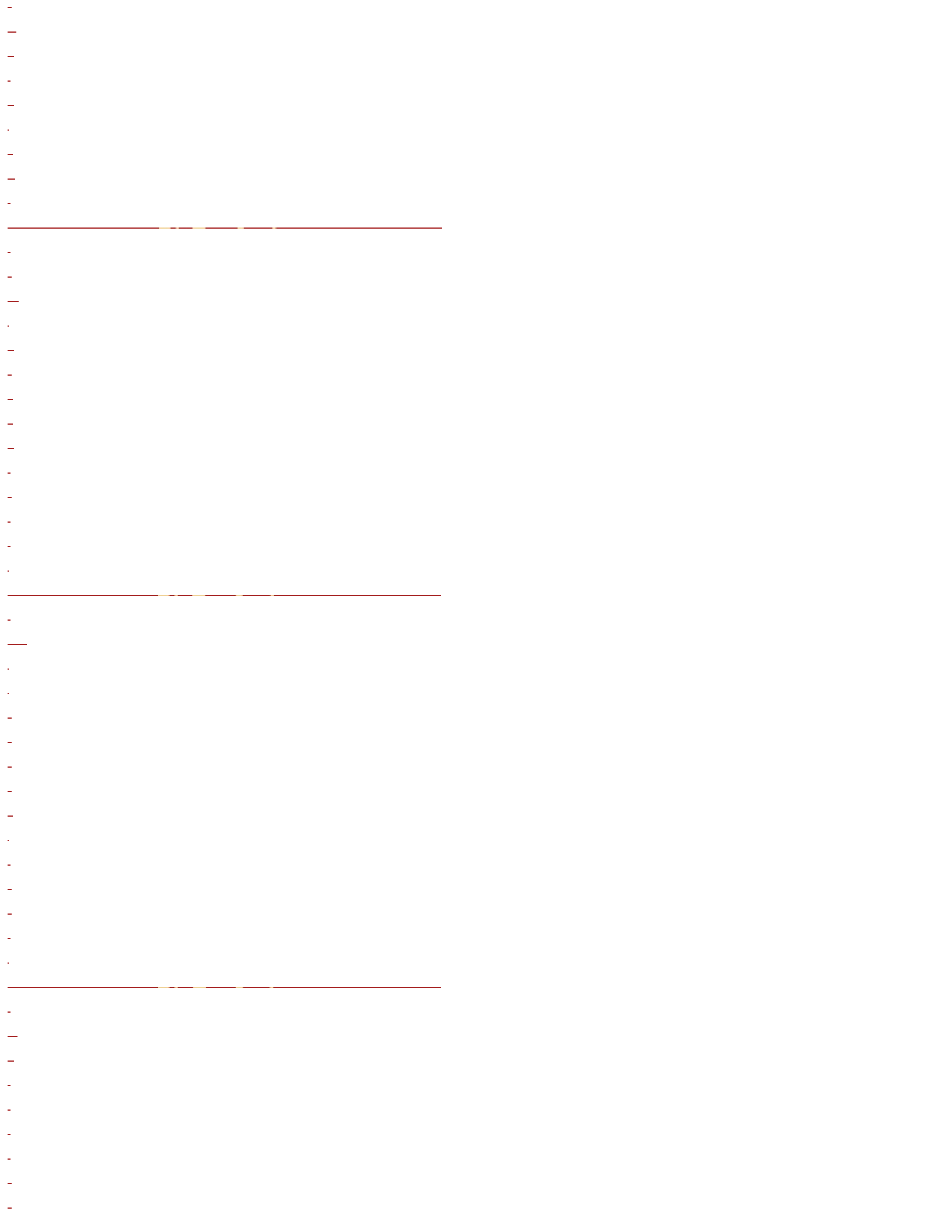


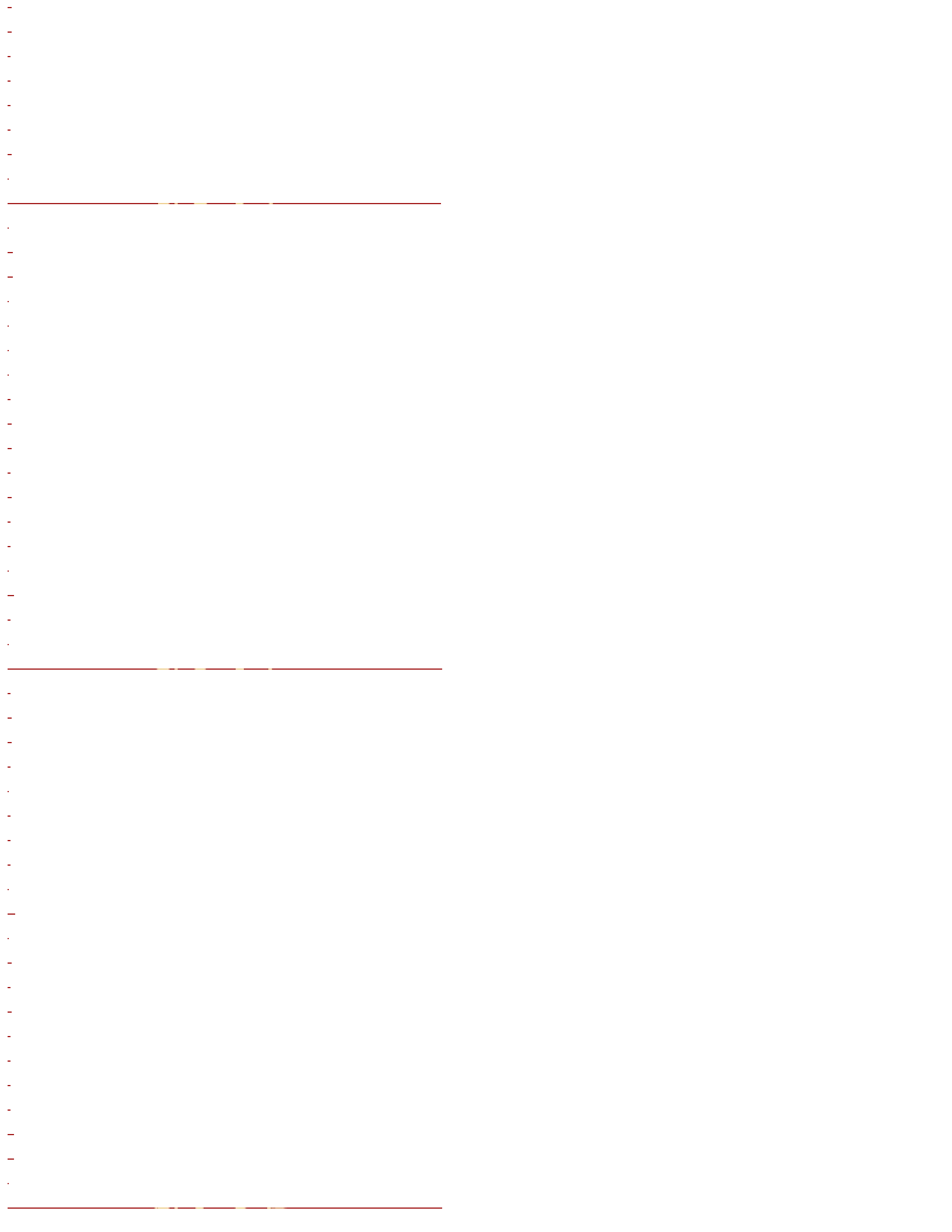


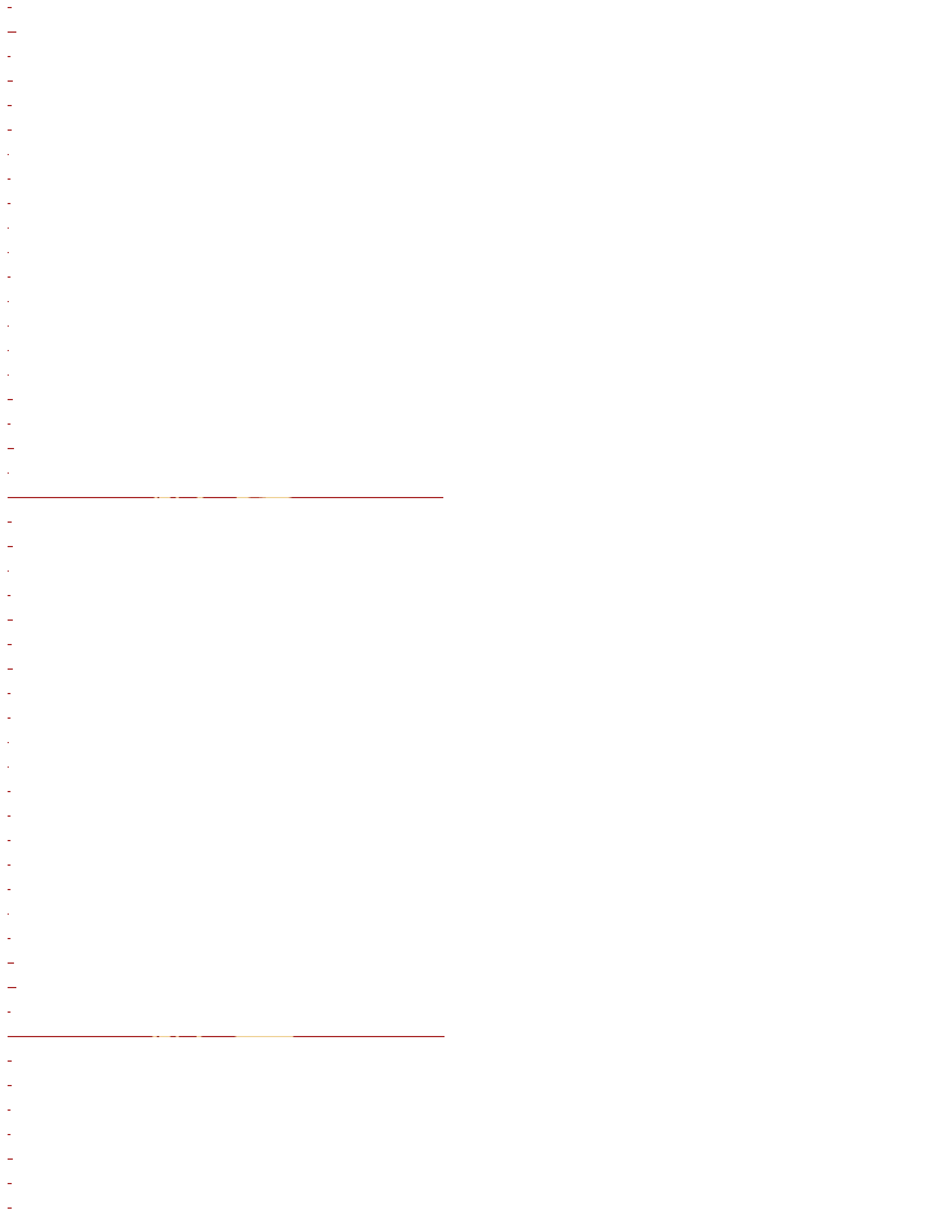


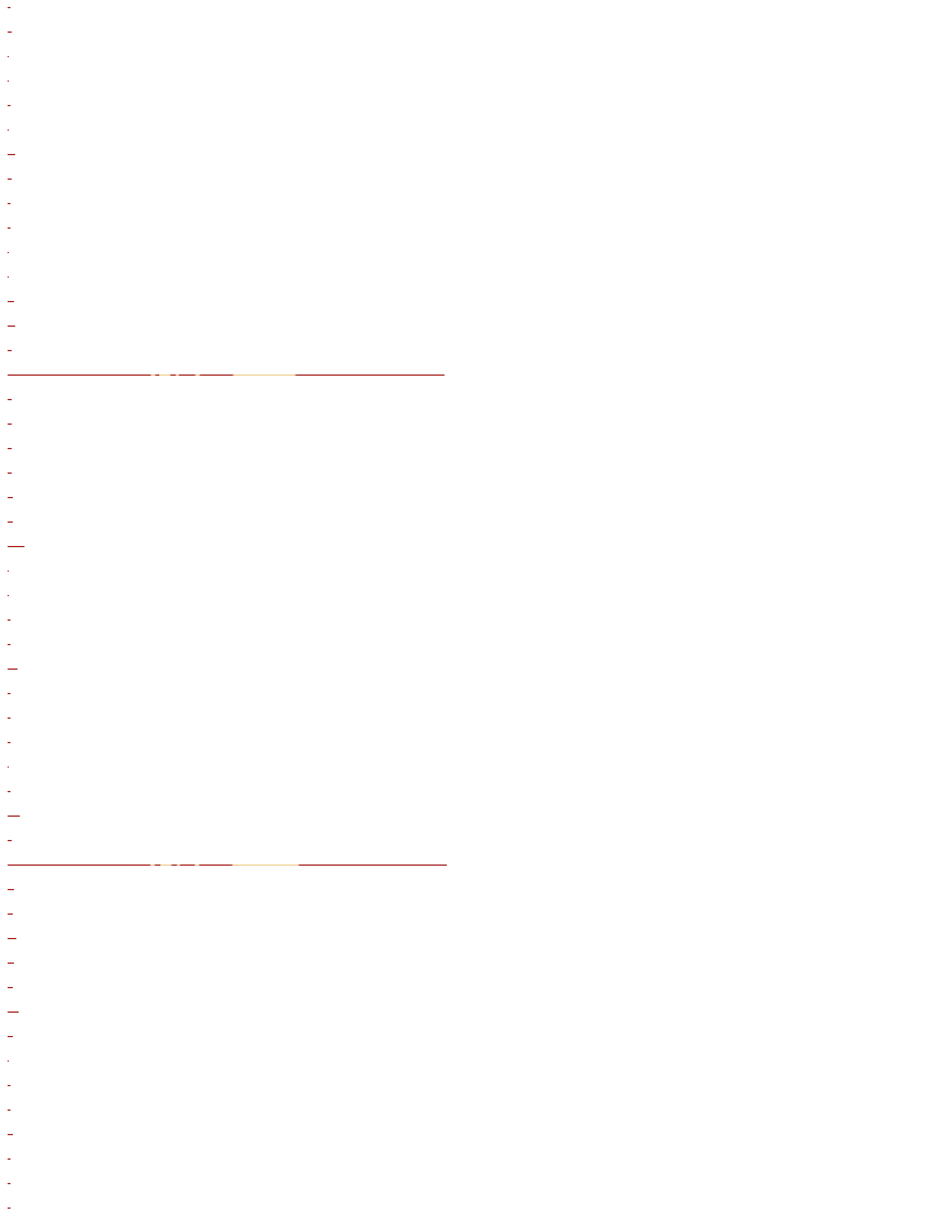


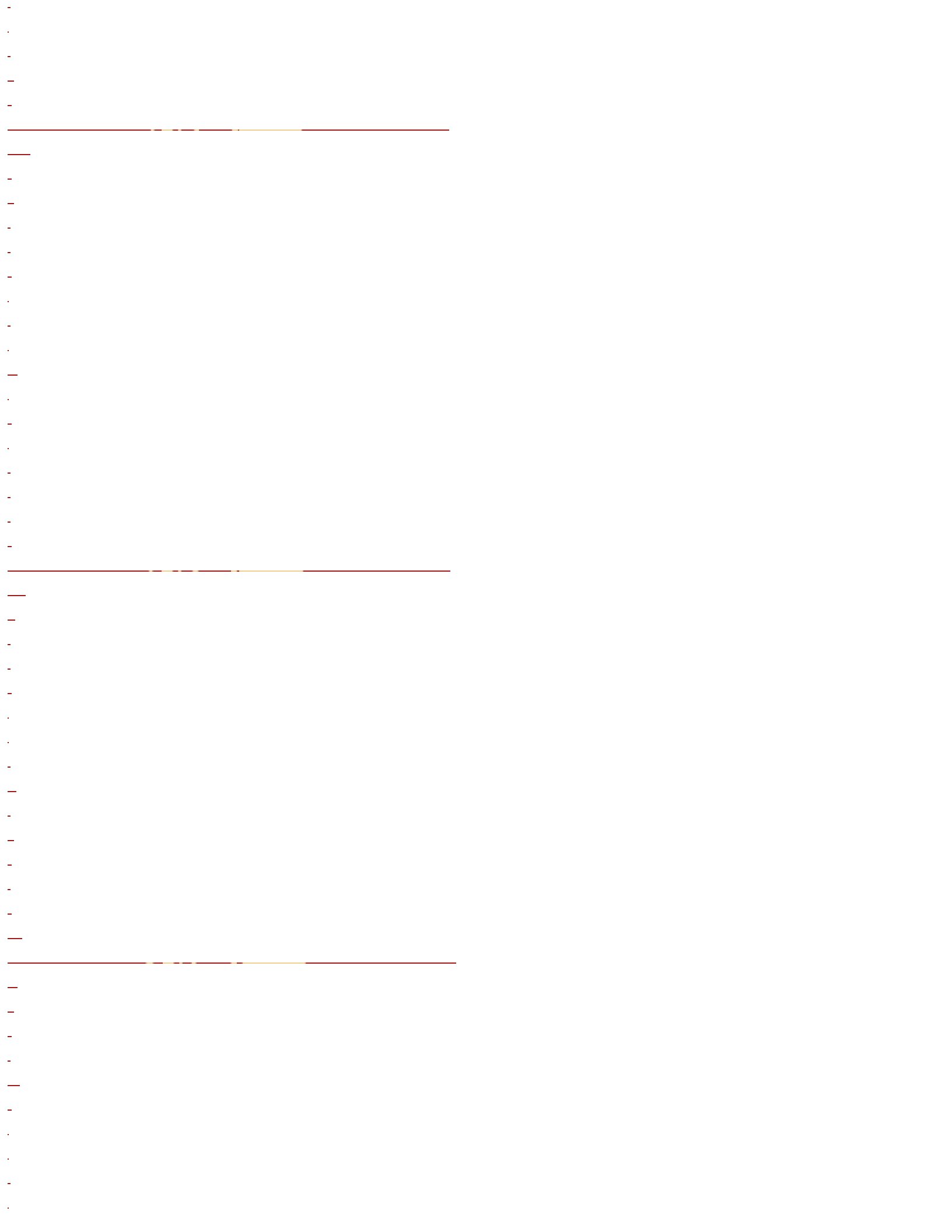


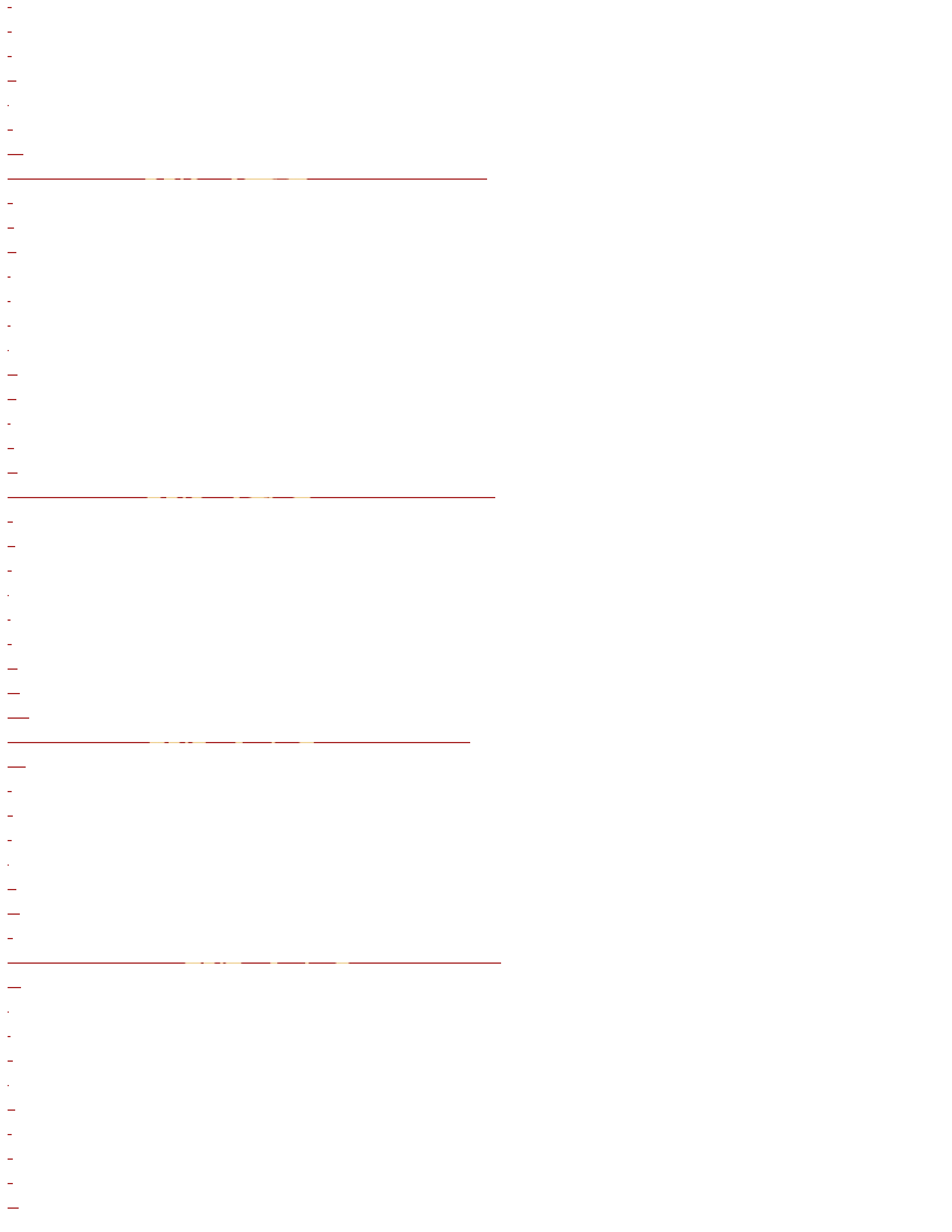


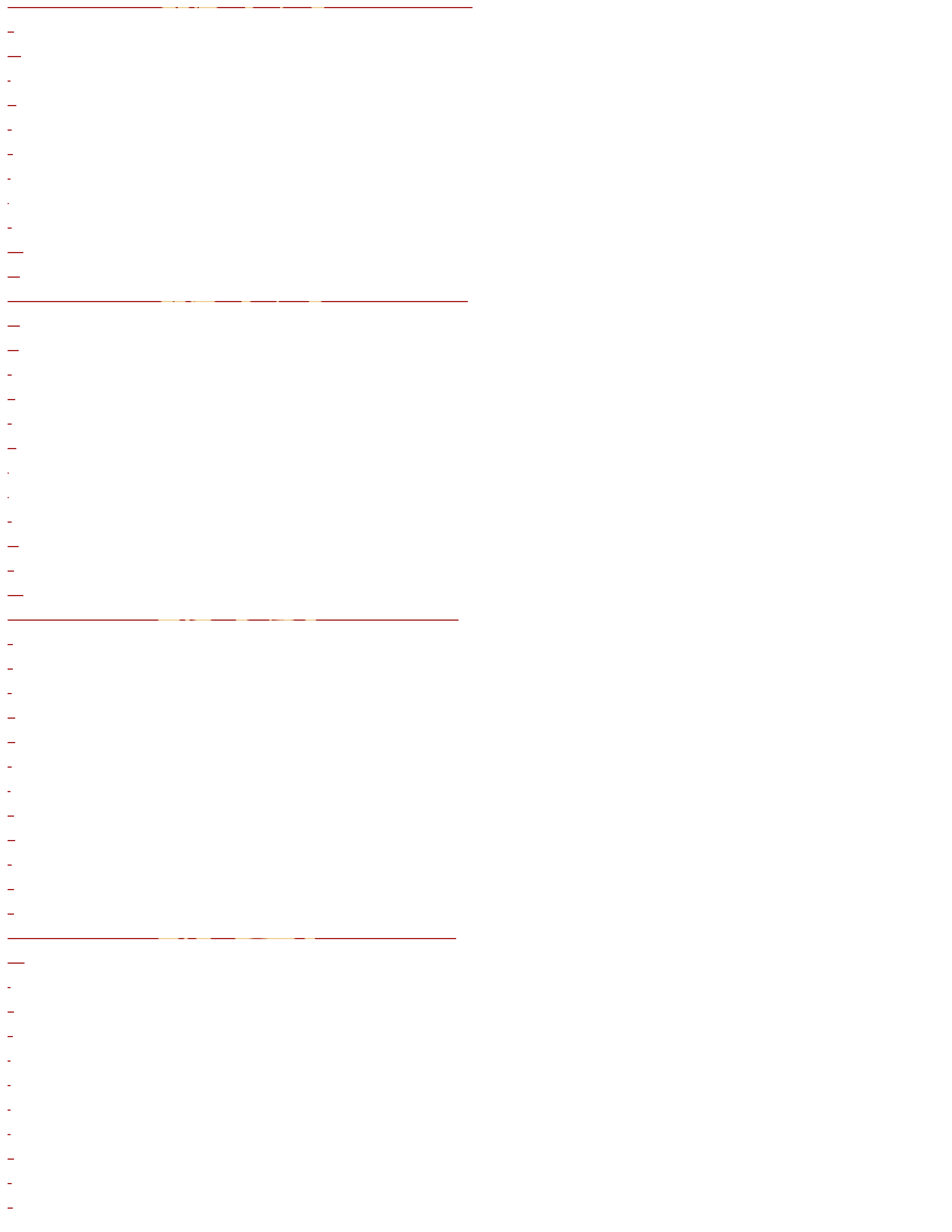


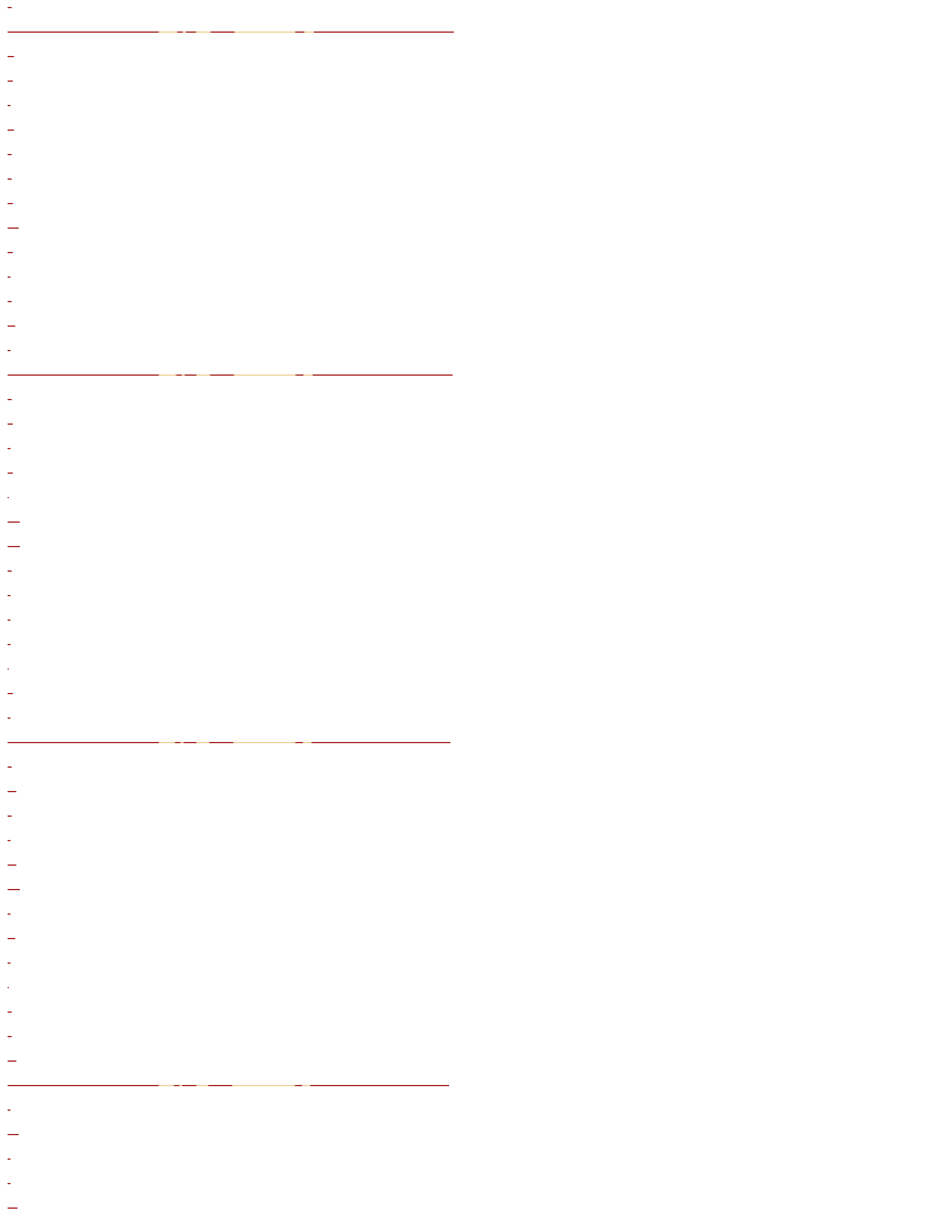


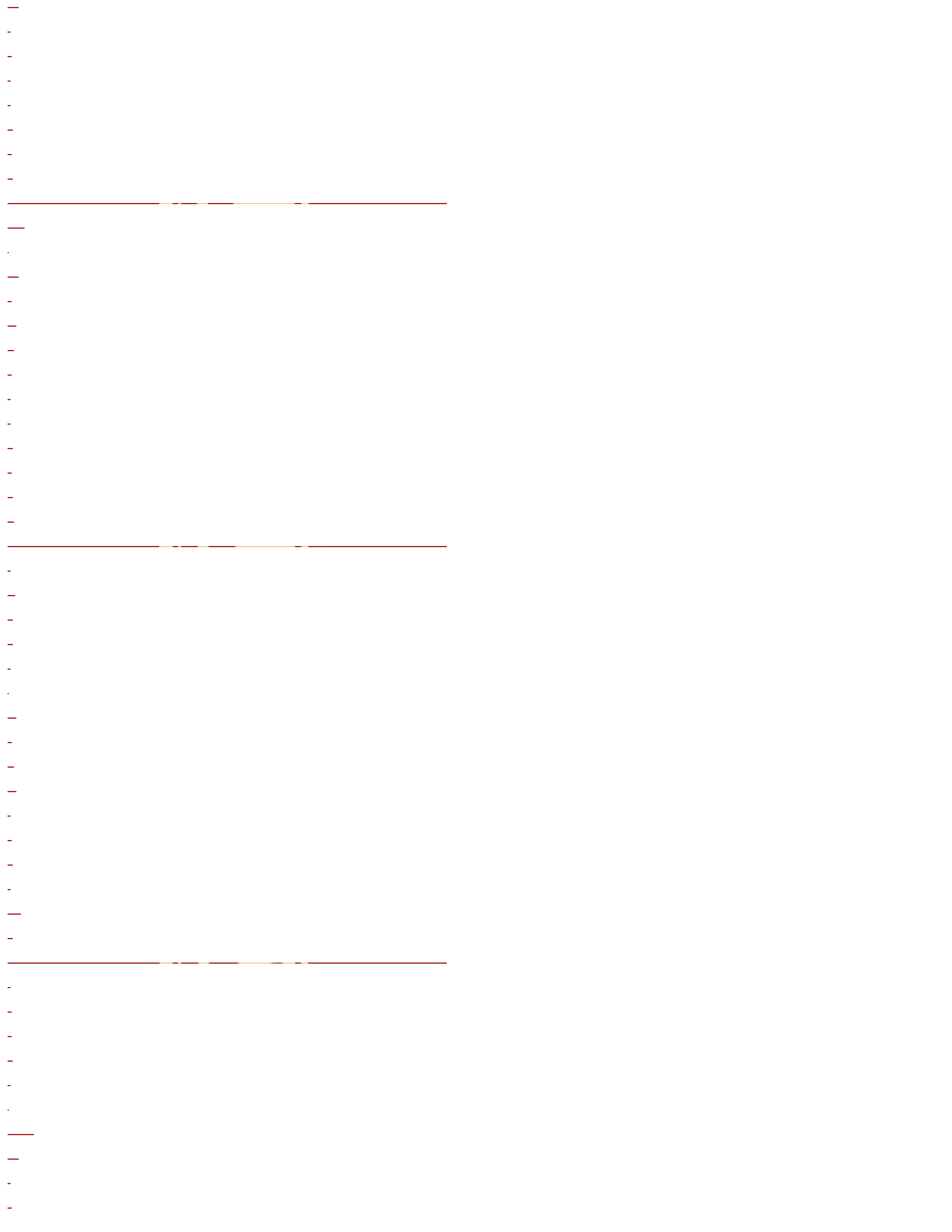


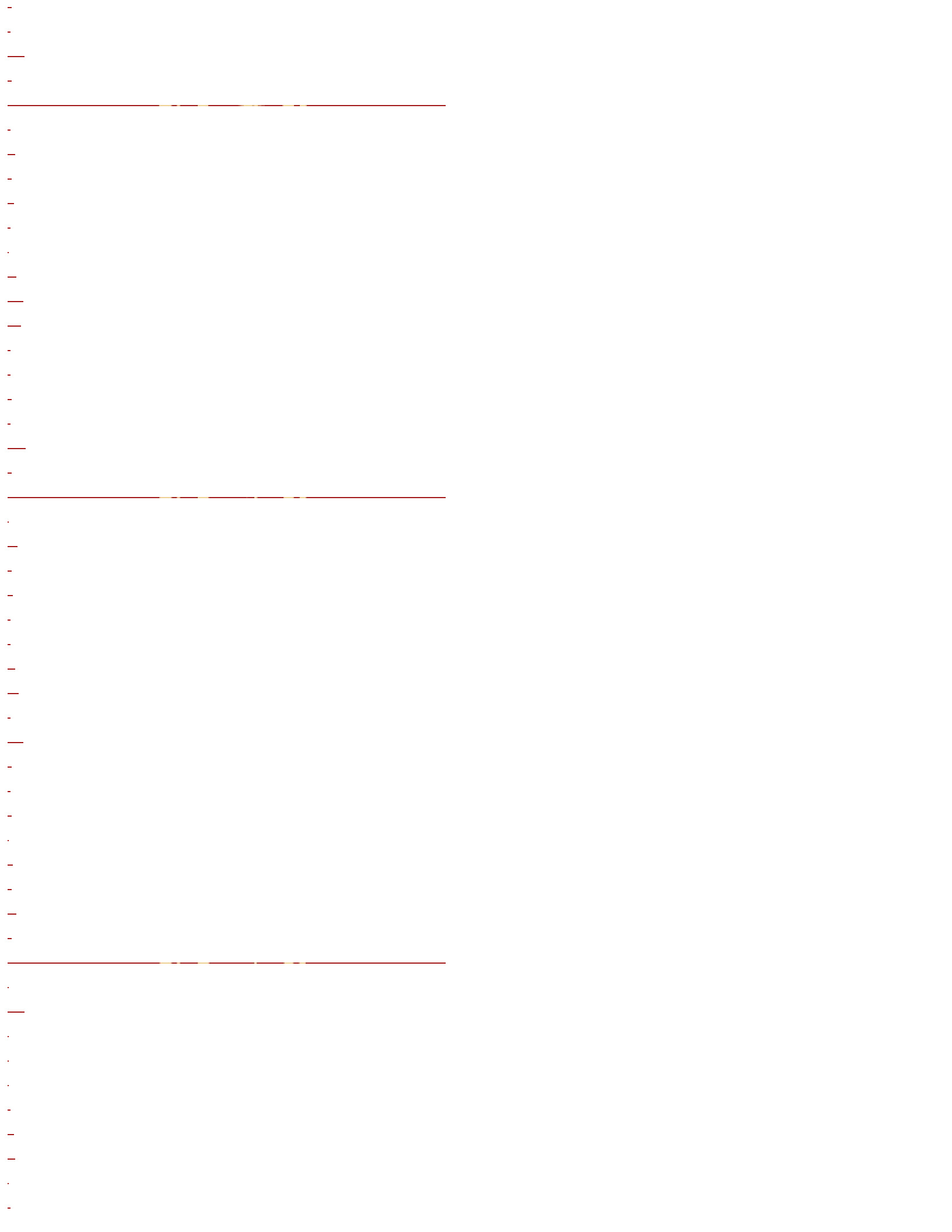


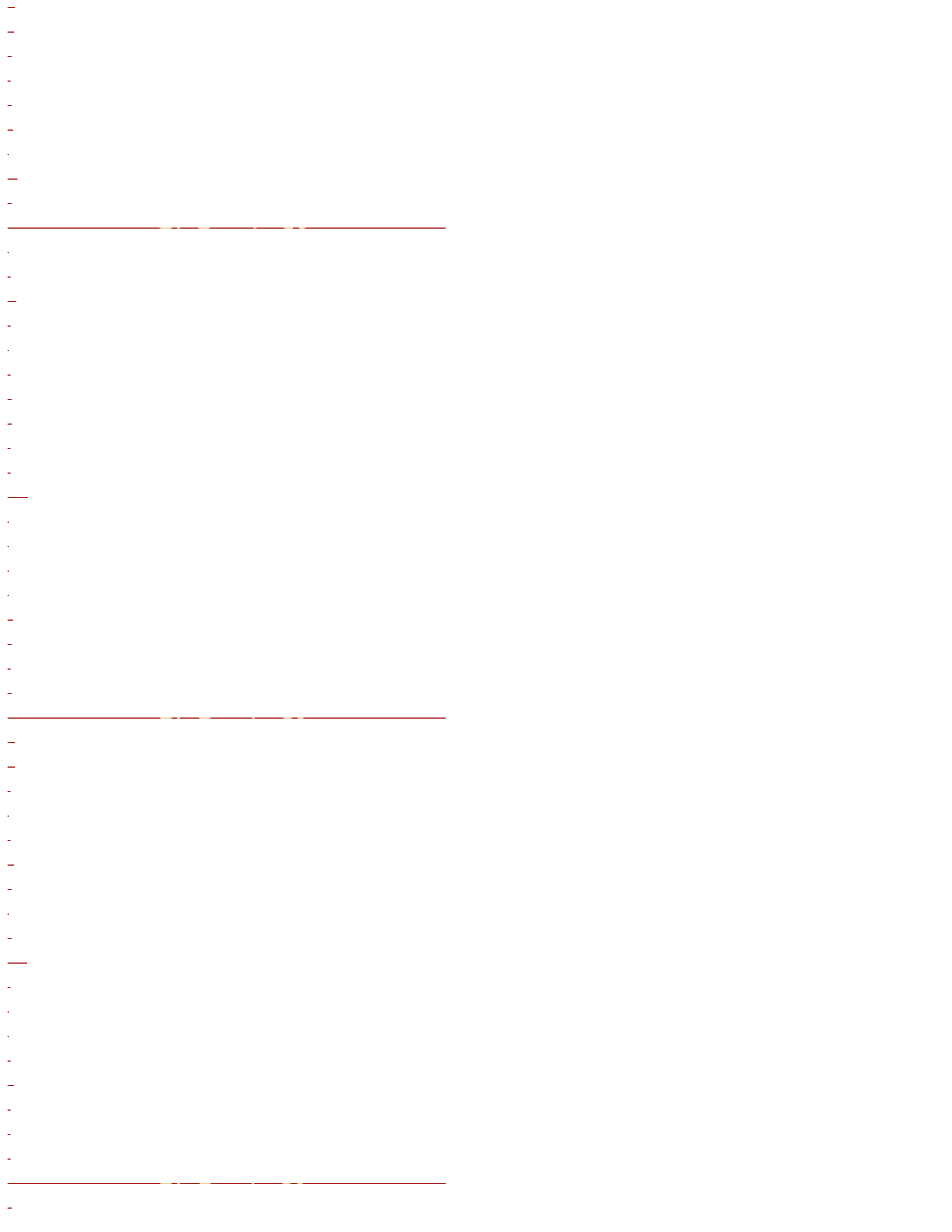


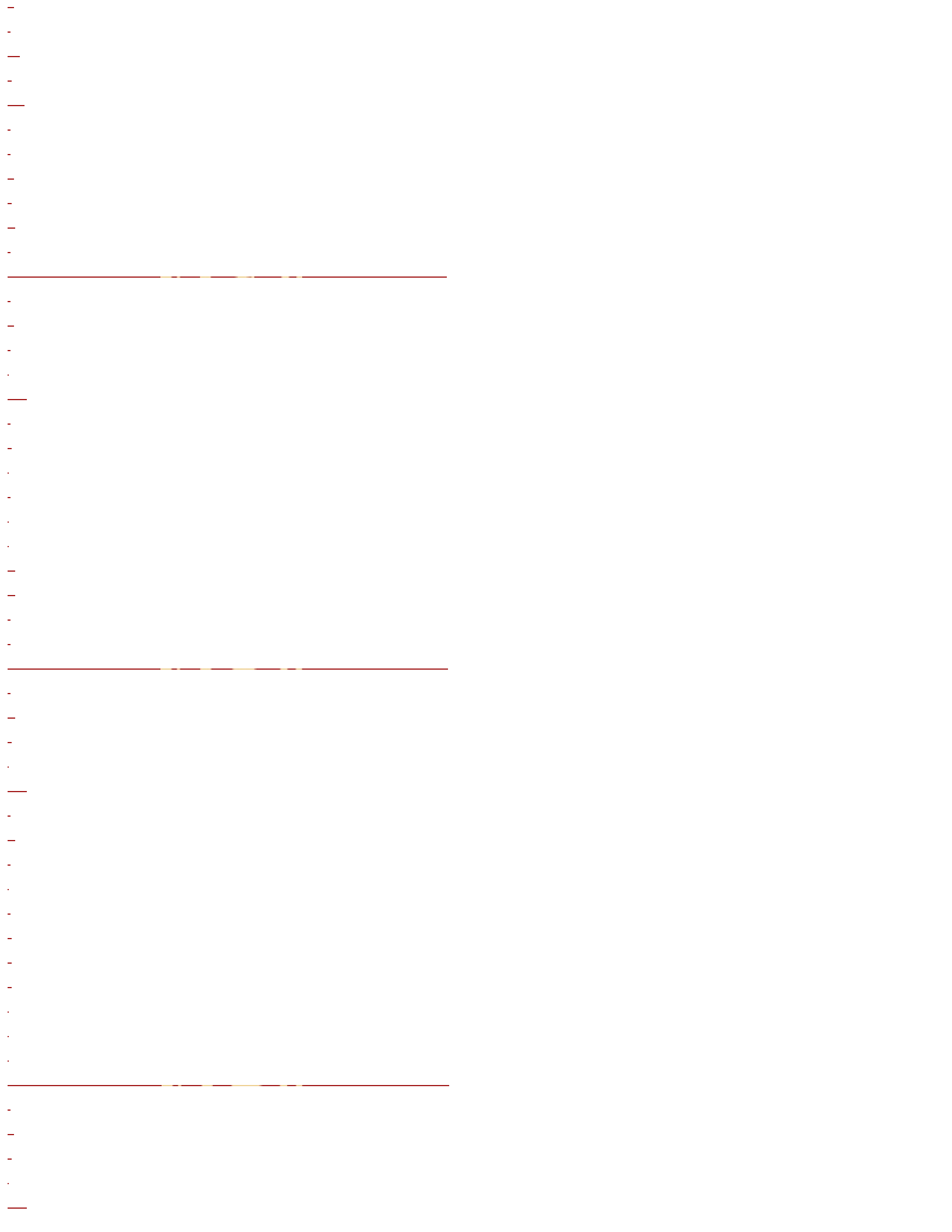


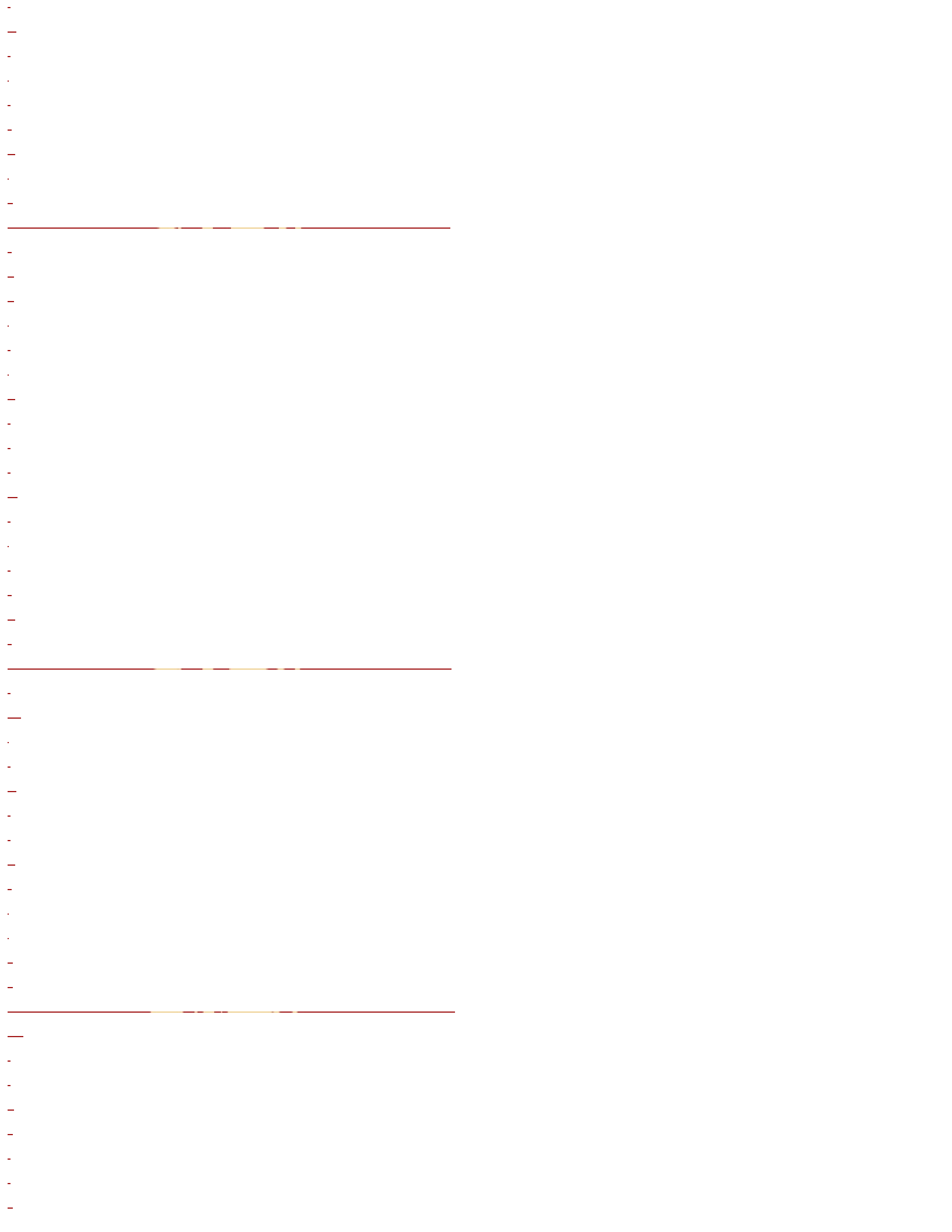


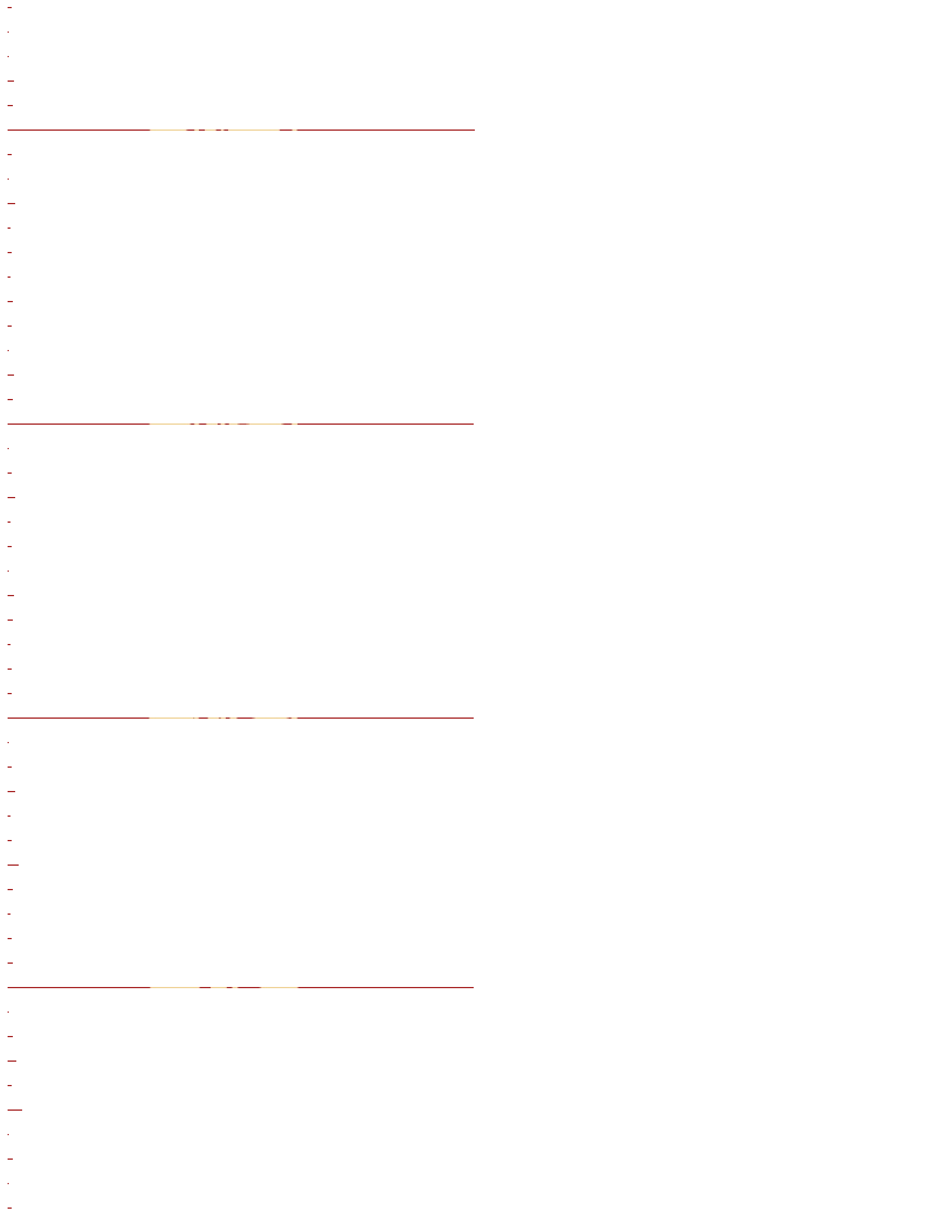


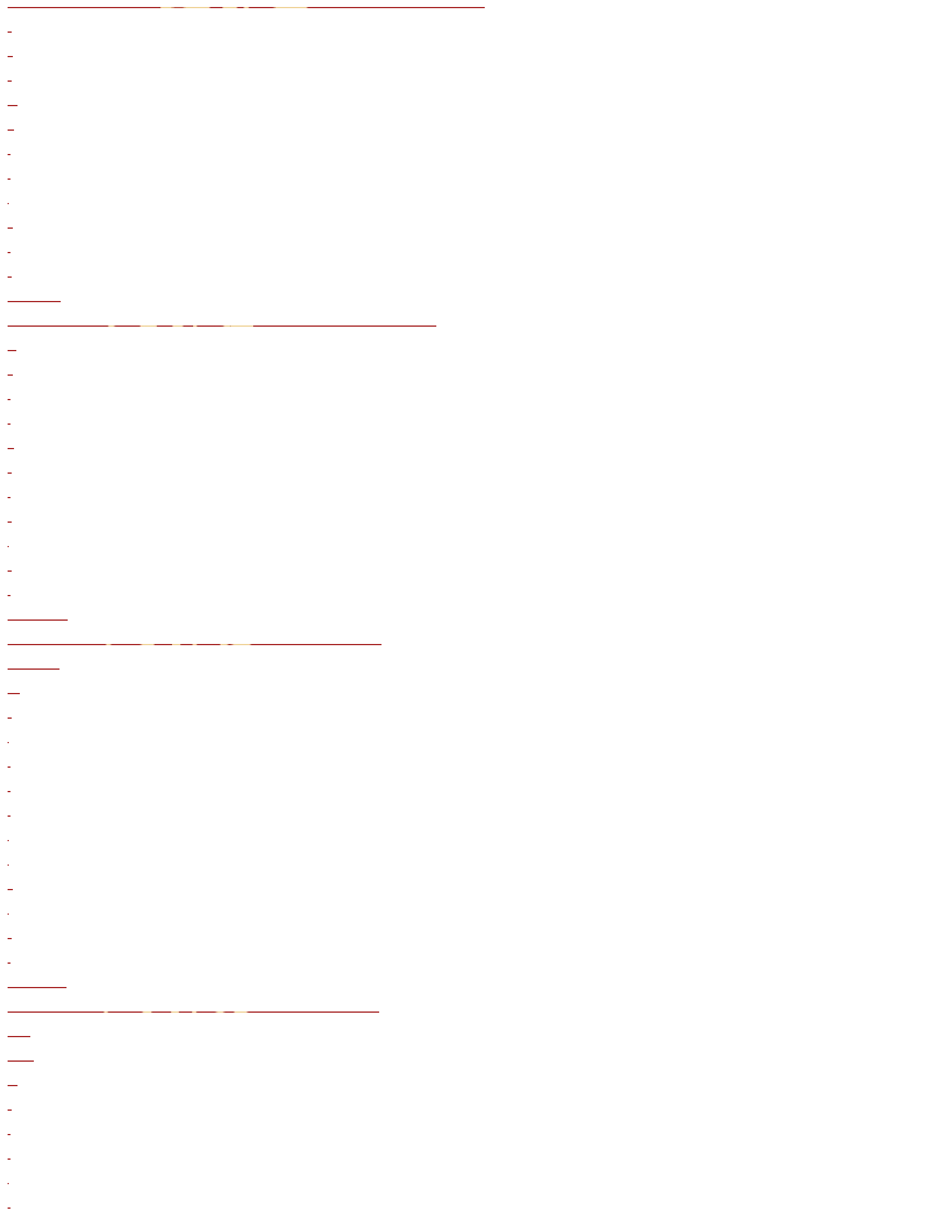




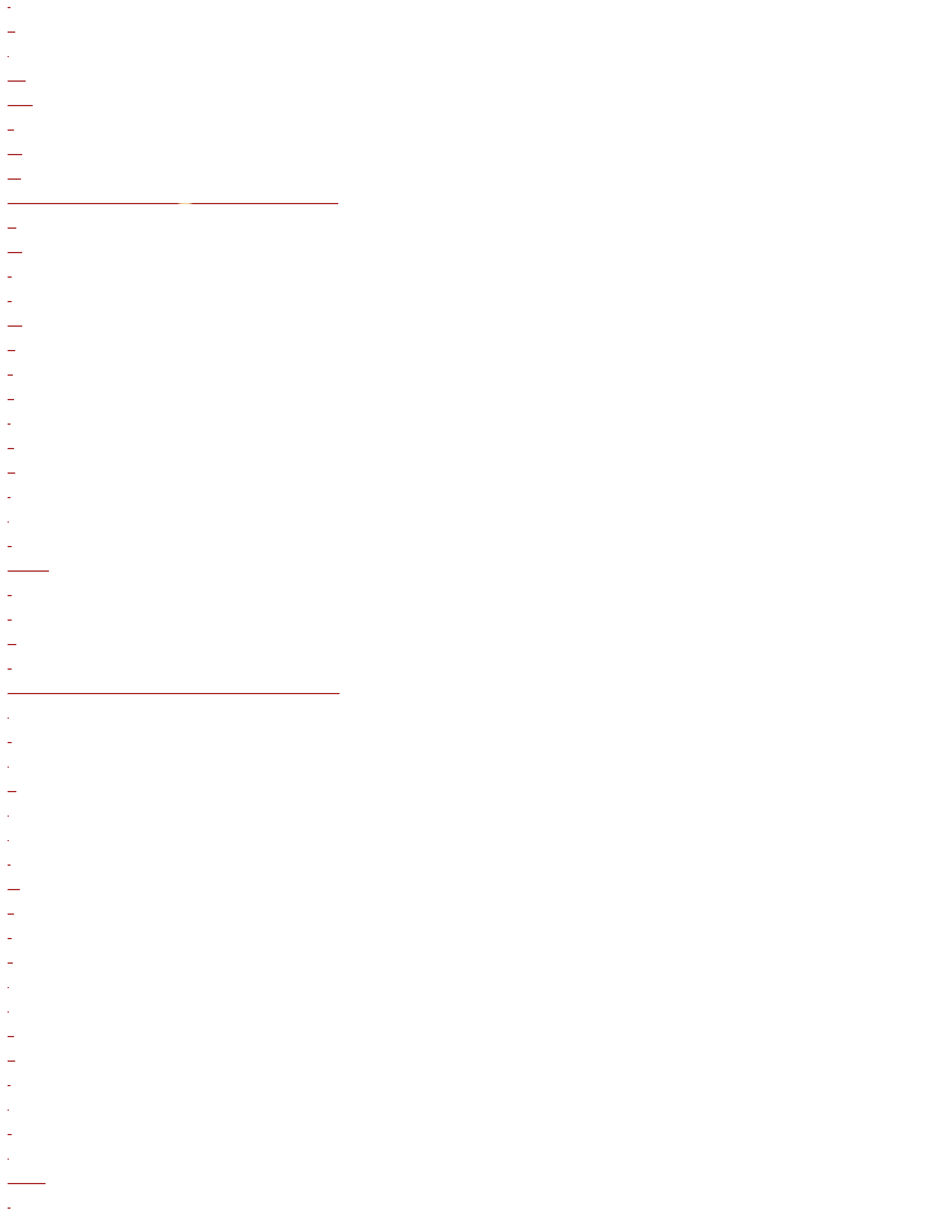


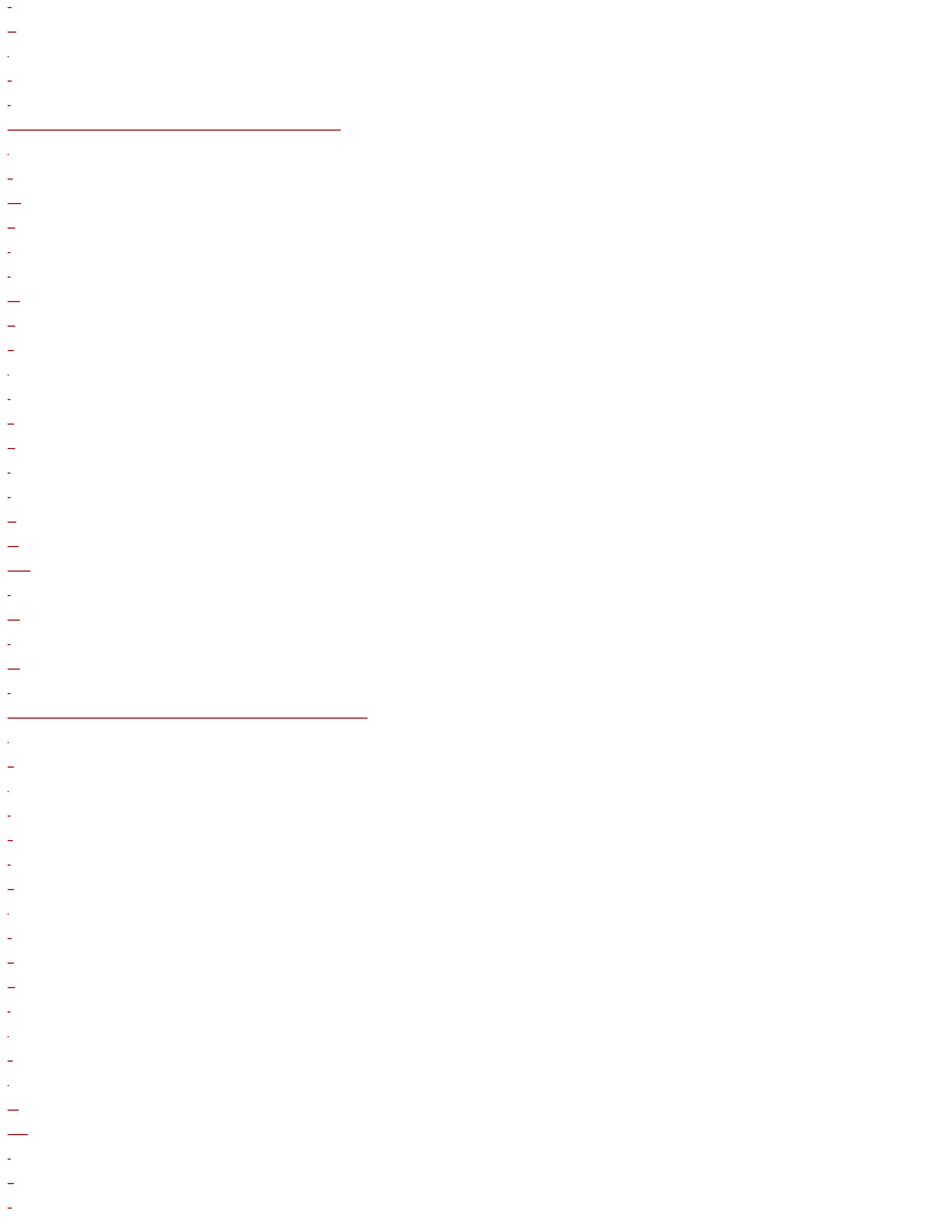


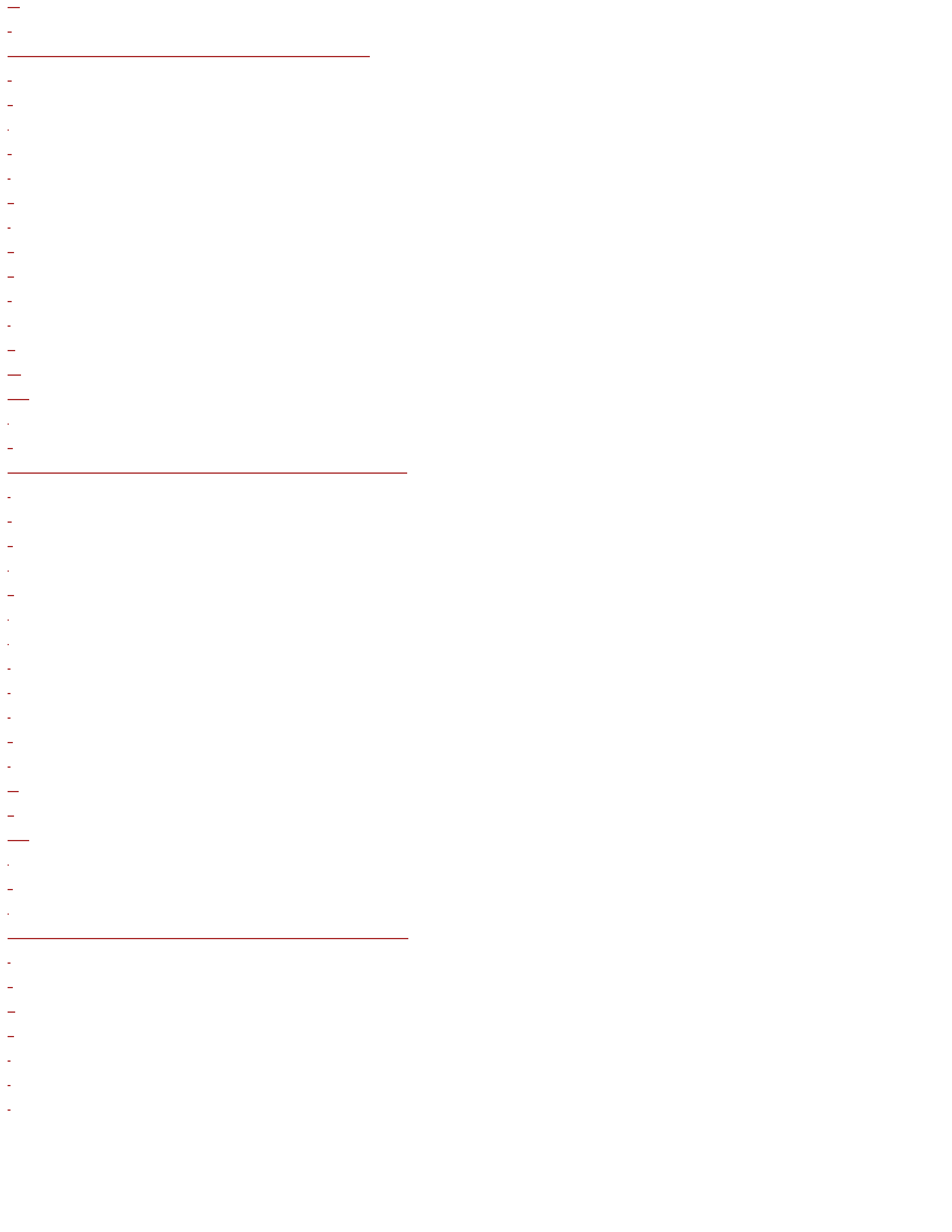


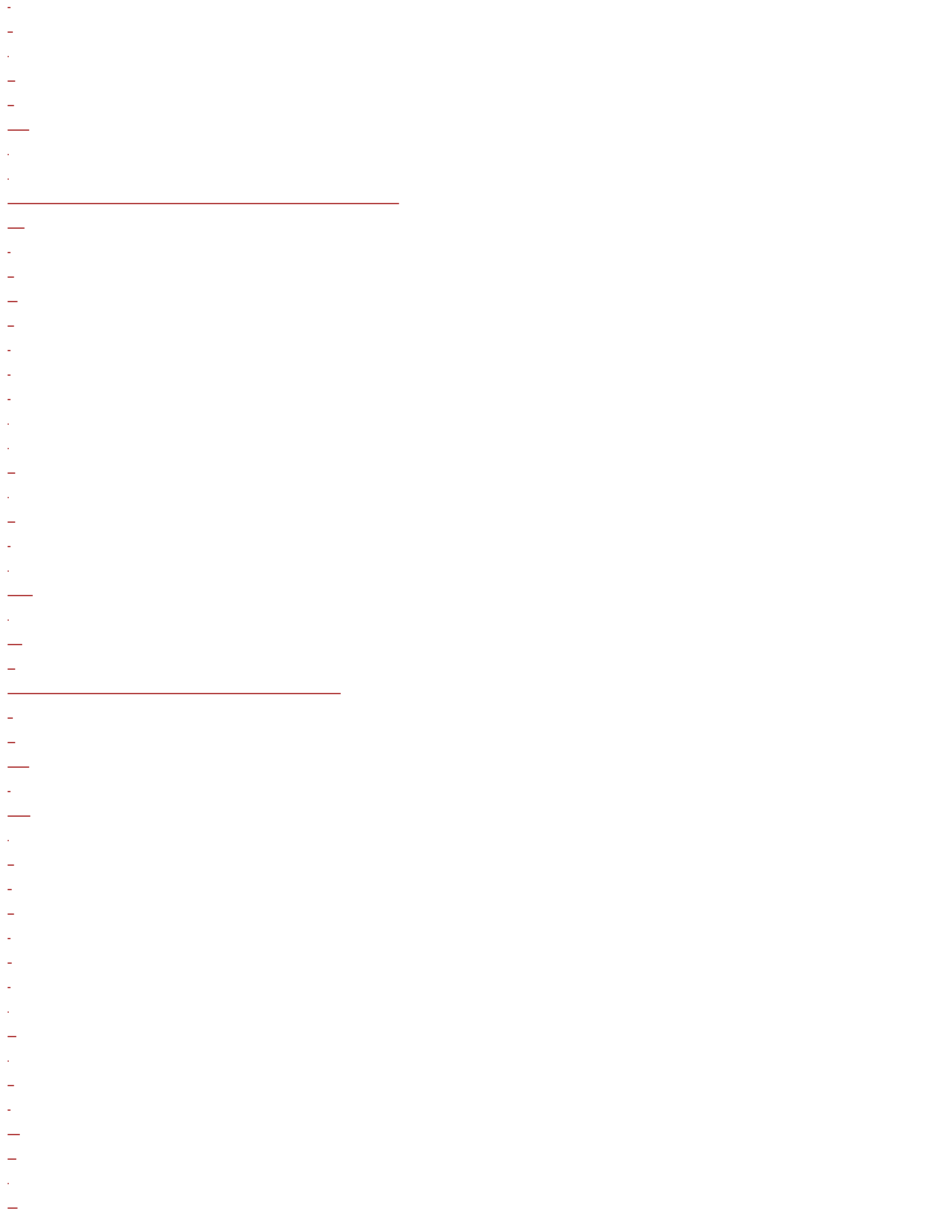


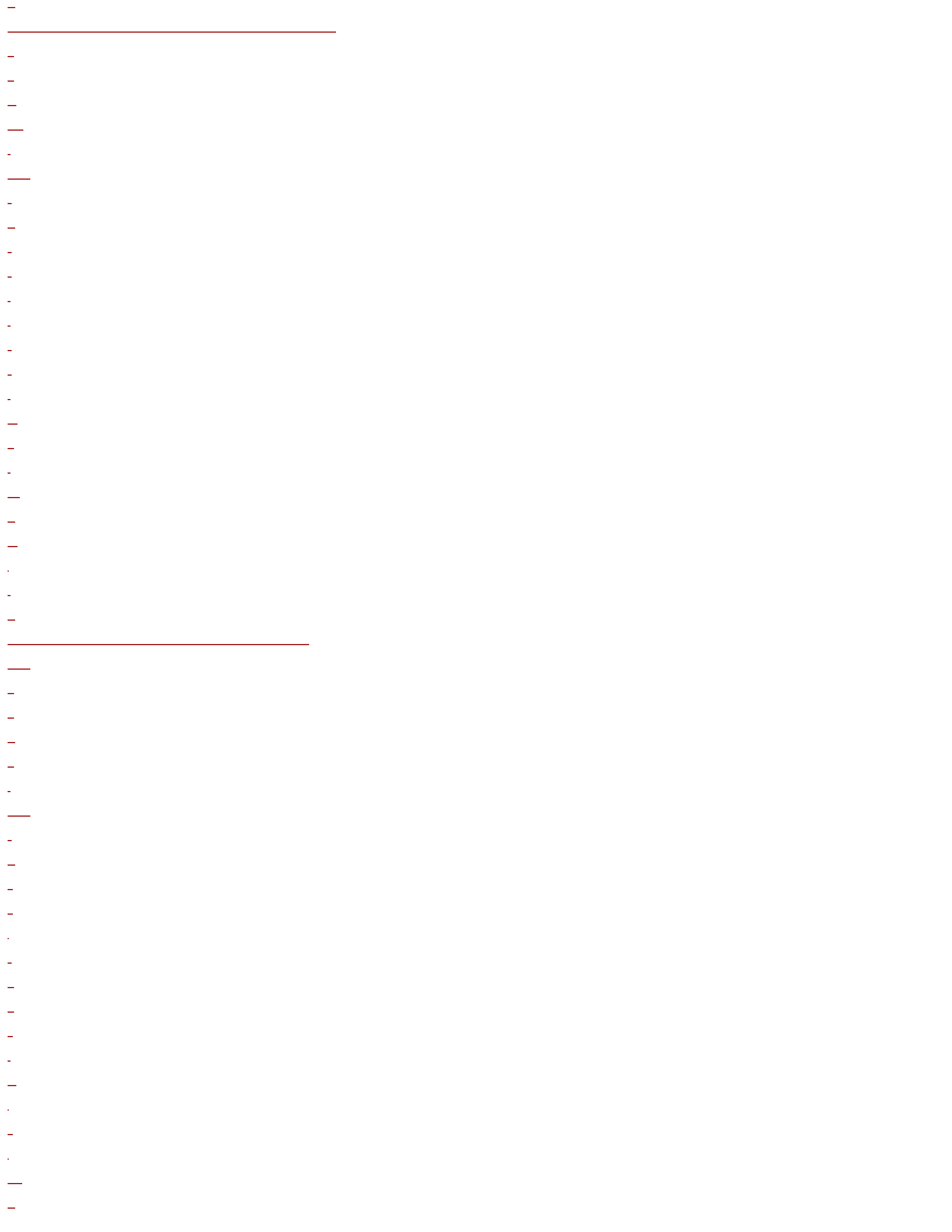


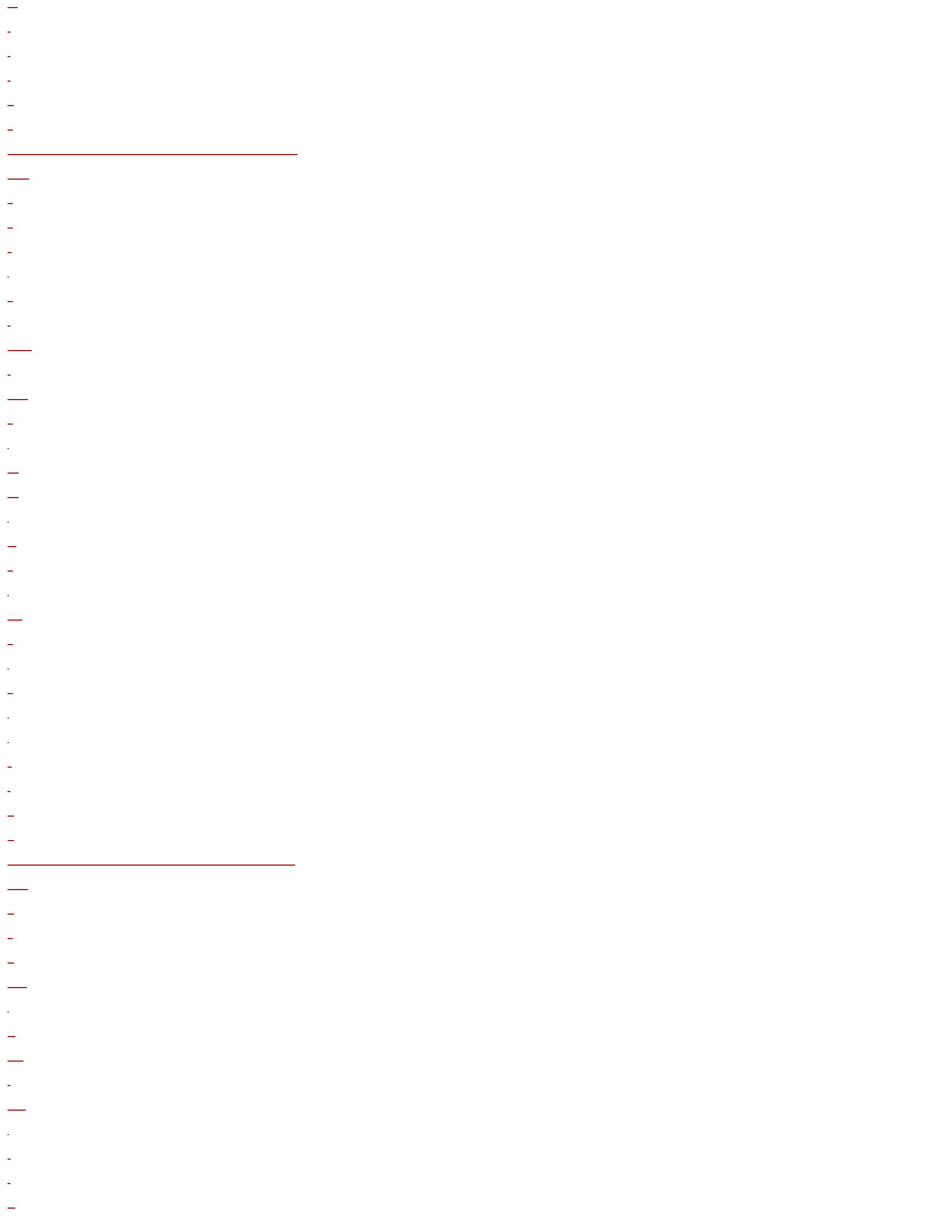


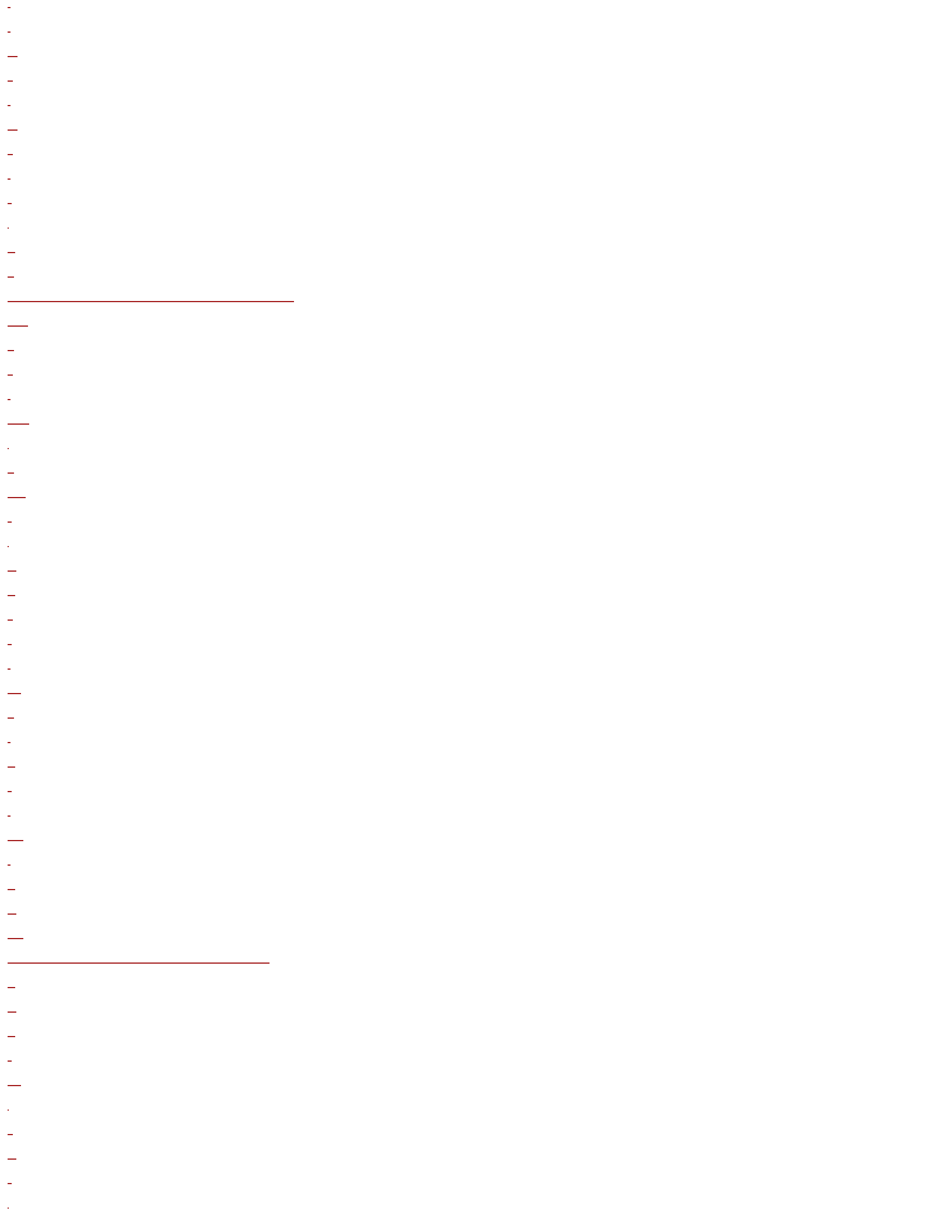


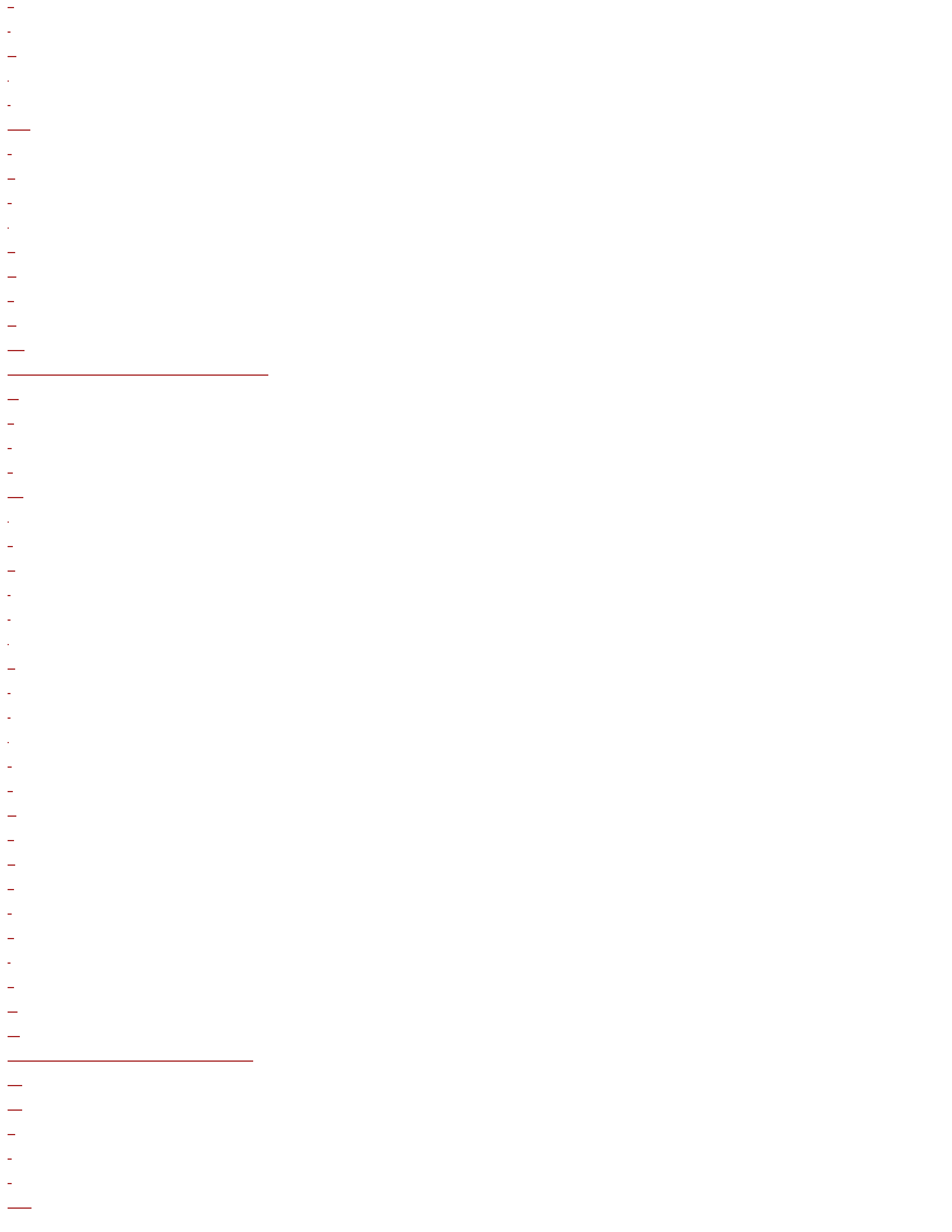




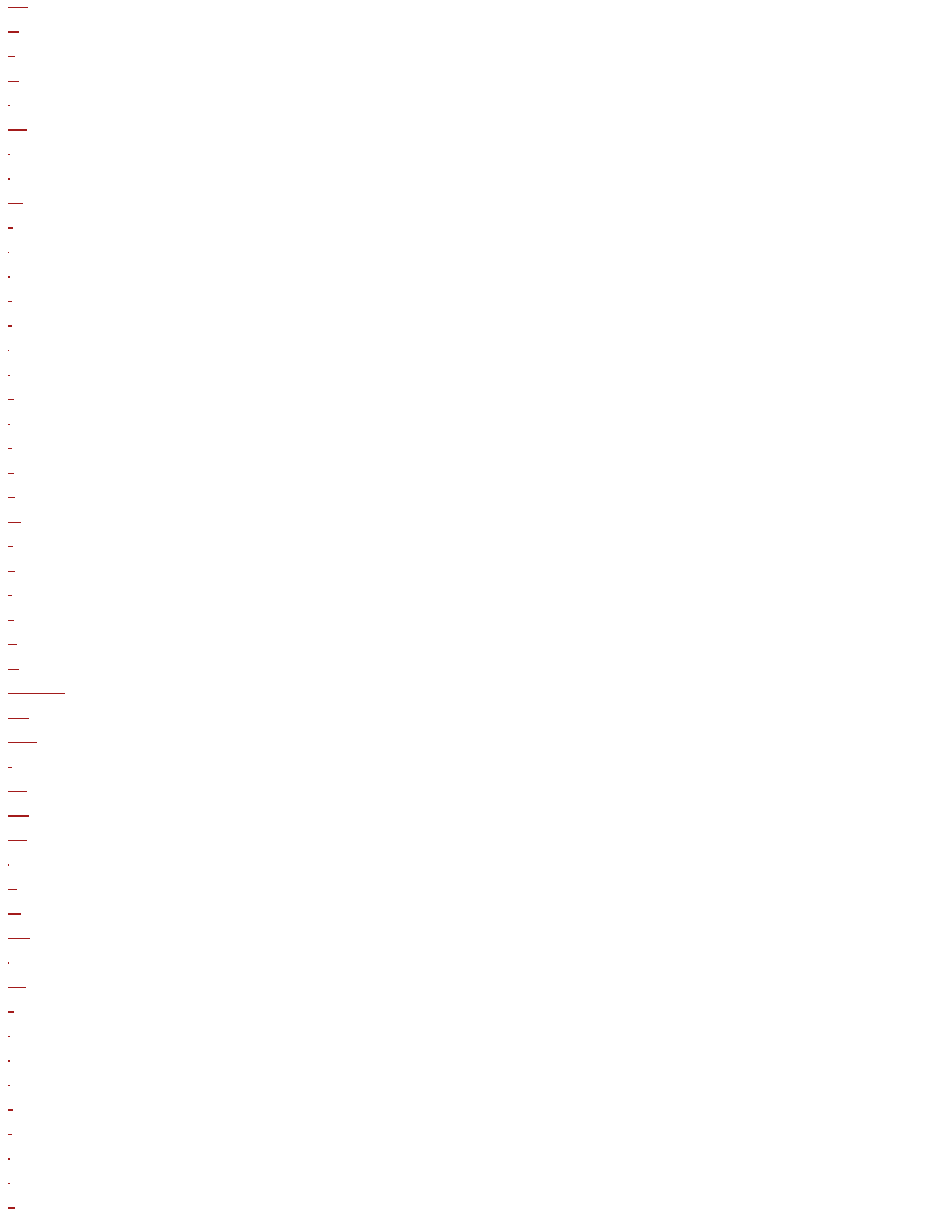


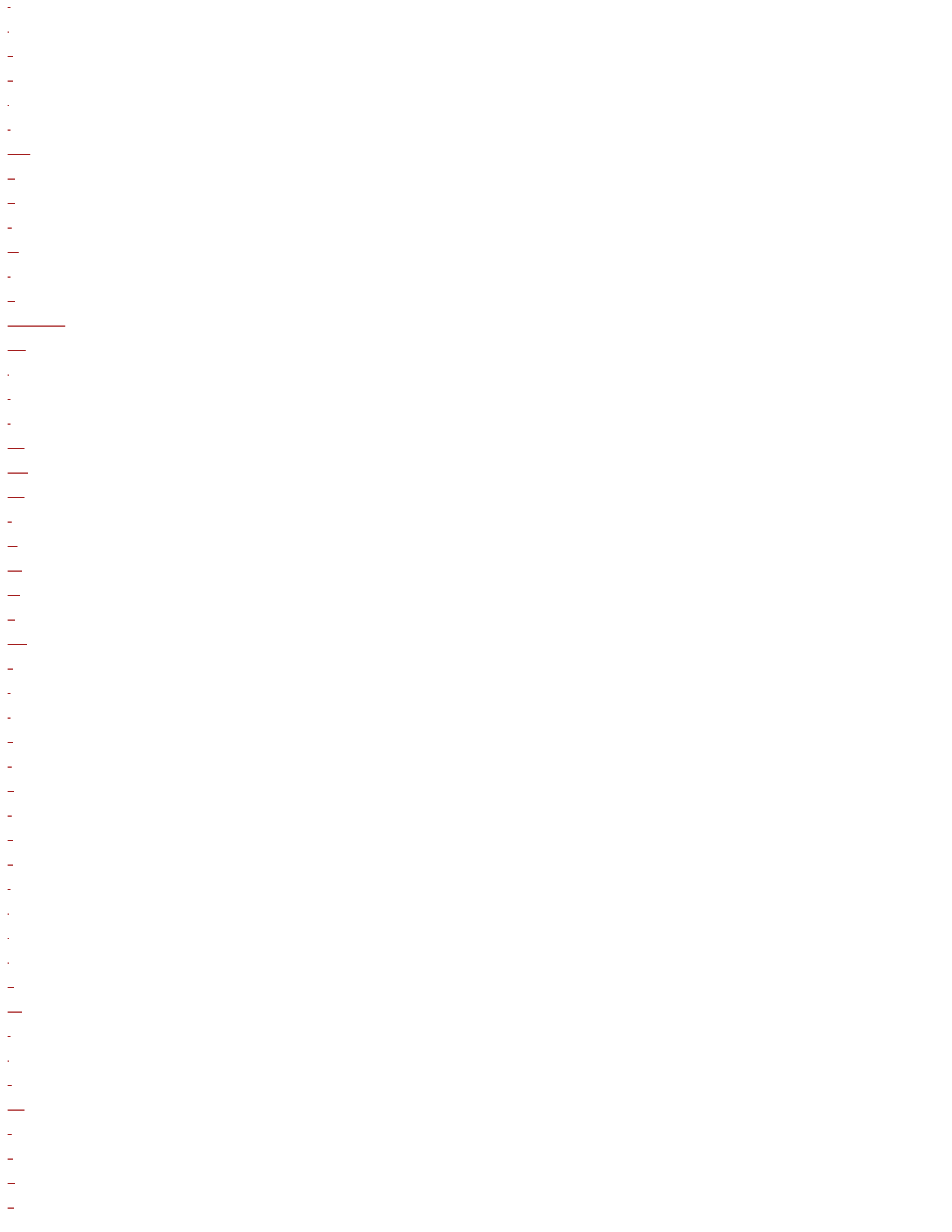


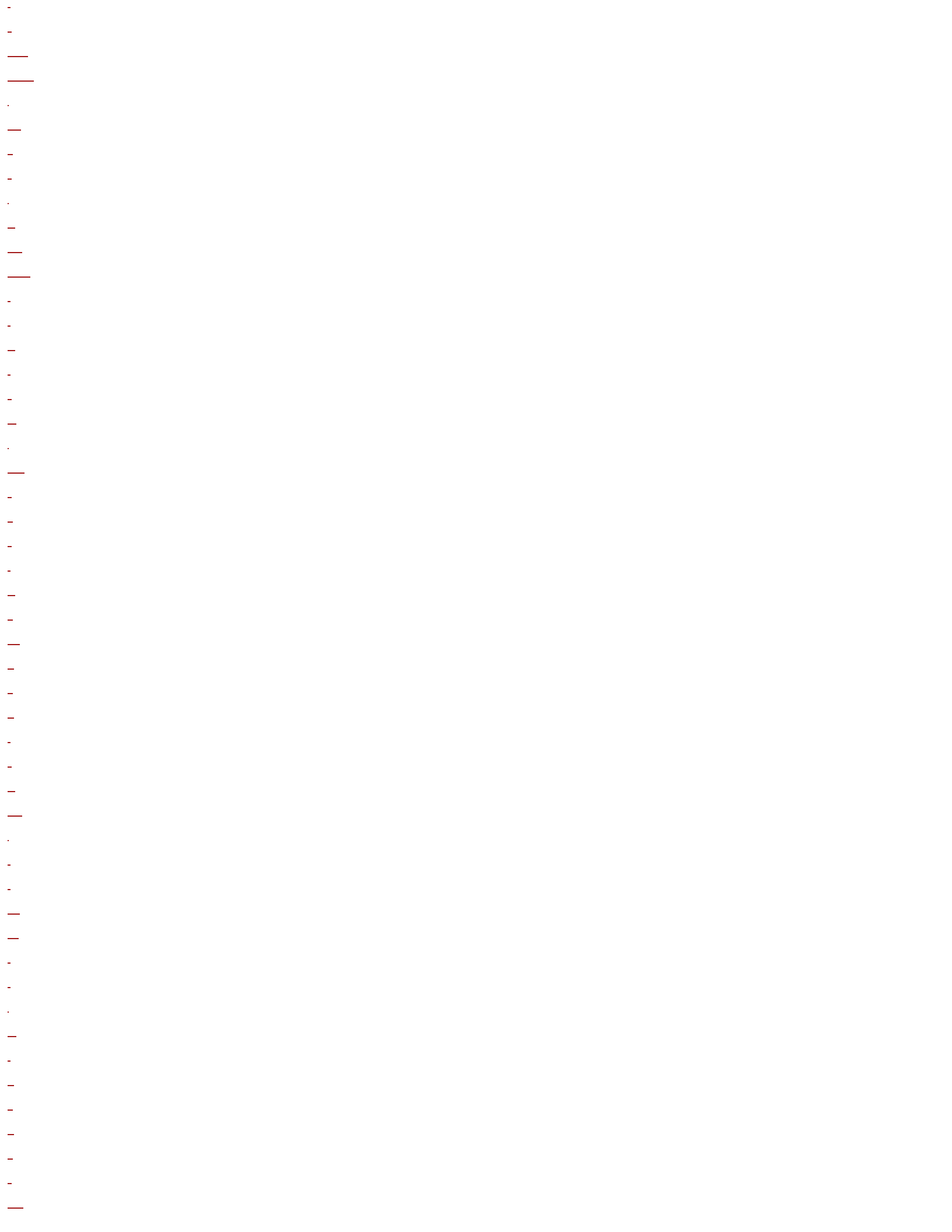


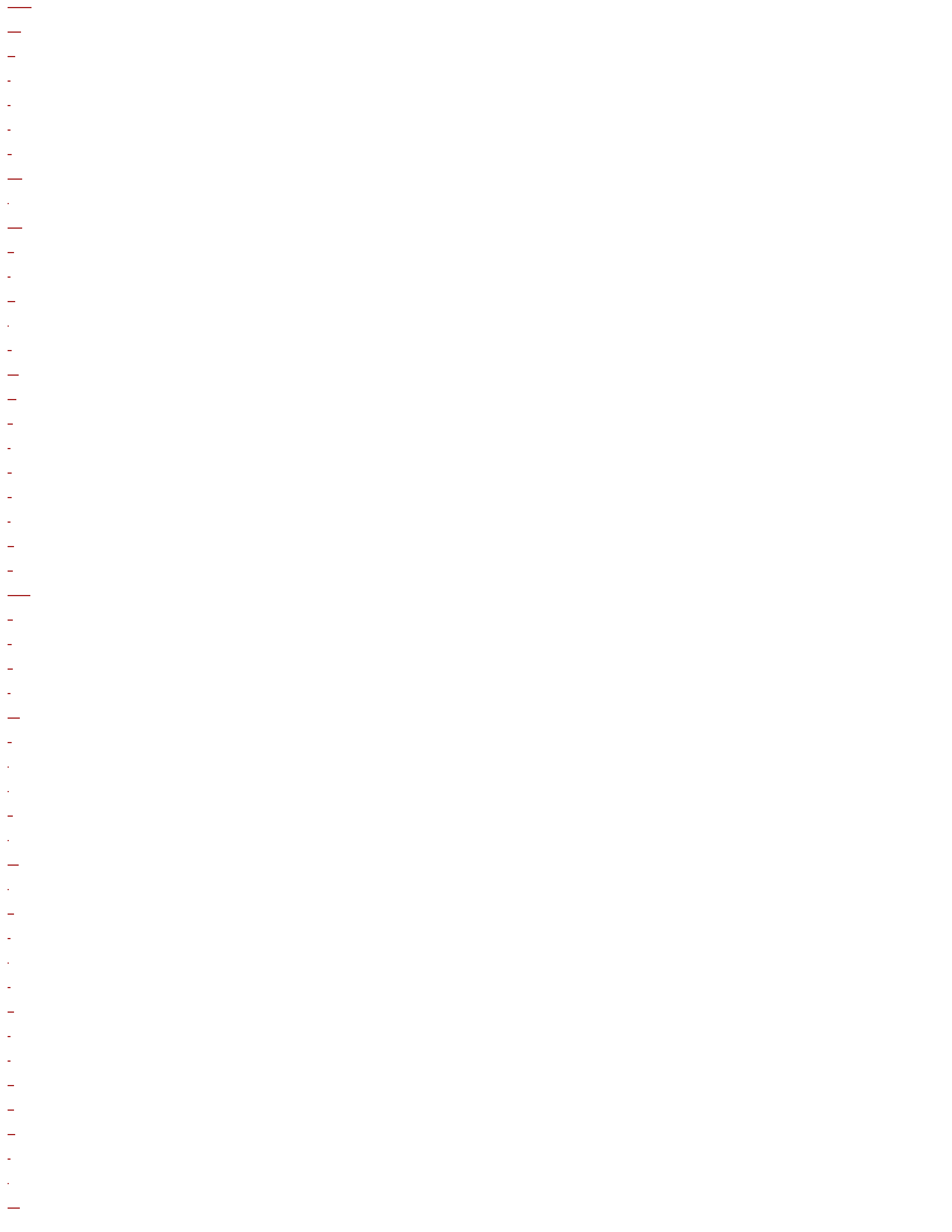








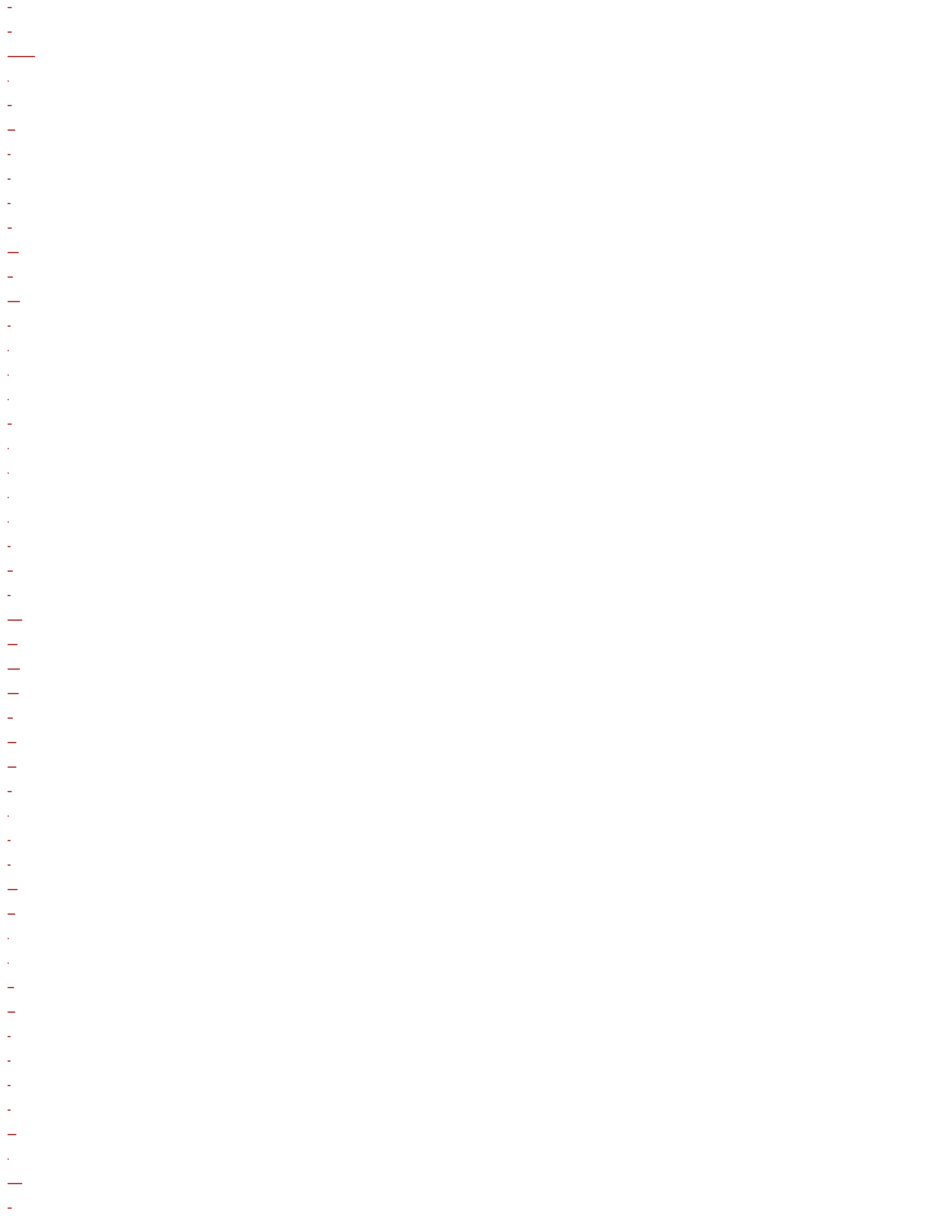


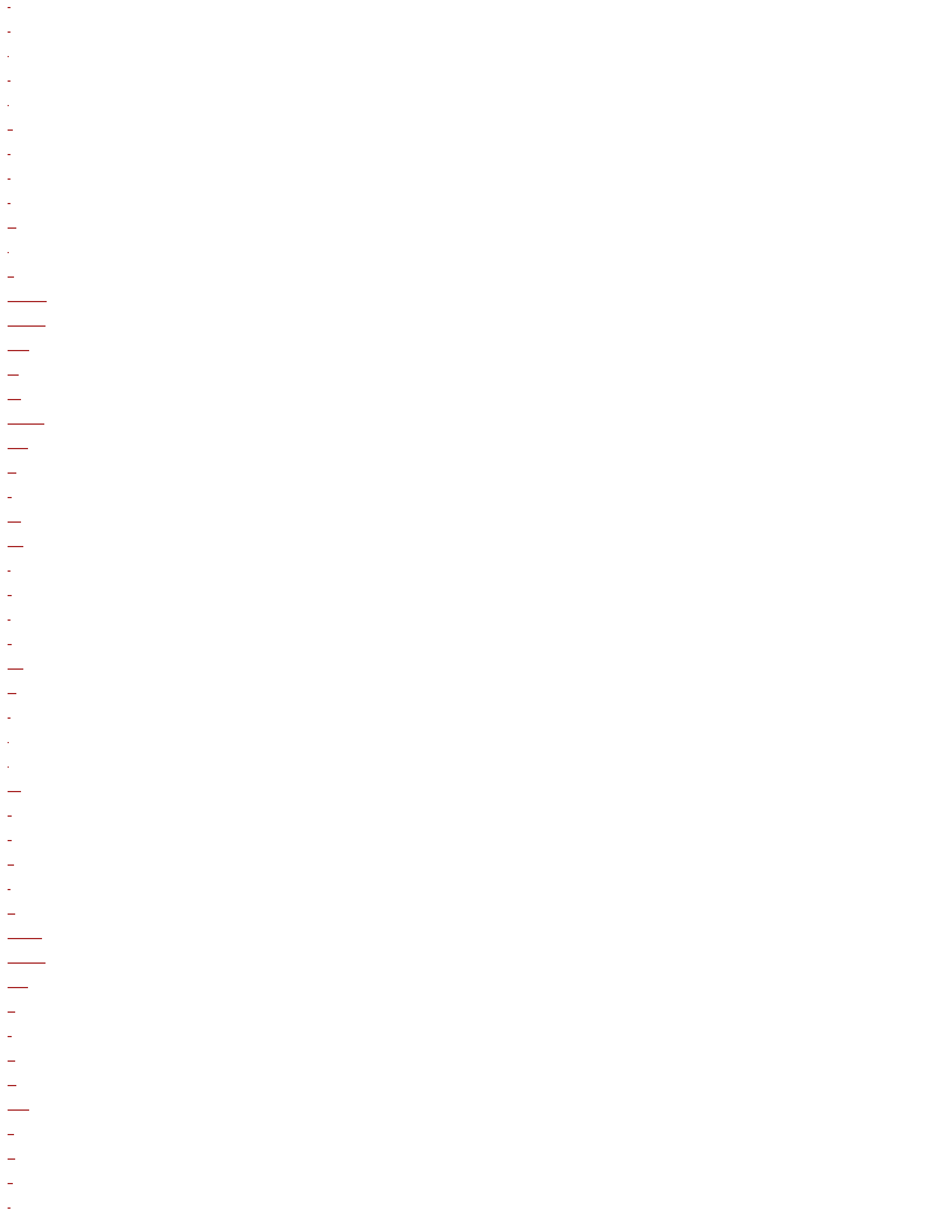


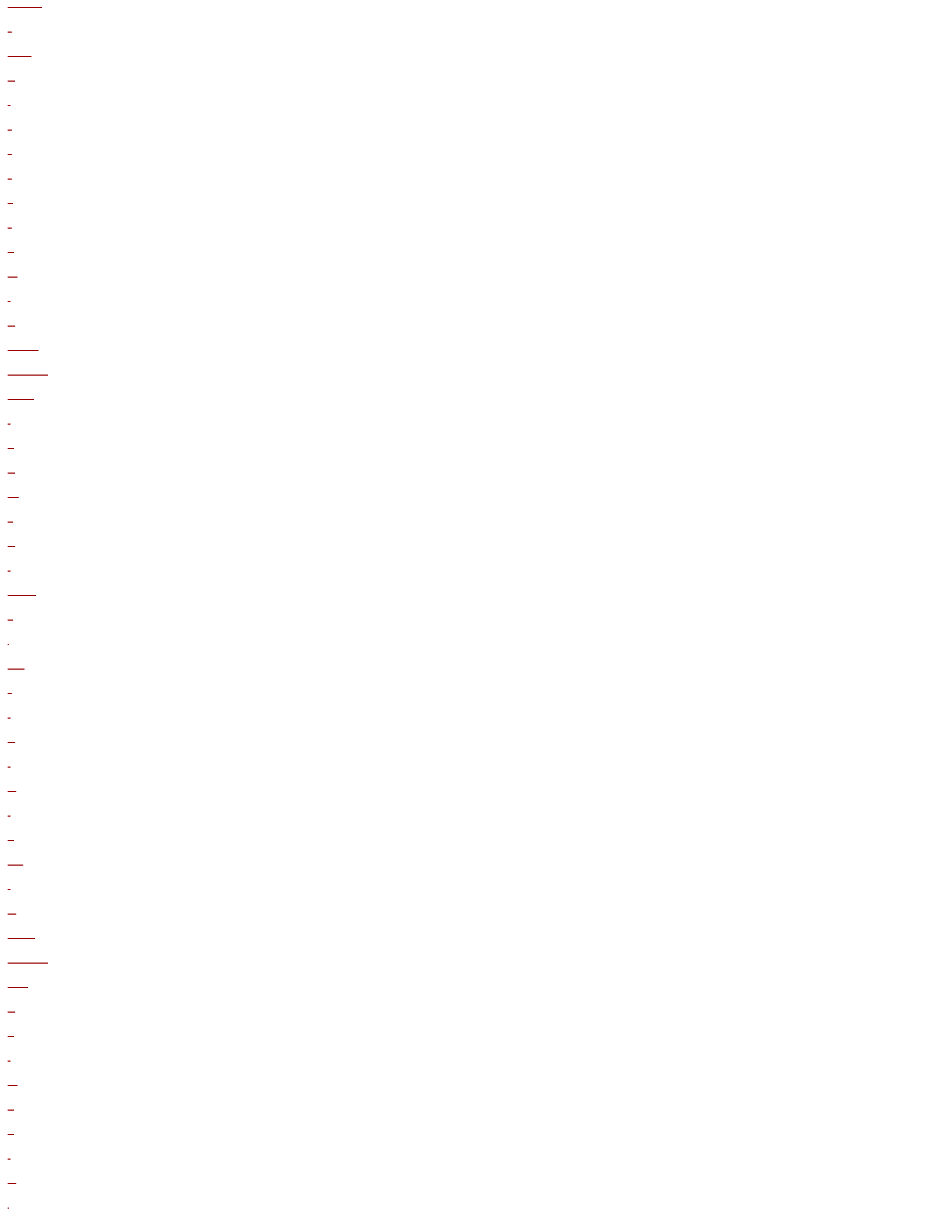










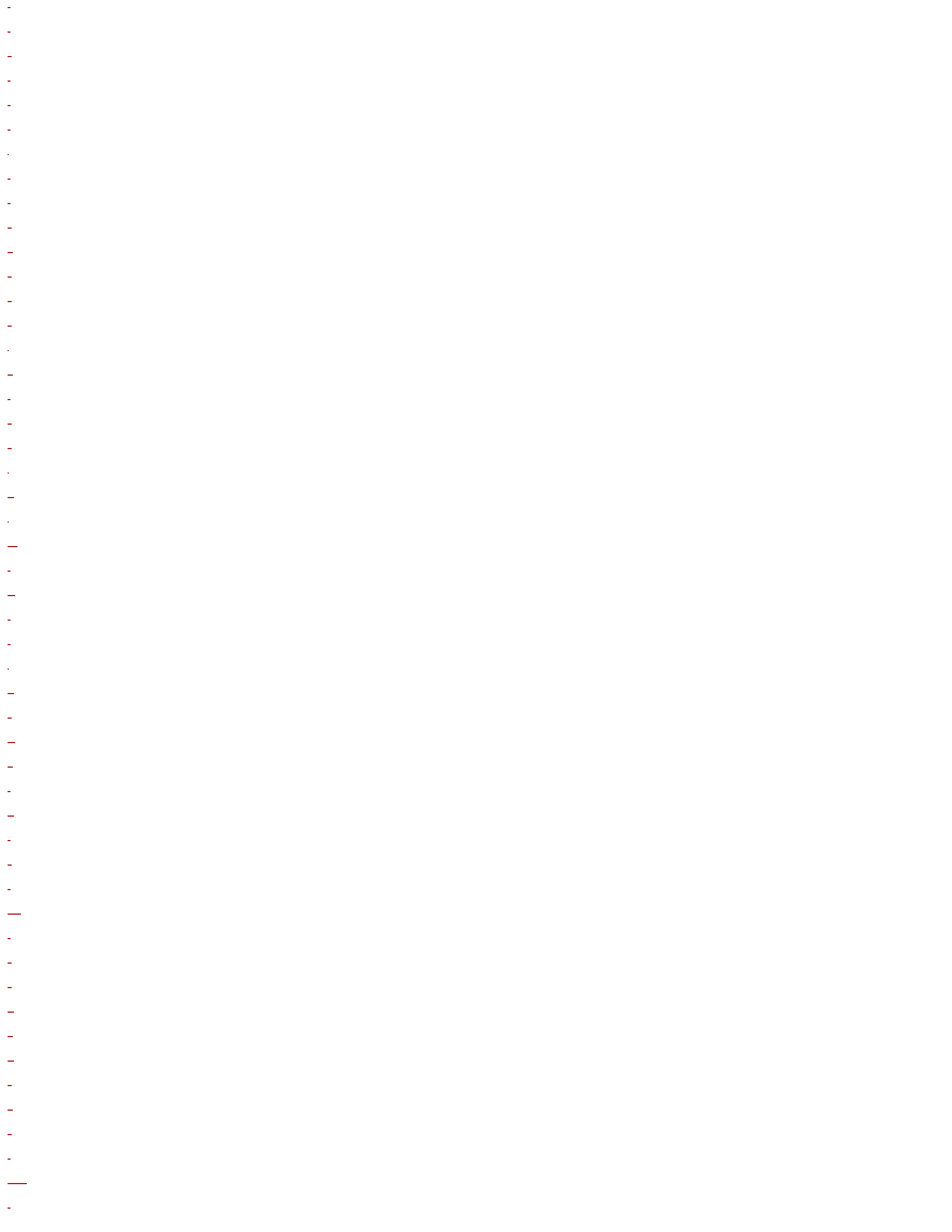


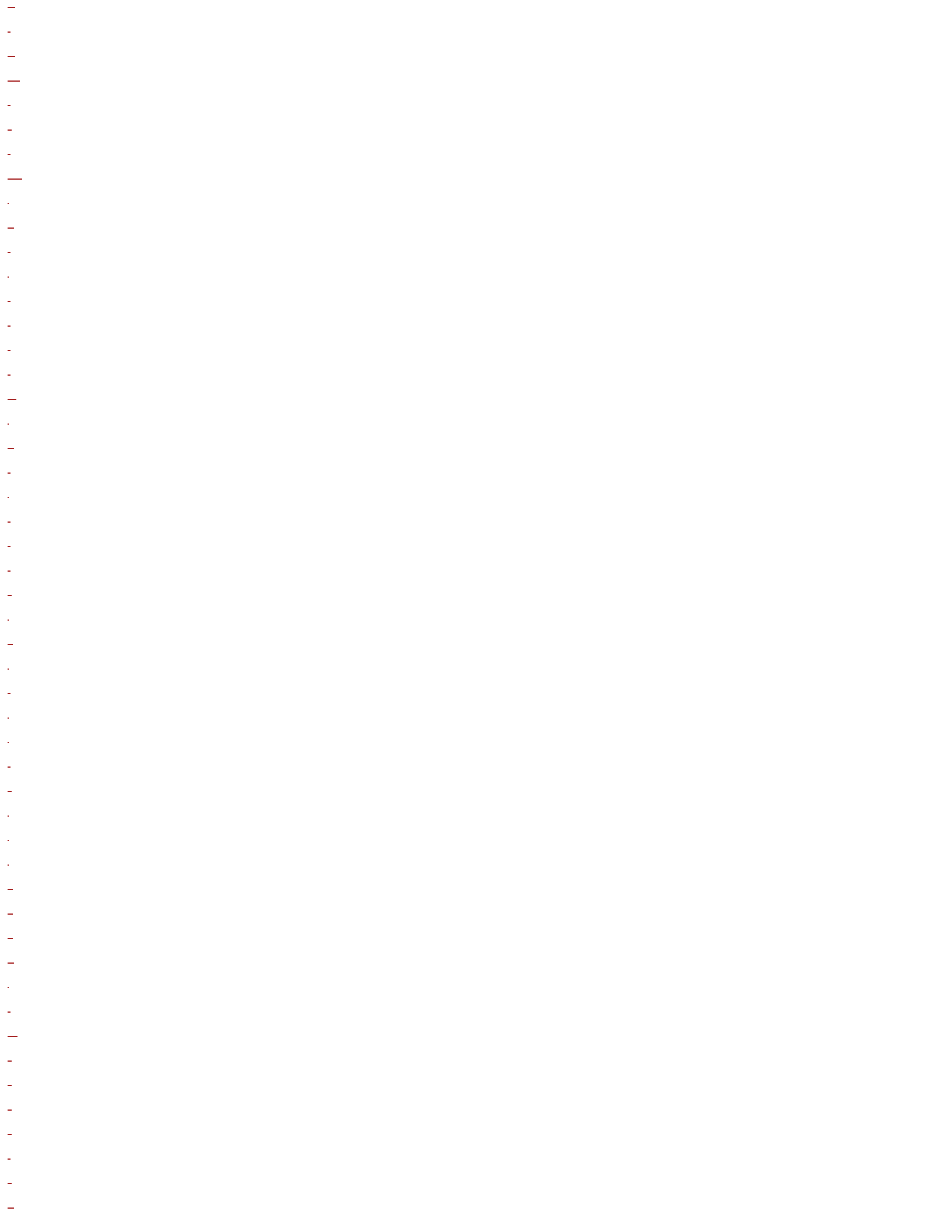














Deirdre Purcell

TĘCZOWE NIEBO

Prolog

Luty 1972, Dublin

W Trinity panuje wrzenie. Stare kamienie dziedzińca uniwersyteckiego są świadkami płomiennego gniewu zarówno studentów, jak i zwykłych mieszkańców Dublina, którzy ze-brali się, by publicznie potępić „Krwawą Niedzielę”.

A także akt mordy dokonany na trzynastu cywilach, którzy zostali zastrzeleni przez żołnierzy brytyjskich w Derry.

W mglistym, mroźnym powietrzu ślina pieni się na ustach kolejnych mówców zajmujących miejsca na trybunie: chłopców, którzy gwałtownie wydorosleli na skutek przeżytego szoku, i nastolatków o twarzach kobiet. Jako ostatnia przemawia najniższa z dziewcząt - która była tam owego dnia i widziała rozlewającą się purpurę, oraz kule.

Znajdującego się w samym środku tłumu Ruperta de Burgha - młodego mężczyznę o zadziwiająco jasnych oczach i twarzy, która w sztucznym oświetleniu wydaje się woskowa -

porywa płomienna retoryka młodej kobiety. Jego przyjaciel, stojący tuż obok wśród stłoczonej gawiedzi, wydaje się zahipnotyzowany wystąpieniem dziewczyny i nie potrafi nawet wiwatować. Rupert dostrzega, że jego towarzysz drży na całym ciele.

R S

Ktoś z przodu podpala i rzuca w powietrze zwiniętą w rulon gazetę. Sięga po nią łaskawie - czarnych gwiazd na tle płomieni i iskier - aż płonący papier rozpada się z trzaskiem.

- Tam zabijają naszych braci - mówi do Ruperta przyjaciel. - Chodź, idziemy. - Odwraca się i przepycha wśród napierającego z tyłu tłumu.

- Dokąd? - Rupert przeciska się wśród zgromadzonych, podążając za nim. - Ona jeszcze nie skończyła. Dokąd idziemy, na miłość boską? - Nie ma irlandzkiego akcentu, lecz angielską wymowę brytyjskiej arystokracji.

- Spalić drani i wykurzyć ich stąd...

- Kogo spalić? - Rupert czuje, że również cały się trzęsie. Jest przerażony, ale ze strachu łączy się radość.

Krasomówstwo młodej kobiety sięga wyżyn - wszyscy studenci podnoszą zaciśnięte w pięści dłonie, wymachują szalikami i wymierzają sobie nawzajem kuksańce. Przyjaciel Ruperta poddaje się ogólnemu nastrojowi i skanduje hasło, które z każdą chwilą brzmi coraz donośniej:

- Spalić drani...

Słowa zostają podchwyczone przez grupy z tyłu: „Spalić drani!”. Kolejni uczestnicy wiecu odwracają się i biegną pod sklepieniem przejścia, prowadzącym na ulicę. „Spalić drani!” - niesie się okrzyk w stronę czoła zgromadzenia. „Spalić drani! Spalić drani!”. Ponad głowami tłumu słychać szmer skandujących głosów, do których wciąż dołączają następne, a coraz to nowe rzędy rozgniewanych uczestników manifestacji odwracają się i biegną w stronę ulicy.

Przerażeni porządkowi, mający czuwać nad przebiegiem demonstracji, wskakują na mównicę. Ktoś chwycił za mikrofon:

- Wracajcie! - krzyczy. - Prosimy o zachowanie porządku... - Za późno. - Spalić drani!

Spalić drani!

Zbiorowisko demonstrantów przeradza się w rozjuszony motłoch.

Fergus Lynskey - wysoki, długonogi, o miękkich włosach i orlim profilu - przechodzi właśnie ulicą, gdy tłum wylewa się z bramy na College Green. Mężczyzna cofa się do barierki, gdy rozpedzony

tłum kieruje się w stronę Nassau Street, pociągając ze sobą wszystko, co napotyka po drodze.

- Co się dzieje? O co chodzi? - wykrzykuje Lynskey do coraz to innej osoby.

W odpowiedzi jakiś chłopak o rozpromienionej, radosnej twarzy wyrzuca obie ręce w powietrze i woła: „Spalić drani!”, a potem biegnie dalej.

R S

- Co się stało? - zwraca się Lynskey do zadyszanej dziewczyny o prostych włosach do pasa, która przystaje obok niego, aby zdjąć buty.

- Nie mogę w nich biec - wyjaśnia uczestniczka demonstracji, mocując się ze sprzączką paska wokół kostki.

- Nie o to pytam. - Lynskey chwyta ją za ramię i potrząsa. - Co się dzieje? Dlaczego wszyscy dokądś pędzą?

- Zamierzamy spalić drani!

Dziewczyna zrzuca ze stopy pantofel i zaczyna mocować się z drugim. Naprzeciwko ktoś ciska cegłą albo kamieniem w witrynę biura turystycznego Cooka. Brzęk rozbijanej szyby ginie wśród wrzawy.

- Kogo chcecie spalić? - Lynskey, którego akcent nieomylnie pochodzi z hrabstwa Kerry, musi krzyczeć, ażeby dziewczyna usłyszała go w zgiełku, pośród wrzasków i dudniącego tupotu butów.

Rozlega się kolejny donośny brzęk, gdy ktoś następną cegłą trafia w okno - tym razem sklepu kuśnierza Barnardo.

- Odpowiedz! - Lynskey ma ochotę potrząsnąć dziewczyną, potrząsnąć kimkolwiek. -

Dokąd wszyscy biegniecie? Kogo chcecie spalić?

- Brytyjczyków, to oczywiste. - Zasapana dziewczyna zrzuca drugi pantofel i natychmiast przyłącza się do pędzącej cizby.

Lynskey, który właśnie ubiega się o przyjęcie do policji, pewien jest pomyślnego wyniku szkolenia i tylko czeka na ogłoszenie o rekrutacji, waha się przez moment, a potem przeciska pomiędzy maruderami do tyłu. Wpada do budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy, wybiera numer 999 i przekazuje informację. A potem dzwoni jeszcze raz - tym razem na posterunek policji przy Store Street. Prosi o połączenie z sierżantem, przyjacielem rodziny.

- Do brytyjskiej ambasady? Spóźnili się, synu. - Policjant jest lakoniczny. - Gmach ambasady już płonie.

Rupert de Burgh, który zgubił gdzieś po drodze przyjaciela, dociera pod ambasadę, ale zamiast przeciskać się do przodu, zostaje w tyle i z satysfakcją obserwuje rozgrywającą się scenę.

Jakiś czas później - dziesięć minut, a może kwadrans - kiedy siły porządkowe przejmują kontrolę nad sytuacją, Rupert zdaje sobie sprawę z obecności obok siebie młodego, wysokiego mężczyzny. Młodzieniec ten, w którego wyglądzie najbardziej widoczny jest wydatny, *R S*

orli nos, wygląda na zaniepokojonego przebiegiem wydarzeń.

- Co oni zamierzają w ten sposób osiągnąć? - Potrząsa głową, i Rupert rad jest, że stoi w mroku poza zasięgiem światła ulicznej latarni, dzięki czemu nieznajomy nie może dostrzec wyrazu jego twarzy.

Dwóch wyrostków zaczyna obrzucać kamieniami pobliski samochód. Młody człowiek doskakuje do nich i chwyta jednego z chłopaków za kark.

- Zmykajcie stąd!

Nastolatek, który najwyraźniej wciąż odczuwa respekt wobec roślejszych od siebie, bierze nogi za pas.

- Nie mogę tego znieść. - Mężczyzna z orlim nosem wraca do Ruperta. - Żałuję, że nie jestem w Templemore.

- Pan wybaczy, ale nie rozumiem. - Poza domem rodziców Rupert jest zawsze bardzo uprzejmy.

- W Templemore - powtarza jego rozmówca. - To centrum szkolenia. Zamierzam zostać policjantem.

I jak to czasami bywa w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach, Rupert de Burgh dostrzega nagle własną przyszłość.

Mayville, Montana, lipiec 1992

Szeryf Brian O'Connor, krępy mężczyzna o przygładzonych brylantyną i zaczesanych do tyłu czarnych, kręconych włosach i niskim czole, odkłada słuchawkę i w milczeniu patrzy na aparat telefoniczny. Od czasu do czasu, nie częściej jednak niż raz do roku, jeżą mu się na karku włosy. A obecny moment właśnie się do nich zalicza.

Telefonował Joe Mason z Santa Barbara. Kalifornijczyk, hydraulik z zawodu, jest jedynie dalekim znajomym szeryfa, lecz to, co powiedział, ma sens. Wyważone i tak zwane

„pokojowe” metody rozwiązania irlandzkich problemów z Anglikami - nawet protesty - nale-

żą do przeszłości. A teraz Joe zawiadamia Briana, że nawet polityka IRA, ta ostatnia linia obrony, może złagodnieć. Owe tajne rozmowy polityków, na miłość boską, ze skrytym błogosławieństwem zawistnego, stręczycielskiego irlandzkiego rządu! Jeśli informacja przekazana przez Masona jest prawdziwa, a wszystko zdaje się świadczyć o jej wiarygodności, to powody, dla których Padraic Pearse i jego koledzy - patrioci i męczennicy - ponieśli śmierć w 1916

R S

roku, zostały wystawione na pośmiewisko. I zadrwiono sobie z cierpliwości ludzi, takich jak on sam - Amerykanów i Kanadyjczyków irlandzkiego pochodzenia, którzy od wielu lat czekają, aby sprawiedliwości stało się zadość.

O'Connor wstaje zza biurka i podchodzi do okna gabinetu. Jest słoneczny dzień, jak zwykle latem w Montanie, a na parkingu stoją zaparkowane zwyczajne samochody, i tylko życie szeryfa ma ulec zmianie. Brian pojmuje to w pełni - tak jak jest całkowicie świadomy własnego nazwiska. Joe Manson należy do starannie dobranej irlandzko-amerykańsko-kanadyjskiej grupy, której liczebność ogranicza się do dziesięciu członków, w której członkostwo jest możliwe jedynie dzięki wysokim rekomendacjom, a uzyskuje się je poprzez osobiste zaproszenie. I Brian O'Connor od dwóch minut do niej należy.

Wszystkich dziesięciu członków łączy jeden dość osobliwy fakt, że żaden z nich nie postawił stopy na irlandzkiej ziemi. Przynajmniej dotychczas.

Rozdział 1

Przejaw buntu nie wydawał się wtedy niczym wielkim. Gdyby owego dnia Sky nie uniosła się gniewem, nie musiałyby pisać notatki z zebrania „Bractwa Białej Koniczyny” i prawdopodobnie nigdy nie zostałyby wplątana w tę sprawę.

Tamten dzień na początku czerwca był upalny. Upalny jak na Butte, gdzie temperatura powietrza sięgająca dwudziestu siedmiu stopni uważana jest za falę tropikalnych upałów. I być może wilgotna plama na plecach bluzki była ostatnią kroplą, która sprawiła, że Sky zerwała się zza biurka i pomaszerowała za redaktorem naczelnym Jimem Larsenem, zwanym Jimbo, do jego gabinetu, zaledwie w kilka sekund po otrzymaniu odeń wiadomości o zebraniu.

Trzymając kartkę papieru, jak gdyby była radioaktywna, pchnęła drzwi, zanim szef zdążył usadowić się za biurkiem.

- Przykro mi, ale uprzedzałam cię w ubiegłym roku, że robię to po raz ostatni. Nie zamierzam się tym więcej zajmować.

Uśmiechnęła się prowokująco, aby Jimbo podjął jakąś decyzję. Na przykład o wyrzuceniu jej z pracy. Osiem lat w jednej gazecie to stanowczo zbyt długi okres; szczególnie w tak zapadłej miejscinie jak Butte, gdzie kursują zaledwie dwa autobusy.

R S

W oczekiwaniu na reakcję szefa, Sky - pomimo że sama przejawiała podobne zamiłowanie do porządku jak huragan - prychnęła z niesmakiem na widok nieładu panującego w gabinecie Larsena. W pokoju z trudem mieściła się jedna osoba, a co dopiero mówić o dwóch.

Nikt nigdy nie widział, żeby redaktor naczelny „Butte Couriera” wyrzucił jakikolwiek drukowany świsstek - nie tylko własny, ale i cudzy. I teraz spoglądał na Sky ze swej nory utworzonej pośród sterty pożółkłych papierów.

- Wiesz, że musimy zamieścić to sprawozdanie.

Nie ulegało wątpliwości, że bunt Sky go zaskoczył. Usiadł wygodniej za biurkiem, szykując się do dyskusji.

- Co proponujesz?

- Wyślij tam naszą stażystkę.

Rada była kiepska: Lindy, wymieniona praktykantka, piękna dziewczyna o niesprecyzowanych zamiarach na przyszłość, zawdzięczała swe zatrudnienie w gazecie raczej wieloletniej przyjaźni Jima Larsena z jej ojcem niż własnym umiejętnościom, czy nawet ambicjom.

Sky podejrzewała skrycie, że redaktor naczelny nie tylko nie płaci jej pensji, ale przyjmuje pieniądze od ojca dziewczyny, który był gotów płacić, byleby tylko córka nie znalazła się na ulicy. Dziewczyna miała jednakże smykałkę do ciuchów i po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat ukazywania się tygodnika „Courier” od czasu do czasu poświęcał jedną stronę zagadnieniom mody.

- Bądź dla niej sprawiedliwy. - Sky postanowiła trwać niewzruszenie. - Jestem pewna, że potrafi sprostać temu zadaniu.

- Daj spokój! - Jimbo zmienił taktykę. Nacisnął jeden z klawiszy komputera, utrwalając dane na wypadek, gdyby dyskusja się przeciągnęła. - To do ciebie niepodobne - czarował

Sky. - Zrób to! Tylko ten jeden raz, zgoda? W przyszłym roku sam się tym zajmę. A może do tego czasu nasza stażystka rzeczywiście się wyrobi? A skoro o wilku mowa, gdzie ona tak długo się podziewa?

- Nie jestem jej matką...

Sky umilkła, dostrzegając, że snop wpadającego oknem słonecznego światła połyskuje na łysinie szefa pomiędzy rzadkimi włosami o barwie piasku. Przypomniała sobie, od jak dawna razem pełnią tę służbę. Złagodniała nieco i ponownie skupiła uwagę na informacji prasowej, jak gdyby rewidowała swe stanowisko. Oboje zdawali sobie sprawę z doniosłego znaczenia zbliżającego się rodeo dla ich tygodnika: wydawca „Couriera” był również właścicielem terenów, na których urządzono imprezę, a kilku kowbojów z jego rancza miało szansę na *R S*

uzyskanie dobrych wyników. Co roku historia się powtarzała: nagrody pieniężne były skromne, ale wygrana w amerykańskim stanie o tak małym zaludnieniu jak Montana, oznaczała prestiż, ponieważ każdy musiał o tej imprezie usłyszeć.

Sky nienawidziła rodeo od dziecka, kiedy to po raz pierwszy, w Augustynie, miała okazję przyglądać się zmaganiom kowbojów. Zachęcała wtedy do walki raczej wszystkie czworonożne stworzenia niż ludzi, choćby nawet byli najzręczniejsi.

- Czy jeśli to zrobię... Pozwól, że spytam cię po raz ostatni... Czy zmienisz zdanie i od-delegujesz mnie do biura prasowego kampanii wyborczej?

Zbliżał się okres wieców przedwyborczych w Montanie, i Sky, żywiąc głębokie przekonanie, że obecny rok jest rokiem demokratów, a w listopadzie George Bush pożegna się z prezydenturą, od wielu miesięcy zabiegała o to, aby pozwolono jej dołączyć do grona szcze-

śliwców relacjonujących prezydencką kampanię wyborczą.

- Bądź realistką, Sky, dobrze wiesz, że zaciskamy pasa. Sprzedaż tygodnika spadała.

Na rynku prasy panowała ostra konkurencja z powodu licznych tytułów napływających z innych miast i stanów, a także wskutek zmniejszania się poczytności gazety. W pewnym sensie

„Courier” stał się ofiarą własnych wysokich standardów wydawniczych; mieszkańcy Montany nie różnili się od amerykańskich obywateli z innych stanów i preferowali łatwo przyswajalną formę przekazywania wiadomości.

- Skoro odpada kampania wyborcza, odpada również rodeo. - Sky uśmiechnęła się szerzej.

Zadanie sprawozdawcy z rodeo polegało na opisywaniu wszystkich i wszystkiego, co się porusza w promieniu ośmiu kilometrów: każdego hodowcy, kowboja i poganiacza: ich synów i córek, matek i ojców, a w miarę możliwości również i nauczycieli z liceum. Każde nazwisko musiało być przynajmniej raz wydrukowane w jednym numerze gazety i wielokrotnie, jeśli wymieniona osoba miała krewnych lub przyjaciół poza granicami stanu.

- To szantaż! - Sky dostrzegła, że Jimbo nie powiedział tego z przekonaniem. Nie znoślił zamieszczania obmierzłej listy nazwisk tak samo, jak ona nienawidziła jej sporządzać.

- Przesadzasz. - Trzymała w palcach zacisk od segregatora. - Wiesz równie dobrze jak ja, że byłabym świetną komentatorką wydarzeń dotyczących polityki krajowej. Nasz stan walczy o niemałą stawkę w najbliższych wyborach, a Perot ma większe poparcie, niż niektó-

rzy by sobie tego życzyli.

Naczelnny przez sekundę mierzył swą reporterkę wzrokiem pełnym złości, zaraz jednak *R S*

złagodniał, przez wzgląd na to, co jej zamierzał powiedzieć:

- Nie mam wielkich złudzeń. - Jego wiecznie ponura, pociągła twarz Fina, przybrała jeszcze bardziej posępny wyraz. - Zobaczę jednak, co się da zrobić w tej sprawie.

- Doskonale.

Nie chcąc mu dawać okazji do podjęcia ponownej próby przełamania jej oporu, obróci-

ła się na pięcie i wyszła z gabinetu, zamykając za sobą z cichym trzaskiem oszklone do połowy drzwi. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej szanse na wyjazd do Houston lub do Nowego Jorku w charakterze sprawozdawcy z kampanii wyborczej są równie znikome, jak perspektywa zwycięstwa Dana Quayle'a w wyborach, ale sprawy zabrnęły już za daleko i nie mogła się wycofać ze swych

żądań. Zgniotła przycisk i wycelowała nim w pusty kosz na śmieci na drugim końcu pokoju. Brzęk metalu nappełnił ją satysfakcją. Dobra robota, pogratulowała sobie w myślach, wciskając się za biurko i usiłując zlokalizować kursor, który migał na ekranie w po-

łowie zdania.

Na podstawie własnych notatek zaczęła pisać rutynowy artykuł o corocznych niedoborach wody w mieście. Jednak po minucie znowu podniosła się z miejsca i przeszła na drugą stronę pokoju, gdzie stał ekspres do kawy. Spór z szefem nieodparcie dowodził, że jej niezadowolenie ma głębsze podłoże. Mniej więcej od wiosny Sky czuła irytację myśląc o własnej nieciekawej egzystencji. Zbyt długo dusiła w sobie niezadowolenie, aż wreszcie wybuchło, domagając się podjęcia działań. Po prostu się nudzisz, wyjaśniła sobie. R. Sky MacPherson, jesteś śmiertelnie znudzona.

- Cześć! - Dobiegł ją z tyłu odgłos otwieranych drzwi. Wróciła stażystka.

- Jak poszło? - zwróciła się do niej Sky.

Musiała przyznać, że pomimo upału dziewczyna wygląda ślicznie w obcisłym podkoszulku i kusej spódnicy, dzięki której jej niesamowicie wprost długie, opalone nogi prezentowały się niezwykle korzystnie.

- Myślę, że dobrze. - Poszła przeprowadzić wywiad z nowo mianowanym szefem biblioteki miejskiej. - Spójrz, co przyniosłam. - Podniosła do góry kawałek złożonego w mały prostokąt szarego papieru, na którym widniał jaskrawopurpurowy napis: „Redaktor naczelny.

Pilne". - Jakiś facet wręczył mi ten świstek, gdy wchodziłam do budynku. Czy mam go wyrzucić? - Lindy trzymała notatkę nad koszem na śmieci.

- Nie. - Sky powróciła do swojego zajęcia. - Zanieś ją adresatowi. Chyba nie masz wątpliwości, kto nim jest, prawda?

R S

Będzie zachwycony, mała - pomyślała z satysfakcją, wyobrażając sobie reakcję redaktora naczelnego. Dobrze mu tak.

Lindy, niosąc papier, jak gdyby leżał na srebrnej tacy, podeszła do drzwi gabinetu Larsena i zapukała, a Sky z westchnieniem skierowała wzrok na klawiaturę. Dziesięć sekund później, gdy wertowała notatki, usłyszała, że dziewczyna wróciła do pokoju.

- I co tam było? - Podniosła oczy.

- Nie mam pojęcia. Odłożył kartkę na biurko. - Lindy tanecznym krokiem podeszła do ekspresu z kawą. - Straszliwy dziś upał, prawda?

- Och, tak. - Sky, ucinając dalszy ciąg utyskiwań, ze zdwojoną energią zaczęła stukać w klawiaturę. - Pewnie co najmniej dwadzieścia siedem stopni. - Wiedziała, że jej sarkazm nie zostanie dostrzeżony;

dziewczyna nigdy nie opuszczała granic rodzinnego stanu i nie mia-

ła pojęcia, czym jest prawdziwa spiekota.

Pragnąc się wyrwać z Montany, a nade wszystko uciec od matki, Sky spędziła trzy lata po maturze, w tym także trzy duszne i parne wakacyjne miesiące, w Chicago, zdobywając praktykę w gazecie „Sun Times”. W odróżnieniu od dużej wilgotności tamtejszego uciążliwego klimatu, fale upałów w Montanie były krótkotrwałe, balsamiczne i po długich, dokuczliwych zimach mogły uchodzić za pożądaną eksplozję ciepła.

Zabrzączał telefon, lecz zanim Sky zdążyła się odezwać, usłyszała w słuchawce znajomy dźwięk włączonego telewizora. Dopiero po chwili padło pytanie:

- Czy to ty, Sky? - Głos matki zaciążył jej, niczym ołów, w głębi żołądka.

- Słucham, mamó? - Chwyliła kosmyk włosów i pociągnęła go aż do bólu.

- Może zawiozłabyś mnie dzisiaj wieczorem do „Franklina”, jeśli nie masz zbyt wiele do roboty?

Jednym ze złych nawyków Johanny było kupowanie pretensjonalnych głupstewek. Sieć sklepów Bena Franklina, które oferowały szeroki asortyment takich towarów - od ozdób do włosów, koszyków z suszonymi kwiatami, obrzydliwych cukierków, po kiczowate papeterie i sprzęt sportowy - działała na Sky niczym czerwona płachta na byka.

- Nie umówiłaś się na wieczór z dziewczętami, mamó? - siłała się na sztuczną wesołość.

„Dziewczęta” - dwie rozwiedzione matrony, z których każda miała po pięćdziesiątce -

były relikdami z przeszłości Johanny i, podobnie jak ona, wytrwale obstawały przy paleniu kadzidełek, noszeniu zamasztych spódnic oraz długich włosów.

R S

- Do Buffy przyjeżdża dzisiaj jej syn z Wisconsin. - Głos Johanny, o czarującym niskim brzmieniu, zachował irlandzką melodię, która doprowadzała Sky do szału.

Mocniej szarpnęła się za włosy, naciągając skórę powyżej czoła. Miała wrażenie, że za chwilę się rozedrże.

- A co z Hermaną?

- Ma jakieś dolegliwości związane z okresem przekwitania. No to jak? Zawieziesz mnie?

- Szkoda, że nie masz prawa jazdy, mamó.

- Dobrze wiesz, że nie potrafię zapanować nad maszynami. Niektórzy ludzie nie są do tego stworzeni.

Sky zazgrzytała zębami.

- Co chciałabyś kupić u „Franklina”? - Sky, w jej obecnym nastroju, przerażała myśl o powolnym przesuwaniu się pomiędzy stoiskami w ślad za matką, która z chwilą gdy mijala drzwi domu towarowego, wpadała w pewien rodzaj transu. - Wiesz, że bardzo dobry sklep znajduje się niedaleko domu, gdzie możesz dojść piechotą. Poza tym tak się składa, że muszę dzisiaj zostać dłużej w pracy.

- Dlaczego od razu nie powiedziałaś? To zrozumiałe, że nasz wypadek jest niemożliwy, skoro masz robotę. Będę na ciebie czekała z pyszną sałatką.

- Do zobaczenia wieczorem. - Sky odłożyła słuchawkę i wyładowała swą irytację na klawiaturze.

Jej przyjaciółki uważały, że ma zachwycającą matkę. Jednak tym, co Sky najbardziej doprowadzało do szaleństwa, było głębokie przekonanie Johanny, że wszyscy są równie bez-troscy jak ona. Najczęściej przez nią używanym słowem był zaimek „my”. „My” wszyscy, jej zdaniem, razem opowiadaliśmy się za teorią nieświadomości Junga, za tajemniczymi ziołami i herbatkami, za korzeniem żeń-szenia, a także podejrzanymi pudrami i lekami zalecanymi przez jej przyjaciółkę Fredę z indiańskiego rezerwatu Czarnych Stóp. A „nasz” problem polegał na tym, że prawdziwe ego każdego z nas ukrywało się pod sztucznym wyobrażeniem „ja”

wykreowanym przez fałszywego boga rozumu - Myśl. Johanna zawsze wyłączała telewizor podczas wiadomości czy programu publicystycznego „Sześćdziesiąt minut”. Oglądała tylko filmy oraz emitowane w ciągu dnia mydlane opery.

Sky, mając świadomość własnej przewrotności, starała się wciągnąć matkę w rozmowę na temat wszelkich nieszczęść trapiących ten świat wskutek spożywania preparowanego zbo-R S

za czy nafaszerowanego chemią mięsa, lecz te ostentacyjne i dziecinne zabiegi wywoływały jedynie wyraz bólu na pozbawionej zmarszczek twarzy Johanny, która cierpliwie słuchała w milczeniu, przygotowując pożywne, smaczne i zdrowe produkty sztuki kulinarnej i zabierała jedzenie, nietknięte przez córkę, bez słowa skargi. Wiedziała przecież, jak i „my” wszyscy, że Sky przeżywa okres buntu i z czasem nabierze rozumu.

Sky przeczytała tekst, który przelała na ekran i uznała, że to same bzdury.

- A niech to wszyscy diabli! - przejechała dłońmi po blacie biurka, zrzucając na podłogę spinacze, wycinki i zaciski od segregatora.

Lindy, zdumiona gwałtownością tego okrzyku, obejrzała się, przerywając kontemplację widoku alei za oknem.

- Nie masz nic do roboty? - Sky sięgnęła po słuchawkę i posyłając dziewczynie jadowite spojrzenie, wystukała numer. - Ścisz ten cholerny telewizor! - syknęła, zanim matka zdąży-

ła wypowiedzieć słowo. I po chwili dodała: - Okazało się, że jednak nie muszę zostawać po

godzinach.

Burza dotarła do Butte w chwili kiedy Sky i jej matka podjechały pod krawężnik przed

„Franklinem”. Mały samochód zatrzęsł się, bombardowany kroplami deszczu wielkości małych kamieni.

- Nie możemy teraz wysiąść, mamó. - Sky wyłączyła bezużyteczne wycieraczki. - Do wejścia mamy ze czterdzieści metrów, a przebycie tego dystansu teraz to to samo, jakbyśmy płynęły w górę wodospadu. I ta ulewa wcale nie wygląda na przelotną. Będziemy musiały wrócić do domu.

- Zaczekajmy chwilę. - Johanna pochyliła głowę niczym dziecko zdecydowane postawić na swoim.

- Nie rób tego, mamó. Doprowadzasz mnie takim zachowaniem do szaleństwa.

Sky, która potrafiła wymyślić milion lepszych miejsc na spędzenie wieczoru niż to, gdzie teraz były, musiała się powstrzymać, aby nie zacząć walić głową w szybę. Matka utkwi-

ła w niej swe chabrowe oczy - ostre niczym skrobaczka do ziemniaków. Spojrzenie to stanowiło dotychczas jej najskuteczniejszą broń, pewnie dlatego że było całkowicie bezbronne.

- I tego także nie rób. - Tym razem Sky walnęła skronią o framugę okna. - Co cię napadło? Jestem trzydziestoczteroletnią, rozwiedzioną kobietą, a ty sprawiasz, że czuję się jak dziesięcioletni szkrab przyłapany na wyjadaniu cukierków ze słoja.

- Słucham cię uważnie. - Johanna nawet nie mrugnęła okiem. - Tylko ty wiesz, co czu

jesz, moja droga, i dlaczego reagujesz w ten sposób. Jeśli chcesz, możemy wrócić do domu.

Sky jęknęła i opuściła głowę, opierając ją o kierownicę. Wibracje burzy wciskały jej się do mózgu i żłobiły w nim tunel.

- Zamierzam znowu wyjechać, mamó. To miejsce... i życie pod rodzinnym dachem...

zabija mnie. - Podniosła wzrok. - Nie mam na myśli ciebie, więc nie czuj się dotknięta. - A po chwili, widząc, że Johanna nadal nie spuszcza z niej oczu, przyznała: - W porządku, częściowo również i z twojego powodu. Przyczyna leży w różnicy naszych charakterów. Nie traktuj tego jako powodu do urazy ani nie sądz, że cię nie kocham. - Zdawała sobie sprawę, że brnie coraz dalej. - Wiesz, co mam na myśli: trzydziestoczteroletnie kobiety nie powinny mieszkać z matkami, żadne inne gatunki na naszej planecie tak nie robią. Do tego sprowadza się cała sprawa, mamó: do ciebie, Butte i tej cholerniej, bliskiej bankructwa, gazety. Muszę stąd wyjechać i gdzie indziej spróbować stanąć na własnych nogach.

Matka wciąż się nie odzywała. W jaskrawym świetle wnętrza samochodu jej ciemne włosy odbijały się w szybie, po której spływały czerwone i niebieskie strugi, przechwytyjące kolory z zamazanych plakatów ze specjalnymi ofertami zakupu na frontowych drzwiach sklepu. Johanna znajdowała się zbyt blisko, była zbyt niewinna i w końcu jej milczenie okazało się nie do zniesienia. Zanim Sky zdała sobie sprawę z tego, co robi, otworzyła drzwi i znalazła się na zewnątrz, oślepiona strugami gwałtownego, ciepłego deszczu, który sprawił, że w jednej chwili mokre włosy oblepiły jej głowę.

- W porządku, zapomnij o tym, co mówiłam. - Musiała krzyczeć, żeby Johanna mogła ją usłyszeć w tej nawałnicy. - Wejźmy do środka! Kto by się przejmował swetrem za sto dolarów! - Mocowała się ze składaną parasolką, kupioną podczas ostatniej wyprawy do „Franklina”, ale zanim zdołała ją rozłożyć, uznała, że już nie warto i wrzuciła ją na tylne siedzenie nissana.

Johanna wyszła z samochodu dopiero wtedy, kiedy zapięła na ostatni guzik swój plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy w grochy i zawiązała starannie pod brodą chustkę od kompletu.

- Jestem gotowa. - Zamknęła drzwi, ostrożnie obchodząc się z klamką. W jej uśmiechu nie było wyrzutu ani tryumfu.

- Znakomicie - Sky wzięła matkę pod rękę i poprowadziła w stronę wejścia.

Przepastne sklepowe wnętrza należały niemal wyłącznie do nich. Pracownicy poruszali się leniwie pomiędzy stoiskami, co jakiś czas poprawiając wywieszki z cenami lub zmieniając *R S*

ułożenie towarów. Korzystając z niespodziewanych chwil wytchnienia, nawoływali się nawzajem, a ich głosy w cichym szumie urządzeń klimatyzacyjnych miały specyficzne, niemal tajemnicze

brzmienie.

Sky zostawiła matkę w sklepie, a sama z powrotem wyszła na deszcz, zmierzając do pobliskiej kawiarni. Wyłożyła papierowymi serwetkami siedzenie plastikowego krzesła, aże-by wchłonęły wodę z jej ubrania. W przeciwieństwie do klimatyzowanego wnętrza „Franklina” powietrze tutaj było wręcz nieruchome i bardzo wilgotne, więc po chwili mokre ubranie zaczęło parować. Zdecydowana cierpieć, kilkoma łykami wypila kawę bezkofeinową, której aromat przywodził na myśl ugotowany olej silnikowy, i zagryzła ją pełnym chemii pączkiem z galaretką. Była jedynym gościem w lokalu, i nie zważając na spojrzenia kelnerek, które usi-

łowały nakłonić ją wzrokiem do pośpiechu, postanowiła wyciszyć się psychicznie i zastanowić nad sobą.

Jak doszło do tego, że pozwoliła tak się usidlić? Oczywiście dobrze znała odpowiedź

na to pytanie. Pomyślała o swoim byłym mężu: kochającym, czułym, dowcipnym - i wykole-jonym.

W czasie kiedy się poznali, stronił od mocnych trunków, nie pił również przez trzy pierwsze miesiące małżeństwa. Jednak Sky prędko się zorientowała, że jest poważnie uzależ-

niony. I to nie tylko od alkoholu, ale także od narkotyków. Wtedy jeszcze bardzo ją kochał i wiele obiecywał, na przykład wspólne życie w tym samym miejscu do końca ich dni - co dla dziewczyny, która od wczesnego dzieciństwa wiodła wraz z matką tułaczy żywot w zachodnich stanach, miało niezwykle doniosłe znaczenie. Sky zdawała sobie sprawę z tego, że pod wieloma względami były mąż wyświadczył jej wielką przysługę. I gdyby nie upadł tak nisko i tak prędko, zapewne nadal próbowałaby mu pomóc i wciąż czepiałaby się nadziei, że jego stan się poprawi. W przeciwieństwie do tego, jak radziła sobie z pracą zawodową, w sprawach osobistych i emocjonalnych uchylała się od konfrontacji; pomimo najbardziej stanow-czych postanowień na widok czyjegoś cierpienia lub kłopotów serce Sky topniało niczym wosk.

Otrzymała srogą nauczkę za to, że na podstawie początkowego zachowania męża błędnie oceniła jego charakter. Od czasów Randy'ego żaden z chłopaków, na których brak nigdy nie narzekała i z którymi spotykała się nadal, nie zdołał zdobyć jej zaufania. Wyszła z opresji obronną ręką i postanowiła, że już nigdy nie wplącze się w podobne tarapaty. Sporadyczne stosunki, jakie od roku utrzymywała ze swym obecnym partnerem, były dla niej czasami źró-

R S

dłem przyjemności, lecz częściej rozdrażnienia. Greg Landos, przystojny młody człowiek -

znakomity wędkarz i myśliwy - chętnie korzystał z samolotu ojca, jeździł pickupem i był typowym obywatelem Montany, według którego tylko zniewieściali mieszkańcy Wschodniego Wybrzeża zdejmują kapelusze, siadając do stołu. Każda ich rozmowa urywała się z chwilą, kiedy Sky schodziła na tematy znajdujące się poza sferą jego zainteresowań. Związek z Gregiem osiągnął fazę schyłkową, i Sky wiedząc, że nie postępuje uczciwie, rozglądała się za delikatnym sposobem skończenia tej znajomości. Miała świadomość, że nie powinna już dłu-

żej zwlekać, pozostawał jednak zasadniczy problem: jak to zrobić, żeby zbyt głęboko nie zranić Grega.

Zbadała wzrokiem niezachęcające dno styropianowego kubka po kawie - równie płaskie i mało ciekawe jak jej życie: tkwiła w Butte, wykonując swoje zajęcie bez możliwości awansu i spotykając się z chłopakiem, który jej wcale nie obchodził. Jeśli zaś chodzi o układ z matką, wiedziała, że jest klasyczny: nie potrafiła żyć z Johanną ani bez niej. Była jedynaczką i łączyły je zbyt silne więzy. Gdyby przynajmniej matka miała podły charakter, była brutalna, wulgarna czy skąpa, gdyby piła lub angażowała się w przelotne związki z mężczyznami, jak matki niektórych koleżanek Sky, prawdopodobnie sytuacja okazałaby się łatwiejsza do rozwiązania. Sky zdawała sobie jednak sprawę z tego, że w głębi duszy szczególna wrażliwość i indywidualizm Johannы napawały ją dumą. I dlatego znajdowała się na przegranej pozycji.

Tego samego wieczora w Mayville - miejscowości położonej pięćset sześćdziesiąt kilometrów od Butte - szeryf Brian O'Connor rozsiadł się wygodnie w fotelu przed telewizorem w swym nieposprzątanym salonie. Drużyna The Cubs masakrowała przeciwników z zespołu The Dodgers. Chłopcy z The Cubs dotarli do dziewiątej fazy rozgrywki, bazy były zajęte i zawodnik rzucający piłkę miał ogromnego pietra.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu.

- Do diabła! - Szeryf odstawił piwo i nie odrywając oczu od ekranu, podniósł słuchawkę.

- Słucham?

Zawodnik drużyny The Cubs trafił w piłkę i kibice gospodarzy oszaleli, szeryf jednak, pod wpływem informacji, jaką właśnie otrzymał, zaczął gorączkowo rozglądać się za pilotem, aby przerwać ów aplauz. Usiadł prosto, słuchając uważnie tego, co rozmówca ma mu do powiedzenia.

- Rozumiem. - Zmarszczył na moment czoło. - Wolno spytać, kto podał panu moje na-R S

zwisko? - Ponownie słuchał przez chwilę, nim stwierdził: - Nie robiłem dotychczas niczego na tak wielką skalę...

Tamten najwidoczniej mu przerwał, gdyż z rumianej twarzy szeryfa odplynęła cała krew.

- Ile? Czy mógłby pan powtórzyć?... Proszę dać mi dzień lub dwa do namysłu - powiedział chrapliwym głosem. - Zobaczą, co mogę zrobić w tej sprawie.

Dopiero martwił się, skąd zdobyć pięć tysięcy dolarów, potrzebnych do realizacji projektu przygotowanego przez grupę przyjaciół-patriotów, do której grona od niedawna należał.

Koszty planowanego przedsięwzięcia były skromne i w głównej mierze miał je pokryć jeden z Kanadyjczyków, sześćdziesięcioletni milioner, niejaki Jerry Flynn. Jednakże dla dobra demokracji i z założenia, że każdy z członków będzie miał więcej do stracenia, jeżeli wniesie wkład finansowy, od każdego oczekiwano, że zapłaci pewną kwotę. Do tej pory, ilekroć szeryf O'Connor potrzebował dodatkowych pieniędzy, musiał jedynie wybrać kogoś na własnym terenie, kogo mógłby szantażować.

Na jego obszarze jurysdykcyjnym nie mogło się zdarzyć nic, o czym by nie wiedział, stale miał więc pod ręką listę potencjalnych winnych oraz broni umożliwiającej dopadnięcie ofiary. Sięgał po te środki zwykle dopiero wtedy, kiedy sub-wencje do skromnej pensji policjanta rzeczywiście stawały się niezbędne - kiedy, na przykład, musiał kupić nowy samochód. Owa taktyka zawsze okazywała się owocna, ponieważ nigdy jej nie nadużywał i nie był chciwy. Kwota pięciu tysięcy znacznie przekraczała jednak zwykły poziom jego dodatkowych dochodów.

I oto, ni stąd, ni zowąd, otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w transakcji, która nie tylko umożliwiała mu zapłacenie należności, ale dawała również szansę na niezłą forszę. Choć jego rozmówca - mieszkaniec stolicy stanu, Heleny - nie był związany z żadną grupą, przedsięwzięcie, jakie zaproponował, miało charakter ściśle handlowy. Zapytany wyjaśnił, że osobą polecającą szeryfa był pewien znajomy z Heleny; ktoś, kogo O'Connor poznał podczas po-droży. Wszystko doskonale się składało i choć szeryf był trochę wystraszony zakresem przysługi, o wyświadczenie której został poproszony, to sama operacja była czysta, szybka i po jego myśli.

W przypadku przyjęcia zlecenia miał kontaktować się jedynie ze swym zleceniodawcą w Helenie, który obiecał telefonować doń od czasu do czasu. I z wyjątkiem ostatecznego terminu, miał wolną rękę w wyborze sposobu realizacji tego jednorazowego i bardzo lukratywnego zadania. Polegało ono na znalezieniu możliwości wyekspediowania do Irlandii pew-R S

nego ładunku, o rozmiarach i wadze ludzkiego ciała - w prawdziwej trumnie i z autentycznymi dokumentami. Po wykonaniu zlecenia szeryf miał natychmiast otrzymać zapłatę.

Brian O'Connor nie przewidywał większych trudności w dostarczeniu trumny do miejsca docelowego dzięki swemu członkostwu w sentymentalnej Brygadzie Świętego Patryka z Butte - reprezentowanej przez ludzi, którzy postrzegali siebie jako tych, którzy podtrzymują ogień, a których w rzeczywistości porywał zapał jedynie w Dniu Świętego Patryka. Obecny przewodniczącym stowarzyszenia był właściciel domu pogrzebowego, niejaki Bill Collins.

Szeryf sięgnął po telefon; miał dwa tygodnie na wykonanie zadania.

Kiedy czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę, uświadomił sobie, że bardziej kłopotliwe będzie zdobycie odpowiedniego nieboszczyka: musiał znaleźć zwłoki osoby niemającej krewnych. Pośpieszcie się, ponaglał w myślach drugą stronę, zdziwiony, iż w domu pogrzebowym tak długo nikt nie odbiera telefonu. Szkoda, że nie mogli wysłać jednej z trumien wielokrotnego użytku - dla nędzarzy - z dnem w formie kłapy na zawiasach, przez którą ciało spuszczało bezpośrednio do grobu. W razie wpadki zawsze mogliby udawać, że nieboszczyk został

już pochowany.

Właściciel domu pogrzebowego odezwał się w końcu.

- Witaj, Bill! - Szeryf zmusił się, żeby nadać swojemu głosowi ciepłe brzmienie. - Na kiedy zaplanowane jest następne zebranie naszej starej Brygady? - Słuchał przez chwilę, nim powiedział: - Wiem, wiem, ale jestem zajęty, a Butte leży daleko stąd. Może od czasu do czasu powinniśmy się spotkać tutaj?

Nieco później tego samego wieczora, w Ottawie, ekipa detektywów mająca zezwolenie na dokonanie rewizji weszła do luksusowego domu byłego członka rządu. Eks-minister, obecnie bardzo zamożny biznesmen po sześćdziesiątce, aktualnie bawił na wakacjach w Europie ze swą żoną.

Za pomocą skomplikowanej aparatury detektywi w kilka sekund wyłączyli system alarmowy i dzięki cienkiemu, przypominającemu z wyglądu kartę kredytową kawałkowi elastycznego plastiku, który włożyli we framugę frontowych drzwi, uzyskali łatwy dostęp do wnętrza domu.

W środku czterej mężczyźni dokładnie wiedzieli, dokąd zmierzają. Szybko przeszli przez salon położony poniżej głównego poziomu. Poruszali się bezszelestnie po grubym, wełnianym dywanie.

Pracowicie przeszukali cały pokój, który pełnił rolę gabinetu. Otworzyli każdą szufladę *R S* i przerzucili uporządkowaną zawartość biurka. Zmitrężyli nieco czasu na otwarcie dużej szafy, ale jeden z wytrychów, który z wyglądu przypominał igłę, okazał się skuteczny i w końcu szafa objawiła przed nimi swe tajemnice.

Jedna z nich miała mieć dalekosiężne skutki zarówno dla Sky MacPherson, jak i dla szeryfa z Mayville.

Rozdział 2

Niespełna tydzień później, po drugiej stronie oceanu - w hrabstwie Kerry, w południowo-zachodnim zakątku Irlandii - dwoje spacerowiczów przykucnęło przy trzepoczącym skrzydłami i szamoczącym się małym ptaku. Natknęli się na niego podczas przechadzki po bezludnym cyplu nieopodal plaży. Para turystów, która przyjechała tu na wypoczynek z Dublina, nie miała pojęcia, co to za gatunek. Wiatr zmierzwił ciemnobrązowe, upstrzone żółtymi cętkami upierzenie długonogiego ptaka, mierzącego około trzydziestu centymetrów od czubka zakrzywionego dzioba po ogon.

- Czy to jakaś odmiana mewy? - zastanowiła się kobieta.

- Nie sądzę. - Mężczyzna dotknął ptaka palcem wskazującym. Stworzenie zareagowa-

ło, podejmując heroiczny wysiłek odfrunięcia, jednak zdołało się oddalić tylko kilka kroków od człowieka i z powrotem klapnęło w bagnistą trawę. - Mewy są większe i silniejsze z wyglądu. I nie wydaje ci się, że mają błony pławne pomiędzy szponami?

- Nie wiem. Zostawmy go. - Kobieta wyprostowała się i pociągnęła towarzysza za rękę.

- Ależ nie możemy tego zrobić! - Mężczyzna pogładził ptaka, który gwałtownie uderzył skrzydłami, tym razem jednak nie ruszył się z miejsca. - Uważam, że powinniśmy zanieść go do weterynarza. Biedne stworzenie, wygląda na to, że jest poważnie chore.

- A jeśli zdechnie w samochodzie? - Kobieta cofnęła się, jak gdyby sama wzmianka o śmierci miała ją skalać.

- Zawiniemy go, żeby miał ciepło i włożymy do bagażnika. - Mężczyzna delikatnie wziął w obie dłonie ptaka, który nie stawiał wielkiego oporu. - Wyjmij z mojej kieszeni kanapki. Owiniemy go w folię. Widziałem w telewizji, że sanitariusze robią tak z ludźmi, którzy ulegli wypadkowi. Będzie mu przynajmniej ciepło, a zostawimy szparę, żeby mógł oddychać.

Unikając długiego dzioba, kobieta zrobiła ostrożnie to, co jej polecił. Ptak leżał nieruchomo, kiedy go zawijali. Był skrajnie wyczerpany i najwyraźniej dał za wygraną.

- Czy zdechl? - Kobieta ponownie się cofnęła.

- Nie, czuję bicie małego serca. Pośpieszmy się, musimy jak najszybciej dotrzeć do Tralee.

Szybkim krokiem wrócili do samochodu. Mężczyzna, starając się zaoszczędzić wstrząsów małemu pacjentowi, obchodził się z nim jak z jajkiem.

W lecznicy zwierząt okazało się jednak, że przybyli za późno; weterynarz po rozwinięciu małego zawiniątka, stwierdził, że ptak jest martwy.

- Co to za gatunek, doktorze? - Mężczyzna, ociągając się z wyjściem, dotknął cętkowatego upierzenia. Kobieta czekała na zewnątrz, w samochodzie.

- Nie wiem. - Weterynarz, bardziej przyzwyczajony do zajmowania się parchami i zgnilizną kopyt, spojrzał niezdecydowanie na żalostną kupkę pierza na stole. - Być może to jakaś odmiana kulika, ale nie jestem pewien. W naszym mieście mieszka pewien Holender, który doskonale zna się na ptakach. Zapytam go, jeśli pan sobie życzy - w końcu zadał pan sobie niemało trudu.

- Dobrze zrobiłeś. Nie musisz tam zostawać, ale dziękuję za telefon. Zaraz się zajmę karetką i całą resztą. Wracaj teraz do domu, do żony i dzieci. Bądź ze mną w kontakcie, zgoda?

Szeryf z Mayville, który krążył po domu, czekając aż się podgrzeją gotowe dania, rzucił słuchawkę na widełki. Przez chwilę się szamotał, zapinając pas z kaburą. Upłynął już tydzień z dwóch, jakie otrzymał od zleceniodawcy, a upragnione zwłoki wciąż były nieosiągalne. Ten nieboszczyk wydawał się jednak obiecujący.

Wypadek zgłoszono z kabiny ciężarówki, a telefonował niezbyt roztropny kierowca, który przewoził drewno - niejaki Martin O'Shaughnessy. Szeryf miał na niego w swych archiwach niewniesione do sądu pozwy za różne wykroczenia. Rozumował, że albo ciężarówka, albo sam O'Shaughnessy mogą pewnego dnia okazać się dla niego przydatni: kierowca jako *R S*

źródło kilku dodatkowych dolarów, a samochód w razie konieczności przetransportowania jakiegoś ładunku.

Zmierzając na północ szosą numer 506, O'Shaughnessy natknął się na zwłoki włóczęgi częściowo leżące na jezdni, a częściowo poza nią. A także na kobietę, od której bił intensywny zapach alkoholu; siedziała martwa albo na wpół martwa za kierownicą stojącego nieopodal volvo.

W trakcie rozmowy z kierowcą szeryf natychmiast zorientował się, kim jest owa kobieta. Mogła być nią tylko Midge Treacy, żona Daniela Treacy'ego, jednego z najbardziej szanowanych i zamożnych mieszkańców Butte. O'Connor miał szczególny powód, żeby ją zapamiętać, ponieważ zaledwie trzy tygodnie wcześniej, kierując innym pojazdem tej samej marki, o mało nie skasowała całkiem nowiutkiego buicka szeryfa z nim samym w środku, na tym samym odcinku autostrady. Tamtej nocy poziom alkoholu w jej krwi przekraczał dwa promile i za kilka dni, o ile jeszcze będzie żyła, miała odpowiadać za to przed sądem.

Gdy biegł do samochodu, w jednej chwili przemakając do suchej nitki, niemal czuł

pracowicie obracające się koła i zębatki w mózgu. A kiedy ruszył gwałtownie sprzed domu, dostrzegł znacznie bardziej obiecujące widoki niż spadający mu z nieba dar w postaci pogrzebu włóczęgi - ceremonii, na której z pewnością nie będzie żałobników.

Dotychczas nie brał pod uwagę męża Midge jako osoby, którą mógłby zaszantażować.

Oczywiście po incydencie z buickiem zaświtała mu myśl, czy by nie oskubać Treacy'ego na kilka setek, podając kwotę znacznie przewyższającą cenę wymienionych części buicka. Uznał

jednak, że skoro było to pierwsze drogowe wykroczenie żony znanego biznesmena, a podczas wypadku nikt nie ucierpiał, kobieta wywinie się od kary i cała sprawa zakończy się na upomnieniu. Szansa na szantażowanie Treacy'ego była bardzo nikła; z tego, co wiedział Brian, człowiek ten prowadził czyste interesy.

Utkwienie w tak małym miasteczku jak Mayville miało swoje dobre strony i szeryf nie zabiegał o wyższe urzędy w Helenie, Missouli lub Butte. Tutaj czuł się królem. Tutaj każdy był mu coś winien, nawet sędzia czy też specjalista od medycyny sądowej. A wszyscy ci, któ-

rzy na razie nie mieli wobec niego żadnych zobowiązań, wiedzieli, że przysługa wyświadczona szeryfowi jest w pewnym sensie dobrą inwestycją na przyszłość.

Według O'Shaughnessy'ego wypadek miał miejsce niespełna trzy kilometry poza granicami miasta. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, O'Connor nie włączył syreny, ani nie uruchomił migających świateł na dachu i, pomimo wielkiej pokusy, by jechać szybko, starał się

poruszać w granicach dozwolonej prędkości. Na szczęście z powodu burzy w mieście panował mniejszy ruch niż zazwyczaj. Udający się gdzieś szeryf zawsze wzbudzał domysły wśród mieszkańców Mayville - O'Connor postanowił, że w razie kłopotów - na przykład ogromnego drogowego korka (choć nawet w godzinach ożywionego ruchu szosa 506 nie zaliczała się do zbyt uczęszczanych) - będzie musiał zapomnieć o Treacym jako o ewentualnej możliwości zarobienia kilku kawałków i powróci do Planu B, który przewidywał wykorzystanie śmierci włóczęgi jako pretekstu do użycia trumny.

Jednak szczęście go nie opuszczało. Bardzo prędko dotarł na miejsce wypadku i korek ograniczał się do samochodu osobowego oraz półciężarówki, a na obu pojazdach widniały tablice rejestracyjne innych stanów. Volvo, z wciąż bez potrzeby ślizgającymi się po szybie wycieraczkami, stało z maską wbitą w rozwaloną metalową barierę, która spełniła swoją rolę, gdyż powstrzymała auto od runięcia w przepaść.

Kawałek dalej na drodze leżał martwy włóczęga. Jego postrzępione łachmany były zupełnie przemoczone i zlewały się ze strumykami na powierzchni szosy.

- Temu biedakowi nie można już pomóc, ale kobieta jeszcze żyje.

Długowłosy kierowca półciężarówki, który miał nie więcej niż siedemnaście lat, był

najwyraźniej bardzo przejęty tragicznym wydarzeniem. Odgarnął z oczu ociekające wodą kosmyki włosów i stanął za plecami pochylonego nad zwłokami szeryfa.

- Nie chcieliśmy ruszać rannej, panie oficerze. - Kobieta w samochodzie osobowym również wyglądała na głęboko wstrząśniętą. - Jest w kiepskim stanie. Musi zostać czym prędzej odwieziona do szpitala.

- Bardzo pani dziękuję, wezwałem już karetkę. - O'Connor wyprostował się, podszedł do volvo i wsunął głowę do środka przez otwarte okno.

Midge Treacy oddychała powoli i z trudem. Głowę miała zwieszoną na bok, z nosa i rany na czole wzdłuż linii włosów sączyła się krew. Poza tym była czysta jak dziecko. Odór alkoholu jednakże powalał z nóg.

- Przedstawienie zakończone, drodzy państwo. Proszę niezwłocznie stąd odjechać - polecił szeryf, wyciągając głowę z volvo. - To miejsce jest teraz niebezpieczne, szaleje burza i chyba nie chcecie spowodować kolejnego wypadku?

- Nie zanotuje pan nawet naszych nazwisk ani adresów, panie oficerze? Nie zostaniemy powołani na świadków?

Kobieta, która chroniła się przed deszczem pod przeciwsłoneczną parasolką, jakiej *R S*

używa się podczas gry w golfa, przeniosła wzrok z denata na szeryfa i z powrotem.

- Jak widzę, żadne z was nie pochodzi z tego stanu. Czy naprawdę mielibyście ochotę przyjeżdżać taki szmat drogi, żeby zeznawać i narażać się na wydatki oraz inne kłopoty? Nie możemy już nic zrobić dla tego biednego, starego włóczęgi. Znałem go. Nie miał rodziny ani domu. Lepiej dla niego, że odszedł.

- No cóż, skoro tak pan uważa... - powiedziała bez przekonania kobieta.

- Oczywiście. - Brian był uosobieniem dobroci. - Biedny staruszek. - Potrząsnął

ze współczuciem głową. - Nie miał przed sobą zbyt wiele życia. I nie martwcie się o poszkodowaną. Zaraz ją stąd odtransportujemy.

Kobieta z wyraźną ulgą wróciła do samochodu, nastolatek także ruszył w stronę swego pojazdu i po raz ostatni ogarniając scenę przeciągłymi spojrzeniami, oboje odjechali.

Po chwili tylne światła ich pojazdów zniknęły za zakrętem. Szeryf nasłuchiwał uważ-

nie, czekając, aż umilkną odgłosy obu silników. Do wypadku doszło pół kilometra od miejsca, gdzie Midge Treacy omal nie zderzyła się czołowo z jego buickiem. Pomimo dobrej nawierzchni dwupasmowa szosa numer 506 była wąska i wiła się zdradziecko wśród górskiego łańcucha Purcell na odcinku od Libby do Yaak, a na jej poboczach, niczym tłum duchów, wyrastały skupiska małych białych krzyży - upamiętniających miejsca śmiertelnych wypadków na krętych drogach Montany.

Deszcz bębnił po kapeluszu szeryfa i po masce volvo. O'Connor postawił kołnierz.

Upewniwszy się, że nikogo w pobliżu nie ma, otworzył bagażnik policyjnego samochodu i przesunął na tył narzędzia. A potem szybkim krokiem podszedł do włączki i dźwignął trupa z ziemi. Ciało - sama skóra i kości - było lekkie jak piórko. Ze zwisających rąk i nóg kapała woda, gdy szeryf niósł zwłoki do samochodu. Wepchnął je do środka, starannie ułożył, a kiedy już nieboszczyk wygodnie leżał, Brian zamknął bagażnik i wszedł do samochodu. Dopiero wtedy wezwał przez radio karetkę.

Przybyła po niespełna pięciu minutach i szeryf przybrał życzliwą postawę.

- To straszne, naprawdę okropne...

Gdy żona Treacy'ego została umieszczona w ambulansie, obszedł z kierowcą uszkodzony samochód i wskazał na ociekające wodą ślady krwi włączki na przednim zderzaku.

- Pewnie potrafiła sarnę. Nietrudno o to przy tak złej pogodzie.

Teraz pozostawała już tylko sprawa przypadkowego znalezienia starego Leona na bardziej oddalonym od miasta odcinku szosy przez poranny, rutynowy policyjny patrol. PrzedR S

tem jednak szeryf nieco umył zwłoki.

Nazajutrz rano O'Connor połączył się telefonicznie z mieszczącą się w Butte siedzibą firmy Treacy Resources Inc. Sekretarka poinformowała go wyniosłym tonem, że szef jest w szpitalu przy łóżku swej żony.

- To zrozumiałe - przyznał szeryf. Jak inaczej mógłby postąpić kochający małżonek?

Brian wydał usta i wybrał numer do szpitala. Dużo myślał o tym wszystkim w ciągu nocy i uznał, że możliwość pociągnięcia za kieszeń Treacy'ego jest zbyt kusząca, aby można jej się oprzeć. W końcu żona tego faceta w ciągu trzech tygodni spowodowała aż dwa wypadki, tak więc nie ulegało

wątpliwości, że stanowi zagrożenie zarówno dla samej siebie, jak i dla społeczeństwa.

Rozmawiający ze szpitalnego aparatu biznesmen, zgodnie z oczekiwaniami, początkowo zachowywał się dość chłodno, kiedy jednak usłyszał propozycję szeryfa, zgodził się z nim spotkać.

Główna Komenda Policji w Dublinie mieści się w obrębie jednego z największych i niezniszczonych miejskich parków w Europie. Długi i niski budynek z szarego kamienia swym wyglądem przywodzi na myśl koszary.

Wewnątrz, w jednej z sal posiedzeń, główny inspektor - łysiejący mężczyzna o rumianej twarzy - zamykał właśnie zwołaną przez siebie naradę. Rozejrzał się wokół, ogarniając wzrokiem policjantów z różnych specjalistycznych jednostek.

- Dzisiejszego wieczora niczego więcej nie zdołamy zdziałać, chłopaki. Muszę wracać do domu. - Ziewnął.

Chociaż miał skłonność do wyświechtanych frazesów, które brzmiałyby lepiej w hol-lywoodzkich filmach, jakie uwielbiał oglądać, niż w kręgach trzeźwo myślących policjantów, to i tak każdy wiedział, że pod kwiecistym stylem wymowy kryje się ostry jak skalpel umysł.

- I tak już prawdopodobnie przyjdzie mi nocować w psiej budzie. Obiecałem mojej pa-ni, że zabiorę ją dzisiaj do kina.

Podwładni zgodnie zaczęli zbierać i chować swe notatki. Żaden z nich nie ośmielił się powiedzieć na głos prawdy, że wspomniana dama niewątpliwie z ulgą spędzi jeden wieczór poza kinem.

- Czy wszyscy jesteście zdania, że Lyskey powinien pojechać do Stanów? - spytał ponownie główny inspektor.

Cała grupa, dwudziestu siedmiu mężczyzn i dwie kobiety, odwzajemniła jego spojrzenie

nie i odpowiedziała twierdząco. Bez względu na to, co każdy z osobna myślał o Lyskeyu, nikt nie kwestionował faktu, że jest świetnym policjantem. Stanowili dość dziwnie dobraną grupę: pomijając przyjacielskie stosunki głównego inspektora z Lyskeyem, żadna z obecnych na zebraniu osób nie chciałaby się spotykać prywatnie z kimkolwiek z tego grona. Zostali tu ściągnięci z różnych wydziałów: z brygady specjalnej, z jednostki szybkiego reagowania, z brygady antyterrorystycznej i narkotykowej, a wybór każdego z ludzi był starannie przemy-

ślany. Liczebność tej grupy odzwierciedlała skalę rozpoczynającej się właśnie akcji. Główny inspektor, o nazwisku Daly, od którego wziął się jego przydomek „Joxer”, wsunął nakrętkę na pióro.

- A co ty o tym sądzisz, Rupercie? - Skierował wzrok na mężczyznę, siedzącego przy stole naprzeciwko niego. - Czy uważasz, że powinien tam jechać? Jesteś, jak zwykle, bardzo małomówny.

- Nie ma problemu. - Oczy mówiącego te słowa zdawały się przybierać dla kamuflażu kolory otoczenia. - Z całą pewnością potrzebujemy tam naszego człowieka.

Główny inspektor skinął głową. Nigdy nie darzył sympatią Ruperta de Burgha, lecz nikt o tym nie wiedział. Detektyw formalnie był Irlandczykiem, ponieważ tu się urodził, gdy jego matka bawiła na wakacjach w jednym z popadających w ruinę, tak zwanych wielkich domów, gdzie jej krewni z trudem wiązali koniec z końcem. Dla głównego inspektora ten człowiek był jednak przede wszystkim Anglikiem. De Burgh prawie do dwudziestego roku życia mieszkał w Anglii. Obecnie dałoby się zauważyć niewiele oznak, które świadczyłyby o pochodzeniu detektywa, lecz jego akcent różnił się, choć niemal nieuchwytnie, od akcentu wykształconego dublińczyka.

Bill Daly dobrze znał akta personalne tego człowieka. Wiedział, że Rupert przybył z Londynu do Irlandii w 1971 roku, aby studiować w Trinity College, lecz już po kilku miesią-

cach porzucił uczelnię i złożył wniosek o przyjęcie do policji, gdy na początku 1972 roku ogłoszono nabór. Szybko awansował i okazał się dobrym detektywem: był sumienny i punktualny, a liczba wykrytych przezeń przestępstw oraz dokonanych aresztowań przewyższała średnią w tym zawodzie. Dzięki takim osiągnięciom trafił do grupy, która została powołana do realizacji tego konkretnego zadania. Ponadto miał bziaka na punkcie komputerów i elektro-niki, a na tego typu umiejętności istniało obecnie wielkie zapotrzebowanie. Jego małżeństwo również wyglądało na stabilne, w przeciwieństwie do związków wielu innych policjantów, i wszystko przemawiało za tym, że jest pracownikiem odpowiedzialnym i w pełni zrównowa-

żonym.

O co zatem chodziło? Daly nie potrafił dokładnie określić, co go w tym człowieku niepokoi: może był to wyraz czujności, jaki nieustannie malował się w jego nieprawdopodobnie jasnych oczach. Kiedy ostatni z wychodzących dotarł do drzwi, główny inspektor nie po raz pierwszy powiedział sobie, że nie ma prawa nakazującego policjantom być miłymi ludźmi.

Znał kilku takich szefów, którzy oddaliby wszystkie pieniądze, żeby przy obecnych problemach kadrowych mieć u siebie de Burgha.

- Zostań chwilę, Fergusie, dobrze? - poprosił, gdy Lynskey wraz z innymi skierował się do wyjścia.

Pomimo miłego usposobienia Lynskey nie cieszył się większą sympatią wśród swych kolegów niż de Burgh. Przeczuwali, zgodnie z prawdą, że choć niekiedy nie przestrzega re-guł, zawsze ujdzie mu to na sucho. Cieszył się szacunkiem przełożonych, miał dużą swobodę w dysponowaniu pieniędzmi i zawsze dawano mu najciekawsze sprawy. A gdy inni siedzieli zagrzebani w mozolnej pracy, Lynskeya omijała papierkowa robota i był przydzielany do grupy powołanej w celu rozpracowania jakiejś dużej afery. Władał biegle francuskim oraz niemieckim i podróżował po wielu krajach. A jego roszczenia finansowe na wydatki były wprost legendarne.

Ponownie zajął krzesło, które przed chwilą zwolnił. Lynskey i Daly poznali się, będąc rekrutami, w centrum szkolenia w Templemore, ale gdy jeden postanowił wspinać się po szczeblach zawodowej kariery, drugi niczego bardziej nie znosił na świecie niż uwiązania za biurkiem, choćby dawało mu to nawet największy prestiż. Skutecznie więc opierał się namowom przełożonych, byłej żony, a także matki, aby obrał profesję urzędniczą, i wolał pracować w terenie. Bill Daly prawdopodobnie był jedynym człowiekiem, który wiedział, że pod cynizmem dawnego kolegi tkwi niedający się stłumić

idealizm - cecha niezwykła u tak do-

świadczonych detektywa. I właśnie z powodu owej rysy charakteru Lynskey cieszył się u głównego inspektora szczególnymi względami.

Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim z grupy, Daly spojrzął przez biurko na starego przyjaciela.

- Co o tym sądzisz? Na co natrafiliśmy? Nie dostrzegam wyraźnego podziału pomiędzy tymi dwiema sprawami. Czy dane wywiadu są ścisłe?

- Przyznaję, że sytuacja wygląda dość mgliście. - Lynskey przeciągnął się i ziewnął. -

Jeśli jednak chcesz znać moje zdanie, uważam, że być może obie sprawy, które badamy, służą *R S* temu samemu celowi.

Główny inspektor westchnął.

- Nigdy nic nie może być proste.

- Nie rozumiem tylko, w jaki sposób Kanadyjczycy zdołali utrzymać wszystko w tajemnicy, skoro facet, u którego przeprowadzili rewizję, jest wielką szychą. Nie widziałem na ten temat żadnej wzmianki w gazetach.

- Wybrali właściwy moment, zdaje się, że gość był w tym czasie na wakacjach. Co się zaś tyczy drugiej części interesującego nas zagadnienia, funkcjonariusze z FBI są świetni w identyfikowaniu terrorystów. I skoro twierdzą, że w mieście pojawiła się grupa tego typu, jestem skłonny w to uwierzyć. O ile wiesz, od pewnego czasu mają również na oku kilku swoich. - Główny inspektor umilkł. - Żałuję, że nie posiadamy takiej swobody jak oni w zakładaniu podsłuchów telefonicznych...

- Martwi mnie tylko fakt, że ktoś stąd przekazuje informacje. - Lynskey zapatrzył się w sufit. - Niepokoi mnie zbieżność ich działań. Czy to nie podejrzane, że Irlandia stała się nagle atrakcją miesiąca? Szczególnie w czasie trwania Operacji Omega! - Lynskey uwielbiał kpić ze śmiesznych nazw, jakie Daly wymyślał na określanie akcji policyjnych.

Główny inspektor nie dał się jednak sprowokować, lecz rozważał w myślach wszystko, co powiedział przyjaciel.

- Nie mamy żadnego dowodu na to, że właśnie stąd pochodzą przecieki.

- Czy nie zastanawia cię fakt, że owa grupa - o ile, oczywiście, jesteśmy na właściwym tropie i faktycznie istnieje - zaczyna nagle szykować się do akcji i to dokładnie wtedy, kiedy naszego przyjaciela zza wody naszła fantazja, ażeby tu przyjechać? - Lynskey uważnie przyglądał się przełożonemu. - Wygląda na to, że próbują się dogadać z tutejszymi, znanymi nam handlarzami?

- Nienawidzę monarchii, wiesz o tym? - W stwierdzeniu głównego inspektora zabrzmiał szczerzy gniew.

- Och, daj spokój - Lynskey uniósł w górę brwi ponad długim, zakrzywionym nosem.

Swoim wyglądem przywodził na myśl zdziwionego orła. - Nie możesz winić tego starego biedaka, Wielkich Uszu, za to, że rozważa możliwość przyjęcia oficjalnego zaproszenia.

Przyznaj też, że, tak zwana Operacja Omega będzie znakomitym testem sprawdzającym umiejętności twoich sił bezpieczeństwa.

- Mam nadzieję, że do końca pozostanie jedynie testem. - Daly pociągnął się za ucho, R S

co miał w zwyczaju robić, ilekroć nachodziły go czarne myśli.

- Rozchmurz się, Joxer. Dobrze wiesz, dlaczego nasi polityczni zwierzchnicy palą się, aby ułatwić naszemu przyjacielowi wcielenie w życie swego zamiaru. Chodzi o zrobienie kilku uroczych ujęć podczas wymiany mocnych uścisków dłoni, aby ów moment nabrał histo-rycznego znaczenia. I mógł dokonać cudu dla zbolałego wizerunku naszego premiera. Nie mówiąc już o naszym drogim ministrze.

- Skąd pewność, że właśnie stąd pochodzą przecieki? Trzymam wszystko w absolutnej tajemnicy.

- Mam to, co twoi filmowi detektywi nazywają intuicją. - Lynskey wyszczerzył zęby.

- W porządku, Kojaku! - W końcu Daly również się uśmiechnął i sięgnął po marynarkę, która leżała rzucona niedbale na oparcie krzesła. - Rozpoczniesz dochodzenie w Stanach od tego gościa o nazwisku Treacy. Ostatnio miał kilka bardzo interesujących telefonów. Pa-miętaj, że nie ma zbyt wiele czasu, a czułbym się znacznie lepiej, wiedząc, co oni knują. Biorąc pod uwagę to, co nam powiedziano o ich pochodzeniu, te plany muszą mieć związek z bombami i pociskami.

- Być może... - Lynskey się zamyślił. - Czy tylko po to narażasz społeczeństwo na wydatki i wysyłasz mnie do Ameryki? Abyś się tego dowiedział? - Podniósł się z miejsca.

- Podwieźć cię? - Daly wbił się w marynarkę. Lynskey zmierzał obok przyjaciela w stronę drzwi.

- Dziękuję, ale chętnie się przejdę.

- Że też Jego Książęca Wysokość musiał wybrać akurat ten moment na podjęcie decyzji, czy ma ochotę tutaj przyjechać! - Główny inspektor zatrzymał się z ręką na klamce. - Jak gdyby nie dość nam było problemów ze związkami, który w ten weekend postanowił przestrzegać cholernego zakazu zatrudniania w godzinach nadliczbowych! A jeszcze mam na karku Bodenstown.

- Zapomnij o tym. Muszę przyznać, że akurat to nie burzy mojego wewnętrznego spokoju.

Cmentarz wokół kościoła w Bodenstown w hrabstwie Kildare, niedaleko Dublina, jest miejscem wiecznego spoczynku irlandzkiego patrioty, Wolfe'a Tone'a. Tam też co roku w czerwcu odbywa się marsz upamiętniający jego śmierć, podczas którego na nowo podsycane są nacjonalistyczne przekonania i sentymenty, i to nie tylko na skutek osobistego zaangażowania trzydziestu dwóch republikanów z hrabstwa, jak Sinn Fein, ale w ostatnich latach rów-R S

niez niektórych członków rządu. Dla nacjonalistów marsz do Bodentown to ważny, inspirujący symbol walki i w okresach bardziej zapalnych w przeszłości był od czasu do czasu zakazywany.

- Nie sądzę, żebyś obecnie miał powody do bólu głowy. - Zniecierpliwiony Lynskey chciał już odejść.

- Może ty nie masz powodu do bólu głowy. - Daly pociągnął się za ucho. - Ale ja tak.

Wciąż muszą tam stacjonować nasze oddziały. A to oznacza jeszcze mniej sił porządkowych na ulicach podczas weekendu, kiedy w mieście odbywają się aż trzy międzynarodowe konferencje oraz mistrzostwa świata w tańcach irlandzkich. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Zaroi się tutaj od kieszonkowców, zarówno rodzimych, jak i przyjezdnych.

- Słyszałem. - Ton Lynskeya był wesoły. - Jestem jednak pewny, że coś wymyślisz. Za coś przecież płacą ci tę twoją astronomiczną pensję, Joxer, podczas gdy ja jestem tylko skromnym piechurkiem!

Mniej więcej w tym samym czasie Holender z Trelee, w hrabstwie Kerry, zidentyfikował małego ptaka znalezionego przez parę dublińczyków na porośniętym trawą cyplu.

Holender, który miał dostęp do światowej biblioteki ornitologicznej, ogromnie podekscytowany ogłosił, że w Irlandii znaleziony został *Numenius borealis* - eskimoski kulik.

Gniazda tego wędrownego ptaka, pochodzącego z arktycznej tundry, prawdopodobnie z Alaski, nie widziano od ponad stu lat. Na ów gatunek polowano bezlitośnie w połowie ubiegłego stulecia i większość ekspertów uważała, że całkowicie wyginął, dopóki jeden czy dwa okazy nie pojawiły się na początku obecnego stulecia. Od czasu kiedy prowadzono dokumentację ornitologiczną, na Wyspach Brytyjskich odnotowano obecność zaledwie sześciu ptaków tego gatunku. A obecny, siódmy, został zauważony po raz pierwszy od stu piętnastu lat.

Rozdział 3

Okolicznościowe artykuły poświęcone pamięci zmarłych! Sky, nalewając kawę, spojrzała w stronę komputera i obrzuciła ekran pogardliwym wzrokiem. Napisała takich epitafiów w ciągu swej zawodowej kariery wystarczająco wiele; starczyłoby ich nawet dla kilku dziennikarek. A wszystko wskazywało na to, że ostatnie zlecenie będzie równie interesujące, jak *R S*

przyglądanie się wysychaniu farby.

Upłynęły już dwa tygodnie od czasu, kiedy Sky zbuntowała się z powodu rodeo. W

miarę zbliżania się terminu popisów kowbojskich coraz bardziej narastał w niej opór, ale szanse na komentowanie kampanii przedwyborczej nie wzrosły ani trochę.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Lindy z kroniką szkolną w ręce.

- Informacje, których szukałaś, znajdują się w środku - na stronie trzydziestej lub czterdziestej, ale zapewniam cię, że nie zapierają tchu w piersiach, Sky - oznajmiła dziewczyna, rzucając rocznik na

wspólne biurko. - I jest ich bardzo niewiele. Moim zdaniem, nieboszczka była zupełnie bezbarwną postacią.

To oczywiste, że nic tam nie ma, pomyślała Sky. Czy dotychczas cokolwiek przebiegło po mojej myśli?

Zaniosła kawę na biurko i ponownie utkwiała oczy w zniechęcającym tekście przed sobą. Usiłowała napisać pożegnalną notatkę o Midge Treacy, żonie wpływowego obywatela Butte, Daniela Treacy'ego, który wspierał finansowo każdą dobroczynną inicjatywę w miasteczku.

Pani Treacy, w przeciwieństwie do męża, żyła w odosobnieniu i była prawie niewidoczna. Na podstawie kilku skąpych informacji, które Sky zdołała wyłowić z wycinków prasowych w bibliotece, można było wywnioskować, że należała do osób o ujmującym i delikatnym usposobieniu. Ale to wszystko, co było o niej wiadomo. Przez ostatnie piętnaście lat mieszkała w zaciszu domku myśliwskiego na północno-zachodnich obrzeżach stanu i bardzo rzadko pokazywała się w miejscach publicznych. Aby wypełnić przeznaczoną na artykuł

szpaltę w gazecie, Sky musiała zatelefonować wszędzie tam, gdzie istniała szansa na zdobycie jakiegokolwiek informacji o zmarłej.

Niewiele się dowiedziała - nie znalazła żadnej wzmianki, która mogłaby się okazać przydatna. Jedyne przykre incydent w życiu kobiety miał miejsce przed kilkoma tygodniami, kiedy to została oskarżona o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. Sprawa jednak nie zdążyła nabrać rozgłosu z powodu niespodziewanej śmierci winowajczynie. Poza owym niefortunnym wydarzeniem wszystko wskazywało na to, że pani Treacy wiodła nienagane, spokojne życie.

Wykorzystanie informacji o problemie alkoholowym zmarłej w pożegnalnej notatce prasowej byłoby wielce niestosowne, a skoro każda zagadnięta przez Sky osoba wydawała się pogodzona z faktem, że pani Treacy wolała przebywać w otoczeniu milczących Gór Skalistych niż się obracać wśród tak zwanej towarzyskiej elity Butte, ostatnią deską ratunku miało *R S*

się okazać przetrząśnięcie redakcyjnego leksykonu i obfite szafowanie określeniami, typu:

„czarująca”, „urocza” i „wspaniałomyślna”. Sky z westchnieniem ponownie sięgnęła po wzgardzony, lecz noszący ślady częstego wertowania rocznik. Skasowała hasło: „obraz ukryty” na ekranie i nacisnęła klawisz: „cofnąć”.

We wczesnych latach małżeństwa z jednym z najwybitniejszych obywateli Butte, Danielem Treacym, a także i potem, gdy wycofała się z publicznego życia i zamieszkała w ukochnym zaciszu Gór Skalistych, Midge słynęła ze swojej gościnności. Jako jedna z najbardziej czarujących (Sky po chwili zastąpiła ostatnie słowo określeniem „szykowna”) szykownych, nawet jeśli nieuchwytnych gospodyń, sprawiała, że we wczesnych latach małżeństwa goście jej męża czuli się w stojącym na uboczu, lecz uroczym domu. (Ponieważ Sky nigdy tam nie była i nie miała pojęcia, jak owa budowla wygląda wewnątrz, podświetliła słowa

„lecz uroczym” i zastąpiła je określeniem „z przełomu wieku”) z przełomu wieku nie tylko mile

widziani, ale wręcz...

- Skoro nie widzisz się w roli komentatorki rodeo, przypuszczam, że to będziesz w stanie zrobić?

Stojący obok Jimbo wyciągał w jej stronę kartkę, na której zanotowano datę i miejsce comiesięcznego zebrania Brygady Świętego Patryka. Zebranie zawsze miało tajny charakter, zatem zadanie reportera ograniczało się do zebrania sporządzonych przez sekretarkę notatek, które były niezbędne do opracowania komunikatu prasowego. Zwykle Jimbo zajmował się tym osobiście - Brygada bardzo poważnie traktowała swoje spotkania i patrzyła krzywym okiem, jeśli zamiast głównego redaktora zjawiał się inny przedstawiciel gazety. A w szczególności gdy była to jakaś zadzierająca nosa, młoda i mało ważna dziennikarka.

- Posłuchaj, dziewczyno - powiedział szef, rzucając jej na biurko zacisk od segregatora.

- Wiem, oboje wiemy, że się marnujemy, pracując dla tego szmatławca, ale oprócz nas dwojga nikogo tu nie ma. - Nie zwrócił uwagi na zachłystującą się powietrzem stażystkę. - A skoro już tutaj jesteś, musisz dokładać wszelkich starań, aby jak najlepiej wywiązywać się ze swej roboty. Podobnie jak ja.

I wycofał się do swego gabinetu, zostawiając Sky pełną zadumy nad niesprawiedliwością losu.

Gdy późnym popołudniem wracała do domu, zboczyła z drogi, aby zajrzeć do domu pogrzebowego, gdzie spoczywały doczesne szczątki pani Treacy. Artykuł miał być gotowy dopiero na rano, a skoro nie zdołała zdobyć szczegółów niezbędnych do wypełnienia rubryki *R S*

dotyczących życia zmarłej, równie dobrze mogła go wzbogacić o opis spokojnego wyglądu nieboszczki. Poza tym liczyła na to, że kilka trafnych sentencji podsuną jej krewni kobiety.

Pokryty gontami budynek stał przy szerokiej alei, pomiędzy ulicami Porphyry i Silver, nieopodal międzystanowej autostrady numer 90. Przyjezdni bez trudu mogli go znaleźć dzięki neonowi w kształcie krzyża, który błyszczał nieustannie nad frontowym wejściem. Właścicielami domu pogrzebowego byli bracia Collinsowie, Irlandczycy od trzech pokoleń, których dziadek wykaszłał płuca pod ziemią - w kopalni „Orphan Girl”. Nie był to największy zakład tego typu w miasteczku, niemniej wyglądał całkiem okazale. Witrażowe okna i mosiężne gał-

ki u drzwi połyskiwały w słońcu, i Sky, rozpaczliwie rozglądając się w poszukiwaniu szczegółów, spostrzegła swym reporterskim okiem, że nawet żyłki miki i kwarcu rozproszone wśród świeżo zagrabionego żwiru w zatokach parkingowych migoczą, jak gdyby zostały dzisiaj wyczyszczone na wysoki połysk.

Godzinę szczytu na ulicach miasteczka, a właściwie porę dnia, jaką mieszkańcy Butte zwykli określać tym mianem, zdradzało jedynie przytłumione trąbienie klaksonów samochodowych. W alei panował spokój i tylko kilka pojazdów stało zaparkowanych w wyznaczonych do tego celu miejscach. Sky przystanęła na moment, nim weszła do budynku, napawając się ciszą. Oparta o maskę

nissana, delektowała się owym bezgranicznym spokojem.

Woń alei przesycona była upałem: w powietrzu unosił się delikatny zapach duszonych potraw, ciepłych kamieni, oleju silnikowego oraz wszystkich tych trudnych do określenia aromatów, typowych dla każdej aglomeracji bez względu na jej wielkość. A Butte, nazywane szumnie przez mieszkańców miastem, było - gwoli ścisłości - zapadłą dziurą. Z miejsca, gdzie stała Sky, roztaczał się perspektywiczny widok na zwężającą się ku końcowi aleję, biegnącą wśród połałdowanego terenu płaskowyżu, który łączył się z równinami w dole.

Panowała bezwietrzna pogoda - na tej wysokości było to niecodzienne zjawisko. Sky naciągnęła białą bawełnianą bluzkę, żeby materiał odkleił się od wilgotnej skóry pod biustem, a potem podwinęła rękawy, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wystawiła twarz na ostatki słońca, białego teraz i zamglonego, jak gdyby ustępowało miejsca zbierającym się na zachodzie żółtawym chmurom burzowym.

- Sky! Jak się masz?

Otworzyła oczy i zobaczyła Teddy'ego Morzsansky'ego, rówieśnika, którego znała ze szkolnych czasów i z którym dzieliła zainteresowanie fotografią. Teddy wraz z żoną byli zatrudnieni w zakładzie pogrzebowym.

R S

- Znakomicie, Teddy, dziękuję. Zbieram siły, nim ruszę do kolejnego natarcia. Sam rozumiesz, na tym polega moja praca.

- Tak, tak - przytaknął. - Wyglądasz jak zwykle szalowo. Opalenizna ci służy. A także ta długość spódnicy. Zawsze uwielbiałem twoje nogi. Czy nie zmieniłaś zdania i nadal nie chcesz mnie poślubić?

- Spróbuj, a z pewnością nie będziesz tym zachwycony!

Sky uśmiechnęła się z roztargnieniem. W ten sposób zwykli się przekomarzać od dawna i znajomy żart miło zabrzmiał w jej uchu. Sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy wspomnienie własnego wyjątkowo nieudanego małżeństwa sprawiało Sky przykrość.

Teddy był o głowę niższy i Sky potargała mu włosy dłonią.

- Sądzę, że Melinda ma również coś w tej sprawie do powiedzenia.

Małżeństwo Morzsanskich uchodziło za szczęśliwe.

- Zawsze twierdziłem, że ten facet urwał się z choinki. Czy możesz mi przypomnieć, jak mu było na imię?

- Dobrze wiesz, że Randy.

- Ach, tak, Randy. - Teddy rozluźnił krawat. - Przypuszczam, że przyszedłeś z powodu pani Treacy? - Nie czekając na potwierdzenie, odwrócił się plecami i ruszył w kierunku drzwi. - Właśnie wychodziłem, ale przedtem cię odprowadzę. Chociaż, prawdę mówiąc, niewiele jest tam do oglądania.

- Co masz na myśli? - Sky opuściła rękawy bluzki i ponownie zapięła guziki przy man-kietach.

- Trumna jest już zamknięta... - Spojrzał w niebo. - Wygląda na to, że kolejna burza wisi w powietrzu.

- To niemożliwe! Nikt nie czuwa przy zwłokach? - zdziwiła się Sky niezadowolona.

Niewiele mogła napisać o zamkniętej trumnie.

- Jest zaplombowana. - Teddy przeczesał dłonią swoją rozczochraną czuprynę. - Sama rozumiesz, ma zostać przewieziona do Irlandii.

Sky wyjęła klucze ze stacyjki.

- Pewnie zwłoki były zmasakrowane?

Według wyjaśnień reportera z sąsiedniego Libby, żona Daniela Treacy'ego zginęła, gdy jej samochód wpadł na przewożącą drewniane bale ciężarówkę na niebezpiecznym odcinku drogi pomiędzy myśliwskim domkiem Treacych a tą właśnie miejscowością.

R S

- Nie wiem, jak mocno była poturbowana. - Teddy ruszył przodem, przytrzymał frontowe drzwi, a potem usunął się na bok, wpuszczając Sky do środka. - Nie słuchałaś dzisiejszych porannych wiadomości? Kierowca ciężarówki nie będzie oskarżony o spowodowanie wypadku. Najwidoczniej nie miał szansy na wykonanie jakiegokolwiek manewru, ponieważ pani Treacy jechała niewłaściwym pasem. Podobno to on wezwał pomoc z telefonu w kabinie.

Teddy nigdy się nie zmieni, pomyślała Sky, gdy prowadził ją do kaplicy. Zawsze miał

skłonności do gadulstwa. Być może dzięki pogodnemu usposobieniu jakoś sobie radził z bardziej ponurą częścią zawodowych obowiązków.

Wnętrze budynku było równie starannie utrzymane jak otoczenie zakładu. Gruby, czerwony dywan w holu tłumiał odgłosy kroków.

- Melinda poszła pewnie do toalety. - Teddy zmierzył wzrokiem puste miejsce w recepcji. - Zaraz wróci. Jak już wspomniałem, nie widziałem pani Treacy, a szef zapowiedział

stanowczo, że osobiście zajmie się zwłokami. Bez wątplenia przez wzgląd na to, kim była nieboszczka. Na próżno się trudziłaś, składając nam wizytę, Sky.

- Skoro już tu jestem, wejdę do środka.

Wewnątrz budynku panowała martwa cisza i gdy Teddy prowadził Sky w stronę krótkiego korytarza, biegnącego na lewo od stanowiska recepcji, oboje odruchowo zniżyli głosy.

Zatrzymali się przed ostatnimi z czworga drzwi, i Teddy delikatnie zapukał, nim zajrzał do środka.

- Nikogo tu nie ma, oprócz niebosz... - Ugryzł się w język, uzmysławiając sobie, że mówi do reporterki, nawet jeśli była to osoba zaprzyjaźniona. - Możesz spokojnie robić swoje. Wiesz, że i tym razem prowadziła volvo? - Zamyślony pokiwał głową. - A stale je reklamują. Widziałaś kiedy taką olbrzymią ciężarówkę do przewozu drewnianych bali?

- Trumna jest bardzo duża. - Sky usilnie próbowała sobie przypomnieć, czy natknęła się gdzieś na wzmiankę o niezwykłym wroście pani Treacy.

- To dlatego, że ma zostać wyekspediowana dalej. Są dwie; zewnętrzna i wewnętrzna.

Istnieje szereg przepisów regulujących transport zwłok. - Jeszcze przez chwilę rozmawiali o najbliższym zebraniu kółka fotograficznego, a potem Teddy się pożegnał. - Zostawiam cię samą. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zwróć się do Melindy.

- Dziękuję.

Sky pchnęła drzwi. Natychmiast uderzył ją opustoszały wygląd miejsca. Zważywszy na *R S*

pozycję społeczną męża Midge Treacy, spodziewała się mnóstwa kwiatów - powszechnie przyjętego wyrazu hołdu dla zmarłych. Tymczasem ciężka trumna z matowego metalu, o szarej barwie wojennego okrętu, ozdobiona była tylko jedną różową różą, leżącą na krzyżu przy-bitym do wieka. Wazony, urny i stojaki na wieńce, od których zwykle aż się roiło w tego typu przybytkach, zostały taktownie usunięte, jak gdyby ktoś uznał je za niepożądane.

Sky wyciągnęła z kieszeni torebki swój miniaturowy dyktafon. Kiedy przygotowywała czyjąś charakterystykę, tak odmienną od wywiadu, rzadko robiła notatki, uważając, że i tak zapamięta wszystko, co godne jest uwagi. Jednakże przy realizacji obecnego zadania napotykała na wyjątkowe trudności, a na szpalcie wciąż pozostawała olbrzymia przestrzeń do zapeł-

nienia i Sky potrzebowała każdego, bodaj najmniej istotnego szczegółu. Przez moment tkwiła w drzwiach, nasłuchując, a kiedy się upewniła, że przez jakiś czas będzie sama, stanęła w nogach trumny, włączyła magnetofon i używając niemal stenotypicznych skrótów, zaczęła opisywać wszystkie swe spostrzeżenia i odczucia: „Wrażenie odosobnienia, ale nie samotności...

przyćmione, różowe oświetlenie... absolutna cisza... jak gdyby pokój - nie - nie pokój... jak gdyby cała fizyczna materia była postawiona w stan pogotowia... w oczekiwaniu... Na co?...

Migoczące świece w podwójnych wysokich lichtarzach rozlewają żółty blask po gładkiej szarości metalu... Czyste linie mosiężnych? Złotych? - uchwytów... trumna nieruchoma, masyw-na... zwarta... Podchodzę bliżej... jeden z różowych płatków na wieku jest bardziej rozpostarty i odchylony od

pozostałych więdących w nieruchomym powietrzu... Napis wygrawerowany na srebrnej tabliczce: Mary Dorothy Treacy, z domu Shelton, urodzona 6 kwietnia 1943 roku, zmarła 18 lipca 1992....".

Sky nacisnęła klawisz „pauza”, zastanawiając się nad wiekiem zmarłej. Była wstrząśnięta, odkrywając, że Midge Treacy w chwili śmierci liczyła zaledwie czterdzieści dziewięć lat.

Z jakiegoś powodu nie zachowała się fotografia w kronice szkolnej, a na jedynym zdjęciu, wykonanym w dorosłym wieku, jakie Sky zdołała znaleźć, pani Treacy nosiła klasyczny kostium, jej zaczesane do tyłu blond włosy odsłaniały ładną twarz i były uczesane w gładki, francuski warkocz. Ilekroć Sky natrafiła na problemy z opracowaniem materiału, miała zwyczaj pomijania wstępu, dopóki pozostała część artykułu nie nabrała kształtu. I prawdopodobnie to było powodem przeoczenia wieku nieboszczki.

W końcu znalazła przynajmniej jakiś punkt zaczepienia: „Śmierć w tragicznie młodym wieku...”.

R S

Po raz pierwszy Sky zainteresowała się tematem swej notatki. Zmarła kobieta była o wiele młodsza od męża i z tego względu mogła wieść niezależne odeń życie. Ów fakt Sugerował umizgi i zaloty wbrew konwenansom, choć jak dotychczas Sky nie natknęła się w swych poszukiwaniach na żadną tego typu wzmiankę. A może tę parę łączyła niezwykła miłość?

Zbyt późno było na domysły. Sky wzruszyła ramionami i ponownie włączyła dyktafon.

„Kontynuując: gruba boazeria na ścianach - dębowa, mahoniowa, a może ze wschodnioindyjskiego teku?... Wysoki drewniany krzyż wyrzeźbiony w kanciasty, nowoczesny sposób w mosiężnym stojaku w kącie... Zagadkowy brak kwiatów...”.

Odwrócona plecami do wejścia, była tak skupiona na przekazywaniu półgłosem informacji do mikrofonu, że nie usłyszała odgłosu otwieranych drzwi.

- Czy wolno spytać, co pani robi, panno MacPherson? Taśma się nadal nagrywała, gdy Sky obróciła głowę i napotkała oczy Daniela Treacy'ego. Wyciągnęła do niego rękę.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu pańskiej straty, panie Treacy.

- Dziękuję. - Wymienił z nią szybki uścisk dłoni. - Czy mogłaby pani to wyłączyć? -

Wskazał na magnetofon.

W ciasnej i niezbyt akustycznej kaplicy jego głos miał zadziwiająco mocne i donośne brzmienie jak na mężczyznę, którego od siedemdziesiątki dzieliły zaledwie dwa lata. Sky widywała go już przedtem, ale nigdy nie spostrzegła, jak bardzo jest wymizerowany - pomimo władczej postawy, z którą zwykł się obnosić niczym z koroną na głowie.

- Przepraszam. - Sky, zaskoczona, ale nie onieśmielona, spełniła prośbę. - Przygotowuję notatkę

pożegnalną o pańskiej żonie i przysłałam złożyć wyrazy szacunku.

- Rozumiem. - Zmierzył ją twardym wzrokiem. - Czy zwykle używa pani do tego celu magnetofonu? - Sky już wcześniej stwierdziła, że piwne oczy na starość nie płowieją w tak dużym stopniu jak niebieskie i właśnie owe ciemnobrązowe tęczęwki - głębokie i nieprzeniknione - były najbardziej fascynujące w twarzy Daniela Treacy'ego.

- Skąd pan wie, jak się nazywam? - odparowała, wytrzymując jego spojrzenia, choć dobrze wiedziała, że to niestosowna okazja do zadawania tego rodzaju pytań. - Zaledwie kilkakrotnie mieliśmy okazję się spotkać i to zawsze w przelocie. - Usłyszała własny, oficjalny, reporterski ton.

- Czytuję pani artykuły i znam pani rodzinę - wyjaśnił lakonicznie. - Pani ojciec mieszka niedaleko naszego domku myśliwskiego w północno-zachodnim rejonie stanu. A przed wieloma laty znałem w Irlandii pani babkę, Elizabeth.

R S

To był szok. Nie dlatego, że wspomniał o ojcu, którego Sky widywała bardzo rzadko i prawie go nie znała, ale że przyznał się do znajomości z matką Johanny. Sky miała okazję poznać babkę podczas swej jedynej wizyty w Irlandii w czasach dzieciństwa. Zapamiętała ją jako wysoką, serdeczną i dobijającą zapewne do setki damę. O tym, że nie mogła być w tak podeszłym wieku, świadczyły późniejsze zdjęcia i listy, niemniej Sky poczuła się dziwnie, słysząc, że Treacy, mówiąc o babce, użył jej imienia. Wiedziała, że przodkowie większości Irlandczyków z Butte pochodzili z tego samego niewielkiego regionu, gdzieś na południu Irlandii - zatem oczywisty był fakt, że przedstawiciele starszej generacji znali się nawzajem.

Jednak w odróżnieniu od większości Irlandczyków w miasteczku, ten mężczyzna nie obnosił

się ze swą narodowością jak z flagą. I kto jak kto, ale Sky powinna to rozumieć. W miarę upływu lat kontakty jej rodziny z Irlandią stały się bardzo luźne, a przyjaciółki matki w Montanie wywodziły się z innych mniejszości etnicznych.

W przeciwieństwie do szkolnych kolegów irlandzkiego pochodzenia, Sky zawzięcie buntowała się przeciwko utrzymywaniu silnych więzi z krajem przodków. Potrzebę tę uważa-

ła za typową dla mentalności irlandzkiego getta. I chociaż uczęszczała do katolickiej szkoły, uchylała się od nauki irlandzkich tańców i zawsze odmawiała uczestniczenia w paradzie w Dniu Świętego Patryka. I wychodząc z założenia, że wspiera jedynie w pełni zrozumiałe akcje, nigdy nie poświęcała ani czasu, ani pieniędzy na wciąż inicjowane przez niektórych bardziej radykalnych Irlandczyków w Butte liczne zbiórki na sprawę „walki o wolność”.

Wspomnienia z tamtej jedynej, odległej w czasie wizyty stopniowo bladły, aż stały się jedynie przebłyskami obrazów, niczym w wolno obracającym się kalejdoskopie. Zapamiętała dużą pierzynę na łóżku w domu babki w Cork, puszyste białe kury na farmie, gdzie dotarła po bardzo długiej jeździe samochodem, oraz specyficzny smak wody sodowej, nazywanej czerwoną oranżadą. A także straszliwe nawałnice. W odwiedzinach do babki w Irlandii zabrała dziewczynkę ciotka Goretti, która

obecnie również kojarzyła się Sky jedynie z odległym głosem w telefonie, choć mieszkała w Nowym Jorku.

- Nie jesteśmy zżytą rodziną - wypaliła bez zastanowienia.

- Słucham? - Tym razem Treacy był zaskoczony.

- Przepraszam, najwyraźniej nabrałam zwyczaju wyrażania na głos swoich myśli. -

Uśmiech, który miał wyrażać skruchę, zamarł jej na ustach, gdy napotkała wzrok nieodgad-nionych, piwnych oczu mężczyzny.

Treacy nie bał się milczenia i cierpliwie czekał, aż ona nawiąże dalszą rozmowę.

R S

- Może umówimy się gdzieś na kawę, gdzie będziemy mogli porozmawiać? - Musiała zdobyć się na duży wysiłek, żeby nie bełkotać. - Potem, kiedy już... - Wskazała ręką w kierunku trumny. - Zapewne obecny moment nie jest odpowiedni.

- Zapewne. - Nie wyczuła w jego tonie śladu ironii czy sarkazmu. - Będę z panią w kontakcie. A teraz, proszę mi wybaczyć.

Szczerze żałując, że pozwoliła się przyłapać, jak głuptas, na nagrywaniu, ponowiła kondolencje i wycofała się z kaplicy.

Na zewnątrz spiżowe chmury zdominowały słońce, i Sky, spodziewając się deszczu, podciągnęła w nissanie szyby. Przez chwilę siedziała w gorącym, nieruchomym powietrzu wpatrzona w tablicę rozdzielczą i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że uczestniczyła w pewnego rodzaju rozgrywce. Mając zwyczaj starannego szufladkowania każdej myśli i każdego odczucia, usiłowała przeanalizować ów niepokój, nie potrafiła go jednak zdefiniować.

Jednego była pewna: czuła się głęboko dotknięta, że matka nigdy nie wspomniała o znajomości rodziny z Treacym. To prawda, że Sky nigdy jej do tego nie zachęcała - reporterskie spotkania z biznesmenem były tak krótkie, że nie zasługiwały na dyskusowanie o nich w domu. Pomimo to Sky czuła, że Johanna, która zwykła się rozwodzić w najdrobniejszych szczegółach o wszystkich przyjaciółach i znajomych, mogła przynajmniej o nim wspomnieć.

Aby dokuczyć matce, Sky kupiła tego wieczora w drodze powrotnej do domu dużą pizzę naszpikowaną papryką, koreczkami anchois oraz wszelkimi innymi dodatkami i postanowiła, że zje ją całą - do ostatniego kawałka.

Delektowanie się pizzą nie było jednak jej w tym dniu sądzone. Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, zastała matkę ze słuchawką w dłoni.

- O, już wróciła, przepraszam, proszę chwilę zaczekać, dobrze? - Johanna nigdy nie czuła się swobodnie przy telefonie. Lubiła obserwować wyraz oczu ludzi, z którymi rozmawiała.

- Już ją proszę - dodała, podając córce słuchawkę.

- Kto to? - spytała bezgłośnie Sky, próbując ją wziąć, a równocześnie żonglując pizzą, kluczami i torebką.

- Nie wiem - odpowiedziała szeptem matka.

- Słucham?

Ze zdumienia Sky omal nie upuściła wszystkiego na podłogę. Rozmówcą okazał się Daniel Treacy, który zapraszał ją wieczorem na kolację.

R S

Rozdział 4

To dziwne - stwierdziła Johanna, obserwując szykującą się do wyjścia córkę. - Przecież jego żona nie zdążyła jeszcze ostygnąć w grobie.

Od czasu, kiedy wprowadziły się do mieszkania, które składało się z dwóch niezależ-

nych apartamentów, Sky zamierzała coś zrobić z wystrojem swej sypialni - gust gospodarza odzwierciedlały różowe tapety w paki róż, dopasowane odcieniem różowe zasłony w oknach oraz zielony dywan. Za każdym razem jednak, ilekroć była już bliska podjęcia konkretnych działań, zawsze pojawiała się coś ważniejszego do roboty.

- Jego żona nie spoczęła jeszcze w grobie, mamó. - Johanna nigdy nie grzeszyła poczuciem czasu. - Ciało wciąż się znajduje w domu pogrzebowym, przecież ci mówiłam.

Sky była teraz nie tyle poirytowana, ile zaczepnie nastawiona, ale w swojej dziennikarskiej karierze zdążyła nauczyć się jednego - a mianowicie stałej czujności umysłu. Czyżby postawa Daniela Treacy'ego nie należała do typowych dla dopiero co osieroconego małżonka? Niekoniecznie: co innego kryło się za określeniem „normalne zachowanie” w stosunku do różnych ludzi. A poza tym, komu jak komu, ale jej nie wypadało się uskarżać, skoro sama proponowała to spotkanie.

- Mhm.

R S

Johanna podniosła szczotkę do włosów i zatopiła ją w gęstych, jasnych lokach, które córka odziedziczyła po ojcu. I Sky, choć szykowała się do starcia z matką o Treacy'ego, poczuła się, na przekór okolicznościom, w jednej chwili uspokojona. Przerwała zabiegi ze spiralą do rzes, czując się coraz bardziej rozluźniona po każdym pociągnięciu szczotką.

Podwójne szyby w oknach nadal trzęsły się od dobiegających z ulicy hałasów, ale w pokoju słychać było jedynie rytmiczne odgłosy przesuwania szczotki po włosach oraz mru-czenie dwóch kotów matki, które miały zwyczaj chodzić za swą panią krok w krok z pokoju do pokoju, a teraz leżały

zwinięte, niczym kłębki wełny, wśród skłębionej pościeli.

Do Sky wciąż jak ulał pasowało określenie, jakim jeszcze w szkolnych czasach scharakteryzowała ją jedna z koleżanek: „typowy bałaganiarz”. Cała jej osoba i otoczenie lśniły od czystości, ale pomimo usilnych zabiegów nigdy nie potrafiła utrzymać porządku w sypialni.

Jednakże w tym momencie, kiedy z powodu wczesnie zapadających ciemności paliło się światło i pokój spowijała żółtawa poświata, nawet walające się dookoła rzeczy miały w sobie jakieś surrealistyczne piękno.

- Może chce zaproponować ci pracę? - Głos matki zabrzmiał cicho, jak gdyby również i ona poddawała się przyjemności wywołanej szczotkowaniem włosów. - Na twoim miejscu byłabym ostrożna.

- Dlaczego? Przecież jestem już dorosła. - Sky zamknęła oczy, aby w pełni rozkoszować się miłym doznaniami.

- No cóż... - Matka przerwała na kilka sekund, jak gdyby namyślała się, co powiedzieć.

Kiedy powróciła do swego zajęcia, jej głos zabrzmiał nieco głośniejszy: - Prawie go nie znamy, kochanie. Kiedyś spotkałyśmy go we trójkę, z Hermaną i Buffy, w kościele St Mary podczas kwesty i byliśmy trochę zaniepokojone jego aurą. Gdyby więc zamierzał zaproponować ci pracę...

- O jakiej pracy mówisz, mamó? - Nastrój prysnął. Sky szarpnęła głową w bok i ponownie zabrała się do malowania rzęs. - Nie może zaoferować mi posady, ponieważ nie jest właścicielem żadnej gazety. I wytłumacz, dlaczego nigdy nie przyznałaś się, że go znasz? -

Natychmiast pożałowała swojego napastliwego tonu. - Dziękuję za wyszczotkowanie włosów.

- No cóż... - Johanna przyglądała się uważnie szczotce. - Nadal jestem zdania, że to wszystko jest nieco dziwne. Wyszło ci trochę włosów, kochanie. - Może potrzebujesz dodatkowej dawki selenu?

Sky uznała, że nie warto wszczynać kłótni. Postanowiła, że innym razem poruszy sprawę znajomości matki z Danielem Treacym.

R S

Zagryzła usta, gdy Johanna, omijając sterty porozrzucanych na podłodze ubrań oraz stosy gazet, skierowała się do kuchni. Była nawet gotowa bez szemrania połknąć uzupełniającą dawkę mikroelementów. Niewykluczone, że mogły jej wyjść na zdrowie.

Wstała od toaletki i roztrzając kopniakami walające się po podłodze rzeczy, torowała sobie drogę do lustra. Zwykle daleka od próżności i przejmowania się wyglądem, obejrzała krytycznie swą sylwetkę. Musiała przyznać, że wciąż ma wspaniałą skórę, i, pomimo trzydziestki na karku, tylko nieznacznie podkrążone oczy. Może matczyne tabletki i lecznicze wywary rzeczywiście przeciwdziałały skutkom licznych kaw oraz innych trucizn, jakie aplikowała swemu organizmowi? Miała na sobie najlepsze ubranie - jedwabny, szary kostium z prostą spódnicą, którego gołębi odcień

podkreślał barwę jej złocistych niczym łan pszenicy włosów. Po ojcu odziedziczyła również smukłą figurę, długie nogi, szerokie ramiona, wąską talię oraz płaski brzuch; spuścizną po matce były chabrowe oczy, wydatne usta i ostro zarysowane kości policzkowe. Zmartwień przysparzał jej tylko garbaty nos. Padające ukośnie światło stojącej na toalecie lampy łagodziło ten zgrzyt w jej rysach. Żadne z rodziców nie miało takiego nosa i Sky uważała go za krzyż, który musi dźwigać. Przez całą szkołę średnią, a także w okresie studiów, wyklócała się z każdym, kto postrzegał jej twarz inaczej niż ona, i przypominając o swym nosie, odrzucała wszelkie komplementy.

- Jesteś bardzo piękna, Sky.

- Na miłość boską, jak osoba z tak garbatym nosem może być piękna? Przestań się ze mnie naśmiewać! - Nigdy jednak nie zdobyłaby się na chirurgiczną korektę urody - może na skutek katolickiej edukacji, której część głęboko zapadła w jej świadomość. „Nie poprawiaj tego, co stworzył Bóg...”.

- Proszę. - Matka wróciła ze szklanką wody oraz tabletkami. - Zażyj od razu dwie, na wypadek gdybyśmy rano o nich zapomnieli. Ślicznie wyglądasz, Sky, naprawdę. Bądź jednak ostrożna, kiedy z nim się spotkasz. Czarne myśli są zaraźliwe.

Sky stłumiła cisnącą się na usta ripostę, połykając selen, a Johanna w tym czasie wydobyła torebkę ze sterty rzeczy na podłodze.

- Dziękuję, mamó, za wszystko. - Sprawdziła, czy mały dyktafon przygotowany jest do nagrywania, a potem uściskała matkę i wyszła w pośpiechu.

Klucząc nissanem pomiędzy pojazdami podczas wzmożonego wieczornego ruchu, Sky zastanawiała się, co skłoniło Daniela Treacy'ego do zaaranżowania tego spotkania. Na pewno nie pragnienie porozmawiania o jej krewnych, nie miała co do tego złudzeń. O wiele bardziej *R S*

prawdopodobna wydawała się chęć wywarcia wpływu na treść notatki pożegnalnej.

Jej przeczucie okazało się trafne.

Treacy zaproponował, żeby Sky spotkała się z nim w „Miedzianym Królewskim Dworze”, na Granite. Przybyła nieco przed czasem. Czekał na swego towarzysza, przeglądała menu i gawędziła z hostessą - młodszą siostrą dawnej koleżanki ze szkoły. Mimochodem wspomniała w rozmowie, czym jest gościem i dostrzegłszy z trudem ukrywane zaskoczenie dziewczyny, dokładnie wyjaśniła powód tego spotkania. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, były plotki.

Dom - trzypiętrowy dwór z cegły, w którym mieszkał William Clark, milioner i wła-

ściciel kopalni - odzyskał dawną świetność z lat sześćdziesiątych. Ciężkie meble, stare srebra, kryształ oraz porcelanowe naczynia jaśniały od czystości. „Miedziany Królewski Dwór” reprezentował również szczyty wykwintnej kuchni w Butte. Był jednak poniedziałkowy wieczór, i Sky, zaglądając ukradkiem do restauracyjnej sali, stwierdziła z ulgą, że pozostali go-

ście to przyjezdni, głównie turyści. Czuli się wyraźnie skrępowani z powodu swych

pozostawiających wiele do życzenia, zapewne jedynych, wyjściowych strojów, które zabrali na wakacje.

Wreszcie dostrzegła przez okno Treacy'ego. Zajechał pod restaurację sprowadzonym z zagranicy saabem z opuszczanym dachem i zaparkował auto po drugiej stronie ulicy. Sky nie mogła się oprzeć instynktownemu reporterskiemu spostrzeżeniu, że nie jest to zbyt odpowiedni samochód dla mężczyzny w tak podeszłym wieku. Jej różnorodne odczucia wobec tego człowieka nie miały jednak nic wspólnego z tematem pisanego artykułu.

- Dobry wieczór - powitała go w drzwiach. - Byłam zaskoczona pańskim telefonem.

- Czy możemy wejść na salę? - Najwyraźniej nie miał ochoty uczestniczyć w wymianie towarzyskich uprzejmości, i Sky, po raz drugi świadoma zimnej głębi jego oczu, skinieniem głowy wyraziła w milczeniu zgodę.

Stolik był usytuowany w dyskretnym miejscu w kącie, obok innego, wolnego, który dzielił ich od najbliższej pary. Kiedy otworzyli menu, kelner pośpiesznie zebrał sztucce i kie-liszki z sąsiedniego stolika.

- Zarezerwowałam oba - wyjaśnił Daniel Treacy, spostrzegając zdziwienie Sky na widok czynności tamtego mężczyzny.

- Rozumiem. - Energicznie zajęła się rozkładaniem swojej serwetki. Cokolwiek Daniel Treacy zamierzał jej powiedzieć, dobrze to sobie przemyślał. - Czy zwykle w ten sposób spoR S

żywa pan kolację? Przy dwóch stolikach?

- Jada pani mięso? - Podniósł wzrok znad karty. - Czy mogę coś dla pani wybrać?

Czuła się wprost sterroryzowana. Kiedy jednak zastanowiła się nad sytuacją, uznała, że pozwoli, aby to Treacy dyktował porządek spotkania, jak sobie zaplanował.

- Moja odpowiedź jest dwa razy twierdząca. - Zamknęła swoją kartę i położyła na stole przed sobą. - Bardzo proszę.

Skinął na obsługę i zamówił pieczeń jagnięcą oraz butelkę francuskiego *Chateauneuf du Pape*.

- Sądzę, że akceptuje pani moją propozycję?

- Oczywiście, panie Treacy. - A gdzie rozpacz osieroconego małżonka? - Muszę powiedzieć na samym początku, że spotykamy się w dość niezwykłych okolicznościach. Sądzę, że pan również zdaje sobie z tego sprawę.

Sky, która zwykle dostrzegała zabawne strony w najbardziej niefortunnym nawet sce-nariuszu, poczuła zdradziecki ucisk w piersiach i miała już na końcu języka pytanie, na którą przewidziany jest jutrzejszy lot pani Treacy.

Słumiła jednak zarówno pytanie, jak i śmiech, udając kaszel.

- Przepraszam - wykrztusiła, nalewając wodę z lodem do jednej ze szklanek. - Przemo-klam dzisiaj do suchej nitki i sądzę, że złapałam przeziębienie.

Obserwował ją w milczeniu, gdy wypila duszkiem całą zawartość szklanki i ponownie ją napełniła.

- Przyznaję, że okoliczności są raczej niezwykle. Postanowiłem jednak pomóc pani w poszukiwaniach. Pragnę zapobiec niewczesnym spekulacjom na temat Midge, które mogłyby zostać podane w prasie jako fakty. A skoro, jak widzę, jest pani zdecydowana napisać notatkę o mojej żonie, wolałem porozmawiać z panią osobiście, wyjaśnić wszelkie niejasności i dopilnować, aby treść publikacji odpowiadała prawdzie.

Sky nigdy dotychczas nie słyszała tak długiej wypowiedzi Treacy'ego, który publiczne wystąpienia zwykł pozostawiać swym podwładnym. W głosie mężczyzny zabrzmiała rytmiczna melodyjność języka matki Sky, mówił jednak znacznie szybciej, niż zwykła to robić Johanna, tonem niemal natarczywym.

Podobnie jak przedtem, w domu pogrzebowym, wyczuwała w tym człowieku dziwny niepokój. Starła się nie myśleć o przestroгах matki dotyczących aury i zaraźliwych czarnych myśli.

R S

- Proszę mi wybaczyć, panie Treacy. - Nie bała się go i już na samym początku rozmowy musiała dać temu wyraz. - Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jak na człowieka tak niedawno owdowiałego jest pan wyjątkowo opanowany.

Uzbroiła się w odwagę, czekając na wybuch, który jednak nie nastąpił. Treacy przyglą-

dał się jej przez kilka sekund i wiedząc, jak ważne jest wytrzymanie jego wzroku, nawet nie mrugnęła okiem.

Napięta atmosfera rozluźniła się dopiero po przyjściu kelnera z butelką wina do za-aprobowania.

- Dziękuję. - Treacy sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął parę okularów z połówkami soczewek, aby się przyjrzeć etykietce. - W porządku. Proszę nalać do kieliszków. - Z powrotem schował okulary, a kiedy kelner odszedł, zauważył: - Nie jestem pewien, czy moje opanowanie powinno panią interesować, panno MacPherson. Skoro jednak pani py-ta, odpowiem: nie zwykłem publicznie obnosić się z uczuciami. Nie to jednak będzie tematem artykułu, który wszak ma być poświęcony mojej żonie, nieprawdaż?

Sky powinna czuć się skarcona, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało. Wciąż głowiła się nad pytaniem, dlaczego Treacy ją tu zaprosił. Cała sytuacja była tak niezwykle, że niemal absurdalna. Nic dziwnego: żona jej rozmówcy leżała martwa niespełna milę stąd, przykryta wiekiem z ołowiu, stali lub innego metalu, jaki został użyty do zamknięcia trumny na wieczność.

Sky czuła jednak, że musi istnieć jakaś ważna przyczyna tego spotkania. Ale żeby nie zaprzepaścić

okazji dotarcia do sedna rozgrywających się wydarzeń musiała się powstrzymać od typowej dla siebie nieufności. Pomyślała kwaśno, że Johanna byłaby nią zachwycona.

Nie miała prawie żadnych informacji o swym towarzyszu, które przedstawiałyby jakąś wartość albo które nie byłyby dobrze znane innym mieszkańcom Butte. Wszyscy wiedzieli, że Daniel Treacy przyjechał z Irlandii przed blisko pięćdziesięcioma laty i od tamtej pory nigdy tam nie był, nawet z krótką wizytą, że stał się bogaty dzięki założeniu spółki wydobyw-czej: „Treacy Resources”, że lokował pieniądze w wielu różnych przedsiębiorstwach: od tar-taków po zakłady produkujące rozmaite towary, ciężko pracował i późno się ożenił - dopiero po czterdziestce - a jego osobiste życie pozostało tajemnicą, że wspierał niemal każdą akcję charytatywną w Butte oraz używał swego nazwiska w nagłówkach listów kilku medycznym i artystycznym organizacjom. Do tej pory Sky nie przejawiała szczególnego zainteresowania tym biznesmenem. Zawsze wolała przeprowadzać wywiady lub przedstawiać sylwetki ludzi *R S*

wykonujących inne zawody. Z jej obserwacji wynikało, że tylko ludzie bardzo zdetermino-wani osiągają sukcesy, a do wielkich pieniędzy dochodzą ci, którzy są zamknięci na wszystko inne, co nie służy realizacji ich celów. Niejednokrotnie oznaczało to również rezygnację z życia osobistego. Nic dziwnego, że artykuły o nich były krótkie i nieciekawe.

Okazało się, że kelner od win również jest jej znajomym, tym razem ze szkoły podstawowej. Gdy podszedł i zobaczył, w czym towarzystwie siedzi Sky, ze zdumienia uniósł w górę brwi za plecami Treacy'ego. Uśmiechnęła się lekko do dawnego kolegi. Fakt, że Butte przypominało raczej większą wioskę niż prawdziwe miasto, często sprawiał, że ze złości zgrzytała zębami. Zdarzały się jednak chwile jak ta, kiedy Sky była zadowolona z obecności innych znajomych uczestników spisku. Ponownie skierowała uwagę na swego towarzysza przy stoliku.

- Czy pańska żona pochodziła z tych samych okolic w Irlandii co pan?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Była z drugiego końca kraju. Z północnego rejonu Mayo. Ma pani irlandzkich przodków, zatem wie pani równie dobrze jak ja, że większość Irlandczyków w Butte wywodzi się z West Cork. Midge czuła się w Ameryce osamotniona. Ludzie z Mayo tak różnią się od mieszkańców Cork, jak... - zawahał się, patrząc w dno kieliszka, jak gdyby szukał tam zrozumiałej dla niej analogii - jak Amerykanie z Nowej Anglii od Teksaszczyków czy Kalifornijczyków, a nawet mieszkańców Montany.

- Rozumiem - odpowiedziała Sky. Ale nie rozumiała. Irlandia z jednego krańca po drugi mierzyła niespełna pięćset kilometrów. I wydało się dziwne, że ktoś uważał, iż tak niewielka geograficzna odległość może mieć znaczący wpływ na różnice w osobowości mieszkań-

ców. - Nigdy się pan tam nie wybrał z wizytą? Nie tęskni pan za starym krajem?

- Nie. - Zaprzeczył ruchem głowy, definitywnie zamykając tę linię przesłuchania. - Jak się miewa pani matka?

- Wspomniał pan o mojej babce i ojcu, ale nie wiedziałam, że zna pan również moją matkę.

- Jedynie z widzenia - Treacy ustrzegł Johannę przed kłopotami.

Wrócił kelner, i Sky, obserwując w milczeniu jego manewry, doszła do wniosku, że lepiej zrobi, zadając pytania na temat zmarłej, choć prawdę mówiąc, uznała, że osoba Daniela Treacy'ego stanowi temat o wiele bardziej interesujący.

- Czy pozwoli pan, żebym nagrywała rozmowę o pańskiej żonie? - Zawahała się, nim *R S*

wzięła do ręki nóż i widelec. - Jutro rano muszę oddać artykuł do druku i może zabraknąć mi czasu na sprawdzenie wszystkich informacji. - Po raz pierwszy sprawiał wrażenie niezdecydowanego. - To powszechnie stosowana praktyka, zapewniam pana. - Sięgnęła do torebki po dyktafon, zanim biznesmen zdążył zaprotestować. - Jeśli jednak niepokoi pana, co zrobię z taśmą, odeślę ją panu do zniszczenia, choć zwykle wielokrotnie jej używam.

- To nie będzie konieczne. Mam do pani zaufanie. - Należał do mężczyzn prędko podejmujących decyzje.

Jednakże pomimo usilnych starań Sky po piętnastu minutach nagrania wizerunek Mary Dorothy Treacy przedstawiony przez jej męża był tak powierzchowny, że jedynie wzbudzał

podejrzliwość. Jak bowiem rozumieć fakt, że człowiek pozostający przez dwadzieścia cztery lata w małżeństwie z tą kobietą nie był w stanie podać żadnego przekonującego powodu, który by wyjaśniał, czemu nie odwiedziła ojczystego kraju i nie spotkała się z mieszkającymi tam bliskimi?

Można by się wprawdzie powołać na rodzinę Sky, ale jej rodzina była wyjątkowa.

Dziewczyna zawsze uważała, że przyczyną, dla której Johnny nigdy nie ciągnęło do odwiedzin w starym kraju i domu dzieciństwa, była jej generalna życiowa filozofia: żyć z dnia na dzień i nie wybiegać myślami w przyszłość. Nawet gdyby Sky dała wiarę słowu Treacy'ego, że Midge czuła się osamotniona, mieszkając z dala od rodaków z Mayo, czy ów fakt nie powinien jeszcze bardziej zachęcać jej do wyjazdu w rodzinne strony przynajmniej raz do roku?

Przecież dla Irlandczyków z Butte - w większości znacznie od niej uboższych i z o wiele mniejszymi możliwościami - było to niemal nakazem. Sky wiedziała, że większość emigrantów tej narodowości zwykle znajduje niezbędne środki na podróż do „starego kraju” chociaż raz, a nawet dwa razy w roku. Także ci, którzy należeli do drugiego i trzeciego pokolenia, często powtarzali bajkę o ponownym osiedleniu się kiedyś w ojczyźnie przodków. W tym wypadku jednak, jeśli wierzyć Danielowi Treacy'emu, tęsknota za starym krajem obca była zarówno jemu, jak i jego żonie. I wyglądało na to, że choć w różnym czasie, oboje na dobre otrząsnęli z obcasów irlandzką ziemię.

A jednak Midge Treacy czuła się „osamotniona”.

Cała ta historia była niejasna. Sky skupiła uwagę na zwięzłych i precyzyjnych, choć logicznie niespójnych odpowiedziach, które uzyskiwała na swe pytania. Według Daniela Treacy'ego, życie Midge upływało na malowaniu akwareli, których tematem były góry otaczają-

ce myśliwski domek, oraz na czytaniu. Codziennie wstawiała późno, nie robiła zakupów, a je-*R S*

śli w ogóle wyjeżdżała z domu, nigdy nie zapuszczała się dalej niż do oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów od domu Libby. Tamtejszy właściciel sklepu z przyborami malarskimi zaopatrywał panią Treacy w materiały i wyświadczał grzeczność stałej klientce, zatrzymując dodatek do niedzielnego wydania „New York Timesa”, dzięki czemu mogła wybierać książki i zamawiać je z Nowego Jorku lub z Toronto.

- Obawiam się, że niewiele ponadto mogę dodać...

Temat rozmowy się wyczerpał i Treacy nabił mały kartofel na widelec. Sky, przed któ-

rą stał talerz z prawie nietkniętym jedzeniem - typowe ryzyko, gdy się przeprowadza z kimś wywiad podczas posiłku - zauważyła, że rozmówca zjadł niewiele więcej niż ona. Było to zrozumiałe, zważywszy na okoliczności. Daniel Treacy, jak gdyby świadom rodzącego się w niej współczucia, podniósł wzrok i dostrzegła, choć nie była tego pewna, cieplejszy wyraz w jego oczach.

Biorąc to za zachętę ze strony swego rozmówcy, namyślała się gorączkowo, co powiedzieć albo też, o co jeszcze zapytać.

- Dotarły do mnie plotki, że rozważa pan możliwość ubiegania się o urząd publiczny?

Chociaż nic takiego nie słyszała, pytanie z innej beczki było powszechnie stosowaną przez reporterów techniką, która czasami wprowadzała ożywienie do rozmowy.

Nie tym razem jednak.

- Za nic w świecie! Została pani wyprowadzona w błąd. - Daniel Treacy ponownie zamknął się w sobie. - Powracając do zasadniczego tematu naszej rozmowy, panno MacPherson, zapewne nie powinna mieć już pani wątpliwości, że Midge wiodła - i bardzo lubiła -

spokojne życie. Dobrze się czuła sama ze sobą.

Jeśli nieboszczka była zwolenniczką spokojnego życia, to co robiła tamtego wieczora sama na niebezpiecznej autostradzie? Zdecydowanie coś tu nie grało. Jednakże ani moment, ani miejsce nie były odpowiednie do odgrywania roli publicznego oskarżyciela.

- Jaki rodzaj literatury preferowała? - Sky wzięła do ust plasterki mięsa, które zrobiło się już całkiem zimne, i zaczęła je przeżuwać.

- Przeważnie czytywała kobiece powieści; same tego typu bzdety. - Machnął dłonią, jak gdyby dawał do zrozumienia, że zakończył temat.

Sky zakipiała z oburzenia, lecz ponownie ugryzła się w język. I co z tego, jeśli nawet ten facet miał za nic cały ruch feministyczny? Był już przecież blisko siedemdziesiątki. Prze-

łknęła kęs i spytała:

- Dokąd zmierzała pańska żona owego wieczora, panie Treacy?

- Bóg jeden raczy wiedzieć! - westchnął. - Jechała na południe, ale to mało prawdopodobne, żeby się wybierała do Butte. Jak zapewne pani wiadomo, wypadek zdarzył się w pobliżu Mayville, na północ od Libby. Może zamierzała się udać do owego miasteczka, chociaż, o ile wiem, nie miała tam żadnych znajomych ani przyjaciół. Gdybym tylko był wtedy w do-mu! Teraz to już nie ma znaczenia. - Upił pierwszy tego wieczora łyk wina. - Życie składa się z samych „gdyby tylko”, prawda?

Na to pytanie nie było odpowiedzi.

- A co ze szkolnymi kolegami pańskiej żony i jej krewnymi? Proszę mi wybaczyć pytanie, ale czy pani Treacy utrzymywała z kimś kontakty w Stanach?

Ponownie pokręcił głową.

- Do szkoły chodziła jeszcze w Irlandii, a kiedy tu przyjechała, była w ostatniej klasie liceum. O ile wiem, po maturze straciła kontakt ze swymi szkolnymi kolegami. Właśnie dlatego postanowiliśmy ją tam zawieźć. Zostanie pochowana w małej wiosce o nazwie Crossmoli-na. Cała jej rodzina, przyjaciółki oraz wszyscy ci, którzy ją pamiętają, będą mogli wziąć udział w pogrzebie. Zamieściliśmy nekrologi w irlandzkiej prasie.

- Co pan czuje w związku z powrotem do rodzinnego kraju po tylu latach? - Sky doszła do wniosku, że niewiele ma do stracenia, jeśli przesunie trochę słupek bramki. - Oczywiście, okoliczności pańskiej wizyty są smutne...

- I to bardzo. - Dostrzegł coś interesującego na talerzu. - Nie zostanę tam długo. Wracam natychmiast po pogrzebie. Mam tu pilne interesy, które wymagają mojej obecności.

- Nie skorzysta pan z okazji i nie pojedzie z wizytą do rodzinnego domu? Nie odwiedzi pan swoich bliskich?

- Obawiam się, że nie będzie na to czasu. - W końcu podniósł na nią wzrok, lecz jego oczy pozostały ukryte w cieniu. - Uprzedzając pani kolejne pytanie, panno MacPherson, z pewnością niektórzy moi krewni przyjadą na pogrzeb, tak więc będę miał okazję zobaczyć się z nimi. Ale czy moglibyśmy już przestać rozmawiać o mnie?

Sky przyjęła upomnienie i przez chwilę dłużyła w talerzu. Postanowiła odczekać dla przyzwoitości kilka sekund; magnetofon obok koszyka z chlebem nieprzerwanie pracował, nagrywając jedynie gwar sali restauracyjnej.

- Nie mieliście dzieci? - spytała nagle, jak gdyby właśnie to sobie uświadomiła.

- Nie.

Dostrzegła, że dotknęła nerwu, ale nie pozwoliła zbyć się milczeniem.

- Czy brak potomstwa stał się przyczyną przygnębienia pańskiej żony?

- To była jej decyzja. Jestem pewien, że ma już pani wystarczająco dużo materiału, panno MacPherson. - Treacy spojrział znacząco na mały magnetofon.

- Prawie już skończyłam. - Sky nie zamierzała pozwolić, aby ktoś jej mówił, w jaki sposób ma wykonywać swą pracę, choćby nawet sytuacja była wyjątkowo delikatna. - Proszę wybaczyć moją szczerość, ale uderzył mnie brak kwiatów w domu pogrzebowym...

- Takie wyraziłem życzenie - przerwał jej. - Musiałyby tu pozostać. Nie widzę sensu w transportowaniu wieńców przez Atlantyki. I zanim mnie pani zapyta: róża na trumnie pochodziła naprawdę ode mnie.

Reakcją Sky na to wyzwanie było ponowne zarzucenie wędki.

- Czy pańska żona cieszyła się dobrym zdrowiem, panie Treacy? - spytała beznamiętnym tonem. - Nieczęsto widywaliśmy ją w mieście i, jak sam pan podkreślił, w ostatnich latach wołała własne towarzystwo. Czy przypadkiem nie z powodu... słabego zdrowia?

- Kto to pani powiedział? - Oburzenie mężczyzny wyglądało na szczere i Sky zorientowała się, że przekroczyła granicę przyzwoitości.

- Przepraszam, panie Treacy. Nie miałam nic złego na myśli. Zdaję sobie sprawę z te-go, jak bardzo to wszystko musi być dla pana bolesne... ale wiem, że zmarłą oskarżono o prowadzenie auta po pijanemu...

- Nalegam, aby część naszego spotkania poświęcona wywiadowi została zakończona -

powiedział jeszcze w trakcie jej przeprosin, lecz zaraz się opanował. - Skoro pani pyta, moja żona cieszyła się dobrym zdrowiem jak na kobietę koło pięćdziesiątki. To prawda, było jedno oskarżenie, ale nie znajdzie pani nic innego. Nie lubiła tłumów ani zanieczyszczonego powietrza i wybrała, przy mojej pomocy i entuzjastycznym wsparciu, swój własny styl życia. A teraz proszę wyłączyć to urządzenie.

Sky usłuchała prośby. Biedna kobieta spoczywała teraz w trumnie, a jej małżeńskie pe-rypetie nie były sprawą dla dziennikarza... Jednakże początkowe zaskoczenie życzliwością okazywaną przez Treacy'ego podczas tej rozmowy ustąpiło miejsca podejrzeniu, że być może celowo mgliście przedstawił okoliczności towarzyszące śmierci żony. Powstrzymała się jednak od wyrażenia swych wątpliwości.

- Jest mi szczerze przykro, że wytrąciłam pana z równowagi. - Schowała dyktafon do torebki. - Przypuszczam, że wścibstwo jest nieodłączną cechą reporterów, a ja nie należę do *R S*

wyjątków i nigdy nie wiem, kiedy skończyć.

Zmierzył ją ciężkim spojrzeniem, a potem złożył sztućce na talerzu z niemal nietknię-

tym jedzeniem i wyprostował się na krześle.

- Przepraszam, że tak zareagowałem, ale od kilku dni żyję w wielkim stresie. Jestem pewien, że pani to zrozumie.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się, patrząc w jego zimne, ciemne oczy. - Kiedyś, w przyszłości, jeśli nie będzie pan temu przeciwny, chciałabym napisać artykuł o panu, panie Treacy.

- Wykluczone.

Nie spierała się z nim; miała w zanadrzu interesującą historię i postanowiła, że pewnego dnia ją opowie.

- W takim razie, może zgodzi się pan na spotkanie prywatne, abyśmy mogli porozmawiać o moich sprawach rodzinnych? - Nie zniechęciła się ponurym wyrazem jego twarzy. -

Zafascynowały mnie pańskie wspomnienia o mojej babce. Mama wiele mi o niej opowiadała i wciąż otrzymujemy od niej listy. Babka mieszka obecnie w Cork, czy wiedział pan o tym?

- Nie, nie wiedziałem - zaprzeczył, kręcąc głową, a potem zdjął i przetarł okulary.

- Zgodzi się pan? - Sky wykorzystała swą przewagę. - Czasami miło jest spojrzeć na znane sprawy z innej perspektywy.

- Nie będzie magnetofonu? - Podniósł okulary, wystawiając je do światła.

- I absolutnie żadnych notatek, panie Treacy. Będę to uważała za osobistą przysługę z pańskiej strony.

- W takim razie pewnie się spotkamy któregoś dnia. Muszę być w dobrych stosunkach z prasą. - Posłał Sky chłodny uśmiech, lecz zanim zdążyła zareagować, obrzucił wzrokiem jej do połowy opróżniony talerz i powiedział: - Nie chciałbym uchodzić za grubianina, ale czy nie weźmie mi pani za złe, jeśli zrezygnujemy z deseru? Zostawiłem w domu kilku przyjaciół, a jutro, jak się pani domyśla, czeka mnie trudny dzień.

- Przykro mi, że zmarnowało się tak wyborne danie. - Sky wskazała na swoje niedokończone jedzenie. - Tak się jednak złożyło, że podobnie jak pan, nie jestem głodna. Pewnie z powodu przeziębienia. - I zwinęła serwetkę, zadowolona, że zyskała okazję do spotkania w przyszłości.

R S

Rozdział 5

Po wejściu do domu Sky stwierdziła, że powietrze w kuchni gęste jest od dymu z kadzideł; to „Siostry Błogości” odbywały swój seans. Sky nazwała tak trójkę mających zbliżone poglądy przyjaciółek. Sądząc po liczbie kubków, zużytych torebek z herbatą oraz ogarków świec

zapachowych spotkanie trwało już od kilku godzin.

- Greg telefonował podczas twojej nieobecności. - Matka siedziała za Buffy i masowała jej kark. - Kazał powtórzyć, że wszystko już przygotował na piątek.

Wybierali się razem na weekend do domku rodziców Grega nad jezioro Flathead. Sky kochała to miejsce, żałowała jednak, że nie może tam pojechać sama. Buffy, z dwoma kotami na kolanach, wciągała i wydychała nosem powietrze, ale Sky nie czuła się na siłach, aby wysłuchać litanii nieszczęść, jakie ją spotkały, ani ich interpretacji dokonywanej przez pozostałe „Siostry Błogości”.

- Nie wiedziałam, że umówiłyście się na dzisiaj, mamó.

Było wpół do dziesiątej. W pokoju Sky jak zwykle panował straszliwy bałagan i liczyła na to, że znajdzie wolne miejsce przy stole w jadalni, gdzie będzie mogła przepisać notatki i dokończyć artykuł.

- Nie zamierzałyśmy się spotykać, ale wynikła sytuacja kryzysowa. Dzisiaj z Wiscon-R S

sin miał przylecieć syn Buffy. - Johanna nadal ugniatała przyjaciółce kark. - Odwołał jednak telefonicznie wizytę na godzinę przez wyjazdem matki na lotnisko. Buffy nie wiedziała tego chłopaka od czternastu miesięcy. Jak się udała kolacja, Sky?

- Ach, ci młodzi ludzie! Czy któraś z was ma jeszcze ochotę na rumianek?

Hermana wstała z krzesła i stawiając ciężkie kroki, podeszła do pieca, oszczędzając Sky obowiązku odpowiedzi. Spośród tej trójki Hermana reprezentowała najcięższą kategorię.

Ważyla dziewięćdziesiąt kilogramów, miała ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, włosy prosto obcięte i twarz niczym wyszorowany duży talerz, ale pod szorstkim obejściem kryło się olbrzymie serce. Nie była zbyt błyskotliwa; kiedyś, zapytana przez Sky, czy przyjęła swoje imię - którego odpowiednikiem w języku hiszpańskim było słowo „siostra” - w wyrazie hołdu dla ruchu feministycznego, spojrzała tępym wzrokiem i zapytała: „Naprawdę takie jest jego znaczenie?”, a jej twarz pokraśniała z zadowolenia. „Nie, nie dlatego, Sky. Mama i tata bardzo pragnęli chłopca - Hermana, rozumiesz?”. W chwilach kiedy we trójkę nie doprowadzały jej do szału, Sky ją uwielbiała. Podziękowała za rumiankową herbatę i odwróciła się, zamierzając odejść:

- Muszę napisać artykuł. Zrobię to w moim pokoju. Uważajcie na siebie.

- Możesz być spokojna.

Hermana zdjęła folię z pudełka ciastek z ziarnami słonecznika i położyła je na stole.

Sky dzieliła z matką mieszkanie w parterowym budynku; wszystkie pozostałe lokale były wolne od ponad sześciu miesięcy. Taki układ obu bardzo odpowiadał z powodu cienkich jak papier ścian działowych, które nie zapewniały w dostatecznym stopniu prywatności mieszkańcom domu i lokatorzy mimo woli musieli uczestniczyć w nawet najbardziej intymnych przejawach życia najbliższych sąsiadów. Od wielu lat - w okresach kiedy Sky nie marzyła o całkowitym zerwaniu

wszelkich krępujących ją więzów - chciała się stąd wyprowadzić z matką, lecz na przeszkodzie zawsze stawały pieniądze. Johanna nie miała własnych środków finansowych - jej jedyny dochód stanowiła pensja, którą otrzymywała za dwanaście godzin pracy tygodniowo w kawiarni w pobliskim szpitalu. Jej oderwanie od świata, które wszystkich tak bardzo urzekało, dla Sky było kolejnym źródłem irytacji: matka mogła zmywać papierowe talerze i dziesięciokrotnie parzyła herbatę z jednej torebki, ale jednocześnie obdaro-wałyby całą zawartością portfela pierwszego napotkanego włóczęgę lub naciągacza, który zapukałby do drzwi z lawiną wzruszających próśb o jałmużnę.

Dwie pozostałe „Siostry Błogości” pomagały Sky opiekować się Johanną: Buffy była dobrą kucharką i często przynosiła jej coś do jedzenia, a Hermana, której były mąż, targany *R S*

wyrzutami sumienia, płacił znacznie wyższe alimenty od zasądzonych, od czasu do czasu

„gubiła” kilka dolarów w ich mieszkaniu. Uradowana Johanna znajdowała je potem jako swoje, kiedyś położone tam i zapomniane.

Pensja Sky zapewniała im życie na przyzwoitym poziomie, wyższy czynsz oznaczałby jednak poważne ograniczenie w wyprawach do domu towarowego „Franklin”. Sky nie mogłaby też sobie pozwolić na weekendowe wypady za miasto: zarówno z Gregiem, jak i bez niego - a te chwilowe rozłąki z matką, podobnie jak i praca zawodowa, były jej niezbędne, by mogła zachować zdrowe zmysły.

Zamknęła za sobą drzwi, zrobiła miejsce na składanym karcianym stoliku, który służył

jej za biurko, i zabrała się do roboty, usiłując wymazać ze swej świadomości dobiegający z kuchni gwar kobiecych głosów. Nie przejmowała się zbytnio artykułem i od razu na czysto przepisywała nagranie z taśmy. Po upływie godziny, kiedy już niemal uporała się z zadaniem, usłyszała, że terapia w kuchni dobiegła końca. Doszły ją pożegnalne słowa oraz trzaskanie drzwiczek samochodowych. Obie bratnie dusze Johanny mieszkaly przy Flats, ulicy położonej około półtora kilometra dalej, w innej dzielnicy miasta.

Gdy wreszcie notatka o pani Treacy była gotowa, Sky poczuła się senna z powodu wcześniej wypitego wina. Wstała zza stołu i wykonała kilka ćwiczeń rozciągających - w pewnym sensie niebezpiecznych z powodu braku miejsca na podłodze - a potem poszła do kuchni, żeby sobie przygotować ostatnią filiżankę kawy bez kofeiny.

Johanna przyglądała się w rozmarzeniu własnemu odbiciu w ciemnej szybie okiennej.

Podziękowała, gdy córka zaproponowała, że zrobi jej coś do picia i zaczęła nawijać na wskazujący palec pasmo kręconych włosów. Zwykle odruch ten wskazywał na zdenerwowanie.

- Dzisiejszy wieczór jest niesamowity, Sky. Dzieje się coś naprawdę tajemniczego. Od lat nie myślałam o twoim ojcu, a on, ni stąd, ni zowąd, znowu tu jest.

- Gdzie, mamó? Przepraszam. - Riposta Sky była automatyczna. - Co pomyślałaś w związku z tatą?

- Z całą pewnością przebywa gdzieś w pobliżu... - Johanna coraz szybciej nawijała włosy. - Bardzo

silnie wyczuwam jego obecność.

- Och, daj spokój, mamó, nie bądź nieznośna. - W tym momencie Sky spostrzegła, że Johanna ma niepewną minę. Taka postawa była dla niej nietypowa.

- Chcesz o tym porozmawiać? - Zalała wrzątkiem brązowy proszek i zaniósła kubek do stołu.

R S

- Niekoniecznie. - W głosie matki zabrzmiał smutek. Podeszła do córki i usiadła obok niej. - Sądzę, że na mój nastrój wpłynęły przejścia Buffy. Obojętność to choroba młodych mężczyzn.

- Czy właśnie takie są twoje odczucia wobec taty?

Podczas ostatniej wizyty u ojca przed blisko ośmioma laty, wkrótce potem gdy wróciła z Chicago do Montany, Sky stwierdziła, że Larry MacPherson wiezie szczęśliwe, samotne życie, na które zarabia, oprowadzając bogatych klientów po swych ukochanych terenach łowiskich i wędkarskich.

Oboje rodzice, kiedy się poznali, byli członkami komuny. Nie wzięli ślubu, ponieważ woleli, co często zwykła podkreślać matka Sky, zachować nieskażone wspomnienia o wspólnym czasie spędzonym razem. Rozstali się w przyjaźni: Larry miał wtedy zaledwie osiemnaście lat i do czasu narodzin Sky zwlekał z wyjazdem na północ: najpierw na Alaskę, a potem do północno-zachodniej Kanady, gdzie przez jakiś czas pracował, nim osiedlił się w koń-

cu w pobliżu Yaak, w Montanie, u zbiegu zachodniej granicy Kanady z północnym rejonem stanu. Do czasu dwudziestych pierwszych urodzin Sky przysyłał Johannie pieniądze - sporadycznie, lecz tyle, na ile go było stać.

- Może dzisiaj zatęskniłaś za nim? - Sky skrzywiła się, upijając łyk gorzkiej kawy, sięgnęła po cukiernicę i posłodziła napój.

- Nie pojmuję, jak ci się udaje zachować dobrą sylwetkę, Sky - westchnęła matka. -

Nie, nic z tych rzeczy. Nawet gdybym ponownie stanęła przed decyzją zerwania naszego związku, zrobiłabym to samo. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Przypuszczam, że to hormony, kochanie. Weszłam w okres menopauzy, podobnie jak Hermana.

- Nie pleć głupstw, mamó. To do ciebie niepodobne.

- Wiem. - Johanna podniosła się z miejsca, aby zmieść okruchy ze stołu. - Może to ta dzisiejsza burza. Coś jest bliskie rozłamu, mam wyraźne przeczucie! - Nieznacznie się wzdrygnęła. - Uważaj, starzy ludzie powiadają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Ach, te twoje irlandzkie porzekadła! - Sky lubiła owe chwile zawieszenia broni, kiedy matka irytowała ją nieco mniej niż zwykle. - Pozwól, że ci pomogę. I tak jest za gorąca. - Odstawiła kawę, wzięła ścierkę i zgarnęła do nadstawionej dłoni okruchy po ciastkach. - Posłuchaj, mamó... - Nie

chciała zrywać rozejmu i zawahała się, rozważając w myślach najlepszy sposób, by poruszyć zaprzatający jej umysł temat. W końcu wypaliła wprost: - Wygląda na to, że Daniel Treacy wiele wie o naszej rodzinie. Nawet o tacie. Jak to się stało, że nigdy o nim *R S*

nie wspomniałaś?

- Nie miałam pojęcia, że zna twojego ojca.

Coś w głosie matki skłoniło Sky do przerywania akcji ze ścierką. Zerknęła na Johannę, która stała odwrócona bokiem i znowu przenikała wzrokiem ciemności spowijające parking za oknem. Jej odpowiedź była wyjątkowo wymijająca.

- Mamo! Co jest grane?

- Dobrze wiesz, że niemal wszyscy Irlandczycy w Butte pochodzą z tego samego regionu kraju co ja. Nic zatem dziwnego, że się znamy - i że się nawzajem znaliśmy.

Sky pośpiesznie przeanalizowała w myślach daty: jeśli jej matka przybyła tutaj w 1954

roku w wieku szesnastu lat, a Daniel Treacy wyemigrował z Irlandii przed czterdziestoma ośmioma laty, w 1944 roku, zatem kiedy opuszczał swoją rodzinną miejscowość, był dwu-dziesięcioletnim młodzieńcem, a Johanna liczyła sobie wtedy zaledwie sześć lat.

- Dlaczego utrzymywałaś przede mną w tajemnicy tę znajomość? I nigdy wcześniej o nim nie wspomniałaś? Dzisiaj wieczorem dałaś mi do zrozumienia, że go w ogóle nie znasz...

- Nic podobnego! - oburzyła się Johanna. - Czy kiedyś mnie o niego pytałaś? Nigdy nie wspominałaś o nim w naszych rozmowach.

Sky rzuciła ścierkę.

- Mdli mnie od wysłuchiwanie historii o Laherseen i całej reszcie, o mojej babce i nie-ocenionym wuju Franceyu!

Brat Johannы, Francis Sullivan, był jedynym z klanu, któremu powiodło się w życiu, obecnie uchodził za człowieka zamożnego i od dawna obiecywał odwiedzić amerykańskich krewnych.

- Posłuchaj, mamo. - Sky opadła na jedno z kuchennych plastikowo-chromowanych krzeseł. - Znam imiona twoich dawnych sąsiadów, koni, krów, psów, a nawet jakichś tam cholernych kurczaków. Jak to się stało, że z twoich ust nigdy nie padło nazwisko jednego z najbardziej wpływowych obywateli tego miasta?

- Mogłabyś trochę poskromić swój język, kochanie! Już ci wyjaśniłam, po prostu nigdy mnie o niego nie pytałaś. - Kiedy Johanna obróciła się twarzą do córki, ta spostrzegła jej zaci-

śnięte usta.

- Nie myśl, że na tym zakończymy naszą rozmowę. - Nadstawiła policzek, aby matka pocałowała ją na dobranoc.

- Jestem zmęczona, idę do łóżka. - Johanna położyła palec na ustach. - Już późno. Jutro *R S*

porozmawiamy. Gwiazdny Pył! Księżycowy Tancerz! Chodźcie, chłopaki! - I wyszła z kuchni, a za nią dwa koty z uniesionymi w górę ogonami.

Nazajutrz wczesnym ranem Sky, oddawszy swój tekst, zawiadomiła szefa, że wybiera się do zakładu pogrzebowego, aby wziąć udział w modlitwach przed wyprowadzeniem zwłok.

Jimbo był zaskoczony.

- Potrzebujemy tylko dwóch nazwisk: księdza oraz głównego żałobnika i już je znamy.

Nie musisz tam jechać.

- Ale pojedę, bo mam na to ochotę. - Była zła na siebie, że wspomniała o swych zamiarach.

- Rób, jak uważasz. - Naczelnny wzruszył ramionami i podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

Zgodnie z oczekiwaniami Sky w domu pogrzebowym panował tłok. Choć do zaplanowanej na dziesiątą uroczystości pozostało jeszcze sporo czasu, w kaplicy nie było już miejsca i Sky musiała zostać na korytarzu. Stała pod ścianą, czując napór zgromadzonego tłumu.

Wymieniła zdawkowe grzeczności z innymi reporterami, których twarze rozpoznała wśród ciemnych garniturów. Zastanawiała się, gdzie obecnie przebywa Mary Dorothy Treacy i co pomyślałaby, gdyby mogła zobaczyć tę manifestację ogólnego szacunku, o który nigdy nie zabiegała, i którego nigdy nie okazywano jej za życia.

Daniel Treacy przybył punktualnie o dziesiątej. Nadskakujący właściciel domu pogrzebowego przeprowadził go przez zatłoczony korytarz. Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego pod ścianą Sky przyglądała się zachowaniu wdowca, jak gdyby w myślach pisała o nim barwny artykuł. W jednej chwili wcieliła się w rolę podekscytowanego podglądacza. Cokolwiek ów człowiek myślał i czuł tego ranka, nie chciał, aby inni to dostrzegli. I gdy Bill Collins torował mu drogę w kaplicy, szedł ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie ponad głowami gapiów. Kilku żałobników próbowało okazać mu współczucie, gdy ich mijał, lecz sprawiał wrażenie, że tego nie dostrzega.

Z wnętrza kaplicy dobiegł szmer modlitw, a Sky ponownie nie mogła się oprzeć zdumieniu, gdy nigdzie wokół nie dostrzegła matki. Johanna, choć nie należała do osób regularnie uczęszczających do kościoła, uchodziła za jedną z najbardziej aktywnych działaczek grupy wspierającej wszelkie religijne organizacje w Butte. I na równi z pozostałymi „Siostrami Błogości” zawsze skwapliwie uczestniczyła we wszelkich zbiórkach, piekła ciasta na wenty dobroczynne i brała udział w pogrzebach osób, z którymi w przeszłości nawet nie była w zbyt *R S*

zażyłych stosunkach.

- Przecież znasz tego człowieka, pochodzi z twojej rodzinnej miejscowości, mamo. -

Sky zakładała, że matka razem z nią wybierze się na uroczystość żałobną.

- Nie, chyba tam jednak nie pójdę. - Johanna skupiła się na misce pełnej orzechów i nasion. - Wesprę myślami ową nieszczęsną istotę. To wystarczy.

Jeśli Sky potrzebowała dowodu przemawiającego za tym, że nie powinna zaniechać wysiłków, by odkryć to, co matka wie o Danielu Treacym oraz jego żonie, to właśnie ów do-wód uzyskała. Pamiętała jednak, że Johanna potrafi być, na swój słodki sposób, straszliwym uparciuchem, dlatego zaniechała dalszego przesłuchiwania.

Gdy w kaplicy monotonie pobrzmiwał ostatni dziesiątek różańca, Sky zastanawiała się, czy powinna się udać wraz z konduktem żałobnym aż na lotnisko. Miała wielką ochotę naocznie się przekonać, jak wygląda dalsza procedura – czy trumnę załaduje się na pokład samolotu niczym skrzynię z owocami? A może sposób przewożenia zwłok określają odrębne przepisy, jak w przypadku transportowania do kraju ciał poległych żołnierzy? Po namyśle postanowiła jednak nie uczestniczyć w dalszej części ceremonii: była zdecydowana dopilnować, żeby Daniel Treacy dotrzymał obietnicy udzielenia jej wywiadu - oczywiście po upływie stosownego czasu - a gdyby okazała teraz zbyt wielkie zainteresowanie jego osobą, mogłaby go wystraszyć.

Modły dobiegły końca i Collins, wspomagany przez Teddy'ego Morzsansky'ego, zrobił

przejście wśród ludzi zebranych na korytarzu przed kaplicą, aby można było przenieść trumnę do czekającego na zewnątrz karawanu. Aleja przed budynkiem jaśniała od błysków fleszy, światło odbijało się od chromu, bocznych lusterek, metalicznych lakierów karoserii samochodowych, a także od połyskujących zegarków, biżuterii, złota na nadgarstkach i w uszach oraz mieniącego się żwiru pod stopami. Przelotna poranna burza nadała powietrzu świeżość i zapowiadał się bezchmurny letni dzień.

Co czekało Midge Treacy w jej rodzinnym hrabstwie Mayo? Zapewne zimna, wilgotna i gliniasta ziemia, która miała się zamknąć nad zmarłą, niczym nieprzepuszczający powietrza koc. Sky odwróciła się, żeby obserwować trumnę ładowaną przez tylne drzwi do karawanu.

Czy tego by biedaczka pragnęła?

Reporterskim zmysłem wyczuwała zniecierpliwienie Daniela Treacy'ego, choć jego twarz nadal miała kamienny wyraz, kiedy wymieniał przelotne uściski dłoni lub dziękował

skinieniem głowy, przyjmując kondolencje od kolegów, podwładnych oraz ich starannie R S

ubranych żon. Gdy tylko dolna połowa dwudzielnych drzwi karawanu została zamknięta, podszedł energicznym krokiem do pierwszej w kondukcje limuzyny i zajął w niej miejsce.

Niezwykle wyczulonej Sky ów pośpiech wydał się również niestosowny. W końcu lot nie był rejsowy i nie musieli zdążyć na samolot. Wiedziała, że trumna ma zostać przetransportowana

jednostką należącą do prywatnej linii spółki Treacy'ego. Daniel Treacy sprawiał wrażenie, jak gdyby już zakończył sprawę ze swoją żoną i pragnął przejść do kolejnych interesów.

Gdy karawan i limuzyna ruszyły wolno spod domu pogrzebowego, tłum się rozstał, tworząc po obu stronach alei ciemny, nieregularny szpaler. Wyglądało na to, że na lotnisko uda się bardzo nieliczny kondukt, a Sky nie po raz pierwszy zadumała się nad brakiem współ-

zależności pomiędzy pieniędzmi a szczęściem.

Stwierdziła, że stoi obok Teddy'ego i Melindy Morzsanskich. We trójkę tworzyli małą grupę, nieco odsuniętą od reszty żałobników po tej samej stronie alei. W chwili kiedy limuzyna ich mijała, Sky, wciąż hołdując absurdalnemu wyobrażeniu, że zawód dziennikarki gwarantuje jej niewidzialność, intensywnie wpatrywała się w pojazd, aby po raz ostatni zobaczyć w przelocie Daniela Treacy'ego. Pomimo lekko przyciemnionych szyb, zdołała dostrzec jego twarz. I w tym momencie ich oczy się spotkały.

Małe włoski na karku Sky nieznacznie się uniosły. Nie miała już teraz wątpliwości, że jej obecność jest dla wdowca krępująca. Była tak poruszona tym odkryciem, że nie spostrzegła dwóch żałobników, którzy, w stosownych do okoliczności strojach i ze schludnymi fryzuraми, oderwali się od tłumy i zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę zaparkowanego na końcu alei niepozornego, beżowego sedana.

„Za jedyne 23,95 \$, kup tacie sześć płynów do mycia!” - Sky i Grega uderzył krzykliwy napis na transparencie umieszczonym nad stacją benzynową w Poison. Miasteczko leżało nad południowym brzegiem jeziora Flathead. Reklamowane opakowanie, zawierające sześć butelek płynu do mycia samochodu, było czymś błyskotliwym pomysłem na oryginalny upominek z okazji Dnia Ojca.

- Masz zamiar coś kupić tacie na dwudziestego trzeciego?

Sky spojrzała z ukosa na swego chłopaka, który zwykł prowadzić samochód, oględnie mówiąc, w niedbały sposób. Stopę w kowbojskim bucie oparł na tablicy rozdzielczej obok kierownicy, którą trzymał jednym palcem.

- Co takiego? - Zdjął kapelusz, otarł ramieniem czoło wzdłuż linii zbierającego się po-tu, i ponownie włożył go na głowę. - Chyba żartujesz! Miałbym go jeszcze obdarowywać?

R S

- Uspokój się, tylko pytałam.

Nie była w nastroju do rozmów ani tym bardziej do kłótni. Tak się złożyło, że pomy-

ślała o własnym ojcu, zanim jeszcze zobaczyła ów napis. Otwarte przestrzenie Montany - być może najbardziej charakterystyczne dla tego właśnie stanu - zawsze przypominały Sky o beztróskim duchu, jakim był jej tata. I choć nie miała zwyczaju kontaktowania się z Larrym w Dniu Ojca, pomyślała, że czas do niego napisać. Ich ostatnia wymiana korespondencji pochodziła z okresu Bożego Narodzenia.

- Coś taka naburmuszona? - Greg skierował samochód na parking przed sklepem spo-

żywym. - Możemy zrobić zakupy?

- Przecież zawsze się tutaj zatrzymujemy. - Bez entuzjazmu otaksowała wzrokiem witrynę sklepową oraz piętrzący się za szybą stos arbuzów. - I wcale nie jestem naburmuszona.

- Mnie nie zdołasz oszukać! - stwierdził Greg, wyłączając silnik. - A teraz rusz swój zgrabny tyłeczek, kobieto!

- Wołałabym... - Sky umilkła. - Nieważne. - Wyskoczyła z kabiny pojazdu i zatrzasnęła drzwiczki. - Weź wózek i chodź za mną.

Zbyt łatwo można go było dotknąć. Poza Grega odzwierciedlała jego niepewność. Milczenie partnerki sprawiało, że czuł się nieswojo, a Sky zdawała sobie sprawę z tego, że podczas tej podróży była wyjątkowo małomówna.

Choć nigdy nie zdobył się na odwagę, aby ją poprosić o rękę, Sky doskonale wiedziała, że bardzo chciałby się z nią ożenić. Miał za sobą kilkanaście nieudanych związków z kobietami i najwyraźniej był zdumiony, że pomimo swego atrakcyjnego wyglądu, zainteresowanie płci przeciwnej jego osobą trwa zazwyczaj bardzo krótko. Sky nie mogła znieść wyrazu bólu w oczach Grega i głównie z tego powodu zawsze wracała do niego po każdej próbie zerwania. Nie liczyła na to, że ów facet kiedykolwiek stanie się twardzielem - był jednak człowiekiem prostolinijnym i miał łagodne serce. Porzucenie go równałoby się wypalaniu rozżarzo-nym żelazem piętna ukochanemu zwierzakowi.

- Może masz rację i rzeczywiście jestem w trochę smętnym nastroju. Wybaczysz mi? -

Wzięła go za rękę i znowu poczuła wyrzuty sumienia na widok wyrazu ulgi, jaki przemknął przez twarz Grega. Musiał jednak zaraz wszystko popsuć:

- Pewnie, że ci wybaczam, dziecino!

- Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę? - Pociągnęła go za rękę i odwróciła przodem do siebie.

R S

- Słucham!

- Czy nie mógłbyś, wyjątkowo, przez ten jeden weekend, zrezygnować ze swego koszmarnego, zachodniego slangu? I zanim zapytasz, o co mi chodzi, powiem, że mam na myśli wszystkie twoje bardzo męskie określenia, typu: „dziecino, kobieto” itd. Jestem dzisiaj nieco rozdrażniona i łatwiej zdołalibyśmy się dogadać, gdybyś wyrzekł się swoich języko-wych męskich przyzwyczajęń.

Greg sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Oczywiście - odrzekł po chwili wahania. - Przepraszam cię, Sky. Nie przypuszcza-

łem, że jest aż tak źle.

- Wcale nie jest. - Nie zamierzała dłużej roztrząsać tego tematu. - Przynajmniej na razie. Zapomnijmy o tym, zgoda?

Odwróciła się i weszła pierwsza do sklepu, żeby nie dawać swemu towarzyszowi kolejnej Okazji do pokazania, jak bardzo czuje się dotknięty, przez co ogarnęłyby ją jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Zaopatrzyli się w piwo, wyborne sałatki mięsno-jarzynowe, chrupki ziemniaczane, so-sy do grilla, węgiel drzewny, steki, kielbaski, chleb, ciastka oraz paczkę batoników Snickers, do których oboje mieli ukrytą słabość. Gdy wyszli ze sklepu i znaleźli się w świetle słońca, byli objuczeni tak ogromnymi zapasami żywności, że starczyłoby ich na wykarmienie podczas tego weekendu małej armii.

Chata była usytuowana w odległości dziesięciu kilometrów od miasteczka, na końcu biegnącej przez las prywatnej drogi. Czasami, kiedy Sky uzmysławiała sobie, ile czasu zabiera im dojazd tutaj z Butte, dochodziła do wniosku, że oboje z Gregiem muszą być stuknięci. A jednak, pomimo długiej podróży i niezwykle wczesnej pory wstania z łóżka, Sky po dotarciu na miejsce nigdy nie mogła się nadziwić własnemu szczęściu, że znajduje się w tak czarownej okolicy. Pociuszająca była też świadomość, że nie oni jedni zachowują się w tak irracjonalny sposób, by prawie tyle samo czasu spędzać w drodze, ile w chacie nad jeziorem. Większość znajomych właścicieli okolicznych domków była w podobnej sytuacji. Należało to do typowo amerykańskich obyczajów.

Greg wprowadził auto na małą polanę i oboje zanieśli zakupy do położonego tuż nad wodą domu. Pierwsze, co zwykle robiła Sky po przybyciu, było to otwarcie wszystkich okien i drzwi od strony jeziora, a następnie spacer przez wąski, zbudowany na słupach pomost. Ilekroć stanęła przy balustradzie, miała wrażenie, że znajduje się na dziobie małego, zakotwi-R S

czonego statku. I chociaż obszar wokół jeziora był zabudowany, nie wywoływał poczucia ciasnoty dzięki gęsto zalesionym granicznym pasom pomiędzy działkami oraz przestronnym terenom wokół domów. Zaczęło się zmierzchać - Sky i Greg wyjechali dzisiaj z Butte później niż zwykle. Ponad drzewami unosiły się spiralnie w powietrzu smugi dymu z ognisk rozpalonych wzdłuż brzegu.

- W porządku, dziecino...? Przepraszam, w porządku, Sky? - Greg stanął za jej plecami i objął ją w pasie. - Chcesz snickersa?

- Pewnie. - Wzięła batonik i oparła się plecami o tors mężczyzny, mając nadzieję, że Greg nie zakłóci owej chwili błędnego spokoju i nie rozpocznie od razu gry miłosnej. - Cudowny wieczór, nie sądzisz?

- Głodna? - spytał, ściskając ją mocniej w talii.

- Na razie nie. - Nie zareagowała fizycznie na jego bliskość. - To mnie nasyci - stwierdziła, rozpakowując czekoladowy batonik. - Postójmy przez chwilę i nacieszmy się nią. Jest uroczo.

- Oczywiście. - Cofnął się nieco, pragnąc uszanować jej refleksyjny nastrój.

Rozkoszując się orzechowym smakiem batonika, Sky schrupała snickersa. Pragnęła, aby spokój tego miejsca przeniknął jej duszę. Kiedy słońce zanurzyło się za wzniesienie za domem, śnieżne czapy górskiego łańcucha Mission na południowym wschodzie spowiła ró-

żowa poświata, zerwał się lekki wiatr i uniósł chwasty rosnące pomiędzy deskami pomostu, na którym stali.

W oddali, na szybko ciemniejącej wodzie, samotna motorówka wydawała dźwięki niewiele donośniejsze od brzęczenia komara, ciągnąc za sobą narciarza. Nagle jadący fikał

kozła i zanim zniknął z pola widzenia, na tle mrocznego drzewa zjaśniał jaskrawy błękit jego kombinezonu. Łódka zwolniła natychmiast i nieśpiesznie, niczym kwoka okrążająca swe kurczę zatoczyła szeroki łuk, a potem z cichym poszumem silnika podpłynęła do miejsca postoju, oddalonego jakieś czterysta metrów od ich chaty. Kiedy łódź zbliżała się do brzegu, na powitanie wybiegł w podskokach pies i Sky usłyszała czyjś śmiech, przytłumiony przez odległość. Płynący przycumowali łódź, a potem pobiegli w głąb nabrzeża, ścigani przez uradowanego zwierzaka. Liście młodej, zakorzenionej w wodzie wierzby, którą Sky i Greg mieli przed sobą, zdrząły srebrzyście pod wpływem fali, docierającej z opóźnieniem do drzewa.

Na przeciwległym brzegu zaczęły błyskać światła w porcie i domach, a ciemny szpaler drzew otaczających małą zatokę upstrzyły złote punkty.

R S

- Szczęśliwa?

Poczuła ciepły oddech Grega na szyi. Gdy odwróciła się, żeby go pocałować, zdołała zapanować nad własną małostkowością. Zdecydowanie czuła się szczęśliwa - przynajmniej w tym momencie.

Weekend, jak wszystkie weekendy nad jeziorem Flathead, upłynął im szybciej niż jeden dzień w mieście. Przyjechali w piątkowy wieczór, a nagle nadeszła pora niedzielnego lunchu i już trzeba było wyjeżdżać.

- Żałuję, że nie masz bardziej elastycznych godzin pracy. - Greg, który pracował w sklepie monopolowym ojca, miał pod tym względem przewagę.

- Powiedz to redaktorowi naczelnemu „Couriera”. - Pomimo mieszanych uczuć do Grega, Sky opuszczała to miejsce równie niechętnie jak on. - Może powinni przenieść ze środy na czwartek dzień wydawania pisma, żeby nas zadowolić?

- Też coś! - Chwycił ją w objęcia. Sky pocałowała go, lecz zaraz się odsunęła.

- Lepiej już się zbierajmy! Nawet jeśli zaraz stąd wyjedziemy i tak nie wrócimy do domu przed północą.

- Jasne. - Odwrócił się tyłem, żeby zapiąć paski plecaka.

Widok ramion Grega zrobił na niej silne wrażenie. Przez cały weekend jej towarzysz zachowywał się bez zarzutu, był delikatny w łóżku - o wiele bardziej czuły, niż się tego spodziewała - i nie mogłaby na nic się uskarżać. W każdej rozmowie jednak krążył wokół tematu ich wspólnej przyszłości niczym wygłodniały wilk i Sky wiedziała, że prędzej czy później ta kwestia zostanie postawiona na ostrzu noża. Oboje o tym wiedzieli i dostrzegali ową świadomość w sobie nawzajem. Sprawa ta łamała Sky serce - nie chodziło jej oczywiście o siebie, lecz o Grega.

Zmęczona, weszła o pierwszej w nocy do mieszkania. Johanna zostawiła nad kuchenką zapalone światło - sygnał, że jest dla Sky pilna wiadomość.

Początkowo nie zamierzała nawet szukać kartki, sądząc, że to coś od szefa. Potem jednak, biorąc pod uwagę jakieś niespodziewane polecenie na wczesne przedpołudnie, ciężkim krokiem podeszła do tablicy z notatkami.

Telefonował pan Daniel Treacy w sprawie wywiadu. Prosił, żebyś skontaktowała się z nim rano w poniedziałek w jego biurze. Do zobaczenia podczas śniadania. Johanna, XXX.

R S

Nigdy nie podpisywała się „mama”, nawet kiedy Sky była jeszcze w szkole podstawowej i błagała ją, żeby spróbowała być taka jak inne matki.

Przed udaniem się na spoczynek Sky dokonała podsumowania danych, które uzyskała o Danielu Treacym. Zwyczaj ów przyciągał mocny sen, bez względu na to, jak bardzo niespokojne były jej myśli wieczorem w przeddzień oczekujących ją wyzwń. Jeśli to, co musiała zapamiętać, zostało zapisane lub nagrane, odzyskiwała spokój umysłu.

- Do dzieła!

Włączyła małe urządzenie i przedyktowała zdobyte informacje. Wysunęła też sugestie, gdzie szukać innych wzmianek oraz z kim się najlepiej skontaktować w związku z wydarzeniami z przeszłości. Stwierdziła nagle, że chcąc nie chcąc, wylicza fakty, które nie dają jej spokoju w związku ze śmiercią żony Treacy'ego: na przykład podana w prasie wiadomość, że nieboszczka jechała na południe, prawdopodobnie do Butte, oraz że nie powiadomiła nikogo o swym przyjeździe. A przecież wypadek zdarzył się w środku nocy i nie mogła dojechać do celu bez zatrzymania się na nocleg. Gdzie więc zamierzała przenocować?

Sky zatrzymała dyktafon i postanowiła zebrać wszystkie wiadomości na temat Midge Treacy. Po chwili ponownie go uruchomiła:

- Po pierwsze, była młodą kobietą, o wiele młodszą od męża. W jaki sposób znalazła się w Montanie? I w Stanach? Czy się zajmowała, zanim poznała Treacy'ego?

Mała taśma obracała się powoli, a Sky usiłowała sobie przypomnieć, czy w materia-

łach, do których już zdołała dotrzeć, była jakaś wzmianka na temat zawodu zmarłej. Jeśli by-

ła, przemknęła niezauważona, choć prawdę mówiąc, Sky niczego takiego nie szukała. Zakładając, podobnie jak wszyscy, że Mary Dorothy Treacy, z domu Shelton, interesowała opinię publiczną jedynie jako żona znanego biznesmena.

- Po drugie, kiedy przyjechała do Ameryki? - mruknęła Sky. - Jej mąż twierdzi, że tutaj ukończyła ostatnią klasę liceum. Zatem w momencie przybycia do Stanów była niepełno-letnia. Jednocześnie Treacy utrzymuje, że wszyscy jej krewni mieszkają w starym kraju i że tam uczęszczała do szkoły podstawowej. Co było powodem zmiany szkoły? Została nagle osierocona i wysłano ją tutaj? A może miała jakichś sponsorów? - Sky ponownie wysiliła umysł w poszukiwaniu odpowiedzi oraz wzmianek, które mogła pominąć w materiałach zgromadzonych przed napisaniem notatki pożegnalnej, ale niczego sobie nie przypomniwała. - Po trzecie, warto zapytać, dlaczego różowa róża? - Po czwarte...

Nacisnęła guzik stopu, a po kilku sekundach całkiem wyłączyła dyktafon i leżąc na *R S*

łóżku, zapatrzyła się w sufit. Miała przeprowadzić wywiad z Danielem Treacym, a nie wypytywać go na temat zmarłej żony. A jednak rozum podpowiadał jej, że najbardziej interesujący jest związek tego mężczyzny z żoną, a potem jego stosunek do jej śmierci. Czwarte pytanie, jakie zamierzała nagrać, dotyczyło ewentualnego istnienia trzeciej osoby w tym małżeństwie.

Czy nieśmiała Midge Treacy miała kochanka? Może wcale tamtego wieczora nie jechała do Butte, jak podawała prasa, lecz na spotkanie z nim? Lub nią?

I czy to był powód, który wyjaśniał, czemu róża nie była czerwona? Ponieważ Treacy wiedział o romansie żony? Czy wśród tłumu zgromadzonego w kaplicy domu pogrzebowego był ktoś, kto się trzymał na uboczu lub wydawał się bardzo zrozpaczony? Sky nie zauważyła nikogo takiego. Położyła magnetofon na nocnym stoliku, odwróciła się na bok i zapatrzyła na drzewa za oknem. Dała się ponieść fantazji. Co *R. Sky MacPherson* mogło obchodzić to, czy pani Treacy miała kogoś na boku, skoro biedaczka już nie żyła?

Kiedy Sky zapadała w sen, jej umysł wciąż zaprzętało pytanie o podstawowym znaczeniu: Czemu Daniel Treacy, zwykle tak niechętny wywiadam, objawił nagle tyle zapału do przeprowadzenia rozmowy?

Rozdział 6

Czy mogę to już schować, sir?

Wysoki urzędnik pałacowy, w przewidzianym protokołem wieczorowym stroju, wyciągnął rękę, ażeby odebrać wycinek prasowy, który księżę Walii właśnie przeczytał z uwagą.

Obaj mężczyźni zostali odwiezieni do domu po oficjalnej kolacji w *Giuldhall*.

Notatkę wręczył księciu jeden z obecnych przy stole gości podczas dyskusji na temat ornitologii. Mało kto wiedział, że następca tronu brytyjskiego, słynny akwarelista i miłośnik natury, należy do grona owych szaleńców, którzy bez chwili namysłu wybraliby się nawet na koniec świata, ażeby

zobaczyć rzadki okaz ptaka.

Przed złożeniem wycinka urzędnik pobieżnie obrzucił go wzrokiem: wszystko wskazywało na to, że irlandzkie Muzeum Historii Naturalnej przygotowuje wystawę, której największą atrakcją ma być nowy eksponat: eskimoski kulik.

W MUZEUM OCZEKIWANE SĄ TŁUMY MIŁOŚNIKÓW PTAKÓW

...Pracownicy muzeum już są oblegani, gdyż ornitolodzy z całego świata pragną się *R S*

dowiedzieć, kiedy będzie można podziwiać ptaka. „W chwili obecnej odczuwamy niedobory personelu” - oświadczył ubiegłego wieczora rzecznik prasowy muzeum, upatrując przyczyny owych trudności w generalnej tendencji do zmniejszania zatrudnienia w urzędach publicznych. - „Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że mamy właśnie okres urlopowy”.

Urzędnik pałacowy wiedział, podobnie jak wszyscy, że księcia zawsze bardzo interesowała mistyczno-duchowa strona ludzkiej egzystencji. I podejrzewał, że przekazanie następcy tronu owej informacji, w chwili kiedy rozważał możliwość przyjęcia zaproszenia do Dublina i udania się tam z pierwszą wizytą, nie było przypadkowe.

Dubliński oddział Amnesty International organizował międzynarodową konferencję, której największym wydarzeniem miało być pierwsze pojawienie się w Europie Naboom'a Kebelego - Nelsona Mandeli środkowoafrykańskiego Kamanu. Kraj ten nie tylko odzyskał

niepodległość i wyrwał się spod brytyjskiej władzy, ale również zamknął okres wyniszczają-

cych domowych, plemiennych wojen. Kebele przebywał w więzieniu dłużej nawet niż Mandela, i podobnie jak ów działacz z Afryki Południowej, im bardziej był prześladowany, tym większy zyskiwał szacunek. Pomimo ogromnych nierówności społecznych panujących w jego kraju przewodniczył ruchowi pokojowemu, którego punktem kulminacyjnym było podpisanie po czterdziestu latach niepokoju porozumienia w sprawie powszechnych wyborów.

Urzędnik pałacowy, który był stanowczo przeciwny wizycie księcia w Irlandii ze względów bezpieczeństwa, wiedział, że następca tronu darzy ogromnym szacunkiem afrykań-

skiego przywódcę, pomimo jego częstych antybrytyjskich wystąpień, i chętnie poznałby go osobiście. Niejednokrotnie wyrażał też pragnienie odwiedzenia irlandzkiej republiki. Jednak od 1922 roku, to jest od chwili utworzenia owego państwa, żaden następca tronu brytyjskiego nie złożył wizyty w Irlandii, nawet w celach prywatnych. Urzędnik pałacowy podejrzewał, że zaproszenie organizacji Amnesty International zostało wysłane tylko dla żartu i nikt z organizatorów konferencji ani przez chwilę nie przypuszczał, że zostanie przyjęte. Wobec nieustającej kampanii przemocy, prowadzonej z ogromną zażartością w Irlandii Północnej, najważ-

niejszymi argumentami przemawiającymi przeciwko tej wizycie były wątpliwości, czy Irlandczycy zdołają zagwarantować księciu bezpieczeństwo.

Urzędnik westchnął, odkładając na bok złożony wycinek. Wiedział, że owa wiadomość umocni

następcę tronu w postanowieniu wyjazdu do Dublina.

Sky bardzo prędko uzyskała odpowiedź na pytanie, w jakim celu Daniel Treacy do niej telefonował.

Nazajutrz rano, kiedy czekała na połączenie z jego biurem, jak zawsze próbowała wy-

obrazić sobie sceneryę po drugiej stronie linii. Znała z poprzednich wizyt siedzibę spółki Treacy'ego, która mieściła się w skromnym budynku ze stali i szkła na rogu ulic Prospect i Park, nieopodal Wyższej Szkoły Technologii Mineralów. Jednak dotychczas zawsze była tu wysy-

łana służbowo - kiedy, na przykład, komórce informacyjnej towarzystwa z jakiegoś powodu zależało na obecności przedstawicieli prasy. Nigdy jednak nie przebywała nigdzie więcej po-za miejscami ogólnie dostępnymi w budynku. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że gabinet szefa ma prosty, a jednocześnie zamożny wystrój, i że jest połączeniem dobrego smaku z osiągnięciami najnowszych technologii oraz absurdalnie zaprojektowanymi meblami.

- Dziękuję, że zechciała pani do mnie zatelefonować, panno MacPherson. - Biznesmen był na linii.

Zwykle podczas tego typu rozmowy Sky tchnęłaby w swą odpowiedź tyle ciepła, że wystarczyłoby go na roztopienie wiecznego śniegu na szczytach Gór Skalistych. Instynkt ostrzegł ją jednak, że Treacy wyczułby na kilometr nieszczerłość.

- Bardzo proszę - odpowiedziała obojętnym tonem. - Jestem zachwycona, że tak prędko się pan odezwał. Mam nadzieję, że uroczystość w Irlandii przebiegła bez zakłóceń?

- Wszystko odbyło się zgodnie z planem. To była smutna ceremonia, ale cóż, życie toczy się dalej.

- Oczywiście. - Prowadzili ze sobą szermierkę słowną, Sky wyraźnie to czuła. - Bardzo mi przykro. Czy wrócił pan podczas weekendu?

- Wczoraj wieczorem. - Dobiegł ją dźwięk opuszczanych rolet. - I co z tym przeklętym wywiadem?

Z największym trudem zachowała spokój.

- Jaki termin najbardziej by panu odpowiadał?

- Możemy nawet dzisiaj zjeść razem lunch. W moim biurze, jeśli się pani zgodzi. Wydam polecenie, aby wszystko zorganizowano.

Sky zastanawiała się pośpiesznie. Lubiła oglądać swych rozmówców w ich własnym otoczeniu, uznała jednak, że w przypadku Treacy'ego zaproszenie nadeszło zbyt prędko. Usi-

łował zaciągnąć ją na arenę niczym kowboj ujeżdżający jednego z tych przeklętych byków.

Dzięki tej chwili wahania nie doszło do przepychanki słownej i usłyszała, jak umawia się z Treacym w jego biurze nazajutrz za kwadrans dwunasta. Miała wolne dzisiejsze przedpołudnie, mogła bez problemu zaakceptować pierwszą propozycję i niezwłocznie udać się do jego gabinetu. Nie chciała

jednak tak we wszystkim ustępować.

R S

- W środę gazeta oddawana jest do druku, a mnie pozostał jeszcze jeden tekst do zredagowania, zatem wolałabym spotkać się z panem jutro - postanowiła nieco nagiąć fakty.

- Znakomicie. Zejdę po panią do recepcji. A zatem do zobaczenia jutro, panno MacPherson.

I zostawił ją z buczącą słuchawką w dłoni.

- Już za panem tęsknię... - mruknęła złośliwym tonem, z którego musiała się zaraz wytłumaczyć przed zdumioną stażystką.

Zanim została wprowadzona do gabinetu prezesa, dołożyła wszelkich starań, aby jak najlepiej przygotować się do rozmowy. Deprymującym wynikiem prowadzonych przez cały poniedziałek badań był cienki skoroszyt zawierający garść ulotek dotyczących przedsięwzięć Treacy'ego, parę krzykliwych reklam z lokalnej prasy, jakie ukazały się przez wiele lat, oraz nieliczne wzmianki w publikacjach kilku instytutów krajowych, których przedstawiciele zostali zwabieni do miasteczka dzięki zabiegom Izby Handlowej Związku Srebra w Butte. W

1989 roku, na przykład, „U.S. News and World Report” zamieścił zwięzły artykuł podkreślający rolę Treacy'ego w odradzaniu się lokalnego biznesu. Biznesmen został przedstawiony jako człowiek „małomówny, ale skuteczny w swych poczynaniach”, a jego przedsiębiorstwo zaliczono do tych, których dalszy rozwój warto pilnie obserwować.

Być może Johanna okazałaby się pomocnym źródłem informacji, ale w poniedziałkowy poranek Sky przed wyjściem do pracy znalazła w kuchni tylko kolejną kartkę z wiadomo-

ścią. Matka uparła się na odwiedzinę u jednej ze swych przyjaciółek z plemienia Czarnych Stóp, która opuściła rezerwat i zamieszkała w pobliżu miejscowości Helena. Johanna pojecha-

ła porannym autobusem i poprosiła córkę, żeby nakarmiła koty, na wypadek gdyby sprawy zatrzymały ją na dłużej. A było to równoznaczne ze stwierdzeniem, że nie zamierza wrócić do domu na noc. Sky ze zdziwieniem zauważyła, że jest oburzona, jak gdyby to ona była matką.

Uciekła się nawet do przeszukania publicznych archiwów Związku Srebra w Butte -

stanowiły nieocenione źródło danych i przedtem niejednokrotnie już z nich korzystała. Pod koniec dnia stwierdziła jednak, że i tutaj niewiele jest wiadomości na temat osobistego życia Daniela J. Treacy'ego, który od czterdziestu ośmiu lat mieszkał w Montanie i, jak się okazało, skutecznie cenzurował wszelkie publikacje na swój temat. Z wyjątkiem informacji o miejscu gdzie się urodził, w Country Cork w Irlandii, Sky nie znalazła żadnej wzmianki na temat jego dzieciństwa, okresu młodości czy wykształcenia. W innych stanach fakt ów mógłby wydawać się zastanawiający, jednak w Montanie nikogo nie dziwił - każdy lub prawie każdy powyżej *R S*

pewnego wieku był przybyszem spoza tego terenu. Rdzenni mieszkańcy Montany powyżej

trzydziestego piątego roku życia byli równie rzadkami okazami jak samorodki szczerogo złota w Hellroarin' Gulch - turystycznej mekce Butte - w Muzeum Światowego Górnictwa.

Sky została wprowadzona do gabinetu biznesmena i stwierdziła z zadowoleniem, że jej oczekiwania co do wystroju wnętrza okazały się niezwykle trafne. Oprócz fotografii żony na ścianie - tej samej, która została opublikowana w gazecie „Butte Courier” - wyposażenie miejsca pracy Treacy'ego mogło pochodzić z modnego katalogu mebli biurowych: jasne drewno i stal, parkiet na podłodze oraz duża abstrakcyjna lampa w metalowej obudowie. Na biurku panował nienaganny porządek, jedną ścianę od podłogi po sufit zajmowały okna. Rozciągał się z nich dość typowy widok na Butte i wieżę szybu zlikwidowanej kopalni, która gó-

rowała ponad dachami domów, przywołując na myśl szkielet dinozaura, na Berkeley Pit - po-rębę półtorakilometrowej szerokości oraz białe koniuszki szczytów Gór Skalistych, rysują-

cych się, niczym pieńki zębów, na tle nieba w oddali.

- Czy jest pani katoliczką, panno MacPherson? - zaskoczył ją pytaniem Treacy, który wstał z biurka i szedł w jej stronę z wyciągniętą dłonią.

- Zna pan moje pochodzenie i dobrze pan wie, że jestem. W każdym razie urodziłam się w katolickiej rodzinie.

Podawała mu rękę, którą uściśnił w bardzo oficjalny sposób, a potem poprowadził Sky w kierunku małego stołu pod oknem, który został nakryty do lunchu białym obrusem.

- Dopiero z okna mojego gabinetu mam dobry widok na naszą statwę. - Uśmiechnął się do niej szeroko i nagle wydał się znacznie młodszy.

Sky straciła grunt pod nogami. Zastanawiała się nawet, czy przypadkiem się z niej nie naśmiewa. Trzydziestometrowa figura Naszej Pani Gór Skalistych dominowała na szczycie, który rzucał cień na miasto od północnego wschodu. I choć miała uchodzić za ponadwyznaniowy symbol i wyraz hołdu dla macierzyństwa, stanowiła powód do dumy i radości katolików z Butte; będąc ich Rushmore czy Chrystusem Andów, podświetlonym w nocy i widocznym z odległości wielu kilometrów pomnikiem wiary. Sky nie spodziewała się jednak, że statua będzie przedmiotem kultu Daniela Treacy'ego.

- Rzeczywiście - przyznała i udając, że mierzy wzrokiem białą postać, czekała na następny ruch gospodarza.

- Spółka Treacy Resources wspomagała to przedsięwzięcie finansowo. Wykonała też pewne konkretne prace - powiedział, podsuwając jej krzesło.

R S

Pierwsze danie, wędzonego łososia i langustę, podano już wcześniej, a w kubelku obok stołu chłodziło się wino. Kiedy Sky zajęła miejsce, z sąsiedniego pokoju wyłonił się kelner bez żadnego widocznego sygnału ze strony biznesmena. Na zewnątrz utrzymywała się upalna pogoda i chociaż pomieszczenie było centralnie klimatyzowane, Sky czuła na prawym ramieniu i karku miłe ciepło

słonecznych promieni wpadających ukośnie przez szyby. Podzię-

kowała za wino i jej kieliszek natychmiast został zabrany, a jego miejsce zajęła szklanka na-pełnioną wodą Perrier. Rozgrywa to z klasą, pomyślała Sky, obserwując Treacy'ego spod rzęs.

- Czy możemy zaczynać? - spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

- Dziękuję.

Celowo mylnie odczytała jego intencję, strzepnęła serwetkę i wzięła do ust mały kęs łososia. Nie chcąc denerwować gospodarza, nawiązała z nim rozmowę na błahe tematy, zadając ogólne pytania o sposób funkcjonowania poszczególnych firm oraz ich wzajemne powią-

zania, choć znała już odpowiedzi dzięki materiałom zgromadzonym w teczce.

- Skoncentrujmy się na przedmiocie naszego spotkania, zgoda? - zaproponował jej rozmówca po kilku minutach i dał znak kelnerowi, żeby zabrał talerze. - Wszystkie poruszone przez panią sprawy są powszechnie znane, panno MacPherson. Odniosłem wrażenie, że chodziło pani raczej o inny rodzaj wywiadu.

- Tak, przyznaję. - Gdy Sky wyjęła z torebki dyktafon, biznesmen zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował. - Obiecywałam, co prawda, że nie będzie nagrań. - Włączając urządzenie, starała się mówić obojętnym tonem. - Zapewne zgodzi się pan jednak ze mną, że robienie notatek podczas jedzenia jest fizyczną niemożliwością i jedynie przedłużyłoby całą sprawę. A ponieważ jest pan człowiekiem niesłychanie zajęтым...

- Proszę zaczynać. - Wbił wzrok w przyniesiony mu bulion. Chociaż paliła ją ciekawość, dlaczego akurat teraz Treacy'ego nasza ochota na zwierzenia, miała nadzieję, że jego pobudki staną się oczywiste w trakcie rozmowy. Zaczęła od czasów jego dzieciństwa. Po kil-kuminutowej wypowiedzi wszystko wskazywało na to, że w początkowym okresie życia dzielił los większości irlandzkich emigrantów: liczna rodzina, brak obuwia, cztery osoby sypiają-

ce w jednym łóżku, małe gospodarstwo w niewielkiej rybackiej wiosce oraz wcześniej zakoń-

czona edukacja na skutek braku funduszy i możliwości. Była to historia żywcem wzięta z powieści „Spokojny mężczyzna” albo z innej biblii Irlandczyków mieszkających w Butte -

„Człowieka z Aran”. Sky zaczęła się niecierpliwić. Możliwie jak najszybciej przeprowadziła R S

swego rozmówcę przez wspomnienia o ciężko pracujących rodzicach, o jego chłopięcych wędkarskich wyprawach na łososie i polowaniach na króliki, pragnąc w duchu, żeby dotarł do momentu decyzji o wyjeździe z kraju.

- Wygląda pani na znudzoną. Jak wiele z tych faktów już wcześniej pani znała, panno MacPherson? - spytał nagle, wyrrywając ją z rozmyślań.

- Wszystkie informacje są dla mnie nowością, zapewniam pana. - Skoro z taką łatwo-

ścią to dostrzegł, być może należało sądzić, że Sky traci zmysł dziennikarski.

- Niczego nie dowiedziała się pani od matki? - Nic nie uchodziło uwagi jego bezlitosnym oczom.

- Nigdy nie wspominała o panu.

- Wprost trudno w to uwierzyć. Nasze rodziny mieszkały w sąsiednich miejscowo-

ściach, a moje przedsiębiorstwo nie działa w ukryciu. W gazetach niejednokrotnie były zamieszczane moje zdjęcia.

Jak zwykle jest niesłychanie opanowany, pomyślała Sky.

- Przeprowadziłyśmy się do Butte dopiero przed ośmioma laty - powiedziała na głos. -

I proszę mi wybaczyć szczerą, ale różnica waszego wieku jest dość znaczna. W chwili pań-

skiego wyjazdu do Stanów moja matka miała zaledwie pięć lub sześć lat. A poza tym ona żyje w oderwaniu od świata i nazwiska biznesmenów, nawet tych najbardziej się wyróżniających, zazwyczaj nie padają w prowadzonych przez nią rozmowach.

Wciąż intensywnie się w nią wpatrywał i wiedziała, że nie uwierzył. Chociaż to, co mówiła, całkowicie pokrywało się z prawdą - zanim Sky podjęła decyzję o wyjeździe na wschód stanu, obie z Johanną tułały się po różnych zapadłych miejscach na zachodzie. Warunek, że zamieszkają w mieście, był częścią jej umowy z matką, która pragnęła, aby córka wróciła do Montany po rozwiązaniu swego małżeństwa. W rezultacie więc osiedliły się w Butte.

- Nie zna pan mojej matki. Aż do momentu, gdy pana nazwisko pojawiło się w związku ze śmiercią pańskiej żony, nigdy o panu nie wspominała - ponownie zapewniła go Sky.

- A co mówiła o śmierci Midge? - Był napięty niczym stalowa struna i zdawała sobie sprawę z tego, że musi bardzo starannie dobrać słowa.

- Obiecała, że będzie o niej myślała.

- Będzie myślała?

- Taka już jest. Wierzy w jedność myśli i tego rodzaju sprawy. Uważa, że wszyscy mo-

żemy się ze sobą kontaktować. I że pod wieloma względami skupienie na kimś uwagi jest równie skutecznym środkiem porozumienia się jak bezpośrednia rozmowa.

- Rozumiem. - Uniósł w górę brwi, a Sky nie mogła się oprzeć absurdalnemu odruchowi bronięcia matki. Jako córka mogła krytykować Johannę lub mieć sceptyczny stosunek do jej przekonań. Co innego jednak, kiedy obcy człowiek odnosił się do nich z lekceważeniem. -

Przepraszam, jeśli nie zdołałam należycie tego wyrazić. To nie Wojny Gwiazdne, ale na własne oczy

widziałam dowody potwierdzające istnienie więzi pozazmysłowych. Na przykład telefon od dawno niewidzianej osoby, o której się przed chwilą pomyślało - tego rodzaju rzeczy...

Na jego twarzy nadal malował się kpiący wyraz.

- I pani w to wierzy, panno MacPherson?

A więc o to mu chodziło. On również zarzucał przynętę. Bał się, że Sky albo jej matka mają zdolności parapsychologiczne. Zdecydowanie ukrywał przed nią coś, co się wiązało ze śmiercią jego żony.

- Uważam, że wszystko jest możliwe, panie Treacy - odpowiedziała chłodnym tonem. -

Nie podzielam jednak szalonych fantazji mojej matki.

Test wypadł pomyślnie. Gospodarz wyraźnie się odprężył.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli sprawiam wrażenie nieco rozdrażnionego. - Ponownie zanurzył łyżkę w talerzu z bulionem. - Jestem trochę zmęczony, to chyba zrozumiałe.

- Oczywiście.

W czasie gdy serwowano główne danie, przyglądała się otwarcie swemu rozmówcy, zezwalając mu na chwilę wytchnienia. Zauważyła, że nadal nie miał apetytu: zjadł zaledwie połowę przystawki i jedną trzecią zupy. Był przystojnym mężczyzną o surowej urodzie Gary'ego Coopera, a jego szczupła twarz należała do tych, które, szczególnie w przypadku mężczyzn, stają się wraz z wiekiem coraz bardziej interesujące. Uznała, że nie jest typem człowieka próżnego i nie trudziła się poszukiwaniem śladów świadczących o odmładzających zabiegach chirurgicznych czy o kosztownych przeszczepach w jego gęstych, szpakowatych włosach, które, gdyby nie bardzo krótka fryzura, byłyby z pewnością kręcone.

- Co pani sądzi o moim wyglądzie? - Nie podniósł wzroku znad talerza, lecz Sky miała na tyle przyzwoitości, aby okazać zażenowanie.

- Przepraszam. - Wzruszyła ramionami. - Sądzę, że nie jestem tak dobra w moim zawodzie, jak sądziłam.

R S

- Wręcz przeciwnie. Od dawna należę do zagorzałych fanów pani stylu. Marnuje się pani w tym miasteczku, proszę mi wybaczyć tę uwagę. - I zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: - Czy teraz ja mogę pani zadać pytanie, panno MacPherson?

Wyprostował się na krześle, aby kelner mógł nałożyć mu na talerz małe gotowane ziemniaki i brokuły.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Kiedy nazywa mnie pan „panną MacPherson”

czuję się tak, jak gdybym była szkocką guwernantką z „Domku na prerii”.

Została nagrodzona uśmiechem. Od czasu kiedy postanowiła napisać artykuł o tym mężczyźnie, była to jego pierwsza spontaniczna reakcja.

- Doskonale, Sky, tym bardziej że moje pytanie dotyczy twego imienia, a właściwie litery przed imieniem. Podpisujesz się w gazecie, jako „R. Sky MacPherson”. Zastanawiałem się nieraz, co oznacza litera R?

Sky, która nie znosiła swego imienia dziecka-kwiatu, jakim została obdarzona przez rodziców hippisów, często wyjaśniała obcym ludziom, że R. jest skrótem od „Roberta”. Czuła jednak, że niewiele ma do stracenia, wyjawiając teraz prawdę.

- Powiem, jeśli mi pan obieca, że nie będzie się śmiał - oświadczyła, hardo zadzierając do góry brodę.

- Obiecuję. Możemy zacząć jeść? - Sięgnął po nóż i widelec.

- Pochodzi od słowa „rainbow”, czyli „tęcza”. - Przygotowała się na wybuch śmiechu, który jednak nie nastąpił.

- Dlaczego nie zmienisz imienia, skoro go nie znosisz? Przecież żyjemy w Ameryce, w wolnym kraju.

- Moja matka mogłaby się poczuć dotknięta. - Sky nie chwyciła przynęty. - Sama mnie wychowywała, więc uważam, że nie powinnam jej tego robić. Kiedy mieszkałam na wschodzie, używałam inicjałów R.S., odkryłam jednak, że w Montanie skróty R.J., D.J. czy S.J. są bardzo powszechne. Podpis „R. Sky” jest przynajmniej oryginalny. A tutejsi ludzie nie przejmują się zbytnio jego znaczeniem.

- Rainbow Sky, Tęczowe Niebo - odezwał się Treacy bez śladu ironii. - W pełnym brzmieniu twoje imię brzmi znacznie bardziej niepospolicie.

- Wróćmy lepiej do wywiadu. - Obrót rozmowy wprowadził Sky w zakłopotanie. - Zebra-
łam trochę informacji o panu.

Skinął głową, dając do zrozumienia, że się tego spodziewał. Spozrzęła, że skończyła *R S* się taśma i sięgnęła po magnetofon, żeby ją przełożyć.

- Przepraszam.

- Miałem powód, żeby cię tutaj zaprosić.

Podniosła wzrok. Głos Treacy'ego całkowicie się zmienił, a oczy nie przypominały już barwą agatów.

- Domyślałam się tego. - Wytrzymała jego spojrzenie, manipulując przy taśmie.

- Bez nagrywania, jeśli można. - Nakrył dłonią jej ręce na magnetofonie.

- A zatem nie będę mogła wykorzystać tych rzeczy w artykule? - Dotarli do sedna sprawy. Dłoń mężczyzny była ciepła i silna, jednakże skóra wydawała się szorstka jak perga-min.

Zawahał się przez moment.

- Czy nie możemy przyjąć jakiegoś, bazującego na wzajemnym zaufaniu, pośredniego sposobu wykorzystania informacji? I podzieleniu ich na oficjalne i prywatne?

Sky przystała na tę propozycję.

- Może mi pan zaufać.

- Bardzo dobrze. - Znowu umilkł na moment. - Niewykluczone, że uznasz to za dziwne... - odezwał się po chwili.

- Mam trzydzieści cztery lata, panie Treacy. Uczyłam się w katolickiej szkole, jestem rozwódką i nim ukończyłam dziesiąty rok życia, mieszkałam w co najmniej dwudziestu hippisowskich osadach oraz komunach rozrzuconych po Montanie i Oregonie. Moją matką jest kobieta, która rozmawia z drzewami, a ojcem nieprzystosowany do życia w społeczeństwie facet, który twierdzi, że kocha zwierzęta, a jednocześnie pokazuje ludziom, gdzie i w jaki sposób mogą zapolować na łosia lub niedźwiedzia. Mój były mąż to alkoholik mieszkający wraz z rodzicami w suterenie, a mój obecny chłopak uważa, że tylko wróżki piją wino. I na dodatek mam na imię Rainbow Sky. Zapewniam pana, że nic nie zdoła mnie zdziwić.

Kąciki ust Treacy'ego zadrgały.

- Skoro tak stawiasz sprawę...

Wiedziała, że nie może mu już bardziej pomóc i czekała w milczeniu, gdy zbierał myśli. Przez chwilę mierzył ją poważnym spojrzeniem.

- Masz włosy swojej babki. Zdjęcie w twojej rubryce prasowej nie ukazuje ich we właściwy sposób.

Sky, zdumiona przebiegiem rozmowy, odruchowo dotknęła grzywki.

R S

- Zawsze miałam wrażenie, że odziedziczyłam ich barwę po ojcu.

- Twój ojciec ma jasne włosy normalnego koloru. Jest typowym, amerykańskim blondynem. Włosy twoje i twojej babki mają bardzo charakterystyczny odcień. Tam, skąd pochodzę, nazywany jest „truskawkowym blondem”. O ile pamiętam, twój wuj Francey również ma taki odcień włosów. A

przy okazji, co u niego słyszeć?

- O ile mi wiadomo, dobrze mu się powodzi. Odzywa się do nas czasami. - Sky zrozumiała, że musi się uzbroić w cierpliwość, nim jej rozmówca poczuje się na siłach, żeby powiedzieć to, co zamierza. Trochę się uspokoiła. - Poszczyściło mu się w życiu. Otrzymał spory spadek, a na dodatek dobrze się ożenił. Jest człowiekiem zamożnym i chyba zadowolonym ze swojej egzystencji. - Mówiąc, zauważyła, że zwykle pewny siebie Daniel Treacy - wpływowy i dobrze ustawiony biznesmen - z trudem przełyka ślinę, a na szyi drga mu jabłko Adama.

W końcu przystąpił do rzeczy:

- Sprawa, o której chcę mówić, dotyczy twojej... babki. Bardzo mi zależy na wszelkich wieściach o niej. Osiemnastego sierpnia przyszłego roku skończy siedemdziesiąt pięć lat, o czym zapewne wiesz.

Ponownie przełknął ślinę, a Sky opanowała się z wielkim trudem, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczona tym, że tyle o nich wiedział. Ten mężczyzna musiał

być kiedyś, a może nadal był, zakochany w jej babce. W jakiej sytuacji stawiało to nieszczęsną Midge?

- Cz... czy pan nadal z nią koresponduje? - Zająknęła się lekko, co ją zirytowało.

- Nigdy nie pisywaliśmy do siebie listów. I zanim twoja błyskotliwa inteligencja podsunie ci następne pytanie, uprzedzę je: tak, kochałem moją żonę. - Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej przenikliwe. Umilkł, pozwalając, aby ostatnie stwierdzenie głęboko zapadło w świadomość Sky. Po chwili podjął temat: - Przyjaźniliśmy się z twoją babką w dawnych czasach. Do dzisiaj czytuję gazety z Cork, które mi tu przysyłają. I nie chciałbym zobaczyć nekrologu Elizabeth w dzienniku „Examiner” bez ponownego z nią spotkania. - Spuścił

wzrok na swój niedokończony posiłek. - Jednakże z powodów, które postaram się zaraz wyja-

śnić, nie zamierzam wracać do Irlandii. Panno MacPherson... Sky... - Pochylił się do przodu i przez moment sądziła, że zamierza chwycić ją za rękę. Zamarła w bezruchu, w obawie że najmniejszy gest go spłoszy. - Zastanawiam się, czy nie mogłabyś wpłynąć na swą matkę albo na ciotkę z Chicago, żeby zaprosiły babkę do Montany? Byłby to pewien rodzaj prezentu na *R S*

jej siedemdziesiąte piąte urodziny. - Wyraz twarzy twardego biznesmena zmienił się tak gwałtownie, że Sky była całkowicie zaskoczona. Treacy w niczym nie przypominał już mocnego człowieka o stanowczym wyglądzie; przywodził raczej na myśl bezradne dziecko. - Pokryję wszelkie wydatki. Ona nie musi o tym wiedzieć. Jestem gotów nawet wysłać mój prywatny samolot, jeśli uznasz, iż jej tym nie zdenerwuję. Możesz powiedzieć, że cała rodzina oszczędzała na bilet. - Zauważył, że trochę się zagalopował. Blask w jego oczach przygasł.

Złożył serwetkę i mówił dalej: - No cóż. - Takim tonem mógłby prowadzić rozmowy dotyczące transakcji handlowej. - Widzę po twojej minie, że prywatny samolot nie wchodzi w rachubę. Moja propozycja wzięła się stąd, że podróż zwykłym, rejsowym, jest bardzo uciążliwa, a Elizabeth nie

należy już do najmłodszych. I oczywiście będzie potrzebowała kogoś, kto jej dotrzyma towarzystwa w drodze. Tym również mogę się zająć.

- Żadna z moich ciotek nie mieszka już w Chicago. - W końcu odzyskała głos. - Zapewne miał pan na myśli ciotkę Goretti, ale przed wieloma laty przeniosła się do Nowego Jorku.

Treacy podniósł rękę, aby uciszyć Sky.

- Nieważne. Doskonale rozumiem, że to wszystko stanowi dla ciebie wstrząs. Ale skoro zakłóciłem twój spokój, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli posunę się dalej.

Widzisz, moja droga... - Podniósł okruch chleba z białego obrusa. - Mogę ci zaoszczędzić szperania w starych zakurzonych dokumentach sprzed pięćdziesięciu lat. A może nawet wycieczki do Irlandii. Proszę tylko o jedno: abyś zachowała otwarty umysł i pamiętała, choć zabrzmiałoby to jak wyświechtany frazes, że każda sprawa zawsze ma dwie strony. - Zmarszczki sprawiły, że jego twarz wydawała się niemal zacięta. - Czy wciąż darzymy się wzajemnym zaufaniem?

Nie pozwól, by bodaj jeden mięsień zadrżał na twojej twarzy, nakazała sobie w myślach Sky.

- Powodem, dla którego wyjechałem do Ameryki i nigdy więcej nie odwiedziłem rodzinnego kraju, była, jak się zapewne domyślasz, miłość do twojej babki. Nie mieliśmy jednak szans na ułożenie sobie życia razem.

- Rozumiem. - Sky zwróciła uwagę na określony sens tego zdania. Jeszcze nie wszystko usłyszała.

- Zamierzam powiedzieć ci o czymś, co nigdy nie wyszło na jaw w tym kraju. Od czasu przybycia tutaj drżałem, żeby owa wiadomość nie dotarła do opinii publicznej, choć zapewne *R S*

zarówno twojej matce, jak i wielu innym Irlandczykom pochodzącym z przylądka Béara, szczególnie tym ze starszej generacji, cała ta sprawa jest dobrze znana. Nie tylko ty masz kłopoty ze swym imieniem. Ja musiałem zmienić nazwisko. W rzeczywistości nazywam się McCarthy.

Sky ze zdumienia zmarszczyła brwi.

- I to wszystko?

- Nie, jeszcze nie. Nie mogliśmy z Elizabeth ułożyć sobie życia... - opalenizna na policzkach Daniela Treacy'ego przybrała żółtawy odcień, z twarzy odpłynęła mu cała krew -

...ponieważ zabiłem twojego dziadka.

Sky na wpół podniosła się z krzesła, lecz mężczyzna powstrzymał ją, wyciągając rękę poprzez wąski stół.

- Zapytaj swą matkę albo którąś z ciotek, Sky. To był wypadek, przysięgam.

Rozdział 7

Sky pojechała prosto do domu, w nadziei że matka już wróciła, ale w mieszkaniu powitała ją pustka. Początkowo chciała zatelefonować na dworzec autobusowy linii Greyhound and Intermountain, aby sprawdzić rozkład jazdy, ale się rozmyśliła. Pozwoliła sobie za to na przejrzenie listów trzymanyh przez matkę w sypialni. Wiedziała, że Johanna zwykła je przechowywać w dolnej szufladzie komody. Uznała, że ma pełne prawo poznać fakty, które tak wiele lat były przed nią ukrywane.

Wysunięcie głębokiej i wypełnionej po brzegi szuflady sprawiło jej niemałą trudność.

Przykucnęła na piętach i szarpnęła z całej siły za uchwyt, aż na podłogę wysypały się leżące na wierzchu szpargały. Oprócz prywatnych listów Sky spostrzegła stare rachunki i przepisy, zdjęcia, puste koperty, ulotki, reklamówki, listy zakupów oraz pliki pożółkłych wycinków prasowych. Kilka pochodziło z irlandzkich gazet, jednak w większości były to ułożone w chronologicznym porządku i starannie spięte w całość jej własne publikacje prasowe. Jako ostatnia w kolejności znajdowała się notatka pożegnana o Midge Treacy.

Widok owej kroniki miłości i dumy głęboko poruszył Sky, tym bardziej że nigdy nie podejrzewała Johanny o skłonności do sentymentalizmu; było to przypomnienie o tym, że bez względu na wiek dziecka, jego pewność siebie czy odniesione sukcesy matka przez cały czas *R S*

rozpościera nad nim ramiona jak wtedy, gdy asystowała przy jego pierwszych krokach.

Sky czekały kolejne wstrząsy: podniósłszy z podłogi kilka kartek, odkryła pod spodem swoje fotografie z dnia Pierwszej Komunii - pozowała do nich z poważnym uśmiechem, ma-jąc jasne loki wysoko upięte pod białym welonem. Oczywiście Johanna nie zadała sobie trudu, by włożyć zdjęcia do albumu. „Któregoś dnia muszę zrobić porządek w moich papierach”

- był to stale powtarzający się refren, ponieważ zawsze wynajdywała sobie coś znacznie bardziej zajmującego do roboty.

- Och, mamó - Sky poczuła ucisk w gardle. - Pomogę ci z uporządkowaniem tych szpargałów. I przepraszam za wszystko, co powiedziałam...

Dobrze wiedziała, że prawdopodobieństwo wytrwania w postanowieniu, jakie narzuciła sobie w chwili słabości, jest niewielkie. Odchrząknęła i przystąpiła do dalszego tropienia śladów z przeszłości.

Uczucie tkliwości do matki ulotniło się jednak bardzo prędko. Chociaż porządek był

obcy naturze Sky, pracowała metodycznie i po półgodzinie na dużym łóżku na narzucie uszy-tej z łątek leżało kilka schludnych stosów. Cała rodzinna korespondencja została odłożona na bok do uważnego przepatrzenia. List od babci, od wuja Franceya, ciotki Goretti, ciotki Margaret i znowu od babci, ciotki Abbie, ciotki Constance, wuja Franceya i znowu od wuja Franceya... podczas tego zajęcia poruszała ustami jak przy odmawianiu litanii. Najbardziej płodną korespondentką okazała się babka, choć listy od niej zwykle ograniczały się do dwóch stron i trudno je było nazwać

wyczerpującymi. Donosiły o najistotniejszych sprawach w życiu có-

rek i syna, nie zawierały jednak informacji o gwałtownej śmierci męża ani nie było w nich żadnej wzmianki o Danielu Treacym - czy też McCarthym.

Choć trudno mówić o prawdziwym przywiązaniu do kogoś, kogo się tylko raz w życiu widziało, Sky uważała, że ze wszystkich irlandzkich krewnych babka jest jej najbliższa, pomimo przyziemnych tematów poruszanych w korespondencji oraz tylko sporadycznych rozmów telefonicznych. I podobnie jak szaleństwa matki, listy od babki - wypełnione prostym, zdecydowanym pismem - zawsze towarzyszyły jej w życiu. Dzięki nim w czasach szkoły podstawowej, a także i potem, obecność Elizabeth w rozmowach wydawała się niemal tak realna, jak babć innych dzieci. Sky zawsze sądziła, że ma mnóstwo czasu na to, aby w wieku dorosłym odbyć wycieczkę do Dublina, którą od dawna sobie obiecywała. Ale dopiero teraz, kiedy uzmysłowiła sobie, że jej babka ma prawie siedemdziesiąt pięć lat, doszła do wniosku, że być może nie powinna dłużej zwlekać.

Listy od wuja Franceya zaszokowały ją z innego powodu. Wiele kopert zawierało czeR S

ki, a większość opiewała na kwotę nawet kilkuset angielskich funtów. Wszystkie, z wyjątkiem dwóch, wystawionych na dwieście funtów każdy, były przeterminowane.

Sky wpatrywała się w nie w osłupieniu. Zdarzały się tygodnie, kiedy musiała pożyczać od Grega pieniądze na zapłacenie rachunków, a tymczasem w domu znajdowała się prawdziwa fortuna. Sky zsumowała nominalną wartość czeków i otrzymała kwotę trzech tysięcy czterystu pięćdziesięciu funtów, co mniej więcej odpowiadało wartości sześciu tysięcy dolarów amerykańskich, które przez cały czas tutaj leżały. Zapominając o niedawnym przyływie czułości, wzięła dwa ważne чеki i schowała je do kieszeni. Matka nawet świętego potrafiłaby wyprowadzić z równowagi.

Listy od Franceya nie okazały się bardziej pomocne niż listy od babki: nie było w nich żadnych wspomnień z dawnych czasów. Wuj pisał tylko o sporadycznych wyjazdach do Cork oraz o wizytach u matki. A jeśli Francey nawet zauważył, że чеki wysyłane Johannie nie są realizowane, nigdy o tym nie wspomniał. Jest zbyt bogaty, pomyślała kwaśno Sky.

Najdłuższe były epistoły od Constance, która mieszkała na farmie owczej w Australii.

Ciotka opisywała w nich wszelkie osobliwości tamtejszego życia i błagała o zdjęcia Gór Skalistych - widoku zgoła odmiennego od równin, wśród których żyła. Sky niewiele dowiedziała się również z listów od innych ciotek. Dzieliły się w nich plotkami, lecz zwykle pisały w po-

śpiechu i robiły to raczej z obowiązku niż dla przyjemności korespondowania. Utrzymywanie kontaktów wyłącznie za pośrednictwem dobrze funkcjonującej amerykańskiej poczty musi być bardzo trudne, pomyślała Sky, ogarniając wzrokiem porozkładane wokół na łóżku dowody podtrzymywania przez rodzeństwo matki więzi rodzinnych. Johanna zawsze ogromnie się cieszyła z tych listów, nigdy jednak nie odczuwała potrzeby osobistego kontaktu z ich nadawcami.

Sky uderzyło spostrzeżenie, że matka nie jest w tym odosobniona. Żadna z tych osób najwyraźniej nie pragnęła widywać się z innymi. Sky wzięła do ręki jeden z listów od ciotki Goretti, siostry Johann,

mieszkającej względnie niedaleko, w Nowym Jorku. Chociaż nie krępowały jej żadne rodzinne obowiązki, to nawet ona nie zdobyła się na zapowiadaną od dawna podróż na zachód. Wołała, do czego przyznawała się z poczuciem winy, spędzać swój coroczny dwutygodniowy urlop, zażywając słonecznych kąpeli na Florydzie.

Sky ponownie spojrzała na przeterminowane czeki, które ułożyła w wachlarz obok kupki z listami od wuja Franceya. Gdyby wiedziała o tych pieniądzach, z pewnością nalega-

łyby, żeby matka wybrała się z wizytą do siostry. Johanna nigdy nie była przywiązana do do-R S mu, pracowała tylko w weekendy i przez resztę tygodnia miała mnóstwo wolnego czasu.

Przecież chętnie robiła wypadki do rezerwatu.

Było coś jeszcze, z czego Sky nie zdawała sobie sprawy od czasów szkoły podstawowej, kiedy to wszyscy w klasie porównywali sytuacje rodzinne kolegów ze swoimi. Z sześciu żyjących dzieci babki - miała ich ośmioro, lecz jedna z córek poniosła śmierć w wypadku, a druga zaginęła bez śladu i również została uznana za zmarłą - Sky była jej jedyną wnuczką.

Margaret, Goretti i Abigail nigdy nie wyszły za mąż, a zarówno Francey, jak i Constance, którzy jako jedyni z rodzeństwa pozawierali małżeństwa, nie mieli dzieci. Nie byli typowym przykładem irlandzkiej katolickiej rodziny.

Sky pomyślała ponuro, że odziedziczyła ową fatalną spuściznę, choć matka pewnie by się z nią o to spierała. Jednym z ciekawszych poglądów Johanny było przekonanie, że nardo-dziny dziecka nie są bynajmniej skutkiem przypadkowego zderzenia genów. Jeśli jej wierzyć, my sami mieliśmy wybierać naszą egzystencję z pozaziemskiego poziomu, na jaki trafiliśmy po powrocie z każdorazowej wycieczki na ziemię, co ważniejsze, nie tylko decydując o wyborze miejsca kolejnych narodzin, lecz także i przyszłej rodziny. Nie potrafiła jednak odpowiedzieć na pytanie, skąd wobec tego biorą się głodujący i źle traktowani biedacy.

I jak, wedle tej teorii, wyglądała sytuacja Sky? Nawet jeśli w poglądach Johanny tkwi-

ło ziarno prawdy, to które dziecko przy zdrowych zmysłach zdecydowałaby się urodzić w Ameryce? I świadomie wybrałoby sobie na rodziców Johannę i Larry'ego, aby w rezultacie otrzymać imię Rainbow Sky? Nic dziwnego, że popędziłam co sił w nogach, aby stanąć przed sędzią pokoju z pierwszym napotkanym mężczyzną, który wydawał się względnie normalny, pomyślała kwaśno Sky, układając listy w schludny stos.

Greg. Spojrzała na zegarek. Wciąż było wczesne popołudnie, a prawdopodobieństwo, że matka wróci przed wieczorem, wydawało się niewielkie. Niewykluczone, że i dzisiejszą noc zamierzała spędzić poza domem. Sky czuła, że zwariuje, jeśli zostanie i będzie na nią czekać.

Wcisnęła listy wraz z resztą szpargałów z powrotem do szuflady komody, a potem zatelefonowała do Grega do sklepu. Był mile zdziwiony, kiedy ją usłyszał i obiecał wyrwać się na kilka godzin z pracy. Przebrała się w dżinsy i podkoszulek. Zanim jednak pojechała do Grega, postanowiła zajrzeć do

redakcji, choć przypuszczała, że nie będzie dla niej żadnych zleceń.

Wtorkowe popołudnia - po oddaniu gazety do druku - należały do najspokojniejszych *R S* momentów roboczego tygodnia.

- Och, cześć, Sky!

Lindy stuknęła dwoma palcami w klawiaturę komputera. Jimbo, nie ustając w wysiłkach znalezienia dziewczynie czegoś pożytecznego do roboty, trafił w dziesiątkę, mianując ją redaktorem działu korespondencji. Jej praca polegała na wyborze do druku najbardziej kontrowersyjnych listów i przepisania ich - było to niezbyt wyczerpujące intelektualnie zajęcie.

- Pan Larsen cię szukał... a niech to diabli! - Dziewczyna westchnęła, uważnie przyglądając się złamanemu paznokciowi.

Sky sprawdziła tablicę informacyjną i nie widząc dla siebie żadnych wiadomości, skierowała się do gabinetu naczelnego. Wsunęła głowę w drzwi i spytała:

- Podobno chciałeś się ze mną widzieć?

- Nie zapomnij dzisiaj wieczorem o „Bractwie Białej Koniczyny”.

Zupełnie wyleciało jej z głowy, że ma napisać sprawozdanie z zebrania Brygady Świę-

tego Patryka. Nie zamierzała wdawać się w kolejną sprzeczkę z szefem, zbyt pochłaniały ją sprawy osobiste. Poza tym potrzebowała zaledwie dziesięciu minut na uporanie się z tą robotą, musiała tylko zjawić się na miejscu w stosownym momencie.

- A zatem do zobaczenia, skoro to już wszystko, co miałeś mi do przekazania - powiedziała słodkim tonem.

- Jak udał się wywiad z Treacy'ego!? - zawołał za nią Jimbo, gdy wychodziła z gabinetu.

Doniosła waga zwierzeń biznesmena spowodowała, że artykuł zszedł na dalszy plan, ale Sky nie kwapiła się, aby na tym etapie włączać do sprawy redaktora naczelnego.

- Całkiem nieźle! - zawołała przez ramię. - Porozmawiamy o tym jutro.

- Koniecznie.

Wyczuła niezwykle dla szefa zainteresowanie osobą Treacy'ego. Odnotowała je w myślach i ukryła głęboko w pamięci, ale się nie zatrzymała.

Kilka kilometrów dalej, w porcie lotniczym Mooney, pasażerowie opuszczali mały samolot linii

Horizon Air, który przyleciał z Billings. Wśród podróżnych przeważali mieszkań-

cy Butte, a tylko jedna lub dwie osoby, jak Lynskey, przybyły po raz pierwszy do miasta.

Na większości znanych mu lotnisk pod pozornym spokojem wyraźnie kryła się atmosfera zagrożenia. W Butte natomiast ludzie swobodnie spacerowali po płycie lotniska i nawet podchodzili do stopni samolotu, aby powitać przybyłych pasażerów. Lynskey pomyślał, że jego szef byłby zachwycony tym widokiem. Położenie portu, niskie zabudowania oraz małe *R S*

samoloty przywodziły na myśl końcową scenę z filmu „Casablanca”; tylko obecna sceneria wydawała się zbyt statyczna jak na czasy wojny.

Wziął taksówkę do hotelu, który szczycił się nazwą „Pod Indiańskim Pióropuszem”. Po drodze poprosił kierowcę, żeby stanął przy jakimś sklepie, by Fergus mógł kupić wodę mineralną i wszystkie aktualne gazety.

Zajazd „Pod Indiańskim Pióropuszem”, jak większość hoteli klasy turystycznej, w któ-

rych Lynskey zatrzymywał się w czasie swojej zawodowej kariery, był mało egzotyczny, ale za to wygodny i czysty. Przybysz rozpakował się, co zajęło mu minutę, gdyż wyznawał zasadę ograniczania bagażu do minimum, i po chwili leżał już na łóżku, przeglądając prasę.

W jednym z dzienników, „Butte Courier”, znalazł to, czego szukał: długą informację o zmarłej żonie Daniela Treacy'ego. Autorką artykułu była osoba podpisującą się jako R. Sky MacPherson. Na zamieszczonym obok nagłówka zdjęciu wielkości paznokcia kciuka, wyglą-

dała na równie wymizerowaną i wystraszoną jak wszyscy, którzy pozwolili do zamieszczanych w prasie fotografii. Notatka nie wzbogaciła zbytnio wiedzy Lynskeya o nieboszczce.

Był zmęczony, lecz nie pozwolił sobie na drzemkę. Nowe miejsca zawsze go fascynowały, a możliwość ich zwiedzenia była dodatkową atrakcją jego pracy. Postanowił wybrać się na spacer.

Greg podwiózł Sky do nissana, który zaparkowała na podwórzu za sklepem monopolowym. Niezwłocznie podjechała do budki telefonicznej. Z mieszkania na drugim końcu linii odpowiedział jej własny głos nagrany na taśmę magnetofonową.

Zastanawiała się, czy nie pojechać do domu przed zebraniem, na którym miała nadaska-kiwać Brygadzie Świętego Patryka. Czowała, że jest lepka od potu i potargana. Prysznic oraz zmiana ubrania z pewnością znacznie poprawiłyby jej samopoczucie. Postanowiła jednak nie kłopotać się toaletą, skoro jej zadanie ograniczało się do roli posłańca. Miała w nosie, co sobie pomyśla o jej wyglądzie członkowie Brygady. Jimbo tylko dlatego nadal publikował ich materiały, że zamieszczali reklamy i dopłacali do podwyższających cenę gazety kolorowych wkładek trzy razy do roku - w okresie świąt Bożego Narodzenia, na Wielkanoc i W Dniu Świętego Patryka. „Butte Courier” delikatnie dystansował się od zajadłych antybrytyjskich poglądów, jakie dominowały w większości artykułów zamieszczanych w owych dodatkach, gazeta potrzebowała jednak pieniędzy Brygady.

Sky zastawiała się, czy nie podzielić się z szefem pewnym niezrozumiałym niepoko-
jem, jaki

wywołała w niej rozmowa z Treacym. Refleksja ta nasunęła się jej, gdy powoli je-R S

chała przez miasto. Naczelnny redaktor „Couriera” miał błyskotliwy umysł i o wiele większe doświadczenie zawodowe, niż mogło to sugerować jego obecne zajęcie. Dopiero po roku pracy w redakcji Sky zrozumiała, że ten człowiek z wiecznie zmarszczonym czołem i zmęczonymi oczami był niegdyś prawdziwym objawieniem w dziennikarskim świecie. Pochodził z Missouli, z dobrymi wynikami ukończył Uniwersytet Montany i ukończył podyplomowe studia dziennikarskie w Nowym Jorku - w Columbia School of Journalism. Pracował w Waszyngtonie zarówno dla gazety „News”, jak i dla „Post” - co sprzyjało nawiązywaniu cennych kontaktów - i był uważany za wschodzącą gwiazdę w swoim zawodzie. Jednak około trzydziestki zaczął uprawiać hazard na wyścigach szcurów. Sky nie mogła znaleźć żadnego logicznego powodu, który tłumaczyłby tę jego słabostkę, być może z wyjątkiem faktu, że miał

piękną żonę, rdzenną mieszkankę Butte, która nie chciała słyszeć o życiu w innym mieście.

Obaj ich synowie studiowali medycynę w Harvardzie.

Jimbo bywał czasami wybuchowy i zawzięty, jak choćby w sprawie owego zlecenia związanego z Brygadą Świętego Patryka, lecz Sky żywiła głęboki szacunek dla jego dziennikarskiej intuicji. Poza tym bardzo go lubiła, pomijając sporadyczne momenty, które zdarzały się raz do roku, kiedy to pił nieprzerwanie przez kilka dni i wszyscy wiedzieli, że należy go omijać z daleka. Nie wracał wtedy do domu, lecz nocował w redakcji i zwykł paplać bez związku o jakichś projektach, które by zrealizował, gdyby nie zakichane układy. Na przemian rozczulał się nad sobą, to znów stawał się agresywny. Na koniec, nieprzytomny, zwał się z nóg na skutek braku snu oraz fizycznej niemożności dalszego picia. Spał potem nieprzerwanie przez dwanaście godzin, a po przebudzeniu był pełen skruchy i wstydu. Przez resztę roku śle-

czał nad komputerem i kalkulatorem, nie wykorzystując nawet w jednej trzeciej swego dziennikarskiego talentu. Zdaniem Sky po prostu dał za wygraną.

Przeanalizowała w myślach wszystkie za i przeciw i odrzuciła pomysł zwierzenia się mu ze swych niepokojów. Prawdopodobnie dała się ponieść wyobraźni - w końcu Treacy zapewnił ją, że zabójstwo w Irlandii było przypadkowe. A poza tym, miało miejsce prawie pół

wieku temu. Łączenie tamtego wydarzenia z tragicznym wypadkiem samochodowym, który wszyscy z powodu trudnych warunków atmosferycznych uznali za wielce prawdopodobny, byłoby naciąganiem faktów. Biegająca w kierunku północno-wschodnim wąska droga za Mayville uchodziła za ogromnie niebezpieczną, a ciężarówki do przewozu okrągłaków były prawdziwymi potworami. Nie, Sky postanowiła na razie nie wspominać o niczym Larsenowi.

Przynajmniej dopóki nie usłyszy wersji swojej matki o historii sprzed lat i nie dokopie się do R S

innych informacji, jakie spodziewała się uzyskać podczas oględzin wraku samochodu, w którym zginęła Midge Treacy.

Zebranie „Bractwa Białej Koniczyny” - jak zwykł niezbyt elegancko nazywać grupę irlandzkich patriotów naczelny redaktor - tradycyjnie odbywało się w prywatnych apartamentach zajazdu „Pod Indiańskim Pióropuszem”, przy ulicy Cornell. Niemal całe życie towarzyskie Butte toczyło się albo tam albo w „Plaza”, a obydwoma hotelami zarządzał Best Western.

Sky zajechała przed główne wejście. Ponieważ przybyła przed czasem, słuchała lokalnej stacji radiowej, nie śpiesząc się z opuszczeniem samochodu. Kilkakrotnie pisywała już sprawozdania z owych zebrań, gdy Jimbo był nieosiągalny, a cała sztuka polegała na tym, żeby znaleźć się pod drzwiami sali obrad na kilka minut przed zakończeniem spotkania, tak by wszyscy sądzili, że tkwi tam od dawna.

Zaparkowała blisko wejścia. Mogła sobie pozwolić na jeszcze kwadrans zwłoki. W

chwili kiedy zamierzała wysiąść z nissana, spostrzegła w drzwiach właściciela domu pogrzebowego, Billa Collinsa, który został na ten rok wybrany królem „Bractwa Białej Koniczyny”.

Skuliła się za kierownicą, aby jej nie zauważył.

Niepotrzebnie się przejmowała. Collins zmierzał zdecydowanym krokiem do swojego samochodu, nie rozglądając się na boki. Prawdopodobnie został wezwany do zakładu. Sky obserwowała mężczyznę w bocznym lusterku, czekając, aż odjedzie, ale kiedy wysiadła z samochodu, stwierdziła ze zdumieniem, że Collins wciąż zajmuje miejsce za kierownicą. Najwyraźniej był z kimś umówiony.

Upływały minuty. Nagle Sky, która miała bardzo wyczulony słuch, dobiegło słabe brzęczenie samochodowego telefonu. Widziała, jak Collins podnosi słuchawkę. Przez kilka minut trzymał ją przy uchu, nim odłożył na miejsce. Szyby w jego samochodzie były zasunię-

te i siedział odwrócony tyłem, dlatego Sky nie była w stanie stwierdzić, czy rozmawiał.

Pochyliła się nad fotelem pasażera, udając, że czegoś szuka, gdy pośpiesznie przeszedł

obok niej - tym razem również nie rozglądał się na boki. Zmierzał w stronę hotelu. Nagle na schodach przed budynkiem pojawił się inny mężczyzna, którego Sky nie знаła, o mocnej sylwetce i szerokich barach. Zawrócił, gdy Collins z nim się zrównał. Najwidoczniej mężczyzna został wysłany, aby z powrotem sprowadzić właściciela domu pogrzebowego na zebranie.

Telefoniczna rozmowa była zaplanowana. Reporterka roześmiała się głośno: czyżby Bill Collins, stary pocziwiec, świętoszek codziennie przystępujący do komunii, z tą swoją nabożną twarzą, w staromodnym garniturze i sznurowanych półbutach, miał jakiś potajemny *R S*

romans? Sky była zaintrygowana, choć nie powinna się tym interesować. Postanowiła, że za sięgnie języka u Teddy'ego - on z pewnością będzie wiedział.

Wysiadając z samochodu, doszła do wniosku, że pomimo wszystko dzień zapowiada się ciekawie. Idąc w stronę wejścia, wciąż się uśmiechała i nie zauważyła zbliżającego się z boku mężczyzny.

- Co panią tak śmieszy?

- Och! - wzdrygnęła się lekko.

Mężczyzna był wysoki, szczupły i miał orli nos, którego nie powstydziliby się żaden z indiańskich przyjaciół Johnny z rezerwatu. Nieznajomy dogonił Sky na schodach.

- Wygląda pani na rozbawioną.

- Jest pan Irlandczykiem?

Pytanie było retoryczne. Jego melodyjny głos płynął wartkim strumieniem i mógł należeć tylko do rdzennego mieszkańca starego kraju.

- Zgadła pani - potwierdził, ale się nie przedstawił.

Gdy dotarli do drzwi, przytrzymał je, przepuszczając Sky przodem.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, wymijając go w przejściu. - Czy bawi pan w Butte z pierwszą wizytą?

- Tak. Mówiąc dokładnie, jestem po raz pierwszy w rejonie Gór Skalistych.

- Życzę miłego urlopu.

- Z każdą chwilą czuję się tutaj coraz lepiej. Zaczerwieniła się pod jego szczerym spojrzeniem; w ogóle łatwo się rumieniła, choć miała już ponad trzydziestkę na karku.

- Jeszcze raz dziękuję. Do zobaczenia. - Ruszyła w stronę pomieszczenia, gdzie odbywało się zebranie, a idąc, czuła, że mężczyzna obserwuje bacznie jej każdy krok.

Ledwo zdążyła przybyć na miejsce, gdy z sali obrad wyszła sekretarka - stara wiedźma z obłudnie wydętymi ustami. Przyniosła plik skopiowanych na kserokopiarce notatek. Wrę-

czyła je Sky, która okazała się tego wieczora jedyną przedstawicielką prasy, i rozejrzała się wokół z wyraźnym rozczarowaniem.

- Czy życzy pani sobie, żebym coś wyjaśniła?

Sky przebiegła wzrokiem dwie stronicę, ale nie dostrzegła nic, co byłoby dla niej zaskoczeniem: jak zwykle znajdowały się tam źle sformułowane apele do prezydenta Busha, aby użył swoich wpływów w ONZ i we Wspólnocie Europejskiej w celu przeprowadzenia śledztwa dotyczącego sprawy torturowania niesłusznie aresztowanych katolików przez stron-R S

nicze siły policyjne; a także oklepane wnioski o potępienie okupacji Irlandii Północnej przez wojska brytyjskie oraz ogłoszenie o rychłych zasiłkach dla rodzin więźniów wojennych.

- Nie chciałyby pani przeprowadzić z kimś wywiadu? - nastawała kobieta. - Na przykład z naszym przewodniczącym, panem Collinsem? Pan Larsen zwykle to robił.

- Chętnie. Znakomity pomysł! - Bez szczególnego powodu - być może tylko dlatego że miała po dziurki w nosie starej nudziary - postanowiła zepsuć dzień królowi „Bractwa Białej Koniczyny”. Jeśli jej domysły były słuszne i rzeczywiście umawiał się z kimś potajemnie, gotowa była na niego zaczekać.

Wywiad trwał nie dłużej niż pięć minut. Bill Collins, chociaż dosyć spięty - Sky nie znała go na tyle dobrze, aby wiedzieć, czy to jego naturalne zachowanie - wyraźnie ucieszył

się na jej widok. Wygłosił kilka komplementów pod adresem dziennikarskiej pracy i wygłą-

dało na to, że jest gotów przez resztę wieczoru oprowadzać Sky po historycznym labiryncie konfliktu w Północnej Irlandii.

- Mówiłem już o tym wszystkim Jimowi Larsenowi - strzelił knykciami, aż się skrzywiła. - Ale jak dotychczas nie ukazała się żadna publikacja na ten temat. Być może nie byłem dostatecznie przekonujący. A poza tym, wasz naczelny redaktor, w przeciwieństwie do nas dwojga, nie jest Irlandczykiem.

- Kraj naszych przodków rzeczywiście chlubi się wspaniałą przeszłością, panie Collins.

- Sky, w obawie że może zostać zmuszona do odgrywania roli konspiratorki, czym prędzej postanowiła przerwać ów wywód. - Jednak, jak zapewne panu wiadomo, w naszej gazecie dysponujemy bardzo ograniczonym miejscem, gdzie można by zamieszczać notatki wspólnoty. W końcu jesteśmy przedsiębiorstwem komercyjnym..

- Ależ to też są wiadomości. Dlaczego nigdy nie udaje mi się nikogo o tym przekonać?

- Oczywiście, zgadzam się z panem, panie Collins. Lecz biorąc pod uwagę fakt, że musimy też opisywać wszystkie inne wydarzenia, jakie codziennie mają miejsce na naszej planecie, niewielkie są szanse na to, aby historia starego kraju została przedstawiona tak, jak na to zasługuje.

- Może jednak kiedyś wam się uda? Nie sądzę, aby większość społeczeństwa amerykańskiego pojmowała w pełni, co właściwie się dzieje w okupowanej Irlandii, panno MacPherson. A tam zabijają naszych ludzi. Naszych rodaków: moich i pani. Każdego dnia. -

Chwycił ją za ramię, zbyt przejęty, aby wiedzieć, co robi. - To przerażające. Brytyjska machina propagandowa ma tam całkowitą swobodę i dzięki temu rozpoczęto całą ową gadaninę o *R S*

„szczególnych powiązaniach”, zwłaszcza od czasu kiedy Reagan i Maggie Thatcher zaczęli działać ręką w rękę!

Sky delikatnie uwolniła ramię, a Collins ze zdumieniem spojrzał na swą dłoń.

- Proszę mi wybaczyć, panno MacPherson. Trochę mnie poniosło. - Próbował się uśmiechnąć. - Pani rodzina również pochodzi z Irlandii, więc na pewno pani zrozumie, jak bardzo jest to dla nas frustrujące. Mamy ograniczone możliwości w zakresie informowania o czymkolwiek opinii publicznej. Dobrze pani wie, że nie jesteśmy szaleńcami ani fanatykami.

- Ponownie strzelił nymkami. - Gdybyśmy jednak mieli okazję skorzystać z pomocy tak znakomitej dziennikarki jak pani, moglibyśmy przekazać nasze przesłanie społeczeństwu amerykańskiemu i włączyć się do nurtu politycznego stanu Montana. W pewnym sensie nasza obecność tutaj jest równie ważna jak Irlandczyków z Nowego Jorku czy Bostonu. Każdy element zębaki porusza kołem.

- To wszystko z pewnością jest ogromnie fascynujące. I ma pan rację: podane przez pana fakty nawet w połowie nie były mi znane - powiedziała mu na pocieszenie Sky, a na koniec rzuciła: - Może kiedyś będziemy ze sobą współpracować.

- Kiedy się spotkamy? - Ponownie chwycił ją za ramię.

- Zadzwoń do pana. - Zła na siebie o to, że sama się podkłada, spytała, z zaciekawieniem czekając na reakcję mężczyzny: - Jak się miewa pani Collins?

Ku jej ukrytemu zdumieniu, Bill zamrugał jedynie ze zdziwieniem powiekami.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Proszę do mnie zatelefonować. Larsen zawsze obiecywał, że napisze reportaż, ale dotychczas tego nie zrobił.

- Odezwę się wkrótce - zapewniła go.

Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie, pomyślała, zmierzając w stronę swego nissana.

Po powrocie do domu udała się prosto do łazienki, gdzie długo nie wychodziła spod prysznic, a potem, szczelnie otulona we frotowy szlafrok, wyrzuciła z umysłu wszystkie refleksje związane z pracą i zabrała się do lektury. Greg podarował jej upominek: książkę zaty-tułowaną „Morskie wieści” pióra E. Annie Proulx.

Rozdział 8

W ciemnościach poprzedzających nadejście świtu deszcz w północnym rejonie Mayo *R S*

powodował bardziej przenikliwy chłód niż o każdej innej porze doby. W tej odległości od Greenwich czerwcowe niebo zaczynało się rozjaśniać przed czwartą nad ranem. A teraz była trzecia trzydzieści.

Po wykonaniu pierwszej części zadania z publicznej budki w Crossmolinie przeprowadzono rozmowę telefoniczną dokładnie w tym samym czasie, kiedy furgonetka Hiace zbliżała się do miasta Ballina. Pojazd był biały - w najpopularniejszym kolorze w Irlandii - miał tablicę rejestracyjną z 1990 roku, niezbyt nową, ale i niezbyt starą, i poruszał się ze stałą prędko-

ścią nieco poniżej dopuszczalnego limitu, na wypadek gdyby jakiś wścibski policjant zbyt wcześnie zerwał się z ciepłej pościeli. Trzej pasażerowie półciężarówki, ubrani w robocze kombinezony, ścisnęli się na przednim siedzeniu. Ci mężczyźni o krzepkim wyglądzie mogli być robotnikami pracującymi na budowie, którzy o świcie rozpoczynają pracę, aby w pełni wykorzystać światło dzienne, albo rybakami, którzy zmierzają do Killybegs na północy, chcąc zdążyć przed przypiływem.

Miarowa praca silnika i regularny odgłos wycieraczek na szybie były jedynymi dźwię-

kami w kabinie. Nikt się nie odzywał. Być może, jako Irlandczycy, ci trzej wcale nie palili się do rabowania grobów.

- Nareszcie! - Sky wypuściła z ręki powieść i pobiegła do drzwi, słysząc odgłos obracanego w zamku klucza matki.

- Cześć, skarbie! - Johanna, dźwigając ogromną pakę owiniętą w brązowy papier, z trudem weszła do środka. - Jak ci upłynął dzień? Wejdz, Hermano.

Na widok przyjaciółki matki pytanie zamarło Sky na ustach.

- Nie sądzisz, że pora jest zbyt późna? - Hermana, zachowując nietypową dla siebie rezerwę, precyzyjnie się przez wąskie drzwi.

- Ależ skąd! - Johanna już była w kuchni i kładła na krzesło swój ciężar. - Wejdz i pozwól trochę odpocząć twym biednym nogom... - Och, przepraszam, nie chciałam ci dokuczyć, kochanie. - Johanna zachichotała, a potem zwróciła się do córki: - Hermana odebrała mnie z dworca. Nie chciałam telefonować po ciebie, gdyż sądziłam, że możesz być zajęta albo umó-

wiona na randkę z Gregiem.

- Niepokoiłam się o ciebie, mamó. Minęła już dziesiąta. Mogłaś zadzwonić. - Sky zamknęła drzwi i weszła za obiema do kuchni.

- Na miłość boską, Sky! Jestem kobietą w średnim wieku! Kto chciałby na mnie napaść! - Nieszczery śmiech Johanny odbił się echem od ścian schowka pod zlewem, który przepatrywała, szukając puszek z pokarmem dla kotów. - Cóż za pomysł! Kici-kici, moje maleń-

R S

stwa - czuliła się do zwierzaków, które wykonywały slalom pomiędzy jej mokasynami. - Czy tęskniłyście za mną, biedne kruszynki? Masz ochotę na herbatę, Hermano? Nastaw wodę, Sky.

Sky grając na zwłokę, zaparzyła herbatę i zaniósła ją do stołu. Z ust matki wciąż płynę-

ły wartkim potokiem kolejne słowa, gdy otwierała konserwy i rozdzielała ich zawartość ko-tom. Obecność Hermany nie była przypadkowa: Johanna robiła uniki przed rozmową o Danielu Treacym. Tym samym było podyktowane jej wczorajsze wczesne wyjście oraz nocleg poza domem.

W końcu uporała się ze swym zajęciem i także usiadła przy stole, wciąż unikając wzroku córki.

- Jest pewna sprawa, o którą chciałabym cię zapytać, mamó - odezwała się cicho Sky.

- Słucham, skarbie? - Johanna rzuciła Hermanie ukradkowe spojrzenie.

- Co to za paczka? - Zła, że jej podejrzenia się sprawdziły, postanowiła potrzymać matkę w niepewności.

- Kosz z sitowia. To podarunek od Fredy. - Ulga Johanny wydawała się niemal komiczna. - Jej siostra wypłata ich tysiące dla turystów. Pomyślałam, że przyda się na legowisko dla kotów. Do środka włożę mały koc, ten który dostałam od Buffy na ubiegłoroczną Gwiazdkę. Jestem pewna, że nie weźmie mi tego za złe...

- Mamo... - Sky postanowiła skończyć z subtelnościami. - Dobrze wiesz, że nie o to chciałam zapytać. Co zaszło pomiędzy babcią a Danielem Treacym? I dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko?

- A nie jest? - Matka starała się nadać swemu głosowi jak najbardziej niewinne brzmienie; równocześnie z uwagą wyciskała łyżeczką ostatnie krople herbaty z torebki. - Jak to?

- Zmienił je dawno temu. W rzeczywistości nazywa się McCarthy. I wiesz o tym równie dobrze jak ja, nie próbuj zaprzeczać. Lepiej mi powiedz, co się właściwie stało.

- Boże miłosierny!

Sky poczuła mrowienie pod skórą, ale postanowiła zachować spokój.

- No, słucham? - zapytała, zagryzając usta.

- To stare dzieje, kochanie. Byłam wtedy bardzo młoda. Ile mogłam mieć lat...?

- Pozwól, że ci pomogę, mamo. Przyznał się nie tylko do fałszywego nazwiska. Wiem również o tym, iż zabił mojego dziadka. Zapewnił mnie jednak, że to był wypadek i że ty za-poznasz mnie ze szczegółami. Czy owe fakty pobudziły trochę twoją pamięć?

R S

- Nie ja ponoszę winę za to, co się stało, Sky, więc nie mów do mnie w ten sposób, bardzo cię proszę! - Johanna szukała ratunku, przybierając pozę urażonej matczynej godności.

- To bardzo przykry temat dla twojej biednej matki, kochanie - Hermana, wciśnięta w zbyt ciasne dla swego zwalistego ciała plastikowe krzesło, niemal nie przeważała go własnym ciężarem w gorliwym zamiarze przyjscia na odsiecz przyjaciółce. - I nie lubi o tym rozmawiać. - Zachowała równowagę, przytrzymując się krawędzi stołu. - Lepiej, żeby ciemne sprawy pozostały głęboko pogrzebane, nie sądzisz?

Sky nie odrywała wzroku od twarzy matki. Z tyłu dochodziły ją hałaśliwe odgłosy - to koty pałaszowały swe smakołyki.

- Sprawa trafiła do sądu - odezwała się w końcu Johanna - Treacy jednak został wy-puszczony na wolność. Okazało się, że to tylko burza w szklance wody. Chodźcie do mnie, moje maleńkie. - Nachyliła się, żeby podnieść ulubieńców. - Uczta dobiegła końca, co?

Sky policzyła w myślach do trzech.

- Mamo!

- Tak, kochanie?

- Proszę, powiedz mi prawdę. On twierdzi, że to był wypadek. Czy rzeczywiście?

- Sądzę, że tak. - Johanna podniosła oba koty i oparła je sobie na piersi niczym futrzaną tarczę. - Dlaczego nie napiszesz w tej sprawie do ciotki Margaret? A nawet do Goretti? Są znacznie starsze ode mnie i mogą znać więcej szczegółów. Prawdę mówiąc, z całej tej historii zapamiętałam jedynie, że pewnego wieczora w naszym domu rozegrał się straszliwy dramat, a potem odbył się pogrzeb mojego ojca. Nigdy nie znałam Daniela Treacy'ego, Sky, przecież już ci mówiłam...

- Ale wiedziałaś... i wiesz, że kochał się w babci. I że zabił mojego dziadka, a potem uciekł do Stanów.

- To niezupełnie tak... Sędzia by go nie uniewinnił. Och... - Johanna spojrzała na Hermanę, szukając u niej wsparcia. - To był wypadek. Tak, jestem tego pewna. - Energicznie pokiwała głową. - Bez dwóch zdań.

- Sądzę, że powinnaś napisać do ciotek, Sky. - Hermana poklepała przyjaciółkę po ręce. - A jeszcze lepiej zadzwoń do nich.

- Zrobię to. I tak miałam z nimi porozmawiać. - Sky wstała od stołu i podeszła do zlewu, żeby umyć filiżankę. Powinna była to przewidzieć; matka nie potrafiła stawić czoła najmniejszej nawet przykrości. Odczekała, aż za jej plecami nastanie cisza, a potem odwróciła *R S*

się i powiedziała obojętnym tonem: - Treacy chce tu zaprosić babcię z okazji jej siedemdziesiątych piątych urodzin.

- Och! - W westchnieniu Johanny wyraźnie zabrzmiało podniecenie. - Bałam się już, że jej nigdy więcej nie zobaczę. Wyjazd do Irlandii byłby zbyt kosztowny.

Na skutek twojej własnej głupoty, mamo - Sky pomyślała o tych wszystkich przeterminowanych czekach w szufladzie. Miała już dosyć na dzisiaj; musiała sobie wszystko dokładnie przemyśleć, zanim uda jej się poznać dalsze szczegóły tej historii i zorganizować przyjazd babki, na który wyraźnie się zanosilo.

- Jestem bardzo zmęczona, mamo. Wrócimy rano do tej rozmowy.

- Oczywiście, kochanie. - Johanna wyglądała jak rozradowana nastolatka.

Sky pocałowała ją w policzek, Hermanę również, i zostawiła je same.

To mógł być wypadek, ale nie można wykluczyć również i drugiej ewentualności, po-myślała,

zamykając za sobą drzwi sypialni. Tak czy owak, postanowiła dyskretnie zasięgnąć języka w sprawie śmierci Mary Dorothy Treacy, która w bardzo dogodnym momencie, bo tuż przed urodzinami babki, usunęła się z drogi i przestała zawadzać komukolwiek. To wszystko wydawało się zbyt uporządkowane, aby mogło być skutkiem zwykłego zbiegu okoliczności.

Jeszcze długo po zgaszeniu światła Sky słyszała z kuchni szmer rozmowy - cichy, pod-niecony i melodyjny głos Johnny oraz dudniący baryton Hermany.

Nazajutrz przy śniadaniu wyciągnęła od matki, kawałek po kawałku, całą historię. Johanna nie przejawiała wielkiej ochoty do wskrzeszania barwnej przeszłości swej matki.

Sprawa okazała się bardzo prosta. Dziadkowie Sky pokłócili się kiedyś późnym wieczorem.

On zarzucił babce, że flirtowała z Danielem na jednej z zabaw. Sprzeczka przerodziła się w kłótnię, oboje stracili nad sobą panowanie i dziadek poszedł na spacer, żeby trochę ochłonać.

Spotkał McCarthy'ego, który polował na króliki. Obrzucili się przykrymi słowami i skoczyli sobie do gardeł, a podczas szamotaniny broń wypaliła. McCarthy stanął przed sądem, ale został uniewinniony.

- Mogło być gorzej. - Sky popatrzyła na matkę ze współczuciem. - Zupełnie niepotrzebnie robiłaś z tego tajemnicę. Już dawno powinnaś mi była o wszystkim powiedzieć.

Szczerze mówiąc, uważam, że to bardzo romantyczna historia.

Johanna wytrzeszczyła na córkę oczy.

- No cóż, to był twój dziadek. Przypuszczałam, że skoro nie znałaś zaangażowanych w tę sprawę osób... Nam wtedy nie wydawało się to wcale romantyczne. Byliśmy rodziną na-R S

piętnowaną w parafii. I nie wszyscy wierzyli, że Daniel McCarthy jest tak niewinny, jak utrzymuje. - Johanna spuściła oczy i utkwiała je w kolanach. - Ani moja matka.

Ostatnie słowa wymówiła tak cicho, że Sky ledwie je usłyszała.

- Co z moją babką?

- Byłam wtedy dzieckiem, powtarzam ci. I nikt z rodziny nigdy nie powraca do tamtych wydarzeń, Sky. - Spojrzała dzielnie na córkę. - Dlaczego nie napiszesz do ciotek, jak ci wczoraj sugerowałam?

- Napiszę, mamó. Chciałam jednak dowiedzieć się wszystkiego od ciebie.

Matka odwróciła wzrok.

- Nie sądzę, żeby kochała mojego ojczyma - powiedziała cienkim, niemal dziecinnym głosem. - Wkrótce wyszła jednak za niego za mąż.

- On również umarł.

Johanna zareagowała na to stwierdzenie, gwałtownie zwracając ku niej głowę.

- Po wielu latach. Mossie Sheehan spadł z dachu. To był zwyczajny wypadek. Pozbądź

się wstrętnych myśli, Rainbow Sky MacPherson! - Gdyby temat nie był aż tak poważny, jej oburzenie mogłoby się wydawać zabawne. - Panie, uchwaj nas przed dziennikarzami! Wszyscy macie skłonność do dramatyzowania! - Johanna upiła spory łyk z filiżanki i czknęła. -

Przepraszam. - Ponownie czknęła. - Doszukujecie się komplikacji nawet w najprostszycich sprawach! Zapewniam cię, że Daniel McCarthy nie miał nic wspólnego ze śmiercią naszego ojczyma. W chwili wypadku mieszkał w Stanach i to od lat. Mnie również już nie było wtedy w kraju. I nawet nie pojechałam do domu na pogrzeb.

- Aha! Zatem od samego początku wiedziałaś, że Treacy i McCarthy to jeden i ten sam człowiek. - Sky naskoczyła na matkę.

- Co takiego? - Johanna odzyskała panowanie nad sobą, o czym świadczyło spojrzenie jej chabrowych oczu.

- Chcę wiedzieć, kiedy odkryłaś, że Treacy to McCarthy. A także jak to się stało, że nigdy przy śniadaniu nie padła żadna wzmianka na ten temat?

- Spotkałam go kiedyś przypadkiem, na którymś pogrzebie - Johanna przybrała teraz pozę pełną godności. - I rozpoznałam dzięki fotografii, którą moja matka przechowywała w szufladzie biurka. O ile sobie przypominam, nigdy mnie o niego nie pytałaś. Skąd miałam wiedzieć, że może cię to wszystko interesować?

Sky bezradnie spojrzała na matkę. Jak na kobietę tak niezwykle delikatną, Johanna na *R S* swój słodki sposób potrafiła być górą w każdej sytuacji.

- Niewiele się zmienił. - Matka usadowiła się wygodniej. Wiedziała, że trudną część rozmowy ma już za sobą. - I nadal jest dość przystojny, nie sądzisz? Pomyśleć tylko, że po tylu latach wciąż ją kocha... - Uśmiechnęła się, marszcząc nos pod wpływem owych senty-mentalnych refleksji.

- Nie zmieniaj tematu, mamó.

- Ach, czyż to nie jest miłe? - Twarz Johanny rozpromieniła się w szczerym, niemal dziecięcym uśmiechu. Założyła dłonie na piersiach. - Czy nie byłoby cudownie, gdyby również ona wciąż go kochała? Mogliby sobie jeszcze ułożyć życie i zaznać szczęścia!

- Jak widzę, zamierzamy przyjąć wspianiałomyślną propozycję pana Treacy'ego i w sierpniu sprowadzić babcię do Ameryki. - Sky stwierdziła, że mimo woli została wciągnięta w tę spóźnioną historię miłosną. Wstała od stołu, żeby sobie nalać jeszcze jedną filiżankę kawy.

- Może to ty powinnaś wykonać pierwszy ruch i zadzwonić do niej, mamó? Jest już wiekową damą. Nie rób sobie jednak przedwcześnie zbyt wielkich nadziei. Dobrze wiesz, że babka może nie mieć

ochoty na tę podróż.

- Mam zatelefonować do Irlandii? Och, Sky, dobrze wiesz, że nas na to nie stać.

Powoli, niczym magik pragnący zwrócić uwagę na wykonywaną właśnie sztuczkę, Sky sięgnęła do portfeliaka leżącego na kuchennym blacie i wydobyła mały plik czeków. Oddzieli-

ła od pozostałych dwa, wciąż ważne.

- Podpisz je, mamó - powiedziała cicho. - I dodaj pod spodem: „Proszę wypłacić R.

Sky MacPherson”.

Matka, z szeroko otwartymi ustami, wzięła blankiety i podane wraz z nimi pióro, a potem zrobiła to, co jej polecono.

- Nie zamierzam w tej chwili nic mówić na ten temat. - Sky schowała oba czeki. - Jeśli jednak jeszcze dzisiaj nie napiszesz do swego brata listu z prośbą o ich uaktualnienie - wskazała na sos bezwartościowych papierów na stole - ja zrobię to za ciebie. - Wypiła resztę czarnej zawartości filiżanki. Mocna kawa była czymś równie niezbędnym w jej życiu jak aparat telefoniczny. - I przeprowadź tę nieszczęsną rozmowę telefoniczną ze swą matką. Mamy tutaj około czterystu dolarów! - Pomachała Johannię przed nosem dwoma ważnymi czekami. - A poza tym, przecież to Treacy ją zaprasza. I jego obciążymy kosztami.

W ciągu dnia Sky była tak zajęta wykonywaniem swych codziennych obowiązków, że nie miała możliwości kontynuowania własnego programu związanego z Danielem Treacym.

R S

Napisała notatkę z posiedzenia „Bractwa Białej Koniczyny”, cytując kilka uwag Billa Collinsa, i rozpoczęła opracowywanie materiałów, które miały być zamieszczone w następnym wydaniu w rubryce z wiadomościami, w tym także na temat znienawidzonego rodeo. Co prawda dla zasady nie zamierzała relacjonować owego wydarzenia, ale nawyk efektywnej pracy mia-

ła głęboko zakorzeniony. Pomyślała, że przynajmniej zaoszczędzi pracy przy gromadzeniu wstępnych informacji Lindy albo jakiemuś niezależnemu reporterowi - frajerowi, który w końcu otrzyma tę robotę.

Czekał ją jeszcze wywiad z architektem miejskim, dotyczący wydzielenia stref ciszy.

Zgłębiła się właśnie w stosie dokumentów z przepisami regulującymi powyższą kwestię, gdy nagle uświadomiła sobie, że obok niej stoi Jimbo.

- Masz wolną chwilę?

- Jasne. - Podniosła się z miejsca i poszła za nim do gabinetu.

- Opowiedz mi o wywiadzie z Treacym. - Larsen odchylił się do tyłu na krześle i położył stopy na jedynym wolnym miejscu na blacie biurka.

- Poszło całkiem nieźle. To interesujący facet. Jestem pewna, że dobrze o tym wiesz. -

Sky postanowiła zachować czujność.

Chociaż historia była w pewnym sensie sensacyjna, dociekliwość szefa i jego niezwykle zainteresowanie tematem wzbudziło w niej przekonanie, że dzieje się coś niezwykłego.

Zwykle nie wtrącał się do pracy Sky, a na komentarze pozwalał sobie dopiero po zapoznaniu się z gotowym artykułem. Czy to możliwe, aby wiedział o jej osobistym zaangażowaniu w tę sprawę? I o przeszłości Treacy'ego?

Spróbowała coś wywęszyć.

- Jeszcze nie przepisałam notatek, Jim, a wiesz, że nigdy nie potrafię ocenić materiału, dopóki nie skończę nad nim pracować. Czyżby w przypadku tego wywiadu konieczny był

pośpiech? Niewykluczone, że ponownie będę musiała się spotkać z Treacym, zatem jeśli interesuje cię jakaś szczególna kwestia, mogłabym spróbować się dowiedzieć...

- Nie, na tym etapie za wcześnie na konkrety. Będiesz z nim rozmawiać? To dobrze.

Tylko bądź ostrożna.

- Co masz na myśli? - Zaraz pożałowała tego pytania. Ze względu na sprawy osobiste wolałaby przeprowadzić własne dochodzenie poza obrębem gazety.

- Może nic w tym nie ma. - Spojrzał na nią, rozważając coś w myślach, a potem zdjął

nogi z biurka, najwyraźniej podejmując decyzję. - Nie chcę ci niczego sugerować - oświadczył, jak gdyby rozmowa była zakończona. - Mogłabyś pójść niewłaściwym tropem. Najlepiej

podchodzić do zagadnienia z szeroko otwartym umysłem. Ale kiedy już z nim porozmawiasz i uporządkujesz notatki, przyjdź do mnie, to je przedyskutujemy. Zanim artykuł będzie gotowy.

Stała już niemal w drzwiach, kiedy znowu zatrzymał ją głos szefa.

- Czy dużo mówił o swojej żonie?

- Nie, niewiele. - Badawczo przyjrzała się jego twarzy, próbując odgadnąć, co go skłoniło do tego pytania. - Czyżbyś słyszał o czymś, Jim, o czym i ja powinnam wiedzieć?

Skrzywił się ironicznie.

- Tak tylko spytałem. Wrócimy jeszcze do tej sprawy.

Z jednej strony postawa Larsena potwierdziła wcześniejsze wątpliwości Sky, z drugiej jednak musiała brać pod uwagę matkę i babkę.

- A niech to wszyscy diabli! - mruknęła pod nosem, podnosząc słuchawkę telefonu na biurku i wybierając domowy numer.

- Czy dzwoniłaś już do Irlandii? - zapytała Johannę, nie kłopotząc się wstępными formułkami grzecznościowymi.

- Jeszcze nie, kochanie. - Matka wydawała się zdziwiona. - Jest tam zbyt wcześnie. Sądzę, że nie ma jeszcze... - umilkła.

Sky za bardzo się śpieszyła, aby dyskutować o w zawłościach stref czasowych.

- To dobrze - powiedziała. - Wstrzymaj się z tym do jutra. Coś się wydarzyło.

- Och, Sky! Czy to znaczy, że nasze nadzieje okażą się płonne?

- Ależ skąd, mamó. Proszę cię tylko o zwłokę dwudziestu czterech godzin, zgoda? Muszę ponownie porozmawiać z Treacym, a nie chcę go stawiać przed faktem dokonanym. Pragnę się jedynie upewnić, czy naprawdę myślał to, co powiedział.

- Och, nie wątpię w jego szczerłość, kochanie. - Johanna się rozchmurzyła, a jej głos zabrzmiał bardziej radośnie: - Mamy mnóstwo czasu. Czy nie sądzisz, że powinniśmy odmalować salon przed jej przyjazdem? Ściany są już brudne.

Sky obiecała, że porozmawiają o tym, gdy tylko wróci z pracy, a potem się rozłączyła i przez długi czas siedziała w milczeniu, wpatrując się w aparat telefoniczny.

- Czy w domu wszystko w porządku? - Lindy spojrzała na nią sponad szafki, przy której uzupełniała akta, dołączając do nich nowe artykuły i publikacje, wybrane ze stosu papierów.

R S

- Tak, w jak najlepszym - zapewniła ją pośpiesznie Sky i spojrzała na zegarek. Za pięć minut musiała być w ratuszu.

Ponure wywiady w urzędzie miejskim trwały o wiele dłużej, niż się spodziewała, i gdy wróciła do biura, było dobrze po piątej. Lindy zostawiła dla niej notatkę przyklejoną do aparatu telefonicznego: „Dzwonił pan Treacy. Prosił o kontakt w pilnej sprawie”. Sky z niezadowolonym wpatrywała się w żółtą kartkę. Wcale nie była za tym, żeby Treacy ustalał za nią plan działania. W końcu jednak ciekawość zwyciężyła i Sky otworzyła notes z numerami telefonicznymi.

Natychmiast uzyskała połączenie. Treacy chciał się jedynie dowiedzieć, czy wspomniała o jego zaproszeniu matce. Chociaż mówił urzędowym, a nawet szorstkim tonem, słyszała jego przyśpieszony oddech i wyczuwała lęk w jego głosie.

Oklamała go, wyjaśniając, że nie zdołały się jeszcze skontaktować z Irlandią i zapewni-

ła, iż niezwłocznie powiadomi go o rozwoju wydarzeń. Poprosiła też o kolejny wywiad, w związku z planowanym artykułem, zapewniając, że nie zabierze mu dużo czasu. Chciała jedynie wyjaśnić kilka szczegółów. Treacy zgodził się po krótkim wahaniu i umówili się na najbliższy poniedziałek. Dzięki temu terminowi Sky zyskiwała nieco czasu.

Po skończeniu rozmowy odruchowo skierowała się do gabinetu Larsena. Postanowiła, że nim zagłębi się w historię, która może okazać się kłopotliwa dla „Couriera”, postąpi lojalnie wobec swego szefa.

- Jesteś zajęty?

- Ach ci księgowi! - Jimbo odsunął na bok złożone w harmonijkę zwoje wydruków komputerowych. - Wyjątkowo długo pracujesz, jak na środę. W czym mogę ci pomóc?

- Ta sprawa dotyczy Treacy'ego i jest poufna. Jestem nią również zainteresowana prywatnie. Czy mogę zatem polegać na twojej dyskrecji?

- Jezu! Zakochałaś się w tym facecie?

Spojrzała na niego zdumiona: jego domysły były tak absurdalne i tak dalekie od prawdy, że poczuła się całkowicie zbита z tropu.

- Ależ nie!

- Przepraszam! - Jimbo skinieniem dłoni wskazał, żeby usiadła. - To wszystko przez te cyfry. Powodują rozpad komórek mózgowych.

Sky wzięła głęboki oddech. Opowiedziała Jimowi o historii miłosnej sprzed lat, a także o zaproszeniu babki przez Treacy'ego i o tym, że zmienił nazwisko po śmierci jej dziadka. Z

R S

jej opowieści nasuwał się wniosek, że powodem ucieczki Daniela Treacy'ego do Stanów Zjednoczonych była nie tylko tragiczna śmierć pierwszego męża Elizabeth, ale również złamane serce Daniela.

Kiedy zaś zaczęła mówić o swych wątpliwościach w związku ze śmiercią Midge Treacy, dostrzegła, że z oczu szefa zniknął sceptycyzm, a jego spojrzenie przybrało wyraz, które-go nie potrafiła zinterpretować. Zrozumiała, jak śmieszna musiała mu się wydać jej teoria.

Nie miała żadnych podstaw, aby łączyć oba wydarzenia z osobą Daniela Treacy'ego, ani też sądzić, iż katastrofa samochodowa była czymś więcej niż tragicznym wypadkiem drogowym.

- Wybacz mi - powiedziała na koniec słabym głosem. - Wygląda na to, że i ja uległam plotkarskiej atmosferze Butte... Wiem, wiem... to wszystko jest śmiechu warte. Przepraszam, że zabrałam ci tak wiele czasu.

- Czy ja się śmieję? - Twarz Larsena miała kamienny wyraz.

- To znaczy, że twoim zdaniem mogę mieć rację? - zdumiała się Sky.

- Niekoniecznie, ale warto się nad tym zastanowić. Nie zamierzałem ci nic mówić, zanim nie zapoznam się z artykułem. Wprawdzie nie jestem zwolennikiem pochopnego łączenia poszczególnych fragmentów łamigłówni, rzuć jednak na to okiem. Element ten nie całkiem pasuje do twojej teorii, ale co o nim sądzisz? - Z szuflady biurka wyjął świstek papieru i podał

go Sky.

Na czterech kuponach, promujących zakup kawy firmy Fogler, które zostały wydarte z gazety albo z weekendowej ulotki, ktoś napisał czerwonym flamastrem: Zapytajcie Daniela Treacy'ego o jego drogą, kochaną żoneczkę oraz o włóczęgę, które-go zamordowała. A także o to, jaki pogrzeb mu wyprawiono! Czyżby inne było prawo dla biednych, a inne dla szkaradnych, bogatych świń?

Podpisana

Osoba zainteresowana jedynie tym, aby sprawiedliwości stało się zadość. (Jedna z nie-wielu).

- Od jak dawna to masz? - Sky odwróciła kupony, żeby sprawdzić, czy nic nie ma pod spodem. Nie było.

- Od kilku dni. - Larsen uważnie jej się przyglądał. - Otrzymałem to nazajutrz po pogrzebie Midge Treacy.

- W jaki sposób została doręczona przesyłka?

- Przez posłańca.

R S

Jimbo wyciągnął papierową torebkę do pakowania zakupów, zaadresowaną tym samym purpurowym flamastrem: „Dla redaktora naczelnego, pilne”. Ironicznym zrządzeniem losu wydał się Sky fakt, że na opakowaniu widniał znak firmowy sklepu monopolowego na-leżącego do ojca Grega. Spostrzegła, że jest to ta sama torebka, która o mało nie wylądowała w koszu na śmieci, póki Lindy nie zmieniła zamiaru i nie zniosła jej do gabinetu szefa.

Przez lata ukazywania się gazety, do redakcji „Couriera”, podobnie jak do redakcji wszystkich innych gazet na świecie, każdego roku napływała pewna liczba anonimowych, tak zwanych przestroóg, które nieodmiennie okazywały się dziełem niepoczytalnych lub ogarnię-

tych żądzą zemsty maniaków. Sky podejrzewała, że i ten list się do nich zalicza. Uważała za mało

prawdopodobne, aby owa zbrodnia nie została nigdzie odnotowana - nawet w rejonie przygranicznym, w którym mieszkała Midge Treacy.

- Czy nikt nie pamięta, kto tę przesyłkę dostarczył? - Przesunęła kupony z powrotem na drugą stronę biurka.

- Wygląda na to, że facet był czarny. - Jimbo schował z powrotem do Szuflady zarówno list, jak i prowizoryczną kopertę. - A mówiąc dokładnie, roztrzepana osóbką z pokoju obok sądzi, że prawdopodobnie był czarny. Znając ją jednak, równie dobrze mógł być po prostu nieumyty. - Z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Och, przestań. Lindy wcale nie jest aż tak beznadziejna. - Kobięca solidarność nakazała Sky bronić stażystki. - Jeśli rzeczywiście był Murzynem, nietrudno go będzie wytropić. -

Amerykanie afrykańskiego pochodzenia należeli w Montanie do rzadkości. Sky spojrzała badawczo na swojego szefa. - Traktujesz ten list poważnie, prawda? Czy słyszałeś coś jeszcze?

- Nie jestem pewien. - Zamknął ostrożnie szufladę, jak gdyby zrobiono ją z sewskiej porcelany. - I nic nie słyszałem, naprawdę. Wiesz, że normalnie czegoś takiego nie przeczytałbym ponownie, ale...

- Ale co?

- Jesteś pewna, że przedtem nie dotarły do ciebie żadne słyuchy na temat żony Treacy-

'ego? - Jimbo miał błędne spojrzenie, co zawsze oznaczało, że jego umysł pracuje na przyspieszonych obrotach.

- Ta kobieta za życia niczym się nie zapisała w mojej pamięci. A sądzisz, że powinna?

To prawda, że w pewnym sensie wiodła pustelniczy żywot, ale jedyną rzeczą, która by mogła rzucać cień na jej skądinąd nieposzlakowany charakter, był fakt, że od czasu do czasu pozwalała sobie na kilka drinków.

R S

- Rozumiem.

- Powinnam być już w domu, Jim. Obecnie pracuję w godzinach nadliczbowych.

- To nie tylko kwestia kilku drinków.

Nagle Sky przypomniała sobie reakcję Daniela Treacy'ego, kiedy spytała go o stan zdrowia zmarłej małżonki.

- I co z tego? - odparowała. - Z wypowiedzi ludzi, z którymi rozmawiałam przed napisaniem notatki pożegnalnej, wynikało, że jej skłonności do alkoholu należały do przeszłości.

- Nie jestem tego pewien. - Jimbo utkwiał wzrok w Sky. - Słyszałem, że była alkoholiczką. Wspaniale się bawiła. I to nie w odległej przeszłości, lecz tuż przed śmiercią.

- Wiadomość na kuponach dotyczy zbrodni - dowodziła. - Pijacy natomiast rzadko po-pełniają morderstwa. Za bardzo zależy im na tym, żeby się zalać, Jim. A szczególnie alkoholicy z tak ogromnymi pieniędzmi jak Midge Treacy nie potrzebują zabijać jakiegoś włóczęgi dla zdobycia butelki marnego wina.

Wyraz twarzy redaktora naczelnego nie uległ zmianie.

- Miej oczy i uszy szeroko otwarte. Nie byłby to też zły pomysł, gdybyś złożyła wizytę gliniarzom w Mayville. Może polecisz tam jutro? Pojedź także do Libby. Przeprowadzisz własne śledztwo. Gdybym nie musiał się z tym uporać na czwartek na szóstą wieczór - machnął lekceważąco dłonią, wskazując na plik wydruków komputerowych - sam bym się tam wybrał. Mam własną teorię co do przebiegu wydarzeń, jednak jestem ciekaw, do jakich ty dojdiesz wniosków.

Sky westchnęła.

- Na miłość boską, Jim, ta kobieta nie żyje... - Nagle umilkła, gdyż odezwał się w niej dziennikarski instynkt. Jeśli żona Daniela Treacy'ego przed śmiercią kogoś zamordowała, Sky miała szansę napisania sensacyjnego artykułu, nawet gdyby ceną okazał się brak szacunku dla zmarłej. - Jaka jest ta twoja teoria?

- Na razie nie zamierzam jej wyjawiać.

Próbowała przez pięć minut nakłonić szefa do zmiany zdania, lecz Jim stanowczo nie chciał wyjawic jej jakichkolwiek dodatkowych informacji, a nawet podzielić się z nią swymi domysłami.

- Będzie lepiej, jeśli dojdiesz do własnych wniosków. Jak już wspomniałem wczesniej, nie chcę, abyś się sugerowała moją opinią.

W końcu zmuszona była dać za wygraną. Kiedy ponownie znalazła się za biurkiem, *R S*

starła się rozpatrzyć sprawę pod wszelkimi możliwymi kątami. Jeśli Midge Treacy była zamieszana w jakąś nielegalną działalność, informacja taka miała dla prowincjonalnej gazety jak „Courier” niezwykle doniosłe znaczenie. Lecz jeśli sam Treacy o wszystkim wiedział i użył swych pieniędzy, ażeby sprawę zatuszować, wiadomość owa stawała się wprost sensacyjna. Sky, wybierając numer biura informacji w Libby, uprzytomniła sobie, że jej matka i babka są zamieszane w tę historię. Nie odłożyła jednak słuchawki.

Rozdział 9

Otoczone gęstymi lasami Libby, z niskimi zabudowaniami oraz szerokimi alejami, ty-powymi dla wszystkich miejskich aglomeracji w Montanie, gdzie przestrzeń należy do dóbr występujących w obfitości, jest uroczym miasteczkiem. Zalicza się także do miejsc bogoboj-nych, jako że znajdują się tu liczne kościoły o ścianach wyłożonych błyszczącymi szalunkami oraz wiele kaplic; a wszystkie

owe domy modlitwy umieszczają swe ogłoszenia na dyskretnie wyeksponowanych tablicach informacyjnych. Kiedy Sky jechała z niewielkiego lotniska wy-pożyczonym samochodem, uderzyły ją w oczy hasła na ustawionych wzdłuż szosy planszach, reklamujące stulecie miasteczka. Odnotowała w myślach, że być może warto zająć się tym tematem w przyszłości.

Znała topografię miejscowości. Zawsze tędy przejeżdżała, udając się z wizytą do ojca, i bez trudu znalazła teraz biuro szeryfa. Młody zastępca był powściągliwy w wypowiedziach, lecz zachowywał się dość przyjaźnie. Pobieżnie przejrzał akta zgromadzone w komputerze i poinformował Sky, że o ile mu wiadomo, w Libby w ostatnich miesiącach nie został znaleziony żaden martwy włóczęga.

- Twierdzi pani, że mogło tu nawet dojść do popełnienia zbrodni? Musi pani zasięgnąć informacji w Biurze Federalnym. - Opuścił wzrok i utkwiał oczy w kołnierzyku okalającym R S

dekolt jej białej, lnianej bluzki.

- Taką informację otrzymaliśmy. - Sky powstrzymała się całą siłą woli, aby nie dotknąć dłońmi górnych guzików swego stroju. - Sądziłam, że zaoszczędzę sobie niepotrzebnych stresów. Zna pan urzędników z Biura Federalnego... - Lecz gdy zaczęła mu wyjaśniać, że ostrze-

żenie było anonimowe, zauważyła, że o wiele większe zainteresowanie wzbudza w nim jej ciało niż opowieść. Zaczerpnęła tchu i powiedziała stanowczym tonem: - Będę wdzięczna, szeryfie, jeśli zamiast wytrzeszczać oczy, zechce pan mnie wysłuchać.

Młody człowiek zaczerwienił się aż po szyję; ponownie skierował spojrzenie na klawiaturę przed sobą, a kiedy się odezwał, jego głos miał sztucznie urzędowe brzmienie:

- Mogę panią zapewnić, że marnuje pani czas. W tym roku nie prowadziliśmy w Libby żadnego dochodzenia w sprawie morderstwa bezdomnej osoby.

Spytała o wypadek w Mayville, w którym poniosła śmierć Midge Treacy.

- Nie jestem pewien, czy to my zajmowaliśmy się tą sprawą. Sądzi pani, że istnieje ja-kiś związek pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami? - Zapomniał o niedawnym zakłopotaniu i w jednej chwili stał się czujny.

- Nie mogę tego stwierdzić na podstawie obecnie posiadanych informacji, ale nie wy-kluczam takiej możliwości - odpowiedziała Sky pojednawczym tonem. - Nasz informator wy-raźnie to zasugerował. Będę bardzo wdzięczna za pomoc w tej sprawie. Mój redaktor naczelny nie ucieszy się, jeśli wrócę z niczym. - Spostrzegła, że zastępca szeryfa wciąż boleśnie odczuwa jej reprimendę, więc promiennie się do niego uśmiechnęła. - Czy mogę postawić panu lunch? Gdzie się mieści najlepszy lokal w tym mieście?

Po kilku pochlebstwach odtajał i choć odrzucił zaproszenie, zgodził się zawieźć Sky godzinę później, po zakończeniu służby, na miejsce wypadku.

Dla zabicia czasu wypita kawę w motelu, a potem wybrała się na spacer po cmentar-nym parku na tyłach budynku. Po chwilowym załamaniu się pogody upał znowu przybrał na sile. Sky, oszczędzając

energię, usiadła na ławce i obserwowała osoby wchodzące i wychodzące z pobliskiego bloku. Niewątpliwie został postawiony specjalnie dla ludzi w podeszłym wieku, jako że wśród lokatorów przeważały zgarbione sylwetki i wszyscy byli powyżej siedemdziesiątki.

Sky żywiła nadzieję, że umrze we właściwym czasie i zostanie jej oszczędzone oczekiwanie na ziemi, aż poszczególne części ciała ulegną rozpadowi - niczym odłupujące się od fasady budynku fragmenty starej mozaiki. Pomyślała o Midge Treacy. Czy to z powodu alkoholu stała się tak niezrównoważona i słaba? Czy owej feralnej nocy była pijana? W gazetach *R S*

nie zamieszczono żadnej wzmianki o tym, czy sekcja zwłok wykazała zawartość alkoholu we krwi.

Sekcja zwłok. Sky mocno wyężyła umysł, ale nie zdołała sobie nic na ten temat przypomnieć. Włączyła dyktafon i zarejestrowała uwagę, żeby sprawdzić raport specjalisty od patomorfologu.

Mayville dzieliła od Libby odległość około dwudziestu kilometrów. Zastępca szeryfa mógł bezpiecznie zaparkować samochód dopiero czterysta metrów od miejsca, gdzie doszło do wypadku, podczas którego samochód marki Volvo wypadł z autostrady. Pracownicy elektrycy rozciągali właśnie przewody wzdłuż szosy, ekipa służb drogowych przerzucała kable przez jezdnię i ruch w obu kierunkach został czasowo wstrzymany.

Sky wysiadła z samochodu wraz ze swym przewodnikiem i oboje zaczęli wchodzić na strome wzniesienia wzdłuż sznura stojących w korku pojazdów. Większość kierowców gawę-

dziła ze sobą w oczekiwaniu na przywrócenie ruchu. Dwupasmowa szosa wciniała się klinem w zbocze zalesionej góry. Po lewej stronie wznosiły się nad nią drzewa, a po prawej graniczy-

ła z niemal prostopadłą ścianą urwiska, na dnie którego widać było wierzchołki paproci.

W miejscu wypadku, na samym środku ostrego zakrętu, tuż za czerwonymi maszynami ustawionymi przez pracowników służb komunalnych, stała grupa ludzi.

Żona Treacy'ego nie miała najmniejszej szansy na przeżycie tej katastrofy, nawet w volvo.

Reporterka i zastępca szeryfa dołączyli do stojących, wymienili żartobliwe uwagi na temat nieefektywności pracy przedsiębiorstw użyteczności publicznej, a potem Sky niepostrzeżenie odeszła od grupy. Szybko rosnąca latem roślinność nie zagoiła jeszcze blizn po śmierci Midge Treacy. Kilkadziesiąt metrów poniżej miejsca, w którym stała Sky, zwartą symetrię zieleni szpeciła szeroka, nieregularna, brunatna plama. Nic dziwnego, że trumna była zamknięta, pomyślała Sky. Widocznie w chwilę po katastrofie volvo stanęło w płomieniach.

Uważnie obejrzała nawierzchnię szosy, nigdzie jednak nie dostrzegła śladów opon po poślizgu, kawałków pogiętego metalu ani najmniejszego błysku odłamka szkła.

- Czy dostatecznie już się pani napatrzyła? - Zbliżał się do niej zastępca szeryfa.

- To dziwne - zauważyła. - Owa kobieta zderzyła się z ciężarówką przewożącą okrą-

glaki, a nigdzie nie ma najdrobniejszych odłamków, które powinny pozostać, nawet po uprzątnięciu jezdni... Z pewnością jest to fakt godny zastanowienia...

- A kto mówił o zderzeniu?

R S

- Przypuszczałam...

- O ile wiem, to auto wypadło z szosy tuż przed maskę ciężarówki. - Zastępca szeryfa wykonał gest, naśladujący lot samolotu. - Kierowca zahamował i zawezwał pomoc. Ogromnie się przestraszył, ale nie doszło do kolizji.

Sky próbowała dokładnie odtworzyć w pamięci raport prasowy dotyczący wypadku.

Policjant miał rację: nie było w nim żadnej wzmianki na temat kolizji. W tej sytuacji nasuwał się oczywisty wniosek: Midge Treacy ścięła zakręt i wpadła w przepaść. Droga w tym miejscu wydawała się tak niebezpieczna, że kobieta nie musiała nawet być pijana.

Sky ogarnęło współczucie dla niefortunego świadka wypadku.

- A co się stało z kierowcą ciężarówki? - spytała. - Powiedział pan, że się ogromnie wystraszył. Nie zdziwiłabym się, gdyby był bliski zawału serca. W końcu jechał po stronie przepaści i ułamek sekundy zdecydował o tym, że również i on nie runął w dół.

- To prawda. - Zastępca szeryfa spojrział na zegarek. - Ci faceci są dobrzy w swoim fachu. Choć czasami się wydaje, że sami jeżdżą brawurowo, zawsze uważają na piratów drogowych. Czego chciałyby się pani jeszcze dowiedzieć?

Namyślała się gorączkowo. Wyglądało na to, że podróż okazała się daremna. Jednakże Sky nie była jeszcze gotowa, aby zrezygnować z dalszego badania tej historii.

- A co z pozostałościami po wypadku? Nigdzie nie ma śladów hamowania ani poślizgu.

- Ponownie zerknęła na nawierzchnię drogi. - Czy nie wydaje się to panu nieco dziwne?

- To jest feralny zakręt, proszę pani. Feralny zakręt.

- Wygląda na to, że ofiara katastrofy nawet nie próbowała się zatrzymać. - Sky umilkła.

- Czy to możliwe, że ktoś manipulował przy hamulcach volvo?

- Ta kobieta już wcześniej spowodowała dwa wypadki.

- Kto pierwszy przyjechał na miejsce katastrofy? - Spostrzegła, że jej towarzysz zaczyna się niecierpliwić.

- Domyślam się, że przedstawiciel służb porządkowych.
- Kto konkretnie? Proszę podać mi nazwisko.
- Nie wiem dokładnie. Byłem wtedy na urlopie. Przypuszczam, że jakiś wyższy rangą oficer. Nazwisko Treacy jest znane w Montanie, a wszystkie szczyhy wspierają się nawzajem.
- Nie musi mi pan o tym przypominać. Czy wezwali karetkę? Zabrali panią Treacy do tutejszego szpitala czy też zawieźli prosto do Butte?
- Mogę to sprawdzić. Proszę mi wybaczyć, panno McPherson, ale naprawdę powiniem już wracać. Moja żona nie lubi, kiedy spędzam popołudnia poza domem. Tak się składa, że nieczęsto mnie widuje.
- Oczywiście. Przepraszam. Jeszcze tylko jedno pytanie: gdzie jest wrak?
- Zwykle odwożą je do warsztatu samochodowego „Deke & Skippy”. Jeśli pani sobie życzy, mogę pokazać to miejsce w powrotnej drodze, kiedy będziemy przejeżdżać przez Mayville.
- Zgoda. - Sky zawahała się przez moment, a potem zmieniła zdanie: - Dziękuję, ale czy mógłby mnie pan wysadzić w Mayville? Chciałabym się czegoś dowiedzieć w tamtejszej komendzie policji. Później zatelefonuję do warsztatu samochodowego.

Posterunek policji w Mayville przypominał z wyglądu inne, jakie Sky przedtem widywała: nie był ani obskurny, ani elegancki. Kiedy czekała na szeryfa Briana O'Connora, który -

jak się okazało - jako pierwszy przybył na miejsce wypadku Midge Treacy, doszła do wniosku, że słowo: „praktyczny” najlepiej określa charakter wnętrza budynku. Na jednym z biurk przy oknie podstawa wentylatora ocierała się o metalową tacę, wywołując straszliwy hałas.

Sky delikatnie przesunęła urządzenie i stanęła na wprost chłodzącego strumienia powietrza.

- Czym mogę służyć?

Odwróciła się i w jednej chwili poczuła gwałtowną niechęć do mężczyzny, który znajdował się zaledwie kilka kroków od niej, w drzwiach prowadzących do drugiego pomieszczenia. Uczucie owo spowodowane było niewytłumaczalnym procesem chemicznym i należało do tego typu emocji, jakie pojawiają się bez żadnego powodu. Sky oceniła wiek szeryfa na pięćdziesiąt pięć lat. Zauważyła też, że na przekór nazwisku, miał wygląd Latynosa - ze swymi wydatnymi ustami, piwnymi oczami o nieokreślonym odcieniu oraz czarnymi, przyglądzonymi brylantyną włosami, które cesał do tyłu bez przedziałka. Dół nieświeżej koszuli opinał się na wydatnym brzuchu szeryfa, ale ręce i ramiona były dobrze umięśnione, a sposób poruszania się mężczyzny świadczył o jego dużej sprawności fizycznej. Spod munduru wystawał, niczym monstrualna narośl, nisko zawieszony na tłustym biodrze pistolet. O'Connor sprawiał wrażenie, że nie jest człowiekiem, któremu rozsądnie byłoby wchodzić w drogę.

- Mam nadzieję, że zechce mi pan pomóc, szeryfie. - Sky przedstawiła się, modląc się w duchu o to,

aby jej uśmiech wyglądał słodko i rozbajająco.

Mężczyzna przerwał jej jednak:

- Czy ma pani jakiś problem?

- Nie jestem pewna. - Nie zamierzała się zgodzić, żeby to on pokierował dalszą rozmową.

Nadeszła pora na odrobinę kłamstwa: - Widzi pan, moja gazeta zamieszcza serię artykułów poświęconych katastrofom drogowym...

Ponownie jej przerwał:

- W jakim celu?

Próbowała zmusić go wzrokiem, żeby opuścił oczy, ale na próżno.

- Publikujemy historie, które w naszym przekonaniu zainteresują czytelników, szeryfie.

Nie zareagował na jej sarkazm.

- Czy to pani napisała notatkę poświęconą pamięci Midge Treacy?

Chociaż w głosie szeryfa nie wyczuwało się nawet śladu irlandzkiego akcentu, a raczej typowe dla Środkowego Zachodu spłaszczanie samogłosek, mężczyzna był zapewne w drugim lub trzecim pokoleniu Irlandczykiem. Usiadł za biurkiem, z talerza stojącego obok telefonu zaczerpnął garść orzeszków pistacjowych i zaczął je rozłupywać paznokciem kciuka.

- Tak, to ja. - Uznała, że pomimo wszystko, dla własnego dobra, musi mu pozwolić na przejęcie inicjatywy.

Jeśli jednak spodziewała się komentarza dotyczącego jej literackiego stylu czy bodaj prawdziwości faktów podanych w notatce, spotkało ją rozczarowanie. Szeryf ani słowem nie odezwał się już na ten temat, rozluźnił nieco pasek w spodniach, otworzył szufladę biurka i zaczął przeglądać jej zawartość.

- Dlaczego interesuje się pani tą kobietą? - Podniósł wzrok, jak gdyby pytanie nasunęło mu się dopiero w tej chwili.

- Przecież już powiedziałam...

- Tak, tak! Wiem, katastrofy drogowe. Dlaczego jednak akurat wrak tego auta wydaje się pani aż tak interesujący?

Sky spodziewała się albo współpracy albo trudności, ale nie przesłuchania.

- Obecnie pracuję nad reportażem o mężu pani Treacy. Artykuł być zamieszczony na pierwszej stronie...

- A co z katastrofami drogowymi?

- Niech mi pan pozwoli dokończyć, szeryfie. Właśnie zamierzałam powiedzieć, że oba tematy w tym przypadku są ze sobą powiązane. Zapewne pan wie, że dziennikarze zajmują się jednocześnie kilkoma sprawami.

- Czy Treacy zgodził się z panią współpracować?

Oczy szeryfa były teraz nieruchome niczym u wygrzewającej się w słońcu jaszczurki; *R S*

najwyraźniej zapomniał, czego szukał w szufladzie. Sky nie miała pojęcia, do czego zmierzał.

Skinęła głową potakująco w odpowiedzi, a potem, próbując jeszcze raz zjednać go sobie, ponownie się uśmiechnęła.

- To sensacyjny temat dla mojej gazety. Nie nazwałabym jednak tego współpracą, szeryfie. Pan Treacy raczej mnie toleruje. Zgodził się na udzielenie wywiadu. Zna go pan?

Napięte rysy mężczyzny powoli się rozluźniły.

- A kto go nie zna? - mruknął, na nowo podejmując poszukiwania.

Sky czekała cierpliwie, nie chcąc go bardziej drażnić. Gdy patrzyła, jak szeryf przerzuca szpargały, nasunęło jej się spostrzeżenie, że już go gdzieś wcześniej widziała. Zanim jednak zdołała sobie przypomnieć gdzie, zatrzasnął szufladę i przekręcił klucz w zamku.

- Nie ma go tutaj!

- Czyżby szukał pan czegoś w związku z wypadkiem?

- Mojego raportu z tamtego wieczora.

- Nie został zarejestrowany w komputerze? - Sky zwróciła wzrok w stronę cicho szumiącego monitora na biurku mężczyzny.

- Jeszcze nie.

Nie zadała sobie trudu, żeby się dowiedzieć, dlaczego. Była już zmęczona tym facetem.

- Oto numer mojego telefonu. - Wyłowila z torebki i podała mu standardową wizytówkę z niebiesko-białym logo „Couriera”. - Będę wdzięczna, jeśli mnie pan zawiadomi, gdy tylko raport się znajdzie.

Wziął wizytówkę bez komentarza, a Sky wiedziała, że prędzej dinozaury znowu złożą jaja w Montanie, niż ten facet z nią się skontaktuje. Pragnęła jednakże zakończyć swą niefortunną misję i czym prędzej opuścić gabinet O'Connora. Liczyła na to, że być może kierowca ciężarówki okaże się bardziej pomocny.

Dopiero kiedy z powrotem znalazła się na ulicy, przypomniała sobie, że nie zapytała szeryfa o włączkę.

Jeszcze mniej szczęścia miała w towarzystwie transportowym, a rozmowa telefoniczna, którą przeprowadziła z kierownikiem działu zatrudnienia w siedzibie firmy w Helenie, okaza-

ła się całkowicie bezowocna. Po długim oczekiwaniu została powiadomiona, że poszukiwany kierowca nie ma teraz dyżuru, a przedsiębiorstwo nie ma w zwyczaju informować obcych o numerach telefonów i o domowych adresach swych pracowników.

- A kiedy stawi się do pracy? - Z coraz większym trudem udawała słodki ton; całe *R S* przedsięwzięcie okazało się daremne.

- Chwileczkę.

Łączność została przerwana i Sky musiała wrzucić do aparatu cztery kolejne monety dwudziestopięciocentowe. Postanowiła, że Jimbo usłyszy od niej z tego powodu parę przykrych słów. Miała w nosie ograniczenia budżetowe: po raz ostatni wybrała się w podróż bez telefonu komórkowego; od miesiący zabiegała o aparat.

Kierownik działu przewozów ponownie był na linii, lecz wiadomości, które przekazał

Sky, nie poprawiły jej humoru. Kierowca ciężarówki wziął urlop i przed upływem tygodnia nie spodziewano się jego powrotu.

Po kolejnej bezowocnej godzinie spędzonej nad nekrologami w lokalnej gazecie, gdzie znalazła jedynie lustrzane odbicia własnej notatki pożegnalnej zamieszczonej w „Courierze”, Sky stwierdziła, że rozboleła ją głowa i że niezwłocznie musi się napić kawy. Kiedy weszła do pobliskiej kawiarni, w oszklonych drzwiach zadźwięczał dzwonek.

Lokal był przestronny, z drewnianymi stołami, obrusami w kratkę, białymi firankami oraz roześmianymi twarzami wymalowanymi na szybach. Natychmiast spostrzegła, że ma towarzystwo. W ustronnym miejscu w kącie para licealistów trzymała się za ręce ponad sto-

łem, a w rogu sali siedział nad szklanką mrożonej herbaty szeryf Brian O'Connor. Jego kompan miał na sobie mundur zastępcy szeryfa. Na dźwięk dzwonka obaj się obejrżeli. Wzrok O'Connora, gdy odwzajemnił spojrzenie Sky, mógłby powalić amerykańskiego łosia. A potem szeryf obrócił się w stronę bufetu, gdzie kelnerka - kobieta z wytapirowaną fryzurą, fiole-towymi cieniami na powiekach oraz wydatnym biustem, którego nie zdołał zakryć różowy fartuszek w kratę - napełniała dozowniki na cukier.

- Hej, Velma! - zawołał głośno. - Czy to ty sama znosisz te jajka?

- Niepotrzebnie się pan zoładkuje szeryfie, zaraz je podam. - Kobieta ze spokojem kontynuowała swe zajęcie.

Sky zajęła miejsce w pustej części sali, poza zasięgiem wzroku szeryfa.

- Czym mogę służyć, słodziutka? - Kelnerka wyszła zza kontuaru i z animuszem postawiła na „rustykalnym”, drewnianym stole przed Sky szklanę z wodą mineralną.

- Poproszę o czarną kawę.

Czekając, przeglądała wykonane wcześniej notatki, które mieściły się na pojedynczej kartce papieru. Z powodu braku raportu policyjnego z wypadku podczas tej żalostnej wyprawy dowiedziała się jedynie, że samochód Midge Treacy samoistnie runął w skalistą przepaść.

R S

- Proszę, słodziutka, czarna niczym serce szatana! - Velma wróciła z dzbankiem kawy.

Gdy pośpiesznie napełniała filiżankę, imponujący biust falował zaledwie kilka centymetrów od nosa Sky. - Przyjechałaś tu na wakacje, słodziutka?

- Nie, jestem tylko przejazdem.

- Szkoda. - Kobieta zabrała niepotrzebne naczynia. - Okolica jest urocza.

- Velma! - O'Connor posłał jej rozwścieczone spojrzenie.

- Już pana obsługuję, szeryfie. - Kelnerka uśmiechnęła się konspiracyjnie do Sky i podniosła oczy do nieba. - Ach ci mężczyźni z tymi swoimi żołądkami! - Jej białe pielęgniarskie obuwie zaskrzypiało na podłodze, gdy oddalała się w stronę okienka pomiędzy bufetem a kuchnią. Przechodząc obok zakochanych nastolatków, zawołała: - Macie ochotę na jeszcze jedną wodę sodową, dzieciaki?

Kiedy Sky obserwowała tę kobietę, niepodzielnie rządzącą swym małym królestwem, nagle uderzyła ją myśl, że jeśli ktoś może cokolwiek wiedzieć na temat zamordowanego w okolicy Mayville lub Libby włóczęgi, tą osobą niewątpliwie jest Velma. Cierpliwie czekała.

Wreszcie szeryf ze swym podwładnym wstali, całkowicie ją ignorując, i opuścili kawiarnię.

Zauważyła, że wyszli, nie płacąc rachunku.

Rozdział 10

Sky skinęła na kelnerkę, która siedziała w kącie, dotrzymując towarzystwa nastolatkom.

- Pewnie ma pani ochotę na jeszcze jedną kawę? - Velma zabrała pusty dzbanek.

- Nie, dziękuję. - Przedstawiła się kobiecie.

- A więc dziennikarka, co? Tak też sobie pomyślałam. - Velma wskazała ręką na notes, który jednak nie robił na niej wrażenia. - W czym mogę pomóc, słodziutka?

Sky od razu przystąpiła do rzeczy.

- Zastanawiałam się, Velmo... Pozwolisz, że będę zwracała się do ciebie po imieniu?

- Nie reaguję, jeśli ktokolwiek mnie inaczej nazywa!

- Ciekawa jestem, czy przypadkiem nie słyszałaś ostatnio o jakimś nienaturalnym zgonie w tej okolicy? Prawdopodobnie chodzi o włóczęgę. Czy nikt niedawno nie zmarł tu w podejrzanych okolicznościach?

R S

Kelnerka namyślając się, wzburzyła wolną dłonią włosy, jeszcze bardziej podnosząc swą nastroszoną fryzurę.

- W podejrzanych okolicznościach? Masz na myśli morderstwo lub samobójstwo, prawda?

- Właśnie.

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy, może z wyjątkiem śmierci Starego Leona -

odpowiedziała w końcu.

- Starego Leona?

- Tak, nie mamy nawet pewności, czy to jego prawdziwe imię. Znaleziono biedaka martwego na poboczu autostrady, ale to z pewnością nie było morderstwo ani samobójstwo.

Pozwolisz, że się upewnię... - Velma podniosła głos, zwracając się do nastolatków: - Czy nie obilo się wam się uszy, dzieciaki, że Stary Leon został zamordowany?

- Nic takiego nie słyszałam - odparła piskliwym głosem dziewczyna. - Mój tato twierdzi, że musiał zamarznąć.

- Prędzej się zapił na śmierć - zachichotał chłopak. Sky uznała, że znajomość imienia włóczęgi ułatwi jej uzyskanie dalszych informacji.

- Czy ten Leon był bezdomny? - Przerzuciła kartkę w notatniku, włączając do przesłuchania parę nastolatków. - Skąd go znaleźcie?

- Przecież powiedziałam, że to nie morderstwo ani samobójstwo - zaprotestowała Velma. - Na pewno facet trochę za dużo wypił...

- Nieważne. - Sky siedziała z piórem uniesionym nad dziewiczo czystą kartką. - Czy tutaj przychodził?

- Tak, choć nigdy nie było wiadomo, kiedy się go można spodziewać. Nie miał zębów i Vern... - wskazała na niewidoczną szefową kuchni na zapleczu - zazwyczaj przygotowywała mu specjalne jedzenie, którego nie musiał gryźć: jajka sadzone z tłuczonymi ziemniakami, kotlety z mielonej wołowiny... tego rodzaju dania.

- Opowiedz mi o jego śmierci.

- Niewiele wiem na ten temat. - Kelnerka zajęła miejsce naprzeciwko Sky. - Słyszałam tylko, że został znaleziony w pobliżu autostrady przez szeryfa - to on przywiózł zwłoki biedaka. Myślę, że dzieciaki mają rację, prawdopodobnie zmarzł. Rozumiesz, kilka głębszych i położył się na ziemi, aby trochę odpocząć...

- Przecież jest wiosna...

Velma namyślała się przez chwilę.

R S

- To prawda, ale wiosenne noce w tym rejonie, na północy stanu, bywają czasami bardzo zimne. Nie słyszałaś nigdy o euphatermii?

Sky nie pozwoliła sobie na sprostowanie.

- Skoro został znaleziony w pobliżu autostrady, czy nie mógł zostać potrącony przez samochód?

- Na jego ciele nie było żadnych obrażeń. Przynajmniej szeryf tak twierdzi. Prawda, dzieciaki? - zawołała w stronę pary nastolatków. - A może wy macie inne wiadomości?

Młodzi ludzie opuścili swoje krzesła i zajęli miejsca przy stoliku naprzeciwko Sky.

- Mój tato zna szeryfa i dowiedział się od niego, że Leonowi z przemarznięcia omal nie odpadły palce u nóg. - Dziewczyna była ładna, dopóki nie otworzyła ust i nie pokazała poważnych ubytków w uzębieniu, spowodowanych próchnicą. - Czy to zostanie nadane w telewizji?

- Niestety nie, jestem dziennikarką prasową. - Sky znalazła trzy wizytówki i każdemu wręczyła po jednej. - Macie pewność, że to szeryf znalazł denata?

- Oczywiście. Niewiele jest spraw w okolicy, w których Brian O'Connor nie maczałby palców. - Velma schowała wizytówkę do kieszeni fartucha i poprawiła biust, podnosząc go do góry, aby wygodniej ułożył się na blacie stolika.

Skoro sam szeryf O'Connor znalazł się na scenie w związku ze śmiercią Midge Treacy, Sky zaczęła umacniać się w przekonaniu, że oto mignął jej w przelocie jeden z fragmentów dotychczas niepołączonej w całość układanki Jima Larsena.

- Opowiedzcie mi coś więcej o tym Leonie - poprosiła, sącząc kawę. - Wiem, że był

bezzębnym włóczęgą, ale ile mógł mieć lat? I skąd go wszyscy znaliście? A może ktoś pamięta, gdzie znajdowały się zwłoki?

Wszyscy wiedzieli, że ciało Leona zostało znalezione w odległości kilkuset metrów od autostrady,

ale znajomość pozostałych szczegółów, dotyczących życia zmarłego, okazała się bardzo fragmentaryczna. Nikt z całej trójki nie potrafił określić wieku włóczęgi - znany był w okolicy jako Stary Leon i równie dobrze mógł mieć czterdzieści lat, jak i siedemdziesiąt. Ten nieszkodliwy, długowłosy facet raczej nie afiszował się ze swymi skłonnościami do alkoholu.

Nie pojawiał się w Libby w jakiejś szczególnej porze roku ani w wyraźnie określonych odstępach czasowych.

- Bywał tu wiosną, latem i jesienią. - Chłopak chętnie dzielił się informacjami. - Mama zwykle dawała mu moje stare sportowe buty. *R S*

Z tego, co zdołali sobie przypomnieć, Stary Leon, który nigdy nie zatrzymywał się w mieście dłużej niż kilka dni, mógł mieć od stu pięćdziesięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu.

- Zawsze się garbił - wyjaśniła dziewczyna.

- Chodził, powłócząc nogami, i miał niebieskie, szare albo jasnopiwe oczy. - Nie potrafię dokładnie określić ich koloru, ale nikt mu się też specjalnie nie przyglądał. - Velma wstała od stolika, aby przynieść świeżą kawę.

- Gdzie został pochowany? - Sky sądziła, że jeśli zdoła ustalić nazwisko włóczęgi, może uda się jej odkryć kolejny element układanki.

- Nie jestem nawet pewna, czy biedak miał pogrzeb. Może Vern okaże się bardziej pomocna. - Hej, Vern!

Sky wydawało się niemal, że dostrzega, jak filiżanki zachygotały się na spodkach pod wpływem tego okrzyku. Poniewczasie zrozumiała, że jest mało prawdopodobne, aby włóczędze postawiono nagrobek.

Vern, wiotka niczym brzoza witka i stanowiąca doskonałe tło dla obfitych kształtów Velmy, wiedziała niewiele więcej niż reszta. Sky uznała, że w kawiarni zebrała już wszelkie możliwe informacje, podziękowała więc, gdy Velma ponownie chciała napełnić jej filiżankę, i opuściła lokal.

- Czy to się ukaże w telewizji? - Tym razem pytanie zadała Vern.

- Powiedziałem wszystko, co wiem. - Gęste brwi szeryfa O'Connora zakrywały teraz całkowicie jego oczy.

Sky była gotowa się założyć i postawić ostatniego dolara, że ten facet ukrywa coś ważnego.

- Bardzo dziękuję, szeryfie, ale czy mogłabym zadać panu jeszcze jedno pytanie? Zapomniałam

przedtem poruszyć tę sprawę. Czy to pan znalazł ciało Starego Leona?

Gdyby nie przyglądała się uważnie, pewnie nie dostrzegłaby przelotnego błysku w ciemnych oczach mężczyzny.

- Jeśli nadal zajmuje się pani tematem katastrof drogowych, jest pani na niewłaściwym tropie. - Zgarnął coś na dłoń z blatu biurka, pieczołowicie wysypał do kosza i ponownie spojrzał na Sky. - Włóczęga umarł na skutek nadużycia alkoholu i przebywania na zimnie.

Zauważyła, że jakimś sposobem zdołała go wytrącić z równowagi. Napierała dalej, wykorzystując swoją przewagę:

R S

- Chodzi jednak o to... - Intuicja znowu kazała jej zamilknąć. Z tym człowiekiem musiała być ostrożna. - Och, nie ma o czym mówić, nieważne.

- Wręcz przeciwnie, panno MacPherson. Może ma pani jakąś własną teorię? Czyżby zamierzała mnie pani przekonać, że śmierć Starego Leona miała związek z wypadkiem pani Treacy?

- Coś innego wpadło mi właśnie do głowy. Coś, co zupełnie nie dotyczy tej historii.

Ostatnio jestem bardzo zapracowana.

Napisał numer telefonu, wyrwał kartkę z bloczku i wręczył ją poprzez biurko Sky.

- Chciałbym, żeby mnie pani informowała o swych postępach w pracy, panno MacPherson. W interesie nas wszystkich leży obniżenie liczby... wypadków drogowych.

- Oczywiście, szeryfie. - Biorąc kartkę do ręki, znowu dostrzegła błysk w jego oczach.

- Moja gazeta zawsze pragnie pomagać przedstawicielom prawa. Skontaktuję się z panem.

Skinął głową i sięgnął po leżący na biurku telefon komórkowy.

Na zewnątrz Sky zatrzymała się przed biurem szeryfa i potrząsnęła głową, jak gdyby chciała strząsnąć z włosów coś nieprzyjemnego. Dostrzegła parę nastolatków z baru, którzy szli wolnym krokiem po drugiej stronie ulicy - chłopak garbił się mimowolnie, a dziewczyna była ożywiona i pełna wdzięku. Sky ogarnęła zazdrość: te dzieciaki mogły jeszcze zapisać puste strony swego życia według własnego upodobania. Miały wszystko przed sobą.

- Czyżby nosiła pani ukryty mikrofon, panno MacPherson?

Aż podskoczyła. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że mówi na głos ani że jest śledzona od chwili wyjścia z posterunku, dopóki nie usłyszała tuż nad swym ramieniem głosu szeryfa.

- Nie, nie noszę. I wielkie dzięki, że skradał się pan za mną tak cicho. Okropnie mnie pan

przestraszył.

- Na pewno nie ma pani przy sobie magnetofonu?

- Chce mnie pan zrewidować? - Odpowiedziała stanowczym wzrokiem na jego natarczywe spojrzenie, aż w końcu szeryf obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do budynku.

Warsztat samochodowy „Deke & Skippy” („Wy wgniatacie, my naprawiamy”) zajmował półakrowy zaśmiecony i ogrodzony łańcuchem plac na obrzeżach Mayville.

Deke był nieobecny, a Skippy okazał się mężczyzną postawnym, długonogim i tak sa-mo rozmownym, jak afrykańskie psy plemienia Bantu. Na widok dziennikarskiego identyfikato-ra Sky podrapał się po piegowatej łysinie, najwyraźniej rozważając, czy zadośćuczynić jej prośbie i zezwolić na obejrzenie wraka volvo.

R S

- Nie mogę go pani pokazać - oświadczył w końcu.

- Dlaczego?

Znowu namyślał się niemal całą wieczność, obserwując ziemię pod stopami i chmury w górze.

- Czy szeryf wyraził na to zgodę? - postanowił się wreszcie upewnić.

- Nie pytałam go o to. Przecież nie stanie się nic złego, jeśli tylko popatrzę. Jeśli pan sobie życzy, gotowa jestem pójść do biura szeryfa i poprosić go o pozwolenie. Na pewno nie będzie temu przeciwny, ale mam bardzo napięty... - Nie widziała powodu, aby zdradzać się przed mechanikiem, że poznała już człowieka, który decydował o wszystkim w Mayville.

Uśmiechnęła się i dotknęła ramienia mężczyzny delikatnym i wzbudzającym zaufanie gestem.

- Nie jestem pewien, czy powinienem. - Tym razem jednak Skippy ośmielił się spojrzeć jej w oczy.

- Stokrotne dzięki. - Sky nie czekała, aż się rozmyśli. - Tylko rzucę okiem na rozbity samochód. Czy mógłby mi go pan wskazać?

W milczeniu wycelował kościstym palcem w kierunku odległego rogu ogrodzonego placu.

- Jest srebrny - mruknął. - A raczej był. Szkoda. Został kupiony przed niespełna dwoma tygodniami. - I wydał usta, jak gdyby zorientował się, że zbyt dużo powiedział.

Być może Sky nabrałaby podejrzeń, że mechanik coś ukrywa, gdyby nie zaliczyła go już do grona najmniej gadatliwych mieszkańców Mayville. Skupiła całą uwagę na wraku.

Zadarta z przodu do góry i osadzona na ośkach karoseria, choć powyginana, wciąż była rozpoznawalna jako volvo. Czerniała od ognia, całkowicie straciła srebrny kolor. Usunięto wszelkie

odłamki szyb, całą tapicerkę oraz pozostałości gumy. Kiedy Sky dotknęła maski, na ziemię, niczym śnieg, posypały się czarne płatki. Zajrzała do środka: pozostały tam tylko żelazne sworznie i trzon, który kiedyś był układem kierowniczym.

Sky uświadomiła sobie, że w trakcie tych oględzin spodziewała się dokonać jakiegoś rewelacyjnego odkrycia albo znaleźć ważną wskazówkę, i ogarnęło ją rozczarowanie. Widok tego żalosnego, czarnego kadłuba, który drzemał w słonecznej codzienności pogodnego popo-

łudnia w Montanie, nie pozwalał nic wydedukować.

Obeszła wrak dookoła, by się upewnić, że niczego nie przeoczyła. W górze rozległ się warkot samolotu. Kiedy spojrzała w niebo, dostrzegła kątem oka błysk. Podążyła w ślad za nim wzrokiem: Skippy stał odwrócony do niej twarzą i rozmawiał przez telefon. Sky nie za-R S

uważyła, co przechwyciło promienie światła; być może zegarek mechanika. I choć nie miała żadnego dowodu na to, że telefoniczna wymiana zdań dotyczy jej osoby, poczuła gęsią skórę na rękach.

Ten facet wiedział więcej, niż mówił.

- Hej, Skippy! - Ruszyła w jego stronę, machając doń i uśmiechając się promiennie.

Mechanik, widząc ją, zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni. Zbyt pośpiesznie.

Był wyraźnie skrepowany, kiedy się zbliżyła.

- Bardzo dziękuję. - Sky zachowała pozory serdeczności. - Miałeś rację, Skippy. Niestety, niewiele jest tam do oglądania.

- Jasne.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz w Butte, zadzwoń do mnie - zaproponowała, wyciągając kolejną wizytówkę. - Tak się składa, że mam dostęp do rynku dobrych używanych samochodów.

- A zatem stąd to zainteresowanie? - Ulga mechanika była niemal komiczna.

- Nie są to żadne luksusowe wozy, na ogół samochody marki Volkswagen i Hyundai oraz niektórych japońskich firm. Zarobki w handlu używanymi pojazdami są w Butte bardzo marne. Może masz coś aktualnie na zbyciu?

- Nie zajmuję się sprzedażą. To domena Deke'a.

- Jest twoim szefem?

- Wspólnikiem. - Twarz mężczyzny pokraśniała z dumy.

- Cieszę się, że cię poznałam, Skippy. - Sky czuła, że pomimo pełnego zrozumienia mechanika, nic więcej nie zdoła już od niego wyciągnąć. - Nie zapomnij powiedzieć Deke'-

owi, że jestem zainteresowana dobrą ofertą, zgoda?

- Nie zapomnę.

Gdy chował wizytówkę do kieszeni na piersi swojego roboczego kombinezonu, nawet nie czytając, Sky zapisała w swoim notatniku nazwisko Deke'a.

- Jeszcze jedno, Skip. - Rozpromieniła się w uśmiechu, który przyćmiłby nawet światło latarni morskiej. - Czy można w jakiś sposób sprawdzić, w jakim stanie były hamulce samochodu, zanim poszybował w powietrze?

Skippy rozpaczliwie przynosił wzrok z wraku na Sky i z powrotem.

- Chyba nie - odpowiedział niepewnie. - W każdym razie ja nie znam żadnej metody.

Muszę już iść.

R S

- Oczywiście. Przepraszam, że zajęłam ci tak dużo czasu. Przypuszczam, że przed chwilą rozmawiałeś przez telefon z tutejszym przedstawicielem prawa, co? I zameldowałeś mu, że jakaś wścibska reporterka ogląda rozbity samochód. Czy wydał ci polecenie, żebyś go informował, ilekroć ktoś zainteresuje się tym konkretnym wrakiem?

Na twarzy Skippy'ego malowało się teraz czyste przerażenie.

- Muszę już iść - powtórzył i puścił się niemal biegiem, aby jak najprędzej znaleźć się z dala od niej.

W tym czasie w Butte Fergus Lynskey zmierzał powolnym krokiem w stronę redakcji

„Couriera”. Panna R. Sky MacPherson była dla niego prawdziwym objawieniem: natychmiast ją rozpoznał, kiedy wysiadła z samochodu przed hotelem. Sądząc po zamieszczonym w gazecie zdjęciu, spodziewał się megiiery - dziennikarki zwykle były jędzowate. Tymczasem na widok urody R. Sky MacPherson serce zabiło mu mocniej. Z tej dziewczyny - choć potarga-nej, jak gdyby ją ktoś siłą ciągnął przez chaszczę - wprost emanowała kobiecość. Nawet w jej niestarannej, rozczochranej fryzurze kryło się coś zmysłowego. Pośpiesznie odsunął od siebie te myśli.

Stwierdzenie, że dotychczasowe życie uczuciowe Fergususa nie obfitowało w wielkie wstrząsy, byłoby bagatelizowaniem faktów. Wziął na siebie całą winę za niepowodzenie swego małżeństwa. Do szaleństwa kochał żonę, stewardesę linii lotniczych Aer Lingus, jednak charakter pracy obojga wiązał się z długimi okresami przebywania poza domem, a w związku z tym ich wzajemne stosunki stawały się coraz bardziej napięte, więź uczuciowa słabła, aż w końcu pękła. Nie kłócili się w okresie separacji, zachowywali się raczej tak, jak gdyby żadne z nich nie pojmowało, co się właściwie dzieje. Dla Fergususa skutki rozpadu małżeństwa okaza-

ły się katastrofalne.

Przez krótki czas po rozstaniu udawał sam przed sobą, że cudownie jest znowu być wolnym. Stał się regularnym bywalcem dublińskich nocnych klubów w podziemiach i barów na Leeson Street, gdzie tańczył, wdychał dym z papierosów, pijał ciężkie i drogie wina, i sporadycznie wypalał skręta. A czasami opuszczał lokal z jakąś długonogą blondynką o aniel-skiej twarzy.

Jednakże kiedyś w pełni lata, tuż przed czwartą nad ranem, wyszedł z klubu na ulicę na chwiejnych nogach, z nadzieją na upolowanie taksówki, których nigdy nie było za wiele. Mi-nęła godzina, a on wciąż czekał z obolałymi plecami od opierania się o sztachety parkanu. W

mrocznym blasku ulicznych latarni zamazywały mu się przed oczami powoli obracające się R S

niebieskie światła na dachu wozu patrolowego straży miejskiej. Nie po raz pierwszy Fergus znalazł się tutaj o świcie, lecz po raz pierwszy spostrzegł pod stopami puste torebki po frytkach i rozdeptane kałuże wymiocin. I choć szalone pijaństwo było nieodłączną częścią tej scenerii, widok nietrzeźwej, bosonogiej dziewczyny wzbudził w nim odrazę. Po policzkach spływał jej tusz do rzęs, niczym para czarnych jak sadza strumyków; szła prowadzona przez dwóch równie wstawionych młodzieńców.

Fergus wytrzeźwiał. Po raz pierwszy zobaczył wyniszczające skutki własnej działalno-

ści w podziemiach, gdzie podrywał nie tylko kobiety w swoim wieku - z których Część nadal prowokująco nosiła ślubne obrączki - ale również nastolatki, które mogłyby jeszcze chodzić do szkoły. Nagle przestało go to bawić, a cała ulica zaiskrzyła się od łez zbyt długo powstrzy-mywanego bólu. Z ulgą przestał tu bywać.

Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że żył w celibacie. Dokonanie sercowego podboju w Dublinie nie nastręczało większych trudności: w mieście aż się roiło od samotnych urzędniczek bankowych i dziewcząt z prowincji, które zapisywały się na wieczorowe kursy do szkół

technicznych kształcących stolarzy i mechaników, w nadziei że poznają tam chłopców, a spotykały jedynie inne podobnie myślące nastolatki. W pubach, klubach rugby i barach hotelowych - wszędzie pełno było polujących na zdobycz kobiet, i Lynskey, nienawidząc siebie za to, od czasu do czasu szedł z którąś do domu - zwykle był to pokój sublokatorski albo mieszkanie równie obskurne jak jego własne. Wiązał z tymi spotkaniami jakieś nadzieje, i nie poddając się rozpacz, zawsze próbował umówić się ponownie na randkę. Za każdym razem się łudził, że może akurat ta dziewczyna okaże się inna, lecz nigdy nie była.

A potem dowiedział się, że jego żona jest w ciąży i myśl o tym, że nosi nie jego dziecko, stała się dlań ogromnym ciosem. Niespełna sześć miesięcy po rozstaniu związała się z jakimś księgowym i zamieszkała na przedmieściach Dublina. Nowe, szczęśliwsze życie upły-wało jej teraz w klubach tenisowych oraz na porannych spotkaniach przy kawie z przyjaciół-

kami i bardzo odbiegało od skromnej egzystencji, jaką wiodła u boku Lynskeya. Chociaż dobrze jej życzył, nie mógł znieść myśli o dziecku, którego się spodziewała i które powinno być jego.

Kiedy dorastał, zawsze sobie wyobrażał, że osiadzie na stałe w jakimś zaniedbanym domu, podobnym do jego rodzinnego w hrabstwie Kerry, który będzie się trząsł w posadach od tupotu stóp

hordy dzieci. Fergus był najmłodszy z dziesięciorga rodzeństwa: sześciu chłopców i czterech dziewcząt. Ojciec umarł, kiedy najstarsze dziecko miało czternaście lat.

R S

Matka, obecnie emerytowana nauczycielka, natrudziła się w życiu ogromnie, żeby ich o własnych siłach wychować.

Jej wysiłki nie poszły jednak na marne. Los rzucił Lynskeyów w różne części świata: do Londynu, Kanady, Niemiec, Tanzanii, Arabii Saudyjskiej i na Filipiny. Sześcioro z rodzeństwa zawarło związki małżeńskie - siedmioro, jeśli liczyć Fergus - a troje - ksiądz i dwie zakonnice - z własnego wyboru pozostało w stanie wolnym. Matka doczekała się już osiemnastorga wnucząt i czworga prawnuków.

Lynskey, żeniąc się, miał nadzieję, że przyczyni się do powiększenia tej liczby. Obecna ciąża żony zdawała się jednak na zawsze pozbawiać go szansy na życie, o jakim zawsze marzył. Zamknął przed wszystkimi swoje serce. Został dobrym policjantem, zawsze jako pierwszy zgłaszał się na ochotnika do pracy na nocną zmianę i przyjmował najtrudniejsze zadania. I chociaż nie zrezygnował z kobiet, porzucił myśli o nowej miłości i założeniu własnej rodziny.

Przyjął pozę człowieka cynicznego i pewnego siebie, którego świat podziwiał, ale nie darzył sympatią. Z wyjątkiem dwóch bliskich osób, matki i przyjaciela, Billa Daly'ego, którzy znali całą prawdę o nim, dla współpracowników i znajomych był tylko rozgarniętym, sprytnym policjantem.

Redakcja „Couriera” mieściła się w nieokreślonym pod względem architektonicznym jednopiętrowym budynku z płaskim dachem i z wyjątkiem napisu na oszklonych frontowych drzwiach dom ów niczym się nie wyróżniał w sąsiedztwie.

- W czym mogę pomóc?

Lynskey otworzył szeroko oczy, zagadnięty przez cudowną istotę o wspaniałych nogach, które mogłyby służyć do reklamowania rajstop. Owa piękność patrzyła na niego znad otwartej szuflady sekretarzyka. Czyżby śliczne kobiety były na porządku dziennym w tej instytucji?

- Szukam R. Sky MacPherson. - Utkwił wzrok w twarzy dziewczyny.

- Przykro mi, ale jest poza miastem - oświadczyła długonoga piękność zdyszonym głosem. - Czy życzy pan sobie, żebym przekazała jej jakąś wiadomość? - Pytanie to zostało wypowiedziane jednym tchem, jak gdyby dziewczyna wyuczyła się go na pamięć.

- Nie, dziękuję. Postaram się z nią później skontaktować. - Oparł się o biurko i wyjaśnił

poufnym tonem: - Jestem jej starym znajomym z Irlandii. Nie wie pani przypadkiem, gdzie mógłbym ją potem złapać?

- Z Irlandii, tak? - Dziewczyna najwyraźniej miała wątpliwości. - Nie jestem pewna, *R S*

czy powinienam panu o tym mówić, ale Sky wspomniała, że dzisiaj wieczorem musi iść na ja-kąś imprezę. Tu jest adres.

Wzięła z tacy na sekretarzyku ulotkę i podała ją Lynskeyowi. Niestaranny wydruk reklamował akcję dobroczynną organizowaną w tutejszym liceum, której celem było zgromadzenie pieniędzy na leczenie małej, chorej dziewczynki.

Rozdział 11

Chociaż Sky obiecała towarzyszyć matce podczas zbiórki pieniędzy na pokrycie kosztów pobytu pewnego dziecka w Klinice Mayo, po dzisiejszych przejściach w Libby czuła się rozbita i poprosiła o zwolnienie z tego obowiązku. Jak zwykle ugięła się jednak pod ciężarem powłóczystego spojrzenia chabrowych oczu Johnny.

- Dobrze, już dobrze! - Podniosła ręce do góry w geście kapitulacji. - Ale nie zostanę tam długo. Hermana i Buffy odwiozą cię potem do domu.

Impreza dobroczynna odbywała się na parkingu przed gmachem miejscowej katolickiej szkoły średniej, i choć zjawilo się sporo osób, tłum zgromadzony w zasięgu ciepła wydzielanego przez rząd ogrodowych grillów, jakie przygotowano na tę okazję, wydawał się na rozległym parkingu mniejszy, niż był w rzeczywistości. Panowała senna atmosfera.

Sky nie znosiła małomiasteczkowych rozmów o niczym i trzymała się z tyłu, zadowolona, że może stać samotnie pod ścianą w cieniu budynku szkolnego. Bez entuzjazmu spoglą-

dała na przypalonego hamburgera oraz zwiędłe plasterki kabaczka na papierowym talerzu. W

chwili kiedy się zastanawiała, jak długo jeszcze będzie musiała tu tkwić, aby nakazom przyzwoitości stało się zadość, podszedł do niej bardzo wysoki i bardzo szczupły mężczyzna.

- Przepadam wprost za spalenizną.

R S

- Słucham? - spytała ze zdumieniem.

Nieznajomy zapewne chciał być dowcipny, jednak na jego twarzy w momencie gdy ugryzł kawałek hamburgera, nie dałoby się dostrzec oznak wesołości. Nagle Sky rozpoznała ów orli nos.

Oto miała przed sobą Irlandczyka, który przytrzymał jej drzwi, kiedy wchodziła do zajazdu „Pod Indiańskim Pióropuszem”.

- Spalenizna. To lubię. - Przynął hamburgera bliżej źródła światła. - A pani?

- Mam nadzieję, że mnie pan nie śledzi.

Nie mogła sobie przypomnieć, w co był ubrany, kiedy po raz pierwszy na niego się natknęła.

Dzisiejszego wieczora manifestował swoje pochodzenie, jak gdyby sam akcent nie wystarczył, za pośrednictwem spranego podkoszulka, którego napis informował, że mężczyzna uwielbia piwo Guinness.

- Nie miałem takiego zamiaru. To publiczna impreza, nieprawdaż? - Żonglując tale-rzem i plastikowym widelcem, wyciągnął prawą rękę w jej stronę: - Fergus Lynskey.

- Sky MacPherson.

- Brzmi jak przydomek. - Zagwizdał, potrząsając jej dłonią. - Wiem, kim pani jest: słynną dziennikarką. Miło mi panią poznać. - Wsunął do ust ostatni kęs hamburgera. - W ładnej okolicy pani mieszka, panno MacPherson. Zawsze kochałem Góry Skaliste. Czy pochodzi pani z tego regionu?

- W pewnym sensie. - Sky nie przywykła do obcowania z ludźmi tak pewnymi siebie.

W jej obecności to mężczyźni zwykle czuli się onieśmieleni. - Czy Góry Skaliste są panu dobrze znane?

- Jedynie z książek - odpowiedział ze śpiewnym akcentem, i Sky, wbrew samej sobie, nie zdołała opanować rozbawionego uśmiechu.

- To pański pierwszy pobyt w Montanie?

- Tak, a także we wszystkich innych miejscach leżących na zachód od Manhattanu.

- Ja też jestem Irlandką - wymknęło się Sky i zaraz, zła na siebie, próbowała to sprostować, ażeby nie nabrał o niej błędnego wyobrażenia, że w Dniu Świętego Patryka nosi we włosach białą koniczynę. - To znaczy moja matka i jej rodzina pochodzą z Irlandii. Ja już tutaj się urodziłam. I mylił się pan, biorąc mnie za znaną dziennikarkę.

- Irlandzkie pochodzenie nie jest zbrodnią. - Wyszczерzył w uśmiechu zęby. - I jest pa-ni znana. Czytałem pani artykuł w tutejszym brukowcu. Obok nagłówka było pani zdjęcie, a to według mnie świadczy o sławie. Zaciekawilo mnie pani nazwisko. Skąd wzięła się litera R S

„R" przed imieniem?

Raz jeszcze Sky stwierdziła ze zdziwieniem, że oto nagle zdradza obcemu swoje prawdziwe imię. I raz jeszcze ta rewelacja nie wywołała drwin, a jedynie cichy gwizd.

- Teraz już się nie dziwię. - Nieznajomy wyrzucił pusty talerz do stojącego nieopodal pojemnika na śmiecie. - Rozumiem, dlaczego nie chce pani iść przez życie, mając coś takiego na karku.

Jego odpowiedź była niezwykle miłą odmianą wobec typowej reakcji - ludzie na ogół

starali się wymyślić jakiś dowcip czy nawet słowa pociechy - i Sky stwierdziła, że Lynskey ją tym ujął.

- Cieszę się, że podziela pan moją opinię. - Ona również wyrzuciła swój talerz wraz z nietkniętą zawartością. - Czym się pan zajmuje?

- Uczę w liceum. Wykonuję zawód belfra - głównie z powodu wakacji. W Irlandii ma-my latem całe trzy i pół miesiąca wolnego. Chyba nie popełniłem błędu językowego? - Jego pociągła twarz się rozjaśniła i odsłonił w szerokim uśmiechu zdrowe, choć niezbyt równe zę-

by. - Gdybyśmy tylko mieli trochę lepszą pogodę!

- Pan, nauczyciel, ma wątpliwości, czy nie popełnił błędu językowego? Słyszałam, że pogoda w Irlandii bywa nieco kapryśna. - Sky odwzajemniła uśmiech.

- Kapryśna? Jestem dogłębnie poruszony, panno R. Sky MacPherson. Muszę zanotować to określenie. Ja powiedziałbym raczej, że jest na ogół deszczowa i całkowicie nieprze-widywalna.

- Jakiego przedmiotu pan uczy, panie Lynskey?

- Obecnie irlandzkiego i religii. Belfrowie od rodzimego języka często są obarczani na-uczaniem katechezy. Jak gdyby obie te dziedziny były im równie dobrze znane.

Ten Irlandczyk ją oczarował.

- Lynskey? Jeśli się nie mylę, nie jest to irlandzkie nazwisko, prawda?

- Myli się pani, jest typowo irlandzkie. Pochodzę z bardzo irlandzkiego regionu: z Kerry.

- A zatem jesteście krajanami z moją matką. - Sky skinęła głową w kierunku, gdzie

„Siostry Błogości” czuwały nad puszkami po kawie, do których wrzucano pieniądze. - Pochodzi z zachodniej części Cork. To niedaleko od Kerry, prawda?

- W pewnym sensie. Jednak pod wieloma względami nie ma dwóch hrabstw, które by-

łyby bardziej od siebie odległe. - Podniósł do góry rękę. - Proszę nie pytać dlaczego, wyja-R S

śnienia trwałyby wieki. Powiem tylko, że wojna trojańska wydaje się czasami igraszką wobec rywalizacji pomiędzy hrabstwami w owej części świata. Która z tych trzech kobiet jest pani matką?

- Ta, która ma na sobie wszystkie kolory tęczy.

- Cóż za cudowna kobieta! - Jego zachwyt zabrzmiał szczerze i po raz pierwszy Sky nie czuła potrzeby tłumaczenia się z osobliwego ubioru Johanny.

Dzisiaj matka nosiła ofiarowany jej przez indiańską przyjaciółkę strój z sarniej skóry, którego dopełnienie stanowiła opaska na włosach oraz cienkie rzemyki na szyi. Ubranie ozdobione było paciorkami, frędzlami oraz małymi srebrnymi dzwoneczkami, a na wierzch Johanna miała narzucony szal, jaki zachowała jeszcze z czasów hippisowskich - w żywych czerwieniach i błękitach.

- Słowo: „cudowna” jest chyba nieco przesadnym określeniem... - Sky przyłapała się jednak na tym, że patrzy na matkę i pozostałe „Siostry Błogości” oczami przybysza.

Zawsze zwykła za nie przeproszać - siebie i innych - i poczuła teraz zdumienie, odkrywając, że być może ten mężczyzna ma rację. Opowiedziała mu w zwięzłych słowach historię

„Sióstr”, oraz ich powiązań z jej matką.

Irlandczyk był wdzięcznym słuchaczem. Nie wydawał aprobujących dźwięków, nie stawiał zachęcających pytań typu: „Doprawdy?” i „Czy to możliwe?”, zwykle bardzo uciążliwych przy zawieraniu znajomości, i Sky stwierdziła nagle, że ta rozmowa sprawia jej przyjemność. Nie licząc Jima Larsena, Lynskey był pierwszym od lat mężczyzną, z którym konwersacja wykraczała poza dziedziny sportu, cen pszenicy, samochodów, bydła i nieruchomości.

ści.

- Ma pan ochotę na kawę?

Usłyszała pierwsze odgłosy strojenia instrumentów zespołu muzycznego szkoły, co nieomylnie było sygnałem, że posiłek dobiegł końca i za chwilę rozpocznie się zabawa. A miała wielką ochotę na kontynuowanie rozmowy z tym mężczyzną.

- Nigdy nie piję kawy. Szkodzi na śluzówkę żołądka. Czy przypadkiem nie znajdzie się tu odrobina herbaty?

Fergus Lynskey usadowił się wygodnie pod ścianą, jak gdyby na tym parkingu upłynę-

ło mu całe życie, a fakt, że obsługuje go kobieta, którą zna zaledwie od dziesięciu minut, był

dlań zupełnie naturalny.

Sky przywykła do tego, że mężczyźni reagują na nią w określony sposób i dają jej od-R S

czuć, iż należy do osób dość znanych w miasteczku. Nic więc dziwnego, że opanowanie tego mężczyzny i jego pewność siebie podziałały na nią niezwykle pobudzająco. Szybko podeszła do matki i niemal wydarła jej z rąk kubek z gorącą wodą oraz torebkę herbaty.

- Po co ten pośpiech?

Oczy Johanny błyszczały jaśniej niż sznury kolorowych świateł zawieszonych wokół

terenu pikniku. Matka, pełniąc charytatywne funkcje, zawsze była w szczytowej formie.

- Wcale się nie śpieszę. - Sky czuła, że wprost rozpiera ją dobry humor i beztroska. -

To nie dla mnie. Widzisz tamtego faceta?

Johanna obejrzała się, kierując wzrok w stronę budynku, gdzie pod ścianą siedział Lynskey.

- Którego?

- Nie gap się, mamó. Wysokiego, z długimi nogami, w spranym podkoszulku.

- Jest tutaj nowy. - Matka w zamyśleniu położyła palec na ustach. - Zastanawiam się, kto go przyprowadził. Wiesz, jak się nazywa?

- Fergus Lynskey. To nauczyciel z Irlandii. I nigdy nie zgadniesz mamó, ale uważa, że jesteś cudowna. Co ty na to?

I zanim zdumiona Johanna zdołała coś odpowiedzieć, Sky cmoknęła ją w policzek, wzięła herbatę i odeszła.

- Dziękuję. Czy jest posłodzona?

Irlandczyk oderwał się od ściany i spojrzał sceptycznym wzrokiem na wodnisty napar i przynależny do niego sznureczek z etykietką.

- Przepraszam, zapomniałam... Zamierzała wrócić po cukier, ale ją zatrzymał.

- Nie ma sprawy. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one... - Zanurzył

palec w kubku, przyciskając torebkę do boku naczynia.

Zespół muzyczny zajął swoje miejsca, a dziecko, na rzecz którego zorganizowana została dzisiejsza kwesta - mała, czteroletnia dziewczynka o opuchniętej buzi - zostało wniesione przez ojca na podium.

- Wiem, gdzie się można napić lepszej herbaty, a nawet zamówić drinka - zwróciła się impulsywnie Sky do Irlandczyka.

- Lubi pan spaghetti?

Uniósł w górę brwi.

- Słyszałem o was, Amerykankach. Czy to prawda, że całujecie się na pierwszej rand-R S ce?

- Proszę darować sobie tę złośliwość.

- Wcale nie jestem złośliwy. Moje pytanie było jak najbardziej poważne.

Właściciel restauracji i baru „U Pirellego” - Fin, który był dalekim krewnym Jima Larsena - nie szczędził wysiłków, aby nadać wystrojowi lokalu włoski charakter. Na ścianie za barem widniał

fresk przedstawiający wybuch Wezuwiusza, świece na stołach, nakrytych obrusami w czerwonej kratę, umieszczono w oblepionych woskiem butelkach po chianti, z magnetofonu nieprzerwanie płynęły dźwięki neapolitańskich piosenek.

- Przynajmniej poziom decybeli jest do przyjęcia - powiedziała przeprasząco Sky, kiedy już zamówili jedzenie.

- To ładna muzyka. Lubię jej słuchać. - Lynskey rozejrzał się wokół siebie. - Jak widzę, mieszkańcy Montany nie zwykli jadać o tak późnej porze.

Trzy osoby przy jedynym z zajętych stolików spierały się ze sobą o to, która z nich ma zapłacić.

- Nie w ciągu tygodnia. - Sky poczuła, że jest głodna i ułamała kawałek bułki. - Proszę mi opowiedzieć o sobie. Zapomniałam zapytać, czy jest pan żonaty.

- Trzeba było zrobić to przedtem, zanim mnie pani tu przyprowadziła.

- Przyznaję, a zatem jest pan?

Twarz mu się zachmurzyła i przez ułamek sekundy Sky była wstrząśnięta, uświadamiając sobie, jak głębokie jest jej rozczarowanie.

- Niech się pan nie martwi - powiedziała cicho. - Nie mam wobec pana matrymonialnych planów. Cieszymy się posiłkiem.

- Czy słyszała pani kiedyś o irlandzkim sposobie rozwiązywania irlandzkich problemów? - Twarz Lynskeya zachowała poważny wyraz.

- Ma pan na myśli IRA?

Wybuch jego śmiechu był tak niespodziewany, że nawet młodszy kelner podniósł głowę, wyrwany ze stanu apatii podczas nudnego szykowania stolików na następny dzień.

- Nie, głupia gąsko! - Lynskey chichotał nadal. - Ach wy, Amerykanie!

Sky wytrzeszczała na niego oczy - nie z powodu swej gafy, lecz dlatego że pomimo haczykowatego nosa wyglądał niezwykle atrakcyjnie, kiedy się śmiał. Daj sobie spokój! -

ostrzegła się w myślach. Jedną z zasad, jakimi zawsze się kierowała w sprawach sercowych, był bezwzględny zakaz wiązania się z mężczyznami należącymi do innych kobiet.

R S

- Sądziłam, że największym irlandzkim problemem jest IRA.

- Oczywiście, że tak! - wykrztusił. - Ale nie jest sposobem rozwiązywania irlandzkich problemów. - Teraz spoważniał. - Jestem w separacji z żoną. W świętej Irlandii nie ma rozwodów, o czym

zapewne pani wie. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to sądownie przeprowadzić separację. Prawne skutki tego kosztownego przedsięwzięcia są jednak dla wszystkich znikome. Oczywiście z wyjątkiem prawników i biskupów.

- Jest mi bardzo przykro. - Wcale jej nie było. Upiła łyk wina. - Nie musi pan odpowiadać, jeśli nie ma pan ochoty, ale czy to świeża sprawa? Mieliście dzieci?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi przecząco. Nie weźmie mi pani za złe, jeśli urwę kawałek tego czosnkowego chleba?

Sky odebrała to jako sygnał do zaprzestania dalszych dociekań i zmieniła temat, pytając, co skłoniło Lynskeya do spędzenia urlopu w Montanie.

- Zwykle podczas letnich wakacji myję wagony kolejowe - odrzekł bez namysłu.

- Co takiego?

- To praca sezonowa. Rujnują mnie alimenty, które muszę płacić żonie.

Oklamał Sky. Jego żona zrezygnowała z wszelkich finansowych roszczeń, z chwilą kiedy wprowadziła się do nowego partnera. Kiedy Fergus ukrywał swą prawdziwą tożsamość, zwykł się wcielać w rolę ubogiego nauczyciela.

- Dlaczego nie robi pan tego w tym roku? Nieodparcie cisnął się jej przed oczy obraz Irlandczyka polewającego lokomotywę mydlinami z wiadra.

- Ponieważ za rok skończę czterdziestkę, a nic jeszcze nie widziałem.

Przez następną godzinę prowadzili miłą pogawędkę o Kerry, Cork, Montanie oraz o ulubionych filmach i stwierdzili, że mają podobny gust. Sky zastanawiała się nad najdogodniejszą chwilą, aby wspomnieć o własnej sytuacji matrymonialnej. Najbardziej naturalny wydawał się moment tuż po zwierzeniach mężczyzny, lecz teraz minął bezpowrotnie. Powraca-nie do tej kwestii byłoby zbyt jednoznaczne.

Rozmowa toczyła się gładko na temat rychłych wyborów prezydenckich, o których Lynskey był dobrze poinformowany, a potem przeniosła się na sytuację w Irlandii Północnej, o której mówił niezbyt chętnie.

- Nie sposób wszystkiego wyjaśnić podczas jednej rozmowy, a nawet dwóch, trzech czy dwunastu. A już szczególnie mając do czynienia, proszę wybaczyć określenie, z cudzoziemką. Potrzebowałbym na to lat.

R S

Sky nie naciskała, ale była zaintrygowana, słysząc, że zdążył się już zetknąć z przeja-wami irlandzkiego patriotyzmu w stylu Butte. W zajeździe „Pod Indiańskim Pióropuszem”

natknął się na kilku członków „Bractwa Białej Koniczyny” po zakończonym zebraniu.

- W tym celu tam pojechałam. Musiałam napisać sprawozdanie z tego spotkania.

- No cóż, gdybym wiedział... - Uśmiechnął się szeroko.

- Uciekłby pan, gdzie pieprz rośnie! - Przyłączyła się do słownej potyczki.

- Czyżby miała pani za sobą armię?

Wyrażenie było dla niej nowe, lecz jego sens okazał się w pełni zrozumiały. Poczula się onieśmielona wobec tempa rodzącej się pomiędzy nimi zażyłości, jednak Lynskey najwyraźniej nie miał podobnych skrupułów i wziął ją za rękę.

- Cieszę się, że przyszedłem na ten piknik. Czy mogę zaproponować jeszcze jedną kolejkę przed wyjściem?

Zawahała się, świadoma obecności właściciela lokalu, który siedział z posągową twarzą przy kasie obok drzwi. Po kolacji wypili po dwa drinki i zarówno kelner, jak i jego pomocnik dawno poszli do domu. Spojrzała na zegarek.

- Już kwadrans po jedenastej! Nie przypuszczałam, że jest aż tak późno. Lepiej wracajmy. Jeśli pan chce, mogę pana odwieźć do hotelu.

Przechylił na bok głowę.

- Tylko jeśli pozwoli się pani pocałować na dobranoc, R. Sky MacPherson.

Wiedziała, że powinna poczuć się urażona. I w przeszłości z pewnością dałaby wyraz swojemu oburzeniu. Jednakże teraz, kiedy spojrzała w oczy tego mężczyzny, doświadczyła dawno zapomnianego wrażenia: dreszczu w dolnej części żołądka.

- Szczęściarz z pana, Lynskey.

W milczeniu pokonali krótką odległość dzielącą lokal od zajazdu i Sky stwierdziła z zadowoleniem, że Irlandczyk, podobnie jak ona, nie widzi potrzeby wypełniania ciszy rozmową.

Nie dostrzegła żadnego ruchu na parkingu i czując się nieco głupio, zatrzymała samochód w pewnej odległości od drzwi frontowych, poza zasięgiem padającego z recepcji światła. Lynskey uścisnął jej rękę.

- Jestem szczerze rad, że panią poznałem. - A potem pochylił się i śpiesznie pocałował

ją w usta. - Jutro zatelefonuję.

I odszedł, zanim Sky zdołała uzmysłwić sobie własne rozczarowanie, spowodowane *R S*

przelotnym charakterem owego pocałunku.

W drodze powrotnej do domu cisnęło jej się do głowy tysiące pytań, jakie powinna by-

ła mu zadać, oraz miliony rzeczy, o jakich powinna była powiedzieć. Na przykład, czy zbyt wiele sobie nie wyobraża? Albo skąd wiedział, że zastanie ją jutro w redakcji? I dlaczego nie zadał sobie trudu, żeby się dowiedzieć, czy jest mężatką albo czy ma chłopaka...? A także na jak długo przyjechał? I kiedy znowu się z nią spotka?

Po powrocie do domu stwierdziła, że Johanna leży już w łóżku. Kiedy Sky na palcach szła do swego pokoju, naszła ją kolejna wątpliwość: skąd Lynskey wziął się na spotkaniu zorganizowanym w celach dobroczynnych - na imprezie niezbyt przecież atrakcyjnej dla samotnego turysty?

Lynskey, szykując się do snu w anonimowym pokoju hotelowym, prowadził surową rozmowę sam ze sobą. Na miłość boską, spotykał się przecież z wieloma pięknymi kobietami, a nawet brał je do łóżka. Dlaczego zatem jeden pośpieszny pocałunek i kilka uścisków dłoni poraziło go niczym piorun? Bał się pocałować ją jak należy, choć najwyraźniej była na to przygotowana.

Ta kobieta zagrażała jego światu. Burzyła spokój. Obawiał się, że mogłaby zachwiać jego niewzruszoną, pogodną i jowialną fasadą, pod którą zwykł ukrywać swą samotność. Do tej pory robił to ze znakomitym skutkiem i jego koledzy, a także większość kobiet, z którymi się spotykał - a relacje z nimi miały bardzo powierzchowny charakter - uważali go za kobieciarza.

Podszedł do płaskiej walizeczki, otworzył zamykany na szyfr zamek i wyjął ciężki telefon łączności satelitarnej.

Główny inspektor golił się właśnie przed wyjściem do pracy i był w podłym nastroju:

- Jakież postępy?

- Nic znaczącego. Nawiązałem kontakt z redaktorką tutejszej gazety, R. Sky MacPherson. Napisała całkiem niezłą notatkę pożegnalną poświęconą żonie Treacy'ego, ale, o ile zdo-

łałem się przekonać, o niczym nie wie.

Poddawał siebie testowi: sprawdzał, czy jest w stanie wymówić nazwisko Sky, nie wyjaśniając własnego zainteresowania jej osobą. I chyba mu się to nawet udało, gdyż szef nie zareagował.

- Coś jeszcze?

- Ta Brygada Świętego Patryka wydaje się nieszkodliwa. Wczoraj wieczorem przyjrza-

łem się uważnie kilku jej członkom. Nie zdołałem dotychczas przeprowadzić rozmowy z przewodniczącym, właścicielem domu pogrzebowego, skąd została wyekspediowana trumna.

Zamierzam to zrobić jutro z samego rana.

- Koniecznie. - Daly niecierpliwili się, żeby jak najprędzej zakończyć tę rozmowę. -

Mam nadzieję, że następnym razem będziesz miał dla mnie jakieś wiadomości. No dość już, bo licznik bije.

Lynskey nacisnął guzik „koniec” i odłożył aparat na miejsce do neseseru. Wszedł do łóżka i leżał z rękami pod głową, nie mogąc zasnąć. Żałował, że rzucił palenie.

Rozdział 12

Nie usiłujesz mnie chyba przekonać, że twoje pojawienie się było dziełem przypadku?

Sky manipulowała przy radiu w nissanie. Telefon od Lynskeya sprawił jej ogromną radość. Zwykle pracowała w soboty, ale rano przeprowadziła kilka zaległych rozmów telefonicznych i postanowiła zrobić sobie wolne popołudnie. A teraz Irlandczyk zajmował siedzenie pasażera i jechali oboje na piknik. Przy Tree Forks zjechała z autostrady, kierując się w stronę Grani Bizona.

- A wolisz, żeby było? - Lynskey patrzył prosto przed siebie. - Możesz je sobie wytłumaczyć w dowolny sposób.

- Zależy mi na szczerej odpowiedzi. - Zrezygnowała z szukania stacji radiowej.

- Akurat tamtędy przechodziłem i poczułem swąd. - Lynskey umilkł. - Odpowiada ci ta wersja? Pamiętasz, powiedziałem, że lubię spaleniznę.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie: jego twarz pozbawiona była wyrazu i Sky nie zdołała opanować śmiechu.

Irlandczyk znowu miał dzisiaj na sobie spłowiały podkoszulek, tylko zamiast džinsów włożył bawełniane szorty. Trudno się było oprzeć wrażeniu, że pożyczzył je od znacznie niż-

szego od siebie mężczyzny. Bose stopy wsunął w staromodne sandały zapinane na sprzączki.

R S

Sky pomyślała, że zarówno jego długie palce stóp, jak i smukłe, umięśnione nogi są białe, niczym w dniu, kiedy się urodził. Wszystko wskazywało na to, że opinie na temat irlandzkiego klimatu, z jakimi się spotkała, nie były przesadzone.

- Wciąż nie otrzymałam od ciebie zadowolającej odpowiedzi - nalegała. - Nie miałeś oporów przed wmieszaniami się w tłum zupełnie obcych ludzi? I nie obawiałeś się, że zostaniesz źle przyjęty?

- O co ci właściwie chodzi, kochanie? - Bawił się pasmem jej włosów, które wystawały z tyłu spod zapięcia czapki baseballowej. - Działiałem w zbożnej sprawie: jestem za wszelkimi inicjatywami, którym przyświeca chwalebny cel. I chyba zgodzisz się ze mną, panno MacPee, że ofiarowanie kilkudolarowego datku okazało się dla mnie bardzo korzystne. - Wykonał zamaszty gest, który obejmował Sky, samochód oraz połowę Montany. - Jak widzisz, nam, nauczycielom, obce są

jakikolwiek subtelności. - Oderwał od niej wzrok i wyjrzał przez okno od strony pasażera. - Wybijają nam je z głowy na kursach pedagogicznych. Oblewający się szkarłatem belfrowie nie mają szans na przetrwanie w klasie szesnastolatków, którym bu-rzą się hormony. Ale zmieńmy temat, jestem już znudzony moją osobą. Nad czym obecnie pracujesz?

Sky spojrzała na niego z ukosa.

- Ach, nad tym i owym.

- Niezwykle mnie zaintrygowałaś.

- Wykonuję zwykłą dziennikarską robotę.

- Powiedz poważnie - nalegał z uśmiechem. - Czy masz coś interesującego na oku?

- Nie sędzę, żeby tobie ten temat wydał się zajmujący. Zresztą, kto to może wiedzieć?

Czy mogę ci zaufać i opowiedzieć o sprawie, na której trop niedawno wpadłam? Jest ściśle poufna, przynajmniej na tym etapie. I nieco wykracza poza moje zawodowe kompetencje. Nie czuję się przygotowana do roli reportera prowadzącego śledztwo. Och, wiem, że powinniśmy wywracać skały, byleby tylko odkryć, co się znajduje pod spodem, mnie jednak nigdy nie trafiały się tego rodzaju historie... - zawahała się na chwilę. - Przynajmniej dotychczas.

- Teraz jestem już szczerze zaciekawiony. Oczywiście, że możesz mi zaufać. Będę milczał jak grób. - Położył oba palce wskazujące na zaciśniętych ustach. I zaraz, spostrzegając, że Sky nadal ma wątpliwości, dodał: - Nie musisz się mnie obawiać, R. Sky MacPherson. Jestem tylko irlandzkim belfrem, którego obchodzą jedynie *tuisseal ginideach*. A poza tym i tak za parę dni stąd wyjadę, prawda?

Bez namysłu wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów.

R S

- Co oznaczają te słowa?

Zaskoczyła ją miękkość pod palcami. Niezbyt krótkie, kręcone i gdzieniegdzie już si-wiejące gęste kosmyki, okazały się delikatne i jedwabiste w dotyku. Ciepłe, delikatne i jedwabiste. Wyobrażała już sobie, co czułaby, wplatając w nie dłonie... gdyby on zaczął cało-wać jej piersi...

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? To odpowiednik dopełniacza w irlandzkiej grama-tyce. - Nie pozostał obojętny na zapraszający gest, pochylił się i ucałował jej policzek. - Jesteś zachwycająca - szepnął. - Wiesz o tym? Jesteś uosobieniem pokusy. - Zaraz się jednak od niej odsunął. - Zapewne to, co robimy, jest wielkim wykroczeniem przeciwko jakiemuś bardzo surowemu przepisowi, który obowiązuje na amerykańskiej autostradzie.

- Z pewnością. - Sky była zadowolona z pędu powietrza, wpadającego przez otwarte okna nissana.

Na szczęście Lynskey nie zauważył jej zmieszania.

- Hej, MacPee, zdradź wreszcie sekret wujkowi Fergusowi. Cóż tajemnica wiąże się z twoją pracą? Czyżbyś prowadziła działalność szpiegowską?

- Nie myśl, że choć przez sekundę dałam się nabrać na twe mistrzowskie udawanie braku zainteresowania. Działalność szpiegowska, też mi coś!

- W porządku. - Niespieszony, uśmiechnął się szeroko. - A zatem nad czym obecnie pracujesz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Naprawdę.

Początkowo z oporami, zaczęła opowiadać mu o wczorajszej podróży do Libby i innych miejsc na północy stanu. Zgodnie z jej oczekiwaniami Lynskey okazał się uważnym słuchaczem i po upływie kilku minut stwierdziła, że traktuje go niczym płytę rezonansową.

Nie przerwała opowieści nawet po wyłączeniu silnika i zdjęciu rąk z kierownicy. Zaparkowała nissan na bocznej drodze, która biegła wśród płaskiego terenu, nieopodal celu ich wyprawy.

- Rzecz w tym, że utknęłam w martwym punkcie - oznajmiła, pochylając się nad tylnym siedzeniem po koszyk spakowany rano przez Johannę. - Instykt podpowiada mi jednak, że coś tutaj nie gra. I że szeryf Brian O'Connor siedzi w tym po uszy. Nie mam jednak poję-

cia, na czym polega owo „coś”. I jest to bardzo irytujące.

Błądząc wzrokiem, spojrzała w kierunku Grani Bizona - niesamowitej skały, która wy-

buchała czerwienią z prerii niczym rubin i była jedynym wzniesieniem wśród bezkresnej przestrzeni wokoło. Dobiegający zza okna szmer wiatru w trawach przywodził na myśl szum orzeźwiającego wodospadu.

- Wiem, że coś musiałam przeoczyć.

- Czy jesteś pewna, że ów Skippy rzeczywiście rozmawiał o tobie przez telefon? - Głos Lynskeya był spokojny i pełen zadumy.

- Nie mam co do tego wątpliwości, ale ten facet nie należy do zbyt lotnych i nie sądzę, żeby był poważnie zamieszany w całą sprawę. Za to szeryf jest. I wiem, że właśnie z nim rozmawiał o mnie Skippy.

- I kto tu teraz dramatyzuje? - Lynskey otworzył drzwi od strony pasażera, wyciągnął

długie nogi i stanął na trawie.

- Chodźmy, może czyste powietrze odświeży nam umysły. To tam, prawda? - Wziął od niej koszyk i nie czekając na przyzwolenie, ruszył w stronę grani.

Sky wysiadła z samochodu i idąc za Lynskeyem, zanotowała w myślach, że używając słowa: „nam”, usankcjonował ich partnerstwo. Pozwoliła mu się wyprzedzić, z przyjemnością obserwując lekkość, z jaką jego długie nogi przemierzały teren. W minionych latach Montanę dotknęły dotkliwe susze i nawet ostatnie burze nie mogły zapobiec żółknięciu wysokich do kolan roślin. Sky zastanawiała się, kogo przypomina jej brnący przez suche trawy Irlandczyk.

Przywodził na myśl obrazek z jej ukochanej przyrodniczej książki z czasów dzieciństwa.

Analogię tę trudno było uznać za pochlebną: Sky miała przed oczami galopującą przez afrykańskie stepy żyrafę. Ten mężczyzna o orlim nosie, o wysokiej, chudej sylwetce i bladej kar-nacji nie powinien się podobać R. Sky MacPherson. Tymczasem nie tylko wydawał się jej atrakcyjny, lecz nieodparcie ją pociągał. Spokojnie, ostrzegała się w myślach, facet bawi tu tylko przejazdem.

Czekał na nią na szczycie. Siedział w zaroślach z błyskiem tryumfu w oczach.

- Co z twoją kondycją, panno MacPee?

Uśmiechnęła się doń z góry i po raz pierwszy dostrzegła, że jego oczy, które początkowo w blasku jasnego światła brała za szare, w rzeczywistości są ciemnozielone.

- Założę się, że to skutki przesiadywania w zadymionych knajpach w poszukiwaniu sensacyjnych wiadomości. - Pociągnął ją w dół i posadził obok siebie. - Czy możemy od razu zabrać się do jedzenia? - zapytał pełen entuzjazmu niczym dziecko. - Umieram z głodu!

Matka starannie wywiązała się z zadania i przygotowała prowiant z sercem. Odkręcili *R S*

termos z chłodnikiem ogórkowym i rozpakowali pieczonego kurczaka, kanapki z dwoma ro-dzajami sera, sałatkę z papryki, marchwiowe paluszki, cząstki surowego kalafiora, brokuły i grzyby. Na deser Johanna nałożyła do dwóch małych kubków owocową galaretkę, a do picia zrobiła w drugim termosie mrożoną herbatę.

- Fantastyczne żarcie! - Fergus obrzucił ucztę zachwyconym wzrokiem. - Będę musiał

tylko nauczyć was, Amerykanie, sztuki parzenia herbaty. - Pociągnął obraźliwie nosem, gdy Sky nalewała do dwóch papierowych kubków napój o nieokreślonej, żółtej barwie. - Nawet zapachem nie przypomina prawdziwej herbaty. Chyba nie poczułaś się urażona?

- Przepraszam w imieniu narodu amerykańskiego.

Przylapując ją w chwili utraty kontroli nad sobą, pochylił się i prędko pocałował w usta.

- A to za co? - Ręka Sky odruchowo powędrowała do warg.

- Czy potrzebny jest jakiś powód?

Lynskey przyglądał jej się tak, że przeszedł ją dreszcz. A potem szeroko się uśmiechnął

i znowu przybrał typową dla siebie, jowialną pozę.

- Dlatego, że jest cudowny dzień. I ponieważ nigdy nie czułem równie ciepłych podmuchów wiatru jak te, które targają ci włosy. A także dlatego, że jest mi żal owych wszystkich bizonów, które zostały zepchnięte ze skały po to, abyśmy mogli sobie tutaj urządzić wspaniały piknik.

- To był najbardziej efektywny sposób na ich wytrzebiecie. - Sky znalazła ucieczkę przed skutkami jego bliskości... i pocałunku, wcielając się w rolę turystycznego przewodnika.

- Wtedy Amerykanie rozumowali w bardzo ekologiczny sposób.

- Doprawdy? - Zatopił zęby w piersi kurczaka.

- Przestań, Fergusie!

- O co ci chodzi? - Był uosobieniem niewinności.

- Przestań patrzeć na mnie w ten sposób!

- W porządku. Zrobione. - Opuścił wzrok. - Ale nie odchodź przez chwilę, dobrze? -

Przeżuł kęs, jaki miał w ustach, przełknął go i ostrożnie odłożył resztkę mięsa na papierową serwetkę.

- Czy to spojrzenie bardziej ci się podoba? - spytał, robiąc zeza.

- Fergusie!

Teraz już otwarcie się śmiała. Spoważniała jednak nagle, gdy wziął ją w ramiona.

R S

- To nasza druga randka, panno MacPee, a zatem na miejscu byłby prawdziwy pocałunek, nie sądzisz?

Tym razem w jego głosie nie było żartobliwego tonu. Odgarnął z jej twarzy włosy i wpatrywał się w nią przez długą chwilę, która zdawała się nie mieć końca. Sky napotkała jego spojrzenie, a potem opuściła wzrok, aby się przyjrzeć wydatnym ustom, wgłębieniu powyżej nich i wypukłości dolnej wargi. Dobiegające zewsząd dźwięki stały się nagle bardziej dono-

śne. Wyraźnie słyszała szum poruszającej się na wietrze trawy oraz kwilenie ptaka, którego nie potrafiła zidentyfikować. Chwila oczekiwania trwała niemal wieczność. Sky wiedziała, że kiedy Fergus ją pocałuje, wszystko pomiędzy nimi się zmieni.

- Kiedy mnie pocałujesz, wszystko się zmieni. - Jak zwykle słowa wymknęły się natychmiast w ślad

za myślami.

- Wiem. - Wciąż tkwił nieporuszony w tej samej pozycji. - Myślę, że może nie powinniśmy tego robić. Lepiej, aby sprawy pozostały niezmienione. A co ty o tym sądzisz?

Miała wrażenie, że cała jest z kruchego gipsu. I że rozpadnie się na kawałki, jeśli zostanie zmuszona do wykonania najmniejszego gestu.

- Jestem podobnego zdania - próbowała odpowiedzieć, nie poruszając wargami.

- Jeszcze się kiedyś pocałujemy. I nie tylko pocałujemy. Obiecuję, panno MacPherson.

- Poglądził Sky po czole, a potem delikatnie uniósł w górę jej twarz. - A teraz pora dokończyć naszą małą biesiadę - dodał, lekko dotykając opuszkami palców jej policzka.

Powrót do rzeczywistości zabrał im obojgu sporo czasu. Jedli w milczeniu. Nie była to jednak cisza przyjazna, zwykle tak bliska Sky, lecz pełna napięcia.

- Chodź tutaj. - Kiedy posiłek niemal dobiegł końca, Fergus posadził ją tyłem do siebie na wprost krawędzi i objął ramionami. - Usiądź wygodnie i rozkoszuj się widokiem.

Sky ogarnęła wzrokiem panoramę przed sobą. Wysoka na tysiąc dwieście lub tysiąc pięćset metrów grań wyrastała pośród rozległej prerii, która niczym ogromny złoty talerz cią-

gnęła się z trzech stron aż po horyzont, a z czwartej wzbijała się w niebo, przechodząc w niebiesko-purpurowe Góry Skaliste. Od tej przestrzeni o barwie miodu Butte odcinało się nieregularną, brązową plamą. Małe skupiska czerwonych dachów kilku widocznych farm były ledwo zauważalnymi punktami wśród pofałdowanych łąk, a o istnieniu autostrady, z której zbieżyli, świadczyły jedynie trzy brunatne, tworzące jedną linię kłębowiska kurzu, oddalone od siebie całe kilometry.

Sky poczuła na twarzy ciepły podmuch łagodnego zachodniego wiatru. Zamknęła oczy, *R S* delektując się nim oraz bliskością otaczających ją ramion Lynskeya.

- Jak ktoś, kto zobaczył ten widok, może wrócić do Irlandii? - Cicho zabrzmiał jego szept.

Zatem nie wracaj... Tym razem jednak, ku jej uldze, myśli te nie zostały wypowiedziane na głos.

- Uporajmy się z resztą jedzenia. - Delikatnie pocałował ją w kark i wypuścił z objęć. -

Nadal umieram z głodu.

Spalaszowali wszystko do końca, a kiedy Sky chowała puste opakowania do koszyka, przypomniła sobie o Gregu.

- Och, mój Boże!

- Co się stało? - Lynskey oderwał wzrok od obiektywu aparatu fotograficznego i obró-

cił się do niej twarzą.

- Zupełnie zapomniałem o Gregu!

- A kto to taki?

- Mój chłopak. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Miałam się dzisiaj z nim spotkać, lecz wyleciało mi to z głowy.

- Rozumiem. W takim razie lepiej poszukajmy telefonu.

Trudno było nie podziwiać tego mężczyzny. Sky nie mogła uwierzyć, że po raz pierwszy spotkali się przed niespełną dobą. Uzmysłowała sobie, że nie tylko zapomniała o randce, ale od czasu poznania Lynskeya ani razu nie pomyślała o Gregu. Postanowiła z nim zerwać.

Byłaby nieuczciwa, gdyby postąpiła inaczej.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

- Żadnych szczególnych. Zamierzałem sprawdzić, czy nie grają w kinie jakiegoś filmu, którego jeszcze nie widziałem. A co z Gregiem?

- Grega pozostaw mnie. Masz ochotę wybrać się gdzieś ze mną na kolację? Słuchaj, Lynskey... - Przystanęła i głęboko zaczerpnęła tchu. - Prawdopodobnie uważasz mnie za kobietę zbyt szybką i zbyt amerykańską... ale jeśli to, co się dzieje pomiędzy nami jest tym, o czym myślę... a nawet jeśli nie jest... ja i Greg i tak nie bylibyśmy razem... - Nie znosiła owijania spraw w bawełnę, a oto zachowywała się niczym królowa wykrętnych sformułowań. -

Nawet gdybym nie poznała ciebie wczoraj wieczorem, to i tak mój związek z Gregiem nie miał przed sobą przyszłości. Od dawna zamierzałam z nim zerwać. Brakowało mi tylko odwagi.

R S

Lynskey wydał z siebie cichy gwizd, z którym zaczynała się już oswajać.

- Biedny facet. Idziemy, Sky. Musisz do niego zadzwonić.

I ruszył przodem, a Sky niespodziewanie poczuła się zawiedziona. Jej deklaracja o niemal dozgonnej miłości nie spotkała się z żadnym oddźwiękiem ze strony tego mężczyzny.

Czyżby, jak zwykle, wyszła na idiotkę?

W porządku, pomyślała i przyśpieszyła kroku, żeby go dogonić. Wyprzedzał ją o jakieś pięćdziesiąt metrów. Być może zbyt wiele spodziewała się po tej znajomości. Postanowiła, że od tej pory dostosuje się do Lynskeya i zapanuje nad swymi emocjami w dalszej rozgrywce.

- Czy zawsze tak prędko chodzisz? - Kiedy się w końcu z nim zrównała i oboje doszli do samochodu, nie mogła złapać tchu.

- Tak, ilekroć się nad czymś zastanawiam. - Otworzył i przytrzymał jej drzwiczki od strony kierowcy. - Myślę o twoim dylemacie. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Danielu Treacym. - Zatrzasnął drzwi, obszedł auto dookoła i zajął miejsce pasażera. - Uważasz go za tajemniczego człowieka, prawda?

Uruchomiła silnik i skierowała się w stronę autostrady.

- Powiedziała ci wszystko, co o nim wiem.

- Tak, oczywiście.

Zmienił temat i przez półtorej godziny jazdy, zanim Butte nie znalazło się w zasięgu ich wzroku, opowiadał jej o swym rodzinnym mieście, Tralee, i o dorocznym festiwalu, na który ściągają dziewczyny z całego świata w pogoni za tytułem upamiętniającym pewną lokalną bohaterkę, słynącą z urody i z zalet.

- Czy to rodzaj wyborów miss piękności? - Sky odzyskała dobry humor, uspokoiła ją melodia rosnącego i opadającego głosu Lynskeya i jego płomiennej angielszczyzny.

- Można tak to nazwać - zachichotał. - Nie potrafię jednak dokładnie wyjaśnić, na czym polega istota tej imprezy. Dziewczeta nie paradują w kąpielowych strojach ani nie muszą się odznaczać pięknym i kształtnym ciałem. Ani nawet twarzą. Bardziej liczy się dobroć, osobowość, tego rodzaju rzeczy... Same przygotowują...

- Masz rację, to zbyt trudne do wytłumaczenia. I zbyt irlandzkie jak dla mnie.

- Szkoda, że twoja matka nie urodziła się trzy kilometry dalej na północ. Byłabyś wtedy dobrą partią.

- Daj spokój, jestem za stara na konkursy piękności. - Spojrzała na niego z ukosa. -

Skąd znasz dokładne miejsce urodzenia mojej matki?

R S

- Sama je zdradziłaś wczoraj wieczorem.

- Wymieniłam je tylko, ale nikt, nawet żaden Irlandczyk, nigdy o nim nie słyszał.

- Ja słyszałem - zapewnił pośpiesznie Lynskey. - Kiedyś grywałem w piłkę nożną. I kilku chłopców reprezentujących drużynę Cork pochodziło stamtąd właśnie.

- Czy jest coś, czego byś nie robił? I widzę, że sporo wiesz na mój temat.

- Dużo mówisz, MacPee. Wiele o sobie wczoraj opowiadałaś.

- Co cię skłoniło do przyścia wczoraj na imprezę charytatywną?

- Chciałem się z tobą spotkać - odparł po ledwo zauważalnej przerwie. - Zobaczyłem twoje zdjęcie w lokalnej gazecie. I odwiedziłem twoją redakcję. - Wydawał się skruszony. -

Jakaś młoda dama poinformowała mnie, że prawdopodobnie będziesz obecna na pikniku.

Przepraszam cię, Sky. Czy wybaczysz mi ten podstęp?

Przed nimi, w dolinie, rozciągało się teraz Butte w całej okazałości.

- Zgoda, wybaczam ci. Sądzę nawet, że twoje zainteresowanie moją osobą powinno mi schlebiać. A teraz, panie belfrze, niech pan spojrzy: oto moje miasto. - Sky zawsze kochała ów nierzeczywisty wygląd Butte z tego miejsca w górze: wrak szybu przywoził na myśl ogromnego owada górującego ponad dachami domów. Kiedy zjeżdżali w dół, zaproponowała Lyskeyowi wycieczkę po mieście. - O ile, oczywiście, zostaniesz tutaj i nie wpadnie ci w oko zdjęcie ładniejszej dziewczyny w „Great Falls Tribune” czy „Bozeman Daily Chronicle”.

- Przecież cię przeprosiłem, a ty mi wybaczyłaś. Oczywiście, że zostanę. Wiesz, że mam trzy i pół miesiąca wolnego.

- Nauczanie w Irlandii musi być bardziej opłacalnym zajęciem niż tutaj, w Montanie.

- Pod koniec pobytu zostanie ze mnie cień człowieka. - Uśmiechnął się figlarnie. - Pobyt w zajeździe „Pod Indiańskim Pióropuszem” jest niewielkim luksusem, na jaki sobie na początku pozwoliłem. Postanowiłem dobrze się najeść...

Biała furgonetka marki Hiace została ponownie wykorzystana. Tuż przed świtem wprowadzono ją do garażu jednego z szeregowych domów na obrzeżach Sligo, gdzie stała przez cały dzień. Dom należał do nauczyciela pracującego w publicznej szkole - żonatego, z pięciorgiem dzieci, który użyczał im od czasu do czasu swego garażu; niezbyt często, mniej więcej raz na dwa lata.

A teraz, tuż po północy, furgonetka z trzema mężczyznami w środku została równie cicho wyprowadzona.

- Chciałbym, żeby już było po wszystkim. - Kierowca wydawał się młodszy od swych *R S* dwóch towarzyszy.

- Cicho bądź! Skup się na prowadzeniu pojazdu! Otrzymujesz za to sowite wynagrodzenie - warknął siedzący obok mężczyzna. Sądząc po jego tonie, przywykł do wydawania rozkazów.

Tymczasem na przedmieściach Dublina, w Churchtown, rozbrzmiewające bardziej fał-

szywie niż melodyjnie śpiewy na jutrznię osiągnęły pełne natężenie, a krzyki wron, wróbli, szpaków i drozdów ginęły wśród skrzeczenia srok, ochryplego niczym głosy dorastających chłopców.

Rupert de Burgh nie słyszał jednak żadnych z tych dźwięków, gdy zmierzał szybkim krokiem w stronę budki telefonicznej na rogu ulicy z szeregowymi domami po obu stronach.

Musiał zatelefonować i wrócić do łóżka, nim żona spostrzeże jego nieobecność.

Wrzucił do aparatu dwie monety pięćdziesięciopensowe i czekał.

- Toby? - Nigdy nie zadawał sobie trudu z używaniem powitalnych formułek grzeczno-

ściowych. - Otrzymałeś wycinki? - Słuchał przez chwilę, a potem dodał: - Ufam ci. Wybierz tylko odpowiedni moment i uważaj na siebie. Powodzenia! - Odwiesił słuchawkę i pośpiesznie ruszył z powrotem do domu.

Kiedy Rupert, syn dobrze sytuowanego członka parlamentu i partii torysowskiej, po raz pierwszy przybył do Trinity College, nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród angielskich studentów zamożnych rodzin. Ale już pierwszego dnia, kiedy siedział spokojnie w pubie z kuflem piwa, został zagadnięty przez młodzieńca, który zajmował miejsce przy sąsiednim stoliku. Być może było to zafascynowanie odmiennością, a może nowy, charyzmatyczny przyjaciel rozpoznał w nim podatny i dziewiczy grunt, w każdym razie tego dnia rozpoczęła się prawdziwa edukacja Ruperta.

Podczas kolejnych tygodni i miesięcy ze zdumieniem stwierdził, że jego dotychczasowa skąpa wiedza o Irlandczykach przesiąknięta była rewizjonistycznymi poglądami angielskich torysów. W krótkim czasie wyrzekł się zasad, w jakich go wychowano, i odsunął się od wszystkich swych dawnych przyjaciół z Anglii, a nawet od rodziców.

Tego roku święta Bożego Narodzenia nie należały do udanych: Rupert, powszechnie uważany za młodzieńca bardzo spokojnego, zawsze w domu stawał się zupełnie inny, tym razem jednak jego zachowanie było wyjątkowe. Doszukiwał się we wszystkim wad - nie tylko w poglądach rodziców, lecz także w ich dostatnim domu i statecznym sposobie życia, a nawet w śpiewaniu angielskich kolęd i uczestniczeniu w tradycyjnym, bożonarodzeniowym nabo-

żeństwie w miejscowym anglikańskim kościele.

Podczas przerwy świątecznej postanowił popracować nad światopoglądem brata. Toby, który miał nadzieję zdobyć wykształcenie w Oksfordzie, zawsze czuł respekt przed energiczniejszym od siebie Rupertem i zrobiłby dla niego wszystko. Rupert zrobił mu wykład o Cromwellu, prawie karnym, na podstawie którego Anglicy traktowali katolików jak plugawe robactwo, o wyniszczającej pladze głodu w Irlandii, która o połowę zmniejszyła populację kraju i podczas której Anglicy nie zaprzestali wymuszania podatków za zboże, o machinacjach przedwyborczych w Irlandii Północnej i systematycznym dyskryminowaniu patriotów.

A także o Padraicu Pearsie i innych bohaterach zbrojnych powstań. A kiedy podczas obecnych świąt IRA została oskarżona o zabicie piętnastu ludzi, którzy zginęli wskutek wybuchu bomby w barze „U McGurka”, Rupert zdołał przekonać Toby'go, że to nie IRA stoi za owym zamachem terrorystycznym, lecz agenci brytyjskich służb wywiadowczych, którzy w ten sposób chcieli zaognić sytuację polityczną.

Biedni, zdumieni rodzice, którzy posłali swego raczej uległego i dobrze wychowanego syna, aby studiował na starym, choć może nieco prowincjonalnym uniwersytecie, ujrzeli teraz przed sobą ortodoksyjnego i wściekłego radykała. Konflikt osiągnął moment kulminacyjny w drugim dniu świąt, kiedy to Rupert odmówił towarzyszenia im podczas wizyty, jaką tradycyjnie składali wujowi - kawalerowi w podeszłym wieku, emerytowanemu pułkownikowi Gwardii Królewskiej, który zwykł paplać nieszkodliwie o Winstonie Churchillu i wojnie. W

odpowiedzi na szloch matki Rupert wygłosił mowę na temat kolonializmu i nieprzestrzegania praw człowieka w Irlandii. W końcu cierpliwość opanowanego zazwyczaj ojca wyczerpa-

ła się i postawił synowi ultimatum: albo Rupert wybierze się z nimi odwiedzić krewnego, albo ma się wynosić z domu. Rupert był zachwycony. Ponieważ chesne za studia zostało uiszczone za rok z góry, wrócił do Dublina. Jednakże przestał uczęszczać na wykłady i ćwiczenia, lecz przesiadywał w barach, a bibliotekę wykorzystywał do własnych celów.

A potem, po „Krwawej Niedzieli” pobiegł razem z innymi, żeby podpalić ambasadę brytyjską. I został namówiony do zasilenia oddziałów policji przez młodego i niczego nie-

świadomego Fergususa Lynskeya, który - zaślepiony własnym smutkiem - nie dostrzegł w Rupercie de Burghu pewnej odmienności.

Rozdział 13

R S

Niezwykłe malowniczy krajobraz przełomu rzeki Continental zdecydował o tym, że Daniel Treacy wybudował właśnie w tym miejscu swą rezydencję. Aby lepiej wykorzystać ów wspaniały widok, południowa ściana domu była niemal całkiem oszklona, a biegnące od podłogi po sufit okienne wsporniki przywodziły na myśl skamieniałe fale. Podłogę przestronnego salonu, wyposażonego w drogie, lecz proste meble, wyłożono parkietem, który się mienił, rzucając oślepiające błyski. Pod jedną z czterech ścian, na wprost kamiennego kominka, trzy białe kanapy tworzyły literę „U”. Umebłowania dopełniały rozstawione po całym pokoju fotele, również w białym kolorze, oraz kilka stolików ze szkła i matowej stali. Nawet lampy miały białe abażury, a nad kominkiem wisiał jedyny w salonie, duży, oprawiony w stalową ramę abstrakcyjny obraz utrzymany w jasnych szarościach i bieli. Rzadko spotykana prostota wystroju wnętrza była zamierzona. Żaden przedmiot nie powinien odrywać uwagi obecnych od tego, co było na zewnątrz.

Dom został zbudowany w ustronnym zakątku na końcu prywatnej drogi. Znajdował się nieopodal przełęczy Elk Park, na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów. Za frontowymi oknami, przez które Treacy właśnie wyglądał, otaczający rezydencję dziedziniec łączył się z coraz to niżej opadającymi aż do krawędzi urwiska tarasowymi trawnikami - wysokimi i zielonymi, niczym wschodnie pola ryżowe. W oddali ciągnął się zielony ocean jodeł i sosen, za którym szczyty górskie wystrzelały w intensywny błękit nieba.

Treacy wiedział, że w barach i restauracjach niewidocznego miasta na dole, oddalonego zaledwie o kilkanaście kilometrów od tego domu, ludzie dokładają wszelkich starań, aby miło spędzić ten letni,

sobotni wieczór. Zgromadzeni tam goście rozmawiali i sprzeczali się ze sobą, śmiali się, żartowali i jedli tanie dania lub też biesiadowali, wychylali szklanki piwa i wina, planowali wspólne niedzielne posiłki, wyprawy na ryby i pikniki.

Treacy nie miał ochoty dłużej zastanawiać się nad tym wszystkim. Król zamku, pomy-

ślał ze smutkiem, przypominając sobie grę z czasów dzieciństwa w Irlandii. Nieraz niebezpieczna i zawsze hałaśliwa zabawa polegała na przedzieraniu się przez gąszcze i wdrapywaniu na szczyt wzniesienia, jakie zostało wyznaczone w danym dniu - mogła to być naga skała albo wzgórze porośnięte krzewami janowca. Jako dziecko Daniel nigdy nie zdobył tytułu kró-

la. Zawsze pozostawał w tyle za roślejszymi, silniejszymi i bardziej zdeterminowanymi chłopakami.

- No cóż, teraz ci się udało - powiedział w pustkę swojego wytwornego salonu z oszałamiającym widokiem na góry.

R S

Do diabła z tą dziewczyną! Co najmniej sześć godzin upłynęło od czasu, kiedy po raz pierwszy do niej zatelefonował. Nie przywykł do zostawiania komuś aż trzech wiadomości pod rząd.

Dobrze, że przynajmniej jej matka miała dla niego dobre nowiny.

Niemal ukradkiem, chociaż nikt go nie obserwował, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki małą srebrną kasetkę. Otworzył ją i spojrzał na znajdującą się wewnątrz fotografię, czarno-białą podobiznę Elizabeth Sullivan. Było to jedno ze staromodnych grupowych ujęć, wykonane amatorskim aparatem marki Brownie, jakie zawojowały świat w latach trzydziestych i czterdziestych. Matka Sky, mała, może pięcioletnia wówczas dziewczynka, stała na samym przodzie w otoczeniu licznej rodziny.

Zdobycie tej fotografii, która liczyła sobie ponad czterdzieści lat, wymagało od Daniela Treacy'ego nie lada sprytu i kosztowało go sporo pieniędzy. Powiększył zdjęcie i poprawił

jego jakość, ale nawet amerykańska technologia nie była w stanie zmienić faktu, że w chwili mignięcia przesłony fotografowi zadrżała ręka.

Niemniej dla Treacy'ego olśniewająca uroda Elizabeth Sullivan tak wyraźnie rzucała się w oczy, jak gdyby miał przed sobą podobiznę pędzla Tycjana. Elizabeth trzymała na rę-

kach najmłodsze ze swych ośmiorga dzieci, Constance, która obecnie mieszkała na farmie w Australii.

Niewiele było faktów z życia tej rodziny, których by nie znał.

Tym, co psuło Danielowi przyjemność oglądania fotografii, był fakt, że Elizabeth stała obok Mossiego Sheehana, swego drugiego męża, który wprawdzie od dawna już nie żył, lecz jego

wspomnienie wciąż budziło nienawiść w Treacym. Jej pierwszy mąż był samolubnym głupcem, lecz drugi odebrał Danielowi kobietę, którą kochał od ponad czterdziestu ośmiu lat.

Wieść o śmierci Mossiego sprawiła mu dziką radość, jednakże okrutnym zrządzeniem losu sam był już wtedy żonaty. Za to teraz, kiedy Midge przestała być przeszkodą... Serce mu za-drżało, kiedy ujrzał przed oczami obraz woskowej twarzy żony.

Zamknął kasetkę i z powrotem schował ją wraz ze zdjęciem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Stukot butów na parkiecie, kiedy przechodził przez swój nienagannie utrzymany salon, potęgował uczucie samotności. Usiadł na jednej z kanap, wziął do ręki książkę i usiłował się nad nią skupić. Jednak po przeczytaniu rozdziału musiał jeszcze raz zacząć od począt-ku. A kiedy stwierdził, że nadal nie pojmuje treści, zrezygnował z dalszej lektury. Uznał, że nie może być nic gorszego niż otaczająca go pustka.

R S

Natychmiast odrzucił od siebie tę myśl; nie wolno mu się użalać: litość nad samym so-bą jest najbardziej haniebnym z ludzkich uczuć. Sięgnął po pilota i nacisnął guzik. Drzwi szafki gładko się rozsunęły i włączył się telewizor. Treacy przez minutę zmieniał kanały, ale nie zdołał znaleźć nic, co miałby ochotę oglądać. Wyłączył odbiornik.

Spojrzał na zegarek; wnuczka Elizabeth okazała się dobra w swoim fachu i nie dała się zbyć byle czym. Ale gdzie się obecnie podziewa? I dlaczego nie odpowiedziała na jego telefony? Chciał ją zapoznać z własną wersją wydarzeń, zanim sama odkryje zbyt wiele. W poniedziałek, kiedy mieli się spotkać, może być już za późno. I wątpił, czy wytrzyma tak długo w niepewności co do decyzji Elizabeth w sprawie przyjazdu. Zastanawiał się, czy może zaryzykować ponowny telefon do domu Sky. Pozostawało mu coraz mniej czasu. Podniósł słuchawkę, ale się rozmyślił. Zapewne nawet dziennikarze miewają czasami wolne sobotnie wieczory.

Opuścił swój piękny salon i skierował się w stronę kręconych schodów z ozdobną po-ręczą, które prowadziły na piętro do części sypialnej. Buty ciążyły mu na nogach, jak gdyby zrobiono je z betonu.

Mężczyzna w jasnobezowym sedanie zaparkowanym na drodze dojazdowej do domu zauważył, że na górnym piętrze zapaliły się światła.

Kiedy Sky dotarła na parking przed zajazdem „Pod Indiańskim Pióropuszem”, zobaczyła, że roi się tam od hałaśliwych uczestników spotkania. Wysypywali się z autokarów, które ich przywiozły z lotniska.

- Wspaniale! - jęknął Lyskey, gdy zatrzymali się za jednym z autobusów. - Tylko tego mi brakowało. Czytałem ogłoszenia o tym zjeździe. Prawdopodobnie dzisiejszej nocy nie zmruję oka.

- Jakoś to przetrwasz. - Sky zostawiła silnik na biegu i spojrzała na Fergusa. Teraz, kiedy postanowiła zerwać z Gregiem, obecność Irlandczyka nakazywała jej zrobić to jeszcze dzisiejszego wieczora. - Może wybierzemy się razem na kolację, gdy już będę po rozmowie z Gregiem? Jakie

najbardziej lubisz dania?

- Przepadam za domową kuchnią. Chciałbym zjeść kolację w twoim domu.

- Ale... ja mieszkam z matką. - Sky poczuła się jak rażona piorunem.

- Właśnie. Pragnę poznać tę cudowną kobietę. I osobiście podziękować jej za przygotowanie pikniku. Nie weźmie mi chyba tego za złe?

- Muszę do niej zatelefonować.

R S

Po raz pierwszy spotkało ją coś podobnego. Dotychczas żaden mężczyzna, z którym była związana, nie palił się do poznania Johanny.

- Możesz skorzystać z telefonu w moim pokoju, a ja w tym czasie wezmę szybki prysznic. Będiesz mogła również zatelefonować do Grega i sprawdzić, czy jest w domu. Je-

śli go zastaniesz, umówisz się z nim na spotkanie. Chętnie zaczekam, nawet gdyby miało to długo potrwać. W przeciwnym razie pojedziemy prosto do ciebie. I jeśli wyraz w twoich oczach oznacza, że martwisz się o nieporządek, obiecuję z ręką na sercu, że nie będę cię krytykował!

- O jakim spojrzeniu mówisz? - Sky przekręciła kluczyk w stacyjce. Czowała się jak Pi-nokio lub inna znana jej z czasów dzieciństwa kukiełka. Nie minęła nawet doba, od czasu kiedy się poznali, a ten mężczyzna już kierował jej życiem. - Czy coś jeszcze chciałbyś za mnie ustalić? - spytała, kiedy otworzył drzwi i wygramolił się z samochodu.

- Na razie nie. Chodźmy. - Pochylił się nagle, szczerząc zęby w uśmiechu. - Chyba że miałabyś ochotę skorzystać z mojej pomocy przy zakupie większego samochodu. Straszliwie zdrętwiały mi nogi!

Pokój Lynskeya utrzymany był w spokojnej beżowej tonacji, a jego wygląd w pełni odpowiadał wyobrażeniom Sky: meblowanie stanowiły dwa łóżka, telewizor, toaletka z lu-strem, która pełniła również funkcję biurka oraz stolik do kawy z krzesłami po obu stronach.

W oknach wisały wzorzyste, ciężkie zasłony. Sky usiadła na brzegu jednego z łóżek i utkwiała wzrok w telefonie. Co miała powiedzieć Gregowi? Zza zamkniętych drzwi od łazienki poprzez szum płynącej wody przebijał się baryton Lynskeya. W pośpiechu, aby nie zawiodły jej nerwy, Sky podniosła słuchawkę i zadzwoniła do sklepu monopolowego.

Okazało się, że Greg już wyszedł. Wykręciła jego domowy numer, ale linia była zajęta.

Z uczuciem ulgi, choć z nieczystym sumieniem, zatelefonowała do matki. Johanna kipiała radością. Zdołała się w końcu połączyć z Irlandią. Okazało się, że babka Sky poważnie rozważa przyjęcie zaproszenia. Matka zapewniła, że będzie zachwycona, mogąc gościć na kolacji znajomego Sky.

- Szukało cię kilka osób. - Sky dobiegł szelest papierów i szmer w słuchawce, nieomylnie świadczący o tym, że matka wkłada okulary. - Bill Collins, Greg i, och, nigdy nie zgadniesz, Daniel Treacy telefonował aż dwukrotnie! Za drugim razem ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Powiedziałam mu o mojej matce. Jest uroczy przy bliższym poznaniu, nie są-

dzisz?

R S

- Oczywiście, mam. Jest zachwycający. Muszę już pędzić. Do zobaczenia wkrótce.

Ponownie wybrała domowy numer Grega, a ponieważ jego linia wciąż była zajęta, zadzwoniła do redakcji. Automatyczna sekretarka powtórzyła wszystkie przekazane już przez matkę wiadomości. Bill Collins. Treacy. I Greg. Collins mógł zaczekać do poniedziałku. Ale Treacy? Po dwukrotnym telefonie?

Zapisała numer, jaki jej zostawił. W trakcie wybierania go usłyszała, że prysznic został

zakręcony, więc odłożyła słuchawkę. Jednak po chwili śpiewanie rozległo się od nowa i ponownie usłyszała szum płynącej wody. Pomyślała, że Lynskey się goli. Uznała jednak, że Treacy może zaczekać. W pełni zapracowała sobie na wolne popołudnie.

Póki nie zawiodły jej nerwy, po raz trzeci spróbowała połączyć się z Gregiem. Tym razem linia była wolna, ale słuchawkę podniósł jego ojciec. Greg wyszedł i nie powiedział, kiedy wróci. Sky poprosiła o przekazanie mu, że telefonowała. Nienawidziła siebie za uczucie ogromnej radości, spowodowane zwłoką w rozwiązaniu tej sprawy. Rozejrzała się wokół, starając się na podstawie wyglądu pokoju ustalić, jakim typem człowieka jest jej nowy znajomy.

Najwyraźniej miał zamiłowanie do porządku. Nigdzie dookoła nie było widać walizki, a przez szparę w niedomkniętych drzwiach szafy Sky spostrzegła starannie powieszony na wieszaku spodnie i marynarkę. Na stoliku zauważyła egzemplarz „Butte Courier” - ten sam, w którym zamieszczono jej notatkę pożegnalną poświęconą Midge Treacy - a przy łóżku stał

mały, podróżny budzik. Dodatkowym dowodem świadczącym o tym, że pokój jest zamieszka- kany, była leżąca na toalecie niewielkich rozmiarów aktówka.

Jaki mężczyzna wyjeżdża na wakacje, w daleką podróż po zachodnich stanach Ameryki, biorąc ze sobą teczkę? Sky uśmiechnęła się tkliwie. Ten Irlandczyk, pomimo fascynującej osobowości, był niewątpliwie ekscentrykiem. Zastanawiała się, czy się odważy zrealizować to, co przyszło jej nagle do głowy. Spojrzała w kierunku drzwi łazienkowych; wciąż słychać było płynącą z kranów wodę. Sky prędko podeszła do toaletki. Aktówka była zamknięta na szyfrowy zamek.

Nagle śpiew umilkł i woda ponownie została zakręcona. Sky zdążyła jedynie wrócić na swoje miejsce na skraju łóżka, gdy drzwi się uchyliły.

- Mogę już wyjść? Skończyłaś rozmawiać?

Skinęła głową, starając się opanować i nie wrzasnąć. Omal nie została przyłapana na szpiegowaniu! Widok jego nagości, zakrytej jedynie przewiązaniem w pasie ręcznikiem, spotęgował jej zmieszanie. Lyskey miał mocny i umięśniony tors, choć może nieco za chudy.

R S

Spostrzegł, że poddano go oględzinom:

- Dobrze wiem, że nie jestem adoniselem - odezwał się wesołym tonem. - Szkoda, że nie widziałas reszty mojej rodziny, uchodzę wśród nich za grubasa. Co się stało? Masz minę młodo-docianego winowajcy. Czy było aż tak źle? - spytał cicho, siadając obok niej na łóżku. - Greg bardzo się zdenerwował? - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w policzek.

Sky, która straciła rachubę co do liczby tych przelotnych pocałunków, zdołała się powstrzymać, żeby nie chwycić go w objęcia.

- Nie zastałam go w domu. Perspektywa tej rozmowy napawa mnie przerażeniem. Nigdy nie potrafiłam sobie radzić z nieszczęśliwie zakochanymi mężczyznami.

- A zatem musiałaś już stawiać czoło podobnym przypadkom? - Odsunął się od niej ze sceptycznym wyrazem twarzy.

- Tylko raz, kiedy odchodziłam od męża. - Miała świadomość, że wypowiedź ta świadczy o jej słabym charakterze. - Nigdy nie musiałam się tym specjalnie kłopotać. Zawsze po prostu dawałam im do zrozumienia, że nadszedł czas, by się rozstać. I zwykle mężczyźni trafnie odgadywali moje intencje. - Opuściła wzrok na jego kwadratowe dłonie, które położył na kolanach. Dostrzegła poobgryzane paznokcie. - Wiem, że to, co powiedziałam, zabrzmiało okropnie. Jak gdybym była kobiecym odpowiednikiem podrywacza... Otóż nie jestem taka...

mogę się obejść w życiu bez flirtowania...

- Nie musisz.

Kiedy podniosła wzrok, jego oczy promieniowały jasnym światłem. Sky czuła się skrępowana z powodu ich blasku, a także obrotu, jaki przyjęła rozmowa. Uznała jednak, że nie powinna zostawiać jakichkolwiek niedomówień.

- Jednak Greg jest inny. Próbowalam dać mu do zrozumienia... - urwała, przygnębiona.

- Jest tylko jeden sposób zawiadomienia go o sytuacji: powiedzieć mu o wszystkim wprost. - W ustach Lyskeya takie rozwiązanie wydawało się bardzo łatwe.

- Wiem. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale to mój problem. Co do kolacji, mama zgodziła się, żebyś do nas przyszedł.

Zaskoczył ją niespodziewanym wybuchem śmiechu, podobnie jak poprzedniego wieczora „U Pirellego”.

- Stokrotne dzięki. - Wstał i podszedł do szafy. - Nie mogę się doczekać. Umieram z głodu.

- Wygląda na to, że jesteś wiecznie głodny.

R S

- Duże ze mnie chłopisko, MacPee. A teraz się odwróć, jak na grzeczną dziewczynkę przystało, żebym mógł się ubrać. - Usłuchała polecenia, a potem spytała, dlaczego zabrał na wakacje aktówkę.

- Nie sądzę, żeby zainteresowała cię jej zawartość - odparł beztróskim tonem.

- Czemu tak uważasz? Czy to jakaś tajemnica? Ja zdradziłam ci wszystkie moje sekre-ty...

- W porządku, wygrałaś, ale obiecaj, że nie będziesz się śmiała.

- Obiecuję.

- Piszę książkę.

Pomimo jej usilnych próśb Fergus nie chciał wyjawić nic więcej.

- To tylko książka, Sky - powiedział w końcu. - Każdy nauczyciel sądzi, że nosi w głowie jakąś powieść swojego życia. Ośmielę się zauważyć, że podobnie wygląda sprawa z dziennikarzami.

- Chcę, żebyś mnie pocałował.

Sky miała ochotę wyrwać sobie swój niesforny język. Obróciła się jednak dzielnie do Lynskeya twarzą. Nadal miał goły tors, choć zdążył już zapiąć spodnie, i jej życzenie zaskoczyło go przy wkładaniu drugiej skarpetki, którą upuścił na podłogę.

- Pod warunkiem, że będę czuł twoje nagie ciało.

Nie odrywając od niego wzroku, rozpięła bawełnianą bluzkę, a potem sięgnęła do za-pięcia stanika. Rozebrana i pełna oczekiwania, usiadła z wysoko podniesioną głową. Jednakże on nadal się wahał, marszcząc czoło, jak gdyby nie chciał jej dotknąć, i przez kilka straszli-wych sekund bała się, że wyszła na idiotkę. Nagle w dwóch susach znalazł się obok i pchnął

ją na łóżko.

Jego ręce były chłodne i zaskakująco delikatne na jej piersiach, niczym muśnięcia pta-sich skrzydeł. Sky wygięła się w łuk, a Fergus delikatnie ujął w palce obie jej brodawki i gładził je, aż stwardniały i nabrzmiały do granic eksplozji. Na przemian całował je i pieścił językiem, aż skóra na jej całym ciele napięła się niczym na bębnie.

Przesunął się w górę, do jej ust. Tym razem jego pocałunek był doskonały. Mocniej przygarnęła go do siebie, splatając mu na karku dłonie. Jego usta były dokładnie takie, jak je sobie wyobrażała: pełne, ciepłe i natarczywe.

Nagle znieruchomiał. Ta nagła zmiana w zachowaniu Fergusa przywodziła na myśl cięcie gilotyny. Wciąż pochylając się nad Sky, spojrzał jej w oczy.

R S

- Musisz uzbroić się w cierpliwość, MacPee. Nie była w stanie odczytać wyrazu jego twarzy.

- Dlaczego nie teraz? - Z trudem chwytając oddech.

- To nie jest odpowiedni moment. - Przez ułamek sekundy wyczuwała w nim lęk.

Jednego była pewna: już nie miała przed sobą zadufanego w sobie Irlandczyka, którego rano zabrała na Grań Bizona. Choć drżała jeszcze na całym ciele, zdobyła się na uśmiech:

- Jak sobie życzysz, Lynskey. Mogę poczekać.

Nie próbowała nawet analizować zawilego charakteru milczenia, w jakim oboje się ubierali i jechali do jej mieszkania. Nagle zaczęła się niepokoić, jak Johanna zareaguje na Lynskeya. Gdy wprowadziła gościa, z kuchni dobiegły ją śmiechy. Zrozumiała, że to „Siostry Błogości” odbywają jedną ze swych sesji.

- Przepraszam za ich obecność. Nie miałam pojęcia o tym spotkaniu - szepnęła.

Na jej oczach zachowanie mężczyzny uległo metamorfozie: energicznym krokiem wszedł do kuchni, podniósł głos o jeden ton wyżej i niepostrzeżenie oczarował wszystkie trzy kobiety.

Z wielkim entuzjazmem pochłaniał beźmięsne kotlety Johanny, bezczelnie przymilał

się do „sióstr”, prawił im komplementy, sypał z rękawa anegdotami, a nawet flirtował. Po upływie pół godziny od chwili jego przybycia chichotały jak nastolatki, a najbardziej matka Sky: jej oczy wprost się iskrzyły, a głos miał wyjątkowo beztróskie brzmienie.

- Woodstock? - spytał z niedowierzaniem po zakończonym posiłku. Odsunął na bok filiżankę z herbatą i teatralnie otworzył usta. - Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że właśnie przebywam w towarzystwie trzech osób, które uczestniczyły w Woodstock? Panie wybaczą, ale odjęło mi mowę. Ogromnie paniom zazdroszczę.

Johanna pośpiesznie udała się do sypialni, aby znaleźć dowody w postaci zdjęć. Kiedy wróciła z albumem i we trójkę pochyliły się nad fotografiami, aby pokazać gościowi siebie w czasach młodości, mrugnął porozumiewawczo do Sky. Ona zaś, siedząc z rękami pod brodą, ubolewała nad tym, że nie potrafi zrozumieć tego mężczyzny.

Może jej szanse byłyby większe, gdyby przebywali sami. Wciąż tkwiło w niej żywe wspomnienie niedokończonego zbliżenia. Rozpaczliwie pożądała Fergusa i czuła, że ma to wypisane na czole. Pomyślała kwaśno, że Lynskey daleki jest od podzielania tych pragnień, a ona tyle samo go obchodzi, co para kotów drzemiących w koszu przy nogach jej matki.

Rozdział 14

Ulegając namowom Hermany, matka Sky zgodziła się w końcu zaśpiewać, lecz pod warunkiem że ktoś jej będzie wtórował.

- Może ty, Sky?

- Ma przepiękny głos, ale go marnuje - wyjaśniła gościowi Johanna.

Sky, zmieszana, pośpiesznie odmówiła, nie chcąc ryzykować wystawienia się na po-

śmiewisko przed Irlandczykiem. Wiedziała, że ma miły tembr głosu - zawsze była wybierana w liceum do odczytania końcowej kwestii w jasełkach - uważała jednak, że jej śpiew pozostawia wiele do życzenia.

Po długich pertraktacjach, podczas których zmierzch ukradkiem wtargnął do kuchni i pozłocił niebo za oknem, Buffy zgodziła się zaśpiewać i razem z matką Sky zaintonowały pieśń: „W podmuchach wiatru”. Żywy mezzosopran Buffy doskonale współbrzmiał ze słodkim sopranem Johanny. W trakcie wykonywania utworu matka Sky w rozrządzeniu bawiła się włosami, i gdy rozpoczęły przedostatnią zwrotkę, z warkocza nic już nie pozostało, a opadające bezładnie na ramiona pasma okalały jej twarz niczym cukrowa wata.

W normalnych okolicznościach zażenowana Sky nie zniósłaby dalszego uczestniczenia w owym popisie, patrząc jednak na tę scenę oczami Lynskeya, ucieszyła się, że ma okazję R S

zobaczyć matkę na nowo: jako wielką indywidualność, należącą do zagrożonego wyginięciem gatunku. Obiecywała sobie w myślach, że zdobędzie się na większą cierpliwość wobec Johanny, choć dobrze wiedziała, że owo postanowienie jest daremnym obciążeniem komórek mózgowych.

Gdy tylko przebrzmiały ostatnie dźwięki piosenki, w korytarzu rozległ się przeraźliwy sygnał telefonu i Sky wstała, żeby go odebrać. Obejrzała się, wychodząc i pomyślała, że na długo zapamięta tę scenę: matka i Buffy, splecione w sentymentalnym uścisku, wycierająca ukradkiem nos Hermana i twarz Lynskeya ozdobiona dobrodusznym uśmiechem.

- Halo? - Głos jej zabrzmiał melodyjnie w słuchawce.

- Przez cały wieczór usiłuję się z tobą skontaktować. Zapomniałaś o naszej randce?

- O Boże! - Urażony ton biednego Grega był dla Sky niczym uderzenie obuchem. -

Prawdę mówiąc, Greg, rzeczywiście zapomniałam.

- Gdzie się, do licha, podziewałaś? Dowiedziałem się w redakcji...

- Zmień ton. Nie jestem twoją własnością. - Aby uniknąć wyrzutów sumienia, przybra-

ła ton urażonej dumy. W ciszy, jaka zapanowała w słuchawce, niemal wyczuwało się rozdrażnienie mężczyzny - stłumione, ponure i twarde jak żelazo, stwarzało przygnębiającą atmosferę, która przyprawiała Sky o klaustrofobię i mdłości. - Przepraszam. Nie chciałam podnosić głosu.

- Nigdy nie uważałem ciebie za swą własność - oświadczył sztywno. - Myślałem tylko...

- Posłuchaj, Greg... - Słowa więzły jej w gardle. Użycie ślepego telefonu było tchórzliwym sposobem na zerwanie znajomości.

- Zamieniam się w słuch.

Jego wojowniczy nastrój ułatwił Sky zadanie.

- Musimy się spotkać. - Całym wysiłkiem woli zachowała stanowczość. - Bardzo mi przykro z powodu dzisiejszego wieczora ale naprawdę uważam, że rozmowa pomiędzy nami jest konieczna.

- Proszę cię, Sky, nie!

Była wstrząśnięta bólem zawartym w jego głosie.

- Musimy przeprowadzić tę rozmowę - powtórzyła z determinacją.

- Chcesz ze mną zerwać.

Wyobraziła sobie jego oszalałe spojrzenie i zawahała się przez moment, zaraz jednak powróciła do sprawy:

R S

- Chcę z tobą o tym porozmawiać.

Nastąpiła chwila wypełnionej paniką ciszy. Za plecami Sky rozległo się skrzypienie odsuwanych krzeseł oraz donośne głosy Hermany i Buffy. Obie kobiety przekrzykiwały się nawzajem, żegnając wylewnie nowego przyjaciela.

- Jesteś tam, Greg? - Sky wciąż słyszała na drugim końcu linii jego oddech. - Greg?

- Jestem. Skoro postanowiłaś to zrobić, nie mamy o czym rozmawiać. Uważam jednak, że powinnaś mnie była uprzedzić wcześniej.

- Powiedziałaś ci kiedyś, że nasz związek jest pomyłką. I naprawdę zawsze tak sądzi-
łam.

- No cóż...

Ku jej przerażeniu Gregowi załamał się głos. Dodała śpiesznie:

- Pragnę, żebyśmy zostali przyjaciółmi, Greg...

- Przestań! Daruj sobie przynajmniej ten protekcyjny ton.

- Wcale nie traktuję cię protekcyjnie. - W pełni wyczuwała jego smutek. - Jest mi przykro, naprawdę...

- Tak, z pewnością. Żegnaj Sky. Życzę ci wszystkiego najlepszego. - I się rozłączył.

Sky stała przez kilka chwil, wciąż przyciskając słuchawkę do ucha. Chociaż nie zamierzała zrobić tego w tak bezceremonialny sposób, teraz, kiedy już wszystko miała za sobą, poprzez falę wstydu i żalu przebijały się promyki światła. Ogarnęła ją bezbrzeżna ulga, która przypominała wrażenie lekkości z czasów dzieciństwa w momencie wyrzucenia z siebie wszystkich grzechów przy konfesjonale. Kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła nieprzewartą potrzebę zapełnienia swego pokoju i całego domu żonkilami.

- Już wychodzicie? - zwróciła się do Buffy, która pojawiła się w kuchennych drzwiach z Hermaną u boku.

Ta nachyliła się i szepnęła Sky do ucha;

- On jest boski. Na twoim miejscu nie pozwoliłabym mu odejść! - I zaraz dodała, już normalnym tonem: - Opiekuj się mamą, dobrze Sky?

- Dziękuję za wszystko, Buffy. Także za piosenkę. Była śliczna.

- Cóż za facet! - Hermana zamknęła Sky w niedźwiedzim uścisku. - Cóż za facet! -

powtórzyła. - Gdybyś go nie chciała, zabrałabym go dla siebie. - I dodała cichutko: - Posłuchaj mojej rady, skarbie, i nie zwracaj sobie głowy tym Gregiem. Nie dorównuje ci rozumem.

R S

Za jej masywną postacią Sky dostrzegła, jak Lynskey mruga do Johanny, która ponownie napełniła filiżanki.

- Chyba mam rywalkę, Hermano. - Skinęła głową w stronę matki.

Hermana zachichotała i wzięła Buffy pod rękę.

- Nie odprowadzaj nas do wyjścia. I pamiętaj o tym, co ci powiedziałam.

- Kto to był, kochanie? - spytała Johanna, biorąc na ręce jednego z kotów, gdy Sky wróciła do kuchni.

- Greg. - Nie ufała sobie na tyle, aby spojrzeć Lynskeyowi w oczy.

- Twoja matka opowiedziała mi właśnie o Danielu Treacym i twojej babce. Cóż za cudowna

historia!

- Chyba nie weźmiesz mi tego za złe? - Johanna pocałowała pomiędzy uszami kota, którego trzymała na kolanach. - Zresztą i tak Fergus znał już wiele z tych faktów. Twierdzi, że ty mu powiedziałaś.

- To prawda. - Sky przez moment zastanowiło uporczywe zainteresowanie Lynskeya Danielem Treacym, ale zaraz odsunęła od siebie tę myśl.

- Jesteś pierwszym Fergusiem, jakiego poznałam. Nigdy dotąd nie spotkałam mężczyzny, który by tak się nazywał, nawet kiedy jeszcze mieszkałam w Irlandii. - Johanna przenosiła rozpromieniony wzrok z Lynskeya na córkę i z powrotem.

- Nie musisz dodawać mu śmiałości, mamó. - Sky usiadła przy stole. - Jest wystarczająco niezdolnym facetem i nie brak mu tupetu.

- Czy tęskni pani za starym krajem? - Irlandczyk wysączył do końca ziołową herbatę i nadstawił filiżankę z prośbą o ponowne jej napełnienie. Wyglądało na to, że rozgościł się u nich na dobre.

- Nie mogę tego powiedzieć. - W głosie matki, podobnie jak w głosie Lynskeya, rozbrzmiewały teraz pośpiesznie wymawiane, szmerzące zgłoski. - Oczywiście brakuje mi rodziny. Chociaż, szczerze mówiąc, nigdy nie łączyły nas bardzo bliskie więzi; może z wyjątkiem mojej matki oraz brata, Franceya, który obecnie mieszka w Anglii... - Zamilkła, a w jej oczach pojawił się nieobecny wyraz. - W dzieciństwie oboje byliśmy ze sobą bardzo zżyli, los jednak rzucił nas w inne strony świata.

- Słyszałem, że pani matka wybiera się tutaj z wizytą?

Johanna spojrzała na córkę, niepewna, jak dużo może mu wyjawić.

- Powiedziałałam mu o tym, mamó. - Sky westchnęła. - I wie, że to pomysł Daniela Treasa

acy'ego. - Ziewnęła. - A skoro już o nim mowa: zostawił dla mnie kilka wiadomości. Podejrzewam, że woli się spotkać ze mną jutro niż w poniedziałek. Jestem straszliwie zmęczona.

Nie gniewajcie się, ale najchętniej odwiozłabym naszego gościa do hotelu.

Lynskey zerwał się na równe nogi.

- Przepraszam. Wyraźnie nadużyłem gościnności obu pań. Chętnie wrócę na piechotę.

Naprawdę. Na moim zegarze jest dopiero wczesny ranek.

- Nie odchodź, dopiero zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. - Rozczarowanie Johanny było szczere.

- Proszę się nie martwić, Johanno, jeszcze tu wrócę. Ogromnym plusem wakacji po-dróżującego nauczyciela jest to, że nie muszą być zaplanowane. A moje właśnie uległy zmianie teraz, kiedy poznałem ciebie i twoją córkę. - Wyprostował się i spojrzał Sky prosto w oczy. - Często będziecie

mnie widywały. Gwarantuję. - Uśmiechnął się figlarnie.

- Czy brudna robota została już wykonana? - mruknął do Sky, gdy odprowadzała go wąskim korytarzem do drzwi.

- Mhm. - Zastanawiała się, czy ją pocałuje.

- Dzięki Bogu - stwierdził enigmatycznie.

- Trochę przesadzasz, nie sądzisz? - Choć szczerą reakcją Fergus'a sprawiła jej radość, poczucie winy nakazywało lojalność wobec byłego chłopaka. - Mógłbyś przynajmniej udawać, że współczujesz biednemu Gregowi.

- Ależ współczuję. - Uśmiech przeczył jednak jego słowom. - Niemniej uważam się za szczęściarza. Chodź do mnie. - Wziął ją w ramiona i mocno pocałował, ale znowu odsunął

się, nim zdążyła odwzajemnić uścisk. - Lepiej już pójdę. To nas powstrzyma przez jakiś czas.

- Chryste! Jesteś niesamowity, wiesz? Na pewno masz ochotę na spacer?

- Oczywiście. Jutro jest niedziela. Nie miej wyrzutów sumienia, jeśli uznasz, że nie chcesz się ze mną spotkać. Należę do tego typu facetów, którym nie brak pomysłów. Wymy-

ślę sobie jakieś zajęcie. - I zanim Sky zdołała zaprotestować, położył jej palec na ustach. - W

zajeździe „Pod Indiańskim Pióropuszem” zawsze znajdzie się jakieś podwójne łóżko. Ten zajazd to wspaniałe miejsce.

Gdy zamknęła drzwi, zastanawiała się, czy jego pełne zahamowań postępowanie, które doprowadzało ją do szaleństwa, nie jest przypadkiem zamierzone. Nie miała jednak wątpliwo-

ści, że zalękniony wyraz, jaki w przelocie dostrzegła na twarzy Irlandczyka podczas wizyty w jego pokoju hotelowym, był prawdziwy.

R S

Nim udała się na spoczynek, zatelefonowała do Treacy'ego. Jej domysły okazały się trafne. Poniedziałkowe plany biznesmena uległy zmianie i prosił o przełożenie spotkania na jutro.

W Killybegs, w hrabstwie Donegal, wszelkie znaki na niebie i ziemi wróżyły przedsięwzięciu pomyślność. Panowała idealna pogoda: choć jeszcze nie padało, z groźnych chmur, które wisiały tak nisko nad ziemią, że górzysty krajobraz za miastem był zamazany, musiał wkrótce lunąć deszcz. Na morzu szkwał wzbijał na grzywach olbrzymich atlantyckich bałwanów wysokie tafle białej piany. Panujący ziąb i ostry północno-zachodni wiatr sprawia-

ły, że dzień wydawał się bardziej grudniowy niż czerwcowy.

Duży port był osłonięty przed sztormem i choć drewniane trawlerzy, ciasno przymocowane jeden do drugiego, trzeszczały i skrzypiały, ocierając się o siebie, nic im nie groziło.

Nawet w przypadku dobrej pogody obecność rybaków w Killybegs o tak wczesnej godzinie w niedzielny poranek byłaby widokiem niecodziennym. Jednakże czasami się pojawia-
li i kilku przypadkowych przechodniów nie zwróciło większej uwagi na to, że z małego gara-

żu na końcu ulicy jacyś ludzie przenoszą skrzynki na ryby do białej, zaparkowanej tyłem do drzwi półciężarówka marki Hiace. Staruszek, który przechodził obok ze swym tłustym spanielem, nawet nie spojrzał, aby sprawdzić, co się tam dzieje.

Mężczyźni pracowali w milczeniu. Po zakończeniu załadunku jeden z nich wspiął się na siedzenie kierowcy, drugi zabezpieczył tylne drzwi pojazdu, a trzeci obrzucił wzrokiem wewnątrz, aby się upewnić, czy w polu widzenia nie ma czegoś, co mogłoby zwrócić uwagę czyichś wścibskich oczu. Wdrapał się na tył pojazdu i starannie naciągnął na najdalszy róg bagażnika stos starych sieci oraz płóciennych prześcieradeł. Usatysfakcjonowany wyszedł na zewnątrz i zabezpieczył drzwi zamykanym na kłódkę zardzewiałym łańcuchem. Dopiero wtedy dołączył do kolegów w kabinie.

W czasie gdy furgonetka oddalała się od miasta, zmierzając w stronę drogi biegnącej wzdłuż nabrzeża, jeden z zakotwiczonych w porcie mniejszych trawlerów zlurował cumy i ostrożnie wycofał się pomiędzy sąsiednich łodzi, przywiązanych do niego z obu stron. Po wyprowadzeniu statku rybacy dopilnowali, aby te, które zostawili, zostały ponownie zabezpieczone przed sztormem. A kiedy trawler dysząc, powoli wypływał z portu, kierując się w stronę pełnego morza, mężczyźni krzatali się na pokładzie, zwijając cumy, układając skrzynki i robiąc generalny porządek. Były to typowe przygotowania przed całodziennym lub całoty-godniowym połowem.

R S

Kapitan wiedział, że nawet podczas psiej pogody nie zwrócą na siebie wielkiej uwagi.

Rybakcy z Killybegs byli ludźmi mocnego ducha, a poza tym, w przeciwieństwie do super-trawlerów, które tropiły ławice na otwartym Atlantyku, statek „Agnes Monica” należał do jednostek żegluga przybrzeżnej i pływał po wodach terytorialnych, wzdłuż mocno wrzynają-

cej się w ląd linii brzegu. Zazwyczaj na połów składały się różne gatunki ryb oraz kilka koszy homarów. Było powszechnie wiadomo, że choć trawler naraża się na wstrząsy, doświadczenia te nie są dla niego niczym nowym.

Członkowie załogi rozgłosili wokół, że zamierzają dotrzeć aż do Rathliny i mogą wró-

cić dopiero za kilka dni. Informacja ta miała ukryć ich prawdziwe poczynania przed innymi rybakami. Co zaś się tyczy przedstawicieli prawa... kapitan uśmiechnął się szeroko, zbliżając się do wyjścia z portu. Kroki policji były dziecinnie łatwe do odgadnięcia. Funkcjonariusze zwykli wykonywać większość swych, tak zwanych, tajnych działań w późnych godzinach wieczornych, a o wczesnym poranku wygodnie leżeli w łózkach. Natomiast ich koledzy z dziennej zmiany o tej porze przykrywali się jeszcze kołdrami, oporni wobec namów żon, aby wstali i zaczęli się szykować do

niedzielnej porannej mszy.

Przeniesienie skrzynek na pokład statku miało się odbyć w niewielkiej grotcie, niewi- docznej z biegnącej w górze drogi, osiemnaście kilometrów za Killybegs. Strugi zacinającego deszczu zamazywały widok z wyjątkiem najbliższego kamienistego terenu, który opadał

stromo aż do nabrzeżnych skał w dole. Trzej mężczyźni w furgonetce nie mogli sobie życzyć lepszych warunków atmosferycznych.

Trawler zatrzymał się tuż przed małą zatoką. Przypadkowy obserwator mógłby sądzić, że rybacy w żółtych kamizelkach przygotowują kosze do połowu homarów i ustawiają je wzdłuż relingu przed wyrzuceniem w morze. Nikt jednak nie dostrzegłby, chyba że stałby na samym brzegu, białej półciężarówki. Podskakując na wybojach biegnącą w dół karkołomną drogą, nie szerszą niż rozpiętość osi, pojazd zsuwał się z boczem skały wzdłuż wyłobienia wrytego przez erozję. Trzej mężczyźni stłoczeni na przednim siedzeniu niewiele ze sobą rozmawiali. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jeden z nich jest dowódcą. Gdy porywy wichru i strugi deszczu tłukły o karoserię i dwaj mężczyźni zaklęli siarczyście, narzekając na niedogodne warunki jazdy, trzeci z nich siedział cierpliwie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, trzymając złożone dłonie w rękawiczkach na kolanach. Mała szalupa z „Agnes Monica”

została podprowadzona pod wiatr pod samo wejście do grotty. I choć odległość do plaży nie przekraczała osiemdziesięciu metrów, załoga tak prędko wiosłowała, że ponton niemal ślizgał

R S

się na falach. Kiedy ciężko osiadł na mieliźnie, dwaj mężczyźni wskoczyli do wody i wyciągnęli szalupę na ubity, wilgotny piasek.

Grota miała kształt podkowy: para skalistych wypiętrzeń sięgała z obu stron morza i przywodziła na myśl opiekuńcze ramiona, które niemal łączyły się ponad szerokim na trzy metry wejściem. Wąska gardziel pełniła rolę komina - skupiała na sobie dziką siłę wichru, w którego podmuchach wirujący pył wodny i piana odbijały się od ociekającej wodą skały, czarnej i lśniącej niczym onyks.

Powrotna droga na szczyt skalnej grani okazała się trudniejsza niż zjazd. W pewnym momencie pojazd utknął na ścieżce, a opony zawirowały w powietrzu, wypływając spod siebie we wszystkich kierunkach skalne odłamki. Mężczyźni przeklinając, wysiedli z furgonetki, podłożyli pod tylne koła kamienie i starali się ją wypchnąć, co nie było zadaniem łatwym, zważywszy na stromiznę urwiska. W końcu jednak ruszyli z miejsca.

Pozostawał jeszcze problem wyjazdu na szosę, która biegła wzdłuż skalnego grzbietu.

Nagle pojawienie się na drodze rodziło największe ryzyko. Mężczyźni postanowili ukryć się i zaczekać na odpowiedni moment w niewielkim wgłębieniu terenu, jakieś trzydzieści metrów poniżej grani. Kiedy jeden z nich wspiał się na szczyt wzniesienia, ażeby sprawdzić, czy droga wolna, młody kierowca był bliski załamania nerwowego i mokry od potu. Już po minucie zaczął szarpać kołnierz

swego nieprzemakalnego ubrania.

- Dokąd on, do diabła, poszedł?

- Zamknij się wreszcie. I trzymaj emocje na wodzy! Od samego początku działasz mi na nerwy.

W charakterystycznym dla hrabstwa Donegal akcencie tego mężczyzny wyraźnie było również słycać stłumione samogłoski typowe dla mieszkańców przeciwległego brzegu Atlantyku.

Kierowca posłał mu jadowite spojrzenie.

- Dobrze ci mówić. Kiedy już będzie po wszystkim, bezpiecznie wrócisz do Ameryki. I wiem, na co wydasz swoje pieniądze. W przeciwieństwie do mnie, nie musisz za nie wykarmić dzieci.

- Prosiłem, żebyś się zamknął.

Mężczyzna kierujący przedsięwzięciem sięgnął do kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza i wyjął pistolet: mały, czarny i pękaty. Niemal od niechcienia wycelował nim w gło-wę kierowcy, któremu z przerażenia odjęło mowę.

R S

Mijały sekundy. Na przedniej szybie osiadła para z mokrych ubrań i zamglila widok.

Nie wypuszczając z ręki broni, dowódca pochylił się do przodu i odczyścił kawałek okna. Pociąganiem rękawem marynarki o szybę towarzyszyło skrzypienie.

- Będziesz cicho?

Wciąż nie mogąc wydobyć z siebie głosu, kierowca skinął głową.

- Świetnie. - Dowodzący akcją opuścił pistolet i odłożył go na bok.

W tym momencie wrócił trzeci uczestnik zadania i wskoczył do kabiny.

- Droga czysta. Ruszajmy! Chciałbym to już mieć za sobą! - On również przejawiał pewne oznaki nerwowości.

Wstrząśnięty kierowca z ulgą przełknął ślinę, kiedy poczuł pod kołami wyboistą nawierzchnię szosy.

- Nie zamierzam tego więcej robić, słyszycie? - Czuł się teraz bezpieczniej, gdy dołą-

czył do nich trzeci mężczyzna. - Po raz ostatni zgodziłem się na udział w tego rodzaju akcji.

Obiecałem Marie. W tym przeklętym kraju jest zbyt wiele ciekawskich oczu. - Kiedy nikt się nie odezwał, wrzucił najwyższy bieg i mocniej docisnął pedał gazu.

Szosa, po której jechali, nie była główną drogą do Killybegs. Wąska i kręta, wiła się wzdłuż skalnej grani i dopiero kilka kilometrów przed miastem łączyła się z największą arterią komunikacyjną.

- Do cholery! Jedziesz za szybko! - wrzasnął trzeci z mężczyzn, gdy opony zaskrzypiały na ostrym zakręcie. - Ściągniesz na nas uwagę każdego policjanta aż do Letterkenny.

Kierowca nie odpowiedział, skupiając uwagę na prowadzeniu pojazdu. Padał teraz ulewny deszcz i wycieraczki były całkiem bezużyteczne. Pociemniało, jak gdyby zbliżała się północ, a nie ósma rano. Kierowca włączył długie światła, lecz na niewiele się zdały: oświetlały jedynie strugi deszczu i przesuwaną się mgłę.

- Zwolnij, do cholery! - ponownie wrzasnął trzeci z mężczyzn.

- Jezu!

Kierowca jęknął pod nosem. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej, na skraju urwiska stał

zaparkowany biały policyjny radiowóz z powoli obracającymi się na dachu niebieskimi światłami. Obok pojazdu dostrzegli funkcjonariusza w żółtej pelerynie przeciwdeszczowej. Jego oficerski pas błyszczał w światłach reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Policjant energicznie pomachał latarką, nakazując im, żeby się zatrzymali.

- Nie zwalniam! Gaz do dechy! - rozkazał ostrym tonem dowodzący akcją.

R S

Kierowca odruchowo usłuchał polecenia, mocniej przydusił pedał gazu i pojazd wystrzelił do przodu jak z procy. Policjant odskoczył do tyłu, wpadając na maskę radiowozu, gdy furgonetka przemknęła obok.

- Jezu, teraz już nas mają. Jezu, Jezu... - Kierowca z piskiem opon pokonał pierwszą część niebezpiecznego wirażu na końcu krótkiego prostego odcinka i z wielkim trudem uporał

się z drugim, zahaczając kołami o rozmiękłe błoto na skraju urwiska. - Dlaczego zgodziłem się w tym uczestniczyć? - Jego głos miał teraz wysokie i piskliwe brzmienie. - Czy nie mogli-

śmy dalej uczciwie żyć? Marie mnie zamorduje...

- Zamknij się i zwolnij, bo nas zabijesz.

Tym razem dojeżdżali do skrzyżowania z główną drogą. Polecenie dowódcy dotarło do świadomości spanikowanego kierowcy i wykonał je posłusznie, przenosząc nogę z gazu na hamulec.

Jednak gumowa podeszwa buta była mokra i stopa ześlizgnęła się z pedału. Furgonetka wystrzeliła na główną szosę, z piskiem opon wpadła w poślizg, zatoczyła tyłem szeroki łuk, odbiła się od słupa telegraficznego i przeleciała na przeciwległy pas ruchu.

Starszy mężczyzna w nadjeżdżającej z przeciwka toyocie starlet nie miał szans na ucieczkę i jego pojazd czołowo zderzył się furgonetką. '

Na bocznej drodze, która biegła równoległe do linii brzegu, funkcjonariusz policji, wciąż wstrząśnięty faktem, że przed chwilą o włos uniknął śmierci, telefonował do komendy.

Z powodu trzasków nadajnika samochodowego i nieustannego ryku nawałnicy nie usłyszał huku zderzających się pojazdów.

Z wypadku ocalał jedynie pies kierowcy toyoty.

Więści dotarły do głównego inspektora w Dublinie jeszcze tego dnia przed południem.

- Kim jest ów indywidualista, który postanowił odegrać rolę nadgorliwego stróża po-rządku? - Potoczył rozwścieczonym spojrzeniem wokół stołu po twarzach podwładnych. Niektórzy agenci jeszcze się nie zjawili. Być może uczestniczyli w niedzielnej mszy, lecz Daly nie zamierzał na nich czekać.

- Jest nowy w Killybegs - wyjaśniła cicho jedyna obecna na naradzie kobieta. - Był w drodze do pracy. Jechał główną szosą. - Pochyliła się nad rozłożoną na stole mapą sztabową. -

O, tędy...

- Dobrze wiem, którądy biegnie ta cholerna droga.

- Przepraszam. - Kobieta nie dała się zbić z tropu. - Gdy odjeżdżał spod domu, zatrzy-R S

mał się na moment, nim włączył się do ruchu, gdyż dostrzegł w przelocie samochód jadący z nadmierną prędkością drogą wzdłuż nabrzeża, poniżej głównej szosy.

- Rozumiem. - Ton Daly'ego naszpikowany był ciężkim sarkazmem. - Niech diabli go porwą wraz z jego wszystkimi optycznymi przyrządami. Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy na przeprowadzenie tej akcji. - Ponownie spiorunował wzrokiem zebranych wokół stołu. - Gdzie się podziewa de Burgh?

- Jest już w drodze - odważyła się udzielić odpowiedzi kobieta-oficer.

A potem wszyscy zdając sobie sprawę z tego, że w obecnej sytuacji najlepiej zrobią, zachowując milczenie, czekali w ciszy na dalszy rozwój wydarzeń.

Główny inspektor podniósł się z miejsca i podszedł do małego stolika z boku. Nalał

kawę z termosu do filiżanki, dodał trzy czubate łyżeczki cukru i zaniósł ją do stołu.

- Nikt nie może znaleźć tego przeklętego trawlera. Wygląda na to, że wyparował -

oznajmił ledwo słyszalnym głosem.

- Czy Lynskey wie, co się stało?

- Zostawiłem dla niego wiadomość, żeby się ze mną skontaktował. A niech to wszyscy diabli! - Cisnął plastikową łyżeczką przez pokój.

Rozdział 15

Toby de Burgh był mężczyzną przeciętnego wzrostu i nierzucającej się w oczy budowy ciała, a choć jego twarz mogła uchodzić za przystojną, należał do tego typu ludzi, którzy z łatwością wtapiają się w tłum. Jediną wyróżniającą go cechą był jasny kolor oczu. W przeciwieństwie do Ruperta, którego stosunki z rodzicami nadal pozostawały oziębłe, w pełni wykorzystał rodzinne pieniądze i dobrze urządził się w życiu. A potem, dzięki własnej gorliwej działalności w finansowo-handlowym centrum Londynu, stał się zamożnym człowiekiem. Był

kawalerem, nie zaliczał się jednak do grona tych, których nazwiska występują w kolumnach gazet poświęconych plotkom z życia śmietanki towarzyskiej stolicy. W jego mieszkaniu, wyposażonym w solidne sprzęty z epoki królowej Anny oraz ciężkie wiktoriańskie meble wyczuwało się brak ręki projektanta. De Burgh zegnał właśnie swego gościa, księcia Walii, oraz jego ochroniarza.

Po zamknięciu drzwi usiadł przy stole, żeby odtworzyć w myślach rozmowę i uznał jej *R S*

przebieg za dość zadowalający. Nie miał złudzeń co do powodu wizyty znakomitego gościa -

na pewno księżę nie przybył przez wzgląd na czarującą osobowość Toby'ego - liczył raczej na jakiś datek dla jednej ze swych pozostających pod królewskim patronatem organizacji. Wymawiając się następnym spotkaniem, Jego Królewska Wysokość zabawił u de Burgha niespełna czterdzieści minut i odmówił wypicia nawet jednej lampki wina.

Nie można powiedzieć, żeby Toby pałał miłością do księcia. Następca brytyjskiego tronu piastował honorowe stanowisko naczelnego dowódcy pułku wojsk spadochronowych -

pułku odpowiedzialnego za „Krwawą Niedzielę” w Derry.

Toby nalał sobie kieliszek calvadosu i zastanawiał się, czy zadzwonić do brata. Wciąż leżał przed nim na stole wycinek z ilustrowanej gazety, przysłany mu przez Ruperta: „W muzeum spodziewane są ogromne rzesze miłośników ptaków”. Sącząc drinka, Toby ponownie przeczytał krótki artykuł, zanim sięgnął po słuchawkę.

Nie przedstawił się, kiedy telefon został odebrany.

- Nie wydarzyło się nic wielkiego, widziałem jednak jego reakcję. I jestem gotów zało-

żyć się o wszystko, że wybór miejsca jest trafny. Mój gość udawał całkowity brak zainteresowania, ale jego przesadna obojętność jest dla mnie dowodem na to, że zbyt wiele wie o tej sprawie. - I nie czekając na odpowiedź, Toby się rozłączył.

Rupert odłożył słuchawkę, podszedł do drzwi i nasłuchiwał przez chwilę. Był sam w salonie swego

domu w Churchtown. Niskie i rytmiczne dźwięki aparatury stereofonicznej w pokoju synów dudniły z niesłabnącą siłą, a z kuchni dobiegała ostra sprzeczka żony z córką.

Rodzinne życie toczyło się zwykłym trybem.

Rupert pośpiesznie wykręcił domowy numer szeryfa O'Connora w Mayville, w Montanie.

- Przynęta chwyciła. Miejsce spotkania pozostaje niezmienione. I jeszcze jedna sprawa: do Butte został wysłany niejaki Fergus Lynskey. - Przeliterował nazwisko: - L-Y-N-S-K-E-Y.

Uważaj na niego. Podaje się za nauczyciela. Nie wiem, gdzie się zatrzymał. Pewnie w którymś z hoteli w miasteczku; rozpocznij poszukiwania od największego. Jest jednym z naszych na przespiegach. - Podobnie jak Toby nie czekał na odpowiedź.

Po odłożeniu słuchawki, odwrócił się i przejrzał w lustrze zawieszonym nad kominkiem. Nigdy nie lubił tego ślubnego prezentu od szwagierki. W ciężkiej pozłacanej ramie zbyt wiele było zakrętasów i cherubinów, Podobało mu się jednak własne odbicie. Wyglądał na człowieka dobrze sytuowanego.

Te dwie rozmowy zapoczątkowały łańcuch dalszych telefonicznych połączeń. Po *R S* upływie dziesięciu minut plan operacyjny wszedł w fazę realizacji.

- Jeśli będziesz musiał, pożycz samochód. Tylko zrób wreszcie jakiś ruch! Zaczekaj, Lynskey... - Główny inspektor przerwał, słysząc pukanie do drzwi. - Proszę!

Dziesięć minut upłynęło od zakończenia narady w Głównej Komendzie Policji. Wi-dząc, że szef rozmawia przez telefon, Rupert de Burgh wycofał się z gabinetu:

- Przyjdę za chwilę.

- O co chodzi, de Burgh? Powiedz od razu, bo potem możesz mnie nie zastać. Zaraz wyruszam do Killybegs.

- Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Przepraszam, że nie było mnie na zebraniu. - Rupert okazał skruchę. - Nie zdążyłem dotrzeć na czas. Pracowałem już kiedyś w Donegal, znam położenie hrabstwa i jestem pewien, że zdołam rozpoznać kilka twarzy. Może się tam na coś przydam?

- Zaczekaj moment - powiedział Daly do swego telefonicznego rozmówcy i ponownie zwrócił się do Ruperta: - Proszę wrócić, kiedy skończę rozmowę. Wspólnie zastanowimy się nad tym. - Ostentacyjnie zaczekał, aż detektyw wyjdzie z pokoju, nim spytał: - Jesteś tam jeszcze, Fergusie? W porządku. Mam dla ciebie nowe nazwisko. Również i tym razem agenci z Biura Federalnego zdobyli je od kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej w Ottawie. Wy-gląda na to, że mają tam ładny pasztet. Ten facet nazywa się Jerry Flynn. - Przez chwilę słuchał, nim przyznał: - To prawda, że nigdy o nim nie słyszeliśmy, ale przed kilkoma dniami nie mieliśmy również pojęcia o istnieniu szeryfa O'Connora. Wygląda na to, że ten cały Flynn leci dzisiaj na rodeo, które ma się odbyć gdzieś w Montanie. Jest niezwykle majątnym człowiekiem i ma własne konie. Zgadnij, czyim będzie gościem?

- Dały wysłuchał odpowiedzi. -

Brawo! Nie, nie znam nazwy miejscowości, gdzie urządzają tę imprezę. Dowiedz się, po to tam jesteś. Nasz przyjaciel za wodą wprost pali się z ciekawości, czy słynna osobistość złoży nam wizytę. To samo dotyczy naszego premiera - jego dzisiejsze notowania spadły o kolejne dwa punkty.

Na korytarzu przed gabinetem Rupert de Burgh włożył do ust następny kawałek gumy do żucia i oparł się o ścianę.

- Czekamy na wizytę u szefa, co? - zagadnął do przechodzący obok detektyw.

- Tak.

De Burgh nawet się nie uśmiechnął. Ściany, podobnie jak i drzwi, były grube oraz dźwiękoszczelne. I choć Rupert dobrze wytężał słuch, dobiegał go jedynie cichy pomruk, a *R S*

potem przytłumiony trzask odkładanej na widelki słuchawki.

Oderwał się od ściany i położył rękę na klamce, która gwałtownie umknęła mu z dłoni.

- Och. - Główny inspektor stał w otwartych drzwiach. - Właśnie zamierzałem cię zawołać. Za dziesięć minut wyruszamy.

- Jest kilka spraw, które chciałbym przedtem omówić. Czy mógłby mi pan poświęcić chwilę, szefie?
- Twarz detektywa miała poważny wyraz.

Główny inspektor westchnął, wycofał się do gabinetu i z powrotem zajął swoje miejsce.

- Usiądź. - Wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka.

- Dziękuję. - Rupert rozłożył przed sobą notatki. - Och, przepraszam. - Sprawiał wrażenie, że dopiero w tym momencie przypomniał sobie o gumie w ustach. - Gdzie jest kosz?

- Tutaj. - Inspektor wskazał na stojący przy biurku pojemnik. - Co cię niepokoi?

- Nic wielkiego, szefie. - De Burgh podszedł do kosza i przyciągnął go do siebie, tak aby biurko nadal znajdowało się pomiędzy nim a szefem. Usiadł. - Chciałem tylko pana powiadomić, że wkrótce będę potrzebował kilku dni urlopu. Szwagierka spodziewa się dziecka i moja żona wybiera się do Anglii, żeby jej pomóc. - W trakcie mówienia pochylił się do przodu, chcąc się pozbyć gumy. - Będę musiał sam z dziećmi utrzymać fort.

Główny inspektor nie zauważył, że detektyw przełożył gumę z prawej ręki do lewej. I kiedy wykonał ruch w kierunku kosza, jak gdyby wyrzucając przeżutą masę, przylepił ją, najgłębiej jak mógł, do blatu.

- Paskudny nawyk - ponownie się usprawiedliwił. - Pomaga mi jednak wystrzegać się palenia.

Główny inspektor nie robił trudności z przyznaniem wolnego. Jednak de Burgh zamiast wstać i odejść, ponownie zaczął mówić.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinienem wspomnieć... Choć niewykluczone, że to tylko głupi kawał...

- Zamieniam się w słuch.

Szef niebezpiecznie odchylił się do tyłu na krześle i istniała poważna obawa, że za chwilę runie na plecy.

- Tuż przed wyjściem z domu odebrałem anonimowy telefon. Rozmówca usiłował

zmienić głos, ale nie zdołał ukryć londyńskiego akcentu. - Detektyw się zawahał. - Powiedział, że to, czego szukamy, jest zakopane w podziemiach w hotelu Glengarriff.

R S

- To na drugim końcu kraju. Jest pan pewien, że chodzi o Glengarriff? - De Burgh potwierdził skinieniem głowy.

- Czy wymienił nazwę hotelu? - spytał główny inspektor, a potem stał się bardzo milczący.

- Nie.

- Wie pan, ile hoteli znajduje się w Glengarriff?

- Zastrzegłem się na początku, że być może to tylko żart.

Rupert wzruszył ramionami. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Glengarriff, jedna z najpiękniejszych miejscowości w południowo-zachodniej części kraju, jest turystyczną mekką Irlandii. A na dodatek zbliżał się szczyt sezonu.

- Proszę pozostawić tę sprawę mnie. - Inspektor wyduł usta.

Kilka minut później de Burgh rozmawiał bratem z budki telefonicznej przed bramą parku Phoenix, niespełna osiemset metrów od głównej siedziby policji.

- Zrobione - oświadczył. Potem przez chwilę słuchał i zapewnił: - To się nie zdarzy, Toby, nie znasz naszych czyścicieli. Poza tym, oni tutaj też mają ograniczone możliwości zatrudniania w godzinach ponadliczbowych. I, moim zdaniem, istnieje bardzo niewielkie ryzyko, że wykażą się nadmierną gorliwością. Zresztą towar nie będzie długo przechowywany.

Zadzwoń do ciebie wieczorem z Killybegs.

Rozłączył się i szybkim krokiem wrócił przez park do biura. Odpowiadało mu takie usytuowanie komendy głównej.

W ubiegłym roku po namowach żony zwiększył dług hipoteczny, dzięki któremu cała rodzina mogła pojechać na swe wymarzone wakacje. Wybrali Kalifornię. Ostatniego wieczoru w San Francisco, w jednym z hotelowych barów, irlandzki detektyw nawiązał przypadkową rozmowę z hydraulikiem z Santa Barbara, niejakim Joem Masonem. Spotkanie przecią-

gnęło się do późnych godzin nocnych. Mężczyźni wymienili numery telefonów oraz adresy, jak to zwykle bywa na wakacjach, i wkrótce de Burgh zapomniał o nowym przyjacielu.

Potem jednak otrzymał telefon od Masona ze sformułowaną w zawołany sposób propozycją. De Burgh nie potrzebował wiele czasu, aby się zorientować, że został poproszony o współudział w akcji mającej nastąpić podczas dorocznych republikańskich obchodów po-

święconych pamięci patrioty, Wolfe'a Tony'ego, w Bodenstown, w hrabstwie Dublin. Plan polegał na wzięciu premiera jako zakładnika, nim zdąży wygłosić przemówienie, i przedstawieniu narodowi własnej proklamacji o powstaniu ruchu oporu.

R S

Początkowo Rupert uznał ów projekt za idiotyczny, jednak w trakcie dalszych wyja-

śnień Masona rozbłysła w nim nadzieja, że reprezentowana przez Amerykanina grupa może okazać się przydatna w przyszłości.

Poleciał do Londynu, aby odbyć naradę z bratem, i im dłużej dyskutowali, tym wyraż-

niej dostrzegali sposób, w jaki mogliby wykorzystać owych nierozważnych i myślących staroświeckimi kategoriami idealistów do realizacji własnych celów. A mówiąc dokładnie: Rupert dostrzegł tę szansę i zdołał przekonać do swego pomysłu Toby'ego.

Dotychczas bracia de Burgh działali niezależnie od innych grup wywrotowych. Stworzyli własną dwuosobową organizację, która wypatrywała dogodnego momentu i okazji przy-

łączenia się do walki o sprawę. Rupert był gotów czekać nawet całe lata i przez ten czas wciskać się coraz bliżej samego serca irlandzkiej służby bezpieczeństwa - zdradzieckiej instytucji, która czapkowała Anglikom.

Znaczenie telefonicznej rozmowy z Masonem było tym większe, że zbiegało się z szansą, na którą obaj bracia od tak dawna czekali.

Owa szansa pojawiła się dzięki stylowi życia, jaki prowadził Toby. Był gejem i jeden z jego kochanków, z którym utrzymywał potajemne kontakty, pracował jako wyższy urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Londynie. Tak wysokie stanowisko było wystarczającym powodem, dla którego zamożni koledzy z finansowo-handlowego centrum stolicy zabiegali o jego przyjaźń. Umowa, zgodnie z którą Toby spotykał się z nim tylko na przyjęciach i w domach ludzi

odczuwających podobną potrzebę zachowania anonimowości, dobrze słu-

żyła celom obu braci. Jednak do niedawna plotki i tajne informacje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych miały bardzo małą wagę. Toby już nawet podejrzewał, że marnuje czas, gdy nagle los się do niego uśmiechnął.

Raczyli się obaj koniakiem w ich pałacowej sypialni w Surrey podczas jednego z prywatnych weekendowych przyjęć, kiedy to przyjaciel wspomniał o możliwości wyjazdu do Irlandii na polecenie księcia Walii.

Kilka godzin po otrzymaniu owej wiadomości na wagę złota Rupert skontaktował się z Masonem: obiecał, że wesprze wysiłki grupy Joego i że go powiadomi o dokładnym terminie.

Oczywiście dla siebie zachował informację, co naprawdę obaj z bratem zamierzają zrobić.

Nie był pewien, czy Amerykanom starczyłoby odwagi na zrealizowanie ich pomysłu.

I tak oto do zagmatwanego, zbrodniczego spisku został dołączony nowy wątek, o którym nie wiedzieli ani Bill Daly, ani Fergus Lynskey.

R S

Po niespokojnej nocy, podczas której Sky nawiedzały miłe erotyczne majaki senne o tym, jak zostaje pochłonięta przez olbrzymie, miękkie usta oraz powyginane członki bajecznej istoty przypominającej wyglądem dobrotliwego pająka, dziewczyna obudziła się o świcie.

Nie chciała, żeby sen się rozwiął. Usiłując go zatrzymać, mocno zaciskała powieki, a jej ciało delektowało się ciepłym wgłębieniem materaca. A potem przypomniała sobie o Gregu. Myśl ta zmroziła ją niczym lodowaty prysznic.

Szeroko otworzyła oczy i utkwiała wzrok w łososioworóżowym świetle za oknem. A niech to wszyscy diabli! Dlaczego na błękitnym nieboskłonie zawsze muszą się pojawić jakieś chmury? Wiedziała, że nie poradzi sobie z samą sobą, dopóki nie rozmówi się z Gregiem w cztery oczy.

Wyskoczyła z łóżka i nie kłopotząc się zakrywaniem nagości, poszła wziąć prysznic.

Była pewna, że Johanna wstanie dopiero za kilka godzin. Stojąc pod strumieniem wody, i pozwoliła, aby oblewały ją strugi na przemian zimna i gorąca. Johanna utrzymywała zawsze, że prysznic odgrywa zasadniczą rolę w oczyszczaniu aury i po raz pierwszy Sky nie kwestionowała jej poglądu. Skupiła uwagę na pierwszym zadaniu, jakie ją dzisiaj czekało: na rozmowie z Danielem Treacyem.

Powtórzyła w myślach historię w najważniejszych punktach: tajemnicze okoliczności towarzyszące życiu Midge, nieszczęśliwy wypadek, w którym poniosła śmierć pani Treacy, zamknięta trumna, osobliwe zachowanie szeryfa, anonimowa odręczna notatka na kuponach promujących zakup kawy, przecucie, że Skippy należy do spisku w północnej części kraju, dziwny pośpiech, z jakim opuścił dom pogrzebowy wdowiec oraz jego datująca się od wielu lat obsesja na punkcie babki Elizabeth. A

także podejrzana przeszłość. Gdy Sky wyszła spod prysznica i wytarła się do sucha, Treacy wypełniał cały jej umysł.

Przybyła do jego biura punktualnie o wyznaczonej porze.

- Przepraszam, że ściągnąłem panią w niedzielę. - Biznesmen siedział naprzeciwko niej za biurkiem i daleki był od przejawiania jakichkolwiek oznak gościnności. - Jak już wspomniałem wczoraj, mam zaplanowane spotkania na cały jutrzejszy dzień. Zresztą, w ogóle nadchodzący tydzień zapowiada się niezwykle pracowicie. Będę w tym czasie poza miastem.

Ale przejdźmy do rzeczy, jakie szczegóły panią interesują? - Zaczął bębnić palcami jednej dłoni po blacie biurka.

Było to dość osobliwe zachowanie, zważywszy na fakt, że trzykrotnie do niej telefonował, a także - w pewnym sensie - zabiegał o to, aby stać się członkiem jej rodziny.

R S

Postanowiła, że i tym razem nie pozwoli mu się zastraszyć.

- Nigdy nie bierze pan wolnego, panie Treacy? Obrzucił ją surowym spojrzeniem.

- To prawda, że moja żona nie ostygła jeszcze w grobie. Jednakże tak się złożyło, panno MacPherson, że musiałem ulec namowom pewnego życzliwego znajomego i dzisiaj po po-

łudniu wybieram się z nim na wycieczkę. Uważam jednak, że nie powinny pani obchodzić moje plany.

- Fakty, o które muszę pana zapytać, dotyczą śmierci pańskiej żony.

- Doprawdy? - Jego głos miał lodowate brzmienie. - Sądziłem, że skoro od czasu śmierci i pogrzebu Midge upłynęło tak niewiele czasu, przyzwoitość powstrzyma dziennikarzy „Couriera” od wnikania w tę ogromnie bolesną sferę mego osobistego życia.

- Czy mogę spytać, w jakiej sprawie telefonował pan do mnie, panie Treacy? Jedną wiadomość od pana odebrałam w biurze, a dwie kolejne w domu.

Jego palce znieruchomiały.

- Jestem bardzo skrupulatny, panno MacPherson, i uważam się za człowieka o pedan-tycznym umyśle. Nie lubię zostawiać niezafatwionych spraw. Skoro pani pyta, odpowiem: wiem, że szukała pani na północy stanu informacji dotyczących okoliczności śmierci mojej żony.

- Kto pana o tym powiadomił? Szeryf O'Connor?

- Nieważne, kto. Dlaczego nadal węszy pani wokół tej tragedii? - Jego nieprzejednana postawa zaczęła się nieco załamywać.

- Ponieważ na tym polega moja praca - odparła chłodnym tonem. - Mógłby pan zaoszczędzić nam obojgu zachodu, a nawet bólu, gdyby w rozmowie ze mną powiedział pan, co rzeczywiście przytrafiło się pańskiej żonie.

- Prawda jest taka, panno MacPherson, że nie znam szczegółów tamtego dramatyczne-go wydarzenia - wyznał z utkwionym w niej wzrokiem. - Nie byłem obecny przy wypadku. I nie wiem, w jakim stanie znajdowała się biedna Midge, nim zginęła za kierownicą.

- Nie przeprowadzono sekcji zwłok?

- Specjalista od medycyny sądowej niewiele miał do zbadania.

Nagle Sky poczuła się podle. Nie miała żadnych moralnych podstaw, jakie wcześniej przypisywała sobie i „Courierowi”, do prowadzenia tego typu dociekań.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

- Czy aby na pewno? Czy rzeczywiście bez żalu zrezygnuje pani z drażenia tej nieist-R S niejącej sprawy?

- Chciałabym spytać tylko o jedno. - Czując, że na nowo ogrania ją rozdrażnienie, głę- boko zaczerpnęła tchu. - Czy pańska żona miała coś wspólnego ze śmiercią włóczęgi, który zginął na autostradzie na północ od Libby?

Treacy poderwał się z miejsca, stanął przy oknie z założonymi do tyłu rękoma i zapatrzył się na statwę Naszej Pani Gór Skalistych. Sky dostrzegła jego pobielające knykcie, ale milczała. Jeśli kiedykolwiek zamierzał wyjawić prawdę, mógł to zrobić jedynie teraz.

W oczekiwaniu na jego decyzję odnotowała w myślach wygląd tego gabinetu. Podczas ostatniej wizyty uderzył ją jedynie surowy charakter wnętrza. Teraz posunęła się dalej: nigdzie nie było zegara ściennego, pamiątek, nagród, certyfikatów w ramkach ani drobiazgów zaprojektowanych z myślą o ludziach na kierowniczych stanowiskach - niezwykle wystrój w przypadku gabinetu człowieka zajmującego tak wysoką pozycję społeczną. Z wyjątkiem jedynej fotografii zmarłej żony, pokój sprawiał wrażenie, że Treacy celowo ogołocił go ze wszystkiego, aby nikt nie mógł dostrzec żadnej, nieistotnej nawet cechy jego osobowości ani zainteresowań. W nienaturalnie spokojnym budynku odgłosy biurowych urzędzeń - osobliwe trzaski zakłócające monotony szum klimatyzacji, które jeszcze bardziej uzmysławiały panującą wokół ciszę, byłyby pewnie denerwujące, gdyby Sky nie skupiła całej uwagi na męż-

czyźnie stojącym pod oknem.

- Wiedziałem, że w końcu się to wyda - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Odwrócił się do niej twarzą, lecz w jaskrawym blasku słońca za oknem jego rysy skrywał

cień. - Midge zabiła włóczęgę, ale to był zwykły wypadek. Zbyt dużo wypła tamtego wieczora, ażeby prawidłowo zareagować.

Sky nie dała się ponieść emocjom. Wiedziała, że jeśli się teraz odezwie, może położyć kres dalszym zwierzeniom mężczyzny.

Treacy wolnym krokiem podszedł do biurka i ponownie zajął za nim miejsce.

- Od tamtej pory spoczywa na mnie straszliwy ciężar. Teraz już pani wie. Czy zamierza pani wykorzystać tę informację?

- Wszystko zależy od tego, czego pańska żona nie zrobiła. Czy chce pan powiedzieć, że zbiegła z miejsca wypadku?

Skinął głową; twarz miał tak bladą, że Sky ogarnęło niemal współczucie. Zaraz jednak jej serce stwardniało. Ten człowiek był bogaty - na tyle, aby inni, w tym również policjanci, wykonywali dla niego brudną robotę.

R S

- I cała sprawa została zatuszowana. - To nie było pytanie.

- Tak. - Położył dłonie na kolanach i utkwiał w nich wzrok. Ta nietypowa dla niego pełna pokory postawa zdumiała Sky. Treacy unikał jej wzroku.

- Czy szeryf uczestniczył w zacieraniu śladów?

- Jest starym przyjacielem Billy'ego Collinsa, który z kolei od dawna przyjaźni się z innymi ludźmi. Najwidoczniej w ten oto sposób wszystko się tutaj odbywa. A człowiek, którego przejechała, był pijany.

Sky, ignorując ukryte błaganie w jego głosie, przypomniła sobie o telefonie od Collinsa. Nie śpieszyła się z oddzwaniem, sądząc, że właściciel domu pogrzebowego pragnie rozmawiać z nią o „Bractwie Białej Koniczyny”.

- Będę wobec pana uczciwa, panie Treacy. - Nie zamierzała dłużej torturować swego rozmówcy. - Nie wiem jeszcze, w jaki sposób wykorzystam tę historię. Muszę się nad tym zastanowić, mamy czas. Pośpiech jest zbyteczny, przecież pańska żona nie żyje - powiedziała łagodniejszym tonem, uświadamiając sobie, że ten człowiek dopiero co owdowiał. - Zapłaciła za swój czyn straszliwą cenę. Porozmawiam z moim redaktorem naczelnym. Nie zajmujemy się prześladowaniem ludzi.

- Dziękuję. - Treacy wciąż nie podnosił wzroku.

- Jeszcze się spotkamy. - Starła się nadać głosowi pogodne brzmienie. - Przecież musimy omówić wizytę mojej babki...

W końcu na nią spojrział.

- Sądzi pani, że przyjedzie? Z pewnością odmówi, jeśli się dowie, że to ja...

- Niech się pan nie martwi. - Pomimo wyrazu straszliwego znużenia w jego oczach, dostrzegła w nich też iskierkę nadziei i usłyszała, jak osobiście go zapewnia, że dzisiejszego wieczoru matka spróbuje ponownie zatelefonować do Irlandii. - Tam jest o osiem godzin później niż u nas. Matka wyobraża sobie, że połączenie będzie mniej kosztowne i będą mogły dłużej porozmawiać, jeśli zadzwoni w nocy, kiedy tam mają wczesny poranek.

- Ale dzisiaj jest niedziela, a poza tym nie ma potrzeby, aby się martwiła... - zaczął, lecz Sky podniosła rękę do góry.

- Nie może pan decydować o wszystkim, panie Treacy.

Rozdział 16

R S

Sky wyszła z biura Treacy'ego godzinę później. Chociaż nie było jeszcze jedenastej, rozgrzane od upału powietrze tworzyło błyszczącą mgiełkę, a słońce bezlitośnie prażyło karo-serie samochodów stojących na parkingu przed lokalem McDonald's. Wewnątrz jednak, dzie-

ki sprawnie działającej klimatyzacji, goście - na ogół w podkoszulkach i szortach - odczuwali chłód i pocierali dłońmi pokryte gęsią skórą ciała.

- Co za zdumiewająca odmiana.

Sky i Lynskey jedli niedzielny lunch; w jej przypadku posiłek ograniczał się jedynie do mocnej kawy.

- Kiedy się nad tym zastanawiam, odnoszę wrażenie, że on spodziewał się złych wieści.

- Sky rozejrzała się wokół poirytowana z powodu zgiełku, jaki potęgowała akustyka pomieszczenia. - Co za potworny hałas!

- Niczym w dublińskim zoo. - Lynskey ugryzł kawałek drugiego hamburgera. - Ale wróćmy do twojego staruszka. Nie obwiniałbym biedaka. Zepsułaś mu dzień. Jesteś pewna, że ów anonim był prawdziwy?

- Na to wygląda. - Obserwowała zafascynowana, jak Fergus wysypuje drugą torebkę soli na porcję frytek. Kiedy się ponownie odezwała, w jej stwierdzeniu zabrzmiało echo słów Johanny: - To cię zabije.

- Słucham? - Lynskey znieruchomiał na moment. - Mówisz o frytkach?

- Nie, o soli.

- Moja matka ma osiemdziesiąt dwa lata, a nadal przepada za tłuczonymi ziemniakami z solą. W naszej rodzinie lubimy wszystko solić. A więc twierdzisz, że facet był jak rażony piorunem? A co się stało potem? - Lewą garścią zaczerpnął frytek i napełnił nimi usta.

- Jesteś leworęczny?

Sky wyznawała skrycie nieudowodnioną dotychczas teorię, że mańkuci są inteligentniejsi od swych, znacznie liczniejszych, praworęcznych bliźnich. Prawdziwa inteligencja po-ciągała ją u mężczyzn tak, jak inne kobiety fascynuje władza.

- Oburęczny. - Przeżuwał jedzenie z wyraźnym zadowoleniem. - Jest to umiejętność bardzo przydatna w życiu - tylko nie doszukuj się w moim stwierdzeniu żadnej dwuznaczności.

ści. - Uśmiechnął się szeroko. I zaraz dodał: - Wróćmy jednak do tematu. Czy nie odniosłaś wrażenia, że jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedział?

Spojrzała w bok, zastanawiając się nad odpowiedzią. Siedzieli przy oknie na całą ścianę, z którego było widać parking. Sky spostrzegła, jak duża limuzyna marki Lincoln powoli

przejeżdżała przez bramę wjazdową. Resory ugiwały się pod ciężarem tuzina dzieciaków siedzących w środku, z każdego okna wystawały kolorowe balony i pomimo grubych, podwójnych szyb w oknach lokalu, słyszeli dobiegające z samochodu piskliwe okrzyki podniecenia.

- Chciałabym znowu być w tym wieku.

- Ktoś obchodzi urodziny. - Lynskey umilkł i przez moment przyglądał się tkliwie we-sołemu towarzystwu w lincolnie, zanim z powrotem zabrał się do jedzenia. - Nie mogę powiedzieć, żeby ten widok budził we mnie nostalgię - dodał. - Dzięki Bogu, nie będę musiał się użerać z dzieciakami co najmniej przez najbliższe trzy miesiące. A więc? Odniosłaś wrażenie, że McCarthy coś jeszcze chowa w zanadrzu?

Sky spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Skąd wiesz, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

- Sama mi powiedziałaś, głuptasie. Pierwszego dnia, gdy jechaliśmy w kierunku Grani Bizona.

Czy rzeczywiście tak było? Nie potrafiła przypomnieć sobie, w którym momencie rozmowy mogła o tym wspomnieć.

- Ciągłe powracasz do tego tematu - zauważyła nagle.

- Naprawdę? - Rozdarł następną torebkę soli. - Musisz przyznać, że to fascynująca historia. Jest tu wszystko; pieniądze, miłość - choć na odległość - oraz śmierć w tajemniczych okolicznościach. A nawet szansa na szczęśliwe zakończenie.

Jak zwykle, nie zdołała ukryć swych podejrzeń.

- Nie myślisz chyba o wykorzystaniu tej historii w swojej książce, co?

Głośny wybuch śmiechu Lynskeya przyciągnął zdumione spojrzenia innych gości.

- Daj spokój, kochanie - powiedział, gdy zdołał odzyskać panowanie nad sobą. - Jestem nauczycielem. Moja powieść, jeśli powstanie, będzie cienka, doskonała i obfitująca w poważne zagadnienia. A takie sprawy, jak pieniądze, miłość czy prawdopodobieństwo popełnienia zbrodni byłyby zbyt trywialnymi motywami.

Sky uśmiechnęła się, a gdy towarzystwo świętujące urodziny wtargnęło do restauracji, powtórzyła Fergusowi całą rozmowę z Treacym i podzieliła się spostrzeżeniami dotyczącymi zachowania biznesmena. Im dłużej mówiła, tym większej nabierała pewności, że poznane fakty są jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Lynskey zdawał się podzielać tę opinię, energicznie potakując głową nad szybko znikającą stertą frytek, i bystrymi podpowiedziami zachęcał Sky do kontynuowania opowieści.

R S

- Co chcesz teraz robić? - spytała, gdy zmierzali w stronę nissana.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - A jak ludzie w Montanie zwykli spędzać czerwcowe niedziele? Czy nie ma żadnych wydarzeń, którymi mógłbym się pochwalić po powrocie do domu? Czegoś naprawdę wyjątkowego? Zabrałem ze sobą aparat fotograficzny.

- Poklepał wypukłość w kieszeni swoich okropnych szortów. - Zamierzałem cię prosić, żebyś zawiozła mnie na pole bitwy Małego Wielkiego Rogu, przypomniałem sobie jednak, że dzisiaj jest niedziela, a wolałbym się tam wybrać, gdy nie będzie takiego tłumu zwiedzających.

- Mogę cię tam zawieźć, uprzedzam jednak, że to dosyć daleko, aż za Billings...

- Tak, wiem. - Nagle się rozpromienił. - Przeczytałem w gazecie, że podczas tego weekendu ma się odbyć gdzieś w tych okolicach rodeo. To musi być typowo amerykańska impreza. Jak sądzisz, czy sprawa jest aktualna? Moglibyśmy się tam wybrać?

Sky zawahała się i opowiedziała mu o swej sprzeczce z szefem w ubiegłym tygodniu.

- No cóż, nie musimy tam jechać. Jestem pewien, że kiedyś trafi mi się inna okazja. -

Miał jednak tak przygnębiona minę, że zmieniła zamiar. Przekłęte rodeo mogło dostarczyć Fergusowi rozrywki, a jej dawało kilka punktów u szefa. - Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu? - Jego radość była zaraźliwa, kiedy się dowiedział, że jednak pojedą.

- Sądzę, że każdy powinien przynajmniej raz w życiu uczestniczyć w rodeo. - Sky się roześmiała, a Lynskey pocałował ją w policzek.

Jimbo również był zachwycony, gdy już otrząsnął się ze zdumienia.

- Skontaktuję cię z fotografem. Spotkacie się na miejscu. I odwołam Lindy: przydzielę jej inną robotę na weekend. - Głos Larsena, pomimo że Jimbo rozmawiał z domu, brzmiał w słuchawce inaczej niż podczas rozmowy w cztery oczy. Bezdźwięcznie i pośpiesznie wymawiane słowa sprawiały wrażenie, że telefon nie jest ulubionym przez niego środkiem porozumiewania się. - Do zobaczenia. - Niespodziewanie się rozłączył.

- Wszystko ustalone. - Sky dołączyła do Lynskeya w nissanie. - Wstąpię tylko do biura po niezbędne rzeczy. I prosto stamtąd wyruszymy w drogę. To niedaleko, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Nigdy nie przywyknę do tutejszych odległości. Powiedziałaś o tym dystansie w taki sposób, jak my mówimy o pięciu kilometrach. Pole bitwy Małego Wielkiego Rogu rzeczywi-

ście musi znajdować się szmat drogi stąd.

- Witaj w Montanie.

Gdy wyjechali z parkingu i zmierzali w stronę redakcji, Sky obrzuciła sceptycznym *R S*

spojrzeniem bladą, piegowaną skórę na rękach Irlandczyka powyżej łokci. Z powodu upału Lynskey zrezygnował dzisiaj z bluzy z długimi rękawami na rzecz jaskrawozielonego podkoszulka, ozdobionego emblematem legendarnej irlandzkiej narodowej drużyny piłkarskiej, któ-

ra najwidoczniej uczestniczyła w jakichś rozgrywkach lub zawodach określonych mianem:

„Italia' 90”.

- Będziesz potrzebował kapelusza - oświadczyła swemu towarzyszowi, wyjmując ze schowka przeciwsłoneczne okulary. - Kupimy jakiś na miejscu. Już masz lekko zaróżowioną skórę.

- To wspaniale. Chyba nie sądzisz, że zamierzam wrócić nieopalony do domu?

- Nigdy nie słyszałeś o czerniaku?

Ale mówiła to ze śmiechem. Trudno się było oprzeć entuzjazmowi Irlandczyka. Niewykluczone, że rodeo chociaż raz mogło się jej wydać zabawne.

Człowiek ze stolicy stanu, Heleny, który zlecił szeryfowi O'Connorowi zadanie z trumną, rozmawiał przez zabezpieczony przed posłuchem telefon komórkowy z kobietą w Vancouver.

Owa kobieta, szczupła, o orientalnych rysach, żyła skromnie w eleganckim mieszkaniu z widokiem na wyspę Vancouver. Meble, z drewna i mosiądzu, były rzeźbione lub lakierowane, a wśród tapet na ścianach i tkanin dekoracyjnych przeważały odcienie purpury i zło-ta. Zapłaciła z góry gotówką za dziesięcioletni okres użytkowania apartamentu i z pomyślnym wynikiem przeszła przesłuchanie przed radą najemców. Nie miała żadnych krewnych ani czworonożnych ulubieńców i jako osoba przyjezdna, żadnych miejscowych przyjaciół.

Wprawdzie członkowie rady w rozmowach pomiędzy sobą wyrazili wątpliwość, czy atmosfera

samowystarczalności, zademonstrowana przez kandydatkę na lokatorkę, nie graniczy z ekscentryzmem, pomimo to wciągnęli ją na listę mieszkańców budynku.

I nie zawiedli się. Okazała się wzorową lokatorką o doskonałych manierach, która natychmiast uiszczała wszelkie należności. Choć nigdy nie zgodziła się działać w żadnych ko-mitetach ani uczestniczyć w zebraniach mieszkańców, była wyjątkowo uprzejma dla swych sąsiadów, ilekroć spotykała kogoś w windzie czy holu. A na dodatek prowadziła tak spokojny i dyskretny tryb życia, że gdyby nie owe przelotne spotkania, mogłoby się zdawać, że w ogóle tutaj nie mieszka.

Członkowie komitetu, którzy przeprowadzali rozmowę wstępną z ową damą, nie wiedzieli o tym, że nim się wprowadziła do ekskluzywnego bloku w Vancouver, była kochanką R S

wielu polityków oraz potentatów przemysłowych w Toronto, Ottawie, a także, jako osoba dwujęzyczna, w francuskim Montrealu. Nie wiedzieli również, że nie planowała długo wśród nich pozostać, lecz była *en route* do odosobnionego domu, budowanego na własnej, maleńkiej i niezamieszkannej jeszcze wyspie u wybrzeży Brazylii - kraju, który dotychczas nie podpisał z Kanadą umowy o ekstradycji. I choć wysokość jej dochodów dowodziła, że jest kobietą o po-kaźnych zasobach finansowych, czerpiącą zyski z trafnych inwestycji, członkowie rady nie podejrzewali, że dochody owe nawet w skromnym stopniu nie odzwierciedlają rzeczywistych rozmiarów jej majątku.

Dzięki zaradności i ogromnemu wyczuciu rynku kapitałowego jej środki finansowe -

których nie trzymała w Kanadzie, lecz w bankach na Kajmanach, w Szwajcarii i na wyspie Man - mogłyby pokryć trzymiesięczne wydatki budżetowe dużego, europejskiego państwa. A wielkość jej obrotów kapitałowych można było porównać z obrotami skromnej międzynarodowej spółki, którą, w pewnym sensie, rzeczywiście reprezentowała. Nie odpowiadała tylko przed żadnym zarządem. I żadna z przeprowadzanych przez nią operacji finansowych nie była dokonywana w Kanadzie. Kierowała nimi za pośrednictwem pięciu zaufanych wysłanników w Anchorage, Los Angeles, Orlando, Mexico City i Helenie. Miejsowości te zostały wybrane z uwagi na ich złą sławę i małą wykrywalność przestępstw, a co za tym idzie, niewielkie ryzyko, że działalność finansowa damy zwróci czyjąś niepożądaną uwagę. Każdy z zastępców

- jedynych zatrudnionych na stałe pracowników - pobierał pensję przewyższającą pobory prezydenta Stanów Zjednoczonych, dzięki czemu każda transakcja przynosiła oczekiwane zyski.

Wszystkie nadwyżki, wynikłe na przykład z korzystnej zmiany stóp oprocentowania, należały wyłącznie do tych ludzi.

Owi przedstawiciele mieli również wolną rękę w rekrutacji swych podwładnych, co zapewniało sprawne funkcjonowanie piramidowej struktury zatrudnienia, którą kobieta usta-nowiła dla swego przedsiębiorstwa: pracownicy zatrudniani na pewien okres otrzymywali i przekazywali polecenia wyłącznie pomiędzy szczeblami ponad i pod sobą. Ten środek ostrożności gwarantował, że nikt z wyjątkiem szefowej oraz jej pięciu zastępców nie miał

pełnego wyobrażenia o przebiegu poszczególnych operacji. A żaden z pięciu mężczyzn nie wiedział o istnieniu pozostałych czterech. Kobieta nie uznawała konsultacji, demokracji ani spotkań przy

okrągłym stole. Prawie wszystkie interesy prowadziła za pośrednictwem elektronicznie chronionego przed podsłuchem telefonu, a jej jedyne spotkania w cztery oczy odbywały się w Ottawie z sówicie wynagradzanym księgowym, który niegdyś był jej kochan-R S

kiem.

Słuchała uważnie, gdy jej człowiek w Helenie, który wiedział, że szefowa zawsze domaga się faktów, choćby byłyby najbardziej przykre, opowiadał o zakończonej fiaskiem operacji w Irlandii.

Wypadek drogowy furgonetki, którego nie dało się przewidzieć, stanowił pomyślną okoliczność, gdyż skupiał uwagę irlandzkiej policji i rządu. Mężczyzna zapewnił szefową, że towary w północno-zachodniej części Irlandii są bezpieczne. Ich natychmiastowe przejęcie byłoby jednak nierozważnym krokiem.

Następnie przedstawił w ogólnym zarysie problemy w obrębie samej Montany, które były jednak do opanowania: gazetę redagował dwuosobowy zespół, wydawca ciągle borykał

się z kłopotami finansowymi i wszystko wskazywało na to, że raczej prędzej niż później szef będzie zmuszony zaniechać zgłębiania kłopotliwego tematu. Agent w FBI był świetnie ukryty

- wysłannik w Helenie doskonale wiedział, że kobieta ma w biurze federalnym dobrze opła-canego kreta, i choć przyczyna obecności irlandzkiego policjanta w Butte pozostawała zagadką, to nie odstępował on reporterki owej gazety. Należało zatem wymyślić jakąś metodę poradzenia sobie z obojgiem naraz.

To był pierwszy pełny raport, jaki kobieta otrzymała. Zwykle po ustaleniu operacji i przydzieleniu pieniędzy na jej wykonanie, pozwalała, aby inni kierowali dalszymi działaniami. Jej geniusz polegał na bezbłędnym wyczuciu rynku: zawsze wiedziała, w której części świata sprzedaż określonego produktu przyniesie największe zyski. Jej mieszkanie było wyposażone w sieć kablową, miała także własną antenę do odbioru programów satelitarnych, a ponieważ dużo czasu spędzała przed telewizorem, była dobrze obeznana z politycznymi wydarzeniami na świecie. Dokładne informacje, jaka organizacja może potrzebować funduszy na realizację własnych celów, a także, w którym miejscu globu przyływ gotówki w danym momencie jest najbardziej pożądanym, stanowiło w jej przypadku wiedzę o zasadniczym znaczeniu.

I choć pojmowała, że nie ona pierwsza uznała Irlandię za najdogodniejsze miejsce do wejścia na lukratywny rynek europejski, obecna operacja była jej pierwszym podbojem tego kraju.

Jak zwykle przezorna, postanowiła, że akcja ta będzie miała charakter próbny i niewielkie znaczenie. Jednakże skala następnych operacji - gotowych w każdej chwili do wciele-nia w życie - miała być większa od wszystkich dotychczasowych.

R S

I teraz, kiedy kobieta słuchała napływających z Heleny złych wieści, zastanawiała się nad kolejnym krokiem: czy zapobiec dalszym stratom i zamknąć sprawę, czy też uznać je za wkalkulowane w

ryzyko i polecić kontynuowanie próby. Tym razem stawiała na szalę wiele: operacja zaplanowana po akcji próbnej miała być nie tylko największą ze wszystkich dotychczasowych, ale i ostatnią przed zapadnięciem kurtyny i przed wycofaniem się szefowej w stan spoczynku.

Sky i Lynskey trzymali się za ręce niczym para licealistów. Dzień był wyjątkowo piękny - nawet jak na pogodę w Montanie - i gdy pod kołami nissana śmigały kilometry, Sky czu-

ła się młodo i beztrosko; była niemal szczęśliwa. Po policzkach i karku muskał ją ciepły powiew wpadającego przez otwarte okna wiatru. Na zachodzie, pod kryształowym niebem, ametystowe góry wydawały się bardziej odległe niż zazwyczaj, a na wschodzie niedawne burze ożywiły prerię i złagodziły widok wyschniętych traw, zasnuwając go bladozieloną mgiełką.

Lynskey niemal z onieśmieleniem opowiedział Sky, na początku w chaotyczny sposób, o swej rodzinie - rozproszonej po całym świecie, lecz bardzo przywiązanej do siebie.

Gdy skończył mówić, Sky nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem poglądów jego matki na wychowanie dzieci, a niefrasobliwym w tym względzie stanowiskiem Johanny.

- Twoja matka zalicza się do grona kobiet sukcesu, które podążają za głosem powołania i wypełniają chwalebne misje w różnych zakątkach globu.

- Twój zawód też wymaga powołania.

- Rzeczywiście, nauczanie jest zaszczytnym zajęciem.

Umilkł, a Sky po raz pierwszy nie starała się pośpiesznie przerzucić pomostu ponad przepaścią ciszy. Ostro skarciła się w myślach. Chociaż miała wrażenie, że zna tego mężczyznę od wieków, przecież spotkali się dopiero przed niespełną dobą. Musiała nieco przystopować, gdyż nie ulegało wątpliwości, że on zamierza lekko potraktować całą sprawę. Zmieniła bieg, aby ominąć nieistniejący wybój na autostradzie.

- A zatem twoje rodzeństwo wyjechało z Irlandii?

- Tak. Nasza rodzina byłaby w stanie wystawić międzynarodową drużynę do rozgrywek w krykieta. A biorąc po uwagę miejsce stałego zamieszkania i pochodzenie współmałżonków, moglibyśmy reprezentować jedenaście narodów.

- Na pewno twojej matce jest miło, że przynajmniej jedno z dzieci zostało w Irlandii.

R S

W jej wieku musi czuć się bardzo od ciebie uzależniona.

Domysły Sky nie były jednak trafne. Okazało się, że matka Lynskeya jest kobietą pełną wigoru niczym czterdziestolatka; a na emeryturze prowadzi znacznie bardziej ożywione życie niż przedtem.

- Pamiętaj, że pochodzi z Kerry. - Lynskey uśmiechnął się czule, jak gdyby ten fakt wyjaśniał temperament jego matki. - Kocha karty. Jest członkinią trzech różnych szkół poke-ra. Należy do kółka twórczości literackiej, a w ubiegłym roku zaczęła się uczyć włoskiego w związku z zaplanowaną na sierpień wycieczką do Werony i chęcią zrozumienia arii opero-wych. - Ucisnął rękę Sky. - Trochę przypomina mi twoją matkę. Obie są kobietami o mocnym charakterze.

Sky pomyślała o płaczących reakcjach Johanny na wszelkie przeciwności losu i uniosła w góry brwi, słysząc, że może istnieć jakiegokolwiek podobieństwo pomiędzy nią a wyjątkowo energiczną matką jej towarzysza.

- Być może. Z tego, co mówisz, jednak bardziej podobna jest do mojej babki. Choćby z racji wieku.

I opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o stylu życia Elizabeth w Cork, o jej ucieczce z zamknięcia w West Cork i powrocie do miasta, gdy już wychowała dzieci i miała pewność, że się usamodzielnili. A także o tym, jak w wieku sześćdziesięciu dwóch lat ukończyła studia muzyczne i teraz uchodziła za wybitną osobowość w kręgach muzycznych.

- Biorąc to wszystko pod uwagę, bardzo przypomina twoją matkę.

- To dziwne, że nigdy dotychczas nie była w Ameryce, nie sądzisz? - spytał. - W końcu mieszkają tutaj aż trzy bliskie jej osoby, a w dzisiejszych czasach przebycie Atlantyku jest kwestią godzin, najdalej dni.

- Przypuszczam, że nigdy nie przyszło jej to na myśl. Zgodnie z tym, co wczoraj wieczorem powiedziała moja matka, naszej rodziny - w przeciwieństwie do twojej - nie łączą zbyt bliskie więzi.

Na terenie rodeo aż wrzało. Gdy przeciskali się pomiędzy boksami dla koni, ciężarówkami, przyczepami obsługi weterynaryjnej, samochodami terenowymi z uprzężą oraz akcesoriami kowalskimi, dobiegał ich z megafonu głos spikera, który zapraszał widzów, aby podeszli bliżej areny.

Jedyną rzeczą, którą Sky lubiła na rodeo, był zapach powietrza, przesycony wonią zwierząt, świeżego potu i łajna, ziemi, skóry, dymu z nadzorników, płótna, rozgrzanego metalu, *R S*

smażonej cebuli, świeżo parzonej kawy i piwa. Pokazując przy wejściu dziennikarską kartę akredytacyjną, pomyślała, że ów koktajl zapachowy stanowi kwintesencję Montany.

- Mam gościa - wyjaśniła mężczyźnie, który sprawdzał jej dokumenty.

- Chętnie zapłacę - zaprotestował Lynskey.

- Nie, kiedy jesteś ze mną. - Sky pomachała na powitanie koleżdze z rozgłośni radiowej Great Falls. Mężczyzna przy bramce pozwolił im wejść na teren imprezy. - Przyjechałam tu służbowo.

- Niezła praca. Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. - Lynskey sfotografował kilku poganiaczy, którzy prowadzili byka w kierunku areny.

- Pod koniec dnia będziemy mieli powyżej uszu tych wszystkich kowbojów, uwierz mi

- powiedziała Sky, machając do innego znajomego.

Opuściła na moment swego towarzysza, aby zamienić kilka słów z kobietą, w której rozpoznała mieszkankę Butte. Po powrocie stwierdziła z rozdrażnieniem, że Irlandczyk ustawił się w kolejce przed stoiskiem z hot-dogami.

- Nie wiem, co jest takiego w amerykańskim jedzeniu, ale człowiek nigdy nie czuje się tutaj syty - stwierdził, niespeszony pełną dezaprobatą miną Sky. - Masz na coś ochotę? Zapa-chy są zachwycające.

Mocno zaciskając zęby, stanęła na boku, aby czekając na Fergusa sporządzić kilka notatek. Opierając się o przyczepę, usiłowała wykrzesać w sobie entuzjazm do przeprowadzenia wywiadu z jednym z weteranów rodeo. Nagle wszystkie głowy dokoła odwróciły się do helikoptera, który powoli zniżał się do lądowania po przeciwległej stronie placu.

Śmigłowce nie były niczym niezwykłym w Montanie, lecz ten, sądząc po wielkości, mógłby przetransportować nawet niewielki chór... i niewątpliwie wskazywał na przybycie jakiejś ważnej osobistości. Sky pośpiesznie wróciła do Lynskeya i wyznaczyła mu spotkanie za kwadrans przy stanowisku spikera.

Przybyła na skraj lądowiska w chwili, kiedy pilot wyłączył śmigła. Reporter z Great Falls dotarł tu przed nią. Wepchnął się przed grupę zaintrygowanych gapiów, opiekuńczo przyciskając do piersi swój magnetofon. W chwili kiedy Sky do niego podeszła, ucichł zgiełk.

Z areny dobiegły pierwsze dźwięki zaintonowanego dziewczęcym głosem hymnu narodowego i Sky obserwowała ze zdumieniem kolegę z radia, który wyprostował się i położył wolną rękę na sercu, tuż poniżej magnetofonu. Patriotyzm był wiecznie żywy w rozgłośni Great Falls. Sky skupiła uwagę na coraz wolniej obracających się śmigłach.

R S

Wreszcie otworzyły się drzwi helikoptera i Sky rozpoznała starszego mężczyznę, który pierwszy się w nich ukazał. Widywała go tutaj w poprzednich latach, a kiedyś przeprowadziła z nim nawet krótki wywiad, lecz jego nazwisko umknęło jej pamięci.

- Przypomnij mi, kto to taki? - spytała szeptem dziennikarza radiowego.

- To Jerry Flynn - wyjaśnił, sprawdzając, czy magnetofon jest gotowy do nagrywania. -

Kanadyjczyk. Handluje drewnem budowlanym, minerałami i innymi surowcami. Prowadzi również własną hodowlę koni w stanie Alberta, na obszarze liczącym miliony akrów.

Flynn miał długie włosy, ubrany był w strój kowbojski: olbrzymi kremowy kapelusz, wysokie buty, kraciastą koszulę pod marynarką obszytą frędzlami oraz krawat spleciony z rzemyków i spięty srebrno-turkusową broszką w kształcie głowy mustanga.

- Spójrz tylko, cóż za tandetny wygląd! Mógłby z powodzeniem wcielić się w rolę samego Buffalo Billa, nie sądzisz? - Podśmiewał się ukradkiem dziennikarz radiowy.

Sky jednakże nie była skora do żartów. I chociaż sądząc po pokrytej zmarszczkami twarzy, białych wąsach oraz wątrobowych plamach na rękach, mężczyzna liczył sobie co najmniej sześćdziesiąt lat, miał zgrabną sylwetkę i nie wyglądał bardziej absurdalnie w owym stroju niż Jimmy Stewart - ulubiony gwiazdor Johnny'ego. Określenie „tandetny wygląd” trafnie odnosiło się tylko do uśmiechu mężczyzny: po jednej stronie twarzy błyskały mu dwa złote zęby.

Idący za nim drugi Kanadyjczyk był podobnie ubrany, lecz pomimo młodego wieku prezentował się wprost groteskowo w kowbojskim stroju z powodu swej nadmiernej tuszy.

- Mógłby startować w olimpiadzie żarłoków. - Dziennikarz sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Tego faceta nigdy przedtem nie widziałem. Czy wiesz, kto to taki, Sky?

- Uhm.

Sky utkwiała wzrok w trzecim mężczyźnie, który właśnie wysiadał z helikoptera. Miał

na sobie skromne ubranie: ciemne dżinsy oraz gładką koszulę i schodząc, rozglądał się po terenie rodeo. Ostatnim z pasażerów był Daniel Treacy. Nie zdążyła otrząsnąć się ze zdumienia, gdy już biegła obok dziennikarza radiowego w stronę helikoptera, aby wykonać swoją robotę.

- Po raz pierwszy jest na rodeo - wycedził reporter przez zęby. - Nigdy go przedtem tutaj nie widziałem. Pozwól, że najpierw ja z nim porozmawiam, dobrze?

- Zgoda.

Treacy i tęgi mężczyzna zatrzymali się w pewnej odległości od siebie, a Jerry Flynn *R S*

nadal stał przy drzwiach śmigłowca. Rozmawiał z siedzącym w środku pilotem. Sky uzmysłowiła sobie, że zapewne Flynn jest owym znajomym, o którym jej rozmówca wspominał

rano. Jak dotychczas nie zauważył ani jej, ani dziennikarza radiowego, a jeśli ich zauważył, to nie dał tego po sobie poznać. Sky nie miała czasu na dalsze domysły, ponieważ biznesmen utkwiał w niej wzrok.

- Znowu się spotykamy, panno MacPherson - zauważył, gdy podeszła do niego razem ze swym kolegą.

Przedstawiła Treacy'emu dziennikarza radiowego, który natychmiast poprosił o wywiad.

- Nie, dziękuję - odpowiedział biznesmen i obejrzał się na Flynn'a, który wciąż rozmawiał z pilotem,

jak gdyby chciał go pośpieszyć.

Sky uświadomiła sobie, że z wyjątkiem kilku sekund przed domem pogrzebowym, kiedy Treacy przeszedł szybko do limuzyny, po raz pierwszy widzi go na otwartym terenie. W

jasnym słonecznym świetle wyglądał na zmęczonego: miał ziemistą cerę, i Sky, stojąca tuż obok, dostrzegła pod jego oczami głębokie, fioletowe sińce.

- Nie zamierzam poruszać żadnych poważnych tematów - nalegał dziennikarz. - Nasi słuchacze chcieliby tylko wiedzieć, czy miło spędza pan dzisiaj czas...

Treacy zmierzył Sky surowym spojrzeniem, a potem, nie czekając na zachętę ani na pytania reportera, podniósł głos i przybierając oficjalną pozę, przemówił monotonnym tonem do mikrofonu, gratulując Amerykańskiemu Legionowi kolejnej wspaniale zorganizowanej imprezy i zapewnił wszystkich, że ta z pewnością okaże się wyjątkowo udana. Potem zaś zwrócił się do tęgiego mężczyzny:

- Pójdę przodem. Spotkamy się na trybunach. - Posłał Sky jeden ze swych chłodnych uśmiechów. - Pewnie się jeszcze dzisiaj zobaczymy. - I odszedł, zmierzając w stronę areny.

- A jakie pan wiąże nadzieje z dzisiejszym popołudniem? Przepraszam, czy mógłby się pan przedstawić? - Dziennikarz radiowy natychmiast podstawił mikrofon drugiemu z przyby-

łych, lecz Sky nie spuszczała wzroku z oddalających się pleców Treacy'ego.

Tęgi mężczyzna był również Kanadyjczykiem, lecz, jak się okazało, nie miał nic wspólnego z rolnictwem ani z hodowlą.

- Chyba że sytuacja zmusza mnie do przejęcia gruntów rolnych! - Jego brzuch zafalował pod wpływem przypominającego kaszel śmiechu. - Jestem bankierem pana Flynna i wybrałem się z nim dzisiaj na przejażdżkę. Rodeo to jedyne miejsce, gdzie widuję stworzenia *R S*

większe ode mnie. - Ponownie się zaśmiał, a Sky notowała pośpiesznie, słuchając go jednym uchem.

Piszząc, nadal obserwowała Treacy'ego. Spostrzegła, że zanim został wchłonięty przez tłum, kilkakrotnie zatrzymywał się przy różnych osobach i wymieniał z nimi jakieś uwagi. A potem Sky natknęła się wzrokiem na Lynskeya. Jej dzisiejszy towarzysz nie stał przed stanowiskiem spikera, jak było to umówione, lecz w rogu trybuny. Znajdowała się zbyt daleko, aby rozpoznać wyraz jego twarzy. Nagle zauważyła, że wyjął z kieszeni mały aparat fotograficzny i jedną ręką sfotografował Daniela Treacy'ego. Omal nie upuściła na ziemię notatnika. A potem, gdy do tęgiego mężczyzny dołączył Jerry Flynn i jemu z kolei dziennikarz radiowy podsunął mikrofon, Sky spostrzegła, że Lynskey się obejrzał, skierował obiektyw aparatu na trybunę za swymi plecami, pstryknął zdjęcie, a później ponownie odwrócił się tyłem do Treacy'ego.

Oniemiała ze zdumienia: Fergus Lynskey z pełnym rozmysłem robił zdjęcia Danielowi Treacy'emu!

Czy aby na pewno? Z aparatem przy oku patrzył teraz w jej stronę, a wykonując fotografię, machał ręką ponad głową, aby przyciągnąć uwagę Sky.

Powoli odwzajemniła gest i na wpeł słuchając odpowiedzi Flynna na zadawane przez kolegę pytania, nadal śledziła poczynania Irlandczyka. Niczym prawdziwy turysta pstrykał

wszystko dookoła.

Zmusiła się, żeby skupić uwagę na pracy. Choć Daniel Treacy i Jerry Flynn byli prawdopodobnie w podobnym wieku, bardzo się różnili od siebie. Gładko zaczesane włosy Treacy'ego, jego pociągła twarz i szczupła, lekko pochylona sylwetka, sprawiały, że wyglądał na człowieka zmęczonego, apodyktycznego i ascetycznego, podczas gdy bardziej zróżnicowana kolorystycznie postać Flynna kipiała wprost energią i wigorem. Pomimo podeszłego wieku był niewątpliwie facetem z ikłą. I w przeciwieństwie do Treacy'ego, który nie afiszował się bogactwem, wyraźnie nie miał obiekcji, aby zademonstrować własne pieniądze: na małym palcu nosił złoty sygnet z brylantem, którego wielkość Sky oszacowała swym niewprawnym okiem na co najmniej dwa lub trzy karaty.

Uznała, że zebrała już mnóstwo materiału do sprawozdania i podziękowała obu Kana-dyjczykom. Obiecała koledze z radia, że znajdzie go później i ruszyła w kierunku trybun.

Lynskey spostrzegł ją i wyszedł naprzeciw, a Sky obserwując, jak idzie ku niej wielkimi krokami, przypomniała sobie, że przyjazd tutaj był jego pomysłem.

R S

- Cóż za wspianiała impreza - powiedział rozpromieniony, kiedy się do niej zbliżył. Mały aparat fotograficzny miał teraz zawieszony na sznurku na przegubie dłoni.

Rozdział 17

Narada w Głównej Komendzie Policji dobiega końca. Odbywała się w bardzo okrojonym składzie: szef z Rupertem przebywali w Killybegs i zebraniu przewodniczył w zastępstwie jeden z inspektorów. Spotkanie trwało dłużej, niż przewidywano, dochodziła północ, a na jasnym drewnianym stole wały się liczne styropianowe kubki po kawie i celofanowe opakowania po gotowych kanapkach, kupionych na niedzielnych straganach z pieczywem.

Biuro prasowe otrzymało instrukcję, aby pomniejszyć znaczenie wypadku w Killybegs i ograniczyć się do wyrażenia zwykłych w tych okolicznościach słów ubolewania z powodu tragicznej śmierci emerytowanego aptekarza, człowieka powszechnie znanego i szanowanego w miasteczku, oraz trzech rybaków, którzy w tak młodym wieku osierocili swe rodziny.

Obecność policji na pogrzebach miała być symboliczna. Uzgodniono, że młody oficer, chociaż nieumyślnie doprowadził do sytuacji kryzysowej, nie usłyszy słowa upomnienia, aby nie zaczął robić wokół sprawy niepotrzebnego szumu.

Nadal nie było jednak żadnych wieści o zaginionym trawlerze „Agnes Monica”.

Sky obrzuciła wzrokiem aparat fotograficzny Fergususa, a potem, patrząc Irlandczykowi prosto w oczy, zaskoczyła go pytaniem:

- Dlaczego fotografujesz Daniela Treacy'ego?

- Co takiego? A gdzie on jest? - Obrócił się na pięcie i zlustrował tłum na trybunach. -

Czyżby on też tutaj przyjechał?

- Daruj sobie tę komedię. Obserwowałam cię, Lynskey.

- Obserwowałaś mnie? I co? - Spojrzał na nią, a jego pociągła twarz zmarszczyła się z zatroskania.

- Widziałam, jak z pełnym rozmysłem robiłeś zdjęcia Danielowi Treacy'emu. - Uważ-

nie przyglądała się jego minie, lecz dostrzegła jedynie szczere zdumienie. - Dwukrotnie go sfotografowałaś.

- Cieszę się, jeśli rzeczywiście tak się stało. Ale skąd miałbym wiedzieć, jak on wyglą-

da? To czysty przypadek, Sky. Zaklinam się na Boga, że fotografowałem wszystko w zasięgu wzroku. Ale skoro już tu jest, bardzo chciałbym go zobaczyć. Czy możesz mi go wskazać? A R S

jeszcze lepiej, przedstawić nas sobie?

- Siedzi w łoży honorowej - odrzekła, wciąż niezbyt przekonana. - Jesteś pewien, że go nie rozpoznałeś, gdy wychodził z helikoptera?

- A jakim cudem miałbym go rozpoznać? Na miłość boską, MacPee, czy mogłabyś się wreszcie rozchmurzyć? Dlaczego robisz sprawę z niczego?

Na to pytanie nie miała odpowiedzi. Nie była pewna, co ją właściwie trapi. Po chwili milczenia w oczach Lynskeya pojawił się żartobliwy błysk.

- Spójrz na nas. - Uderzył lekko o biodro nadgarstkiem. - Oto nasza pierwsza sprzeczka. Czy mam teraz wybiec stąd nagle, upierając się, że wrócę do domu taksówką? I wydać wszystkie czeki podróżne, aby za wszelką cenę zachować godność?

Sky musiała się roześmiać.

- Tak lepiej. - Mężczyzna wziął ją w ramiona. - Nie dopuścimy do tego, aby ten tajemniczy staruszek stanął między nami, zgoda? Choć nadal bardzo chciałbym go poznać.

Sky postanowiła sobie w duchu, iż wyrzeknie się skłonności do podejrzeń i obiecała Irlandczykowi, że wskaże mu Treacy'ego.

W ciągu następnej godziny była jednak tak zajęta, że niemal zapomniała o swym przyrzeczeniu. Pochłonięta sprawozdaniem, nie dostrzegła też nic osobliwego w zachowaniu obu mężczyzn w kowbojskich kapeluszach, którzy siedzieli w jednym z ostatnich rzędów na trybunach i chrupali frytki. Obaj Kanadyjczycy, choć wymieniali jakieś uwagi, pokazując sobie coś w programach, i sprawiali

wrażenie, że podobnie jak wszyscy dobrze się bawią, niewiele ze sobą rozmawiali. I jeszcze jedno wydawało się osobliwe: zamiast obserwować popisy na arenie, przez większą część czasu lustrowali tłum.

Nie można jednak było winić Sky za to, że nie zauważyła dziwnego zachowania obu mężczyzn. Miała pełne ręce roboty; wprawdzie nazwisko każdego uczestnika zawodów i imię każdego zwierzęcia figurowało w oficjalnym biuletynie, co ułatwiało jej przynajmniej tę część zadania, musiała jednak kierować fotografem oraz notować nazwiska widzów i dokładnie cytować ich wypowiedzi, w tym również nudne anegdoty.

Państwo Willird F. Keynesowie ledwie zdążyli na tor wyścigowy. Niemal nie przegapi-li wspaniałego występu swej córki, Sary, która za każdym razem poprawia uzyskane wyniki i dzisiaj przybyła na metę jako czwarta. Państwo Keynesowie poinformowali nas również, że krowy ich hodowli, rasy Jersey, okazały się w tym roku wyjątkowo płodne, a zatem perspektywy rozwoju stada są wyjątkowo pomyślne...

R S

Maynard i Peggy Olsenowie z Wisdom pokazywali na trybunach swą pierwszą wnuczkę, Otley, przyjaciołom, a zarazem rywalom, Chuckom Fenweigsom, którzy pracowicie od-budowują gospodarstwo po wiosennym pożarze stodoły...

Państwo Williamostwo Harringstonowie wiążą wielkie nadzieje ze swym bykiem

„Mgiełką”. W tym sezonie pokonał wszystkich kowbojów...

Na koniec Sky odnalazła w tłumie właściciela „Couriera” i przeprowadziła z nim obowiązkowy wywiad. Starszy mężczyzna, dla którego ukazująca się w Butte gazeta była tylko jedną ze stron zestawienia bilansowego, udzielił identycznych odpowiedzi jak ubiegłym razem, i we wszystkich poprzednich latach.

- Hura! Prawie skończyłam! Nie znoszę tej roboty...

Po uporaniu się z najgorszą częścią zadania, usiadła obok Lyskeya. Podczas jej nieobecności był hołubiony niemal przez każdą rodzinę znajdującą się w pobliżu na trybunie.

Siedział z wyciągniętymi nogami, obstawiony ze wszystkich stron napojami w puszkach oraz plastikowymi torbami z jedzeniem i coś przeżuwał.

- Jesteś snobką - stwierdził, grzebiąc w jednym z opakowań. - Nie możesz codziennie relacjonować afery Watergate.

- W Montanie nigdy nie opisuje się afer tego typu.

- Bzdura. Nie ma nieciekawych historii, są tylko mierni dziennikarze. Rozchmurz się wreszcie i poczęstuj jednym z domowych owsianych ciasteczek pani Krabb. Są wyśmienite! -

Posłał promienny uśmiech kobiecie, która siedziała w rzędzie za nimi.

- Nie, dziękuję. - Sky skierowała uwagę na popis, obserwując z ponurą satysfakcją, jak jeden z olbrzymich byków będących krzyżówką z rasą Brahams, zaczął się wycofywać z areny, odmawiając zrzucenia z grzbietu jeźdźca. Na grubiańskie okrzyki widzów zwierzę zareagowało jedynie zdumionym wyrazem obwisłego pyska. - Chcesz zobaczyć Treacy'ego? -

Szturchnęła łokciem swego towarzysza. - Oto i on.

- Gdzie? - Irlandczyk w jednej chwili wyprostował plecy.

- Na dole, tuż przy arenie.

Wskazała miejsce, gdzie biznesmen wraz z tęgim Irlandczykiem stali odwróceny tyłem do trybun. Znajdowali się blisko zbuntowanego zwierzęcia, które nadal opierało się wszelkim zabiegom jeźdźca, oraz grupy poganiaczy, poszturchujących go i nakłaniających do pokazania się z dobrej strony.

- A więc to on. - Irlandczyk pochylił się do przodu, aby mieć lepszy widok. - Chciał-

R S

bym, żeby się odwrócił. Zobaczyłbym wtedy jego twarz.

- Wciąż nie mogę pojąć, dlaczego tak ci zależy na poznaniu tego człowieka.

- O niczym innym nie mówisz, jak tylko o nim, MacPee. Powiedziałem ci już: uwiel-biam wszystkie ciekawe historie.

Musiał podnieść głos, aby go usłyszała w tłumie, który teraz wznosił okrzyki, gdy byk szeroko rozstawił nogi, jak pies sprzeciwiający się ciągnięciu go na smyczy.

Jeździec był wściekły. Kłuł boki zwierzęcia ostrogami, lecz na próżno. Byk przewracał ślepiami przed tłumem, i powoli, z boku na bok, zataczał łuki potężnym łbem.

Sky była zachwycona tym widokiem, choć dobrze wiedziała, że jest w druzgocącej mniejszości.

- Trzymaj się - cicho dodawała odwagi zwierzęciu. - Nie poddawaj się, postaw na swoim!

Byk powoli odwrócił łeb w stronę trybun, jak gdyby ją usłyszał. W tym momencie na-gły powiew wiatru przyniósł niemal pod sam jego pysk pustą torebkę po prażonej kukurydzy.

Wystraszone zwierzę cofnęło się lekko i uderzyło racicą w ziemię. Jeździec, sądząc, że w zachowaniu byka nastąpił przełom, raz jeszcze wbił mu ostrogi w boki, a poganiacze podwoili poszturchiwania.

Buczące chichoty spikera w trzeszczącym systemie nagłaśniającym przemieniły się nagle w głośny ryk, kiedy byk, bez ostrzeżenia, znalazł się na czterech nogach w powietrzu i z wściekłością zaczął wywijać masywnym cielskiem, usiłując zrzucić z grzbietu kowboja, który w okamgnieniu runął na ziemię. Wtedy zwierzę przypuściło atak na płot i gdy dręczyciele rozpierzchli się na wszystkie strony w panicznej ucieczce, wbiło róg w drewniane ogrodzenie.

Sky i Lynskey, podobnie jak wszyscy widzowie na trybunach, zerwali się na równe nogi. Przez kilka sekund jedynymi dobiegającymi dźwiękami, oprócz trzeszczenia płotu, któ-

remu w każdej chwili groziło zawalenie, były okrzyki klowna, usiłującego odciągnąć oszalonego buhaja od ogrodzenia. Sky nie zdołała dostrzec ani Daniela Treacy'ego, ani jego otyłego rozmówcy. Obaj mężczyźni stali przedtem tuż obok miejsca, gdzie zaszarżował byk.

- Czy nic im się nie stało? - spytała Lynskeya, który wskoczył na ławkę, żeby mieć lepszy widok. - Widzisz ich? Nie są ranni?

- Wszystko w porządku. - Irlandczyk pomógł jej się wdrapać na miejsce obok siebie. -

Z tego, co zdołałem zobaczyć, Treacy w samą porę odciągnął grubasa na bok.

Reporterka dostrzegła w przelocie biznesmena. Pomagał swemu towarzyszowi wstać, *R S*

ale najwyraźniej posługiwał się tylko prawą ręką; lewa zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia.

- On jest ranny! - I zanim Irlandczyk zdążył cokolwiek powiedzieć, Sky puściła się pędem w dół trybun, żeby dotrzeć do Treacy'ego i zdobyć nowy materiał do artykułu.

Zanim znalazła się na dole, kowboje zdołali wyciągnąć z ogrodzenia róg byka i prowadzili zwierzaka, potulnego jak baranka, do boksu.

- Młody Tuff Wexler miał pecha - oznajmił spiker ze swego zacisznego stanowiska w górze. - Ale na tym polega rodeo, moi drodzy - stwierdził i zaraz wywołał nazwisko następnego kowboja.

Kiedy Sky dotarła do biznesmena, stał w otoczeniu kilku gapiów.

- Jest pan ranny, panie Treacy? Czy bardzo był pan przerażony?

Chłodno spojrział jej w oczy.

- Oczywiście, że byłem, panno MacPherson. Może pani zacytować to w swym artykule. A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę się zająć opatrzeniem ramienia. - I odwrócił się do tłu-

ściocha, który ciężko dyszał i był blady jak śmierć. - Czy aby na pewno dobrze się pan czuje?

Proszę udać się wraz ze mną do lekarza. Wciąż jest pan w szoku.

Wydarzenie należało już do przeszłości, gdyż oto na grzbiecie innego byka pojawił się kolejny jeździec. Brama otworzyła się z trzaskiem i zwierzę wraz z kowbojem wypadli na arenę. Po upływie pięciu sekund mężczyzna leżał na ziemi, a kiedy kłown odwracał uwagę byka, w megafonach rozległ się głos:

- Jeśli Sky MacPherson z „Butte Couriera” znajduje się na terenie rodeo, proszona jest o niezwłoczne przyście do stanowiska spikera. R. Sky MacPherson!

Kobieta o orientalnych rysach patrzyła przez okno na ocean w swym mieszkaniu w Vancouver. Na zewnątrz padał deszcz, a upstrzona śladami kropli powierzchnia wody, od-dzielającej jej miejsce zamieszkania od wyspy Vancouver, była tak szara i pozbawiona życia jak stan emocjonalny patrzącej.

W realizacji każdego przedsięwzięcia można natrafić na przeszkody, lecz ta próbna i zakrojona na niewielką skalę operacja w Irlandii sprawiała ogromne kłopoty i prawdopodobnie nie była warta zachodu. Kobieta miała pewność, o ile w ogóle można być czegoś pewnym, że nie zwróciła na siebie uwagi władz. Gwarantował to jej samotniczy tryb życia oraz zachowanie największej ostrożności we wszelkich kontaktach z ludźmi. A dzięki szczególnemu rodzajowi zobowiązań, jakie miał wobec niej ów człowiek w FBI, który nie chciał, aby ktokolwiek się o nich dowiedział, a już w szczególności nie jego żona i szef, kobieta nie mu-R S

siała się martwić o Amerykanów. Możliwości irlandzkiej policji były jednak nieodgadnione, a informacje napływające stamtąd nie wróżyły nic dobrego. Kobietę ogarnęła wściekłość na myśl, że grozi jej utrata pieniędzy zainwestowanych w tę operację. A może staje się zbyt chciwa i zaczyna popełniać błędy?

Wciąż stojąc przy oknie, wystukała numer swojego pracownika w Helenie. Lecz pomimo wyraźnych instrukcji, których udzieliła zarówno jemu, jak i pozostałym zastępcom, iż przez cały czas trwania operacji mieli czekać pod telefonem, usłyszała jedynie odpowiedź

automatycznej sekretarki i natychmiast nacisnęła przycisk „koniec”. Pierwszą jej reakcją była dzika furia, która zaraz przerodziła się w głęboki niepokój. Jej wysłannik w Helenie najdłużej dla niej pracował i uważała go za człowieka najbardziej godnego zaufania. Musiało stać się coś złego.

W centrum Vancouver detektyw, który specjalizował się w wyprzedzaniu o krok najnowszej technologii w dziedzinie środków porozumiewania się, ponownie przechwycił fale na swym urządzeniu radiowym. A w Helenie agent FBI, przydzielony do dekodowania zaszy-frowanych sygnałów napływających i wychodzących z namierzonego aparatu telefonicznego, siedział i dalej cierpliwie czekał.

- Zabiję ją, zabiję... - Sky, zapinając pasy bezpieczeństwa, nie zdawała sobie sprawy z tego, że mówi na głos.

- Przepraszam?

Daniel Treacy, którego napięta twarz miała jeszcze bardziej szary odcień niż przedtem

- prawdopodobnie z powodu bólu wywołanego kontuzją ramienia - spojrzął na nią ze zdumieniem przez wąskie przejście.

- Nic, nic. - Sky obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Czy bardzo pan cierpi?

- Trochę.

Oboje musieli krzyczeć, ażeby się usłyszeć poprzez huk wirników śmigłowca. Wiadomość, jaką Sky otrzymała na rodeo, pochodziła od Jima Larsena i dotyczyła jej matki: Johanna miała wypadek i zabrano ją do szpitala. Prawdopodobnie jeden z jej kotów zaczął się na dachu mieszkania i w zawieszonym na okapie karmniku złapał kolibra. Matka Sky wdrapała się na kuchenną drabinę, żeby ratować ptaka, lecz zanadto się przechyliła i runęła na ziemię.

Jimbo nie umiał powiedzieć, co sobie zrobiła; wiedział tylko, że jest przytomna i że została w szpitalu.

- Kto jest teraz przy pani matce? - zawołał Treacy.

R S

- Przyjaciółka, która ją znalazła.

Sky dziękowała opatrzości, że Hermana niespodziewanie zajrzała rano do Johanny.

To ona zawezwała karetkę i zachowując przytomność umysłu, skontaktowała się z naczelnym „Couriera”.

- Zostanie przy niej do czasu mojego przybycia.

- Mam nadzieję, że pani przyjaciel z Irlandii bezpiecznie dojedzie do miasta.

Sky nie miała wątpliwości, że Lynskey, który wracał jej nissanem, bez kłopotów dotrze do celu.

- Po przyjeździe ma się spotkać ze mną w szpitalu.

- Zrobi się tam tłok. - Szeroki uśmiech Treacy'ego rozjaśnił nieco jego surowe rysy.

- Chyba tak - przyznała Sky. - Szczęściara ze mnie, że ma pan helikopter do dyspozycji. Czy przyjaciele nie wezmą panu za złe, że zabrał mnie pan do miasta?

- Dopiero wieczorem zamierzają wrócić do Kanady. Do tego czasu helikopter nie bę-

dzie im potrzebny. A określanie ich mianem moich przyjaciół jest nieco przesadzone. - Pochylił się do przodu, aby wyrzeć przez okno. - To tylko znajomi, z którymi prowadzę interesy.

Sky targał niepokój o stan matki i stosunki łączące Daniela Treacy'ego z Kanadyjczykami obchodziły

ją tyle, co zeszłoroczny śnieg.

To Lyskey podpowiedział, żeby razem z biznesmenem poleciała helikopterem do Butte, a potem wziął ster w swoje ręce: dopilnował, żeby Sky skontaktowała się telefonicznie z Larsenem i ze szpitalem, a potem sprowadził pielęgniarzy, by opatrzyli ramię Treacy'emu.

Musiała przyznać, że Irlandczyk okazał się nieoceniony.

Przez okno helikoptera dostrzegła zarysy Butte. Pilot nisko prowadził maszynę, niemal muskając spłaszczone górskie szczyty, wznoszące się ponad miastem. Rocznik maturzystów 1992 zapewnił sobie nieśmiertelność dzięki symetrycznym rzędom białych podpisów na gła-zach. Wspomnienie dumnej i zapłakanej ze wzruszenia Johanny na uroczystości ukończenia szkoły przez Sky było teraz dla niej niemal nie do zniesienia. Zamknęła oczy, i choć nie modliła się od czasów podstawówki, błagała Boga, aby miał litość nad jej matką. „Proszę cię, Boże, proszę...”.

A potem, nienawidząc siebie za to, co robi, zagadnęła swego towarzysza:

- Czy zamierza pan podać do sądu organizatorów rodeo, panie Treacy? Ma pan z pewnością wygraną sprawę.

R S

- Jeśli ktokolwiek powinien zostać o coś oskarżony, to tylko mój tęgi znajomy. - Znowu przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. - To on na mnie wpadł, a nie byk.

Gdyby Sky tak bardzo nie martwiła się o matkę i tak gorliwie nie chroniła sensacyjnej historii, jaka jej zdaniem kryła się w postępowaniu tego człowieka, być może w tym momencie nawet by go polubiła.

W szpitalu panowała cisza; w niedzielne popołudnia nawet wolontariusze nie spacerowali ze swymi z wiklinowymi koszami pełnymi książek i cukierków.

Matka Sky została przeniesiona z pogotowia na oddział.

- Nie odczuwa bólu. - Młody stażysta o azjatyckich rysach przerzucił wzrokiem kartę informacyjną, którą trzymał w dłoni. - Podaliśmy jej środki znieczulające, a teraz czekamy na specjalistę, aby obejrzał zdjęcia rentgenowskie. Sądzę jednak, że potwierdzi nasze podejrzenia, panno MacPherson, a w naszym przekonaniu pani matka ma złamane dwa kręgi.

Serce jej zamarło. Złamany kręgosłup mógł oznaczać paraliż. Sky bała się jednak wprost o to zapytać. Wymamrotała tylko, że pragnie niezwłocznie zobaczyć się z matką.

Kiedy szła za stażystą do sali, próbowała przygotować się na ową niewyobrażalną sytuację i mężnie stawić jej czoło. W ciągu trzydziestu czterech lat życia ani razu nie widziała, aby Johanna spędziła cały dzień w łóżku. Matka nigdy nie była nawet przeziębiona. Jej żelazne zdrowie, które ona sama przypisywała nienagannemu trybowi życia, zawsze napawało Sky dumą. Myśl o bezradności Johanny, być może na zawsze, nie mieściła jej się w głowie.

Johanna była przytomna, jednak z powodu unieruchomionej sztywno głowy i pleców nie mogła dostrzec córki, dopóki Sky nie pochyliła się nad łóżkiem. Rozjaśniła się na jej widok.

- Witaj, kochanie! Niezłego ambarasu wam narobiłam!

Mówiła nieco bełkotliwie z powodu leków, ale była opanowana, jak gdyby przyjmowała u siebie w kuchni na herbacie Hermanę i Buffy.

Sky delikatnie podniosła jedną z bezwładnych dłoni. Spozrzegła, że z włosów matki wysunęły się spinki, a jedna z nich znajduje się niebezpiecznie blisko oka. Wyjęła ją, uważając przy tym, aby nie potrać metalowej klamry, która otaczała głowę i kark Johanny.

Targały nią sprzeczne uczucia: wściekłości, ulgi, złości i lęku.

- Coś ty, do diabła, zrobiła najlepszego, mamó? Gdzie jest Hermana?

- Niech się pani nie denerwuje, panno MacPherson. - Lekarz uspokajająco położył rękę na jej ramieniu. - Matka pani przeżyła ogromny wstrząs. Jeszcze będzie mnóstwo czasu na *R S*

wyjaśnienia. Musimy jej teraz zapewnić spokój. - Twarz mężczyzny rozjaśniła się w profesjonalnym uśmiechu, gdy zwrócił się do pacjentki. - Prawda, mamusiu?

- Księżycowy Tancerz złapał małego kolibra. - Johanna miała trudności z wymową. - I musiałam go ratować, córeczko.

Złość Sky minęła równie szybko, jak się pojawiła.

- Oczywiście, że musiałaś to zrobić, mamó. - Gwałtownie opadła na krzesło przy łóżku.

- Hermana pojechała do naszego mieszkania, żeby przywieźć mi parę rzeczy. Przypuszczam, że będą tu musiała poleżeć przez kilka dni.

- Sądzę, że tak.

- Miło z twojej strony, że tak szybko przyjechałaś z redakcji, kochanie. Bardzo ci dziękuję.

- Przecież ci mówiłam, że się wybieram na ro... - Sky odruchowo zamierzała poprawić matkę, lecz ugryzła się w język. - Nie ma sprawy. Czy bardzo cierpisz?

- Nic nie czuję. - Johanna zmarszczyła czoło, podejmując widoczny wysiłek przypomnienia sobie o czymś. - Ktoś zostawił dla ciebie wiadomość... a niech to wszyscy diabli...

nie mogę sobie...

- Uspokój się, mamó, to nieważne. Odpoczywaj. Wkrótce przyjdzie chirurg.

Johanna posłała uroczy uśmiech stażystce.

- Ten młody człowiek jest moim dobrym duchem. A życie zawdzięczam mojemu anio-

łowi stróżowi. Nie zdołałabym... nie... - Język odmówił jej posłuszeństwa, zamknęła oczy i zasnęła.

Sky poczuła nagły przypływ miłości. Zdała sobie sprawę z tego, że również i ona ma wiele do zawdzięczenia aniołowi stróżowi matki. Pochyliła się i pocałowała jej nieruchomą, bladą twarz.

- Nie martw się, zaopiekuję się tobą. - Nagle wyprostowała się, przypominając sobie o obecności stażysty. - Chcę poznać prawdę, nawet tę najgorszą. Czy matka będzie mogła chodzić?

- Na razie nie potrafimy tego powiedzieć. Jest na to za wcześnie, panno MacPherson.

Nie ulegało wątpliwości, że młody człowiek nie chce nic powiedzieć. Pomyślała, że reakcja stażysty nie powinna być dla niej zaskoczeniem. Zawód lekarza w Stanach zaliczał się do wyjątkowo stresujących w związku z ogromną liczbą ciągle wytaczanych procesów o błąd w sztuce medycznej, o ukrywanie faktycznego stanu zdrowia pacjenta czy udzielenie błędnej *R S*

informacji. Wiedziała, że żaden lekarz niższy stanowiskiem od całkowicie ubezpieczonego specjalisty nie wyrazi teraz swej opinii.

- Dziękuję, doktorze. Damy sobie radę. Czy pozwoli pan, żeby drzwi pozostały otwarte?

Starła się pozbyć stażysty najuprzejmiej, jak potrafiła. Usiadła, czekając na przybycie chirurga.

Minuty upływały powoli; Sky słyszała dobiegające z korytarza i z innych sal stłumione głosy odwiedzających, dźwięk telewizorów oraz otwieranych i zamykanych z lekkim trzaskiem drzwi. Pokój Johanny, bez jej osobistych drobiazgów - bez kwiatów i zdjęć - tylko z szarostalowymi meblami, nienaturalnie schludnie zaścielonym łóżkiem oraz prostymi zasłonami z satyny o nieokreślonym, brzoskwinioworóżowym odcieniu, wydawał się cichy i zbyt sterylny. Przywodził na myśl poczekalnię w kostnicy.

Podeszła do okna, ażeby się oderwać od ponurych myśli. Dobiegł ją przytłumiony warkot śmigieł helikoptera. Zastanawiała się, czy Treacy też zostanie przyjęty do szpitala. Postanowiła, że kiedy matka zostanie już zdiagnozowana, dowie się o stan zdrowia kontuzjowanego biznesmena. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić: okazać mu wdzięczność.

Rozdział 18

Okazja do podziękowania Danielowi Treacy'emu nadarzyła się wcześniej, niż Sky się spodziewała. Chwilę później wszedł do sali Johanny, z ręką opatrzoną i zawieszoną na temblaku, wyprzedzając o kilka sekund specjalistę, który przybył w asyście stażysty i pielęgniarki.

Sky zerwała się z miejsca na widok niespodziewanego gościa. Zawahała się jednak, dostrzegając

grupę medyków za jego plecami.

- Panna MacPherson? - Chirurg, którego broda była tak samo wypielęgnowana jak włosy, i który wciąż miał na nogach buty do golfa, wymienił ze Sky uścisk dłoni. A potem, nadal z wyciągniętą ręką, zwrócił się do Treacy'ego: - Czy jest pan mężem pacjentki?

Gdy nieporozumienie zostało wyjaśnione, lekarz wyprosił oboje z pokoju, aby mógł przystąpić do badania.

- Zaczekam razem z panią. - Biznesmen usiadł na krześle i wskazał Sky miejsce obok *R S* siebie. - Skręcony kark, prawda?

- Złamany kręgosłup.

- Rokowania mogą być złe, lecz niekoniecznie w dzisiejszych czasach. Bez względu na wstępną diagnozę solennie panią zapewniam, że dla pani matki zostanie zrobione wszystko, co tylko możliwe.

- Dziękuję, panie Treacy. Jestem jednak przekonana, że same zdołamy jakoś sobie poradzić z tą sytuacją. A co z pańskim ramieniem? Czy jest złamane?

- Nie, tylko przemieszczone. Nastawiono mi je, a resztę trzeba zostawić naturze. Wracając do pani matki: mam nadzieję, że nie przekraczam niedozwolonych granic, nalegając, aby przyjęła pani moją pomoc. Jeśli nie będzie pani zadowolona z tutejszej opieki medycznej, może trzeba się będzie zastanowić nad przeniesieniem matki do Kliniki Mayo.

Sky nie była pewna, czy uważa interwencję Treacy'ego za pożądaną, nawet jeśli miał

jak najlepsze intencje. Taktownie wyraziła sprzeciw, on jednak zdawał się nie dostrzegać jej obiekcji i zapowiedział, że po powrocie do domu przeprowadzi w tej sprawie kilka rozmów telefonicznych.

- Wypadek całkowicie zmienia charakter zaplanowanej wizyty pani babki.

- Przepraszam? - Sky nie zdołała pojąć, o czym on mówi.

- Chodzi o Elizabeth. - Utkwił wzrok w przeciwległej ścianie. - O pani babkę. I o jej przyjazd.

- W obecnej sytuacji nie będziemy mogli się nią zająć. Moja matka nie...

- Wręcz przeciwnie. Jestem pewien, że teraz, kiedy doszło do tego niefortunnego wydarzenia, zechce niezwłocznie przyjechać, by zobaczyć się z córką. Doskonale rozumiem, że pani matka potrzebuje czasu, aby odpocząć i powrócić do zdrowia bez dodatkowego kłopotu, którym byłaby konieczność zajmowania się gościem. - W końcu oderwał oczy od ściany i spojrzał na Sky. - Dopilnuję, żeby pani babka została otoczona należyłą opieką, panno MacPherson.

- Ależ nie może pan...

- To drobiazg w porównaniu z tym, co jestem winien waszej rodzinie. - Jego oczy pło-nęły teraz intensywnym blaskiem w bladej twarzy i wydawały się niemal czarne. - Pani matka zamierzała dziś wieczorem telefonować do Irlandii, prawda? Czy wyręczenie jej w tym nie sprawiłoby pani kłopotu? Jestem pewien, że zechce pani przekazać babce przykre nowiny.

Czy mogłaby też pani uprzedzić ją o moim telefonie i zaproszeniu? Proszę zapewnić Elizabeth, że jeśli uzna pobyt w moim domu za niestosowny, jestem gotów wynająć apartament w *R S*

wybrany przez nią lub przez panią hotelu.

W innych okolicznościach wzmianka o tym, że siedemdziesięcioletnia kobieta może się niepokoić o swą reputację, mogłaby się wydać Sky śmieszna, jednak obecnie ta uwaga wcale jej nie

rozbawiła.

- Zadzwoń i zawiadomę pana o wyniku rozmowy.

Z pokoju nie dochodziły żadne dźwięki i Sky, wyobrażając sobie, co się tam dzieje, żywiła gorącą nadzieję, że Johanna nie cierpi. Zmuszała się, żeby nie myśleć o jej obecnym stanie - skrępowanej różnymi urządzeniami, niczym ofiara przygotowana na tortury - lecz wspominać tamtą mamę, która godzinami przesiadywała przy jej łóżku, czytając na głos książki, uważane przez inne matki za niestosowne. Johanna wybierała dla niej takich autorów, jak H.G. Wells, Orwell i Kerouac, a także Anna Sewell czy Louisa M. Alcott. Ujemną stroną dzieciństwa Sky było nieustanne i bezskuteczne zabieganie o przyjaźń rówieśników. W miejscowościach, gdzie zatrzymywały się obie na dłużej, inne matki nie zezwalały swym córkom na składanie wizyt w ich tymczasowym domu, a tym bardziej na nocleg. Ich zdaniem po Johannie wszystkiego można się było spodziewać: zarówno historyjek o nieszczęśliwych ko-chankach, jak i o nasionach słonecznika czy kukurydzy.

Kiedy jednak Sky z perspektywy czasu oceniała swe eklektyczne wychowanie we wczesnym dzieciństwie, dochodziła do wniosku, że wyszło jej na dobre. Na długo przed pój-

ściem do liceum znała położenie Sajgonu, wiedziała o strategicznym znaczeniu tego miasta i potrafiła nie tylko rozpoznać Boba Dylana, lecz także Che Guevarę czy zespół The Berrigans.

Szczególnie utkwiło jej w pamięci pewne wspaniałe lato, które spędziła w kalifornijskim kurzu na nieznanach zabawach z bandą obdartych, ciemnoskórych dzieciaków, podczas gdy matka starała się pomóc Cesarowi Chavezowi w poprawie losu meksykańskich emigrantów zatrudnionych przy zbiorach owoców.

- Pani się uśmiecha.

Wyrwana z zadumy Sky bąknęła pod nosem, że się zamyśliła.

- Doceniam pańską uprzejmość, panie Treacy - powiedziała, podnosząc się z miejsca. -

Uważam jednak, że powinien pan wrócić do domu i odpocząć, zważywszy na stan pańskiego ramienia.

- Rzeczywiście trochę mi dokucza. Podejrzewam, że te wszystkie środki przeciwbólowe są mocno przereklamowane. - Dźwignął się z krzesła, a Sky ponowiła obietnicę, że po rozmowie z babką niezwłocznie do niego zadzwoni.

R S

- Czy na pewno da sobie pani ze wszystkim radę? - Spojrzał w stronę zamkniętych drzwi. - Straszliwie długo trwa to badanie...

- Być może to dobry znak. - Czują, że jeśli powie to z pełnym przekonaniem, rzeczywiście tak będzie.

Od wyjścia Treacy'ego upłynęło dziesięć minut, nim w końcu drzwi się otworzyły i pojawił się w nich specjalista. Sky wracała z wodą sodową z automatu na końcu korytarza i znieruchomiała na widok poważnego wyrazu twarzy mężczyzny.

- Niech pani usiądzie, panno MacPherson. - Lekarz ciężko opadł na krzesło. - Musimy porozmawiać.

Oniemiała z trwogi, posłusznie zajęła miejsce obok niego.

- Przynoszę zarówno złe, jak i dobre wieści - zaczął. - Zła to ta, że musimy przeprowadzić operację kręgosłupa. - Na widok pobladłej twarzy Sky uspokajająco położył rękę na jej ramieniu. - Mamy jednak wszelkie podstawy, aby wierzyć, że operacja przyniesie pomyślny skutek i być może, z wyjątkiem lekkiego artretyzmu w późniejszym wieku, matka pani w pełni

ni odzyska zdrowie. Miała szczęście. Jeszcze dzisiaj wykonamy badanie komputerowe. Czy jest pani ubezpieczona w Blue Cross?

Sky zaprzeczyła ruchem głowy i choć mocno zaciskała powieki, starając się zapanować nad łzami, i tak wytrysnęły.

- Proszę się nie martwić. - Specjalista błędnie pojął jej reakcję. - Choć zabieg będzie kosztowny, jestem pewien, że znajdziemy jakiś sposób na jego sfinansowanie.

- To nie dlatego... - Sky nie mogła dokończyć zdania. Płakała, czując ogromną ulgę.

Dopiero teraz pojęła własne przeświadczenie o tym, że matka skazana jest na wegetację do końca życia. - Czy mogę ją zobaczyć?

- Oczywiście. Ale jest teraz pod wpływem silnych środków znieczulających. I obawiam się, że za chwilę będziemy musieli ją zawieźć na badanie. Proszę być przygotowaną na to, że może nie zdawać sobie sprawy z pani obecności.

Sky usłyszała z tyłu znajome kroki, a gdy podniosła wzrok, dostrzegła na korytarzu Hermanę.

- Och, Hermano, prawdopodobnie mama wyzdrowieje. - Wybiegła przyjaciółce Johanny naprzeciw i, niczym małe dziecko, zawisła na masywnej szyi kobiety.

- To oczywiste. - Hermana, objuczona papierowymi torbami, próbowała odwzajemnić uścisk. - Osoba taka jak twoja matka jest dobrze chroniona. Wszyscy o tym doskonale wiemy.

R S

W normalnych okolicznościach Sky spierałaby się co do użytego określenia, jednak obecnie nie przejęłaby się, nawet gdyby „Siostry Błogości” zwiozły cały kram Maharishi i obsypały Johannę kwieciami lotosu. Wyzwoliła się z uścisku i otarła oczy.

- Głuptas ze mnie. Nie pomogę jej, zachowując się w ten sposób.

Zbliżył się do nich lekarz.

- Pójdę już. - Spojrzał na zegarek. - Potrzebujemy kilku informacji dotyczących pani matki, będzie pani musiała też podpisać zgodę na operację i dalsze leczenie. Proszę się nie martwić. - Poklepał Sky po ramieniu. - To trochę potrwa, lecz radziliśmy już sobie ze znacznie gorszymi przypadkami.

- Prawdopodobnie zabieg będzie kosztował fortunę. - Gdy chirurg się oddalił, Sky wzięła od Hermany część pakunków i obie weszły do pokoju Johnny. - Zapewne wiesz, że nie mamy ubezpieczenia?

- Jesteśmy dobrze chronione - powtórzyła Hermana. - Telefonowałam do Buffy, powinna tu przybyć za jakieś pół godziny.

Rozpakowały torby i schowały ich zawartość. W większości były to zbędne przedmioty, jako że matka przez najbliższe dni nie potrzebowała niczego z wyjątkiem szpitalnej koszuli. Nadal spała, pomimo niewygodnego unieruchomienia.

Gdy Sky z Hermaną siedziały przy łóżku i wspominały bogate w wydarzenia życie Johnny, drzwi ponownie się otworzyły i pojawiła się w nich potargana głowa Lynskeya.

- Jechałem jak wariat - oznajmił bez wstępów. - Co z nią?

Powtórzyły mu wszystko, czego się dowiedziały na temat stanu Johnny, a potem Hermana usiłowała nakłonić Sky, aby pozwoliła się odwiedzić Fergusowi na krótki odpoczynek do domu.

- Za kilka minut będzie tu Buffy. Jeśli stan twojej matki ulegnie jakiegokolwiek zmianie, natychmiast cię zawiadomimy. Jedź i trochę odpocznij, Sky. To wszystko musiało być dla ciebie ogromnym wstrząsem.

- Rzeczywiście, dobrze by mi zrobił prysznic.

Odniosła wrażenie, że w ciągu ostatniej godziny postarzała się o dziesięć lat. Perspektywa poddania się oczyszczającemu działaniu wody oraz możliwość przebrania się w świeże ubrania wydała się Sky ogromnie kusząca.

Pozwoliła więc, aby Lynskey zawiózł ją do domu. Przez całą drogę ani razu się nie odezwał i doceniała jego takt. Z wyjątkiem kilku młodych par spacerujących po ulicach i *R S*

trzymających się za ręce oraz bandy dzieciaków, która na szczycie wzgórza urządziła sobie prowizoryczne boisko do gry w baseball, mogłoby się wydawać, że oprócz ich dwojga nikogo nie ma w całym mieście. Sky stwierdziła, że powrót do rzeczywistości sprawia jej kłopot.

Zbyt wiele się dzisiaj wydarzyło i wprost nie mogła uwierzyć w to, że nadal jest niedziela.

Uzmysłowiła sobie, że ma straszliwy ból głowy - z pewnością na skutek braku kofeiny w organizmie. Pomogła jej nieco coca-cola, gdyż jedyną kawę wypiała z Lynskeyem w MacDonald's. Było to bardzo dawno temu, niemal wczoraj. Nic dziwnego, że zrobiła z siebie widowisko na szpitalnym korytarzu i

miała huśtawkę nastrojów, a jej stan psychiczny przywodził na myśl dziecięcy wózek podskakujący na wybojach.

- Wejdiesz? - Nawet dom, w którym mieszkała, wydał się jej obcy, gdy Lynskey wprowadził nissana na podjazd od frontu.

- Jesteś pewna, że powinienem? - Ociągał się z przekręceniem kluczyka w stacyjce. -

Mogę zaczekać tutaj.

- Nie bądź głuptasem. - Sky pchnęła drzwiczki i wysiadła.

Zaproponował, że zaparzy kawę, gdy ona będzie brała prysznic. Skwapliwie zaakceptowała tę propozycję. A potem, przypominając sobie o jego nienasyconym apetycie, dodała:

- W zamrażarce powinno znajdować się jakieś domowe pieczywo.

Gdy szła korytarzem w stronę sypialni, uprzytomniła sobie, że od rana nie miała nic w ustach. Czy to naprawdę dzisiaj rano przeprowadzała wywiad z Danielem Treacym w jego dudniącym ciszą gabinecie?

Ściągnęła ubranie, włożyła szlafrok i przewiązała go paskiem. Gdy szła do łazienki z ręcznikiem w garści, usłyszała dźwięk telefonu. Przystanęła, zatrzymując wzrok na aparacie ustawionym na stoliku w kształcie półksiężyca nieopodal frontowych drzwi. Mogli dzwonić ze szpitala. Miała nadzieję, że Lynskey odbierze telefon w kuchni, lecz przenikliwy dźwięk rozlegał się nadal. Chwyliła słuchawkę.

- Halo?

- Czy to panna MacPherson? R. Sky MacPherson?

Nie rozpoznała głosu i poczuła narastającą panikę.

- Tak, to ja, z kim mam przyjemność?

- Mówi Bill Collins, właściciel zakładu pogrzebowego. Rozmawialiśmy już kiedyś.

Zostawiłem kilka wiadomości dla pani z prośbą o kontakt, panno MacPherson. Ciężko oparła się plecami o drzwi.

R S

- Tak, wiem. Przepraszam, panie Collins. Zamierzałam jutro się z panem skontaktować.

- Myślę, że sprawa jest na tyle poważna, iż powinniśmy porozmawiać jeszcze dzisiaj.

Miała ochotę go udusić.

- Przykro mi, jeśli nie jest pan zadowolony ze sprawozdania, jakie zamieściliśmy w naszej gazecie, panie Collins...

- Dzwonię w zupełnie innej sprawie - przerwał jej. - Kiedy będzie pani wolna? Czy możemy się spotkać niezwłocznie?

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Moja matka... - Ku niezadowoleniu Sky niespodziewanie zadrżał jej głos. Odchrząknęła. - Moja matka została zabrana do szpitala. Zaledwie przed kilkoma minutami weszłam do domu, żeby zabrać dla niej parę osobistych rzeczy.

- Och! - W jednej chwili jego ton się zmienił i zabrzmiała w nim zawodowa troska. -

Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Niestety, sprawa jest raczej poważna. Moja matka ma złamany kręgosłup. I bardzo się o nią niepokoję. Jestem pewna, że w tej sytuacji zrozumie pan...

- Oczywiście, panno MacPherson. Nadal jednak chciałbym z panią porozmawiać, w pierwszym dogodnym dla pani terminie. Czy mógłbym zatelefonować jutro? Naturalnie, jeśli stan zdrowia pani matki ulegnie poprawie...

- Skontaktuję się z panem. Do usłyszenia, panie Collins.

Ohydny facet. Dobrze wiedząc, że jej reakcja jest nieco przesadzona, rzuciła słuchawkę na widełki. Jak Teddy i Melinda Morzsansky mogli u niego pracować?

- Czy wszystko w porządku? - Obejrzała się.

W kuchennych drzwiach stał Lyskey.

- Przekłete „Bractwo Białej Koniczyny”. - Zrobiła zamaszysty gest, uderzając dłonią o aparat telefoniczny.

- Czyżbyś mówiła o naszych ziomkach?

Na widok jego miny poczuła ogromną skruchę.

- Och, wybac mi, Fergusie. Oczywiście, nie ciebie miałam na myśli. - Ruszyła w stronę mężczyzny, zatrzymała się jednak, dostrzegając wyraz jego twarzy. - O co chodzi? Przecież cię przeprosiłam...

- Na twoim miejscu zawiązałbym szlafrok - powiedział cichym i opanowanym głosem.

Opuściła wzrok i stwierdziła, że pasek się rozluźnił, a poły szlafroka rozchyliły, ukazując jej nagie ciało.

- Przepraszam. - Zakłopotana, sięgnęła po pasek, lecz kiedy podniosła oczy, ujrzała, że Lynskey zbliża się niej.

- Nie rób tego... - Mocno chwycił ją za ramiona i boleśnie zacisnął palce na jej ciele. -

Wiem, że to niezbyt odpowiedni moment...

- Jestem innego zdania - wyszeptała.

- Ale twoja matka...

- Wiem. - Przebacz mi, mamó... - Sky zamknęła oczy, gdy Lynskey wziął ją na ręce i zaniósł jak dziecko w stronę otwartych drzwi sypialni.

Oboje runęli na łóżko, a jej palce napotkały jego w pół drogi, gdy pomagała mu rozpi-nać suwaki i guziki.

- Straszliwie się boję, że to nie potrwa długo - wyszeptał chrapliwie.

- Wiem.

Parking przy posterunku policji w Killybegs zappełnił się rozbitymi samochodami niczym kostnica. Chociaż deszcz ustał, porywy wichru były jeszcze silniejsze niż przedtem, a zasnuwane chmurami niebo udaremniało dostęp księżycowego blasku. Warunki idealne dla czającego się po drugiej stronie ulicy mężczyzny.

Dochodziła trzecia w nocy i choć Rupert de Burgh wiedział, że jest bezpieczny, nasłuchiwał uważnie. Z miejsca gdzie stał, widział szczątki furgonetki hiace i toyoty, na które padało światło z dwóch okien posterunku.

Kiedy się upewnił, że z wyjątkiem wyjącego wichru i poluzowanej dachówki uderzającej na dachu pobliskiego domu, nic w pobliżu nie ma, wyszedł z ukrycia i przebiegł na drugą stronę opustoszałej ulicy.

Zakradł się na parking, starając się trzymać z dala od wydłużonych prostokątów światła padającego z okien, mimo to jednak niesiony przez niego metalowy przedmiot błysnął. De Burgh dostrzegł kątem oka ów błysk i zamarł, stojąc na jednej nodze niczym dyskobol. Odczekał chwilę, a kiedy nabrał pewności, że nie został przez nikogo zauważony, obszedł wraki od tyłu, tak aby go oddzielały od posterunku.

Gdy rozpryskiwał benzynę, starając się nie robić przy tym żadnych gwałtownych ruchów, które mogłyby ściągnąć niepożądaną uwagę, opary podrażniły mu nozdrza i czuł, że za moment kichnie. Prędko schował puszkę w dziurze, gdzie przedtem znajdowała się maska hiace, stawiając ją na bloku silnika. Kichnął w momencie podpalenia pierwszej zapałki, a siła kichnięcia zgasiła płomień.

Zachowując zimną krew, zapalił drugie drewnienko i przyłożył je do muslinowej torby, która zawierała materiały łatwopalne. Gdy stwierdził, że zajęła się od ognia, umieścił ją na początku strugi rozlanej benzyny.

A potem rzucił się do ucieczki. Zdażył umknąć na bezpieczną odległość, gdy wrak hiace wyleciał w powietrze. Wybuch rozprzestrzenił się, obejmując toyotę, radiowóz lotnej brygady policji, a także dwa prywatne samochody funkcjonariuszy.

Rozdział 19

Leżeli przytuleni do siebie w jej sypialni. Lyskey wodził palcem wzdłuż wgłębienia pod prawym ramieniem Sky i wokół płatka jej ucha.

- Bardzo cię pragnąłem. Od pierwszej chwili kiedy zobaczyłem, jak wysiadasz z samochodu. A także i potem, gdy dojrzałem cię stojącą w cieniu szkolnego dziedzińca. Mój Boże!

- Obrócił ją przodem do siebie i delikatnie pocałował najpierw w jedno oko, a potem w drugie.

Sky zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zamilknij wreszcie, Lyskey. Chociaż raz przestań mówić. Nie chcę już słyszeć ani słowa więcej.

Pachniał wodą po goleniu, potem i seksem - był to silny i odurzający koktajl zapachowy, który na nowo zburzył spokój jej ciała. Znowu gwałtownie, niemal boleśnie go zapragnę-

ła. Pomyślała, że niedawne zbliżenie odbyło się za prędko, ale nie potrafiła się oprzeć sile je-go namiętności.

Poniewczasie pamięć przywiodła jej obraz matki.

- Powinnam wracać do szpitala.

- Oczywiście. - Lyskey połaskotał nosem jej policzek i znieruchomiał. - Twoja matka *R S* miała rację. Czy ktoś już ci mówił, że masz najpiękniejszy głos na świecie?

- Nie o moim głosie teraz myślę...

Żadne z nich nie poruszyło się przez kilka sekund. A potem Lyskey, szybki jak płomień, rozgniół wargami jej usta. Poczuli, że ożył na nowo i poruszyła się, aby go przyjąć, lecz Fergus zastygł w bezruchu.

- Czy możesz mi zaufać? - spytał wprost w jej rozchylone wargi.

- Zaufać? - Była rozpalona od pożądania, czuła, że nie zniesie ani chwili zwłoki i że jest gotowa przystać na wszystko.

- Pozwól, że na kilka minut przejmę inicjatywę. Sama się przekonasz, czy to ci się spodoba. Obiecuję, że tak.

- Zgoda, tylko się pośpiesz...

- Właśnie dokładnie tego nie zamierzam teraz robić. - Przestał ją całować i spojrzał czule z góry. - Zaufaj mi - powtórzył.

Podciągnął się w górę na łokciach i usiadł okrakiem na jej biodrach. A kiedy usiłowała się dźwignąć w górę, żeby go pocałować, delikatnie pchnął ją z powrotem na poduszki i szeroko rozłożył jej ręce, z dala od ciała.

- Powiedziałaś, że mi ufasz. Nie dotykaj mnie. Nie rób absolutnie nic. Zostaw to mnie.

Drżąc na całym ciele, na wpół świadoma jego ciężaru na sobie, próbowała leżeć nieruchomo, gdy on powoli, coraz mocniej zaciskał uda, a potem pochylił się do przodu i przesunął

grzbietem złożonych dłoni wzdłuż zagłębienia między jej piersiami.

- Leż spokojnie, zamknij oczy i postaraj się czuć mój dotyk, Sky...

Poddała się jego woli, gdy otwierał i rozprostowywał dłonie, masując opuszkami palców jej brzuch, a kciukami łaskocząc piersi od spodu. Pieszczota ta wywołała w niej sensacyjne dreszcze.

- Och, Sky!

Jeszcze mocniej zacisnął uda, a ona, choć próbowała nad sobą zapanować, nie zdołała się powstrzymać od dźwignięcia bioder w górę. Ponownie rozłożył ręce na jej brzuchu, nie przestając kciukami dotykać piersi.

- Wsłuchaj się w reakcję swego ciała. Jesteś cudowna, Sky, cudowna...

Pochylił się i wziął w usta jedną brodawkę piersi. Nie ugryzł jej ani mocno nie przycisnął, ale pod wpływem samego muśnięcia jego warg i dotknięcia języka Sky głośno krzyknę-

ła.

Po chwili zrobił to samo z drugą piersią, a kiedy ich usta się połączyły, Sky miała wra-

żenie, że się rozpada na dwie części. I pomimo usilnych starań, by zachować nieruchomą pozycję, górna połowa jej ciała wiła się, gdy kontynuował rytmiczny, łaskoczący masaż, używając do tego jak przedtem rąk, palców, ust i języka, podczas gdy dolna połowa ciała, pochwycona w żelazny uścisk, zdawała się całkowicie pozbawiona mocy i w ogóle do niej nie nale-

żeć.

Sciągnął ją na krawędź łóżka, aż jęcząc i płacząc błagała go, żeby ją puścił, a potem, niespodziewanie, uwolnił jej biodra. Pochwycił go, spodziewając się, że w nią wejdzie.

- Prosiłem, żebyś nic nie robiła. - Ponownie rozłożył na boki jej ręce i wsunął dłonie pod plecy. - Obróć się na brzuch.

- Mam nadzieję, że wytrzymam... - Nie przypuszczała, że jest zdolna do wydania z siebie aż tak chrapliwego głosu.

- Ci... - Pchnął jej głowę w dół na poduszkę, a Sky ponownie poddała się jego pieściznie, gdy przesuwając wzdłuż kręgosłupa złączone dłonie, które rozsunął dopiero po napotkaniu wypukłości jej bioder.

Jęknęła. Kciukami nacisnął szczelinę pomiędzy jej pośladkami jak wtedy, kiedy pieścił

skórę pod biustem. Sky mimowolnie podciągnęła nogi w górę, czując szmerzący wewnątrz niej orgazm.

- Jeszcze nie, zaczekaj...

Ponownie wyprostował ją na łóżku, nieco rozsuwając na boki jej uda. I jeszcze raz powoli powtórzył to samo, dręcząc ją, choć wiała się, rzucała i błagała.

- Twoja skóra jest biała niczym łabędzie pióra... - Gładził palcami jej pośladki. - Jesteś najpiękniejszą, najdoskonalszą ze wszystkich kobiet, jesteś białą czapłą i białym delfinem...

Wiedziała, że to już koniec.

- Nie mogę dłużej...

W jednej chwili uniósł w górę uda Sky i wszedł w nią od tyłu, obejmując swymi du-

żymi dłońmi jej piersi i brzuch. Całował jej skórę pod łopatkami i na plecach, aż przeszedł ją dreszcz i wydała się z siebie przeciągły okrzyk, który zdawał się dobywać z czyjegoś, lecz nie z jej gardła. Z oddali usłyszała, że się do niej dołączył.

Jako pierwszy odzyskał oddech.

- Jezu! Co za rakietka! Całe szczęście, że nie zwlekaliśmy z tym do czasu kolejnej wizyty w zajezdni „Pod Indiańskim Pióropuszem”. Ktoś mógłby zawezwać kierownika hotelu.

Najchętniej nigdy więcej nie otwierałaby oczu. Poduszka pod policzkiem była miękka R S

niczym woda w ciepłym basenie.

- Jesteś w tym dobry, Lynskey - wydyszała. - Powinieneś to opatentować, wszystkie kobiety dobijałyby się do twoich drzwi.

- Dziękuję. - Stoczył się z jej pleców na łóżko. - Sądzę jednak, że w obecnych czasach świat stał się nieco zbyt nieśmiały.

- Chciałabym cię tylko o jedno zapytać.

Przewróciła się na plecy. Na suficie siedział komar i kiedy Sky go obserwowała, zdawał się zataczać, opity krwią, i na przemian rósł, to znów malał w jej oczach...

- Słucham? - Lynskey czule odgarnął włosy z jej czoła.

- Białe czaple? - Spojrzała na niego uważnie. - Łabędzie, delfiny?

Zrobił skruszoną minę.

- Nie przypuszczałem, że jesteś w stanie cokolwiek usłyszeć.

Sięgnęła do tyłu, chwyciła się zagłówek i podciągnęła w górę, prężąc ciało. Odnosiła wrażenie, że została przeniesiona w inny stan bytu, gdzie ludzka skóra i kości stają się rozcią-

gliwe niczym elastyczne włókna. Nagle przed jej oczami pojawiła się Johanna i Sky usiadła na łóżku.

- Moja matka. Musimy wracać... w każdym razie ja muszę wracać. Podrzucę cię gdzieś po drodze.

- Wykluczone! Jadę razem z tobą - Lynskey cmoknął ją leniwie w nos i wyskoczył z łóżka.

- No to się zbierajmy.

Razem weszli pod prysznic, a kiedy się wycierali, Sky spostrzegła tuż poniżej jego biodra mały ślad wielkości monety dziesięciocentowej.

- Co to jest? - spytała. - Wygląda na bliznę.

- Urodziłem się z tym znamieniem - odparł bez namysłu. - Kobiety je uwielbiają. Stanowi wspaniały temat do nawiązania rozmowy.

W chwili kiedy żartobliwie próbowała dać mu klapsa, zadzwonił telefon.

- A niech to diabli! - Znowu zatrwożona, że dzwonią ze szpitala i nękana wyrzutami sumienia, że już dawno powinna tam być, owinęła się ręcznikiem i popędziła w stronę aparatu. Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Cieszę się, że cię złapałem. - Beznamiętny głos szefa w jednej chwili przywrócił jej spokój. - Próbowałem skontaktować się z tobą w szpitalu, lecz dowiedziałem się, że pojechała-R S

łaś na moment do domu.

- Tak, na chwilę, aby przywieźć kilka rzeczy. - Podrapała się rogiem ręcznika w ramię.

- Co z twoją matką? W szpitalu nie chcieli mi udzielić żadnych informacji.

Sky możliwie jak najzwyczajniej powtórzyła mu rozmowę ze specjalistą. Jimbo odchrząknął, gdy skończyła wyjaśnienia.

- Słuchaj Sky, nie śpiesz się z powrotem do pracy. I nawet nie myśl o redakcji. Jakoś sobie poradzimy. Przypuszczam też, że martwią cię wydatki. Porozmawiamy o tym przy najbliższej okazji, gdy wpadniesz.

- Dziękuję. - Była wzruszona. Może, pomimo wszystko, Butte nie było wcale aż tak podłą miejscina. Nagle pomyślała o wszystkich czekach znalezionych w dolnej szufladzie komody matki. Powinna niezwłocznie skontaktować się z wujem Franceyem. - Stokrotne dzięki, Jimbo, ale nie sądzę, żeby pomoc finansowa była konieczna. Co z materiałami z rodeo?

- Czy mogłabyś jutro podrzucić notatki do redakcji? Dam je stażystce do przepisania.

- Mam nadzieję, że zdoła je odczytać. - Sky obrzuciła wzrokiem hieroglify w swoim notatniku.

- Najwyższa pora, żeby się nauczyła, nie sądzisz? - Jimbo zakończył temat, a po chwili dodał z nietypowym dla siebie wahaniem: - Chciałbym cię jeszcze zapytać o jedno. - Ponownie odchrząknął. - Czy ten irlandzki nauczyciel jest tam teraz z tobą?

- Nie. - Skłamała natychmiast. - Dlaczego pytasz?

- Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia, ale muszę z tobą o nim porozmawiać, Sky. Widzisz, to raczej delikatna sprawa...

Milczała, świadoma, że woda w prysznicu została zakręcona i Lynskey może coś usłyszeć.

- Jesteś tam?

- Tak, jestem. - Obróciła się tyłem do łazienkowych drzwi.

- Tylko się nie denerwuj. - Głos redaktora naczelnego przybrał szorstkie brzmienie. -

Mam nadzieję, że nie uznasz tego za wtrącanie się w nie swoje sprawy, jest jednak coś, o czym powinnaś w związku z nim wiedzieć.

- Nie teraz. - Fergus wyszedł z łazienki i cicho stąpając korytarzem, zmierzał w stronę sypialni.

- Oczywiście. - Ton szefa stał się jeszcze bardziej bezosobowy. - Zadzwoń do mnie, gdy będziesz mogła swobodnie rozmawiać. Tymczasem uważaj na siebie. I przekaz ode mnie R S

pozdrowienia swojej matce. Sam również posyła ci całusy. Prosiła, żebym cię do nas zaprosił

na kolację w dogodnym dla ciebie terminie. Nie będę cię zadreślał telefonami. Czekam na wiadomość.

- Dzięki. I przekaz Sam moje podziękowania.

- Nie omieszka tego zrobić. - Jimbo rozłączył się, zanim zdążyła się pożegnać.

Powoli odłożyła słuchawkę. Euforia sprzed kilku zaledwie minut zniknęła i Sky miała wrażenie, że uleciało z niej życie. Wiedziała, że Jimbo Larsen nigdy nie pozwoliłby sobie na powtarzanie plotek ani na mieszanie się w cudze prywatne sprawy. Musiał mieć w pełni uzasadniony powód, żeby powiedzieć jej to, co przed chwilą usłyszała. Skierowała wzrok w stronę sypialni. Korytarz, gdzie stała, był pozbawiony okien i wylewający się z pokoju strumień słonecznego światła wydał się jej wyjątkowo oślepiający. Z sypialni nie dochodziły żadne dźwięki - Lyskey ubierał się bezszelestnie.

Wyczuł za plecami jej obecność, gdy weszła do pokoju.

- Czy są jakieś wieści? - Okryty samym ręcznikiem, odwrócił się od lustra, przy którym się cesał.

- Nie masz nic przeciwko temu? - Pytająco uniósł do góry jedną z jej szczotek.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To nie był telefon ze szpitala. Rozmawiałam z moim redaktorem naczelnym. Dopytywał się o mamę. Zaczynam się trochę niepokoić. Okropnie długo mnie tam nie było. Czy możemy się pośpieszyć?

Zmierzył ją bystrym spojrzeniem i nabrała obawy, że się przed nim zdradzi. Nie odezwał się jednak i oboje ubrali się w milczenie.

W samochodzie starała się zachowywać normalnie; wzięła nawet Lyskeya za rękę.

Jednakże przez cały czas ostrzeżenie Jima brzmiało jej w uszach niczym syrena: „Jest coś, o czym powinnaś w związku z nim wiedzieć”.

- Dobrze się czujesz? Stałaś się bardzo milcząca. - Gdy zbliżali się do szpitala, podniósł do ust jej rękę i pocałował wewnątrz dłoni.

- Nie, nic mi nie jest. - Posłała mu lekki uśmiech. - Myślę, że dopiero teraz w pełni docierają do mnie fakty. Czuję się okropnie, że my... no, wiesz... podczas gdy moja biedna matka leżała tutaj w takim stanie...

- Nie martw się, kochanie. Lekarze dokonują teraz cudów. Jesteś pewna, że tylko to cię trapi? Nie żałujesz tego, co zrobiliśmy?

R S

Gdy spojrzała na niego, dostrzegła w jego oczach czujność.

- Oczywiście, że nie. - Uścisnęła jego rękę, łudząc się, że odbierze to jako oznakę rado-

ści.

- Cieszę się. - Wyraźnie się odprężył i odwzajemnił uścisk. - Bo ja z całą pewnością nie żałuję. I nie mogę się doczekać na ciąg dalszy. - Sky uśmiechnęła się, lecz odgadła po wyrazie niepokoju w jego oczach, że jej nie uwierzył.

Johanna nadal spała, gdy do niej weszli. Obie jej wierne towarzyszki trzymały wartę przy łóżku.

- Przynajmniej nie cierpi. - Buffy pogłaskała bezwładną dłoń przyjaciółki. - Na pewno przeżyłaś straszliwy szok, Sky, biedactwo.

Pod wpływem ogromnych wyrzutów sumienia, że baraszkowała z Fergusiem, podczas gdy matka leżała nieprzytomna, Sky poczuła skurcze w żołądku.

- Chyba nie zapadła w śpiączkę? - Spojrzała z góry na bladą, uwięzioną w szynach twarz Johanny.

- Nie. - Hermana z trudem podniosła się z miejsca i rozprostowała swe tęgie ciało. -

Lekarz twierdzi, że jest w doskonałej formie. Jej sen to efekt działania środków znieczulają-

cych i uspokajających. Chcą, żeby spała aż do jutrzejszej operacji. Och, witam, znowu się spotykamy! - powiedziała na widok niezdecydowanie przestępującego z nogi na nogę w drzwiach mężczyzny.

Przez następną godzinę wchodzili i wychodzili z sali Johanny i naradzali się cicho z personelem medycznym, który nie robił nic poza monitorowaniem funkcji życiowych pacjentki. Lyskey przyniósł kawę oraz kanapki i był na usługi trzech kobiet, później zaś stał się niezastąpiony i przejął nad nimi kierownictwo. Nawet stażysta zaczął okazywać mu szczególne względy i ilekroć miał coś do powiedzenia, zwracał się najpierw do niego.

Sky czuła się przez to jeszcze bardziej bezradna i winna, a także, na skutek niepokoju wywołanego słowami Jima, coraz bardziej zdenerwowana. Starła się nie okazywać tego, lecz za drugim lub trzecim razem, kiedy stażysta po zbadaniu ciśnienia krwi Johanny odwrócił się tyłem do niej, żeby porozmawiać z Lyskeyem, sala, przestronna jak większość szpitalnych pomieszczeń, wydała jej się nagle ciasna i zatłoczona.

- Pan wybaczy, doktorze, ale to ja jestem krewną pacjentki! - Nie przejmowała się wcale, że może się wydać małostkowa. - Będę wdzięczna, jeśli będzie pan informował mnie o stanie pacjentki. - Zarówno lekarz, jak i Fergus ze zdumieniem obrócili w jej stronę głowy. - Je-R S

stem jej córką - dodała.

- Pójdę już. - Irlandczyk pojął, o co chodzi. - Wszystko w porządku - uprzedził przy-puszczalne protesty Hermany. - Sky jest w stanie wielkiego napięcia, doskonale to rozumiem.

- I odszedł, pozostawiając ją z poczuciem zawodu. Czyż nie tego chciała?

Kiedy chwilę później opuszczała szpital, dając się namówić na odpoczynek „Siostram Błogości”, o mało nie wpadła na mężczyznę z bukietem kwiatów.

- Greg! - próbowała nadać swemu głosowi rzeczowe brzmienie. - Zamierzałam zadzwonić do ciebie i umówić się na rozmowę. Naprawdę. A potem...

- Przykro mi z powodu twojej mamy - przerwał jej i wręczył kwiaty. - Czy mógłbym w czymś pomóc?

- Dzięki, ale nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. - Nie zadała sobie trudu, aby spytać, jak się dowiedział. - Doceniam twoje dobre chęci. Słuchaj - dodała impulsywnie. -

Chciałabym, żebyśmy porozmawiali.

- Kiedy? - odezwał się po chwili wahania i zaraz przybrał obronną pozę. - Tylko daruj sobie te bzdury z przyjaźnią.

- Twoja dzisiejsza wizyta tutaj dowodzi, że nadal się przyjaźnimy.

Znowu zaległa cisza.

- Czy zniesiesz moje towarzystwo? - spytał po chwili. - Mogę pojechać razem z tobą do domu?

Nie widziała powodu, dla którego miałyby mu odmówić. Wiele mu zawdzięczała. Co prawda czekały ją poważne przemyślenia w związku z Lynskeyem, jednak wcale nie była pewna, czy chce poznać prawdę o nim. Dobrze wiedziała, że nadchodzące godziny w pustym mieszkaniu będą jej się dłużyć niczym lata.

- Mam pomysł. - Odruchowo wzięła go pod rękę. - Wybierzmy się na spacer. - Spojrza-

ła na zegarek. - Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowo ciepły, a mnie dobrze zrobi trochę świeżego powietrza. - I dodała zaraz, w obawie przed zamiłowaniem Grega do górskich wspinaczek:

- Mam na myśli niedaleką przechadzkę. Może przespacerujemy się gdzieś po lesie?

Gdy zostawili miasto za sobą, widok otwartych przestrzeni Montany nieco podniósł

Sky na duchu. W tak uroczy wieczór jak dzisiaj, kiedy zachodzące słońce barwiło złotem ośnieżone szczyty, entuzjastyczne opisy pisarzy wydawały się w pełni uzasadnione - te wiecznie trzymające straż góry, postrzępione i strzeliste, sprawiały, że wszystko inne wydawało się mniejsze, łącznie z troskami R. Sky MacPherson.

R S

Jechali w milczeniu, dopóki Greg nie zboczył z autostrady i nie skręcił w wąską drogę biegnącą przez las.

- Prosiłam cię o rozmowę - odezwała się Sky. - Nie wiem jednak, co powiedzieć. Naprawdę. Jedyne, co mi obecnie przychodzi do głowy, to podziękowanie.

Zamierzał wziąć ją za rękę, ale się powstrzymał. Palcem uniósł rondo kapelusza, mocniej przesuając go na tył głowy. Uśmiechnął się do niej:

- Przykro mi, że nam nie wyszło. Nie zapomnij o mnie. - Znowu zapatrzył się przed siebie. - Jeśli kiedyś zmienisz zdanie...

Poczuła się podle, wiedziała jednak, że postąpi gorzej, zostawiając mu bodaj cień nadziei.

Zagłębili się w jedną z wąskich leśnych drózek, która biegła w tunelu orzeźwiającej zieleni pomiędzy pniami północnoamerykańskich sosen, całkiem pozbawionych igieł na tym poziomie: ogromna liczba drzew zmuszała je do pięcia się w górę w pogoni za światłem.

Samochód terenowy, którego resory były przystosowane do tego rodzaju drogi, wesoło podskakiwał na wybojach. Temperatura powietrza wyraźnie spadła. Sky trzymała się obiema rękami siedzenia i obserwowała grę światła na masce pojazdu. Pomimo świadomości, że została wystrychnięta na dudka przez Lynskeya, a także przygnębienia, iż nie potrafił rozstać się z wdziękiem z siedzącym obok niej mężczyzną, nie mogła pozostać obojętna na wpływ otoczenia. Odczuwała radość z przebywania w tym odosobnionym miejscu i chociaż nigdy nie próbowała nurkować, domyślała się, że zanurzaniu się coraz głębiej w nieznaną, podwodny świat musi towarzyszyć podobne wrażenie.

Greg zjechał na pobocze i wysiedli z pojazdu.

Po hałasie panującym w kabinie nagły spokój, gdy szli pod zielonym, wysokim baldachimem, wydawał się początkowo absolutny. Dopiero po chwili zaczęły do nich docierać odgłosy lasu; był to rodzaj ciszy, na którą składały się niezliczone dźwięki: ledwo słyszalny świergot, trzepotanie skrzydeł, szelesty, ciche trzaski, brzęczenie i klekot. Brzmienia te niosły się poprzez leśną gęstwinę. Sky szła przodem, wyprzedzając nieco swojego towarzysza. Czu-

ła na sobie czyjeś oczy. Usiłowała odsunąć od siebie wszystkie myśli, koncentrując uwagę na woni sosen oraz na ciężkim, stęchłym zapachu kory i ściółki leśnej.

Coraz bardziej narastała w niej jednak przytłaczająca świadomość milczącej obecności Grega, który podążał tuż za nią. Na ścieżce przed nimi jasny motyl zatrzepotał skrzydłami, poderwał się do góry znad stokrotki o czarnym środku i różowych płatkach, tańcząc w smu-R S

dze światła pomiędzy drzewami. Sky obserwowała jego lot, dopóki nie ukrył się w cieniu.

Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że zapadała ciemność. Noc stawała się coraz głębsza. Sky wiedziała, że teraz musi zrobić to, co zamierzała, w przeciwnym razie nigdy się nie odważy.

- Greg? - przystanęła, odwracając się twarzą do mężczyzny. On również się zatrzymał.

- Wiem, że to tylko słowa, ale jest mi naprawdę przykro, o wiele bardziej, niż to potrafię wyrazić.

Wydawał się straszliwie przygnębiony i gdyby potrafiła przejąć część jego bólu, nie zawahałaby się tego zrobić. Miała ochotę go pocałować, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

- Chciałam porozmawiać, lecz prawdę mówiąc, niewiele jest do powiedzenia, nie sądzisz?

- Chyba nie. Kocham... to znaczy, kochałem cię, Sky.

- Wiem o tym.

Bezradnie dotknęła jego ręki. Nie zareagował. Pokonany, nie zamierzał jej pomagać, a Sky nie mogła go za to winić. Cofnęła się nieco.

- Na cóż... lepiej już wracajmy.

- Wracajmy. - Odwrócił się i z nadmiernym pośpiechem ruszył w stronę samochodu, znacznie ją wyprzedzając.

Przynajmniej spróbowała. Potrzebował jednej z tych ślicznych i wesołych szczebiotek, do których grona Sky nie należała. A jednak im bardziej próbowała utwierdzić się w słuszno-

ści własnego postępowania, z każdym krokiem, który stawiała, podążając za jego nienaturalnie sztywną sylwetką, czuła się coraz bardziej winna.

Greg zachowywał się w sposób oficjalny i chłodny przez całą drogę powrotną. Tym większe było jej zaskoczenie, gdy zgodził się wstąpić do niej na herbatę, na którą zaprosiła go bez zastanowienia. Zawsze zwykła to robić, ilekroć podwoził ją do domu.

Po wejściu do mieszkania miała jednak pełne ręce roboty, a jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Posadziła Grega w kuchni, a sama podjęła próbę skontaktowania się z ciotkami oraz wujem Franceyem i powiadomienia ich o wypadku matki. Francey, wielki miłośnik koni, pojechał właśnie na wystawę; jego żona też była nieobecna. Sky zostawiła wiadomość służącemu, prosząc, żeby wuj po powrocie niezwłocznie do niej zadzwonił. Ciotki Constance również nie zastała w domu i rozmawiała z jej mężem. Udało się jej natomiast dotrzeć do dwóch ciotek w Ameryce i do Margaret, która nadal mieszkała w West Cork.

Telefon w domu Elizabeth nie odpowiadał, Sky przypuszczała jednak, że teraz, kiedy R S

poczta pantoflowa została uruchomiona, babka wkrótce o wszystkim się dowie. Margaret była zdania, że matka wybierze się w podróż, uważała jednak, że sama powinna pokryć jej koszty.

- Nie jesteśmy ubogimi krewnymi. - Głos ciotki zabrzmiał cierpko.

Po odłożeniu słuchawki Sky spojrzała na zegarek i wróciła do Grega. Żałowała, że go zaprosiła. Doszła do wniosku, że wokół niej dzieje się zbyt wiele i w zbyt zawrotnym tempie.

Postanowiła się uspokoić i zrobić listę spraw do załatwienia, według ich ważności. Matka by-

ła na pierwszym miejscu - przed wizytą babki, przed zagadkowym telefonem szefa, przed Gregiem i sensacyjną historią związaną z Treacym.

- Przepraszam, że tak długo to trwało. - Z przyklepionym do twarzy uśmiechem podniosła wzrok na siedzącego mężczyznę.

Jednak gdy tylko zdążyła usiąść obok przy stole, rozległ się dzwonek u drzwi.

- Och Boże, panuje tutaj dzisiaj ruch jak na dworcu głównym. - Ciężko podniosła się z krzesła i poszła wpuścić niezapowiedzianego gościa.

W drzwiach stał Lynskey. Na podjeździe za jego plecami Sky dostrzegła wycofującą się taksówkę.

- Próbowałem złapać cię telefonicznie. - Irlandczyk zmienił ubranie i prezentował się dość elegancko w sportowej marynarce i długich spodniach. Wyciągnął ręce do Sky w przeproszającym geście. - Przez cały czas wisiałaś na telefonie. Nie mogłem się doczekać. Wysłuchaj mnie, zanim cokolwiek powiesz. - Wydawał się niemal nieśmiały. - Wiem, że zachowywałem się w szpitalu w sposób zbyt apodyktyczny. Czy mi wybaczysz? Czasami mnie ponosi.

Przypuszczam, że ma to związek z moim zawodem nauczyciela. Starłem się jedynie pomóc.

Najpierw rozległ się zdradziecki chichot, a potem Sky zaniósła się od śmiechu.

- To jakiś koszmar...

- O co chodzi, Sky? Czy mam odejść? Powiedz mi, co chcesz, żebym zrobił? Przestań się śmiać. - Chwyił ją za nadgarstki. - Czy to atak hysterii? Sky, na miłość boską, nie chcę ci niczego utrudniać...

- A sądzisz, że jeszcze mógłbyś? - Śmiała się teraz w sposób całkowicie niekontrolowany. - Wejdz. Właśnie jest u mnie Greg. Och, mój Boże! - Zgięła się wpół, po twarzy spływały jej łzy. - Rozgoście się wszyscy.

Lynskey zmierzył ją pustym wzrokiem.

- Greg?

- Wejdz. - Wciągnęła Fergusa do środka i zamknęła drzwi. Zdołała nieco odzyskać nad R S

sobą panowanie, nim wprowadziła go do kuchni. - Poznajcie się, to jest Greg, a to Fergus. Napijesz się kawy, Fergusie? Och, przepraszam, powinnam raczej zaproponować herbatę, prawda?

Pomiędzy mężczyznami zaległa niezręczna cisza i po chwili Greg wstał.

- Lepiej już pójdę.

- Czy na pewno nie masz ochoty na jeszcze jedną kawę? - Sky wciąż była w figlarnym nastroju.

- Nie, dziękuję. - Greg przesunął swój kapelusz z szerokim rondem na tył głowy. -

Wiesz, gdzie mnie szukać w razie potrzeby. Przekaż pozdrowienia mamie. Nie musisz mnie odprowadzać do wyjścia, znam drogę. - I odszedł, a po kilku sekundach w mieszkaniu odbił

się głośnym echem trzask frontowych drzwi.

- Przepraszam, nie wiedziałem... - Lyskey ociągał się z wejściem do kuchni i stał, opierając się plecami o futrynę drzwi.

Sky wzięła ze stołu kubek Grega i zaniósła go do zlewu. Wycisnęła do środka płyn do mycia naczyń w ilości, która wystarczyłaby na pozmywanie talerzy po obiedzie całej Szóstej Floty. Gdy odkręciła kurek, puszczając wodę, i zaczęła szorować naczynie zmywakiem, jak gdyby chciała zetrzeć delikatny wzór ze stokrotek i słoneczników, Lyskey podszedł do niej, zmarszczył brwi i zmierzył ją wzrokiem.

- O co chodzi, Sky? - spytał cichym głosem. - Czy zrobiłem coś niewłaściwego?

- Nie. - Jeszcze mocniej tarła kubek, a potem puściła większy strumień wody, ażeby go spłukać.

- Wiem, że coś się stało.

- Ktoś mi powiedział, że powinnam czegoś o tobie się dowiedzieć. - Odstawiła kubek i zaczęła dłubać w grudce ściętego tłuszczu, w szparze pomiędzy fornirem roboczego blatu a metalowym zlewozmywakiem.

- Kto? Co ci powiedzieli?

Inny mężczyzna udawałby oburzonego, wściekłego czy choćby dotkniętego. Lyskey nie wydawał się nawet szczególnie zainteresowany odpowiedzią.

Sky utkwiała w nim oczy.

- Tylko tyle: że jest coś, co powinnam o tobie wiedzieć. Co powinnam o tobie wiedzieć, Lyskey?

- Może chodzi o... - Cokolwiek zamierzał powiedzieć, ugryzł się w język. - Moje życie *R S*

jest niczym otwarta księga - oświadczył, starając się uśmiechnąć.

- Nie wierzę ci. - Ponownie odwróciła się przodem do zlewu i od początku zaczęła szorować kubek.

Lyskey podszedł i objął ją ramionami.

- Możesz mi zaufać, R. Sky MacPherson.

Mocno przytulił ją do siebie, a w pieszczocie tej nie było pożądanego, tylko tklivość.

- Nie traktuj mnie w protekcyjny sposób. - Usłyszała echo słów Grega, lecz wcale się tym nie przejęła.

Przez chwilę toczyła ze sobą walkę, lecz w końcu poddała się ciepłu i uczuciu odprę-

żenia. Była bardzo, ale to bardzo zmęczona i nagle przestało ją obchodzić to, kto jest godny zaufania, a kto nie. Kiedy Lynskey gładził ją po włosach, stwierdziła, że w tym momencie nie mają dla niej znaczenia żadne rewelacyjne dziennikarskie historie, sensacyjne nagłówki ani też gazeta „Butte Courier”.

Co z tego, jeśli nawet Lynskey był związany z inną kobietą i ją okłamywał? Liczyła się tylko obecna chwila, a teraz Sky czuła się bezpieczna i spokojna.

Jedną ręką wziął ją pod brodę i unióśł do góry jej twarz.

- Przysięgam - jego głos przybrał głębokie brzmienie - przysięgam, że możesz mi zaufać.

Jednakże ponad jej głową oczy mężczyzny były mroczne i pełne wątpliwości. Niewiele brakowało, a wyjawiłby prawdę. I powiedziałby Sky, że się w niej zakochał.

Rozdział 20

Sky z radością zgodziła się, gdy Lynskey zaproponował, że zawiezie ją do szpitala.

Sama mogłaby zasnąć za kierownicą.

Usiłował ją odwieść od zamiaru odwiedzenia matki - niewiele mogła tam pomóc. Mia-

ła jednak wyrzuty sumienia i w końcu dał za wygraną.

- Muszę po drodze wstąpić do hotelu - uprzedził, otwierając drzwi od strony pasażera. -

Czekam na wiadomość. Przyjaciółka jednej z moich sióstr mieszka w Seattle i w tym tygodniu spodziewa się mojej wizyty. Dzwoniłem już do niej, aby powiedzieć, że zmieniłem plany - bo przecież moje plany uległy zmianie, prawda? Nie zastałem jej jednak w domu. PrzyR S

puszczam, że dzisiaj do mnie zatelefonuje.

Gdy zajechali pod hotel, Sky postanowiła zaczekać w samochodzie. Wszystko ją bolało i zastanawiała się, jak zdoła przetrwać noc, nie mówiąc już o jutrzejszym dniu. Jej spokój burzyła nie tylko troska o matkę; lękała się także tego, co miał jej do przekazania o Irlandczyku Jimbo. Wolałaby nic nie wiedzieć. I choć była bardzo ostrożna i starała się nie pokładać zbyt wielkich nadziei w tym nowym związku, który zrodził się po zerwaniu z Gregiem, żarliwa prośba Lynskeya o zaufanie padła na podatny grunt. Sky bardzo pragnęła mu wierzyć.

Zaparkował samochód przed samym wejściem do hotelu i za każdym razem, ilekroć otwierały się oszklone drzwi, Sky miała okazję zobaczyć w holu grupki rozmawiających ze sobą uczestników

zjazdu. W końcu wypatrzyła również Lynskeya. Stał, trzymając coś brązowego w dłoni i ze zmarszczonym czołem czytał notatkę na białej kartce papieru. Wkrótce pojawił się w drzwiach. Sky opuściła boczną szybę, gdy zmierzał w jej stronę, stawiając duże kroki.

- Wszystko w porządku?

- Otrzymałem wiadomość. - Przykucnął, aby z nią porozmawiać. - Będę musiał zatelefonować z mojego pokoju. Nie weźmiesz mi tego za złe? Może wejdiesz do środka i napiszesz się czegoś w barze?

- Nie, zaczekam tutaj. - Nie zniosłaby zgiełku, jaki nieodłącznie towarzyszył rozmowom uczestników zjazdu.

- Jak sobie życzysz. Zaraz wrócę.

Kiedy się oddalał długimi susami, Sky zidentyfikowała brązowy przedmiot, który wystawał mu teraz z kieszeni marynarki - była to niewielka koperta. Czyżby służba hotelowa przekazywała gościom telefoniczne wiadomości w zwykłych kopertach z szarego papieru?

Lynskey skierował się prosto do stanowiska recepcji i położył przesyłkę na ladzie przed sobą.

- Przepraszam - zwrócił się do młodego recepcjonisty. - Czy przypomina pan sobie, kto zostawił dla mnie tę wiadomość? Jeśli nie rozpoznał pan osoby, może przynajmniej potrafiłby pan ją opisać?

- Niestety nie.

Urzędnik podszedł, ażeby wziąć kopertę do ręki, lecz Lynskey był szybszy, odsunął ją palcem, aż znalazła się poza zasięgiem młodego mężczyzny.

- Czy mogła być doręczona przez posłańca?

- Nie potrafię panu pomóc. Dopiero przed chwilą przyszedłem do pracy. - Urzędnik *R S*

wyciągnął notatnik spod blatu recepcyjnego. - Jeśli pan sobie życzy, porozmawiam z kolegą z poprzedniej zmiany, obawiam się jednak, że już wyszedł.

- W porządku. Dowiem się jutro; bardzo mi zależy na tej informacji. Jak się nazywa pański kolega z wcześniejszej zmiany? - Lynskey sięgnął po kartkę z firmowym znakiem hotelu i zanotował nazwisko podane przez urzędnika. - Czy jest pan pewien, że nie było dla mnie innych przesyłek? I że otrzymałem tylko tę jedną telefoniczną wiadomość?

Recepcjonista ponownie sprawdził przegródkę Irlandczyka.

- To wszystko, co miałem panu do przekazania dzisiejszego wieczora. - Fergus podzię-

kował i pośpiesznie ruszył do windy.

W pokoju wystukał kombinację cyfr w szyfrowym zamku teczki. Jednakże zanim zatelefonował do głównego inspektora, wyciągnął z kieszeni nesesera małą plastikową torbę i ostrożnie umieścił w niej brązową kopertę. Potem wyjął następną i trzymając ją otwartą w lewej ręce, wydobyl z kieszeni marynarki mały przedmiot, który wrzucił do środka. Była to kula z pistoletu.

W centrali wywołał numer szefa. Nie zatrwożyło go ostrzeżenie, które nadeszło w kopercie z szarego papieru, spodziewał się go prędzej czy później. W pewnym sensie czuł się nawet usatysfakcjonowany: oznaczało, że coś osiągnął.

W pierwszej chwili główny inspektor był wściekły, że wyrwano go ze snu, po chwili jednak się udobruchał i opowiedział o wydarzeniach w Killybegs, łącznie ze zniszczeniem samochodów. Lyskey wysłuchał relacji w milczeniu. Całkowicie pochłonięty własną misją, niewiele miał jednak sugestii dla Daly'ego. Inspektor dowiedziawszy się o pocisku, był w znacznie mniej optymistycznym nastroju od swego podwładnego.

- Nie tylko o ciebie chodzi! Wciągnąłeś również w naszą sprawę tę reporterkę! Mam nadzieję, że nie zorientowała się co do rozmiarów akcji?

- Nie. - Lyskey był zadowolony, że przyjaciel nie może zobaczyć szerokiego uśmiechu na jego twarzy. - Jest przekonana, że historia ogranicza się do Treacy'ego i jego żony. Nie martw się o nią. Włos jej z głowy nie spadnie. Będę nad nią czuwał.

- Skoro mowa o Treacym, jest w to zamieszany czy nie?

- Dotychczas nie mam dowodu na potwierdzenie żadnej z tych hipotez. Agenci Biura Federalnego również nic nie wiedzą, pomimo nieustannie prowadzonej inwigilacji. Być może Treacy jest tylko pechowym mieszkańcem tego miasteczka. Zobaczymy. Chciałbym jeszcze na jedno zwrócić twoją uwagę: uważam, że ci faceci zbyt łatwo mnie tutaj znaleźli. I nie są-

R S

dzę, ażeby stąd pochodził przeciek, chyba że jestem śledzony przez niewidzialne istoty. Lepiej zacznij się bacznie przyglądać najbliższemu otoczeniu.

- Sprawdzamy naszych pracowników, lecz jak dotychczas wszyscy okazali się czyści.

Co zaś się tyczy Operacji Omega, nikt o niej nie wie, z wyjątkiem mnie, ciebie, pełnomocnika komisji rządowej oraz trzech polityków. Chyba że ci trzej paplają na lewo i prawo o ewentualnej wizycie. Osobiście jednak bardzo w to wątpię.

- No cóż, mnie już nic nie zdziwi. Próbuje dalej. - Lyskey przypomniał sobie, że Sky czeka na niego w samochodzie i spojrzął na zegarek. - Przekażę dwie próbki i film do Biura Federalnego, najdalej we wtorek powinieneś otrzymać wyniki. I mam nadzieję, że aparat fotograficzny okaże się tak doskonały, jak twierdzą pracownicy działu technicznego. Wybrałem się na daleką przejażdżkę. Rozpoznasz na zdjęciu naszego irlandzkiego przyjaciela? - Chociaż zapewniano go o całkowicie bezpiecznych telefonicznych połączeniach satelitarnych, rzadko używał nazwisk. Teraz je wymienił: -

Obaj Kanadyjczycy nie są nam znani. Flynn to ten o wyglądzie Cassidy'ego.

- Powracając do agentów Biura Federalnego, widzisz ich czasami wokół siebie?
- Od czasu do czasu. W niektórych dzielnicach Dublina nie przetrwaliby minuty. Są widoczni jak na dłoni, nawet kiedy próbują się wtopić w krajobraz. I żałuj, że nie możesz zobaczyć ich samochodów!
- W razie konieczności skorzystaj z ich pomocy.
- Tak, oczywiście. Muszę już iść. - Wyjaśnił, dokąd się wybiera i opowiedział o wypadku Johnny.
- Wygląda na to, że obie, matka i córka, zawróciły ci w głowie - zauważył lakonicznie przyjaciel, przeciągle wymawiając słowa.
- Chyba masz rację.
- Uważaj na siebie.

Lynskey z uśmiechem nacisnął przycisk: „koniec”. Podobnie jak większość kolegów obaj uwielbiali film „Hill Street Blues”. Przed obejrzeniem powtórki mogła ich jedynie powstrzymać jakaś ważna sprawa albo emisja kolejnego odcinka nowszego serialu - „Prawnicy z Miasta Aniołów”.

Kiedy Sky i Lynskey zjawili się w szpitalu, w sali Johnny przebywała tylko dyżurna pielęgniarka.

- Odesłałam obie panie do domu - oznajmiła, sprawdzając puls pacjentki. - Musiałam *R S* jednak obiecać, że je zawiadomię w razie najmniejszej zmiany w stanie zdrowia chorej. Będzie spała przez całą noc, dlatego nie ma potrzeby, żebyście państwo tutaj siedzieli.
- Wolę zostać. - Sky głębiej zapadła się w fotel, starając się ocenić, czy będzie wygodny.
- Jak państwo sobie życzą. - Siostra sprawdziła poziom kroplówki.
- Co jest podawane pacjentce? - zainteresował się Lynskey.

- Głównie fizjologiczny roztwór soli. - Pielęgniarka owinęła ramię Johnny rękawem do mierzenia ciśnienia i zaczęła pompować powietrze. - Nie musicie państwo rozmawiać szeptem. Chora otrzymuje w kroplówce środki uspokajające i przeciwbólowe. To niemożliwe, żeby rozmowa ją obudziła. Zależy nam na tym, aby pacjentka wykonywała jak najmniej ruchów.

Spojrzała na ciśnieniomierz w dłoni i wypuściła powietrze z rękawa.

- W porządku. - Zanotowała wynik na karcie w nogach łóżka i uśmiechnęła się do Sky.
 - Głowa do góry. Pani mama wspaniale się spisuje. Będę tutaj zaglądać w nocy co jakiś czas.
- Gdybyście państwo czegoś potrzebowali, zarówno pani, jak i pani mąż, proszę mnie zawołać.

Jestem w dyżurce na drugim końcu korytarza. - Zatknęła długopis za kieszeń fartucha na piersi. - Bardzo lubię pani artykuły, panno MacPherson. Moja córka studiuje dziennikarstwo w Northwestern, w stanie Illinois.

- Wspaniale, życzę jej powodzenia. I bardzo pani dziękuję. - Sky nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że kobieta wzięła ją za żonę Lynskeya i po jej wyjściu nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

Drzemała podczas kilku kolejnych godzin, a ze snu wyrywały ją tylko kolejne nocne kontrole pielęgniarki. Wczesnym ranem przebudziła się nagle i zobaczyła, że jest nakryta lekkim pledem. Przez dobrą chwilę była zdezorientowana. Jedyne oświetlenie w pokoju zapewniała zielona żarówka o niskiej mocy na suficie. Wszystkie rzeczy, jakie Sky miała na wprost siebie: gałka u wezłowania, służąca do podnoszenia i opuszczania łóżka, stojak do kroplówki, a nawet listwy zamkniętych weneckich żaluzji za satynowymi firankami, jarzyły się w mrocznym świetle osobliwym blaskiem. Dopiero po chwili, czując specyficzny szpitalny zapach, przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

Potrząsnęła głową, aby rozjaśnić umysł. Z trudem rozprostowała kości. Na podłodze po drugiej stronie łóżka dostrzegła Lynskeya, który siedział po turecku, opierając się plecami o ścianę.

R S

- Masz na coś ochotę? - szepnął, nie poruszając wargami. - Jeśli chcesz, pójde po kawę.

- Która godzina? - Zupełnie zaschło jej w ustach; miała spieczone wargi. Spojrzała poprzez salę na matkę - Johanna spała nadal.

- Właśnie minęła trzecia. - Lynskey przeciągnął się i podniósł z miejsca. - Jaką chcesz kawę? Czarną?

- Tak, proszę.

Gdy wyszedł, Sky przetarła powieki, pod którymi czuła piasek, i wykonała kilka ćwiczeń rozciągających, by poprawić krążenie. Kawa okazała się słaba, wodnista i miała posmak plastiku.

- Ohyda - skrzywiła się z obrzydzeniem.

- To prawda. Jest okropna. - Lynskey rozmasował palcami ramiona Sky, aby zmniejszyć napięcie mięśni. - Przypomina z wyglądu siuśki, to znaczy mocz. Przepraszam. -

Uśmiechnął się szeroko. - Nie pij, jeśli ci nie smakuje. Chcesz, żebym przyniósł jakąś poduszkę? Mogłabyś się położyć na podłodze. Ja będę czuwał. Nie jestem śpiący.

- Chyba powinnam zatelefonować do babki. Obiecałam Treacy'emu. Teraz w Irlandii jest jedenasta przed południem.

Skorzystała z budki telefonicznej w holu obok automatu z napojami, obciążając kosztami rozmowy swój domowy numer. Kiedy uzyskała połączenie, linia w Cork była czysta, jak gdyby Sky nie telefonowała do Europy, lecz do najbliższych sąsiadów. Nie po raz pierwszy uderzyło ją

sposprzeżenie, że głos babki brzmi niezwykle młodo. Elizabeth dowiedziała się już o wypadku Johnny od ciotki Margaret. Była zatroskana, lecz nie sprawiała wrażenia, że wpadła w panikę z powodu tej wieści.

- Cóż za straszliwy pech! Pocieszam się jednak, że w dzisiejszych czasach chirurdzy dokonują cudów.

- Daniel Treacy... to znaczy pan McCarthy, wciąż nalega, abyś wzięła go pod uwagę w swych planach. - Sky głęboko zaczerpnęła powietrza. - Jest zdania, że w tej sytuacji będziesz chciała niezwłocznie przyjechać. Zaproponował ci gościnę.

- Hm - mruknęła wymijająco Elizabeth.

- Słuchaj, babciu. - Sky nie czuła się na siłach, ażeby wstawiać się za Treacym. - On zamierza skontaktować się z tobą osobiście. Chciałam cię tylko uprzedzić o jego telefonie.

- Wciąż nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia, że pojawił się nagle po tylu latach.

Oczywiście wiedziałam, że mieszka w Montanie... - Babka się zawahała. - To trochę głupie, *R S*

nie sądzisz? W naszym wieku... Przez blisko pięćdziesiąt lat nie widziałam Daniela. Nie wiem, ile z tego wszystkiego wiesz, Sky...

- O wszystkim mi powiedział.

- Naprawdę? - Babka zachichotała. - Jest straszliwie niedyskretny!

- Oczywiście, że nie o wszystkim. Najlepiej będzie, jeśli sami uzgodnicie szczegóły, babciu. Zaraz do niego zadzwonię i dam znać, że czekasz na telefon.

Głos starszej pani przybrał bardziej stanowcze brzmienie.

- Bez względu na to, co ustalimy z Danielem, i tak przyjadę odwiedzić Johannę. Najwyższa pora, żebym się w końcu wybrała do Stanów. Każdy powinien przynajmniej raz zobaczyć przed śmiercią ten kraj. I nie mogę się doczekać spotkania z tobą, Sky. Oczywiście mia-

łam nadzieję, że zobaczymy się tutaj, w Irlandii.

- Nie pora mówić o umieraniu, babciu. Masz przed sobą wiele lat życia.

Umówiły się wieczorem na telefon: po operacji Johnny i ustaleniu terminu przylotu babki. Sky po zakończeniu rozmowy niezwłocznie wykręciła domowy numer Treacy'ego.

Uznała, że skoro nikt nie śpi tej nocy, on również będzie na nogach.

- Czy Elizabeth bardzo denerwuje się stanem zdrowia pani matki? - Nie sprawiał wra-

żenia zaspanego.

- Zdziwiłby się pan, słysząc ją! Babcia ma filozoficzny stosunek do wypadku. Niepokoi się, to oczywiste... - Sky nie miała ochoty zbytnio angażować się w tę rozmowę.

- To w pełni zrozumiałe. - Irlandzki akcent biznesmena stał się teraz; bardziej wyraźny.

- Muszę kończyć. Przepraszam, że zadzwoniłam o tej porze, sądziłam jednak, że takie było pańskie życzenie.

- Oczywiście.

Powiedziała, że babka czeka na jego telefon. I choć Treacy miał mnóstwo wątpliwości, pożegnała go najuprzejmiej, jak potrafiła.

Przynajmniej raz Lyskey nie zasypywał jej pytaniami, gdy wróciła do pokoju Johanny. Posadził Sky w fotelu i troskliwie otulił kocem. Świadomość, że jest ktoś, kto panuje nad sytuacją, była cudowna.

- Zwykle nie zachowuję się jak mięczak - usprawiedliwiała się zażenowana.

- Jest trzecia nad ranem. - Przykucnął obok niej i wcisnął głębiej za oparcie rogi koca.

Jego głos miał łagodne brzmienie: - Mała dziewczynka miała dzisiaj bardzo męczący dzień.

Powinna znowu zasnąć.

R S

Kiedy się obudziła jakiś czas potem, Fergusa przy niej nie było. Pomyślała, że poszedł

do łazienki. Przysunęła zegarek bliżej zielonego światła w górze i stwierdziła, że jest dopiero pięć po czwartej. Miała wrażenie, że spała znacznie dłużej. Narzuciła koc na ramiona i owinę-

ła się nim szczelniej.

Nagle, jak to bywa czasami we wczesnych godzinach porannych, pomimo skrajnego zmęczenia, a może właśnie z tego powodu, umysł jej się wyostrzył i zaczęła analizować wydarzenia z ostatnich kilku dni. Tak wiele się działo - zarówno w jej życiu zawodowym, jak i w osobistym - że trudno było uporządkować cały ten galimatias i ustalić prawidłową chronologię faktów. Sporządziła w myślach listę najważniejszych spraw, jakie na nią czekały w ciągu nadchodzącego dnia.

Na pierwszym miejscu był oczywiście zabieg Johanny. Sky postanowiła, że w czasie gdy matka będzie na sali operacyjnej, wróci do domu, weźmie prysznic i zmieni ubranie, zatelefonuje do babki, a potem, w drodze do szpitala, podrzuci stażystce do opracowania swoje notatki z rodeo. I wtedy usłyszy, co Jimbo ma jej do powiedzenia o Lyskeyu. Czy chciała się tego dowiedzieć? Nagle ogarnął ją niepokój.

Gdzie on tak długo się podziewa? Ponownie spojrzała na zegarek. Nie było go już od ponad dziesięciu minut. Zbyt zniecierpliwiona, żeby siedzieć i czekać, odrzuciła koc i poszła sprawdzić, co go zatrzymało.

Od razu go spostrzegła: stał odwrócony do niej bokiem w budce telefonicznej w holu.

Zastanawiała się, z kim może rozmawiać o tak wczesnej porze; na pewno nie z przyjaciółką siostry z Seattle.

Kiedy patrzyła na jego przygarbione plecy i sposób, w jaki trzymał słuchawkę - blisko przy ustach, niemal konspiracyjnie - części łamigłówki zaczęły układać się w całość. Wszystko do siebie pasowało: jego zagadkowe zachowanie, zamknięta walizeczka, uporczywe zainteresowanie Danielem Treacym, łącznie z robieniem zdjęć oraz ostrzeżenia szefa.

Nie było żadnego nauczyciela.

Poczucie zdrady dorównywało przygnębieniu, jakie wywołała w niej świadomość własnej głupoty. Dała się nabrać na najstarszy trik na świecie: na czułe słówka tego mężczyzny i jego przymilne zachowanie.

Z radością poderznęłaby sobie gardło: przekazała mu wszystkie informacje, jakie posiadała. Była zbyt łatwowierna i ogłupiała, aby pójść za tropem swych podejrzeń.

Nie spuszczając go z oczu i gotowa wyjść mu naprzeciw, jeśli się odwróci, bezszelestnie

wycofała się do pokoju matki. Usiadła w fotelu, podciągnęła koc pod brodę i zamknęła oczy.

Miała wrażenie, że wściekłość rozsadzi jej serce. Starła się zapanować nad jego biciem, robiąc długie, głębokie oddechy.

Kiedy Lyskey wrócił do pokoju, poruszyła się, jak gdyby właśnie została wyrwana ze snu.

- Która godzina?

- Kwadrans po czwartej. - Podeszedł do niej i stanął obok. - Czy coś ci przynieść?

Może pistolet, żeby się zastrzelić? Nie powiedziała jednak tego na głos, tylko mocniej otuliła się kocem.

- Dziękuję, Fergusie. Może filiżankę tej okropnej kawy - zasugerowała zaspianym głosem. - To wyjątkowo długa noc, prawda?

- Tak, choć niebawem się skończy. Jeśli ten szpital jest podobny do irlandzkich, wkrótce wszyscy zostaną postawieni na nogi.

Kiedy Sky nabrała pewności, że jest sama, odrzuciła koc i z trudem opanowując wściekłość, wyprostowała się w fotelu. Ależ ten facet ma tupet. Świadomość, że zaledwie przed kilkoma

godzinami wiała się pod tym zdrajcą z ekstazy, spotęgowała jej furię. Delfiny i białe czaple, dobre sobie. Paliła ją twarz. Już ona mu pokaże białe czaple!

Gdy wrócił z kawą, całym wysiłkiem woli zmusiła się do uśmiechu. Pomocna okazała się w tym obecność pielęgniarki, która przyszła, aby zmienić Johannie kroplówkę oraz worek podłączony do cewnika i zbadać ciśnienie krwi. Czynności te trwały kilka minut i do czasu wyjścia kobiety Sky zdołała zapanować nad gniewem. Nie mogła już tylko dłużej usiedzieć w fotelu i zaczęła krążyć po sali niczym wygłodniały kocur.

- Jesteś bardzo wzburzona. - Lyskey stał oparty o ścianę. - Wiem, że to okropne; nie możemy nic zrobić, tylko czekać. Nie chciałbym się powtarzać niczym zdarta płyta, ale naprawdę uważam twoją obecność tutaj za zbyt dużą. Powinnaś się porządnie wyspać we własnym łóżku.

- Nie zdołałabym zasnąć.

- Pewnie masz rację.

Lyskey przyglądał się jej teraz uważnie, okazując jedynie współczucie kochanka i Sky zmusiła się, żeby pamiętać, jaki jest sprytny. Uśmiechnęła się do niego. Zdobyła się nawet na to, aby delikatnie pocałować go w policzek. *R S*

- Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności za wszystko, co dla nas robisz, Fergusie.

Naprawdę jesteś nieoceniony.

- Nie ma o czym mówić. - Podeszedł z wyraźnym zamiarem wzięcia jej w ramiona, lecz zrobiła unik, udając zatopioną w myślach.

- Panuje tu straszliwa duchota. - Zatrzymała się przy oknie i rozsunęła listewki weneckich żaluzji. - Cudowna noc. Zostaniesz przez chwilę na straży? Wyjdę na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Oczywiście.

Siedząc w nissanie na parkingu, usiłowała znaleźć w radiu program, który by ją oderwał od ponurych myśli. Jednakże wszystkie stacje nadawały tylko sentymentalne piosenki miłosne, płaczące melodie w stylu country, muzykę hardrockową oraz zwierzenia osób, któ-

re wylewały swe żale przed dyżurującym w nocnym programie redaktorem. Wyłączyła radio, spuściła szybę i pogłężyła się w ciszy.

Jaskrawe światła nad wejściem rzucały na pusty parking cienie o ostrych konturach, a duży szpitalny gmach, naprzeciw którego siedziała, wyglądał nieprzyjaźnie i obco. Sky poczuła się samotna. Pomimo pobłażliwego stosunku, z jakim zawsze odnosiła się do bujającej w obłokach matki, Johanna, która leżała teraz zaledwie sto metrów dalej unieruchomiona i bezbronna, była zawsze wierną przyjaciółką i trwałą ostoją w jej życiu, czego Sky dotychczas nie doceniała. A jeśli matka umrze na sali operacyjnej?

- Och, mammo - szepnęła w pustkę szpitalnych okien. - Wiesz, że cię kocham, prawda?

Nie mogła znieść dłużej beczynnego siedzenia, a nie miała jeszcze ochoty wracać do środka. Poszperała w samochodowym schowku i znalazła swój notatnik oraz pióro. Zapaliła światło i zanotowała każdy szczegół dotyczący Treacy'ego i Lynskeya.

W związku z tym drugim nasunęły jej się trzy hipotezy: był albo prywatnym detektywem, albo tajnym agentem policji, albo, co uważała za najgorszą ewentualność, dziennikarzem na tropie jakiejś afery.

Sky pocieszała się tylko, że instynkt reporterski jej nie zawiódł. Miała już pewność, iż w całej swej dotychczasowej karierze nie natknęła się na sprawę o tak dużej wadze. A fakt, że Lynskey został tu przysłany aż z Irlandii, świadczył, to afera na skalę międzynarodową. Kluczem do rozwiązania zagadki był Treacy.

W szpitalnym holu Irlandczyk ponownie rozmawiał z głównym inspektorem w Dublinie.

R S

- Przejrzała mnie. Nie wiem w jaki sposób, być może usłyszała coś, gdy rozmawiałem z tobą przed kilkoma minutami, nie mam jednak cienia wątpliwości, że zostałem rozszyfrowany.

Rozdział 21

Kapitan i członkowie załogi „Agnes Monica” odczuwali znużenie. Dotarły do nich wieści o zderzeniu furgonetki z toyotą i w obawie przed wzmożoną aktywnością policji schronili się w skalnej grocie, do której dostęp dla statków wielkości ich trawlera był możliwy jedynie podczas odpływu.

Ukrywali się tak przez dwadzieścia cztery godziny. Rybacka łódź patrolowa przepłyne-

ła obok nich dwukrotnie, za każdym razem w przeciwną stronę, i choć nie zostali dostrzeżeni, kapitan był zdenerwowany. Postanowił, że zanim wyrazi zgodę na udział w następnej akcji tego typu, będzie się domagał lepszego wyposażenia radiowego; sprzęt, jakim obecnie dysponował, nie był wystarczająco nowoczesny, nie mogli więc przechwycić ani rozszyfrować sygnałów nadawanych przez inne statki. Kapitan pocieszał się tylko, że patrolującą jednostką była zwykła łódź rybacka, a nie nuklearny statek podwodny.

Nadeszła pora odpływu i trawler szykował się do wyjścia w morze. Warunki atmosferyczne uległy poprawie: po bezdeszczowym wczesnym poranku znowu padało, ale szkwał

osłabł.

Członkowie załogi zostali pouczeni, aby po powrocie do Killybegs powiadomić kolegów, że musieli się schronić w odosobnionej zatoce w nieosłoniętej części północno-

zachodniego wybrzeża. Mieli nawet przywieźć trochę ryb na dowód podjętych trudów; w drodze powrotnej do domu zamierzali zarzucić sieci.

Przed wypłynięciem kapitan wysłał na zwiady szalupę, aby sprawdzić, czy droga jest wolna. Poziom wód jednak bardzo szybko się podnosił i opuszczenie grotu mogło okazać się wkrótce niemożliwe. Ludzie z szalupy nie zauważyli nic podejrzanego, więc kapitan postanowił zaryzykować wyjście z kryjówki.

Kiedy znaleźli się na pełnym morzu, radio łączące jednostkę z brzegiem, które milczało w głębokiej grocie skalnej, zbudziło się z trzaskiem do życia. Wiadomości nie były pomyślne: w Killybegs aż roiło się od policji. Jakiś głupiec postanowił zniszczyć dowody i razem z wrakiem hiace wysadził w powietrze pół parkingu przed posterunkiem; w tym trzy samochody policyjne. I co było najbardziej niepokojące, władze uznały to za atak lojalistów w odwecie za akcję na rozgłośnię radiową w Strabane, przeprowadzoną przez IRA.

Oznaczało to, że chcą zamydlić oczy dziennikarzom. Dla kapitana, doświadczonego weterana wielu akcji, które miały niewiele wspólnego z rybołówstwem, było to równoznaczne z informacją, że tamci wiedzą, czego szukają. A w każdym razie tak im się wydaje.

Otrzymał rozkaz powrotu do bazy i stawienia się na przesłuchanie, aby nie dopuścić do ewentualnych podejrzeń o próbę ucieczki. Wiedział, że pomimo posługiwania się sprawdzonym kodem nie powinien się spierać, szczególnie gdy rozmawiał na ogólnie dostępnej linii.

Pomimo to zakwestionował słusność polecenia, nim obrał kierunek na południowy wschód i zasygnalizował swój kurs statkom patrolowym. Pół godziny później dostrzegł łódź o rozmiarach podobnych do swojej, która dziarsko pruća fale około mili od brzegu. Rozpoznał „Sluę Cailini” z Burtonoportu. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, kazał zwolnić i zarzucić sieci.

Pięć minut wcześniej rybacka łódź patrolowa, która znajdowała się nie dalej jak trzydzieści mil od trawlera, namierzyła jego lokację.

W północno-zachodniej Montanie szeryf z Mayville również coraz bardziej się niecierpliwił. Domagał się swych pieniędzy, a wobec perspektywy rychłej podróży do Irlandii chciał je otrzymać natychmiast.

Z wprawą, jakiej nabrał podczas wieloletniej praktyki, rozłupał orzech pistacjowy i wydłubał środek.

- Dołożyłem wszelkich możliwych starań, ażeby nastraszyć faceta - powiedział cichym głosem do telefonu. - To nie moja wina, że nadal węszy. Kiedy otrzymam moją zapłatę? -

Słuchał, a po chwili oświadczył: - Zgoda, ale to ostateczny termin. Będę w kontakcie.

Po zakończeniu rozmowy namyślał się przez moment, a potem wystukał inny numer i R S

przez kilka sekund patrzył tępym wzrokiem w przestrzeń przed sobą.

- Mówi O'Connor. Pamiętasz ostatnie zlecenie? Musisz jeszcze raz wyświadczyć nam podobną przysługę. I to niezwłocznie. - Słuchał przez kilka sekund. - Nic mnie to nie obchodzi. Wyłącznie ode

mnie zależy, czy sprawa zostanie puszczona w niepamięć. I zanim zacznieś ronić przede mną łzy, chcę ci przypomnieć, że twoje akta nadal leżą u mnie w szufladzie, która oczywiście jest zamknięta, ale nadal mam klucz. Mogę od razu położyć na nich rękę. Cóż to, odjęło ci mowę, O'Shaughnessy?

Po chwili powiedział:

- W porządku, podaję adres...

W Choteau niewiele się dzieje, z wyjątkiem organizowanych co roku imprez, takich jak obchody Święta Dinosauria, rodeo z okazji Czwartego Lipca, ze smażeniem steków i defiladą, doroczny jarmark czy zabawa połączona z prezentacją starodawnego młockarni o napędzie parowym. Oprócz pięknego położenia miasteczko słynie głównie z pobliskiej Egg Mountain -

góry, gdzie zostało odkryte w nienaruszonym stanie gniazdo ze skamieniałymi jajami dinozaura. Ulice Choteau, obsadzone po obu stronach amerykańskimi topolami, są szersze niż większość paryskich bulwarów, a zieleń przed wejściem do starego kamiennego gmachu sądu jest tak pięknie przyszyty, że nie sposób przy niej nie stanąć. Turyści z innych stanów ulegają czasami pokusie zatrzymania się tutaj w drodze do parków narodowych: Lodowcowego i Yellowstone, aby podziwiać jaja i kości dinozaura wystawione w małym, prywatnym muzeum. Inni spędzają kilka dni w gospodarstwach agroturystycznych, których prowadzenie stanowi dla farmerów dodatkowe źródło dochodu. Jednak w większości goście decydujący się na wypoczynek w miasteczku nocują w jednym z czterech moteli lub w zajazdach oferują-

cych dwuosobowe pokoje ze śniadaniem.

Mieszkańcy Choteau zajmują się własnymi sprawami, jednak jak wszyscy górale, któ-

rych cechuje otwartość i wręcz przesadna gościnność, nie grzeszą powściągliwością w udzielaniu informacji. I są gotowi powiedzieć każdemu zainteresowanemu, że piękny budynek w wiejskim stylu poza miastem jest jednym z wysokiej klasy domów opieki dla bogatych

„czubków”.

Niektórzy z obywateli miasteczka posuwali się nawet dalej w swych stwierdzeniach, napomykając, że miejsce to jest przechowalnią dla starych lub niedołączonych i uciążliwie długowiecznych krewnych, stojących na drodze do otrzymania spadku przez ich synów czy córki. A dyskretny, lecz bardzo skuteczny system ochrony zakładu ma nie tyle na celu bezpie-

czeństwo bogatych pensjonariuszy, ile zapobieżenie ich ucieczce. Co więcej, owi cynicy wiedzieli, że większość pacjentów jest zgłaszana przez swe w pełni poczytalne rodziny pod przybranymi nazwiskami.

Sanatorium Teton, jak personel medyczny zakładu wolał nazywać to miejsce, było wykorzystywane głównie do ucieczki przed podatkami i pacjenci nie pozostawali tu długo. Z

wyjątkiem jednego czy dwóch cudownych przypadków, kiedy krewni przypomnieli sobie, że mają serce, tutejsi pensjonariusze z reguły trafiali po pewnym czasie do przytułku dla starców. Jednakże

podczas pobytu w sanatorium korzystali z apartamentów o standardzie pięcigwiazdkowego hotelu.

Pomimo wszechobecnego luksusu niedziela była zawsze nudnym dniem i w sanatorium pracował mniej liczny personel niż w ciągu tygodnia. Nie odbywały się zajęcia analityczne ani terapeutyczne, a pacjenci z przytępieniem wzrokiem, których liczba nigdy nie przekraczała dwunastu, niewiele mieli do roboty. Tym, którzy mieli na tyle sprawne umysły, aby wiedzieć, gdzie się znajdują, ten dzień tygodnia wyjątkowo się dłużył.

Podobnie było z personelem; większość pielęgniarek z radością witała nastanie świtu w poniedziałkowy poranek. I zanim wszyscy zabrali się do roboty, jaka ich czekała w nadchodzącym tygodniu, w budynku rozbrzmiewały wesołe uwagi na temat minionego weekendu, a całe to miejsce zaczynało ponownie tętnić życiem.

- Dzień dobry! - Praktykantka dała sobie spokój z profesjonalnym uśmiechem, gdy weszła do sali i spojrzała na milczącą kobietę w łóżku z wysoką siatką. Przeszła przez pokój, by wygładzić i tak nienagannie gładką pościel. - Jak minął weekend, Peggy?

Oczywiście nie spodziewała się odpowiedzi. Pomyślała, że w przeciwieństwie do większości pensjonariuszy zakładu ta kobieta przynajmniej nie została porzucona przez rodzinę. Przez krótki czas pobytu w sanatorium Peggy ciągle miała wizyty. Mąż regularnie siedział przy jej łóżku, a podczas ubiegłego weekendu spędził tutaj prawie cały dzień, choć odu-rzona środkami uspokajającymi chorą nie mogła wiedzieć o jego obecności. Zatrudnił dla niej osobę do towarzystwa - młodą kobietę o świdrującym spojrzeniu, która mieszkała w Choteau i codziennie rano przyjeżdżała do sanatorium, by pozostać tu aż do wieczora. Peggy miała być przeniesiona do zakładu w Oregonie, lecz dopóki tu była, podobnie jak inni pacjenci korzystała z całodobowej opieki trzech pielęgniarek oraz przydzielonej do zajmowania się nią praktykantki.

W przeciwieństwie do profesjonalistów, niedoświadczona dziewczyna nie potrafiła się

jeszcze uodpornić na emocje. I gdy myła w łóżku swą podopieczną, śpiewała jej cicho, mając nadzieję, że przebije się poprzez kokon szarej mgły, która stale spowijała pacjentkę.

- Grzeczna Peggy - pochwaliła ją, gdy uporała się z zadaniem. - Spokojnie. - Poprawiła poduszkę i zwilżyła ręcznik, aby zmyć resztkę jedzenia z kącika ust pensjonariuszki. - Wygodnie ci i miło? Czy mam już poprosić twą przyjaciółkę?

Uważnie przyjrzała się twarzy pacjentki, szukając oznak rozpoznania lub ożywienia.

Niczego jednak nie dostrzegła z wyjątkiem drgających powiek, co mogło świadczyć o niepokoju lub męczących snach. Młoda kobieta wiedziała, że będzie musiała się uodpornić: wszystkie przypadki były tutaj poważne i nie mogła się nimi tak bardzo przejmować. Westchnęła i odwróciła się tyłem do łóżka, ruszając do wyjścia.

- Do zobaczenia podczas lunchu, Peggy.

Coś jednak uszło jej uwagi, kiedy otwierała drzwi, aby wpuścić wynajętą kobietę do towarzystwa,

która siedziała w fotelu i czytała książkę: pacjentka w łóżku otworzyła na moment oczy i spojrzała za wychodzącą, lecz słabe skrzyknięcie zawiasów zagłuszyło cichy szept. A potem było już za późno: dziewczyna odeszła, a jej miejsce zajęła milcząca opiekunka.

Próba wydobywania z siebie głosu wymęczyła panią McGovern i jej oczy na nowo zasnuła mgła. Kobieta nie zasnęła jednak. Miała wrażenie, że jej mózg jest niczym kaszka owsiana.

Prawie go widziała: wypełniony owsianką latający talerz, który balansuje na kłębku miękkiej, rozmokłej chmury. Z trudem skupiając myśli, wyobraziła sobie, że jej umysł bulgo-cze, a bańki powietrza pękają leniwie: pac! pac! tuż pod wewnętrzną powierzchnią czaszki.

Dotarły do niej odgłosy przy łóżku. Podjęła ogromny wysiłek i ponownie na wpół otworzyła oczy.

Znowu była przy niej ta kobieta: jej twarz niczym biała zamazana plama falowała pochylona nad jakimś przedmiotem. Nad książką. Kobieta czytała.

Peggy pozwoliła, by jej powieki opadły i nagle, przez ułamek sekundy, jej myśli stały się krystalicznie jasne. Uświadomiła sobie, że pragnie umrzeć.

Lecz nade wszystko rozpaczliwie potrzebowała alkoholu.

Fale świadomości przyływały i odpływały i podczas jednego z momentów przytomności zobaczyła, że opiekunka gdzieś odeszła. Jeszcze raz chora zmusiła się do otwarcia oczu.

Tamta ponownie szła w jej stronę. Pochyliła się nad łóżkiem i coś mówiła: Peggy usiłowała odpędzić mgłę, jaka zasnuwała jej myśli, aby słowa kobiety miały do nich dostęp. Dotyczyły *R S*

męża, który nie mógł dzisiaj przyjechać. Czyjego męża?

To było zbyt trudne. Powieki Peggy z wolna się zamknęły.

Kobieta do towarzystwa z powrotem usiadła na krześle i otworzyła książkę. Nie było sensu, aby się powtarzać.

W głównej sypialni Daniel Treacy rozsunął zasłony i zmrużył oczy oślepiiony jasnością poranka. A potem odwrócił się tyłem do blasku i utkwiał wzrok w telefonie obok łóżka, które przez tak długie lata dzielił z żoną. Zastanawiał się, czy zrozumie wiadomość.

Pierwszą osobą, z którą Sky skontaktowała się po przyjeździe do domu, był redaktor naczelny. Czas, jaki spędziła przy łóżku Johnny po powrocie z parkingu, do momentu kiedy matka została odwieziona na salę operacyjną, okazał się mniej uciążliwy, niż przewidywała.

Lynskey oświadczył, że jemu również dobrze zrobi świeże powietrze oraz zmiana ubrania i pożyczył od niej samochód. Wrócił zaledwie na kilka minut przed rozpoczęciem operacji.

Zaproponował Sky, że odwiezie ją do domu. Nie chcąc wzbudzać w nim podejrzeń, nie miała

wyjścia i musiała się zgodzić. Postanowiła ukarać Fergusa i starała się zachowywać naturalnie, aby nie odkrył jej prawdziwych zamiarów.

- Dziękuję, ale zgodzisz się, że nie będziemy rozmawiać? - Udawała, że coś wyjmuje z oka, aby na niego nie patrzeć. - Jestem skrajnie wyczerpana. Poza tym martwię się o mamę.

- Oczywiście.

Na szpitalnym korytarzu wziął ją za rękę, a Sky zdołała powstrzymać odruch cofnięcia dłoni. Potem wrócił do zajazdu „Pod Indiańskim Pióropuszem” i nie miała najmniejszego zamiaru spotkać się z nim przed końcem operacji. Czekając przy telefonie na szefa, z zadowoloną miną gratulowała sobie sposobu, w jaki to rozegrała; uznała, że Lyskey nie ma pojęcia o jej podejrzeniach.

- Halo? - W głosie redaktora naczelnego zabrzmiała troska. - Co z twoją mamą?

- Właśnie jest operowana. Zabieg skończy się nie wcześniej niż za trzy lub cztery godziny. W drodze do szpitala podrzucę do redakcji notatki z rodeo, a teraz chciałabym z tobą porozmawiać o irlandzkim nauczycielu. Chyba się domyślam, co zamierzasz o nim powiedzieć.

- Zgadnij. - Ton Larsena wydawał się ostrożny.

- Nie jest nauczycielem, lecz dziennikarzem lub policjantem, prawda?

- Przypuszczam, że tym drugim. Jak na to wpadłaś?

- Kto ci o nim powiedział?

R S

Sky odczuwała niewielką satysfakcję, że jej domysły okazały się słuszne. Walczyła z nudnościami. I pomyśleć tylko, że wróżyła temu związkowi przetrwanie.

- Czy Bill Collins zdołał się z tobą skontaktować? - odpowiedział pytaniem Jimbo, my-

śląc o wielu sprawach jednocześnie.

- Tak i nie... - Spojrzała na notatnik przy telefonie. Nazwisko właściciela domu pogrzebowego było w nim zapisane kilkakrotnie. - Nie w tym sensie, o jaki ci chodzi. Obawiam się, że nie byłam dla niego zbyt uprzejma. Zadzwoił w złym momencie.

- Może powinnaś z nim porozmawiać, gdy tylko wyjaśni się sytuacja z twoją mamą.

Nie dlatego, że dużo wie, ale że ktoś go ostrzegł.

- Posłuchaj, Jim. - Nudności i zmęczenie minęły. - Jestem wściekła na tego Lyskeya.

Zostaw sprawę mnie, zgoda? Chodzi mi o to, żebyś nikomu innemu jej nie przydzielał.

Kiedyś, gdy po katastrofie w kopalni istniała obawa, że skromny zespół redakcyjny nie będzie w stanie zapewnić prasowej obsługi tego wydarzenia, Jimbo zatrudnił dziennikarza, który nie był na stałe związany z żadną gazetą.

- Przrzekam, że cię nie zawiodę.

- Jesteś pewna, że zdołasz zachować obiektywizm? Masz nawet rodzinne powiązania...

- Zaufaj mi, proszę!

- Historia nie ucieknie. - Jimbo wciąż zachowywał się z rezerwą. - Na razie zajmuj się tylko mamą, dobrze? Jedno przemawia na naszą korzyść: skoro Irlandczyk jest gliną, przynajmniej nie rozdmucha całej sprawy w „Washington Post”. A kto wie, może nawet okaże się pomocny?

Gdy brała prysznic, po głowie galopowały jej rozgorączkowane myśli. Wiedziała, że stoi na progu niedostępnej dla niej dotychczas sfery dziennikarskich doświadczeń. Jednakże sprawozdania z rodeo i zebrań, notatki o zmarłych oraz artykuły na temat rolnictwa, strefy bezpieczeństwa lub poświęcone zagadnieniom lokalnej polityki nie przygotowały jej do stawienia czoła nowemu wyzwaniu. Historie kryminalne w Montanie ograniczały się do zwykłych sądowych relacji - głównie ze spraw o zakłócanie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym i tylko sporadycznie dotyczyły morderstw czy gwałtów.

Sky miała świadomość, że marnuje swój talent, zajmując się opisywaniem znanych historii, zamiast ich wyszukiwaniem. Nawet w Chicago nigdy nie zlecono jej artykułu, którego tematem byłoby jakieś poważniejsze przestępstwo, lecz co najwyżej drobne oszustwa czy kradzieże.

R S

- Zakasuj rękawy i do roboty! - zwróciła się po zakręceniu wody do pokrytego chro-mem prysznic. - Po prostu zrób to. - Pan Collins? - Odezwała się oficjalnym tonem, uży-skawszy połączenie z domem pogrzebowym. - Bardzo przepraszam, że wczoraj nie mogłam z panem rozmawiać. - Zaspokajając ciekawość właściciela zakładu zapoznała go z najśwież-

szymi informacjami dotyczącymi stanu zdrowia matki. Zdobyła się nawet na dowcip: - Obawiam się, że będzie pan musiał jeszcze trochę poczekać, panie Collins, aby się nią zająć. -

Odczekała, aż jej rozmówca skończy się śmiać, a potem spytała, w jakiej sprawie chciał z nią rozmawiać.

- Mam kilka rzeczy, które mogłyby panią zainteresować, panno MacPherson. - Zniżył

głos do szeptu. - Rozmawiałem z pani redaktorem naczelnym.

- Tak, wiem. - Czowała się zbyt zraniona, aby uciekać się do wykrętów. - Podejrzewa pan, że Fergus Lynskey jest policjantem. Czy wolno spytać, skąd to przypuszczenie?

- Tego nie mogę pani powiedzieć. - Sprawiał wrażenie zirytowanego, że Jimbo uprzedził go w

przekazaniu tej ścinającej z nóg informacji. - Uznałem jednak, że powinna pani o tym wiedzieć. Zauważyłem, że bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliście... - Umilkł, a po chwili stwierdził już innym tonem: - Nie sprawia pani wrażenia zaskoczonej, panno MacPherson.

- Chciałabym wiedzieć, czemu ten człowiek przyjechał do Butte, podszywając się pod nauczyciela. - Miała nadzieję, że w jej głosie zabrzmiała jedynie zawodowa ciekawość. - Ba-wi tu służbowo? Czy dzieje się coś niezwykłego w naszym mieście, co mogłoby go zainteresować? - Wstrzymała oddech.

- Tylko mu się wydaje, że odkrył coś podejrzanego. Byłbym jednak szczerze zobowią-

zany, panno MacPherson, gdyby mu pani przekazała, że marnuje czas. Wszyscy wiedzą, kim jest i nie ma tu nic do roboty. Lepiej więc będzie dla niego, jeśli po prostu przyjemnie spędzi wakacje albo wróci do Irlandii. Najrozsądniej postąpi, jeśli niezwłocznie stąd wyjedzie. Przypuszczam także, że ten człowiek - głos właściciela domu pogrzebowego przybrał twarde brzmienie - napłótl pani bzdur o Danielu Treacy i jego zmarłej żonie. Przejawia pani ogromne zainteresowanie tymi dwojgiem, co niewątpliwie pozostaje w związku z otrzymanymi informacjami. Oczywiście ja wiem i staram się innych o tym przekonać, że tak do-

świadczona dziennikarka jak pani nigdy nie uwierzy w oszczerstwa. Pan Treacy ma ustosunkowanych przyjaciół, panno MacPherson.

Ta absurdalna uwaga wywołała uśmiech na jej ustach. Ustosunkowani przyjaciele, dobre sobie. Jednakże groźba, skierowana nie tylko pod adresem Lynskeya, ale i do niej, była *R S*

wyraźnie czytelna. To prawda, że ten gliniarz ją wykorzystał, ale przynajmniej krótki epizod z Fergussem okazał się bardzo przyjemny. Nie zamierzała pozwolić, aby ktoś mówił jej, jak ma wykonywać swą pracę.

- Dziękuję za ostrzeżenie, panie Collins - powiedziała równie twardym tonem. - *Z*

pewnością nie zrobię żadnego nierozważnego kroku. Muszę teraz pędzić, jeszcze raz dziękuję. - *I* rozłączyła się, zanim tamten zdołał cokolwiek powiedzieć.

Podczas rozmowy telefonicznej z babką dowiedziała się, że starsza pani przylatuje nazajutrz wieczorem do Billings. ' Spojrzała na zegarek: miała jeszcze mnóstwo czasu na przygotowania do przyjęcia Elizabeth i mogła sobie pozwolić na złożenie wizyty - tym razem nie-zapowiedzianej - Danielowi Treacy'emu.

Rozdział 22

Na placu pomiędzy ozdobną bramą z kutego żelaza a frontem gmachów rządowych -

nazywanych złośliwie przez niektórych dublińczyków „Wersalem” z powodu kosztownej rekonstrukcji oraz imponującego oświetlenia - w wieczór poprzedzający święto narodowe panował ruch jak na dworcu autobusowym. Co chwilę podjeżdżały i odjeżdżały ministerialne samochody oraz auta oddziału do zadań specjalnych, a gdzieś tam widać było grupy rozprawiających z

ożywieniem lobbystów i urzędników państwowych. Przy cokole przed frontowymi drzwiami ekipa telewizyjnych wiadomości RTE otoczyła ministra sprawiedliwości.

Eamonn Vaughan, reporter o dużych, smutnych oczach, właśnie zakończył z nim wywiad, który miał być wykorzystany w programie poświęconym problemom rekrutacji policjantów, wysokości ich pborów oraz wynagrodzeń za pracę w godzinach nadliczbowych. Vaughan, świetny profesjonalista, lecz również bardzo napastliwy dziennikarz, był w równym stopniu uwielbiany, co znieawidzony przez członków obecnego rządu.

- Czy to wszystko, panowie? Jestem spóźniony, dziękuję... - Minister ruszył w stronę głównego wejścia do budynku, lecz reporter nadal go nie odstępował.

- Panie ministrze, chciałbym o coś zapytać poufnie - Vaughan zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.
- Czy są jakieś postępy w śledztwie dotyczącym wybuchu bomby w Killy-R S

begs? Czy to prawda, że prowadzi się tam akcję na szeroką skalę?

- Na razie nie mamy stamtąd żadnych wieści, Eamonnie. - Minister pomachał grupie uczniów, którzy przechodzili parami obok ozdobnej fontanny. - Oczywiście ty jako pierwszy zostaniesz o wszystkim poinformowany.

- Panie ministrze... - Dziennikarz nie dawał za wygraną, lecz minister przyspieszył kroku, wszedł do budynku i zniknął za drzwiami.

Reporter dotknął czułego punktu: minister był w drodze na zebranie, zwołane w celu omówienia wydarzeń w Killybegs przed złożeniem sprawozdania premierowi i wicepremierowi, których gabinety również mieściły się w tym gmachu. Miał zostać powiadomiony o rozwoju sytuacji w Donegal, a z uwagi na zainteresowanie tą sprawą marynarki wojennej zaprosił na spotkanie również panią minister obrony, aby razem z nim wysłuchała, co ma im do powiedzenia naczelny komisarz policji.

Zarówno pani minister obrony, jak i komisarz przybyli wcześniej i już na niego czekali.

Szef policji miał nowe wieści.

- Niczego nie znaleziono na trawlerze, panie ministrze, ale wcale nas to nie dziwi. Kanadyjska policja ostrzegła, że akcja zostanie przeprowadzona sprawnie i choć od samego początku nie spuszczałyśmy ładunku z oczu, nasze braki kadrowe...

- Mam nadzieję, że śledztwo nie spłoszyło przestępców - przerwał minister sprawiedliwości. On i komisarz nigdy się ze sobą nie zgadzali.

Komisarz wyduł usta.

- Członkowie załogi zostali poinformowani, że szukamy nielegalnie zarzucanych sieci...

- I sądzi pan, że w to uwierzyli? - Minister znowu przerwał policjantowi i przeszył go wzrokiem. -

Muszę panu powiedzieć, że facet z RTE, niejaki Vaughan, wypytywał mnie przed chwilą o zakrojoną na szeroką skalę akcję policji w związku z wybuchem w Killybegs.

- Nasze działania nie mogły ujść jego uwagi, panie ministrze, ale dla niepoznaki przeszukaliśmy cały port. Rozpuściliśmy wieści, że to nowe polecenie Wspólnoty Europejskiej.

Inspektor odpowiedzialny za tę operację pojechał do Donegal, lecz zatrzymał się w koszarach. A kapitan i załoga łodzi nie zostali przez niego przesłuchani. Sądzę, że panujemy nad sytuacją.

- Ale niczego się nie dowiedzieliście, prawda?

Na ostatnim dorocznym zjeździe swojej partii minister grzmiał z trybuny, wygłaszając mocne i płomienne przemówienie o tym, że jego główną troską jest ochrona najbardziej god-

nych pielęgnowania wartości rodzinnych, a ministerstwo przywiązuje wielką wagę do uwolnienia Irlandii od dopustu bożego, jakim są nielegalnie napływające do kraju narkotyki: „Wy-trzebimy wszystko, od kokainy i heroiny po haszysz, do ostatniego ziarna i do ostatniego źdźbła, dopóki irlandzkie miasta nie będą mogły na nowo rozkwitać i ulice, a nawet zaułki znowu nie staną się bezpieczne dla dzieci”. Hasło „Bezpieczne dla dzieci” zostało uznane za slogan reklamowy, który obecnie wykorzystywano na plakatach i w prowadzonej przez telewizję kampanii propagującej walkę z narkotykami.

- Ta sprawa spędza nam sen z powiek, komisarzu - oświadczyła minister obrony donośnym głosem, mającym zrekompensować jej poczucie niekompetencji.

Żaden z mężczyzn nie zwrócił jednak na nią uwagi. Minister sprawiedliwości przyłożył palce do skroni, jak gdyby prosił Boga, by dał mu cierpliwość.

- Czy wiemy, gdzie może się obecnie znajdować ta przesyłka, komisarzu?

- Obawiam się, że chwilowo straciliśmy ją z oczu, panie ministrze. - Szef policji, który był świadkiem upadku co najmniej pięciu gabinetów wywodzących się z różnych ugrupowań politycznych i jeszcze częstszych zmian na stanowiskach ministerialnych, nie wydawał się zbity z tropu. - Śledziliśmy ładunek od granicy. Wiemy, że został umieszczony na pokładzie trawlera „Agnes Monica”, a zatem albo kapitan ukrył towar gdzieś na wybrzeżu w ciągu owej doby, kiedy straciliśmy jednostkę z oczu, albo wyrzucił za burtę, aby go później wyciągnąć.

Nasi ludzie przeszukali wzdłuż całego wybrzeża każdą boję i każdy kosz na homary. Określi-liśmy z dokładnością do jednej mili morskiej miejsce zniknięcia statku. Początkowo sądzili-

śmy, że jest wyposażony w doskonały system radiowy, jednak rewizja wykazała coś zgoła odmiennego.

- Wniosek jest oczywisty. - Minister ściągnął brwi, nie mogąc się nadziwić tępotcie wszystkich policjantów. - Trawler został ukryty w jakiejś małej grocie. Znajdźcie ją, a odkry-jecie to, czego

szukacie.

- To nie takie proste, panie ministrze. - Komisarz rozparł się wygodnie na krześle i wyciągnął nogi pod stołem. - Amerykańscy i kanadyjscy koledzy uprzedzili nas, że te ptaszki mogą dysponować zupełnie nieznanymi po tej stronie Atlantyku urządzeniami. Niewykluczone, że zatopili towar w obciążonych i wodoszczelnych pojemnikach z elektronicznymi czujnikami, aby je w dogodnym dla siebie momencie wydobyć. Wystarczy, że uaktywnią czujniki, które uwolnią balast, a ładunek wypłynie na powierzchnię. Minister ciężko westchnął.

- W takim razie zwróćcie uwagę na załogę.

R S

- Towar rzadko odzyskuje ten sam statek, który go zatopił. I raczej nie ulega wątpliwo-

ści, że członkowie załogi nie znają osób kierujących całą akcją. Prawdopodobnie nie wiedzą nawet, komu zostanie zlecone zadanie odzyskania ładunku. Nie chcemy spłoszyć przestępców. - Komisarz ostentacyjnie odchrząknął, jak gdyby dając do zrozumienia, iż nie lubi się powtarzać. - Zapewne wiadomo panu, że kierują nimi różne pobudki. Oczywiście nadal bę-

dziemy prowadzić obserwacje w okolicznych spelunkach, nie mówiąc już o patrolowaniu licznych małych zatok. - Pozwolił, aby słowa te zawisły w powietrzu.

- Muszę panu powiedzieć, komisarzu, że jestem bardzo zaniepokojony tą sprawą, podobnie jak i moi koledzy z departamentu sprawiedliwości. - Minister pominął milczeniem uszczypliwą aluzję dotyczącą spornej kwestii zasad rekrutacji funkcjonariuszy policji i pracy w godzinach nadliczbowych. - Co sobie o nas pomyślała za granicą? W końcu zarówno policja kanadyjska, jak i pracownicy FBI wywiązali się z zadania. A my straciliśmy przesyłkę z oczu, gdy tylko znalazła się na niewielkim statku żeglugi przybrzeżnej. Czy nie sądzi pan, że przyznanie się do porażki będzie dla nas nieco upokarzające?

- Rzeczywiście - zawtórowała minister obrony. - Korzystacie z pełnej współpracy mojego ministerstwa, komisarzu, lecz to już trwa zbyt długo, a my również dysponujemy ograniczonymi środkami. Nie chcemy też odciągać ludzi od pracy w szczycie sezonu połowów.

Najwyższa pora, żebyśmy zobaczyli jakieś efekty waszych działań.

- To największa operacja ze wszystkich dotychczasowych. I jeśli zostanie zapewniona większa suma pieniędzy na godziny nadliczbowe dla naszych funkcjonariuszy...

- Dobrze pan zna możliwości budżetu - warknął minister.

- Jeszcze dzisiaj przedstawię panu kosztorys godzin nadliczbowych.

Komisarz pozostał niewzruszony i patrzył ministrowi prosto w oczy. Znał nie tylko możliwości budżetowe, ale również dobrze wiedział, że w koalicji rządowej coraz wyraźniej zarysowuje się rozłam, a przestępstwa popełniane przez narkomanów są problemami szczególnie zaprzatającymi

umysł elektoratu.

- Skoro mowa o budżecie. - Minister sprawiedliwości wsunął okulary głębiej na nos i odwzajemnił spojrzenie komisarza. - Chciałbym wiedzieć, jakie są koszty jednoosobowej ekspedycji waszego agenta do Ameryki?

- Dowiem się, panie ministrze.

- Liczę na przełom w tym dochodzeniu, komisarzu. - Minister sprawiedliwości przyciągnął do siebie zamkniętą teczkę z dokumentami, jak gdyby dawał do zrozumienia, że ma R S

na głowie ważniejsze sprawy. Spojrzał na swoją koleżankę z rządu, a potem zmierzył surowym wzrokiem komisarza. - Czas działa na naszą niekorzyść. - Do zaplanowanego zjazdu organizacji Amnesty International pozostało już tylko kilka dni. - Czekają na mnie członkowie klubu parlamentarnego - oświadczył szorstko. - A potem muszę zdać sprawozdanie premierowi z postępów w tej sprawie. Jest nią osobiście zainteresowany. Zapewniam pana, komisarzu, że nie palę się do tego spotkania. Obiecałem premierowi, że na tym etapie dochodzenia będę już miał dla niego jakieś pomysły. Czy nic panu nie przychodzi do głowy?

- Nic, o czym mógłbym obecnie zameldować. Premier nie może winać sił policyjnych za wypadek drogowy, który chwilowo pokrzyżował naszą akcję. Zdarzenie to pozostało jednak bez wpływu na morale naszych funkcjonariuszy i może pan zapewnić premiera, że panujemy nad sytuacją. Zadzwoń do pana wieczorem, panie ministrze.

Komisarz wziął kapelusz i rękawiczki, a potem uśmiechnął się i skinął z uszanowaniem głową pani minister obrony. Biedna kobieta: nie miała pojęcia, co się święci. Komisarz był

pewien, że nikt jej nie powiadomił o groźbie akcji wywrotowej organizowanej poza granicami kraju. Co zaś się tyczy odrębnej i przyprawiającej o ból głowy sprawy planowanej wizyty królewskiej, wątpił, czy pani minister obrony wie nawet o rychłym zjeździe organizacji Amnesty International, a co dopiero o tym, kto został na ten zjazd zaproszony.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem i komisarz włożył kapelusz. W walce o środki finansowe, którą prowadził ze swoimi politycznymi zwierzchnikami, miał w ręku wszystkie atuty. Środki masowego przekazu poświęciły ostatnio wiele niepożądaney uwagi faktowi, że Irlandia stała się nie tylko terenem ożywionego handlu narkotykami, ale także miejscem wszelkich innych kryminalnych interesów. A w sytuacji szybko rozchodzących się pogłosek o rychłym rozpisaniu nowych wyborów schorowana koalicja pilnie potrzebowała wielkiej międzynarodowej konferencji prasowej.

Sky zatelefonowała do biura Daniela Treacy'ego, aby się upewnić, czy go zastanie, i zdumiona usłyszała, że jeszcze nie przyszedł do pracy.

- Złapię go w domu - zbyła sekretarkę, stwierdzając sucho, że jest bliską znajomą szefa. A potem chwyciła dyktafon, notatnik oraz torebkę i pobięła do nissana.

Znalezienie domu nie nastręczyło jej trudności; choć nikt z jej przyjaciół nigdy nie był

wewnątrz rezydencji, wszyscy w mieście znali adres. Pomimo to Sky nie była przygotowana na widok, jaki rozciągał się za wzniesieniem na końcu podjazdu.

R S

- Jezu! - jęknęła głośno, zatrzymując samochód przed bajeczną panoramą Gór Skalistych. Parking w kształcie koła był przestronny i mógł pomieścić co najmniej osiem pojazdów, lecz znajdował się na nim tylko kabriolet Treacy'ego.

Nacisnęła mosiężny guzik dzwonka przy drzwiach, usłyszała granie kurantów i pochyliła się nad umieszczonym obok domofonem. Odczekała co najmniej dziewięćdziesiąt sekund, a kiedy w głośniku nie rozległ się żaden dźwięk, ponownie sięgnęła do dzwonka i omal nie straciła równowagi, gdyż w tym momencie drzwi się otworzyły.

- Och, panna MacPherson, co za miła niespodzianka!

Bez marynarki, z szarym, wrzynającym się w kark szpitalnym temblakiem, wielki biznesmen wyglądał na szczuplejszego i o wiele starszego niż podczas ich ostatniego spotkania.

- Proszę wybaczyć, że niepokoję pana w domu o tak wczesnej porze. - Przekroczyła próg w odpowiedzi na jego zapraszający gest. - Telefonowałam do pańskiego biura. I bardzo przepraszam, że zadzwoniłam w nocy. Czyżby z powrotem położył się pan spać?

- Nie ma się czym przejmować. W ostatnim czasie potrzebuję niewiele snu - odpowiedział wymijająco. - Jadła już pani śniadanie? - spytał, zamykając za nią drzwi.

Był uosobieniem uprzejmości. Sky, nieustraszona dziennikarka, miała wrażenie, że jest intruzem i poczuła się obrzydliwie.

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie.

Przypomniała sobie, że od dwudziestu czterech godzin nie miała nic w ustach. Nic dziwnego, że ulegała huśtawce nastrojów: był to skutek nadmiaru kofeiny spożytej na pusty żołądek.

- Tędy proszę. - Treacy cofnął się, wskazując jedne z drzwi w holu. - Proszę się rozgo-

ścić. Przyniosę świeżą kawę. - Gdy szedł po grubym dywanie w stronę kuchni, zadzwonił stojący na konsoli telefon. - Nie będę teraz rozmawiał. - Uśmiechnął się do Sky przez ramię. -

Automatyczna sekretarka to wspaniały wynalazek...

Gdy Sky szła do wskazanego pomieszczenia, elektronicznie zniekształcony głos z ta-

śmy magnetofonowej, z którym wcześniej rozmawiała, zabrzmiał donośnym dźwiękiem na korytarzu. Pokój - mały i elegancki, utrzymany w kolorze bladożółtym oraz iskrzącej się bieli

- był wyposażony w nieliczne sprzęty. Sky ogarnęła wzrokiem marmurowy stolik z oszklonym blatem - zastawiony obecnie zastawą śniadaniową - sześć zgrabnych krzeseł oraz kredens od kompletu, nad którym wisiała impresjonistyczna akwarela przedstawiająca wiosenny ogród. Przed szerokim na całą ścianę weneckim oknem, które zapewniało dostęp światła od *R S*

świtu do zmierzchu, stały dwa wyściełane krzesła z ratanu.

Okno wychodziło na południe, na skąpany w słońcu włoski taras przed domem, i gdyby odległy baldachim lasu poniżej miał kolor niebieski zamiast zielonego, Sky mogłaby odnieść wrażenie, że znajduje się w willi na Capri albo na południu Francji.

- Oboje z żoną nie wydawaliśmy oficjalnych kolacji, dlatego duża jadalnia nie była nam potrzebna.

Gruby dywan stłumił odgłos kroków gospodarza i Sky nie usłyszała, że wrócił. Postawił dzbanek z kawą na ceramicznej podstawie na środku stołu.

- Piękny pokój. - Naprawdę tak uważała. Odczuwała tu osobliwy spokój i odprężenie.

- Dziękuję. - Treacy grzecznie odczekał, aż Sky zajmie miejsce za stołem, zanim sam usiadł. - Ja też lubię tutaj przebywać. Nadaliśmy mu raczej zabawne miano pokoju ogrodo-wego. - Zdrową ręką wykonał gest, wskazując na obraz nad kredensem.

- Za chwilę porozmawiamy o mojej babce, panie Treacy... - zawahała się i umilkła.

Nagle straciła ochotę do zasłaniania się babką, by ukryć prawdziwy powód tej wizyty.

Uprzejmość Treacy'ego utrudniała zadanie i Sky miała opory, aby zapytać go wprost, z jakiego powodu wzbudził zainteresowanie działającego w ukryciu irlandzkiego policjanta.

Szczególnie niezręczne wydawało się to tutaj, w jego własnym domu. Oślepiający blask wpadającego przez okno światła ujawnił sieć drobnych zmarszczek na twarzy mężczyzny, ale najbardziej uderzający był szary odcień jego cery i zmęczenie w oczach. Sky grała na zwłokę:

- Jak pańskie ramię, panie Treacy? Czy wciąż pana boli?

- Można wytrzymać. A teraz proszę mi opowiedzieć o swojej matce. Mam nadzieję, że nie zapomniała pani o mojej ofercie pomocy? Proszę się poczęstować rogalikiem i dżemem. -

Wskazał na stojący na stole koszyczek.

Sky opowiedziała mu o Johannie. Nagle uznała, że to nie jest już ów sztywny potentat handlowy.

- Przepraszam, że przeszkodziłam panu w śniadaniu. - Obrzuciła wzrokiem nietknięty rogalik na jego talerzu.

- Nie jestem głodny. - Odsunął na bok nakrycie. - Proszę nie trzymać mnie dłużej w niepewności. Jakie przynosi pani wieści?

Jego reakcja na wiadomość o jutrzejszym przylocie Elizabeth do Billings była szokująca. Zdrową dłonią zakrył twarz i Sky obawiała się nawet, że może się rozplakać.

- Panie Treacy... - uniosła się nieco z krzesła.

R S

- Wszystko w porządku, przepraszam. - Pochylił głowę, lecz dłoń, którą nadal trzymał przy ustach, sprawiała, że jego słowa miały stłumione brzmienie.

Sky poczuła się skonsternowana: jak, w tej sytuacji, miała poruszyć nurtujący ją temat?

Gdy zdenerwowana namyślała się, o co zagadnąć mężczyznę, zakasłał i opuścił rękę.

- Sądzi pani, że się u mnie zatrzyma?

- Wszystko w swoim czasie, panie Treacy. - Ulżyło jej, gdyż pomimo załzawionych oczu najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą. I nim zdołała się powstrzymać, wypaliła: -

Czy wie pan, że tutaj, w domu, zachowuje się pan inaczej niż w miejscach publicznych?

W jednej chwili ogarnęła ją złość na samą siebie. Pomyślała, że gdyby ktoś organizował akademicki kurs nauki poskramiania niesfornego języka, ona jako pierwsza wpisałaby się na listę słuchaczy.

- Naprawdę? - W oczach nadal miał łzy, ale zdołał się słabo uśmiechnąć. - A kto się nie zmienia we własnym domu? - Sprawiał wrażenie, że podjął nagłą decyzję. - Zamierzam pani powiedzieć coś, do czego przedtem nigdy nikomu się nie przyznałem.

Wbrew swojej zawodowej ciekawości i dziennikarskiemu instynktowi, Sky poczuła nagle, że nie chce o niczym słyszeć.

- Czy jest pan pewien, że wybrał właściwą osobę do zwierzeń?

- Tak. Midge nienawidzi... nienawidziła tego domu. Uważała, że jest zbyt otwarty.

Przypuszczam, że czuła się w nim nadmiernie wyeksponowana, na widoku publicznym. To był jeden z powodów, dla których wolała myśliwski domek z małymi oknami oraz grubymi ścianami z ciemnego drewna. Wybrałem to miejsce i zbudowałem ten dom z myślą o babce pani. Zawsze kochała światło i przestrzeń. Zdawałem sobie sprawę z tego, że może tu nigdy nie przyjechać, lecz żyłem nadzieją. Czy to panią szokuje?

Zabrakło jej tchu i czuła, że dalsza dociekliwość będzie graniczyć z wchodzeniem z brudnymi butami do cudzej duszy.

- Czy sam pan tutaj mieszka? - Wyrwała się jak Filip z konopi. - Nikt się panem nie opiekuje?

- Ma pani na myśli służbę? - Najwyraźniej nie dotknął go brak stosownej reakcji z jej strony, gdyż znowu blado się uśmiechnął. - Nie mam wielkich potrzeb. Trzy razy w tygodniu przychodzi kobieta do sprzątanego, a bieliznę i ubrania odsyłam do pralni. Nie lubię zbyt wielkiego zamieszania wokół mojej osoby. Cała nasza służba była zatrudniona w domku my-

śliwskim. Midge... - umilkł nagle.

R S

- Co z Midge, panie Treacy?

Sky, zadowolona, że znowu znalazła się na bezpiecznym gruncie, przypomniała sobie o głównym powodzie dzisiejszej wizyty i postanowiła skorzystać z okazji.

- Słucham? - Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Midge - nie ustępowała Sky. - Wspomniał pan o żonie.

- Rzeczywiście. - Milczał przez chwilę i znowu metamorfoza w jego zachowaniu była oszłamiająca: łagodność i otwartość zniknęły, ustępując miejsca znużeniu i rezerwie. - To moja żona potrzebowała służących, nie ja.

- Przyszłam tu nie tylko z powodu mojej babki, panie Treacy. Z pewnością domyślił się pan tego.

- Och, tak? - Stał się jeszcze bardziej nieprzystępny.

- Czy przypomina pan sobie mojego irlandzkiego przyjaciela, z którym byłam wczoraj na rodeo? Tego, który wrócił do Butte moim samochodem? - Treacy nie mrugnął powieką, lecz oczy mu pociemniały. Zaległo pomiędzy nimi milczenie. Tym razem Sky uważnie dobierała słowa: - Właśnie się dowiedziałam, panie Treacy, że wcale nie jest nauczycielem, lecz irlandzkim policjantem przejawiającym ogromne zainteresowanie zarówno panem, jak i okolicznościami śmierci pańskiej żony. - Zmierzyła go najbardziej zuchwałym spojrzeniem, na jakie ją było stać. - Czy podejrzewa pan dlaczego?

Riposta gospodarza była tak niespodziewana, że niemal pozbawiła ją oddechu.

- To dla mnie nie nowina, że jest policjantem. A zaspokajając pani ciekawość: nie mam pojęcia, w jakiej sprawie tu przyjechał. I nic mnie to nie obchodzi, panno MacPherson.

Coś w jego postawie wydało jej się jednak zastanawiające. Słowa Treacy'ego zabrzmia-

ły wprawdzie szczerze, a pomimo to wiedziała, że kłamie. Skoro, jak twierdził, znał tożsamość Lynskya, musiał również wiedzieć, po co Irlandczyk zadał sobie aż tyle trudu z przyjazdem. Jak to ujął właściciel zakładu pogrzebowego? „...Prawdopodobnie napłócił pani bzdur o Danielu Treacym. Staram się przekonać innych... oszczerstwo...”.

- Ten facet wywiódł mnie w pole, panie Treacy. - Uznała, że nic nie straci, jeśli będzie szczerą. -

Jestem na niego wściekła. Miałam nadzieję, że dowiem się od pana, o co tutaj właściwie chodzi...

Czuła, że biznesmen zastanawia się nad odpowiedzią, analizując sytuację.

- Jest pani dziennikarką, panno MacPherson.

Nie był jednak już tak nieprzystępny, jak przed chwilą, napierała więc, starając się to *R S* wykorzystać.

- Ale także wnuczką Elizabeth Sullivan. Czy możemy porozmawiać na tej płaszczyźnie?

Wyraz jego twarzy pozostał sceptyczny.

- Mam uwierzyć, że nie zechce pani opublikować tego, co ewentualnie powiem?

- Tego oczywiście nie mogę panu zagwarantować. Mogę tylko obiecać, że pańskie dobre imię nie dozna żadnego uszczerbku. - Wyczuwając, że jest na wygranej pozycji, przysunęła krzesło bliżej stołu. - Nie wierzę, aby był pan zamieszany w jakąś nielegalną działalność.

Nie wygląda pan na człowieka tego typu.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

- Czyżby istniał szczególny typ ludzi o skłonnościach przestępczych?

Powiodła wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu właściwych słów. Nie chciała dopuścić do tego, aby Treacy ponownie się przed nią zamknął.

- No to jest pan czy nie? - spytała, uśmiechając się do niego życzliwie.

Biznesmen miał dla niej w zanadrzu kolejną szokującą odpowiedź:

- Obawiam się, że jestem.

Sky wytrzeszczyła na niego oczy; sięgnął po dzbanek i ponownie napełnił filiżanki.

- Pan Lynskey ma konkurencję. Jeśli po minięciu bramy mojej posiadłości obejrzy się pani dyskretnie, zobaczy kremowego chevroleta, a w nim agentów FBI, CIA, a może prywatnych detektywów - sprawa ich tożsamości nie stanowi dla mnie najmniejszej różnicy - jak zapisują coś pilnie w swych notesach.

- Jest pan śledzony?

- Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Umilkł na chwilę. - I zapewniam panią, że wywołuje to we mnie dość osobliwe doznania. Powinienem być zirytowany, uważam to jednak w pewnym sensie za przywilej. Mam poczucie, że jestem kimś ważnym.

- A co takiego pan zrobił? - Sky wypadła z roli dziennikarki.

Znowu zapadło milczenie; Treacy z namysłem gładził błyszczącą tkaninę temblaku unieruchamiającego jego kontuzjowane ramię.

- Zaproponuję pani układ, Sky. - W jego głosie zabrzmiał teraz wyraźniej irlandzki akcent. - Powiem pani o wszystkim, co wiem na ten temat, jeśli zaakceptuje pani moje warunki.

- Zależy, jakie one będą. - Sky próbowała zapanować nad uczuciem tryumfu. Dotarła wreszcie do sedna sprawy, nie miała co do tego wątpliwości.

R S

- Po pierwsze, razem będziemy pracować nad tym artykułem i będę mógł przeczytać wszystko, co pani napisze. - Ważył słowa. - Jeśli zawrzemy układ, opowiem pani historię, która być może przyniesie pani sławę, R. Sky MacPherson... - Znowu lekko się uśmiechnął.

Sky zastanawiała się, jak Jimbo zareaguje na wiadomość o zawarciu takiego układu.

Nigdy dotychczas nie zezwalała nikomu na czytanie artykułu przed jego opublikowaniem, ale nigdy też nie miała do czynienia z tego typu sprawą.

- Jaki jest pański drugi warunek?

Wypiła solidny łyk kawy, by rozjaśnić umysł. Jednakże nabrała do ust zbyt dużo płynu, zrobiła to zbyt łapczywie i niewiele brakowało, a byłaby się zakrztusiła. W ostatniej chwili przełknęła gorący napój i udało jej się nie opryskać nienagannie czystego blatu stołu. Była wściekła na siebie, że wypadła z roli doświadczonej i dobrze poinformowanej dziennikarki.

Treacy odczekał, aż przestanie kaszleć, nim odpowiedział:

- Po drugie, nazwisko pewnej osoby zamieszanej w tę sprawę zostanie tylko do pani wiadomości i nigdy nie pojawi się w artykule. Obawiam się, że osoba ta jest integralną czę-

ścią historii, oboje jednak wymyślimy jakiś sposób ukrycia jej tożsamości. I po trzecie... -

wpatrywał się w nią uporczywie i wiedziała, że warunek ów będzie miał najbardziej doniosłe znaczenie ze wszystkich dotychczasowych. - Musi się pani zgodzić na przesunięcie w czasie opublikowania tej historii.

Zastanowiła się przez moment.

- Do kiedy?

- Do mojej śmierci.

Zamierzała zaprotestować, ale uniósł lekko rękę uspakajającym gestem.

- Nie będzie pani musiała zbyt długo czekać. Jestem chory na raka.

Rozdział 23

Teraz, być może, lepiej pani zrozumie moje pragnienie ponownego zobaczenia pani babki - odezwał się Treacy rzeczowym tonem.

- Ile czasu panu zostało? - Sky uznała, że owijanie sprawy w bawełnę nie ma sensu.

- Nie wiem. Kilka tygodni, najdalej miesięcy. Choroba zaatakowała już wątrobę. A w tym przypadku jej postęp jest miłosiernie szybki. Czy teraz łatwiej będzie pani podjąć decyzję *R S*

o wstrzymaniu publikacji?

Sky zaakceptowała warunki, dobrze wiedząc, że nie powinna tego robić przed porozumieniem się z szefem. Wyciągnęła dyktafon i uruchomiła taśmę.

- Nie. - Treacy ponownie stał się stanowczym biznesmenem. - Żadnych nagrań.

Usiłowała nakłonić go do zmiany zdania, lecz pozostał nieugięty.

- Jestem pewny, że zdoła pani zapamiętać wszystko, co powiem, panno R. Sky MacPherson. - Jego zdecydowany ton i chłodny uśmiech sprawiły, że poczuła na plecach dreszcz podniecenia. Ten mężczyzna potrafił błyskawicznie zmieniać skórę: w jednej chwili był

uprzejmym, troskliwym gospodarzem, a w drugiej stawał się lodowatym, nieprzeniknionym i zagadkowym człowiekiem. - Kiedy pani usłyszy, co mam do powiedzenia, sama pani zrozumie, dlaczego nie chcę, aby moja wypowiedź została opublikowana; nawet po mojej śmierci.

- Znowu mówił nieco łagodniejszym tonem.

Sky nacisnęła klawisz „stop” w magnetofonie.

Gdy podczas następnych pięciu minut słuchała wynurzeń, przekazywanych cichym i pełnym napięcia głosem, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Siedzi w ostatnim rzędzie teatralnej widowni. Historia Treacy'ego okazała się tak zdumiewająca, że wprost nie do uwierzenia.

Sky rejestrowała jego słowa, ale nie potrafiła ich pojąć.

Jak bowiem mogło być prawdą - w niczym niewyróżniającym się latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku w Montanie - że Midge Treacy wcale nie zginęła w owym wypadku - a nawet w nim nie uczestniczyła, ponieważ w czasie, kiedy się wydarzył, przebywała w zamkniętym zakładzie opieki medycznej na północy stanu? Tymczasem zaś mąż brał czynny udział w przygotowaniach do

upozorowania jej śmierci, wyraził zgodę na odegranie farsy pogrzebu, a nawet stał przy trumnie, w której nie było ciała: stał i przyjmował wyrazy kon-dolencji od Sky oraz od wszystkich znajomych? A pewna organizacja, dla której działalność Brygada Świętego Patryka stanowiła przykrywkę, była na tyle potężna, że zdołała wcielić w życie cały ten dziwaczny plan, niewątpliwie przy współudziale funkcjonariuszy policji, ekspertów medycyny sądowej, a być może nawet pracowników wymiaru sprawiedliwości?

- Zatem doszło aż do trzech wypadków. - Sky starała się ochłonać. - Za pierwszym razem pańska żona, prowadząc samochód, zderzyła się z buickiem szeryfa O'Connora, za drugim potrafiła włóczyć, lecz nie uciekła z miejsca wypadku, o czym ostatnio mnie pan zapewniał... - Posłała mężczyźnie spojrzenie pełne wyrzutu, na które nie zareagował. - Właściwie to były tylko dwa - poprawiła się. - Trzeci został zainscenizowany, gdy pańska żona R S

przebywała w Choteau... - Wiadomości okazały się tak niezwykle, że Sky nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Jeśli, zgodnie z pana teorią, szeryf zorganizował to tak, aby jej samochód zjechał z autostrady i stanął w płomieniach, to w jaki sposób obszedł problem szpitala? Nawet podczas upozorowanego wypadku ktoś musiał wezwać karetkę. A przecież nie było ciała...?

- Pozostawiłem ten kłopot szeryfowi O'Connorowi. Ja nie byłem przy tym obecny - odrzekł lekkim tonem, jak gdyby wypowiadał się na temat szans Rossa Perota w listopadowych wyborach. - To zabawne, ale kiedy życie sprowadza się do konieczności stawiania czoła codziennym problemom, tego typu kwestie stają się całkiem nieistotne. Moją główną troską by-

ło otoczenie Midge opieką. Nawet nie tknęła pani kawy. Czy przenieść świeżą?

- Pańska historia sprawia wrażenie powieści sensacyjnej.

- I może tak zostanie odczytana, kiedy ją pani opisz. - Tym razem jego uśmiech wyglądał na szczerzy. - Niestety, wszystkie podane przeze mnie fakty są prawdziwe. Co z kawą?

- Nie, dziękuję. Po kolejnej byłabym zbyt roztrzęsiona. Co za tym wszystkim się kryje?

- Sky przypomniała sobie własne spostrzeżenie, którym się podzieliła z Teddym Morzanskym: chodziło o wyjątkowo dużą trumnę. Co znajdowało się w środku? - Narkotyki?

- Nie wiem. Nie pytałem. Oczywiście oburzyło mnie to wszystko i postanowiłem, że kiedy Midge będzie już bezpieczna, pójdę na policję, jednak ze wspomnianych przed chwilą powodów, dotychczas tego nie zrobiłem. Nie obchodziło mnie to, i nadal nie obchodzi, co włożyli do trumny. W sytuacji mojej bliskiej śmierci i stanu, w jakim znajduje się Midge, uznałem, że nie mam wyboru. A teraz wiem przynajmniej, że jeśli umrę, zanim zdążę powiadomić władze, pani będzie mogła zapoznać z tą sprawą, kogo tylko pani zechce. Jestem teraz całkiem szczerzy, będzie więc pani miała tę swoją prawdę.

Sky nie mogła się oprzeć wrażeniu, że utknęła w połowie dreszczowca, którego autor wzbił się na wyżyny pisarskiej fantazji.

- W jaki sposób został zorganizowany pogrzeb po drugiej stronie Atlantyku? Wiem, że Amerykanie irlandzkiego pochodzenia często chcą być pochowani w ojczyźnie swoich przodków, ale co z formalnościami? A także z rodziną pańskiej żony? Kto odebrał trumnę? Czy fakt nieobecności krewnych na lotnisku nie wzbudził podejrzeń? Przypuszczam, że pan tam nie pojechał?

- Powoli! - Treacy podniósł rękę do góry. - Nie jestem w stanie jednocześnie odpowiedzieć na wszystkie pytania. Zacznę od ostatniego: rzeczywiście, nie pojechałem do Irlandii, z *RS*

wielu powodów. Chociaż przed wieloma laty śmierć pani dziadka była przypadkowa, zostałem oskarżony o zabójstwo i władze amerykańskie nie powinny były mnie wpuścić do swego kraju. Osiedliłem się tu na stałe dzięki pomocy przyjaciela mojego wuja z Nowego Jorku.

Człowiek ów nazywał się Treacy. Miał wpływy w kręgach politycznych i związkowych.

Otrzymałem odeń wsparcie finansowe i przyjąłem jego nazwisko. - Gospodarz ponownie uniósł do góry dłoń. - Proszę nie pytać, jak tego dokonał, gdyż nie wiem. Ten sposób załatwiania spraw ludzie w Irlandii zwykli określać mianem: „polityki konszachtów”. Mój dobroczyńca od dawna nie żyje, podobnie jak i mój wujek, więc już nigdy się nie dowiemy, ale to nie ma znaczenia. Rozumie pani teraz, dlaczego ani razu nie odwiedziłem Irlandii - z obawy że mój powrót do Stanów mógłby okazać się niemożliwy. Byłem na pokładzie samolotu wiozącego trumnę, ale wysiadłem w Minneapolis. Stamtąd pojechałem prosto do Choteau, aby odwiedzić żonę. Uprzedzając pani wątpliwości - dostrzegł, że Sky znowu zamierza go wziąć w krzyżowy ogień pytań - przypuszczam, że ta organizacja posiada również duże wpływy w portach lotniczych. Nie mam jednak pojęcia o porozumieniach, jakie zawarto po obu stronach Atlantyku i nic mnie to nie obchodzi, powiedziałem już! - Podniósł na moment głos. Był to pierwszy przejaw stresu, jaki niewątpliwie przeżywał i Sky miała przez chwilę ochotę, żeby się wycofać.

Jednak sedno opowieści znajdowało się już niemal w zasięgu ręki. Sky, jak wszyscy dziennikarze, czytywała zagraniczną prasę, orientowała się w aktualnych zagadnieniach światowej polityki i wiedziała o zarzutach, jakie są stawiane niektórym organizacjom amerykań-

sko-irlandzkim. Dotyczyły przemytu broni i gromadzenia środków pieniężnych na finansowanie uzbrojenia IRA, INLA, a także lojalistycznych organizacji paramilitarnych.

- A co z rodziną w Irlandii? Powiedział pan, że będą nekrologi w irlandzkiej prasie?

- A pani w to uwierzyła, panno MacPherson? - Treacy ponownie się uśmiechnął, tym razem niemal z pobłażliwością. Traktował ją teraz w sposób protekcyjny, postanowiła jednak dać mu tę chwilę satysfakcji i odwzajemniła uśmiech. - Cieszę się, że nie jest pani cy-niczna - stwierdził, nie mając zamiaru jej urazić. - I mam nadzieję, że nigdy się pani nie zmieni. Choć kto wie, może za sprawą moich obecnych rewelacji wypłynie pani na szerokie wody

- pomiędzy piranie prasy światowej - by na zawsze opuścić ten przytulny, zaciszny zakątek, jakim jest Butte.

- Wątpię w to. Obawiam się, że jestem zbyt „zielona”, aby było to możliwe. Pozwoli pan jednak, że zadam podstawowe pytanie. - Zrobiła głęboki oddech. - Czy rzeczywiście nie R S

obchodziło pana, co może się znajdować wewnątrz trumny? A jeśli były tam narkotyki?

- Sądziłem, że przedstawiłem pani moje położenie w sposób wystarczająco zrozumiały.

- W jego oczach malowało się wyzwanie. - Czy po usłyszeniu tego, co powiedziałem o mojej żonie, nadal sądzi pani, że mogłem wtedy stawiać warunki? Nie mogłem dopuścić do tego, aby Midge poszła do więzienia! Musi to pani zrozumieć! Czy to takie trudne? Midge jest moją żoną, Sky, i przysięgałem, że będę się nią opiekował. - Wpatrywał się w nią przed długą chwilę; choć było to dla niej nietypowe, zdołała utrzymać język za zębami. Najwidoczniej jednak Treacy nie dostrzegł w wyrazie jej twarzy rozgrzeszenia, gdyż odwrócił wzrok. - Jeśli to pani poprawi samopoczucie, choć nie sądzę, aby tak się stało, zostałem zapewniony, że pieniądze uzyskane dzięki mojej „współpracy” będą przeznaczone wyłącznie na wsparcie legalnie prowadzonych interesów na północy Irlandii oraz na poprawę ciężkiego położenia rodzin więźniów politycznych.

Sky nie pozostawało nic innego, jak przyjąć do wiadomości szlachetne intencje swego rozmówcy, a przynajmniej dostrzec moralny dylemat, przed jakim został postawiony. Zapyta-

ła go o nazwiska uczestników oszustwa, lecz niewiele miał w tej sprawie do powiedzenia.

Wszystkie szczegóły ustalał z nim szeryf O'Connor z Mayville.

- Prawie nic mi nie wyjaśnił. Twierdził, że im mniej wiem, tym lepiej. I to on załatwił

przyjęcie Midge do sanatorium w Choteau. On również zajmuje się jej przeniesieniem do Oregonu. Oczywiście pojedę tam razem z nią. Drugą osobą, którą mogę pani wskazać, jest właściciel domu pogrzebowego, Bill Collins.

Sky przypomniała sobie rozmowę, którą Collins przeprowadził ze swojego telefonu komórkowego na parkingu przed zajazdem „Pod Indiańskim Pióropuszem”, kiedy czekała na materiały do sprawozdania z comiesięcznego posiedzenia Brygady.

- To właśnie Bill Collins ostrzegł mnie przed Fergussem Lynskeyem; owym agentem, który został tutaj przysłany przez irlandzką policję. Collins usiłował mnie namówić, żebym nakłoniła tego człowieka do wyjazdu. Co więcej, zatelefonował do mojego redaktora naczelnego, ażeby mu o tym powiedzieć. I to on rozdmuchał całą sprawę, ponieważ ostrzegał nas wszystkich, a tym samym dał do zrozumienia, że to większa afera.

- Bill Collins jest głupcem. Prawdopodobnie się wystraszył. - Treacy mówił powoli, jak gdyby sam odkrywał pewne fakty.

- Sądzę jednak, choć mogę się mylić, że jest płótką. - Bawił się nitką zwisającą z tem-blaka. - Przypuszczam, że Brygada Świętego Patryka jest tylko narzędziem znacznie potęż-

niejszej organizacji. A jej członkowie głęboko wierzą w to, że pomagają tak zwanej „sprawie”. - Czy przypomina pani sobie Jerry'ego Flynna? Tego Kanadyjczyka, który nam udostępnił helikopter? Powinna go pani sprawdzić, choć mogę się mylić. Nigdy go nie lubiłem...

- Skoro go pan nie lubi, to dlaczego zgodził się pan być jego gościem na rodeo?

Treacy uniósł w górę brwi.

- Widzę, że nie ma pani pojęcia o prowadzeniu interesów. Znacznie więcej transakcji zawiera się na polach golfowych i podczas lunchów niż w salach konferencyjnych.

- Przepraszam, rzeczywiście zadałam głupie pytanie. Co skłania pana do podejrzeń, że ów Kanadyjczyk jest zamieszany w jakąś nielegalną działalność?

Treacy zapatrzył się w przestrzeń przed sobą.

- Och, kilka jego wypowiedzi, choć nie mówił o żadnych konkretach, ale najbardziej chodzi mi o sposób wyrażania przez niego pewnych opinii. Rozmawialiśmy na temat telewizyjnych wiadomości nadawanych przez stację CBS poprzedniego wieczora. I o migawce ze spotkania premiera irlandzkiego z brytyjskim, gdy obaj, bardzo zadowoleni, pozowali do wspólnego zdjęcia. Flynn jest w trzecim lub w czwartym pokoleniu Irlandczykiem. Nie przypominam sobie dokładnie jego słów, ale zastanowił mnie osobliwy ton jego głosu. Pomyśla-

łem wtedy, że coś się kryje w jego wypowiedzi.

W korytarzu ponownie zadzwonił telefon i znowu został odebrany przez automatyczną sekretarkę. Drzwi były otwarte i Treacy nadstawił ucha: jego osobista asystentka telefonowa-

ła z biura, ażeby go zawiadomić o zmianie zaplanowanych spotkań.

Gdy Treacy słuchał, Sky spojrzała na zegarek. Choć słuchała wszystkiego z uwagą i niczego nie pragnęła bardziej niż dotrzeć do końca tej frapującej historii, nie mogła jednak zapominać o matce.

- Odrywam pana od pracy, panie Treacy. - Wypiła do końca kawę, gdy przeciągły sygnał dobiegający z aparatu obwieścił koniec wiadomości. - Wspomniał pan o nazwisku, które będę musiała zachować dla siebie. Przypuszczam, że ma pan na myśli żonę. Zdaję sobie sprawę z tego, że zaakceptowałam pański warunek, przyzna pan jednak, że trudno będzie opublikować tę historię bez wzmianki o niej.

- Chodziło o mnie, Sky. Dlatego nie zgodziłem się na nagranie naszej rozmowy ani na dosłowne cytowanie moich wypowiedzi. Są tacy, którzy mogliby mnie rozpoznać po konstrukcji wypowiedzi czy po doborze słów.

- Ale dlaczego? Jak zdołam...

R S

- Ma pani wszystkie informacje - przerwał jej. - I już pani w tym głowa, aby znaleźć sposób na

napisanie tego artykułu. Może powinna pani odkryć... inne źródło. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że jestem centralną postacią całej sprawy. Proszę jednak tylko, aby nie powoływała się pani na mnie. Nikt nie musi wiedzieć, że ja to wszystko ujawniłem.

- Ale dlaczego? - spytała ponownie. - Z jakiego powodu tak panu na tym zależy? Przecież nie będzie pan... - zamilkła.

- Rzeczywiście, wtedy już nie będę żył. - Odgadł, co zamierzała powiedzieć. - Jednak medycyna, jak już wcześniej pani podkreśliła, należy do dynamicznie rozwijających się dziedzin nauki. I choć dla mnie jest już za późno, pozostaje jeszcze moja żona. Co prawda, alkohol w poważnym stopniu uszkodził jej mózg, ale kto wie, może pewnego dnia odzyska zdrowie. A jeśli tak się stanie, nie będę mógł uchronić jej przed poznaniem prawdy o tym, co się wydarzyło. Przynajmniej nie dowie się, że jej własny mąż był głównym sprawcą jej publicznego poniżenia.

Sky schowała magnetofon do torebki, szykując się do wyjścia.

- Interesuje mnie jeszcze jedna sprawa, panie Treacy. Po tym, co mi pan powiedział o pańskiej żonie, rozumiem, dlaczego nie poszedł pan na policję. Nie pojmuję jednak, co skłoniło pana do wyjawienia mi tak długo ukrywanych faktów?

- Prawda jest taka... - Poruszył się niespokojnie na krześle, a Sky niemal fizycznie odczuła jego zakłopotanie. - Nie znoszę, kiedy ktoś próbuje mnie szantażować albo traktować jak półgłówka: ci ludzie próbowali mnie użyć w charakterze ślepego i bezmyślnego pionka w swych rozgrywkach. Zrobię wszystko, aby utrudnić życie życzliwemu szeryfowi oraz jego koleżkom. Dotychczas, z powodu Midge, musiałem iść z nimi na ugodę, gdyż nie miałem wyboru. I nadal nie mam, ponieważ przyszłość mojej żony nie jest jeszcze do końca zabezpieczona. Nie oznacza to jednak, że zamierzam, niczym mały piesek, położyć się na grzbiecie i przebierać w powietrzu łapkami. Przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy pomimo ryzyka nie pójść na policję. Wiedziałem jednak, że jeśli to zrobię, następny szeryf ponownie skieruje do sądu oskarżenie przeciwko Midge. Nie mam pojęcia, w jaki sposób O'Connor zdołał wyciszyć całą sprawę. Tym bardziej że na własnej skórze odczuł skutki alkoholowych wybryków mojej żony. Truchleję na myśl o tym, co mogłaby jeszcze zrobić. Nawet gdyby nie doszło do naszej rozmowy w związku z przyjazdem pani babki, to i tak przyszedłbym do pani na jakiś czas przed końcem - kiedy miałbym już pewność, że nikt już nie będzie mógł

skrzywdzić Midge. Zrobię, co w mojej mocy, aby tym draniom nie uszły na sucho ich kręta-

stwa. I rzeczywiście podziwiam pani artykuły, Sky. Marnuje pani swój talent w Butte.

- Dziękuję. - Nie po raz pierwszy mówiono jej komplementy, wiedziała jednak, że żaden z dotychczasowych nie był tak szczery.

Treacy wyrzwał przez okno. Słońce wciąż wisiało nisko na niebie i w dolinie pomiędzy górskimi szczytami na zachodzie ścielił się długi cień, a pod orzeźwiająjącym błękitem ciągnął

się aż do podnóża gór zielony ocean pełen światła i cieni. Jednakże pomimo wysiłków architekta,

ażeby uchwycić całe zewnętrzne piękno, jego dostęp do aksamitnej ciszy pokoju udaremniało cierpienie właściciela domu. Po raz pierwszy Sky pojęła samotność Daniela Treacy'ego.

- A teraz wygląda na to, że przedstawiciele władzy sami do mnie przyszli, oszczędzając mi problemu podejmowania decyzji - powiedział niemal sam do siebie. - Nie lekceważę tych ludzi na zewnątrz. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby obserwowali również naszego szeryfa.

Moje duchowe rozterki mogą okazać się zbyt ciężkie, gdyż w końcu będę się musiał poddać i przystąpić do wielkiej spowiedzi. - Kiedy się uśmiechnął, Sky odniosła wrażenie, że jego zęby są za duże w stosunku do ust.

- Powinna pani zapytać o opinię swego irlandzkiego przyjaciela i dowiedzieć się, jacy są dobrzy. - Skrzywił się, a potem z wysiłkiem zwrócił twarz w jej stronę. - Chciałbym teraz zostać sam, jeśli pani pozwoli. Jestem bardzo zmęczony, a czeka mnie długi dzień.

- Ależ, oczywiście. - Sky sięgnęła po torebkę.

- Wieści o pani babce są cudowne. - Umknął wzrokiem w bok i przez chwilę wydawał się niemal nieśmiały. - Będę zobowiązany, jeśli zachowa pani dla siebie to, co powiedziałem na temat tego domu.

- W porządku, nic nie powiem. - Sky uznała owo wynurzenie za bardzo osobiste i niegroźne.

- Czy przekazała jej pani moją propozycję? - Wciąż sprawiał wrażenie onieśmiałego.

- Sądzi pani, że zgodzi się u mnie zatrzymać?

- Dlaczego sam jej pan o to nie zapytał? - Sky znieruchomiała, zamykając suwak w torebce.

Treacy przełknął ślinę.

- Zabrakło mi odwagi, żeby zatelefonować do niej wczoraj wieczorem. Dużo wody upłynęło od czasu, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy ze sobą. Widzi pani... - ponownie się skrzywił i była pewna, że tym razem nie z powodu bólu. - Bałem się, że wszystko zepsuję.

R S

- Jestem przekonana, że moja babka cieszy się na spotkanie z panem.

- Naprawdę tak pani sądzi? - Twarz mu się rozjaśniła, i pomimo jego obecnego wyglądu, Sky stwierdziła, że w młodości musiał być bardzo przystojnym mężczyzną.

- Naprawdę.

Do diabła z obiektywizmem! Nie ulegało wątpliwości, że w którymś momencie trwania wywiadu Sky przeszła na drugą stronę barykady. I zamiast dreszczyku emocji profesjonalnej reporterki, która dotarła do najważniejszego punktu swej sensacyjnej historii, czuła się niczym matka, która zachęca syna, aby zaprosił ukochaną na święto absolwentów szkoły.

- Jeszcze jedną sprawą. Oczywiście nie mam prawa, aby o to prosić. Wyłącznie przez wzgląd na wszystko, co dzisiaj tu opowiedziałem, ośmielam się jednak zapytać, czy nie zechciałaby mi pani wyświadczyć jeszcze jednej przysługi?

- To zależy.

- Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby w obecności swojej babki nie wspominała pani o tym, o czym dzisiaj rozmawialiśmy, dobrze? Przy okazji sam jej powiem o Midge. A także o sobie. Nie sądzę jednak, aby istniała potrzeba zapoznawania jej ze wszystkimi szczegółami tej historii.

Sky uznała, że niewiele zyska, dodatkowo zatruwając temu biedakowi ostatnie dni i tak już nielekkiego życia.

- Zgoda - odpowiedziała.

Nagle przeżyła szok na widok wykrzywionej bólem twarzy mężczyzny.

- Przepraszam, że jestem nieuprzejmy, ale naprawdę muszę panią opuścić... i pójść na górę... - wydyszał, z trudem zachowując nad sobą panowanie. - Obawiam się, że przestały działać leki.

Zaraz jednak ból minął i chory wyraził jeszcze dwa życzenia. Oświadczył, że wieczorem przyjedzie na lotnisko, ale będzie się trzymał na uboczu. Sky gotowa była zadośćuczynić jego prośbie, bez wahania zgodziła się wziąć na siebie rolę pośredniczki i obiecała, że jeśli babka będzie skłonna się z nim zobaczyć, zaprowadzi ją do niego.

Przyrzekła także zachować dla siebie wiadomość o chorobie. Według Treacy'ego, wiedział o niej tylko jego lekarz, osobista asystentka i prawnik. Nie powiadomił jeszcze o stanie własnego zdrowia członków zarządów swych licznych spółek.

Sky nie śpieszyła się zbyt, mijając bramę na końcu podjazdu. Sedan, o którym wspomniał biznesmen, stał zaparkowany na pasie zieleni przy autostradzie. Kiedy Sky przeR S

jeździła obok, kierowca uruchomił silnik i udawał, że sprawdza mapę.

Rozdział 24

Osiem tysięcy kilometrów i kilka stref czasowych dalej, statek patrolowy „L.E. Aideen” płynął powoli po spokojnym morzu. Kapitanem jednostki był młody, ambitny oficer, któ-

remu po raz pierwszy powierzono dowództwo. Statek - przedmiot dumy kapitana - dzięki wyposażeniu w nowoczesne środki radiolokacji z dziecinną łatwością wykonywał zadanie śledzenia trawlera „Agnes Monica”. Rozkaz, który otrzymał dowódca, był prosty: mieli podawać aktualne

położenie obserwowanej jednostki i określać kierunek, w jakim płynęła oraz jej prędkość.

Rybacki trawler posuwał się naprzód, przez jakiś czas trałował, a potem sieci zostały wciągnięte i łódź ruszyła przed siebie z całą mocą silnika.

Kapitan wydał rozkaz radiotelegrafście, aby zameldował, że jednostka przybędzie do Killybegs mniej więcej za godzinę i dwadzieścia minut.

Sky starała się przeanalizować własne sprzeczne uczucia, gdy po opuszczeniu posiadłości Treacy'ego jechała do redakcji „Couriera”. Wiedziała, że powinna teraz myśleć o zdrowiu matki, ale po odkryciu tak sensacyjnej historii nie umiała zapanować nad podnieceniem.

- Weź się w garść - powiedziała na głos do tablicy rozdzielczej nissana, przypominając R S

sobie, że wybrała się na spotkanie z Treacym nie tylko w pogoni za materiałami do artykułu, lecz z prywatną misją zdemaskowania Lynskeya i dokonania zemsty.

A także udowodnienia mu, że ona też potrafi pokazać pazurki. Nie obmyśliła jeszcze sposobu rozprawienia się z Irlandczykiem, ale decyzję co do dziennikarskich rozwiązań tej kwestii postanowiła zostawić redaktorowi naczelnemu.

Nie zastała jednak szefa w jego zawałonym szpargałami gabinecie.

- Powiedział, że jest umówiony na śniadanie, lecz jak widzisz, dotychczas nie wrócił. -

Delikatne dłonie Lindy zatrzepotały nad otwartą szafką w głównym pomieszczeniu redakcji. -

Były dwa telefony do ciebie, Sky. Telefonował ktoś z Amerykańskiego Legionu. Kartkę z nazwiskiem znajdziesz na swoim biurku. Chciał wiedzieć, w jakim świetle zamierzasz przedstawić wypadek, w którym doznał obrażeń pan Treacy.

Sky sięgnęła po kartkę, chcąc odpowiedzieć na telefon, lecz zmieniła zamiar.

- Muszę pojechać do szpitala. Zadzwon do tego faceta w moim imieniu, zgoda? I powiedz mu, żeby pilnował własnego nosa.

- Naprawdę mam to zrobić? - Stażystka szeroko otworzyła oczy.

- Na miłość boską, nie! - Sky westchnęła. - Nie możesz brać wszystkiego dosłownie, czasami musisz kierować się własnym rozsądkiem. A druga wiadomość? Czy to pilna sprawa?

- Mężczyzna, który telefonował, nie udzielił żadnych wyjaśnień, ale jego dane również zanotowałam.

Sky, nie mogąc poskromić ciekawości, znowu sięgała po kartkę. Stwierdziła, że numer jest jej nieznany. A potem zatrzymała wzrok na nazwisku. Po kilku sekundach przypomniała sobie, że to kierowca ciężarówki transportującej okrągłaki, który rzekomo uczestniczył w wypadku na północ od Mayville, gdy samochód Midge Treacy wyleciał z autostrady.

- Czy mogę rozmawiać z panem Martinem O'Shaughnessym? - Czekając na niego, przeglądała swoje zapiski. Usiłowała znaleźć wśród nich informacje o kierowcy uzyskane podczas swych poszukiwań w Libby.

Zanim zdołała cokolwiek znaleźć, w słuchawce rozległ się męski głos:

- Słucham?

- Dziękuję, że odpowiedział pan na mój telefon, panie O'Shaughnessy. - Umilkła, uświadamiając sobie, że powinna zachować ostrożność. Ten człowiek należał do spisku.

Brzmienie jego nazwiska zadźwięczało jej w głowie znajomym echem - i to nie w związku z poszukiwaniami kierowcy ciężarówki. Kiedy się z nim zetknęła?

R S

- Powód, dla którego chciałam się z panem skontaktować, jest już nieaktualny. - Miała nadzieję, że powiedziała to w sposób przekonywający. - Pisałam artykuł o katastrofach drogowych w Montanie, a pana nazwisko wypłynęło w związku z wypadkiem nieopodal Mayville.

Ponieważ wyjechał pan na urlop, dokończyłam artykuł bez pańskiego udziału, został już oddany do druku. Jeśli nie pojawiły się żadne nowe fakty, nie będę panu dłużej zabierać czasu.

Odezwał się dopiero po chwili:

- Tamtej nocy nie miałem najmniejszej szansy. Czy zebrane przez panią informacje są prawdziwe? Kiedy ukaże się artykuł?

Jego odpowiedź dowodziła, że zachowanie ostrożności było właściwą reakcją z jej strony. Odparła, że nie zna dokładnej daty publikacji.

- To jeden z tych wiecznie bulwersujących opinię publiczną tematów, do jakich co pewien czas wracamy - Próbowała się roześmiać.

- Na pewno niczego pani ode mnie nie potrzebuje? Jeślibym wiedział, co pani napisała na temat tamtego wydarzenia, może zdołałbym coś dodać.

- To niemożliwe, panie O'Shaughnessy. Z tego, co rozumiałam, nie odniósł pan wtedy żadnych obrażeń, prawda?

- Dopisało mi szczęście. Tamta kobieta pędziła jak szalona. Byłem bez szans.

- Słyszałam.

Sky odczekała chwilę, ale kierowca nie miał nic więcej do dodania.

- Jeszcze raz dziękuję za telefon - powiedziała stanowczym tonem. - Niestety, muszę już kończyć.

Wybieram się do szpitala z wizytą do matki, której stan jest dość ciężki.

Rozmówca wyraził stosowne w tych okolicznościach zatroskanie, a potem dorzucił:

- Tamta kobieta była alkoholiczką, panno MacPherson. Niepotrzebnie zawraca sobie pani nią głowę.

W jego słowach zabrzmiało echo rady Billa Collinsa, a także przestrogi udzielonej Lynskeyowi.

- Jestem, wdzięczna, że pan zatelefonował - Sky miała dosyć tej rozmowy. - Muszę już iść. Dziękuję.

- Odłożyła słuchawkę.

Zauważyła, że trzęsą jej się dłonie. Kierowca wykonywał polecenia szeryfa z Mayville.

Sky przypuszczała, że ten człowiek, podobnie jak Collins, jest tylko pionkiem w grze. Dlaczego nie dawało jej spokoju jego nazwisko? Wymówiła je na głos:

- Martin O'Shaughnessy...

R S

- Słucham? - Stażystka podniosła wzrok z wyrazem pytania na swej pogodnej, bezmyślnej twarzy.

- Nie, nic. - Sky przystąpiła do objaśniania jej swych skomplikowanych notatek z rodeo. - Najpierw przepisz je na maszynie, dzięki temu uchwycisz sens całej historii. Najważniejsze, żebyś nie popełniła błędów w nazwiskach. Postaraj się zrobić to jak najlepiej, a wszystko będzie w porządku. Powiedz Jimowi, to znaczy panu Larsenowi, że zatelefonuję do niego, jak tylko będę mogła.

Kiedy przyjechała do szpitala, okazało się, że operacja Johanny jeszcze trwa. Sky postanowiła zaczekać na matkę w jej pustym pokoju.

Po upływie niespełna dziesięciu minut w drzwiach ukazała się głowa Fergususa Lynskeya.

- Dzień dobry, jak spałaś? - Jego twarz miała serdeczny, lecz nieco ironiczny wyraz.

- Znakomicie, dziękuję. - Sky z trudem odwzajemniła grzeczność. - A ty?

Można było odnieść wrażenie, że są niemal obcymi sobie ludźmi, którzy poznali się kiedyś na przyjęciu.

- Masz jakieś wieści?

Lynskey wszedł do pokoju i usiadł. Sky przekazała mu wszystko, co wiedziała na temat operacji matki, a było tego bardzo niewiele, i oboje pograżyli się w milczeniu.

- Nadal jestem nieprzytomny - oświadczył, głośno ziewając. Wyciągnął przed sobą no-gi, założył ręce na brzuchu i zamknął oczy.

Jego pogodny nastrój, pomimo tak perfidnej gry, oburzył Sky. Gdy z wściekłością zmierzyla wzrokiem rozwaloną na krześle sylwetkę, wiedziała bez naradzenia się z szefem, że nie powinna odkrywać przed tym facetem swoich kart.

- To może jeszcze trwać godzinami, Fergusie - powiedziała najśłodziej, jak potrafiła. -

A ty jesteś straszliwie zmęczony. Może wrócisz z powrotem do łóżka, a ja skontaktuję się z tobą, gdy tylko będzie coś nowego?

- Wykluczone - zaprotestował, nie otwierając oczu. - Nie chcę zostawiać cię tu samej.

Zresztą i tak nie zdołałbym zasnąć w ciągu dnia. Wypożyczyłem samochód marki Chrysler Topaz. Szkoda, że moja mama nie może mnie w nim zobaczyć! Po raz pierwszy w życiu po-ruszam się pojazdem wyposażonym w automatyczną skrzynię biegów. Cóż to za cudowny wynalazek!

- Nie przeszkadza mi samotność. - Sky czuła, że staje się coraz bardziej rozdrażniona. -

R S

Dlaczego nie wybierzesz się dokądś na przejażdżkę, skoro nie jesteś zmęczony? W dniu naszej wyprawy na rodeo powiedziałeś, że chciałbyś zobaczyć pole bitwy Custer. - Nagle uświadomiła sobie, wstrząśnięta, że „ów dzień” był zaledwie wczoraj. Lynskey zatrzepotał

powiekami, ale się nie odezwał. - Dlaczego nie chcesz skorzystać z mojej rady? W końcu jesteś na wakacjach. Tutaj niewiele możesz pomóc, a szkoda marnować tak piękną pogodę na przesiadywanie w szpitalnym pokoju.

- Może masz rację - przyznał, nadal nie otwierając oczu. - Jak się miewał dzisiaj rano pan Treacy?

Rozsierdzona Sky skoczyła na równe nogi.

- Śledziłeś mnie?

Zanim odpowiedział, potrząsnął głową, jak gdyby chciał, ażeby się w niej rozjaśniło.

Podsunał się do góry, usiadł prosto i spojrzał Sky prosto w oczy.

- Nie zdołasz wywieść mnie w pole, MacPee. Co cię gryzie?

- Nie wiem, o czym...

- Ależ wiesz. - Jego inteligentne oczy wpatrywały się w nią nieruchomo. - W jednej minucie spędzamy najcudowniejsze chwile w naszym życiu, a w następnej nastaje era lodow-cowa. Jesteś zbyt prostolinijna na prowadzenie tej gry, Sky. Żałuję, że nie potrafisz się zdobyć na szczerść.

- A ty potrafisz?

- Ach, zatem o to chodzi! - Jego domyślność jeszcze bardziej rozżłościła Sky.

Gdy zastanawiała się, co powiedzieć, wstał z krzesła i podszedł do okna.

- Jak to odkryłaś?

Nareszcie, pomyślała, patrząc na jego plecy. Dobrze, że choć miał na tyle poczucia przyzwoitości, by nie traktować jej jak idiotki. Nie zamierzała mu pozwolić na prowadzenie dalszej podstępnej gry i przetrzymała go, pozwalając, aby pytanie zawisło w powietrzu.

- Skąd wiesz? - Obrócił się twarzą do niej.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chyba rzeczywiście nie. - Wrócił do krzesła, postawił je odwrotnie i usiadł na nim okrakiem.

- Co teraz zrobimy? Będziemy sobie nawzajem pomagać?

Sky usłyszała echo słów Larsena; „Kto wie, może nawet okaże się pomocny”.

- Nie, nie będziemy.

R S

W dwóch różnych stronach świata prowadzono jednocześnie dwie rozmowy - w obu przypadkach rozmówcy wydawali się bardzo rozgorączkowni. Kierowca ciężarówki do przewozu okrągłaków, Martin O'Shaughnessy, zdawał raport szeryfowi O'Connorowi, podczas gdy kapitan trawlera „Agnes Monica” tkwił w wystawionej na działanie wiatru budce telefonicznej w Killybegs i złościł się na osobę przebywającą w dublińskim hotelu.

- Żadnych dalszych poleceń, rozumie pan? - Kierowca był tak rozsierzdony, że zapomniał o potrzebie zachowania ostrożności. - Jesteśmy kwita.

- Czyżby? - spytał szeryf O'Connor słodkim głosem. - Nie sądzę. To ja zadecyduję o tym, kiedy wyrównamy nasze rachunki. - Uśmiechnął się, gdy połączenie zostało przerwane.

Gniew kapitana trawlera najwyraźniej zaalarmował jego rozmówcę.

- Kicham na to, kto nas słucha! - Niełatwo było uspokoić marynarza. - Mam już tego po dziurki w nosie! Powinieneś zobaczyć, co się tutaj dzieje. Każda najnędrniejsza łajba w porcie jest wywracana do góry dnem, a „Aideen” niczym pies pasterski krąży w pobliżu, wę-

sząc wzdłuż nabrzeża. Rozkazy z góry, dobre sobie! Już w to wierzę! Nie zdołam dłużej osłaniać celu naszej wyprawy przed załogą. To miała być nieskomplikowana akcja. I bardziej opłacalna od wszystkich dotychczasowych! - Kapitan przez chwilę słuchał. - Pocałuj mnie gdzieś! - wykrzyknął oburzony. - Pięć procent? Za to piekło, przez które przechodzimy? Mo-gę stracić łódź. Wypchaj się swymi dodatkowymi pięcioma procentami! - Znowu przez chwilę słuchał, nim wybuchnął: - Mam w

nosie, kto jest na linii! Wszedłem w ten interes dla pieniędzy. I moja stawka wzrosła do piętnastu procent!

Był tak wściekły, że dopiero kiedy z trzaskiem odłożył słuchawkę, zadał sobie trud, aby ponownie sprawdzić przez chropowatą od soli szybę, czy nie jest obserwowany. Było pogodne, bezchmurne popołudnie i choć na terenie portu panował ożywiony ruch z powodu dużej liczby samochodów i łodzi, wyglądało na to, że policjanci wrócili do komendy.

Usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, opuścił budkę i poszedł. Nie zwrócił uwagi na żółtą furgonetkę z zakładu energetycznego, która stała zaparkowana w zatoce na jezdni obok słupa doprowadzającego prąd do ulicznych latarni.

Technik wewnątrz pojazdu przewinał taśmę, która została nagrana przed chwilą. Za-równo on, jak i siedzący obok niego inspektor-detektyw zdawali sobie sprawę z niewielkiej przydatności nagrania z powodu braku nazwisk. Wiedzieli, że kapitan uzyskał połączenie z hotelem „Majestic”, ale ponieważ rozmowa została przeprowadzona z ogólnodostępnej budki w holu, również i ta informacja była niewiele warta. Obiecujące wydawało się jedynie wypo-R S

wiedziane przez kapitana zdanie o utracie kontroli nad załogą.

Inspektor wyjął swój telefon komórkowy i zadzwonił do Dublina.

Ku uldze Sky zaraz po wyjściu Lynskeya zjawiła się Hermana. Pomiedzy reporterką a Irlandczykiem nie doszło wprawdzie do jawnej kłótni, ale Sky nie zamierzała dać się udobruchać, a on dał za wygraną, widząc, że w jej obecnym nastroju niewiele z nią wskóra.

Pomimo głębokiego przekonania o tym, że racja jest po jej stronie, Sky zrobiło się przykro po odejściu Lynskeya i ogarnęły ją wątpliwości. Wcale nie była pewna, czy zachowa-

ła się lepiej od niego. Przypomniała sobie, w jaki sposób obeszła się z biednym Gregiem - i to w momencie, kiedy na horyzoncie pojawił się inny mężczyzna.

Johanna, wciąż śpiąca po narkozie, została kilka minut później przywieziona na salę.

Sky przeżyła wstrząs na widok unieruchomionego ciała matki, kołnierza ortopedycznego oraz stojaka z licznymi rurkami i kroplówkami, do których Johanna była podłączona. Pielęgniarka zapewniła ją jednak, że operacja miała normalny przebieg.

Przez następną godzinę matka dryfowała na pograniczu świadomości. Co jakiś czas wydawała z siebie cichy jęk, lecz według pielęgniarki jej cierpienie ograniczono do minimum.

- Przez cały dzień pozostanie oszołomiona po narkozie - oświadczyła przyjaciółka Johanny. - Jutro nie będzie nawet pamiętać, że tu byłaś. Posiedzę przy niej, na wszelki wypadek, a ty pojedź do domu i trochę odpocznij. Przecież wieczorem musisz być w formie, aby zająć się babcią.

Sky ogarnęła wzrokiem nieruchomą postać na łóżku. Słowo „sen” wywoływało w niej miłe uczucie ociążałości i odprężenia. Przypuszczała, że babka będzie wolą zatrzymać się u nich niż u Daniela

Treacy'ego, i wiedziała, że powinna przygotować dla niej pokój Johanny.

- Skoro tak uważasz - uśmiechnęła się z wdzięcznością do Hermany. - Do zobaczenia później, mamó - powiedziała, całując wilgotny policzek Johanny.

Bez makijażu i z włosami gładko przylegającymi do głowy wyglądała starzej niż zwykle, ale wydawała się bezbronna jak dziecko.

To nowe spojrzenie na matkę było dla Sky wstrząsem. Zawsze uważała, że obie mają mnóstwo czasu na poprawę wzajemnych stosunków i teraz pojęła wobec aż nadto wyraźnych dowodów śmiertelności Johanny, że nie można z tym dłużej zwlekać. Przebacz mi... Będę bardziej się starać, obiecuję. Odtąd wszystko będzie inaczej zobaczysz, mamó... Świadoma obecności za swoimi plecami zwalistej postaci Hermany, zamrużyła powiekami, powstrzymu-R S

jąc piekące łzy. Nie mogła sobie pozwolić na rozczulanie się nad sobą; czekały ją liczne obowiązki.

Po powrocie do domu spostrzegła, że automatyczna sekretarka mruga. Pierwsza wiadomość pochodziła od wuja Franceya, który wydawał się bardzo zatroskany i prosił o wiadomość. Następna była babka: telefonowała z lotniska Huberta H. Humphreya w Minneapolis.

- Właśnie przyleciałam z Londynu, Sky. Przypuszczam, że jesteś w szpitalu. - Mówiła niepewnie, jak ktoś, kto nie przywykł do rozmawiania z elektronicznymi urządzeniami. - Nie będę już więcej telefonować. Nie mogę się doczekać na spotkanie z wami obiema. - Umilkła, a z oddali dobiegły odgłosy międzynarodowego terminalu. - Do zobaczenia.

Trzecia wiadomość pochodziła od żony szefa. Pytała o zdrowie Johanny i ponowiła zaproszenie, nalegając, aby Sky przyszła do nich w „każdym dogodnym dla siebie czasie”.

Czwartą osobą, która telefonowała, była Buffy. Przeprosiła za spóźnienie. Zatrzymały ją pewne sprawy, lecz obiecała przyjechać do szpitala w porze lunchu. Sky przewinęła taśmę i ponownie nastawiła automatyczną sekretarkę. Zmęczenie do tego stopnia ją zmogło, że odło-

żyła na potem przygotowanie pokoju dla babki. Nie mogła się nawet zdobyć na rozmowę z wujem Franceyem - najważniejszą informację otrzymał, a sprawa pieniędzy mogła zaczekać.

Na razie Johanny nie wyrzucali ze szpitala.

Wyjęła aparat fotograficzny i położyła na stole przy telefonie nieopodal drzwi wyj-

ściowych, aby pamiętać o zabraniu go na lotnisko. A potem, chociaż nie była głodna, lecz rozsądek podpowiadał jej, że powinna coś zjeść, przyszykowała sobie miskę płatków kukury-dzianych z mlekiem, które dodatkowo posłodziła. Zniosła naczynie do sypialni, nastawiła budzik, przeznaczając cztery godziny na odpoczynek, i w ubraniu padła bez sił na łóżko.

Zmusiła się do jedzenia, nie zdołała jednak całkowicie opróżnić miski. Zdażyła tylko odstawić naczynie, gdy zmorzył ją sen.

Do jej świadomości dotarł dźwięk budzika. Z trudem próbowała się przebić przez kolejne zamglone warstwy sennego puchu, aż wreszcie uzmysłowiła sobie, gdzie jest i wyłączy-

ła alarm. Miała wrażenie, że walec parowy rozplaszczył jej ciało, o jedną trzecią zmniejszając jego rozmiary.

Potknęła się, gdy przeszła obok okna, zmierzając do łazienki. Odruchowo wyjrzała na ulicę, aby sprawdzić, jaka jest pogoda. Ku swojemu zdziwieniu spostrzegła podniesioną chorągiewkę w skrzynce na listy na końcu podjazdu. Johnny nie było w domu, więc kto to zrobił

i w jakim celu? Panowała bezwietrzna pogoda... Pewnie jakimś leniwemu przechodniowi *R S* nie chciało się chodzić na róg ulicy, gdzie znajdowała się ogólna skrzynka pocztowa.

Sky wzięła prysznic, a potem, czując się trochę lepiej, związała paskiem szlafrok i wyszła na zewnątrz, żeby wyjąć korespondencję.

Może jakaś firma, która chciała zwrócić uwagę na swoje produkty, przysłała materiały reklamowe? Dobrze by było, ponieważ Johannę zawsze kusiły darmowe oferty. Na przykład upominek w postaci złotego zegarka za zakup trzydziestu litrów płynu do czyszczenia podłóg.

Ilekoć zaś prezentem był zestaw walizek, zawsze pędziła po pióro - ta nagroda wydawała się jej szczególnie nęcąca.

Minutę później Sky, oniemiała z przerażenia, zamarła z brązową kopertą w jednej dłoni i małym, walcowatym przedmiotem w drugiej. Nigdy nie towarzyszyła Gregowi w jego my-

śliwskich wyprawach i po raz pierwszy w życiu dotykała pocisku. Trzymała go w ręce tylko przez kilka sekund, a potem, jak gdyby był obślizgłym i pokrytym szlamem stworzeniem, odrzuciła go od siebie, wzdrygając się, gdy usłyszała brzęczący dźwięk, jaki wydał, uderzając o asfaltową nawierzchnię podjazdu. Migotał stamtąd do niej złowieszczo niczym miniatura niosącej śmierć rakiety.

Rozdział 25

Sky wpatrywała się w okrągły, mały kawałek metalu. Odgłosy popołudnia - szczekanie psa i dudnienie odbijanej od drzwi piłki do gry w koszykówkę - stawały się coraz bardziej donośne i niemal ogluszające. Słoneczne światło, które jeszcze kilka minut temu działało pobudzająco i wydawało się przyjazne, teraz roztaczało oślepiający blask i raziło w oczy. Sky pędem wróciła do domu, dopadła do telefonu i odruchowo wybrała numer 911.

Rzuciła jednak słuchawkę na widełki, zanim jeszcze oderwała palec od tarczy. Pomimo paniki, jakiej uległa, zdawała sobie sprawę z tego, że pierwszym obowiązkiem dziennikarki jest kontakt z własną redakcją, a dopiero potem z policją.

Jimbo Larsen zachował zimną krew.

- Wróć po to! - polecił. - Podnieś to przez materiał rękawa albo weź przez spódnicę, tak żebyś miała zakryte palce i nie zostawiła dodatkowych odcisków, a potem ostrożnie włóż z powrotem do koperty i czekaj na mnie. Zaraz przyjadę. Gdzie obecnie podziewa się twój irlandzki przyjaciel?

R S

- Nie wiem. Jak szybko możesz tu być? Muszę wracać do szpitala i jechać na lotnisko.

- Uspokój się, Sky. Zrób kilka głębokich oddechów.

Niewzruszony głos szefa dotarł do niej w końcu, lecz kiedy spróbowała posłuchać rady Jima, kolana zaczęły jej drżeć tak silnie, że nie zdołała utrzymać się na nogach i opadła po ścianie na podłogę.

- Jesteś tam, Sky? - Sky? - Jimbo zdradzał pewne oznaki zaniepokojenia.

- Wszystko w porządku - wyszeptała. - Przyjeżdżaj prędko.

Gdy samochód redaktora naczelnego zajechał pod dom, Sky była już przebrana. Miała na sobie dżinsy oraz czystą białą bluzkę - ostatnią, jaką znalazła w szafie.

Przez wzgląd na wizytę babki, zadbała o to, aby jak najlepiej wyglądać. Uczesała starannie włosy i związała poły bluzki w pasie. Dorzuciła kilka złotych świecidełek Johanny i miała nadzieję, że przypomina wyglądem Bardotkę, której zdjęcie z młodości Lindy znalazła w starym wydaniu magazynu „Vogue” i umieściła w „Courierze” na stronie poświęconej zagadnieniom mody.

Otworzyła drzwi. Widok wynurzającego się z samochodu Larsena dodał jej otuchy.

Miała ochotę rzucić się Jimowi w ramiona. Powstrzymała się jednak, dobrze wiedząc, że nie byłby zachwycony taką manifestacją uczuć.

- Gdzie to jest? - Jimbo podszedł do niej z wyrazem zdecydowania na nieruchomej twarzy.

Wręczyła mu papierową torebkę. Umieścił ją w przyniesionej przez siebie firmowej kopercie „Couriera”, którą potem zakleił.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Jeszcze nie wiem - odparł, chowając kopertę do kieszeni marynarki.

- Widzę, że już nieco ochłonęłaś; ładny strój. - Cofnął się o krok, mierzając ją wzrokiem.

- Dziękuję. - W ustach Jima Larsena była to nie lada pochwała.

Sky darzyła swego szefa bezgranicznym zaufaniem i robiąc kawę, opowiedziała mu szczegółowo o wszystkim - nawet o chorobie Treacy'ego, gdyż uznała, że przysłanie pocisku unieważniało wszelkie układy. Słuchał z kamienną twarzą, lecz Sky wyczuwała w nim go-rączkowe, dziennikarskie podniecenie, które dorównywało jej własnemu.

W końcu przypomniała sobie, gdzie już widziała identyczną kopertę z szarego papieru.

Redaktor naczelny najwyraźniej nie był zdziwiony, że Lynskey otrzymał podobne ostrzeżenie. Jimbo i Sky zgodzili się, że na razie nie będą do tego mieszać policji. Pewien dyskretny przyjaciel Larsena z uniwersytetu w Missouli mógł zrobić dla nich ekspertyzę na-R S

desłanego pocisku.

- Nie to mnie niepokoi, co zawierała ta przesyłka, choć, oczywiście, to również nic dobrego...
Dzięki... - Wziął kawę od Sky i zajął miejsce przy stole w kuchni. - Najgorsze jest to, że uznali, iż
potrzeba cię nastraszyć. Ci ludzie, kimkolwiek są, wiedzą, że na coś natrafiłaś.

Żałuję, że nie mam pojęcia, na co. Kto cię szpieguje? Przykro mi, że wplątałem cię w tę sprawę.

- Skąd mogłeś wiedzieć? - Sky czuła, że wbrew jego zapewnieniom wcale nie jest mu przykro. -
Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że stoi za tym „Bractwo Białej Koniczyny”. -

Usiadła naprzeciw Larsena i ugryzła kawałek chleba ryżowego z bananem. - Spójrz na nich, Jim.
Średnia ich wieku to sześćdziesiąt lat. A te ich nudne zebrania i przepisowe protokoły!

- Uważam, że to smętna zgraja starzejących się facetów, którzy mają bardzo przestarza-

łe poglądy na temat Irlandii i patriotyzmu. - Zamieszał kawę. - Zawsze podejrzewałem jednak, że
kilku może się posunąć dalej. Aż do wczoraj nie przypuszczałem wszakże, że jednym z nich jest
Collins.

- Niewątpliwie siedzi w tym po uszy. To on telefonował w sprawie Lynskeya, prawda?

Treacy uważa go jednak za płótkę, zresztą tak jak i całe to bractwo...

- Pewnie ma rację. Nie mówimy o żadnej z zarejestrowanych grup, które znamy i lubimy. To znacznie
potężniejsza organizacja i zastanawiam się, jak wiele ma wspólnego z irlandzkim republikanizmem.
W tej sytuacji nalegam, Sky, żebyś wzięła urlop. Potrzebujesz kilku dni odpoczynku. W ciągu
ubiegłego tygodnia przeżyłaś dostatecznie wiele ekscytują-

cych chwil - przeciętnemu reporterowi wystarczyłoby ich na resztę życia.

Kiedy zaprotestowała, spojrział na nią poważnie.

- Problem sprowadza się nie tylko do tego, Sky. Wiesz, że jestem za jak najszybszym
opublikowaniem tej historii, i to w ogromnym nakładzie. Wątpię jednak, czy „Courier” zdoła
sprostać temu wyzwaniu. Mam przecucie, że będziemy potrzebowali o wiele większych środków
finansowych niż te, jakimi obecnie dysponujemy. Odbyłem pogawędkę z naszym przyjacielem
intelektualistą. - To ironiczne miano odnosiło się do właściciela gazety. - Nie sądzę, aby zechciał
wyasygnować kwotę, jaka według mnie może okazać się niezbędna. Co sądzisz o opublikowaniu tej
historii do spółki z większymi dziennikami z Minneapolis czy Detroit? Mam kontakty...

- To nieuczciwe, Jim. - Sky wzdrygnęła się na tę sugestię. - To my wpadliśmy na trop tej sprawy.

R S

- Rzeczywiście, ale kiedy zaczynaliśmy nad nią pracować, nie przeczuwaliśmy nawet, jak ogromny ma zasięg. Wygląda na to, że wykracza poza granice państw, a nawet poza ocean. Niemożliwe, żeby ograniczała się tylko do naszego stanu. Z tego, co wiem, w Montanie nie działa żadna organizacja na tyle potężna, aby mogła przeprowadzić tego typu akcję. A ci ludzie nieustannie obserwujący Treacy'ego? Ma rację, że to agenci FBI. Musimy wziąć pod uwagę względy naszego bezpieczeństwa. Ten pocisk powinien dać ci do myślenia, kim są nasi przeciwnicy.

- Nadal uważam, że byłoby głupotą zaprzepaszczenie takiej szansy. Możemy wspólnie pracować nad tą sprawą, a nawet zatrudnić detektywa.

- Nie pora teraz na dyskusje. Wrócimy jeszcze do tego tematu. - Wypił duszkiem kawę.

- Postaram się znaleźć człowieka, który podrzucił nam anonim; to jedyne, co mogę na razie zrobić. Po powrocie do redakcji spróbuję wydobyć z pustej głowy naszej młodszej koleżanki informacje dotyczące wyglądu tego faceta. A skoro już o niej mowa: nadal przepisuje na maszynie twoje notatki.

- Uśmiechnął się do Sky, lecz widocznie uznał, że posunął się za daleko, gdyż zaraz dodał: - Muszę przyznać, że nieźle sobie radzi z działem mody. - Poklepał się po kieszeni w poszukiwaniu kluczyków od samochodu. - Co się zaś tyczy ciebie, młoda damo, nalegam, żebyś wzięła urlop.

- Ta sprawa i tak na razie nie może zostać opublikowana, a Treacy chyba nie zamierza umrzeć dzisiejszej nocy, prawda? - argumentował, kiedy znowu zaprotestowała.

- Zgoda, wezmę dzień lub dwa wolnego, ale będę z tobą w kontakcie telefonicznym.

Sky uznała swą chwilową porażkę, przypominając sobie, że babka właśnie wsiada do samolotu krajowych linii lotniczych, kursującego na krótkiej trasie pomiędzy Butte a Billings.

- A co z Lynskeyem? - Jimbo się zawahał.

- A co ma z nim być? - Zmarszczyła brwi.

- O ile rozumiem, wie tyle co my, a może nawet więcej. Żywisz do niego osobistą urazę, ale chciałbym się z nim spotkać, Sky.

- Pod warunkiem że będę przy tej rozmowie obecna. - Nie miała zamiaru pozwolić, aby ta historia rozwijała się bez jej udziału.

Sky przypuszczała, że Elizabeth Sullivan dobrze wygląda na swoje lata, pomimo to zaskoczył ją widok wysokiej, trzymającej się prosto kobiety, która weszła z podręczną torbą w ręce do małej sali przylotów.

Babka miała na sobie wąską, długą spódnicę barwy awokado i dopasowany do niej ko-R S

lorem płaszcz do kolan. Pod spodem kremowa bluzka układała się miękko od kołnierzyka po zgrabną talię. Siwe włosy Elizabeth upięte były w surowy, jak u baletnicy, koczek na karku.

Jasne pantofle na wysokim obcasie trudno byłoby nazwać obuwem praktycznym.

Sky była zdumiona. Fotografie wprowadziły ją w błąd i przez całe życie wyobrażała sobie irlandzką babkę jako kogoś pomiędzy Maureen O'Hara z „Milczącego człowieka” a matką z „Waltonów”. Tymczasem starsza dama ubrana z wyszukaną elegancją nie przypominała w niczym żadnej z tych kobiet.

- Babciu! - Zrobiła krok naprzód.

- Sky! - Twarz babki, ozdobiona parą ciężkich, złotych kolczyków w kształcie rzym-skich monet, rozjaśniła się w uśmiechu. - Nareszcie! Tak bardzo chciałam cię znowu zobaczyć! Rozmowy telefoniczne i listy to nie to samo, prawda? A poza tym, o czym już się zda-

żyłaś przekonać, pisywanie listów nie jest moją pasją. - Jej uśmiech stał się szerszy.

- Ja nie mam wytłumaczenia. Posługiwanie się piórem to moja profesja.

Kiedy się uściśniły, Sky poczuła się dziwnie onieśmielona, co spotęgowało jej zmieszanie. Kładła to na karb zmęczenia.

- Pozwól, niech ci się przyjrzę. - Babka, która najwyraźniej nie przeżywała podobnych rozterek, cofnęła się o krok. - Jesteś piękną kobietą, Sky. Twój wygląd przerósł moje oczekiwania. Byłaś uroczą małą dziewczynką, ale teraz... - Jej akcent, choć miękki i wyraźnie irlandzki, miał w tym momencie stłumione brzmienie; wypowiadała poszczególne słowa pręd-ko, podobnie jak Lynskey. Gdy obie się uśmiechnęły, Sky miała wrażenie, że oto widzi wła-sną przyszłość. Znowu wszystkiemu winne były fotografie: nigdy przedtem nie zauważyła, że ona i babka są aż tak do siebie podobne. Miały nawet mniej więcej ten sam wzrost - Elizabeth Sullivan była chyba o centymetr lub dwa wyższa od wnuczki; różnica ta mogła być jednak spowodowana obuwem: Sky nosiła espadryle, a Elizabeth pantofle na wysokim obcasie.

- Pewnie jesteś straszliwie zmęczona. - Sky przypomniała sobie, że powinna zaopiekować się babką.

Podniosła podręczny neseser, wzięła starszą panią pod rękę i poprowadziła ją w kierunku taśmy transmisyjnej, gdzie właśnie pojawiły się bagaże.

- Trochę - przyznała babka. - Wiele wysiłku trzeba włożyć w to, aby dotrzeć z Cork do Butte w stanie Montana. Przypuszczam zresztą, że nie tylko stamtąd.

W głowie Sky zadźwięczały echem słowa Daniela Treacy'ego, gdy proponował, żeby babka skorzystała z jego prywatnego samolotu.

R S

- Dziękuję, Sky. - Elizabeth wskazała zgrabną walizkę w szkocką kratę. Przybrała po-ważny wyraz

twarzy: - A teraz mów, co z moją biedną Johanną. Telefonowałam do ciebie, ale włączyła się ta okropna automatyczna sekretarka.

- Odebrałam wiadomość. - Sky podniosła torbę i gdy obie zmierzały w kierunku wyjścia, opowiedziała o przebiegu operacji matki. - A potem dodała: - Muszę cię na coś przygotować.

- Nie powiedziałaś mi całej prawdy o Johannie! - Twarz babki zmarszczyła się z trwogi.

- Nie, nic podobnego. - Sky odciągnęła Elizabeth na bok, aby nie blokowały przejścia. -

Chodzi o Daniela Treacy'ego, to znaczy o Daniela McCarthy'ego... - Babka zeszywniała. -

Czeka na parkingu na zewnątrz.

Kiedy Sky szła na lotnisko, dostrzegła zaparkowany samochód biznesmena, ale ponieważ wpadła w ostatniej chwili, nie zatrzymała się, żeby porozmawiać z Treacym.

- Ma nadzieję, że zechcesz się z nim spotkać, babciu. Ponownie zaproponował ci go-

ścinę. - Jakimś cudem Sky zdołała nie wygadać się o jego chorobie.

- Rozumiem.

Twarz babki pozostała niewzruszona niczym maska i Sky nie potrafiła odgadnąć, czy Elizabeth z zadowoleniem przyjęła wieści.

- Jeśli sobie życzysz, pójdę pierwsza, i powiem mu, że jesteś zbyt zmęczona - zasugerowała. - W końcu masz do tego pełne prawo. Co najmniej przez szesnaście godzin byłaś w powietrzu.

Twarz starszej pani rozjaśniła się nagle.

- Jeśli chcesz znać prawdę, umieram z ciekawości, żeby go zobaczyć. - Uśmiech od-młodził ją o trzydzieści lat.

Kiedy wyszły na ciepłe wieczorne powietrze, Sky wiedziała, że dokładnie zapamięta ten moment: czyjś śmiech, serię trzaśnieć drzwiczek samochodowych na niewielkim parkingu przed lotniskiem, małe obłoki oraz jasnoróżowe i bladożółte smugi zasnuwające niebo, a tak-

że zapach rozgrzanego asfaltu i karoserii samochodowych zmieszany ze słodkawą wonią spalin z paliwa używanego w samolotach.

Treacy stał obok swego saaba. Wyprostował się na widok obu kobiet. Dotknął kieszeni marynarki i sprawdził węzeł krawata. Jego ubranie kontrastowało z ubiorami innych męż-

czyn na parkingu, którzy w większości nosili szorty albo sztruksowe spodnie.

Dwoje starszych ludzi wyszło sobie naprzeciw. Zatrzymali się na odległość kroku, ale nie objęli się ani nawet nie wyciągnęli dłoni, tylko wpatrywali się w siebie. W każdym razie Treacy wpatrywał się w babkę. Sky stała za plecami Elizabeth i nie mogła dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Zaczekam w samochodzie, babciu. - Dotknęła jej rękawa. - Daj mi znać, co postanowisz.

Elizabeth powoli odwróciła głowę i spojrzała na wnuczkę nieprzytomnym wzrokiem.

- Babciu - Sky ponownie dotknęła jej ręki. - Dobrze się czujesz?

Starsza pani z powrotem skierowała oczy na Treacy'ego.

- Tyle lat upłynęło. Nie byłam przygotowana na twój obecny wygląd, Danielu.

Sky uznała, że postąpi taktownie, jeśli natychmiast się wycofa.

- Zabiorę twoje bagaże, babciu.

Wrzuciła je na tylne siedzenie, a potem usiadła za kierownicą i opuściła szybę, żeby ich lepiej widzieć. Nadal trzymali się na dystans. Ach, ta ich powściągliwość, nawet po tylu latach, pomyślała.

Żadne z nich nie zrobiło kroku. Treacy lekko pochylił się do przodu i wykonywał dramatyczne gesty. Najwidoczniej błagał o coś babkę i Sky, zastanawiała się, jak ona sama, a nawet jej matka zachowałyby się na miejscu babki. Johanna z pewnością postąpiłaby rozważ-

nie: to miło, że pojawił się kochanek sprzed pięćdziesięciu lat: widocznie takie było przeznaczenie. Natomiast serce Sky stopniałoby niczym wosk. Czy rzeczywiście? Patrząc na babkę, uświadomiła sobie własne poczucie zawodu. Czegoś brakowało w tym historycznym spotkaniu: czy Elizabeth nie powinna płakać z radości albo z jakiegoś innego powodu? Może nie umiała okazywać uczuć? Sky zrozumiała, że dominującym uczuciem babki jest zaskoczenie, jak gdyby nadepnęła na coś, co brała za kamień, a co w rzeczywistości okazało się kartonem.

Podczas kilku ostatnich dni, kiedy Daniel Treacy wyjawiał przyprawiające o zawrót głowy rewelacje z młodości Elizabeth Sullivan, którą wciąż kochał, Sky czytała pomiędzy wierszami, stwarzając sobie własną, niemal książkową wizję babki.

Zderzenie faktów z rzeczywistością było porażające. Ta szczupła, elegancka dama, któ-

ra wyglądałaby stosownie nawet w najbardziej wytwornych lokalach Manhattanu, nigdy nie mogła być prawdziwą babcią, piekącą szarlotki, królującą nad zlewem i kuchnią albo siedzącą nad koszykiem z włóczką; osobą, która pod nieobecność matki zawsze w razie potrzeby była-by gotowa ją zastąpić. Prawdziwą matkę, podobną do tej z telewizyjnej komedii „Małe ko-

bietki". W swych wcześniejszych wyobrażeniach Sky umieściła Elizabeth na przeciwległym biegunie do Johanny - kobiety o fascynującej osobowości, lecz skoncentrowanej przede wszystkim na sobie.

Teraz mit prysnął i nie miała już nikogo, kto mógłby ją ofuknąć za wkładanie brudnej ręki do słoika z cukierkami.

Na miłość boską, przywołała się do porządku, rozpoznając wstrętne uczucie uzalania się nad sobą. Dawno temu przestała być dzieckiem. I jak mogła tak nielojalnie myśleć o matce? Jaka córką - a także wnuczką - była? I na jaką wyrosła kobietę? Nagle, bez wyraźnego powodu, zatęskniła za ojcem.

Chwilę później zobaczyła, że babka pogładziła lekko policzek Daniela, który pochwycił jej rękę i podniósł do ust. Wspaniale, pomyślała Sky z radością, odrywając się od rzewnych refleksji. W końcu nastąpił jakiś przełom. Myliła się jednak. Babka cofnęła rękę, a potem oboje skierowali się w jej stronę i ruszyli przez parking do nissana. Starsza pani maszerowała dziarskim krokiem, wyprzedzając nieco towarzyszącego jej mężczyznę. Sky była gotowa się założyć, że jego prośby nic nie dały. Miała rację.

- Nie zatrzyma się u mnie, Sky, pomimo moich błagań - oznajmił, siląc się na uśmiech, kiedy podeszli do samochodu.

Sky czuła do niego litość i nawet zastanawiała się przez moment, czy się za nim nie wstawić. Jego oczy płonęły i pomimo eleganckiego ubrania, a może właśnie z tego powodu dostrzegła, że od rana stan jego zdrowia jakby uległ pogorszeniu: skóra przybrała bardziej żółtawy odcień, a kołnierzyk koszuli wydawał się za luźny na wychudzonej szyi. Zbeształa się w myślach za swe skłonności do dramatyzowania: zaczęła w ten sposób postrzegać Treacy'ego, gdy dowiedziała się o jego chorobie. Wsiadła z samochodu, żeby otworzyć babce drzwi od strony pasażera.

- Jest bardzo zmęczona - wyjaśniła, aby odmowa wydała mu się mniej bolesna.

- Czy możemy zobaczyć się jutro, Danielu? - Elizabeth zawahała się, nim wsiadła. -

Zawieziesz mnie do Daniela, prawda, Sky?

Babka przez całą drogę do domu milczała. Odezwała się tylko, by powiedzieć, że chce jak najszybciej odwiedzić Johannę w szpitalu - gdy tylko zostawi bagaże i trochę się odświe-

ży. Sky nie przerywała ciszy. Dopiero kiedy zajechały przed frontowe drzwi, Elizabeth powiedziała do wnuczki:

- Minęło pięćdziesiąt lat. Czy możesz to zrozumieć?

- Oczywiście, babciu - odrzekła Sky, choć wiedziała, że nie może.

R S

Potrafiła zrozumieć, że w ciągu tak długiego czasu romans z czasów młodości umarł

śmiercią naturalną w sercu jej babki. Nie była natomiast w stanie pojąć tych gorących uczuć, jakie przez te wszystkie lata zachował Daniel Treacy.

Rozdział 26

Miejscowość nazywa się Killybegs - człowiek z Heleny miał dla swej pracodawczyni z Vancouveru więcej złych wiadomości, a kobieta - jak na osobę, która uznawała zachowanie spokoju w każdych okolicznościach za największą cnotę - dała upust wyjątkowej irytacji.

Pomimo gniewu szefowej wysłannik ów przyznał otwarcie, że pieniądze zaangażowane w operację próbną mogą okazać się błędną inwestycją. Na swe usprawiedliwienie dodał, że Irlandia jest nowym terytorium i przy wyszukiwaniu ludzi do przeprowadzanej akcji musiał

zdać się na tamtejsze źródła.

- Usiłowałam się z tobą skontaktować - powiedziała kobieta nawet ciszej niż zwykle. -

Niestety bez skutku. To bardzo niedobrze.

- Miałem uszkodzony telefon, ale już wszystko w porządku. Pośpiesznie zaczerpnęła tchu, ażeby się uspokoić.

- Mów dalej.

Zdenerwowanie było jednak zbyt słabym określeniem tego, co czuła, usłyszawszy kolejne informacje. Na wieść o tym, że jeden z podwładnych jej wysłannika, szeryf z Montany, pomimo wyraźnych instrukcji *co* do sposobu postępowania w razie niepowodzeń, ośmielił się grozić dwojgu ludziom i wysyłał im pociski z pistoletów, kobietę ogarnęła trwoga. Uznała ten *R S*

postępek za przejaw brutalności i głupoty. Adresatką jednej z przesyłek była wścibska reporterka z lokalnej gazety; sytuacji nie zmieniał fakt, że pisywała do brukowca o ograniczonym zasięgu, gdyż każda prasa mogła okazać się niebezpieczna.

Kobieta o orientalnych rysach nie miała nic przeciwko szybkiemu i czysto dokonane-mu aktowi przemocy - pod warunkiem że zostaną zachowane wszelkie środki ostrożności, aby nikt nie mógł łączyć jej z owym faktem. Właśnie przedstawiciel w Helenie był odpowiedzialny za zniknięcie jednej lub dwóch osób, na których ślad policja nigdy nie wpadła. Kobieta uważała, że jeśli ktoś przekracza swe uprawnienia, przemoc jest uzasadniona. Traktowała ludzi uczciwie i tego samego oczekiwała od nich w zamian. Ale wysyłanie pocisków do dziennikarzy i policjantów mogło tylko przyciągnąć niepożądaną uwagę przedstawicieli prawa.

- Zapłać temu człowiekowi. I jeśli uznasz za niezbędne, zajmij się tą wścibską dwójką, ale tylko w wypadku absolutnej konieczności. Zawiadomię cię o mojej decyzji co do kontynuowania operacji. Jak dotychczas Irlandia zawiodła moje oczekiwania. Nic nie rób, dopóki się nie odezwę. Zadzwoń do ciebie.

Detektyw, który rejestrował rozmowy telefoniczne kobiety od czasu akcji w Ottawie, przekazał informacje swoim zwierzchnikom, a ci z kolei Lynskeyowi.

Sky pomogła babce wysiąść z samochodu, a kiedy wyciągała z bagażnika walizkę, dostrzegła kątem

oka jakiś ruch na końcu podjazdu. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Irlandczyka, który pędził wielkimi susami w ich stronę.

Elizabeth podążyła wzrokiem w ślad za spojrzeniem wnuczki.

- Czy to twój znajomy?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Lynskey był przy nich.

- Dzień dobry paniom! - Jego wesoły nastrój wydawał się szczery. - Postanowiłem wpaść, aby spytać o wieści ze szpitala. Pani jest z pewnością babcią Sky? - I rozpromieniony wyciągnął do Elizabeth rękę. - Nazywam się Fergus Lynskey. Jesteśmy sąsiadami. Dobrze znam pani rodzinne strony, pochodzę z Kerry, które graniczy z pani hrabstwem. Choć, jak słyszałem, obecnie postanowiła pani żyć wśród wielkiego smogu.

- Skąd pan wie? Rzeczywiście, przeniosłam się do Cork.

- Musi pani być potwornie zmęczona - zauważył, sięgając po walizkę. - Zresztą, pewnie obie jesteście na ostatnich nogach. Wniosę bagaże do środka.

Sky uznała, że szamotanie się z nim o walizkę byłoby grubiaństwem. Lynskey poszedł

przodem w kierunku frontowych drzwi, jak gdyby to on był właścicielem mieszkania. Za-R S

trzymał się przed wejściem w oczekiwaniu na klucze. Sky otwierając zamek, doszła do wniosku, że bez wahania mogłaby go zamordować.

Kiedy znaleźli się w środku, Irlandczyk zaproponował, że zaparzy kawę. Propozycja została przyjęta przez babkę z tak wielkim entuzjazmem, że Sky się nadąsała. Czyżby ten mężczyzna nie uznawał żadnych wiekowych barier, cynicznie wykorzystując swój wdzięk nawet w stosunku do Elizabeth?

- Tędy, babciu.

Posłała mu pogardliwe spojrzenie, którego najwyraźniej nie zauważył, i zaprowadziła starszą panią do pokoju Johnny. Zostawiła ją przy rozpakowywaniu bagaży, a sama zatelefonowała do szpitala. W stanie zdrowia matki nie nastąpiła żadna istotna zmiana: Sky została zapewniona, że pacjentka ma wszystko, co trzeba.

Pragnąc uniknąć spotkania sam na sam z Lynskeyem w kuchni, weszła do salonu. Obie z matką rzadko z niego korzystały. Zły gust właściciela - widoczny w obu sypialniach - tutaj jeszcze bardziej rzucał się w oczy. Ścienne tapety w kolorach brązu i ochry zdobiły dębowe liście, a także mające z nimi niewiele wspólnego jagody. Meble z drewna i skóry zapewne były krzykiem mody w latach pięćdziesiątych, a jedyne okno wychodziło na północ. Zarówno Sky, jak i Johanna nie znosiły tego pokoju i bywały w nim tylko w czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy podejmowały wysiłki, aby stworzyć coś na wzór normalnej rodziny. W salonie był jednak prawdziwy kominek i Sky, bardziej dla zabicia czasu niż z rzeczywistej potrzeby, zaczęła zmiatać popiół z jego obramowania.

Jak wybrnąć z tej sytuacji? Nie mogła sobie pozwolić na jawną nieuprzejmość wobec Lynskeya w obecności babki, która, podobnie jak „Siostry Błogości” i wszystkie inne kobiety w promieniu miliona kilometrów, z miejsca uwierzyła w jego szlachetne pobudki.

Był typem Don Juana. Sky czuła się zdradzona i myśląc teraz o tym wszystkim, aż pobladła z wściekłości.

- Masz wspaniałą babkę. To prawdziwa dama.

Słyszając sceniczny szept za plecami, wyprostowała się i obróciła wokół własnej osi, lecz Lynskey położył palec na ustach.

- Ciii... Może się domyślić, że mówimy o niej.

- Wcale o niej nie mówimy - odrzekła ściszym głosem. - O nikim z tobą nie zamierzam rozmawiać. Proszę cię, odejść.

- Daj spokój, MacPee. Czy stanie się coś złego, jeśli utniemy sobie małą pogawędkę? -

R S

Kiedy się do niej zbliżył, stwierdziła, że wyraz jego twarzy przeczy lekkiemu tonowi wypowiedzi. - Mam ci coś do zakomunikowania. Wiadomość ta będzie dla ciebie wstrząsem. Proszę, nic nie mów, dopóki nie wysłuchasz mnie do końca. Musisz wyprowadzić się stąd na ja-kiś czas.

- Co takiego? Chyba żartujesz.

- Grozi ci niebezpieczeństwo.

- Nawet jeśli to prawda, nie uwierzę komuś tak... - Ku swojemu rozdrażnieniu nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa na jego dwulicowość.

- Podstępny? - W tym momencie daleki był od żartobliwego nastroju. - Masz absolutną słuszość. Pomyśl jednak, Sky. - Próbował chwycić ją za nadgarstek, ale zachnęła się tak gwałtownie, że puścił jej rękę. - Postaw się w moje położenie. Na początku prowadziłem tylko dochodzenie i podążałem znalezionym tropem. Nie przypuszczałem, że... urwał. - Sytuacja jest skomplikowana - poprawił się szybko. - Sama mnie o tym wciąż zapewniałaś.

- Przepraszam, jeśli cię zanudzałam - odparła zjadliwym tonem, choć nie lubiła z nikim się drażnić.

- Pozwól, że spytam ze zwykłej ciekawości, jak się dowiedziałaś?

- Otrzymałam wiadomość od Billa Collinsa. - Spojrzała na Lynskeya, a potem dodała ironicznie: - Przypuszczam, że nie muszę wyjaśniać, kto to?

- Jasne! - Pokiwał głową, jak gdyby od dawna się tego domyślał.

- Przestań używać tak wszechwiedzącego tonu! - Miała ochotę uderzyć go w twarz.

Tymczasem Fergus jeszcze bardziej się do niej przysunął i choć jej nie dotknął, lecz tylko patrzył w oczy, Sky czuła jego dominującą obecność.

- Bardzo mi przykro. - Musnął palcem jej usta. - W tej sprawie jednak jestem śmiertelnie poważny. Musisz się przenieść gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna. Nie mogę na razie wyjawić ci przyczyny tej nagłej konieczności. Kiedyś wszystko wytłumaczę, obiecuję.

- Odejdź. - Udała, że nie zwraca uwagi na jego czuły gest. - Czy nie wyraziłam się w sposób zrozumiały? Właśnie przyleciała moja babka, a moja matka przebywa w szpitalu. Nie mogę się stąd nigdzie ruszyć. Proszę cię, odejdź i nigdy więcej tu nie wracaj. - Mówiła to jednak bez przekonania i wiedziała, że on to czuje.

- Nie rozumiesz, dlaczego nie mogłem nic powiedzieć? - Nie przejął się jej słowami. -

Na początku nie miałem pojęcia, z czym przyjdzie mi się zmierzyć, a potem, kiedy spotkałem ciebie...

R S

- Przypuszczam, także że owa powieść w twojej dyplomatce to nic innego tylko urzą-

dzenia do zakładania podsłuchów? - przerwała mu kpiącym tonem, nie zamierzając dopuszczać do świadomości podtekstu, który się krył w jego słowach.

Lynskey nawet nie mrugnął okiem.

- Niezupełnie, nie jestem agentem KGB, ale rzeczywiście przechowuję tam coś w tym rodzaju. Pokażę ci, jeśli sobie życzysz.

- Nie zamierzam niczego oglądać, Lynskey. Ciebie również nie chcę więcej widzieć.

Chyba nawet nie podejrzewasz, jak bardzo jestem na ciebie wściekła.

- Potrafię to sobie wyobrazić. W normalnych okolicznościach rzuciłbym jakąś głupią uwagę o tym, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Nie spodziewałem się jednak... no cóż...

Zanim Sky zdążyła się zorientować, pochylił głowę i pocałował ją w usta. W pierwszym momencie jej ciało zareagowało gwałtownie na tę pieszczotę, lecz zaraz dał znać o sobie rozum i odskoczyła od mężczyzny.

- Nie mogę uwierzyć, że się na to zdobyłeś! - Cofnęła się o krok, aby znaleźć się dalej od źródła pokusy. - Czy w ten sposób wypełniasz obowiązki służbowe? Bierzesz kobiety do łóżka, aby zdobyć potrzebne informacje?

- Nigdy przedtem to się nie zdarzyło, przysięgam.

- Zostaw mnie w spokoju, Fergusie.

Wyminęła go i pobiegła do kuchni. Ruszył w ślad za nią. W chwili kiedy odwróciła się twarzą do niego, przypomniała sobie o pocisku. I oczywiście natychmiast mu opowiedziała o swej niedawnej przygodzie.

Lynskey gwałtownym ruchem wyrzucił ręce do góry.

- Jezu! Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? Czy teraz wierzysz, że musisz na jakiś czas stąd zniknąć?

- Zapomniałaś, że jestem na ciebie obrażona? - Zmierzyła go zimnym wzrokiem. - Ale skoro już rozmawiamy o ostrzeżeniach w brązowych kopertach, wiem, że ty też otrzymałeś coś podobnego. Nie próbuj zaprzeczać. I także nie uważaj za konieczne powiadomić mnie o tym.

Miał tak poważną minę, że zaczęła tracić grunt pod nogami. Zaraz jednak ofuknęła się w myślach. Nie zrobiła nic złego i nie miała się czego wstydić.

- Pozwól, że uświadomię ci jeden drobny fakt: przebywasz nieproszony w moim domu.

R S

Więc nie traktuj mnie, jak gdybym była... jedną z podejrzanych. - Usiadła. Nagle zakręciło się jej w głowie - z głodu i niewyspania, a także od nadmiaru kofeiny i wrażeń.

- Musisz zrozumieć powagę sytuacji. - Lynskey przysunął krzesło i usiadł obok niej. -

Zabawa się skończyła, w grę wchodzi kula z pistoletu, Sky! - Mówił teraz powoli, ważąc słowa. - *A propos*, co z nią zrobiłaś? - Kiedy mu wyjaśniła, zmarszczył brwi. - Słuchaj, zostaw tę sprawę mnie. Jesteś pewna, że nikt się nie kręci w pobliżu? Nie odbierasz żadnych dziwnych telefonów? I nikt nie ociąga się z odłożeniem słuchawki, kiedy odpowiadasz?

Dopiero w tym momencie Sky przypomniała sobie o rozmowie z kierowcą ciężarówki.

W natłoku wydarzeń zupełnie wyleciała jej z głowy.

- Być może to właściwy trop, Sky - uznał Lynskey, kiedy powtórzyła mu wszystko, co zapamiętała. - Od tej chwili masz dać sobie spokój z tą historią. Twojemu redaktorowi naczelnemu powiem to samo.

- Ty mi wydajesz polecenia? - Była zbyt zdumiona, ażeby poczuć urazę.

- Nie żartuję, Sky. - Nie miała co do tego wątpliwości. - W razie konieczności będę cię musiał powstrzymać. Nie dałabyś rady sama zapanować nad sytuacją.

- Jak śmiesz? Masz czelność mi rozkazywać...

- Tak, ponieważ na tym polega mój zawód - przerwał jej. - Wiem, co mówię. Pomyśl, Sky, tylko pomyśl! Czy chcesz, żeby następna przeznaczona dla ciebie kula pochodziła z lufy pistoletu? Potrafisz strzelać? Masz broń? Wiesz, kim jest twój wróg?

- Mój redaktor naczelny przydziela mi robotę, a nie ty - syknęła.

Irlandczyk niespodziewanie chwycił ją za obie dłonie.

- Twój redaktor będzie musiał zwolnić cię z tego zadania. Posłuchaj mnie, Sky, proszę.

- Nie dotykaj mnie! Trzymaj ręce ode mnie z daleka!

Próbowała się wyrwać, ale nie ustępował.

- Posłuchaj... bądź cicho, Sky, posłuchaj...

Zaczęli się szamotać, lecz był silniejszy i po upływie minuty poczuła ból w napiętych mięśniach przedramienia.

Próbowała odstraszyć zuchwalca wzrokiem i wciąż nie dając za wygraną, usiłowała wyszarpnąć rękę.

- Nie życzę sobie, żebyś mnie traktował, jak gdybym była dzieckiem, Fergusie.

- Nie słyszałaś, co powiedziałem? - Odczekał, aż się uspokoi, a potem dodał: - Muszę tak cię traktować, skoro nie przyjmujesz żadnych rozsądnych argumentów. Zakochałem się w *R S*

tobie. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Z pewnością nie planowałem tego ani nie jest mi to na rękę, ale tak się stało. Nie chcę, żebyś narażała się na niebezpieczeństwo.

Sky miała wrażenie, że gdzieś w okolicach jej splotu słonecznego wybuchła bomba atomowa.

- Słyszysz? Kocham cię - oznajmił to tak spokojnie, jak gdyby wypowiadał najzwyczajniejszą uwagę o pogodzie.

- Tak - odpowiedziała, ale słyszała kogoś innego, kto mówił jej głosem. Również z wielkim opanowaniem.

A potem dobiegł ją dźwięk za plecami. Mogło być to westchnienie lub ciche kasznięcie. Obejrzała się i zobaczyła w drzwiach babkę.

- Wybacz mi... - Lyskey wypuścił jej dłonie z uścisku.

- Przepraszam, babciu.

Sky podniosła się z miejsca i wzięła z kuchenki dzbanek z kawą. Mijając babkę, odwróciła się w

drugą stronę, zdając sobie sprawę z tego, że twarz ma białą jak kreda.

Usłyszała z tyłu skrzypnięcie krzesła, gdy Lynskey poderwał się na nogi.

- Proszę, niech pani wejdzie.

Szeryf z Mayville nie przyjął potulnie słów krytyki.

- A niech cię wszyscy diabli! - powiedział cicho w słuchawkę, kiedy rozmówca się rozłączył.

O ile był zorientowany, po tej stronie Atlantyku operacja narkotykowa została wspaniale zorganizowana i miała gładki przebieg. Treacy, zgodnie z przewidywaniami, nie sprawiał

kłopotów. Rozumiał, że zanim umrze, jego żona musi zostać umieszczona w bezpiecznym miejscu. A Brian O'Connor nie miał zamiaru zwracać na siebie uwagi, pozostawiając niezalutwowane do końca sprawy. Istniało, co prawda, nikłe prawdopodobieństwo, że Midge Treacy, która obecnie była jak roślina, pewnego dnia ponownie pojawi się na scenie. Szeryf miał do stracenia więcej niż tylko funkcję asystenta jakiegoś drobnego pośrednika. Znalazł więc pewnego człowieka w zakładzie zamkniętym w Oregonie, gdzie miała zostać umieszczona żona Treacy'ego, by ten dopilnował, żeby jej prawdziwa tożsamość nigdy nie wyszła na jaw.

A teraz chcieli się go pozbyć. Za kogo się uważali? Szeryf z roztargnieniem rozłupał

orzech i zgniół go w przyływie złości. Nie mieli prawa winić go za to, że jacyś kretyni w Irlandii spaprali robotę. Co się zaś tyczy pocisków - przecież kazano mu nastraszyć tych dwoje wścibskich w Butte. Dostatecznie długo zajmował się ciemnymi interesami, aby wiedzieć, *R S*

że do skutecznego odstraszenia amatorów, a nawet takich pseudoprofesjonalistów jak ów irlandzki gliniarz, wystarczy jeden batalistyczny upominek.

A teraz ten facet z Heleny robił w portki. Skoro chcieli, żeby zadanie zostało wykonane w białych rękawiczkach, powinni go byli o tym uprzedzić.

Szeryf wstał i wrzucił łupiny orzecha do kubła na śmieci. A potem otrząsnął się jak pies. Zamierzał dopilnować, aby obiecana kwota została mu wypłacona w całości. Niech jakiś narwaniec z Heleny nie myśli sobie, że uda mu się go zbyć byle czym.

- No i co? - warknął naczelnik policji.

- Robi się tu gorąco. - W telefonie zabrzmiał cicho głos Lynskeya. - W Vancouverze sytuacja się rozwija.

Główny inspektor się zawahał, a potem powiedział nieco mniej bojowo:

- I to wszystko? Dobrze o tym wiem. Tamtejsi przyjaciele uprzedzili nas, że szefowie operacji mogą

się wycofać. Nie przywykli do współpracy z tak nerwowymi ludźmi, jakimi są nasi rodacy. Obawiam się, że nasza dama uzna Irlandię za zbyt twarde kęsek jak dla niej.

- Najwyższa pora, żeby im się dobrać do skóry. Z pewnością mamy już dostateczne dowody, dzięki nagraniom ich rozmów telefonicznych.

- Uważam, że warto poczekać. Ona może zrobić kolejny ruch. A po co łapać płotkę, skoro można złowić makrelę? Jesteśmy jednak gotowi w każdej chwili przystąpić do akcji.

- Czy zacieśniliście krąg podejrzanych w Operacji Omega? - Słowa zdawały się parzyć Lyskeyowi język. - I czy działacie dostatecznie dyskretnie?

- O operacji wiemy tylko my dwaj, komisarz policji oraz ministrowie: sprawiedliwości i spraw zagranicznych. Chyba że ty masz za długi język i wygadałeś się, na przykład przed swą przyjaciółką dziennikarką?

Lyskey pominął tę kwestię milczeniem. Po chwili jego zwierzchnik podjął temat:

- Nie, jeszcze nie wiem, kto jest kretem. Zaczynam się denerwować, Fergusie. Czas działa na naszą niekorzyść.

W pokoju na tym samym piętrze Rupert de Burgh siedział przy biurku, zapamiętale studiując swoje notatki. Miał na uszach słuchawki, podłączone do kieszonkowego odtwarza-cza marki Sony. Wyjaśnił kolegom, którzy pracowali wraz z nim w gwarnym pokoju, że muzyka pomaga mu się skupić, kiedy czyta lub pisze raporty.

Dopiero późnym wieczorem Sky miała okazję zareagować na obie deklaracje Lyskeya

- zarówno tę o miłości, jak i o grożącym jej niebezpieczeństwie.

R S

Przedtem pojechali wszyscy razem do szpitala, gdyż Irlandczyk przyczepił się do niej jak rzep. Poprosiła, żeby Fergus zaczekał razem z babką na korytarzu. Postanowiła uprzedzić matkę o wizycie Elizabeth, aby jej widok po tylu latach nie okazał się zbyt wielkim przeżyciem dla Johnny.

Matka spała, nadal podłączona do rurek i kroplówek, i Sky poczuła się jakoś nieporadnie, stojąc przy łóżku. Ostatnie promienie słońca wpadały przez wychodzące na zachód okno, oświetlając gips oraz kołnierz ortopedyczny. Unieruchomiona w tym wszystkim Johanna przypominała słabowitą gąsienicę. Wrażenie owo potęgowała jeszcze bladość jej skóry.

- Mamo! - Sky dotknęła jej dłoni, zwiniętej w pięść jak u dziecka.

Johanna otworzyła oczy.

- Czy to ty, Sky? - spytała ledwie słyszalnym szeptem, i córka, przyzwyczajona do jej rytmicznego i melodyjnego głosu, była przygnębiona jego brzmieniem.

- Zgadnij, kto tu jest, mamó? - zaszczębiotała słodko, jak gdyby przemawiała do małej dziewczynki.

Przykucnęła przy łóżku tak, aby jej głowa znalazła się na poziomie poduszki.

Johanna podjęła ogromny wysiłek, aby skupić na córce spojrzenie szklistych oczu.

- Babcia. - Sky z trudem przełknęła ślinę - Babcia jest tutaj.

Oczy Johanny powoli przesunęły się w kierunku drzwi. A potem szepnęła jeszcze bardziej chrapliwym głosem:

- Mamusia?

Babka Sky powoli podeszła do łóżka; kiedy znalazła się przy chorej, jej wyprostowane ramiona przygarbiły się nieco.

- Witaj, Johanno. - Klasnęła w dłonie, jak gdyby dotknięcie ręki córki było zabronione albo mogło mieć dla nich obu niepożądany skutek. - Tak mi przykro... nigdy nie sądziłam...

- Mnie również jest przykro, mamó... Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę...

Chrapliwy głos Johanny i sztywność obu kobiet przebiły w końcu zbroję obojętności, którą próbowała się otoczyć Sky. Wiedziała, że załamanie się całej trójki to kwestia kilku sekund i pośpiesznie czmychnęła z sali.

Lynskey wracając z budki telefonicznej, zauważył jej udręczoną minę.

- Czy stało się coś złego?

- Nie, wszystko w porządku. - Przetarła oczy, starając się nie okazywać słabości. -

Mama miewa się dobrze, tylko... - Duma powstrzymywała ją przed poddaniem się emocjom.

R S

Najchętniej wyplakałaby się Fergusowi na piersi. - Zaraz się uspokoję. - Poszperała w torebce w poszukiwaniu chusteczki i wytarła nos. - To wzruszające, ponieważ obie od tak dawna się nie widziały.

- Oczywiście. - Irlandczyk prędko połapał się w sytuacji. Nie objął Sky, lecz odwrócił

wzrok, dając jej czas na odzyskanie panowania nad sobą. - Mam ochotę na kawę, a ty? Chyba już z dziesięć minut upłynęło od czasu, kiedy po raz ostatni pokrzepiałaś się kofeiną. - Z

wdzięcznością skinęła głową, a Lynskey popędził do automatu z napojami. Ponownie wytarła nos i skarciła się w myślach za uleganie słabościom.

Zdołała się jednak pozbierać, gdy obok usiadła jedna z pielęgniarek i zaczęła z nią rozmawiać. Wkrótce potem z pokoju Johanny wybiegła babka.

- Co chwilę zasypia. - Oczy Elizabeth miały czerwone obwódki, ale błyszcząły. - Obiecałam, że przyjdę ją odwiedzić jutro rano. Ona wyzdrowieje, prawda, siostró?

- Oczywiście. - Pielęgniarka podniosła się z miejsca. - Nie ma powodu do niepokoju.

Może upłynąć kilka dni, zanim nastąpi poprawa, ale wszystko będzie dobrze. Oto i kawa. -

Uśmiechnęła się do Lynskeya, który właśnie do nich się zbliżał. - Dzień dobry, miło mi, że znowu pana widzę.

Fergus dokonał kolejnego podboju, pomyślała Sky, patrząc jak pielęgniarka przewraca oczami do Irlandczyka. Jej dobry nastrój prysnął. Co ten mężczyzna, który powiedział, że ją kocha, ma takiego w sobie?

Przez całą drogę do szpitala dźwięczało jej w głowie to jedno krótkie, wypowiedziane przez niego zdanie. W tym czasie on wesoło gawędził z babką i, jak gdyby mieszkał tu przez całe życie, wskazywał Elizabeth charakterystyczne obiekty w Butte: statwę, liceum, centrum administracyjne miasta oraz gmach sądu. Sky pozwalała, by słowa „kocham cię” przetaczały się po obrzeżach jej świadomości. Odbijała je od siebie dopiero wtedy, kiedy za bardzo zbli-

żały się do serca. Miłość do tego mężczyzny nie była przewidziana w jej życiowym programie.

W ogóle miłość do mężczyzn.

Być może pozwoliłaby sobie na przelotny związek, ale nie na wielkie uczucie. Greg utrzymywał, że ją kocha, jednak według Sky, za bardzo pozował na supermana, aby w pełni pojąć sens takiej deklaracji.

Miłość do Lynskeya? Sky miała wrażenie, że przyszło się jej zmierzyć z czymś naprawdę groźnym. Już raz się zakochała w swym nieudolnym mężu. Wystarczy.

R S

A jednak to krótkie wypowiedziane przez Fergusa zdanie otworzyło tamę nagromadzonym uczuciom, wstrząsnęło Sky i stało się przyczyną jej niepojętego niepokoju emocjonalnego.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch godzin zatęskniła za ojcem, choć nie myślała o nim od miesięcy, a może nawet od lat.

Rozdział 27

Musiała się ponownie zmierzyć z problemem miłości, gdy zajechali pod dom. Elizabeth weszła do mieszkania, a Lynskey poprosił Sky, żeby zamieniła z nim kilka słów na osobności. Nie zdołała znaleźć żadnej wymówki. Podjazd ciągnął w nieskończoność, gdy szła obok Fergus, gorączkowo zastanawiając się, co powiedzieć.

Nastał pogodny wieczór, a powietrze było łagodne i ciepłe jak aksamit. O tej porze dnia, tuż przed zapadnięciem zmierzchu i nastaniem wieczornej ciszy, wszystkie dźwięki mia-

ły bardziej donośne brzmienie. Z otwartego okna w sąsiednim budynku za parkanem dał się słyszeć czyjś tubalny śmiech, lecz zaraz zginął wśród ulicznego zgiełku, i kakofonii dźwię-

ków, zagłuszony hukami zepsutego tłumika furgonetki oraz entuzjastycznymi okrzykami, jakie banda chłopaków wydała na widok okazałego kabrioletu. Kiedy Sky i Lynskey dotarli do chodnika, wróble na pobliskim drzewie wszczęły wojnę, wzbijając się w górę niczym fajerwerki.

Sky udawała, że jest zafascynowana podniebną bijatyką. Zamierzała podejść do drzewa, lecz

Lynskey ją powstrzymał.

- Powiedz, co o tym myślisz? - Obrócił ją przodem ku sobie, przyciągnął bliżej i wziął za rękę.

R S

- O czym?

Wpatrywała się w kanał odpływowy pomiędzy kołami samochodu a krawężnikiem.

Niespodziewanie przypomniała sobie o worku pełnym kulek do gry - idealnie równych szklanych oczek z kolorowymi tęczówkami - które otrzymała z Irlandii, kiedy była dzieckiem. Od tamtej pory leżały w biurku, ponieważ nie znalazła nikogo, kto by, z wyjątkiem Johnny, znał sposób ich użycia.

- Spójrz na mnie, Sky - powiedział Lynskey nalegającym tonem i pociągnął ją za rękę.

- Doskonale wiesz, o czym. O tym, o czym dyskutowaliśmy w kuchni, w chwili kiedy nasza rozmowa została przerwana. - Uważnie przyjrzał się jej twarzy. - O co chodzi, Sky? Czego się obawiasz?

Trafił w sedno i zmusił ją do wyznania prawdy.

- Sama nie wiem.

- Przecież nie wystąpiłem z żadną nieprzyjazną deklaracją. Nie domagałem się również, żebyś wyrzekła się wolności. To takie proste: kocham cię.

- Mylisz się. - Czują, że ma spocone dłonie i miała nadzieję, że on tego nie dostrzeże. -

To wcale nie jest proste...

- Jest. Kocham cię. Koniec historii. Żadnych zobowiązań, żadnych warunków.

- Nie prosiłam cię, żebyś się we mnie zakochał. - Pomimo ogromnego wysiłku, by zachować panowanie nad sobą, Sky usłyszała, że jej głos przybrał teraz niemal płaczliwe brzmienie.

Lynskey przyglądał się jej przez najdłuższe pięć sekund w jej życiu i po raz pierwszy jego oczy miały poważny wyraz.

- Tylko głupcy proszą o miłość. - Puścił jej dłonie i delikatnie pocałował ją w czoło. -

Nikt nie może sobie na nią zasłużyć ani zapracować. Nikt też nie może powiedzieć, że mu się należy. W twoim wieku powinnaś już o tym wiedzieć.

- Ależ dopiero się poznaliśmy... - Sky, pewna siebie kobieta, dziennikarka o szerokich horyzontach

umysłowych - czuła się całkowicie zagubiona.

W czasie gdy targaly nią wewnętrzne rozterki, nastrój mężczyzny uległ zmianie.

- Być może wrócimy jeszcze kiedyś do tego tematu, ale nie obawiaj się, na pewno nie w najbliższej przyszłości - oznajmił stanowczym tonem. - A teraz porozmawiajmy o twoim bezpieczeństwie. Jeśli nie zgodzisz się ze mną współpracować, będę zmuszony uciec się do innych metod. Dla twojego własnego dobra, moja droga.

Zmiana w jego zachowaniu była tak nagła, że Sky oniemiała ze zdumienia. I nawet nie R S oponowała, kiedy oświadczył, że zamierza spędzić noc w jej mieszkaniu.

- Nie martw się, prześlę się na tapczanie. - Wsiadł do pożyczonego samochodu i opuścił szybę. - Muszę zabrać z hotelu kilka rzeczy. Nikomu nie otwieraj ani nie odpowiadaj na żadne telefony. Niebawem wrócę.

Obserwowała tylne światła auta, gdy wycofywał się podjazd. Po chwili zniknął za rogiem, a o jego niedawnej obecności świadczyło jedynie echo warkotu silnika. Ruszyła w stronę domu, usiłując rozeznaczyć się we własnych uczuciach i ubrać je w słowa. Odrzuciła określenie „zamęt” jako zbyt melodramatyczne, choć najwierniej oddawało jej obecny stan emocjonalny.

Fergus Lynskey, odjeżdżając, próbował załatać ranę w sercu. Był głupcem. Ona ma go w nosie.

Sky na wpół świadoma obecności Irlandczyka w salonie, źle spała tej nocy. W snach dręczyły ją gąsienice gigantycznych rozmiarów, pogonie i upadki oraz nieuchwytny, pełzają-

cy strach. Kilka razy, kiedy już miała wrażenie, że za moment zostanie pożarta, budziła się i podrywała na łóżku.

Z dudniącym sercem włączyła radio, by złapać stację nadającą wiadomości. Maksymalnie ściszyła głos, łudząc się, że szum ludzkich wypowiedzi z powrotem ją uspi.

Jej nadzieje okazały się jednak płonne. Pomimo wczesnej pory uradowała się więc, słysząc krzątanicę babki.

Na palcach podeszła do salonu, możliwie jak najciszej otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Torba Lynskeya stała na środku pokoju, lecz kołdra, którą Sky mu dała, była starannie złożona i przewieszona przez oparcie tapczanu. Sky dostrzegła przypiętą do niej kartkę:

Sky!

Wrócę za niecałą godzinę. Proszę, nikomu nie otwieraj ani nie odbieraj telefonów.

Zadzwoń pięć razy do drzwi, abyś wiedziała, że to ja. F.

Pismo miał staranne i schludne, jak warstwy złożonej kołdry.

Sky wzięła szybki prysznic, ubrała się i weszła do skąpanej w słońcu kuchni; znowu zapowiadał się upalny dzień. Słoneczny blask poranka zdawał się jednak nie przystawać do rozgrywających się wokół wydarzeń. Gdy zaparzyła pierwszą w tym dniu kawę, zjawiała się babka w jednym z długich do kostek kaftanów swojej córki. Johanna wyglądała śmiesznie

odziana w pamiątki hippisowskiej młodości, lecz babce, zdaniem Sky, jaskrawe, zygzakowate wzory dodawały godności i majestatu.

- Jesteś głodna, babciu? - Otworzyła kredens, zastanawiając się, czy znajdzie tam coś oprócz karmy dla kotów. Ku swojej uldze dostrzegła opakowanie z naleśnikami w proszku, które kiedyś sama kupiła w przyływie buntu.

- Chętnie bym coś zjadła - przyznała babka. - Samoloty nie słyną z najlepszej kuchni.

- Zaczekasz dziesięć minut?

Naleśniki były gotowe, gdy Elizabeth ponownie przyszła do kuchni. Miała na sobie przewiewną, ciemnoniebieską, lnianą sukienkę z białym kołnierzem, w której wyglądała świeżo. Sky obrzuciła krytycznym wzrokiem własny strój - popielaty, jedwabny kostium, w którym była na kolacji z Danielem Treacym. Chociaż po powrocie powiesiła żakiet starannie na wieszaku, dobrze by mu zrobiło kilka pociągnięć żelazkiem.

- Dziękuję, kochanie. Do twarzy ci w szarościach - ten kolor czyni cuda z odcieniem twoich włosów. Kiedyś również chętnie nosiłam popielate stroje. - Uśmiechnęły się do siebie niemal z onieśmieleniem.

- Och, babciu! Wspaniale, że jesteś. - Sky objęła Elizabeth, uświadamiając sobie, że to pierwszy spontaniczny przejaw uczucia, na jaki się w stosunku do niej zdobyła.

Babka odwzajemniła uścisk, a potem cofnęła się o krok.

- Obie mamy wiele zaległości do odrobienia. Wstyd mi, że nie przyjechałam do was wcześniej.

- To nie tylko twoja wina - zaprotestowała Sky. - Wszyscy moi koledzy ze studiów przynajmniej raz byli w Europie, ale ja zbyt wiele podróżowałam w dzieciństwie i teraz nie potrafię się oprzeć przyjemności dłuższego pobytu w jednym miejscu. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

- Oczywiście - odparła ze śmiechem babka. - Ale przestańmy się obwiniać. Najważ-

niejsze, że zdążyłam się z wami spotkać, zanim zakopią mnie w ziemi i będę wachać stokrotki od spodu.

- Ależ babciu!

- Na miłość boską, Sky, jestem już po siedemdziesiątce i przeżyłam swoje. - Starsza pani

uśmiechnęła się niewyraźnie. - A teraz wygląda na to, że niektóre fakty z przeszłości powróciły, aby mnie prześladować. A o której mamy się spotkać z moim fatum?

- Zatelefonuję do niego zaraz po śniadaniu.

R S

Po niespełna pięciu minutach trwania posiłku w korytarzu pięciokrotnie zadzwieczał dzwonek - umówiony sygnał Lynskeya.

- Wczesna pora jak na gości, nie sądzisz? - Babka sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- To Fergus. Później wyjaśnię babci powód jego wizyty.

Sky poszła otworzyć drzwi. Wiedziała, że w obecności starszej pani nie zdoła poważ-

nie rozmówić się z tym człowiekiem. Po wpuszczeniu go do mieszkania jasno i bez cienia złościwości dała mu jednak do zrozumienia, że ma swoje plany i zamierza zachowywać się tak, jak gdyby go nie było.

- Oczywiście. - Był świeżo ogolony i umyty - widocznie wrócił z zajazdu „Pod Indiań-

skim Pióropuszem". Miał na sobie kolejny spłowiały podkoszulek, tym razem reklamujący rockową grupę muzyczną U2.

Wdał się w pogawędkę z babką w kuchni, a Sky zadzwoniła do Treacy'ego, uznając, że siódma trzydzieści nie jest zbyt wczesną porą na rozmowę telefoniczną. Zgodnie z jej przewidywaniami od dawna był już na nogach i ze zniecierpliwieniem czekał na wizytę babki.

- Sky...? - Zapewne chciał o coś zapytać, ale się rozmyślił. - Nie, już nic.

Była zbyt pochłonięta sporządzoną w myślach listą, aby podążać tropem wątpliwości swego rozmówcy.

Następnie skontaktowała się z wujem Franceyem, który zaproponował pieniądze, konsultacje z największymi sławami medycznymi na Harley Street oraz każdą pomoc, jaka była-by Johannie potrzebna. Kiedy Sky powiedziała mu o pliku przeterminowanych czeków, dostał

ataku niepohamowanego śmiechu, a jej nie pozostało nic innego, jak przyłączyć się do tego wybuchu gwałtownej wesołości.

- Oto cała Johanna! - powiedział, z trudem się opanowując. - Nie zmieniła się ani odrobinę!

Po chwili spoważniał i przedstawił Sky plany swoje oraz ciotki Hazel. Oboje chcieli za kilka dni przylecieć do Stanów. Sky uznała jednak, że ma dostatecznie dużo obowiązków w związku z codziennymi odwiedzinami w szpitalu i opieką nad gościem, który już się u nich zatrzymał, odwiedła

więc wuja od zamiaru przyjazdu, radząc, ażeby oboje z ciotką wstrzymali się z wizytą do czasu, kiedy matka nabierze nieco sił.

Na koniec zadzwoniła do Jima i ku swemu niezadowoleniu odkryła, że Fergus już nim rozmawiał i umówił się na spotkanie na dziewiątą rano.

- Ty także musisz przyjść, Sky.

R S

Typowa oschłość w głosie szefa przez telefon sprawiała wrażenie niezwyklej powagi.

Pół godziny później obie z babką zajęły miejsca w nissanie. W miarę zbliżania się do domu Daniela Treacy'ego, Sky wyczuwała coraz większe napięcie starszej pani, która siedzia-

ła obok sztywno wyprostowana niczym królowa. Sky zabawiała Elizabeth rozmową o swej pracy, pięknie otaczającego krajobrazu i o wszystkim, co mogło nieco odprężyć jej towarzyszkę, a ją samą powstrzymać od ciągłego spoglądania we wsteczne lustro, w którym niezawodnie widoczny był przód chryslera topaza. Lyskey nie podjechał jednak pod sam dom Daniela Treacy'ego, lecz zatrzymał się na poboczu przed bramą wjazdową.

Elizabeth zareagowała na roztaczający się z parkingu widok podobnie jak wnuczka.

- O Boże! - westchnęła, szeroko otwierając oczy. - A ja sądziłam, że Przylądek Béara jest wyjątkowo piękny... - I dodała, tym razem wyraźnie do samej siebie: - Daniel fantastycznie mieszka.

Tego ranka krajobraz widoczny z posiadłości Treacy'ego uzasadniał nawet najbardziej barwne opisy Montany w turystycznych bedekerach.

Choć niebo było czyste, słońce nie zdążyło jeszcze osuszyć mgły. Ulotna niczym anielskie włosy lub kołdra utkana z pajęczyn, unosiła się zaledwie kilka metrów ponad głęboką zielenią baldachimu lasów i piętrzyła się niczym owcze runo wokół stoków Gór Skalistych, a wierzchołki górskie wydawały się oderwane od reszty masywu i zawieszane w powietrzu.

- Zachwycający widok, prawda? Ale nie widziałaś jeszcze Lodowcowej Drogi ku Słoń-

cu. - Sky ucieszyła się z reakcji babki; dała jej czas na pozachwycanie się pięknem krajobrazu i dopiero po chwili spytała: - Wejdziemy do środka?

- Nie musisz wchodzić razem ze mną. Masz swoje sprawy do załatwienia. Jedź do redakcji.

Sky nie nalegała, widząc, że Elizabeth chce zostać sama.

- W porządku, zatem do zobaczenia. - Ociągała się jednak z odjazdem, powoli ruszając spod domu i dzięki temu zdołała dostrzec we wstecznym lusterku, że Treacy otworzył drzwi niemal natychmiast, gdy tylko babka znalazła się przed nimi.

Kiedy Sky minęła bramę i wyjechała na drogę, rozejrzała się za niepozornym sedanem, ale choć poruszała się z minimalną prędkością i używając wszystkich samochodowych lusterek, uważnie badała wzrokiem oba pobocza szosy, nie dostrzegła żadnego pojazdu z wyjątkiem chrylera topaza. Zaciśnęła zęby ze złości. Nie zamierzała dopuścić do tego, aby Lynskey zaprzętnął jej wszystkie myśli.

R S

Natychmiast po przekroczeniu progu domu Daniela Elizabeth ujrzała morze białych kwiatów ustawionych w każdym kącie i w każdym wolnym miejscu korytarza. Setki białych róż wychylały się z wazonów i dzbanów. Jeszcze więcej było ich w salonie, a najwięcej w pokoju ogrodowym, gdzie oboje usiedli, ażeby porozmawiać.

- Pewnie wydałeś majątek na te wszystkie kwiaty, Danielu. - Elizabeth rozejrzała się wokół siebie.

Pan domu zbagatelizował sprawę machnięciem dłoni.

- Czy na pewno nie jest ci zimno?

Wszystkie wychodzące na taras okna pootwierano na oścież i miejsca, w którym siedzieli, nic nie dzieliło od lasu za pasem zieleni przed domem. Motyle ślizgały się w ciepłych podmuchach powietrza, a najbardziej donośnym dźwiękiem było brzęczenie przelatującej pszczoły.

- Przepiękny dom - powiedziała Elizabeth ze szczerym podziwem po zwiedzeniu rozległego budynku.
- Czuję się w nim niczym księżniczka z bajki.

- Mam nadzieję. Czy naprawdę podoba ci tutaj?

- Przecież wiesz, że tak. Co się stało? - Zaniepokoiła się, dostrzegając rozgorączkowany wyraz jego oczu.

- Choć dobrze wiem, że nic się pomiędzy nami nie wydarzy, twoja obecność tutaj jest ziszczeniem moich pragnień. Chciałem cię jeszcze raz zobaczyć. I to tu, w tym domu.

- Dlaczego akurat tutaj? Czyżbyś miał loch, w którym zamierzasz mnie zamknąć, Danielu? - Przestraszona się jego reakcją Elizabeth usiłowała nadać rozmowie lekki ton.

- Nie, nie mam lochu ani wieży. To twój dom, Elizabeth. Wybudowałem go dla ciebie.

Potrzebowała dłuższej chwili, ażeby dotarł do niej sens tych słów.

- Dla mnie? Co masz na myśli?

- Każdy kawałek drzewa, szyby i glazury, każde źdźbło trawy na zewnątrz wybierane było z myślą o tobie.

Odczuwała tak ogromne zakłopotanie, że głębiej oparła się o poduszki, jak gdyby w obawie że

Daniel może spróbować fizycznie nagiąć ją do swej woli.

W jednej chwili pojął prawdę, a pod wpływem uczucia zawodu jego ciemne oczy zrobiły się jeszcze większe niż zazwyczaj.

- Teraz to już nie ma znaczenia, Elizabeth. - I tak jest za późno... Wystarczy, że jesteś tutaj... chociaż ten jeden raz...

R S

- Nie rozumiem?

Powiedział jej o swym stanie zdrowia, a kiedy nie chciała dopuścić do siebie tego faktu, podszedł bliżej, przykucnął i wziął ją za rękę.

- To już nieważne, Elizabeth, naprawdę. Mam wszystko, czego pragnąłem w życiu: ciebie w tym domu pełnym kwiatów. Teraz już mogę umrzeć. Prześladowała mnie myśl, że pójdę do grobu przeświadczony o twej nienawiści do mnie. Obecnie wiem, że niepotrzebnie się zadreczałem - przecież gdyby tak było, nie przyszłabyś tutaj. - Smutek w jego oczach zastąpiła czułość. - Proszę, nie myśl, że oczekuję od ciebie czegoś więcej. Wiem, że nie żywisz do mnie urazy i to mi w zupełności wystarcza... - Przytrzymując się oparcia fotela, z wysił-

kiem dźwignął się w górę. - Chciałbym cię tylko prosić o jedno...

Zamilkł, a ona czuła się ogłuszona. Inna kobieta w jej sytuacji prawdopodobnie by się rozpląkała. Jednakże jej emocje, tak niesforne w młodości, zostały opanowane - nie bez sporego wysiłku z jej strony - i wraz z upływem lat pokryły się patyną. W końcu osiągnęła spokój - zarówno zewnętrzny, jak i wewnętrzny.

- Chcę, żebyś to wzięła. - Treacy wrócił z małym kwadratowym pudełkiem jubiler-skim. - Przechowywałem to dla ciebie przez długi czas.

- Nie mogę tego przyjąć. - Jej z trudem zdobyty spokój był zagrożony.

- Przynajmniej zajrzyj do środka - nalegał łagodnie. - Zrozumiem twoją odmowę, jeśli mój prezent ci się nie spodoba, choć nie sądzę, aby tak się stało. Zamierzałem zostawić ci ten dom, jako że zbudowałem go i umeblowałem z myślą o tobie. Gdyby Midge mnie przeżyła, natychmiast by go sprzedała. Od początku o tym wiedziałem. Potem uzmysłowiłem sobie, że obarczanie cię takim spadkiem byłoby straszliwym zuchwalstwem z mojej strony. Przyjmij to w zamian.

Wpatrywała się bezradnie w małą kasetkę, jak gdyby zawierała śmiertcionośną broń.

Daniel tak mocno ścisnął ją w palcach, że aż drżały mu dłonie. Pudełko wykonano ze wspaniałej, czarnej, ozdobionej złotem skóry i Elizabeth wiedziała, że jego zawartość musi być bardzo cenna.

- Nawet go nie otworzysz? - Drżenie dłoni stało się jeszcze bardziej widoczne. - Nie musisz przyjmować tego upominku, jeśli ci się nie spodoba. Byłbym jednak szczęśliwy, gdybyś przynajmniej

zechciała zajrzeć do środka. I jeśli fakt ten nieco poprawi twoje samopoczucie, zapewniam cię, że wewnątrz nie ma brylantu Koh-i-Nor. - Przez jego pobladałą twarz przemknął cień uśmiechu. - Nie o rynkową wartość tego podarunku chodzi, lecz o to, co sobą *R S*

przedstawia.

Elizabeth powoli wzięła pudełko do ręki i otworzyła je, zdając sobie sprawę z tego, że mężczyzna bacznie ją obserwuje.

- Zleciłem jego wykonanie specjalnie dla ciebie, Elizabeth. Nigdy nie zapomnę niebieskiej sukienki, którą miałaś na sobie tamtego wieczoru na zabawie. Pamiętasz?

Kobieta o orientalnej urodzie podjęła decyzję. W Vancouverze padało - prawdopodobnie był to zły znak. Po zakończeniu rozmowy ze swym przedstawicielem w Helenie poprzedniego wieczoru dokonała głębokich przemyśleń i oszacowała swe aktywa. Nawet po uwzględnieniu strat kapitałowych w prowadzonej obecnej operacji próbnej posiadany majątek gwarantował jego właścicielce wygodną egzystencję do końca życia. Wystarczyłoby go nawet na dwie wygodne egzystencje. Dodatkowy dochód, jaki mogła uzyskać w Irlandii, byłby już zbieraniem śmietanki, ale nie chciała kusić losu. Jej działalność w ciągu minionych dziesięciu lat rozwijała się gładko i bez wstrząsów. Dopiero w ostatnim okresie pojawiło się sporo niepowodzeń. Lekceważenie obecnych sygnałów ostrzegawczych byłoby nierozważną ze strony kobiety.

Być może traciła wyczucie. To ona wpadła na pomysł z trumnami, gdy szukała nowych sposobów na rozprowadzanie narkotyków w Europie. I ona zdecydowała, że operacja rozpocznie się w Montanie, gdyż miejsce to trudno było nazwać narkotykową stolicą świata, a nawet Ameryki. Okazało się jednak, że ani pomysł z trumną, ani wybór Irlandii nie był szczę-

śliwy. Być może kombinacja tych dwóch czynników zdecydowała o niepowodzeniu całego przedsięwzięcia. Nadeszła pora, aby pogodzić się ze stratami i zamknąć sprawę. Zatelefonowała do swego pełnomocnika w Helenie.

Był zaskoczony, lecz przyjął do wiadomości rozkaz o wycofaniu się z operacji - nawet z fazy próbnej. Dama z Orientu ustaliła z nim kwestie finansowe i chociaż nie zamierzała już więcej dzwonić, zapowiedziała, że odezwie się nazajutrz w sprawie nowego zlecenia, a teraz musi kończyć rozmowę, ponieważ jest spóźniona na poranne spotkanie w centrum miasta.

W ciągu tej rozmowy bacznie się pilnowała, jako że linia była zbyt czysta. Podczas pobytu w Ottawie wystarczająco dużo nauczyła się od jednego ze swych kochanków, by wiedzieć, że ten, kto ma coś do ukrycia, powinien zachować szczególną czujność w wypadku połączeń bez najmniejszych trzasków. Nawet przy użyciu teoretycznie bezpiecznych telefonów komórkowych.

- Czy uporałeś się z pozostałymi problemami? Nie lubię, gdy sprawy nie są załatwione *R S*

do końca.

- Poradzę sobie z nimi.

- Dziękuję. Będziesz mógł pobrać wynagrodzenie w dotychczasowy sposób.

Kobieta była ubrana w jedwabny *cheong sam* i dobrany do stroju turban. Po zakończeniu rozmowy po raz ostatni rozejrzała się po swym mieszkaniu. Opuszczała je bez żalu - nigdy nie uważała tego miejsca za swój dom. Miasto Vancouver, z długimi zimami, wilgocią i szarością traktowała jedynie jako przejściowy etap podróży; nienawidziła zimna i deszczów, kierowała zawsze oczy na błękit tropików.

Włożyła luźny, bawełniany prochowiec, do skórzanej podręcznej torby schowała bilety na samolot, paszporty oraz wystawione na jej nazwisko dokumenty finansowe, uruchomiła automatyczną sekretarkę i upewniwszy się, że gaz jest wyłączony, a okna od strony tarasu zabezpieczone, opuściła mieszkanie. Była uosobieniem zaprzątniętej sprawami zawodowymi kobiety interesu.

- Dziękuję pani, życzę miłego dnia - powiedział portier, otwierając drzwiczki taksówki, a kobieta wręczyła mu napiwek.

- To ja dziękuję, Melu. I również życzę ci miłego dnia - odrzekła z uśmiechem. - Do zobaczenia po południu.

Kiedy taksówka włączyła się do ulicznego ruchu, który o tej porze był bardzo ożywiony, detektyw składał swemu zwierzchnikowi raport na temat zarejestrowanej przed chwilą telefonicznej rozmowy. Obaj mężczyźni zamienili ze sobą tylko kilka zdań. Szef postanowił, że skoro wielka transakcja, na którą czekali, została odwołana, powinni zatrzymać kobietę.

- Powiedziała, dokąd się wybiera? - spytał idąc do swojego gabinetu.

- Nie udzieliła żadnych wyjaśnień. Może być wszędzie. O ile wiemy, nie ma swego ulubionego lokalu.

- Nadaj komunikat z jej rysopisem do wszystkich komisariatów. I wyślij ludzi do jej mieszkania. Jeśli ją teraz zgubimy, aresztujemy ją po powrocie do domu.

Szef detektywa oczywiście nie wiedział, że przemyślany w szczegółach plan kobiety z Orientu okaże się bardzo skuteczny. Podała portierowi nazwę restauracji w centrum miasta, aby przekazał adres kierowcy taksówki, ale kiedy już siedziała wewnątrz pojazdu, udała, że się rozmyśliła i poprosiła o podwiezienie do centrum handlowego, które właśnie o tej porze otwierano. Zapłaciła taksówkarzowi, zdecydowanym krokiem weszła do pasażu i zatrzymała się przed wystawą z obuwem. Użyła witryny sklepowej jako lustro, ażeby się upewnić, czy *R S*

nikt nie zwraca na nią uwagi.

Zajrzała do kilku sklepów, a kiedy mijała toalety, weszła, jak gdyby pod wpływem na-głego impulsu, do pomieszczenia z wywieszką: „Dla pań” i zamknęła się w jednej z kabin.

Pod płaszczem miała ukryty lekki, nylonowy plecak - z rodzaju tych, jakie dzieci noszą do szkoły. Rozsunęła zamek, wyjęła kurtkę chłopięcych rozmiarów, spodnie z ciemnego poliestru, skarpetki, miękkie chłopięce buty oraz perukę.

Gdy po upływie niespełna dziewięćdziesięciu sekund wyszła do umywalni, była niskim Azjata o przyprószonych siwizną włosach.

Cheong sam, turban i duża torba zostały wrzucone do kosza sanitarnego, a luźny prochowiec o opróżnionych kieszeniach, z którego wcześniej usunięto wszystkie metki, pozostał

na wieszaku za drzwiami kabiny.

Jedynym niebezpiecznym momentem mogłoby się okazać opuszczenie toalety, lecz i tym razem kobiecie dopisało szczęście. W pobliżu drzwi nie było nikogo z wyjątkiem znu-dzonego sprzątacza, który mył podłogę, ale i ten stał odwrócony do niej tyłem.

Rozdział 28

W chwili kiedy Sky wchodziła do gabinetu szefa, wraz z nieodstępującym jej Lynskeyem, uzmysłowiła sobie, co ją zaniepokoiło w brzmieniu nazwiska Martina O'Shaughnessy'ego. Po prostu było irlandzkie. Podobnie jak nazwiska innych zamieszanych w tę historię osób: Treacy'ego, McCarthy'ego, Collinsa, O'Connora i Flynna, a także wężącego dookoła irlandzkiego gliniarza. Nie trzeba mieć genialnego umysłu, aby domyślić się związku. I prze-staje dziwić udział FBI w sprawie.

Jimbo i Lynskey przywitali się jak bliscy krewni i od razu przystąpili do rozmowy. Ponieważ temat dyskusji był Sky dobrze znany, skupiła uwagę na Irlandczyku. Sprawiał wrażenie swobodnego, choć nie ulegało wątpliwości, że uważa naczelnego redaktora gazety „Butte Courier” za kogoś, z kim należy się liczyć. I jak na razie nie wspominał o swej dziwacznej sugestii odsunięcia Sky od jej reporterskiego zadania.

Rzadko widywała szefa w tak poważnym nastroju. Co jakiś czas przeszywał ją świdrującym spojrzeniem, co uznała za dosyć osobliwe.

- Sprawdźmy, gdzie jesteśmy - powiedział. Odsunął na bok klawiaturę komputerową i *R S*

położył przed sobą pojedynczą kartkę kancelaryjnego papieru. - Szkoda, że nie może pan nam udzielić bardziej szczegółowych wyjaśnień. Nie wszystkie aspekty tej historii są dla nas zrozumiałe.

Sky podeszła do urządzenia chłodzącego napoje, aby się napić wody, lecz spostrzegła, że zabrakło kubków jednorazowych. Choć nie przysłuchiwała się uważnie rozmowie, wiedziała, że Lynskey nie wyjawiał dotychczas ani jednego nowego faktu. Powtórzył jedynie informacje, jakie ona uzyskała od Treacy'ego, albo które oboje z Jimem razem wydedukowali.

- Czy mogę się wtrącić? - Nie wróciła na poprzednie miejsce, lecz oparła się o ścianę w pobliżu automatu z napojami.

- Oczywiście. - Obaj spojrzeli na nią wyczekująco. Wbiła ostry wzrok w Irlandczyka.

- Każda osoba zamieszana w tę sprawę jest irlandzkiego pochodzenia. Sądzę, że rozmawiamy o terroryzmie, prawda, Fergusie?

Lynskey, musiała to przyznać, nawet nie mrugnął okiem.

- Co cię skłoniło do takiego wniosku, Sky? - zdumiał się Jimbo.

Irlandczyk wciąż milczał, ale kiedy uważniej mu się przyjrzała, stwierdziła, że na jego twarzy pojawiła się ironia.

- Spytaj o to Fergus, Jim. - Wróciła na swe miejsce przy biurku. - Myślę, że on zna odpowiedź na to pytanie. Ja tylko staram się dodać dwa do dwóch. Przy okazji dowiedz się także, czy dlatego nalega, żebym się ukryła.

Redaktor przeniósł wzrok ze swej reporterki na Irlandczyka. Po jej oświadczeniu nie zareagował jednak tak, jak tego oczekiwała.

- Słyszałeś, co powiedziałam, Jim? Lynskey splótł dłonie i położył je na kolanach.

- Chyba rozumiecie, dlaczego nie mogę wdawać się w szczegóły. Szczerze mówiąc, w ogóle nie powinienem z wami rozmawiać, ale uwierzcie mi, proszę: nie wyolbrzymiam niebezpieczeństwa ani nie mam skłonności do dramatyzowania. - Spojrzał wymownie na Sky. -

Przypominam także, że wszystkie sprawy, o których tutaj mówimy, mają ściśle poufny charakter...

- Oczywiście. - Jimbo oparł jedną nogę o blat biurka.

- Powiem tylko, że to, co odkryliście, jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Naszym zdaniem prowadzone są równocześnie dwie operacje. Nie wiem na razie, czy ich zbież-

ność jest zamierzona, czy też przypadkowa. Moim zdaniem druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna.

Sky pojęła nagle, że Jimbo w jakiś sposób zdążył się już dowiedzieć o postanowieniu *R S*

Lynskeya co do jej wyjazdu z miasta. Z niedowierzaniem nadstawiła baczniej ucho na słowa Irlandczyka...

- ...Różne też pobudki kierują osobami, które biorą w nich udział. Nie zdziwiłbym się także, gdyby się okazało, że Sky miała słusność i rzeczywiście szeryfa z Mayville łączą z jego irlandzkimi kolegami jakieś patriotyczne uczucia. Nie sądzę, żeby się wystawiał na tak ogromne ryzyko tylko dla korzyści finansowych. To prawda, że w razie konieczności bez chwili wahania podjąłby się brudnej roboty, ale dotychczas był tylko płotką. Obecna akcja natomiast - Lynskey znowu uważnie dobierał słowa - w moim przekonaniu wykracza poza pospolite przestępstwo.

- Słucham? - Sky znowu ogarnęła wściekłość. Była ciekawa, jak długo jeszcze ci dwaj będą ją pomijać w swych rozważaniach.

- Skoro agenci FBI o wszystkim wiedzą, a sam przyznałeś, że wiedzą, to dlaczego nie aresztują tych ludzi? - spytała zaczepnym tonem.

Lynskey zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Utrzymujemy stały kontakt z FBI. Chcemy jeszcze trochę poczekać, ażeby się przekonać, co się dalej stanie. W każdej chwili jednak jesteśmy gotowi wkroczyć do akcji. Niestety, nie mogę wyjawić więcej szczegółów.

Na tym kończyły się poufne informacje. Sky zrozumiała teraz, dlaczego dzisiaj rano zniknął sedan spod domu Treacy'ego.

- Przypuszczam, że to ty po usłyszeniu ode mnie całej historii wysłałeś ludzi, aby śledzili Daniela Treacy'ego?

- Wyjaśniłaś nam wiele rzeczy, dziękuję.

Nadaremnie. Jak zwykle zostałam wystrychnięta na dudka, pomyślała Sky. Głośno natomiast zapytała, kto ma teraz przywilej bycia obserwowanym.

- No właśnie, kto? Może jakaś gruba ryba? - dorzucił Jimbo. Detektyw jeszcze bardziej się przed nimi zamknął:

- Dobrze wiecie, że nie mogę wam tego powiedzieć.

- Zatem może nam pan zdradzi, gdzie prowadzicie inwigilację? - Nie dawał za wygraną Jimbo. - Dowiadywałem się na własną rękę i odkryłem, że stanowa policja w Montanie nie jest zaangażowana w tę sprawę.

- Prawdopodobnie policja stanowa wie o obecności funkcjonariuszy biura, lecz sama nie bierze udziału w akcji. W każdym razie dotychczas nie brała. Zapewne domyślacie się, za-R S

równy z powodu mojej obecności, jak i FBI, że operacja, na której trop wpadliśmy, ma zasięg międzynarodowy.

- Chce pan powiedzieć, że całe to zamieszanie - pański przyjazd tutaj, wzmożona aktywność FBI, policji, marynarki wojennej i wszystkich agentów, którzy gonią w piętę po całej Irlandii - zostały spowodowane przez ów jeden transport w trumnie? - Redaktor umieścił

pióro w prawym rogu arkusza i rysując precyzyjną linię, zrobił margines, który zakończył na nogawce spodni. - Mało prawdopodobne, prawda?

Lynskey ani drgnął.

- Pozostawiam to bez komentarza.

- Rozumiem. - Jimbo ponownie podniósł pióro i zaczął bezmyślnie kreślić serie połą-

czonych ze sobą ósemek. - Z pewnością w trumnie znajdowały się narkotyki, prawda? - Wo-kół cyfr dorysował płatki.

- I tym razem nie mam nic do powiedzenia. - Irlandczyk wciąż trwał nieporuszony. -

Jestem jednak przekonany o tym, że panna MacPherson powinna stąd zniknąć na jakiś czas.

Nareszcie. Sky, która jeszcze przed chwilą była wściekła, teraz odczuła dziwny spokój.

- Nigdzie nie zamierzam zniknąć...

- Pozwól mu wyjaśnić, Sky - zwrócił się do niej Jimbo, unosząc gniewnie w górę brwi.

- Zgoda, niech mówi, jesteśmy w wolnym kraju, ale nigdzie się nie wybieram, teraz kiedy przyjechała moja babka, a matka leży w szpitalu...

- A co byś powiedziała na podróż wraz ze mną do Irlandii? - Lynskey spojrział na redaktora i z powrotem zwrócił wzrok na Sky.

Wytrzeszczyła oczy na nich obu.

- Tylko nie wpadaj w furię, Sky - uprzedził ją Jimbo z wyrazem obłudy na twarzy. - To była moja propozycja. Zapowiada się historia na pierwsze strony gazet. Wybrałem się do naszego przyjaciela intelektualisty i zdarzył się cud nad cuda: zdołałem go przekonać, żeby zaakceptował wydatki związane z twoim wyjazdem.

Wyprostowała się na krześle. Arogancja tych dwóch mężczyzn, którzy ustalali za jej plecami, jak powinna kierować własnym życiem i karierą, wprost zapierała dech w piersiach.

- To ładnie z twojej strony, Jim, ale możesz mu zwrócić te pieniądze - powiedziała chłodnym tonem.
- Nigdzie nie jadę.

Czekały ją jednak dalsze niespodzianki. Wkrótce się okazało, że obaj przygotowali już dla niej cały program. Miała nie tylko zostać wysłana do Irlandii, ale również do momentu *R S*

odlotu pozostawać z dala od Butte, dla „jej własnego dobra”. I powinna wyjechać z miasta najszybciej, jak to możliwe. Najlepiej jeszcze dzisiejszego wieczora. Wybrali jej również miejsce na spędzenie owego jednodniowego urlopu: miała się udać w odwiedzin do ojca.

Poczynili już nawet przygotowania do tej wizyty. Okazało się, że Daniel Treacy, z którym Lynskey skontaktował się podczas owej krótkiej porannej nieobecności w mieszkaniu Sky, zgodził się wypożyczyć jeden z małych samolotów swojego przedsiębiorstwa, aby umożliwić jej dotarcie do Yaak. Dzięki temu oszczędzi czas, jaki musiałaby przeznaczyć na jazdę samochodem. Lotnisko, z którego korzystano latem, znajdowało się niespełna dziesięć kilometrów za miastem, w dolinie nieopodal masywu górskiego Purcell.

- Pozwolicie, że zadam czysto akademickie pytanie? - Sky musiała bardzo nad sobą panować, aby powstrzymać podniecenie, wywołane dokonującym się przełomem w jej karierze, na który od tak dawna czekała. Nie chciała jednak, aby sądzą, że wszystko przebiega po ich myśli. - Czy w Irlandii będę bardziej bezpieczna niż w Butte?

- Z całą pewnością - oświadczył z przekonaniem Lynskey. - Tam będę mógł się lepiej tobą zaopiekować. To moje własne podwórko i mam większą szansę na rozpoznanie każdego podejrzanego typu. Poza tym, mogę tam również liczyć na pomoc kolegów.

- Czy naprawdę uważasz, że znalazłam się w niebezpieczeństwie? - Pomimo wszystkich słów, które dotąd padły, a nawet kuli z pistoletu w skrzynce na listy, wciąż nie rozumiała faktu, że jej życie jest zagrożone. Lynskey zwlekał z odpowiedzią i Sky przeniosła wzrok na szefa. - Daj spokój! - zaapelowała do jego zdrowego rozsądku. - Chyba w to nie wierzysz, co, Jim?

- Nie ja jestem ekspertem w tych sprawach, lecz on. I boję się o ciebie.

Rzeczywiście takie sprawiał wrażenie. Podjęła ostatnią próbę, atakując z innej strony, choć odczuwała coraz większe podekscytowanie.

- W jaki sposób zamierzasz wydać następny numer naszego brukowca, jeśli wyjadę?

- Zrobimy to, co zwykle. Ja napiszę większość materiałów, rozszerzymy część reklamową, stażystka będzie miała życiową szansę rozwinięcia rubryki poświęconej modzie i uzupełnimy wydanie o przedruki z prasy krajowej. Bułka z masłem.

W końcu więc Sky wyraziła zgodę na wyjazd, jednak pod warunkiem że będzie mogła należycie ułożyć wszystkie swoje domowe sprawy.

Wkrótce potem Lynskey się pożegnał.

- Muszę się spotkać z kilkoma osobami i przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych.

R S

Do zobaczenia później, Sky. Zostań tutaj, dopóki po ciebie nie wrócę. Zabiorę cię na lunch.

Zjedzenie lunchu nie było jednak w tym dniu jej pisane. Kiedy tylko za gościem zamknęły się drzwi, Jimbo skoczył na równe nogi.

- Chodzi o narkotyki. Irlandia stała się obecnie modnym rynkiem na ten towar. - Wyszedł zza biurka i zaczął krążyć po pokoju, choć piętrzące się na całej podłodze sterty papierów znacznie ograniczały jego ruchy. W ciągu ośmiu lat, które Sky przepracowała w redakcji

„Couriera" nigdy nie widziała szefa równie ożywionego. - To wyjaśnia jego niepokój o twoje bezpieczeństwo. - Zawadził o kant biurka kolanem i zaczął je masować. - Z pewnością coś jeszcze musi się za tym kryć. Nie byłoby go tutaj z powodu jednej trumny wypełnionej narkotykami czy nawet bronią. - Podjął przerwany spacer. - W Irlandii istnieją łatwiejsze sposoby zdobycia broni. A Lynskey wspominał o dwóch operacjach jednocześnie, pamiętasz? Na pewno przyjechał tu z powodu drugiej z nich. Posłuchaj mnie, Sky. - Obrócił się do niej przodem. Spostrzegła, że twarz mu się wygładziła i jest niemal szczęśliwy. - Wiem, że nie znosisz, kiedy inni decydują o twoich sprawach, pomyśl jednak o tej historii! Możemy nawet zarobić na niej pieniądze! O ile wiem, żaden inny dziennikarz dotychczas nie wpadł na trop tamtej drugiej sprawy! Lynskey nam pomoże, a ty go lubisz,

prawda? - Niemal krzyczał z radości. - Jakoś się z nim dogadasz, co?

Był tak podekscytowany, że nie czekał na odpowiedź. I całe szczęście, bo niewiele brakowało, a Sky wybuchnęłaby śmiechem.

- Czy aby trochę nie za wcześnie na świętowanie sukcesu, co? - spytała, gdy nieco ochłonął. - To prawda, że warunkowo zgodziłam się uczestniczyć w tym szaleństwie, ale historia z narkotykami? Nie mówiąc już o drugim, nieznanym wątku, o którym obaj wspominaliście. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Nie wyrobiłam sobie nawet paszportu. Wiesz, że nigdy dotychczas nie zajmowałam się tego rodzaju sprawami...

- On ci pomoże. I zawsze znajdziesz oparcie we mnie. - Obszedł dookoła biurko, otworzył szufladę i zaczął grzebać wśród setek walających się tam wizytówek. - Pamiętasz semi-narium w Salt Lake City, którego inicjatorem był premier Irlandii i które miało na celu zachę-

cenie do inwestowania w jego kraju? Poznałem wtedy irlandzkiego dziennikarza pracującego dla jednej z tamtejszych stacji telewizyjnych... Gdzie ona może być? Nieważne, na pewno ją znajdę. I nie martw się o paszport, już ja się tym zajmę. Lyskey przykazał mi, abym ani na chwilę nie spuszczał cię z oka, choć osobiście uważam, że w biały dzień nic ci nie grozi...

- To miło z twojej...

R S

- Jednak wybiorę się razem z tobą do centrum. Musisz zrobić zdjęcia, zanim wyruszysz w północno-zachodnie rejony stanu. Jutro rano będę miał dla ciebie paszport, a podczas twojej nieobecności zasięgnę tu i ówdzie języka. Być może zdobędę jakieś dodatkowe informacje przed waszym odlotem do Irlandii. Nie będziesz zdana wyłącznie na siebie. Posłuchaj, Sky. -

Zatrzymał się przed biurkiem. - Wszyscy wiemy, że na całym świecie przeprowadzane są ogromne transakcje narkotykowe i gdyby tylko o nie chodziło, nie zawracałbym sobie głowy sprawą. - Wzruszył ramionami. - Chyba że Montana stałaby się centrum przemytu tego towa-ru. Wtedy również byłaby to sensacyjna wiadomość, ale tylko dla naszego stanu. I jestem go-tów postawić ostatniego dolara, że dzieje się coś znacznie ważniejszego niż zwykły szmugiel narkotyków. Mam przeczucie, że odkryliśmy większość elementów tej układanki. Brakuje nam tylko kilku, abyśmy mogli ułożyć je w całość. Musisz polecieć do Irlandii.

Sky powstrzymała się od przypomnienia szefowi, że zaledwie kilka godzin temu nalegał, aby wzięła wolne.

- Zapominasz, że nie jestem wyszkolonym dziennikarzem śledczym - zastrzegła się ponownie, uważając, że powinien dać jej szansę wycofania się, na wypadek gdyby spała robotę.

Jednak ożywiony Jimbo obrzucił ją tylko zniecierpliwionym spojrzeniem:

- Na miłość boską, Sky, jedź i zdobądź tę historię! - Przez jakiś czas usiłował przekazać jej zasady działania na obcym terenie. A potem, kiedy już myślała, że pęknie jej głowa od nazwisk, dat i

szczegółów historycznych, oderwał wzrok od niepewnej papierowej konstrukcji, którą zbudował. - Zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałem, zgoda? Znajdź numery telefonów osób, z którymi możesz się skontaktować i skorzystaj z ich pomocy. Ale przede wszystkim - jestem gotów bez przerwy to powtarzać - miej oczy i uszy szeroko otwarte. I za-ufaj swemu dziennikarskiemu instynktowi, Sky. A jeśli nie będziesz wiedziała od czego za-cząć, zainteresuj się trumną. Sprawdź, kto się po nią zgłosił i dokąd została wysłana. Twój przyjaciel z domu pogrzebowego, Teddy, prawdopodobnie będzie mógł ci udzielić informacji: w zakładzie pogrzebowym Collinsa musiała pozostać jakaś dokumentacja. Sytuacja przypomina reakcję łańcuchową, Sky. Jedna wskazówka doprowadza do drugiej, a kiedy już ten proces zostanie rozpoczęty, nie sposób go zatrzymać. Uwierz we własne siły! I baw się dobrze! Chciałbym być na twoim miejscu!

W głowie wirowało jej od planów; udali się razem do fotografa, a potem pojechali po Elizabeth do domu Treacy'ego.

R S

Starsza pani sama otworzyła drzwi.

- Nie jestem jeszcze gotowa do powrotu, Sky. Zadzwoń później po taksówkę albo Daniel mnie odwiedzie.

- Dogadaliście się ze sobą? - Sky, świadoma obecności Larsena w nissanie, nie mogła się oprzeć absurdalnemu wrażeniu, że zachowuje się niczym wścibska i żądna szczegółów matka. I rzeczywiście była ciekawa, czy tych dwoje starszych już przecież ludzi odnowi dawny romans.

Trudno jednak było cokolwiek wywnioskować z zachowania babki.

- Wspaniale się nam ze sobą rozmawia.

Elizabeth była blada, lecz opanowana. I wyglądało na to, że cokolwiek działo się we-wnętrz tego domu, nigdy nie przedostanie się poza obręb jego murów.

- Bardzo się cieszę.

Sky zawahała się i pojmując, że nie zostanie zaproszona do środka, strzeliła wokół

wzrokiem, szukając sposobu wycofania się z godnością. Babka przyszła jej z pomocą.

- Muszę wracać, kochanie. Powiedz Johannie, że jeszcze przed południem do niej zajrzę. Do zobaczenia.

Kiedy wraz z Jimem Larsenem jechali w dół do miasta, Sky zdała sobie sprawę z przewrotności losu: teraz, gdy jej babka przybyła do Stanów, ona wybierała się w podróż do Irlandii. Kto wie, może bliższe poznanie się nie było im pisane?

W końcu również przemówiły jej do wyobraźni zdumiewające teorie oraz zatrważające ostrzeżenia Lynskeya. Po raz pierwszy poczuła się nieswojo. W takim dniu jak dziś, gdy słoń-

ce świeciło wesoło, a Góry Skaliste trzymały wartość na horyzoncie, myśl o tym, że ktoś zrobi wszystko, aby ją zamordować, wydawała się nedorzeczna... ale czy naprawdę była?

Dziwna też wydawała się Sky świadomość, że jest pilnowana przez swojego redaktora naczelnego.

- Wierzysz, że grozi mi niebezpieczeństwo? - Próbowała ponownie się upewnić.

- On mnie przekonał. - W głosie Jima zabrzmiało przygnębienie.

Sky po raz kolejny zerknęła do wstecznego lusterka, ale nic nie dostrzegła z wyjątkiem połyskującej w słońcu pustej autostrady.

Odpowiedzialny za przebieg akcji przemytu narkotyków człowiek po irlandzkiej stronie gorzko żałował, że kiedykolwiek o nich usłyszał. Został zwerbowany przez pośrednika z Ministerstwa Rolnictwa w Dublinie - wspólnika, z którym od lat dzielił się zyskami ze swych, *R S*

niezbyt czystych interesów. Zazwyczaj był to przemyt na drugą stronę granicy dla chłopaków z IRA - miła, bezpieczna i tradycyjna działalność przestępcza. I choć zdawał sobie sprawę z tego, w jak poważnej transakcji tym razem ma uczestniczyć, nie potrafił się oprzeć kuszącej perspektywie ogromnego zarobku.

A teraz, kiedy stracił kontrolę nad swymi podwładnymi, zaokrętował się na prom w Dun Laoghaire, aby czmychnąć do Anglii.

Trawler „Agnes Monica” wraz z podążającym za nim w oddali niczym cień statkiem

„L.E. Aideen” powoli zmierzał w kierunku groty i heroiny. Kapitan dobrze wiedział, że jest obserwowany, lecz jednostka patrolująca znajdowała się co najmniej półtorej mili morskiej dalej, a plan działania był prosty. Załoga miała podprowadzić trawler jak najbliżej wejścia do groty. Poziom wody był wysoki i od celu dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów. Kapitan wiedział, że wraz z kilkoma ludźmi na pokładzie szalupy przywiązanej blisko burty nie bę-

dzie widoczny z otwartego morza. W ostatniej minucie zamierzał odciąć cumy i umknąć do groty, podczas gdy „Agnes Monica” miała kontynuować podróż bez zatrzymywania się, odciągając w ślad za sobą niczego nieświadomą „Aideen”.

Kapitan liczył na to, że nim ktokolwiek nabierze podejrzeń, zgromadzony towar zostanie spalony, a on sam wraz ze swymi podwładnymi kilkanaście kilometrów dalej, na wschód od Killybegs, będzie spokojnie sprawdzać kosze do połowu homarów.

I tak też się stało.

W Dublinie, kilka godzin później, główny inspektor Daly powoli ogarnął wzrokiem grupę swoich podkomendnych, nad których głowami niczym kapelusz grzyba zawisła cisza.

- Pomimo wielu narad, źródeł informacyjnych i nieprzespanych nocy nie mamy ani narkotyków, ani wielkiej transakcji, ani aresztowań - zaczął. - Są tylko policjanci goniący w piętę po całym kraju,

cztery ciała zabitych oraz kilku niewinnych rybaków. Jest także poni-

zająca prośba, którą skierowaliśmy do Brytyjczyków, aby mieli na oku naszego podejrzanego na promie. - Spojrzał groźnie, nie pozostawiając nikomu wątpliwości, że ostatni z wymienionych faktów jest najgorszy ze wszystkich. - Miejmy nadzieję, że nam jako pierwszym osobnik ten wpadnie w ręce. Och, niemal bym zapomniał... - Daly jeszcze wolniej cedził słowa. - Naczelnny komisarz policji dostał ataku apopleksji, nie mówiąc już o tym, co się dzieje w mini-sterstwie sprawiedliwości i poza nim. - Umilkł na moment, nim spytał: - Czy któryś z was, geniusze, ma pomysł, co powinniśmy robić dalej?

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku i inspektor, gwałtownie chwycił słuchawkę.

- O co chodzi? Powiedziałem przecież: żadnych połączeń! - Ale zaraz dodał: - Cudownie. Z radością usłyszymy o wynikach jego wielkich przemyśleń. Proszę go przełączyć na salę obrad.

Odczekał kilka sekund. Nikt nie śmiał się poruszyć. Po chwili w pokoju rozległ się na-głośniony i zniekształcony głos Lynskeya:

- Halo? Halo?

Daly skierował głowę w stronę małego czarnego pudełka umieszczonego na środku stołu.

- Co z tobą, Lynskey? Słyszałeś, co się tutaj dzieje? Masz jakieś błyskotliwe sugestie?

- Słyszałem, lecz nie zdążyłem się jeszcze nad tym zastanowić - odpowiedział tamten z typową dla siebie werwą. - Po zakończeniu tej narady chciałabym zamienić z tobą prywatnie kilka słów.

- Na cóż, ponieważ ta, tak zwana, narada i tak donikąd nie prowadzi, proponuję jej niezwłoczne zakończenie, abyśmy od razu mogli porozmawiać. - Umilkł, przyglądając się uważ-

nie własnym paznokciom.

Podwładni, szeleszcząc papierami, zbierali swe notatki i opuszczali salę przy wtórze złowieszczych trzasków elektronicznego urządzenia. Główny inspektor z całej siły pociągał

się za ucho i gdyby ktoś go obserwował, mógłby się obawiać, iż trwale się okaleczy.

- Lepiej, żebyś miał dobre wieści! - wybuchnął, kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim uczestnikiem narady. - Jestem bardzo zobowiązany, że odpowiadasz na wszystkie telefony!

Gdzie się do licha podziewałeś?! Oprócz wydarzeń w tutejszym cyrku mamy również zawaaloną akcję w Vancouverze. - Przez całą minutę robił przyjacielowi wymówki.

A Lynskey, w swym pokoju w zajezdzie „Pod Indiańskim Pióropuszem”, bawił się telefonem, za którego pośrednictwem otrzymywał wiadomości od „pana Harvy'ego” z Dublina, i czekał

niewzruszony, aż szef się wykrzyczy. Zazwyczaj żarty Billa Daly'ego były tak proste, jak dowcipy królika stworzonego przez Elwooda P. Dowdsa. Teraz jednak inspektor nie przejawiał dobrego humoru i Fergus postanowił na razie przemilczeć pomysł przywiezienia ze sobą R. Sky MacPherson do Irlandii.

- Zatem, na miłość boską, zrób wreszcie jakiś spektakularny ruch! - Szef umilkł na moment i Lynskey wiedział, że reprimenda za chwilę się skończy. - Naczelnny komisarz zaczyna być już tym wszystkim znudzony - dodał Daly. - I zgadnij, kto jako pierwszy zostanie za *R S*

to surowo ukarany?

Jego podwładny zachował spokój.

- Co nowego w Vancouverze?

Wysłuchał wiadomości, które szef miał mu do przekazania, a potem sam zrelacjonował przebieg swego spotkania z redaktorem naczelnym „Couriera”.

- Jezu, Mario i Józefie! - ryknął Daly. - Nie do wiary! Dlaczego nie wywieszisz informacji o naszych poczynaniach na Chińskim Murze? Wtedy wszyscy mieliby okazję je przeczytać.

- Nie warto rwać włosów z głowy. Miałem swoje powody, dla których to zrobiłem.

Mogę już wracać do domu. Skontaktowałem się z ludźmi od kontroli rozmów telefonicznych i jestem święcie przekonany, że tutejsze dupki od podsłuchu nie mają pojęcia o akcji, którą uparcie nazywasz Operacją Omega. Prawdopodobnie nie ma przeciwwskazań, abyś dał tej wizycie zielone światło. Co zaś się tyczy pocisków: hotelowy portier, który odebrał dla mnie przesyłkę, przypomina sobie mężczyznę w ciężarówce z przegubową przyczepą. Jeśli to osobnik, o którym myślę, nie ma sensu go tropić. To płotka. Czy już nadeszły wyniki ekspertyzy balistycznej kuli z pistoletu, którą przekazałem agentom z Biura Federalnego?

- Nie - warknął szef. - Ale wróćmy do tego faceta z gazety.

- No cóż, można mu ufać.

- Do cholery! Mam nadzieję, że się nie mylisz! Mają być dokonane aresztowania - za-równo tu, jak i tam. W Vancouverze zorganizowaliśmy zasadzkę w mieszkaniu tej kobiety i w każdej chwili spodziewamy się, że wróci do domu. Jeśli media to zwietrzą...

- Możesz być spokojny o media. Czy zgadzasz się na mój jutrzejszy powrót?

- Jeśli chcesz znać prawdę, to żałuję, że w ogóle cię tam posyłałem!

Główny inspektor rzucił słuchawkę na widełki, a Lynskey usłyszał tylko ogłuszający trzask w uchu.

Samolot linii lotniczych Varig z Los Angeles do Rio de Janeiro z kobietą z Orientu na pokładzie

przelatywał nad oceanem. Oczywiście wybrała najtańszą klasę, stosowną dla biednej wieśniaczki z Filipin, która udawała się z pierwszą wizytą do córki zatrudnionej w charakterze służącej u bogatej rodziny w Rio. Pokornie przyjęła sok pomidorowy i orzeszki ziemne przyniesione przez stewardesę i rozdzierając opakowanie, spojrzała przeprasząco na współ-

pasażerów z sąsiednich foteli. Najwyraźniej czuła się zaniepokojona, że mogła ich zirytować, robiąc hałas. Odbywali wycieczkę do Ameryki Południowej, na którą oszczędzali od lat. Zro-R S

biło im się żal biednej, niepozornej kobiety - wydawała się taka drobna i bojaźliwa.

- Ma pani rodzinę w Rio? - zagadnął ją mężczyzna. Kobieta z Orientu wydawała się zatrwożona.

- Proszę się nie obawiać - współpasażer uśmiechnął się do niej serdecznie - nie chcemy pani niepokoić. Gdyby jednak potrzebowała pani pomocy w urzędzie celnym albo imigracyjnym, wystarczy, że nas pani zawoła, dobrze?

Twarz kobiety o orientalnych rysach rozjaśniła się w nieśmiałym uśmiechu wdzięczności, a mężczyzna wymienił z żoną pełne współczucia spojrzenie.

Rozdział 29

Matka nie robiła Sky wymówek w związku z jej ewentualną wyprawą do Irlandii.

Wciąż była oszołomiona po środkach przeciwbólowych i przyjęła wiadomość ze spokojem.

- Spotkaj się ze wszystkimi i przekaz im ode mnie pozdrowienia.

Buffy, na pytanie, czy obie z Hermaną zaopiekują się Johanną pod nieobecność córki, zapewniła, że może na nie liczyć.

- Oczywiście, o ile moja wyprawa w ogóle dojdzie do skutku - zastrzegła się Sky.

Musiała jeszcze wziąć pod uwagę babkę, lecz starsza pani zbagatelizowała wszelkie obiekcje:

- Przecież w Irlandii też mieszkam sama. Na miłość boską, czy sądzisz, że nie potrafię się sobą zająć?

Ukrytą radość Sky, że oto znalazła się na tropie życiowej historii, zakłócała jedynie myśl, że skoro ona nie może czuć się bezpieczna we własnym mieszkaniu, niebezpieczeństwo grozi również przebywającej tam babce. Nie chciała jednak straszyć ani Elizabeth, ani Buffy i postanowiła, że musi omówić tę sprawę z Fergussem.

Lecz kiedy Irlandczyk uparł się, ażeby eskortować ją w krótkiej drodze powrotnej do domu, odciągnęła go na bok i gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu reszty towarzystwa, R S

syknęła:

- To już zakrawa na kpiny! Jest środek dnia! I znajdujemy się w Butte, w Montanie, w 1992 roku, a nie w Chicago w latach prohibicji.

- Pozwól mi tylko za sobą jechać. - Nie miała innego wyjścia niż się zgodzić.

Po powrocie do domu sprawdziła automatyczną sekretarkę i stwierdziła, że zostały zarejestrowane dwie wiadomości. Adresatem pierwszej z nich był Lynskey: miał zadzwonić do Waszyngtonu „tam gdzie zwykle”. Sky poczuła się urażona.

- Podałeś komuś mój domowy numer? - Była tak rozdrażniona, że nie wysłuchała już następnego nagrania. - Wszystko ma swoje granice, mój drogi, uważam, że to już naprawdę...

- Cii - położył palec na ustach. - Sprawdźmy, co jest dalej. Cofnij taśmę. - Sky z wściekłością wypełniła jego polecenie.

Kiedy jednak usłyszała drugie nagranie, miała wrażenie, że uleciało z niej całe powietrze. Telefon pochodził od mężczyzny, który przedstawił się tylko jako „Matt”. Prosił Sky o spotkanie o dziewiątej wieczorem w kawiarni przy autostradzie numer 15 na przedmieściach Butte. Miał informację o przełomowym znaczeniu dla jej artykułu.

- Pojadę tam zamiast ciebie - oświadczył Lynskey, co znowu rozsierdziło Sky i doprowadziło do kolejnej sprzeczki pomiędzy nimi - tym razem prowadzonej półszepem, ponieważ nie chciała niepokoić babki.

Jako że decyzja o wyjeździe Sky do ojca już zapadła, Fergus musiał zdecydować, jak postąpić w sprawie owego „Matta”. Sky cieszyła się na wyjazd; dawał jej nie tylko możliwość odwiedzenia ojca, ale i chwilę odpoczynku od rozgrywających się wokół dramatycznych wydarzeń. Samolot spółki Treacy'ego miał być podstawiony za dwie godziny.

- Dobrze się składa. - Lynskey tkwił nad nią niczym opiekuńczy anioł albo diabeł, nie mogła się zdecydować, który z nich. - Jeśli ów facet spotka się ze mną, to znaczy, że nie bę-

dzie cię śledził. Martwiłem się, że jedziesz do lasu, choć rozważyłem wszystkie ewentualno-

ści i nie wyobrażam sobie, w jaki sposób zdołaliby odkryć miejsce twojego pobytu. Skoro myślą, że nadal jesteś w mieście, będziesz tam bezpieczna.

Owa ukryta groźba wydawała się tak dziwaczna w czterech ścianach własnego domu, że Sky poczuła się zagubiona. Poszła do sypialni po małą torbę podróżną i walizkę: równie dobrze mogła się zacząć szykować do wyjazdu do Irlandii.

- Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? Oczywiście pokryję koszty rozmowy. - Irlandczyk wciąż stał w korytarzu.

- Proszę.

Wyminęła go w przejściu, taszcząc do kuchni walizkę oraz kosz z bielizną do prasowania, i przystąpiła do irytującego pakowania rzeczy. Ostentacyjnie zamknęła drzwi do kuchni, aby nie myślał, że chce podsłuchiwać.

Podróż księcia Walii do Irlandii stanęła pod znakiem zapytania - po części ze względów bezpieczeństwa, a po części na wniosek FBI, gdy agenci, którzy rejestrowali telefoniczne rozmowy i poczynania szeryfa z Montany, odkryli, że niespodziewanie postanowił wykorzystać zaległy urlop. Biuro przekazało tę cenną informację Lyskeyowi, kiedy zadzwonił z mieszkania Sky pod waszyngtoński numer.

Niezwłocznie skontaktował się z Dublinem.

- Nie sądziłem, że się jeszcze odezwiesz. Myślałem, że jesteś już w drodze powrotnej do domu. - Główny inspektor wydawał się wyjątkowo znużony. - Właśnie nadeszły wyniki badań pocisku z uniwersytetu, którego nazwa przypomina olej jadalny...

- Z Missouli.

- Właśnie. A także ekspertyza z FBI. Obie opinie są identyczne. Pociski nie wyróżniają się niczym szczególnym. Nie ma na nich odcisków palców ani nie zostały wcześniej wystrzelone. Mogły zostać nabyte w każdym sklepie z bronią.

- A to dopiero niespodzianka! Jutro wracam do domu. - Lyskey starał się mówić moż-

liwie jak najciszej. - Będę się streszczał, ponieważ korzystam z prywatnego telefonu. Nasz przyjaciel z Mayville wybiera się w drogę. Pojutrze. Sądzę, że jesteśmy na właściwym tropie.

I jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym cię uprzedzić, choć nie stanowi problemu... - zawahał się. - Gazeta z Butte, o której wspominałem, wysyła do Irlandii dziennikarkę, pannę R.

Sky MacPherson.

- Co to znaczy...

- Nie martw się. Nie mam pojęcia, czego tam szukają - jeszcze bardziej zniżył głos. -

Wiedzą tylko, że to sprawa o dużym zasięgu i prawdopodobnie o charakterze wywrotowym.

- Mogą nam tu narobić bigosu...

- Powiedziałem przecież, że nie wiedzą, czego szukają. Jedyna osoba, z którą redakto-rzy gazety mają kontakt w Irlandii, to Eamonn Vaughan. A on jest zbyt zabiegany i zajęty zdobywaniem informacji do codziennych dzienników RTE, aby mógł mieć większe pojęcie o naszej historii. Sądzę też, że czas zawiadomić Brytyjczyków o istnieniu grupy konspiratorów.

- A czy oni by nas zawiadomili?

Zaległa cisza, której Lynskey nie przerwał. Chociaż na użytek opinii publicznej współ-

R S

praca pomiędzy oddziałem do zadań specjalnych irlandzkiej policji i Scotland Yardem przebiegała wzorowo, w rzeczywistości utrudniała ją rywalizacja, ksenofobia i obustronne zadaw-nione urazy.

- Już się śmieją z cyrku, który tu obecnie urządziliśmy, a także z zakończonej całkowitym fiaskiem akcji antynarkotykowej. - Głos głównego inspektora miał stłumione brzmienie. -

I po raz pierwszy nie mogę się im dziwić. Zostaw tę sprawę mnie. Rozmawiałam z agentami Biura Federalnego: są gotowi do zgarnięcia ptaszków. Przed dokonaniem jednoczesnych aresztowań chcą się tylko upewnić, czy mają wszystkie nazwiska. W tej sytuacji musimy podjąć decyzję odnośnie Operacji Omega. Po zwinięciu tamtych przez FBI będzie można zacząć realizować naszą akcję.

- Ty jesteś szefem. - Lynskey skrzywił się, słysząc donośny trzask odłożonej przez Da-ly'ego słuchawki.

Jim Larsen postanowił zacząć od samego początku - to jest od znalezienia osoby, która nadała bieg całej sprawie. Było jasne, że czarnoskóry facet, który przyniósł anonim, wiedział, że Midge Treacy potrafiła włóczyć, a tym samym mógł pomóc w dobraniu się do skóry szeryfowi z Mayville.

Najpierw redaktor połączył się z kliniką w Chateau, żywiąc mglistą nadzieję, że stan psychiczny pani Treacy zezwoli na przeprowadzenie rozmowy. Natrafił jednak na mur biuro-kratycznych rozporządzeń.

- Nie ma tu nikogo o takim nazwisku, proszę pana. Wolno spytać, z kim mam przyjemność?

Jim Larsen przypuszczał, że gdyby był na miejscu, mógłby zdobyć jakieś informacje, na taką podróż nie miał jednak czasu.

Poprosił stażystkę do gabinetu i rozłożył przed nią na biurku kupony promujące zakup kawy.

- Wytęż umysł, Lindy. Powiedziałaś nam, co wiesz na temat wzrostu i wyglądu tamtego posłańca, ale potrzebujemy jeszcze dodatkowych informacji. Twierdzisz, że był czarny?

- Tak sędzę.

- Czy miał skórę czarną jak węgiel, brązowoczną, czekoladową czy w odcieniu ma-honiu?

- Raczej brązowoczną. Przykro mi, że dokładnie go nie zapamiętałam, panie Larsen. -

Dziewczyna szarpała nerwowo naskórek wokół paznokcia kciuka.

R S

Jimbo posłał jej uśmiech - miał nadzieję, że zachęcający.

- Sądzisz, że mógł być rdzennym Amerykaninem? Co miał na sobie?

- Coś w rodzaju sportowego dresu. I myślę, że... Nie, z całą pewnością nie był rodowitym Amerykaninem. Miał nietypowy układ kości policzkowych.

- Pamiętasz kolor jego dresu?

Twarz stażystki w jednej chwili się rozjaśniła: przy tym pytaniu poczuła się jak ryba w wodzie.

- Tak, był barwy indygo - w bardzo ciemnym odcieniu niebieskiego - nie granatu, ale niemal czerni. I ten ubiór wyglądał na całkiem nowy. Bluza miała też bardzo charakterystyczne wycięcie przy szyi. Prawdę mówiąc, panie Larsen, uderzyło mnie spostrzeżenie; że tego typu ubranie jest zbyt kosztowne jak dla kogoś takiego.

- Chciałaś powiedzieć: jak dla włóczęgi?

- Nie był włóczęgą. Nie cuchnęło do niego... - Dziewczyna ponownie się namyślała.

- Mów dalej.

- Nie pachniał brzydko, ale wyczułam w jego oddechu alkohol i coś jeszcze. Woń spa-lenizny, jak gdyby znajdował się przy pożarze...

Choć informacje zawierały niewiele wskazówek, na których można by oprzeć dalsze dochodzenie, redaktor naczelny był wdzięczny i za to.

- Dziękuję, Lindy. To mi na razie wystarczy. Gdybyś sobie o czymś jeszcze przypomniała, o czymkolwiek...

Odprawił stażystkę, a sam pograżył się w myślach. A potem zadzwonił na posterunek policji. Dyżurny policjant był nieobecny, lecz zanim Jim zdążył zostawić dla niego wiadomość, został połączony z sierżantem. Ponieważ czasu było niewiele, postanowił zaryzykować.

- Mówi Jim Larsen z „Couriera”.

- W czym mogę pomóc?

Stosunki pomiędzy przedstawicielami prasy i policji, choć poprawne, nigdy nie były zbyt serdeczne. Larsen wiedział, że jest uważany za człowieka zbyt niezależnego.

- Próbuję odszukać czarnoskórego włóczęgę, który mógł podjąć gdzieś w waszej okolicy okresową pracę - może przy piecu do spalania nieczystości, a może przy wywozie śmieci.

Albo kogoś, kto lubi przesiadywać przy ogniskach, nawet latem. Czy znasz mężczyznę, który pasowałby do mojego opisu?

- Czy osobnik ten dopuścił się jakiegoś wykroczenia?

- O niczym takim nie wiem. Przekazał nam pewną informację i chciałbym go odnaleźć.

- Czego dokładnie dotyczyła ta informacja, Jim?

- Och, jest związana z tematem artykułu, nad którym aktualnie pracujemy.

- Rozumiem. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. Jeśli dowiesz się czegoś więcej o tym człowieku, lub jeśli będziesz wiedział, czego właściwie szukasz, może zdołamy ci po-móc.

Jimbo Larsen pośpiesznie się namyślał. Nie chciał wyjawiać zbyt wiele faktów, ale śmierć Starego Leona i tak nie była tajemnicą.

- Facet zostawił list w naszej redakcji. Najprawdopodobniej jeden z jego przyjaciół, niejaki Leon, poniósł śmierć na autostradzie w północnej części stanu i poszukiwany przeze mnie człowiek chciał uczcić jego pamięć, umieszczając w naszej gazecie notatkę pożegnalną.

Zamierzaliśmy zadośćuczynić jego życzeniu - byłby to dobry temat do artykułu o zainteresowaniu losem drugiego człowieka - jednakże zdobyliśmy bardzo niewiele informacji o nieboszczyku. Musimy ponownie porozmawiać z naszym zleceniodawcą, aby uzyskać nieco więcej informacji.

- Zasięgnę języka - oświadczył wymijająco policjant. - Na twoim miejscu nie robiłbym sobie jednak wielkich nadziei. Nigdy nie widziałem czarnego włóczęgi w Butte.

W miarę zbliżania się godziny odlotu do Yaak, gdy walizka do Irlandii była dopiero w jednej czwartej wypełniona, Sky zaczęła wpadać w panikę. W kuchni ponownie zjawiała się Elizabeth.

- Usiądź, babciu. - Odsunęła na bok rzeczy, robiąc przy stole miejsce. - Czy już jadłaś?

Dobrze, iż jej Samozwańczy ochroniarz miał choć na tyle przyzwoitości, że nie zaglądał do kuchni. Słyszała, jak po zakończeniu rozmowy poszedł do salonu.

- Tak, dziękuję. - Elizabeth usiadła na krześle.

- Nie pogniewasz się, jeśli będę dalej prasować? Bardzo cię przepraszam, babciu, ale nie mam zbyt wiele czasu. - A kiedy Elizabeth skinęła głową, Sky dodała: - A ty opowiadaj.

Nie chciałam cię pytać przy wszystkich w szpitalu, ale umieram z ciekawości, co się wydarzyło pomiędzy tobą i Danielem.

W odpowiedzi babka wyjęła z torebki jubilerską kasetkę. Na atłasie leżał naszyjnik ze szlifowanych kamieni o jasnym odcieniu błękitu, oprawionych w białe złoto. Ten najpiękniejszy klejnot, jaki Sky kiedykolwiek widziała, był nowoczesny, a jednocześnie ponadczasowy.

Podniosła go i rozłożyła na dłoni. Przechwytywał światło, roztaczając blask, niczym rzeźba R S

wykuta w niebieskobiałym jądrze lodowej góry.

- Jest bardzo ciężki. - Sky nie przychodziło na myśl żadne określenie, które oddałoby piękno tego klejnotu.

- Kamienie są tak jasne, że początkowo wzięłam je za akwamaryny. - Babka dotknęła naszyjnika. - Okazało się jednak, że to chabrowe szafiry. Daniel dopóty ich szukał, dopóki nie znalazł właściwego odcienia. Są twoje, Sky. Ja nie mogę ich nosić.

- Dlaczego?

- Przez wzgląd na to, co powiedział, a nie z powodu jego intencji. A także z uwagi na wszystko, o czym naszyjnik mi przypomina. Dla Daniela jest symbolem czegoś, co dawno minęło, natomiast dla mnie stanowi przypomnienie wielu cierpień: jego - zarówno wtedy, jak i teraz - moich i nas wszystkich, nawet jego biednej żony. Oczywiście jest również pamiątką tamtej nocy oraz błękitnej sukienki, którą wtedy miałam na sobie. - Elizabeth mówiła teraz do siebie. Wzięła z rąk Sky naszyjnik, który prześlizgnął się jej pomiędzy palcami. - To niesamowite, jak idealnie udało mu się dobrać kolor. - Ponownie skierowała wzrok na wnuczkę. -

Owego wieczora, kiedy został zastrzelony twój dziadek, byłam na zabawie i nosiłam niebieską sukienkę. Daniel i ja tańczyliśmy wtedy ze sobą po raz pierwszy.

- Powiedział mi, że śmierć dziadka była przypadkowa... Mama też zapewniała, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek...

- Tak, ale nie mówmy już o tym. To zamknięty rozdział naszego życia. Przyjmij ode mnie ten naszyjnik, Sky. - Babka odłożyła klejnot na miejsce, zatrzasnęła wieko i zdecydowanym gestem przesunęła kasetkę na drugą stronę stołu. - I tak otrzymałabyś go w testamencie.

Tylko nie wygadaj się przed Danielem, że trochę się z tym pośpieszyłam, zgoda? - Twarz jej się rozpozodziła. - Poza tym białe złoto paskudnie wygląda na starym ciele.

Sky ważyła kasetkę w dłoniach. Postanowiła, że później się zastanowi, co zrobić z klejnotem.

- Opowiedz mi wszystko, babciu, od samego początku. Kiedy odjeżdżałam sprzed do-mu Daniela, widziałam, że sam otworzył ci drzwi...

Starsza pani powoli zrelacjonowała swoją wizytę, przez cały czas trzymając wzrok utkwiony w fornirze kuchennego blatu. A potem podniosła oczy.

- O czym miałam mu powiedzieć, kiedy podarował mi naszyjnik? O wszystkich moich marzeniach i o mojej miłości? Czułam się niegodna tego prezentu, a jednocześnie wcale nie chciałam myśleć o tym wszystkim, co już dawno temu zostawiłam za sobą.

RS

- A jednak jego uczucie do ciebie nie wygasło przez te wszystkie lata. Nie sądzisz, że to cudowne?

- Nie ponoszę za to odpowiedzialności. Czuję się okropnie, mówiąc o tym bez ogródek, lecz co na to poradzę? Biedak umiera, wiem o tym, i zrobię dla niego, co w mojej mocy, ale śmierć dla kogoś w moim wieku, Sky, jest jak... - szukała w myślach analogii... może nie jak przyjaciel, lecz jak sąsiad, gotów wpaść do ciebie o każdej porze dnia i nocy i zabrać ci resztkę czasu. I choć nie myśli się o niej nieustannie, jest zawsze tuż obok - czai się za drzwiami lub w sąsiednim pokoju. I dobrze wiesz, że nie sposób jej uniknąć, ponieważ złożyła już wizyty innym twoim sąsiadom oraz najbliższym przyjaciółom ze szkoły... - Elizabeth urwała.

- Skoro nie zdołałaś wyjawić Danielowi swych odczuć po usłyszeniu historii z domem, to może mnie o nich opowiesz?

- Jak mogłam się czuć, twoim zdaniem? Byłam poruszona, zszokowana, smutna, a jednocześnie polectana w mojej próżności. Kochałam go, Sky. Byłam nierozsądną i upartą kobietą, a on uchodził za wyjątkowo przystojnego mężczyznę. Szkoda, że nie wiesz, jak wyglą-

dał w tamtych czasach.

Pełen ożywienia uśmiech babki pomógł wnuczce zobaczyć ją jako młodą dziewczynę.

Sky wyobraziła sobie tych dwoje w objęciach.

- A teraz? - wyszeptała. - Kiedy spędziłaś razem z nim przedpołudnie?

Uśmiech na twarzy Elizabeth zgasł.

- Jak mogłabym nie kochać Daniela? Ale nasze uczucia tak bardzo się różnią i on natychmiast to spostrzegł. Był bardzo zasmucony. Mogłam oczywiście udawać, w końcu cóż mam do stracenia? - Unikała wzroku Sky. - Przez tych kilka tygodni, które mu zostały, bez trudu zdołałabym stworzyć pozory namiętnego uczucia. Uznałam jednak, że taka postawa by-

łaby niegodna nas. Ani jego biednej żony, gdziekolwiek przebywa.

Sky ponownie otworzyła kasetkę i uważnie przyjrzała się szafirom.

- Kiedy się z nim spotkasz?

- Dzisiaj wieczorem. Zaprosił mnie na kolację. A także jutro, Sky. Będę się z nim widywać tak często, jak tylko będzie sobie tego życzył, dopóki... - zamilkła, a potem dzielnie mówiła dalej: - I to jest powód, dla którego, choć będę tęskniła za tobą, twoja wyprawa nie stanowi dla mnie problemu. To nawet zabawne, nie sądzisz, że zamienimy się miejscami?

Wydaje się, że jest nam przeznaczona tęsknota. Sądzę, iż Johanę czeka jeszcze długi pobyt w szpitalu, zatem resztę czasu, po odwiedzinach u niej, będę mogła poświęcić Danielowi. Po-R S

za tym, przyjaciółki twojej matki zamęczają mnie swą nadopiekuńczością, dobrze więc, iż mam własne plany. Daniel chce wziąć trochę wolnego. Sądzę, że kiedy poznał diagnozę, tak poukladał swe zawodowe sprawy, aby nie wymagały jego obecności. Zamierza zabrać mnie ze sobą na

następną wizytę do żony.

- Rozumiem.

Sky nigdy nie zastanawiała się nad motywami kierującymi zachowaniem starszych osób i była ciekawa, które z nich dwojga wpadło na tak dziwaczny pomysł. Uznała jednak, że lepiej o to nie pytać. Może dla ludzi po siedemdziesiątce zasady normalnej przyzwoitości nie mają znaczenia ani nie istnieją już dla nich żadne tematy tabu.

- Co się stało, kiedy przyjęłaś naszyjnik?

- Nic, tylko rozmawialiśmy. Zaproponował mi herbatę. Możesz to sobie wyobrazić? Po tylu latach Daniel Treacy zaproponował mi herbatę, jak w dawnych czasach! Była to Twining's. - Uśmiechnęła się z tklivością. - Zapewne, ze wszystkich dostępnych gatunków w Ameryce, najbardziej jest zbliżona w smaku do irlandzkiej. Poczułam się wzruszona.

W kuchni nie było lustra, więc Sky ponownie przyłożyła szafiry do przedramienia, aby zobaczyć, jak wyglądają na jej skórze.

- Będzie ci w nich do twarzy, kochanie - powiedziała cicho babka. - Noś je i pamiętaj, że nie zawsze byłam stara.

Rozdział 30

Po nagraniu wiadomości w mieszkaniu Sky człowiek z Heleny wyruszył w drogę do Butte. Zawsze pracował w pojedynkę. Jeszcze nie postanowił, jak sobie poradzi z reporterką.

Podobnie jak szefowa uważał, że należy się uciekać do przemocy jedynie w ostateczności.

Obecne spotkanie było rekonesansem. Przynajmniej początkowo miało mieć charakter rozpoznania; wszystko mogło się jeszcze zakończyć pomyślnie, jeśliby zdołał nakłonić tę kobietę pogroźkami do posłuszeństwa.

Wiedział, że wystarczy kilka minut, aby się zorientował, czy zamierzała odgrywać bohaterkę. Na ogół dziennikarze mieli zbyt wielkie mniemanie o sobie; zawsze zwykli stawiać na swoim, gdyż wyobrażali sobie, że są niepokonani, a umiejętność manipulowania opinią publiczną daje im władzę.

R S

Człowiek z Heleny wiedział wszystko na temat władzy. Wcześniej, bo w średnim wieku, przeszedł na emeryturę, rezygnując ze stanowiska zastępcy w biurze prokuratora okręgowego. Oficjalnie powodem przedwczesnego wycofania się z czynnego życia zawodowego były niedomagania serca, w rzeczywistości musiał poświęcać coraz więcej czasu na wykonywanie poleceń kobiety z Vancouveru. Nadal widywał się jednak ze swymi byłymi kolegami.

Dzięki temu miał informacje o aktualnych wydarzeniach w Montanie i zawsze wiedział, co w trawie piszczy.

Nie zamierzał dopuścić do decydującej rozgrywki z R. Sky MacPherson w kawiarni, lecz pod pretekstem nadmiernego tłoku - a lokal zawsze był zatłoczony - chciał zaprowadzić ją w jakieś bardziej odosobnione miejsce. Nie wątpił w to, że dziennikarka się zjawi. Żaden reporter nie zrezygnowałby ze spotkania z anonimowym informatorem.

Po drugiej stronie granicy, w Kanadzie, milioner Jerry Flynn, najbogatszy ze spiskowców, który jako pierwszy wyruszał do Irlandii, szedł do limuzyny, która miała go zawieźć na lotnisko.

W odróżnieniu od innych konspiratorów motywacją jego działań były nie tyle wydarzenia najnowszej historii Irlandii, ile żywe wspomnienia opowieści przekazywanych mu przez irlandzką prababkę. Jako młoda dziewczyna przetrzymała podróż do Ameryki na pokładzie statku, trafnie określanego mianem pływającej trumny, który podczas klęski głodu w 1847 roku przewoził przez Atlantyk wynędzniałych Irlandczyków. Z hrabstwa Galway wyruszyło ich wtedy ośmioro, należących do jednej rodziny, lecz tylko ona dotarła do portu docelowego. Przez całe swe dziewięćdziesięcioczworoletnie życie - w ciągu którego już w póź-

nym wieku zawarła małżeństwo z amerykańskim policjantem irlandzkiego pochodzenia, a potem przeniosła się wraz z mężem do Kanady, gdzie wychowała swego jedynego syna i gdzie przyszły na świat jej wnuki i prawnuki - utrzymywała w umysłach wszystkich wokół siebie historie o brutalnych i pozbawionych serca angielskich panach oraz o cierpieniach narodu irlandzkiego.

Jerry Flynn wypolerował te opowieści, aż nabrały blasku w jego pamięci niczym klej-noty. Odczuwał cierpienia głodu swej babki i jej sąsiadów, razem z nimi wymiotował zieloną zawiesiną z trawy, której żdźbła zrywali z przydrożnych rowów, aby czymś zapchać kiszki, i z ponurą miną obserwował w czasie żniw wozy wypełnione złotym zbożem, które turkocząc odjeżdżały z ich gospodarstw w stronę portów, by trafić na angielskie stoły oraz do Indii w rozliczeniu za podatki.

Dla większości konspiratorów zarzewiem obecnego impasu w irlandzkiej polityce za-R S granicznej był upadek ruchu 1916 roku, a także egzekucja Pearse'a oraz innych patriotów.

Motywy działania spiskowców były proste: dążyli do wyrwania Irlandii spod wpływów brytyjskich. Dla Flyna jednakże wszystko to, co działo się w Irlandii, było bezpośrednim skutkiem niesprawiedliwości i głodu. I teraz zamierzał się zemścić. Za swoją prababkę i za wszystkich przodków. Ci, którzy kierowali irlandzkim parlamentem i uginali kolana przed lojalistami i unionistami, musieli zostać ukarani. Serce Flyna mocno biło pod szykownym garniturem biznesmena, gdy informował kierowcę, że tydzień zabawi w Nowym Jorku.

Trzy godziny później dojechał do centrum miasta jedną z nowojorskich taksówek, wszedł do zakładu fryzjerskiego i obciął włosy na krótko.

- Proszę mi zgolić również wąsy - zwrócił się do młodego fryzjera. - Mam wrażenie, że powinienem zmienić wygląd, aby bardziej podobać się paniom.

Młodzieniec, tłumiąc chichot, z ogromną dbałością przykładął się do pracy, aż brzytwa na skórze klienta wydawała piskliwe odgłosy. Następnie Flynn udał się na umówione spotkanie, nieopodal

Times Square: tam też zrobił sobie zdjęcia. Potem wybrał się na krótki spacer, delektując się anonimowością pomiędzy turystami, nastolatkami na deskorolkach oraz bezdomnymi, od których aż się roiło w tym rejonie miasta. Po powrocie do miejsca, gdzie przedtem został sfotografowany, otrzymał nowy paszport.

Kiedy po przybyciu na lotnisko Kennedy'ego wręczył dokumenty wraz z biletem pierwszej klasy w okienku linii „Aer Lingus”, występował już jako John Mulqueen - Amerykanin w podeszłym wieku. Czuł się jednak o dwadzieścia lat młodziej.

- Cieszę się, że w końcu poważnie potraktowałaś moje ostrzeżenie, Sky - powiedział

Lynskey, gdy odwoził ją na lotnisko. - Sądysz, że ci dokuczam, ale ktoś musi zadbać o twoje bezpieczeństwo, skoro ciebie to nie obchodzi. Otrzymałem wyniki ekspertyzy balistycznej pocisków. Nie ma na nich odcisków palców i nie wiadomo, kto mógł wysłać kule.

- Dobrze wiesz, że stoi za tym szeryf.

- Prawdopodobnie masz rację, ale brak nam jakiegokolwiek dowodu. Kimkolwiek są osobnicy, którzy się za tym kryją, nie cofną się przed niczym. To zawodowcy, dobrze znający swój fach, Sky.

- Porozmawiaj o tym z moim wydawcą - zasugerowała, przybierając możliwie jak najbardziej wyniosły ton.

- Nie omieszkać tego zrobić - zapewnił ją, wjeżdżając na parking.

Zatrzymał pojazd, wyłączył silnik i pokręcił głową.

R S

- I co ja mam z tobą począć? Jesteś wielkim głuptasem, MacPee. - Nagle nastrój Lynskeya zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni i Fergus nachylił się, żeby ją pocałować. - Jedź

zobaczyć się z tatą. I baw się dobrze. Ja zajmę się wszystkim tutaj.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Ten mężczyzna był dla niej niemal obcym człowiekiem -

poznała go przed niespełną tygodniem. Jak doszło do tego, że teraz miał się wszystkim zajmować? Dostrzegł jej minę i domyślił się, co jest powodem zdziwienia.

- Znowu zaczynam się szarogęścić, prawda? Nic na to nie poradzę. Kocham cię.

Raz jeszcze poczuła ukłucie paniki. Zaczęła poprawiać pasek torby podręcznej, udając, że sprawdza, czy sprzączka jest należycie zapięta.

- Tylko jedno mnie niepokoi. Czy dopilnujesz, żeby babce nie przytrafiło się nic złego w moim domu? Skoro mnie grozi wielkie niebezpieczeństwo...

- Nie martw się, będzie dobrze strzeżona. Szczęśliwej podróży!

Nastawiła do pocałunku usta, ale tym razem cmoknął ją w policzek.

- Do zobaczenia wkrótce, MacPee.

- Do zobaczenia po moim powrocie.

Gdy wyszła na słońce, nie wiadomo dlaczego poczuła się lekko urażona.

Jednosilnikowy samolot przedsiębiorstwa Treacy'ego stał już na pasie startowym. Sky została wprowadzona na pokład przez pilota, który był co najmniej o dziesięć lat od niej młodszy.

Gdy wystartowali, maszyna przechyliła się, zataczając łuk w powietrzu. Sky próbowała się odprężyć. Nie zdołała jednak zapobiec skutkom zzerających ją od ubiegłego tygodnia emocji. Była wrażliwa na ból i czuła się, przynajmniej w tym momencie, niczym mała dziewczynka rozpaczliwie potrzebująca taty.

Gdy przelecieli ponad szerokim i wzburzonym nurtem rzeki Kootenai, płynącej na pół-

noc od Libby, Sky zaczęły się dawać we znaki niemiłe sensacje w okolicach żołądka, które ustały, gdy obrali kurs wzdłuż biegu bardziej spokojnej rzeki Yaak. W dole pod skrzydłem samolotu roztaczał się widok na północno-zachodnią Montanę. Przywodził na myśl jedną z map topograficznych, które Sky musiała szkicować w szkole podstawowej: rzeki iskrzyły się niczym złote lub miedziane nici pomiędzy brzegami porośniętymi soczystą zielenią liścia-stych i iglastych lasów; co jakiś czas migiała w przelocie drewniana chata albo długie i niskie zabudowania gospodarcze; po jasnozielonym pastwisku galopował z zadartym do góry ogonem wystraszony koń, a brązowa poręba tętniła życiem, gdy drwale uwijali się przy żółtych, *R S*

przypominających z kształtu dinozaury maszynach.

Powyżej skrzydeł samolotu, równoległe do nich, ciągnęły się oszronione szczyty Gór Skalistych, tworząc długą i niewyraźnie zarysowaną linię.

Maszyna zniżyła lot, podchodząc do lądowania. Sky nagle nie była w stanie pojąć, co skłoniło ją do tej wycieczki. Osiem lat to szmat czasu, a ona musiała niebawem wyjaśnić ojcu powód swojej wizyty. Nie mogła rzucić mu się w ramiona - choć wcześniej wydawało się jej, że ma na to ochotę. Nie mogła go też poprosić, żeby się wszystkim zajął i uciszył jej niepokoje związane z rychłą podróżą do Irlandii, z Lynskeyem i Johanną. Larry MacPherson nie spę-

dził ze Sky i jej matką ani jednego dnia pod tym samym dachem. Tym bardziej nieuzasadnione były obecne oczekiwania, że pomoże jej odzyskać wewnętrzny spokój.

Po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, iż nikomu nie przyszło do głowy, aby zawiadomić Larry'ego o nieszczęśliwym wypadku Johnny. Sky też nie zrobiła tego, choć sama z nim rozmawiała. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia: podeksytowana perspektywą spotkania z ojcem i wyjazdu do Irlandii zupełnie zapomniała o wypadku.

A może świadomie wstrzymała się z przekazaniem ojcu tej informacji z powodów, których obecnie nie zamierzała analizować?

Kiedy maszyna, sypiąc spod kół gradem iskier, przemknęła po splekanym pasie obok prowizorycznego budynku, pełniącego jednocześnie funkcję terminalu przylotów i odlotów, Sky dostrzegła w drzwiach sylwetkę ojca. Sensacje żołądkowe, które przywodziły na myśl trzepot motyli skrzydeł, stały się teraz jeszcze bardziej nieznośne, choć z pewnością kilka owadów tańczyło z radości. Sky postanowiła, że pierwsza rzecz, którą zrobi, to powie Larry-

emu o matce.

Zgięła się w pół, mocno uciskając brzuch, aby się pozbyć przykrych dolegliwości i wydobyła plastikową torbę, którą przedtem miała pod nogami. Odzyskała panowanie nad sobą dopiero wtedy, kiedy samolot kołując, pokonywał niewielką odległość dzielącą go od prowi-zorycznej hali przylotów. Sky przypomniała pilotowi, aby wrócił po nią nazajutrz wczesnym rankiem, a potem wyskoczyła na płytę lotniska, minęła bramkę i podbiegła do ojca.

- Tato! Dziękuję, że po mnie przyjechałeś! - powiedziała, zanurzając twarz w jego ra-mionach. Zapach ojca - nikotyny, starej skóry i lasu - rozwiewał wątpliwości co do sensow-ności tej wyprawy.

- Pozwól, niech ci się przyjrzę. - Larry przytrzymał ją przed sobą na wyciągnięcie rąk i zmierzył wzrokiem od stóp do głów.

R S

- I co? Czy egzamin wypadł pomyślnie? - Musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć huk startującego samolotu.

- Rainbow Sky MacPherson, twój widok cieszy moje oczy. - Głos ojca brzmiał jak szmer nalewanej czekolady.

- Ja też cieszę się ze spotkania z tobą. Pozwól, że teraz ja ci się przyjrzę. - Był ubrany dokładnie tak, jak go zapamiętała. Miał na sobie koszulę w kratę, dzinsy sprane do szarego odcienia bieli i skórzane buty - pozdierane, jak gdyby były zrobione ze starego zamszu. -

Obciąłeś włosy. Podczas mojej ostatniej wizyty przypominałeś fryzurą Davida Crocketta!

- Wtedy nie podzieliłaś się ze mną tymi spostrzeżeniami co do mojego wyglądu. -

Uśmiechnął się szeroko. Białe obwódki wokół linii włosów i na karku świadczyły o tym, że postrzyżyny odbyły się całkiem niedawno. Sky była poruszona, że zrobił to przez wzgląd na nią. - Zapuść je z powrotem, tato. Wolałam cię w długich.

- Nie sposób zadowolić kobiety. - Wbił oczy w niebo w żartobliwym grymasie rozdrażnienia. - Daj mi swoją torbę. Zaparkowałem samochód tuż przed terminalem.

Wziął od niej bagaż i wrzucił go na tylne siedzenie nowiutkiego samochodu terenowe-go daihatsu 4, który stał z szeroko pootwieranymi drzwiami tuż obok baraczku.

- Nowy wóz? - spytała Sky. Kiedy była tu ostatnio, ojciec jeździł niemal doszczętnie skorodowaną półciężarówką.

- Tak. Interesy idą nie najgorzej w ostatnich latach. A jak się miewa mama? - Zamknął

obie pary tylnych drzwi i zwinnie niczym kot wskoczył na siedzenie kierowcy.

Sky wdrapała się na sąsiedni fotel.

- Mama leży w szpitalu. Wiem, że powinnam ci była o tym powiedzieć...

- Ale już wszystko z nią w porządku? - Larry przekręcił kluczyk w stacyjce.

- No cóż... - Sky poczuła się zbita z tropu, widząc, że nie wydaje się zbyt poruszony.

- Zawiadomiłabyś mnie, gdyby była poważnie chora, prawda? - Wrzucił bieg i cofnął samochód spod budynku.

- Sprawa jest dość poważna, tato. Matka ma złamany kręgosłup.

Ojciec zagwizdał przeciągle niczym grajek na organkach.

- Ale wyjdzie z tego?

- A co byś powiedział, gdybym udzieliła odpowiedzi przeczącej? - wymknęło się jej, zanim zdołała ugryźć się w język.

- Nie żartuj, kochanie. - Obrócił kierownicą, wjeżdżając na szeroką drogę, która pro-R S

wadziła prosto do lasu. Spojrzał z ukosa na córkę: - Lepiej trzymaj się kapelusza. Trochę nas wytrzęsie na wybojach.

Sky milczała. Chciała, żeby zapytał o przebieg operacji Johanny. Pragnęła, aby szalał z trwogi. Tymczasem ojciec, całkowicie opanowany, skupiał uwagę na prowadzeniu ryczącego samochodu, który podskakiwał w głębokich koleinach leśnego duktu.

Kiedy po przebyciu około trzech kilometrów włączyli się do ruchu na autostradzie, Sky miała wrażenie, że pokonali sześćdziesięciokilometrową trasę. Powodem nie były jednak fizyczne niewygody, lecz wstrząs wywołany obojętną reakcją ojca. Auto nabierało prędkości, a Sky usiłowała ocenić sytuację z właściwej perspektywy: ojciec i matka nigdy się nie pobrali, nigdy nawet nie mieszkali razem. Dlaczego Larry miałby się przejąć wieścią o jej wypadku?

Kim była teraz dla niego Johanna?

- Jesteś bardzo milczący, tato. - Nie zdołała wyciszyć zaczepnej nuty w głosie.

- Tu, w górach, człowiek przyzwyczaja się do milczenia i do własnego towarzystwa -

odparł spokojnym tonem. - Powinnaś o tym wiedzieć, kochanie. To wy, ludzie z dużych miast, robicie więcej wrzawy niż zgraja lisów.

Sky знаła jego skłonność do zamykania się w sobie. Był typem człowieka, który w stosownej dla siebie chwili wycofywał się w świat marzeń. Na skrzyżowaniu skręcili w stronę miejscowości Yaak - z jednym sklepem, dwiema budkami telefonicznymi oraz barem.

- Nieprędko wyjdzie ze szpitala - powiedziała cicho Sky. - Mama - dodała, gdy spojrzał

na nią z wyrazem zdumienia na swej nieprzystępnej, urodziwej twarzy.

- Och, tak... Gdyby czegoś potrzebowała podczas twojej nieobecności, powiedz, żeby dała mi znać, dobrze, kochanie? - Jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą sięgnął do puszki po skręta i włożył go sobie do ust. - A to ci dopiero! Moja mała dziewczynka będzie kore-spondentem zagranicznym. - Uśmiechnął się do niej szeroko, macając dłonią półkę w poszukiwaniu zapalek. Znalazł pudełko, ale okazało się puste. - Nie wychodź. - Ostro zahamował i podjechał tyłem pod dom handlowy. - Muszę na sekundę wejść do środka. Moja mała dziewczynka została wielką prasową gwiazdą! - Zachichotał, kręcąc głową. - Kto by pomy-

ślał! Masz ochotę na wodę sodową? Tutaj mają nawet lód.

Nie ufała sobie na tyle, ażeby się odezwać. Kiedy ojciec zniknął w głębi sklepu, wysiadła z samochodu i przycupnęła na huśtawce zawieszanej pod szerokim okapem na werandzie budynku. W Yaak trwała godzina szczytu - na środku ulicy zatrzymał się furgon, którego silnik nadal pracował na jałowym biegu, gdy mężczyzna zajmujący miejsce pasażera wysiadł, *R S*

aby zrobić zakupy; obok baru przejechała olbrzymia ciężarówka z przegubową przyczepą i zaparkowała naprzeciwko miejsca, gdzie siedziała Sky. Kierowca wyskoczył z kabiny i przeciągnął się, rozprostowując kości.

- Cześć! - zawołał. - Miły wieczór, prawda?

- Tak, rzeczywiście - odkrzyknęła i zrobiła co w jej mocy, ażeby się uśmiechnąć.

Mężczyzna otrząsnął się niczym niedźwiedź po wyjściu z rzeki i ruszył dziarskim krokiem w stronę baru.

- A, tutaj jesteś. - Ojciec wrócił z dwiema butelkami coli oraz dwoma plastikowymi kubkami. - Chcesz chwilę tutaj posiedzieć? - Wziął jej milczenie za potwierdzającą odpowiedź i poszedł po worek z lodem, który otworzył zębami. Napełnił kostkami oba kubki, a potem odbił o krawędź huśtawki kapsle od butelek. - Miło tu - stwierdził. - Miło i chłodno.

Wieczór miał się ku końcowi i drzewa na obrzeżach lasu po drugiej stronie autostrady emanowały

ciszą oraz zapachem świeżej zieleni. Od tygodni w tym rejonie panowała susza; powiew wiatru wzbił wokół ich stóp kłęby kurzu, a dwa poidła zwisające z krokwi były tłumnie oblegane przez kolibry; ich skrzydła zamazywały się w mroku, gdy ptaki sęczyły wodę z maleńkich rynienek.

- Wolę tę okolicę zimą. - W głosie ojca brzmiał ton zadumy. - Panuje wtedy bezwietrzna pogoda, ziemię pokrywa półmetrowa warstwa śnieżnego puchu, a świat jest białobłękitny i idealnie czysty. Urocze ptaszki, nieprawdaż? Założę się, że nieczęsto masz je okazję widywać w mieście?

Opierając się na łokciach, pochylił się do przodu, aby lepiej widzieć kolibry. Obserwował je z tak ogromnym zadowoleniem i czułością, że Sky nie potrafiła pogodzić tego widoku z jego bezduszną reakcją na wiadomość o ciężkim wypadku Johnny.

- Właśnie przez kolibra mama trafiła do szpitala.

- Och, tak?

Wyjaśniła, co się stało, starając się odgadnąć po jego minie, czy bardziej przejęty jest losem ptaka pochwyconego przez Księżycowego Tancerza, czy też wypadkiem matki. A potem udała, że całą jej uwagę zajęła cola.

Co się wydarzyło w ciągu tych ośmiu lat? Była dwudziestosześcioletnią kobietą, kiedy po raz ostatni widziała tego człowieka - osobą dorosłą, na tyle dojrzałą i doświadczoną, by dostrzec jego prawdziwy charakter. Czyżby zawsze miał tak beztroski stosunek do matki swego dziecka, a tylko Sky dopiero teraz to spostrzegła - poprzez pryzmat własnej reakcji na *R S*

otarcie się Johnny o śmierć?

Była świadoma dramatyzmu myśli, które cisnęły jej się do głowy. I pewnie by je od siebie odsunęła, gdyby nie bezgraniczne zaskoczenie. Bowiem dopiero teraz zdała sobie sprawę z nadziei, którą skrywała głęboko w sercu: że na wieść o nieszczęściu Larry MacPherson co tchu w piersi popędzi do szpitala.

A potem zapanuje niczym niezmacone szczęście.

Z tego powodu przemilczała sprawę wypadku podczas rozmowy telefonicznej - chciała osobiście zawiadomić ojca. Przez te wszystkie lata więziła go w pajęczynie własnych marzeń: jej uroczy, nieobecny i piękny ojciec był niczym Piotruś Pan w zamku z bajki. Nawet jako dorosła kobieta myślała o nim w ten sposób.

A teraz miała mroczne odczucie, że cały ten galimatias jest w jakiś sposób powiązany z przeklętym Lynskeyem.

- Poznałam pewnego mężczyznę, tato.

- Ach, tak? - W końcu zdobyła jego uwagę. - Mam nadzieję, że tym razem trafiłaś lepiej niż poprzednio z Randym?

- Niewiele - stwierdziła. - To fascynujący człowiek, ale muszę przyznać, że często wystawia moją cierpliwość na próbę. I nie jestem wcale pewna, czy mu ufam, tato. Prawdę mówię,

wiem, że nie... Ale on mnie kocha. - Wstała z huśtawki i podeszła do poidła, w którym chwilowo nie było ptaków. - Przynajmniej tak twierdzi i bardzo mnie to niepokoi. - Maleńka rynna zadzwoniła, gdy Sky postukała w nią palcem. - Który mężczyzna wyznaje miłość kobiecie po kilku dniach znajomości? I tylko dlatego, że raz się z nią przespał...

- Rozumiem. - W tonie głosu ojca zabrzmiała ponura ironia. - Z tego, co mówisz, sprawia wrażenie rozgarniętego faceta.

- Och, tato! I co ja zrobię? - Odwróciła się przodem do ojca. Przyglądał się jej z łagodnym wyrazem w oczach.

- Podejmiesz właściwą decyzję, Rainbow Sky, jak zawsze.

- Moje życie jest straszliwie zagmatwane.

- Dobrze wiesz, że nie. Odniosłaś sukces w pracy zawodowej, prawda? I rzuciłaś Randy'ego.

- To co innego. Nie przyjechałaś nawet na wesele.

- Jak się okazało, podjąłem słuszną decyzję.

- I nienawidzisz mamy.

R S

- Ależ to nieprawda... - Dostrzegła jego szczere zdumienie i coś w niej pękło. Może była to więź łącząca ją z dzieciństwem.

Rozdział 31

Szeryf O'Connor był rozwiedziony, nie musiał więc przed nikim się spowiadać ze swych planów ani wyjaśniać komukolwiek, co go skłoniło do wzięcia urlopu. Zresztą nikt go o to nie pytał - ani zastępca, ani żadna inna osoba związana z jego biurem. Wręcz odwrotnie -

wszyscy wprost nie posiadali się z radości. Brian O'Connor nie cieszył się sympatią w Mayville. A ci, którzy poruszali w rozmowach temat jego niespodziewanych wakacji, przypuszczali, że jedzie w odwiedziny do dzieci na Florydę, gdzie przed kilkoma laty przeniosła się jego była żona. Oprócz niego samego i pracowników linii lotniczych British Airlines o bilecie powrotnym do Londynu wiedzieli tylko agenci FBI. Bilet do Dublina zamierzał kupić na lotnisku Heathrow.

I gdy podwładni byli zachwyceni perspektywą rychłej nieobecności O'Connora, serce samego szeryfa przepełniało uczucie tryumfu. Nareszcie włączał się do akcji. Jego działalność polityczna przestanie się ograniczać do prowadzenia rozmów telefonicznych.

Ostatnie popołudnie przed rozpoczęciem eskapady szeryf spędzał na tylnym ganku swojego oszalowanego deskami domu. Podwórze było pełne kurzu i porośnięte chwastami.

Brian O'Connor nie przejawiał zainteresowania ogrodnictwem, pielęgnowaniem krzewów ani sadzeniem drzew owocowych, czym pasjonowała się jego żona, gdy zamieszkali tu przed po-R S

nad dwudziestoma laty. Szeryf nie dostrzegał jednak ani chwastów, ani pnączy dzikiego wina, kiedy siedział pogrążony w myślach ze wzrokiem utkwionym w oszklonych drzwiach przed sobą. Jego podniecenie było krótkotrwałe: dzisiaj rano nadeszły pieniądze za rolę, którą odegrał w akcji z trumną. Po otwarciu przesyłki stwierdził, że otrzymał jedynie symboliczną za-płatę - mniej niż jedną trzecią uzgodnionej sumy. Kwota owa wystarczała na pokrycie kosztów jego udziału finansowego w planowanej akcji oraz na opłacenie podróży, ale tylko na to.

Szeryf był zły: już wcześniej zaplanował, co zrobi z resztą pieniędzy. Został oszukany i na myśl o tym ogarnęła go wściekłość.

Co więcej, wszystko wskazywało na to, że redakcja gazety zignorowała ostrzeżenie.

Godzinę temu szeryf otrzymał meldunek od ludzi, którzy byli mu winni grzeczność, zarówno z Heleny, jak i z Butte, że dziennikarze „Couriera” nadal węszą wokół sprawy. Musiał się mieć przed nimi na baczności. Jeden Bóg wiedział, ile zła mogli wyrządzić, gdyby spróbowali dobrać mu się do skóry. I gdyby dopisało im szczęście.

Żałował, że nie widzi sposobu wyrównania rachunków z facetem z Heleny, który go wplątał w kłopoty z narkotykami. Zresztą nie tylko z nim, ale i z redaktorami gazety „Butte Courier”. A także z całym światem. Im dłużej myślał o matni, w której się znalazł, w tym większą wpadał furję.

Dobiegł go metaliczny warkot przelatującego ponad głową małego samolotu. Spojrzał

w górę: maszyna z czerwonym firmowym znakiem spółki Treacy'ego zmierzała na południe.

Widok samolotu towarzystwa nie byłby niczym nadzwyczajnym, gdyby szeryf nie wiedział, że działalność gospodarcza w przemyśle drzewnym i wydobywczym Treacy'ego w zachodnio-północnym rejonie stanu została czasowo wstrzymana. Przedsiębiorstwo stosowało waha-dłowy system urlopowania polegający na tym, że zamiast dawania wolnego pracownikom z różnych przedsiębiorstw w różnym czasie, okresowo zamykano poszczególne zakłady pracy, a ich personel wysyłano na wakacje.

Czyżby sam Treacy wybierał się do swego domku myśliwskiego? Szeryfowi wpadł do głowy pewien pomysł. Miał mnóstwo czasu na przejazd tam i z powrotem - była to kwestia pokonania sześćdziesięciu, najdalej osiemdziesięciu kilometrów.

Zatelefonował do siedziby towarzystwa w Butte i poprosił o połączenie z Danielem Treacym. Został poinformowany, że pan Treacy jest na urlopie, lecz prosił o przekazywanie wszystkich pilnych wiadomości. Szeryf odmówił podania nazwiska i się rozłączył. A potem chwycił kapelusz i strzelbę. Pośpiesznie ominął wóz policyjny i wsiadł do małego samochodu marki Hyundai, który firma „Deke

& Skippy" oddała mu w użytkowanie. Szeryf przyłapał

R S

kiedyś właściciele warsztatu na manipulowaniu przy licznikach kilometrów w używanych pojazdach, które mieli na sprzedaż. Od tamtej pory okazywali mu posłuszeństwo i dawali za darmo, co tylko chciał.

Szeryf liczył na to, że zdoła uratować coś z wraku. Czasami można nakłonić kurę do zniesienia więcej niż jednego złotego jaja.

Ośmiokilometrowa podróż w kierunku zachodnim, z Yaak do chaty Larry'ego, upłynęła w milczeniu, za które Sky była ojcu wdzięczna. Nucił cicho pod nosem podczas jazdy, najwyraźniej nieświadomy, co rozegrało się pomiędzy nimi na sklepowej werandzie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, skręcając z szosy i mijając prymitywną bramę wjazdową w wiejskim stylu, zrobioną z trzech drewnianych bali.

Kiedy Sky wysiadła z samochodu, podbiegł do niej w podskokach stary kundel, aby obwąchać jej rękę.

- Widzę, że zrobiłeś nowy ganek.

Cieszyła się, że znalazła temat do normalnej rozmowy, choć wspomniany ganek wyglądał jak narośl z błyszczącego aluminium na pięknym drewnie, z którego został zbudowany dom.

- Tak. - Ojciec odwrócił się na fotelu kierowcy. - Obaj z moim starym psem uznaliśmy, że mamy dosyć wiatru świszczącego w szparach frontowych drzwi do naszego szałasu, prawda, psino? - Poglądził psie uszy, a potem sięgnął na tylne siedzenie po torbę Sky. - Masz ochotę na piwo?

Wnętrze chaty wyglądało dokładnie tak, jak je Sky zapamiętała. Ciepło, choć niezbyt intensywne, dochodziło z ogromnego pieca na drewno, w którym nieustannie, bez względu na porę roku, płonął ogień. W salonie pełno było myśliwskich trofeów oraz przedmiotów sztuki rękodzielniczej. Olbrzymi wypchany niedźwiedź, mający ponad trzy i pół metra wysokości, nie przestawał szczerzyć zębów z kąta pokoju. A ze ścian wciąż groźnie spoglądały przymocowane do drewnianych bali głowy różnych zwierząt: łosia amerykańskiego, sarny, szopa, wydry, bobra, a nawet starego bawołu. Nikt nie wykrwawiał sobie serca z powodu wszystkich owych stworzeń, pozbawionych życia dla tych trofeów. Gdyby Sky zagadnęła o to ojca, spojrzałby na nią zdumiony, nie pojmując, o co jej chodzi. Ekspонатów, które zostały ręcznie wykonane przez rdzennych Amerykanów: fajek pokoju, a także tych używanych na co dzień -

naszyjników z niedźwiedzi pazurów, muszelek i tomahawków - wystarczyłoby na zapelnienie małego muzeum.

R S

Sky zrzuciła z nóg płócienne pantofle na gumowych podszewkach i rozkoszowała się kontaktem bosych stóp z dywanem z miękkiego futra.

- Czy to nowy okaz? - spytała, wskazując na piękną tarczę z bydlęcej skóry, zawieszoną wraz z piórami orła i ozdobioną wzorem w jaskrawe, kolorowe piramidy.

- Spotkał mnie wielki zaszczyt - powiedział ojciec niemal z onieśmieleniem. - Otrzymałem ją w prezencie w ubiegłym roku na ostatnim zgromadzeniu plemienia Wron.

- Czy to także nowy nabytek?

Obok misek i dzbanków na stole przy oknie szafasu stało olbrzymie CB radio.

- Muszę nadać za współczesnością - stwierdził, uśmiechając się swym długim, nie-spiesznym uśmiechem, a potem skierował się w stronę kuchni.

- Chyba interesy rzeczywiście dobrze idą. To urządzenie musiało cię kosztować fortunę... - Poszła za ojcem, który otworzył lodówkę i wyjął dwie puszki.

- Tak. Biznesmenów z dużych miast raz na trzy lub cztery lata nachodzi ochota na spę-

dzenie urlopu na łonie natury. Niektórzy z nich czekają nawet po dziesięć lat na prawo do od-strzału amerykańskiego łosia. Osobiście tego nie pojmuję. - Wzruszył ramionami. - Bo kiedy już go zastrzelą, zależy im tylko na porożu. Zabierają je ze sobą, aby zawiesić nad wejściem do swych rezydencji. Mnie ani moim tutejszym sąsiadom wcale to zresztą nie przeszkadza.

Lubimy mieć zapasy mięsa. - Otworzył wieko ogromnej zamrażarki obok lodówki. - Spójrz tylko. - Komora chłodnicza była wypełniona po brzegi. - Sama dzicyzna!

Wynieśli piwo na zewnątrz i usiedli przy stole piknikowym na małej polanie wśród le-

śnej gęstwiny. Drzewa zapewniały chłód, obrzeża lasu odcinały się ostrą zielenią, a cisza była tu inna niż w parkach narodowych wokół Butte. Tam zalesione tereny tętniły życiem, wszystko skrzypiało i drgało, podczas gdy tutaj, pośród dziewiczych lasów, panował tajemniczy bezruch, jak gdyby wszystkie stworzenia wokół wiedziały, że muszą zachowywać się bezszelestnie, aby nie zginąć.

Pomimo sporadycznego charakteru spotkań z ojcem Sky nigdy przedtem nie czuła się przy nim obco. Przez te wszystkie lata miała łuski na oczach, z których część opadła przed domem towarowym w Yaak, a reszta w ciągu ubiegłych pięciu minut. Na widok dużego CB

radia Sky po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że ojciec nigdy do niej nie zatelefonował.

Oczywiście, przysyłał pieniądze na utrzymanie, pamiętał o jej urodzinach, od czasu do czasu o świętach Bożego Narodzenia, a nawet o uroczystości skończenia studiów. I twierdził, że ją kocha, lecz mówił o tym z taką samą tkliwością, z jaką przemawiał do swego kundla. Sky *RS*

żałowała, że zdecydowała się na tę wizytę. O wiele milej byłoby zachować nienaruszony wizerunek

taty w bajkowym zamku wspomnień. Za sprawą niedawno rozbudzonej świadomości spostrzegła, jak bezgraniczna jest samowystarczalność Larry'ego MacPhersona, skoro nie brakuje mu nawet towarzystwa jedynej córki. Zresztą nie tylko jej, ale i żadnej innej ludzkiej istoty. Ojciec nie potrzebował nikogo.

- Przeprowadziłam wywiad z Danielem Treacym - stwierdziła, nie mogąc ścierpieć przedłużającej się ciszy. - Podobno w tej okolicy znajduje się jego myśliwski domek?

- Rzeczywiście. Masz ochotę na jeszcze jedno piwo? - Ojciec podniósł do góry pustą puszkę.

- Nie, dziękuję. - Prawie nie tknęła swojego. - Czy to daleko stąd?

- Jakies szesnaście, siedemnaście kilometrów; tuż przy granicy z Idaho.

- Pewnie jest teraz zamknięty na cztery spusty.

- Tak twierdzą ludzie. Chyba wypiję jeszcze jedno. - Podniósł się z miejsca.

- Czy nic nie jest w stanie cię zaciekawić, tato?

Gdy spojrzał na nią, na jego gładkim czole pojawiła się niewielka zmarszczka.

- Chyba nie. Może jedynie to, kiedy do mojego szałasów dotrze pług śnieżny po pierwszych zamieciach.

- A co z ludźmi? Czy w ogóle cię nie obchodzą?

- Oczywiście, że obchodzą. Ale mają skłonność do gmatwania wszystkich spraw, nie sądzisz?

Na moment utkwił wzrok w puszcze, którą trzymał w dużej i spękanej od fizycznej pracy dłoni, a potem wszedł do domu po następne piwo.

Był nieświadomy jej uczuć, a ona, poirytowana, nie mogła znieść beczynności. Gdy wypił drugie piwo, poprosiła, żeby ją zawiózł do domu myśliwskiego Treacy'ego. Usprawiedliwiała się przed samą sobą, że kierują nią wyłącznie zawodowe pobudki, chociaż obecnie, w związku z pojawieniem się na scenie babki, miała powody, aby przejawiać osobiste zainteresowanie tą wyprawą.

Dojazd do domu Treacy'ego trwał niespełna kwadrans. Przy dużej tablicy, na której widniał napis witający przyjezdnych w Idaho, ojciec Sky zszedł z autostrady i skierował się w stronę rozległego zagajnika.

- Chcesz podjechać pod sam dom?

- Oczywiście. - Była zdziwiona pytaniem, gdyż nie dostrzegła żadnej drogi.

- Od podjazdu dzieli nas około półtora kilometra.

W końcu listowie się przerzedziło i Sky zobaczyła w oddali polną ścieżkę, która wiała się w górę po zboczu. Uznała kamuflaż za mistrzowski: droga była dobrze ukryta przed niepożądanym wzrokiem. Ojciec wprawnie przeprowadził samochód przez gęstwinę i karoserii nie musnęły nawet liście.

W redakcji „Couriera” stażystka wyęczała umysł; od lat tak ciężko nie pracowała. Jej zadanie polegało na zasięgnięciu informacji we wszystkich publicznych instytucjach - w szkołach, kościołach, przedsiębiorstwach użyteczności publicznej, bankach, urzędach, oraz administracji bloków czynszowych i zakładzie oczyszczania miasta, czy nie pracował tam w charakterze palacza, nawet przez kilka dni, czarnoskóry mężczyzna.

Redaktor naczelny przemierzał w tym czasie ulice oraz zaułki. I chociaż podczas półto-ragodzinnych poszukiwań nie znalazł anonimowego włóczęgi, na coś jednak natrafił.

Kiedy przechodził obok sklepu monopolowego, spostrzegł chłopaka Sky, Grega Lan-dosa. Odruchowo, przypominając sobie wzmiankę Lindy o woni alkoholu w oddechu posłańca, wszedł do środka.

- Witaj Jim, czym mogę służyć?

Choć Larsen był zaskoczony tym pełnym rezerwy powitaniem, jednak ani przez moment nie zaprzął sobie głowy osobliwym zachowaniem młodzieńca.

- Wpadłem z nadzieją, że zdołasz mi pomóc. - W kilku słowach opisał tropionego mężczyznę.

Ku jego zadowoleniu Greg coś sobie przypominał.

- Czarnoskóry facet, powiadasz?

- Tak sędzę.

Okazało się, że włóczęga tylko raz zajrzał do sklepu i to na kilka minut. Wdał się w py-skówkę z jednym ze stałych klientów - dozorcą w podeszłym wieku.

- Wyrzuciłem obu, ale po upływie godziny znowu zobaczyłem ich razem. Sprawiali wrażenie, że są w jak najlepszej komitywie. - Uczynność leżała w naturze Grega. - Siedzieli na ławce naprzeciwko budynku urzędu miasta, gdzie staruszek jest zatrudniony.

Dozorca nie pracował tego dnia, lecz znalezienie go nie nastęrczyło Larsenowi większych trudności. Uzbrojony w adres pojechał do Walkerville - na z rzadka zabudowane przedmieścia Butte. Poszukiwany mieszkał w dwupiętrowej ruderze stojącej w cieniu opuszczonego szybu. Po dzwonku pozostał jedynie ślad na murze, a kiedy Jimbo zapukał do drzwi, *R S*

obsypał go deszcz złuszczonej farby.

Pojawił się w nich starszy mężczyzna, nie wyższy od ucznia szkoły podstawowej, ubrany w poplamiony smarem kombinezon. Kiedy się odezwał, jego oddech cuchnął.

- Niczego dzisiaj nie kupuję. - Zamierzał zamknąć drzwi, lecz Jim je przytrzymał, przedstawił się i wyjaśnił powód swej wizyty.

- Nie widziałem tego gościa od tamtej pory. - Dozorca ponownie usiłował zatrzasnąć drzwi, lecz redaktor nie dawał za wygraną.

- Muszę go znaleźć, panie Schindler, to dla mnie bardzo ważne. Może pan wie, dokąd się wybrał?

- Wspominał coś o Anakondzie.

Po ośmiuset metrach zakurzona droga wiodąca do domu Treacy'ego kończyła się mostem w kształcie litery S, który spinał dwie spienione pętle głębokiego, brunatnego strumienia.

Gdy pokonywali drugi zakręt, las nagle otworzył się przed nimi i Sky zobaczyła dom.

Wspaniale zaprojektowany, tak zwany, myśliwski domek, rywalizował wyglądem ze wspaniałą rezydencją Treacy'ego nieopodal Butte. Dominowały nad nim okrągłe górskie szczyty, które niczym cyklorama uzupełniały go i dodawały mu majestatu. Ojciec wrzucił

niższy bieg i zaczęli się piąć pod górę wśród trawników drogą prostą jak strzała. Dom w kształcie półksiężyca, położony na szczycie wzgórza i otoczony półkolem ozdobnych drzew, był długi, niski i zbudowany z podobnego materiału jak dom Larry'ego. Sky dostatecznie dłu-go mieszkała jednak w Montanie, aby wiedzieć, że różnica pomiędzy obydwoma drewnianymi chatami wynosi milion dolarów.

Okiennice w oknach pozamykano i panowała tu charakterystyczna dla wszystkich opuszczonych miejsc przygnębiająca cisza. Dom nie był jednak zupełnie zapomniany, gdyż nieopodal stał zaparkowany mały samochód marki Hyundai.

- Przypuszczam, że Treacy wciąż chce zachować tę nieruchomość - zauważył ojciec Sky, zatrzymując samochód. A potem wysiadł i się przeciągnął.

- Masz ochotę przejść się wokół domu?

- Nie. Sky nade wszystko pragnęła teraz zostać sama. - Przespaceruję się trochę po lesie, tato.

Larry zajrzał do samochodu i spod siedzenia kierowcy wydobył zamykany na zamek futerał.

R S

- Weź to ze sobą. - Wyciągnął strzelbę i sprawdził zamek. - Umiesz się z tym obchodzić?

- Nie potrafiłabym tego użyć... - wzdrygnęła się Sky.

- W takim razie idę z tobą - oświadczył, wieszając broń na ramieniu. - Chodzi o niedz-

wiedza - wyjaśnił, jak gdyby rozmawiał z dwuletnim dzieckiem. Sky roześmiała się - jak zwykle w niestosownym momencie.

Szeryf ukrył się za domem. Znalazł się w kłopotliwym położeniu.

Przybył tu zaledwie przed kilkoma minutami i zdążył jedynie okrążyć budynek. Ponieważ ani przed frontowymi drzwiami, ani w garażu nie dostrzegł żadnego samochodu, są-

dził, że nikogo nie zastał. Ale kiedy usłyszał silnik nadjeżdżającego pojazdu, uznał, że pomimo wszystko jego podróż nie była nadaremna.

Zastanawiał się, czy od razu się nie ujawnić - auto na podjeździe i tak zdradzało jego obecność - instynktownie jednak pozostał w ukryciu. Postanowił zaczekać, aż Treacy wejdzie do środka. Powoli zakradł się pod domek i zaczajony za węglem, nasłuchiwał.

Gdy umilkł silnik, dobiegły go dwa głosy i O'Connor ku swemu przerażeniu stwierdził, że jeden z nich należy do reporterki z „Butte Couriera”. Natychmiast ją rozpoznał: niewiele kobiet, z wyjątkiem dziennikarek z publicznej telewizji, miało tak dźwięczną i wyraźną wymowę.

Potem usłyszał nieomylny trzask składanej strzelby, znowu głosy i na końcu śmiech.

Nie ulegało wątpliwości, że śmiech należał do tej dziwki.

To był ten śmiech... Szeryf musiał się przytrzymać rogu domu, żeby za nimi nie pobiec.

Przez wiele długich lat tłumił w sobie wściekłość. Po kilku wybuchach furii w młodzieńczym wieku doszedł do wniosku, że człowiek ulegający złości traci nad sobą kontrolę, a od umiejętności panowania nad sobą zależy powodzenie podejmowanych działań.

Jednakże nigdy nie przestał odczuwać gniewu w stosunku do przestępców, którzy dzięki sprytnym prawnikom unikają kary za popełnione zbrodnie. Nigdy nie przestał też my-

śleć z rozgoryczeniem o swych skretyniałych rodzicach, którzy go tłukli bez opamiętania, ani o byłej żonie, która źle nastawiła do niego dzieci. Wciąż kipiał z oburzenia na rząd federalny za to, że z sympatii dla cudzoziemców, wałkoni i lewicujących agitatorów ogranicza prawa amerykańskich obywateli. Zawsze też irytowali go bogatsi i przystojniejsi mężczyźni. A także wszystkie te dziwki, które wyśmiewały się, gdy próbował je uwieść, i przez to musiał sypiać z R S

prostytutkami.

Znalazł jedynie sposób, by dać upust swej złości na Brytyjczyków, wciąż roszczących sobie prawa do Irlandii. Jednakże teraz, kiedy usłyszał ten śmiech, po raz pierwszy od wielu lat nie potrafił powściągnąć dzikiej furii, która nim owładnęła.

Drżał na całym ciele, przytrzymując się rury ściekowej, która biegła wzdłuż ściany domu. Bał się nawet, że pourywa rynny, wiedział jednak, że jeśli rozluźni chwyt, może zrobić coś nieobliczalnego. Walczył o odzyskanie panowania nad sobą. Kiedy po kilku minutach wypuścił rurę z rąk, miał dłonie otarte do krwi. Stawiając sztywne kroki, wyszedł ze swej kryjówki.

Samochód terenowy z szeroko otwartymi drzwiami stał zaparkowany beztrosko za hy-undaiem. Szeryf, nie przejmując się tym, że ktoś go może zobaczyć, zbliżył się do pojazdu i otworzył maskę. Wolno, jak gdyby miał mnóstwo czasu, zbadał system połączeń poszczególnych elementów silnika, a potem zacisnął drżące ręce na przewodach, które prowadziły do przednich hamulców. Miał mocne dłonie i po kilku sekundach kable zwisały luźno. Pojazd był podwójnie zabezpieczony, stąd szeryf musiał powtórzyć zabieg z przewodami łączącymi tylne koła.

Zamknął maskę i upewnił się, czy spod dżipa nie wypływa płyn hamulcowy, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, ale nawet gdyby tak było, i tak zostałby wchłonięty przez żwir na podjeździe.

Szeryf wszedł do swego samochodu i odjechał.

Gdy dotarł już do mostu osiemset metrów za domem, a drzewa zamknęły się za nim, przeszedł mu gniew i odczuwał wewnętrzną pustkę. A także zdziwienie. Dlaczego to zrobił?

Na pewno wiedzieli auto; wytropienie go nie będzie trudne.

Nie miał pojęcia, co go skłoniło do takiego kroku. Z pewnością było to swoiste działanie odreagowujące.

Kiedy dotarł do końca polnej drogi i skręcił w autostradę, był już całkowicie spokojny.

Żałował nawet własnego czynu. Teraz będzie musiał czym prędzej wrócić do Mayville, zwrócić samochód właścicielom warsztatu i ponownie zdać się na ich dyskrecję. Westchnął. Nigdy nie można przewidzieć ludzkiego zachowania.

Rozdział 32

R S

Robi się niebezpiecznie. - Zbliżała się północ; Rupert de Burgh rozmawiał z narożnej budki telefonicznej nieopodal swego domu na przedmieściach. - Z ich wymiany zdań wywnioskowałem, że wiedzą o przeciekach. Niewykluczone... że będę się musiał wycofać. -

Chociaż zawsze telefonował do brata z innego aparatu i unikał połączeń z jego londyńskim mieszkaniem, uważał, że przezorności nigdy za wiele. - Nie martw się jednak - zapewnił po-

śpiesznie. - Nie mają pojęcia, o kogo chodzi. Nasze małe urządzenie zdaje egzamin i wciąż jesteśmy na bieżąco w sprawie. A co u ciebie?

- Długo o tym wszystkim myślałem.

De Burgh, który znał brata jak samego siebie, usłyszał wahanie w głosie Toby'ego.

- Teraz nie możemy się już wycofać. Jest na to za późno. - Skupił się, usiłując przybrać energiczny i autorytatywny ton. - Ci, z którymi mamy do czynienia, to zera, a nie ludzie, pa-miętaj! A ten człowiek jest honorowym pułkownikiem Parasu, Toby. Pamiętasz, co ci z Parasu zrobili wtedy w Derry?

- Pamiętam. - Głos brata znowu zabrzmiał niepewnie.

- Wkrótce porozmawiamy. Do zobaczenia jutro w klubie na lunchu. Postaraj się zdobyć dla mnie trochę więcej informacji dotyczących tras i godzin przejazdu. Wiesz, co masz robić, gdy tylko wystartuje?

- Tak, wiem.

- Skorzystaj z trzech różnych budek i użyj tego samego hasła. Masz numery, jakie ci podałem? Pamiętasz hasło?

- Nie jestem dzieckiem.

De Burgh westchnął. Był zadowolony, że zbliża się decydujący moment.

- Pomyśl o historii, Toby. - Starał się nadać swojemu głosowi pogodne brzmienie. - I o naszym w niej miejscu.

Kiedy ojciec Sky zahamował na pięćdziesiąt metrów przed pełnym zakrętów niczym korkociąg mostem u podnóża wzgórza, samochód nie zwolnił. Dżip nie jechał na najwyższym biegu, ale nabierał prędkości. Larry zaklął, przyciskając stopą bezużyteczny pedał, z chrobotem zmienił bieg i pociągnął za rączkę hamulca ręcznego.

Silnik zaryczał, lecz nachylenie zbocza było zbyt strome i hamulec bezpieczeństwa okazał się bezużyteczny. Po sekundzie wpadli na mostek o szerokości nie większej niż jeden pojazd.

- Trzymaj się! - krzyknął ojciec, rezygnując z hamulca i skupiając całą uwagę na kierowaniu dżipem.

Kiedy Sky, sparaliżowana ze strachu, kurczowo zaciskała ręce na fotelu pasażera, ojciec przyspieszył i szczęśliwie pokonał pierwszy zakręt na moście. Jeszcze bardziej zwiększył

obroty silnika, lecz na drugim zakręcie zahaczył tylnym zderzakiem o drewnianą barierkę, która pękła z trzaskiem. Wnętrze pojazdu wypełniło się wonią spalonego oleju. Larry, lekceważąc uderzenie, docisnął pedał gazu do dechy. Gdy dżip, szybując w powietrzu, wyskoczył z mostka, wskazówka szybkościomierza osiągnęła górną granicę niebezpiecznej prędko-

ści.

Po przebyciu najgroźniejszej przeszkody Larry zdjął nogę z gazu, wrzucił jałowy bieg i wyłączył

silnik. Pojazd, podskakując na wybojach, przez chwałę toczył się po polnej drodze.

W końcu zatrzymał się sto metrów dalej, wśród chmury wirującego brązowego pyłu. Larry spojrzął na córkę.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak - zdołała jedynie wyszeptać.

Na wskutek przeżytego szoku szelest liści w lekkich powiewach wiatru brzmiał w jej uszach donośnie niczym wzburzony ocean.

- Nie mogę tego pojąć. - Larry, który wydawał się stosunkowo opanowany, nagle skoczył na równe nogi. - Samochód zaledwie przed dwoma tygodniami był na przeglądzie i od chwili zakupu nigdy nie sprawiał kłopotów. Mam nadzieję, że nie zatarłem silnika. - Podniósł

maskę i zajrzał do środka.

Sky, czując, że ma ciało jak z waty, z trudem wytoczyła się z dżipa. Dopiero teraz do końca pojęła, co mogło się wydarzyć, i ogarnęły ją mdłości. Przycupnęła na skraju drogi, na leśnej ściółce z mchu i z sosnowych igieł, i wsunęła głowę między kolana.

- Masz ochotę na łyk alkoholu, skarbie? Zawsze wożę ze sobą butelkę burbona. - Larry wyjął whisky i usiadł obok córki. - Znasz kierowcę hyundaia?

Gdy spojrzała na ojca, nie pojmując, do czego zmierza, wyjaśnił:

- Osoba, która przyjechała tym samochodem, uszkodziła hamulce w daihatsu. Przewody zostały wyrwane, zarówno przednie, jak i tylne, wyciekł cały płyn.

- Czy można je będzie naprawić?

Sky pociągnęła łyk alkoholu i chociaż burbon palił jej gardło, miał zbawienny i niemal natychmiastowy skutek. Nie pojmowała, jak ktoś mógł świadomie dążyć do spowodowania wypadku.

R S

- Wożę ze sobą większość części zapasowych, ale nie mam wystarczającej ilości płynu hamulcowego, abyśmy mogli bezpiecznie wrócić do domu. - Ojciec nie wyglądał na zagniewanego.

- Poza tym przewody są uszkodzone. Gdy wypijemy drinka, sprowadzę pomoc. Facet, od którego kupiłem daihatsu, zapewniał mnie, że telefon w samochodzie z pewnością kiedyś mi się przyda.

Przerażenie Sky przerodziło się w furję. Kto się odważył zrobić jej coś podobnego? Im obojgu?

Z pewnością była to ta sama osoba, która nie zawahała się umieścić kuli z pistoletu w skrzynce na listy.

Miejsce, gdzie się znajdowali, według amerykańskich kryteriów odległości nie znajdowało się daleko od Mayville. I niezwłoczne sprawdzenie, kto prowadził samochód marki Hyundai, nie powinno nastręczyć większych trudności. Sky była tak wściekła, że zapomniała nawet o strachu.

- Gdy będziesz rozmawiał, tato, poproś, żeby zabrali oprócz nowych przewodów również szczypce i rękawice gumowe.

- Co takiego?

- Chodzi o odciski palców. Prawdopodobnie szanse na ich znalezienie są nikłe, chociaż kto wie? Czy mogę skorzystać z telefonu?

Kiedy skontaktowała się z redakcją „Couriera”, stażystka jednym tchem powiadomiła ją, że redaktor naczelny udał się na poszukiwania mężczyzny, który dostarczył anonim.

- Robię, co mogę, Sky, ale ludzie przejawiają wielkie skłonności do gadulstwa. Przeprowadziłam dopiero połowę zaplanowanych rozmów z mojej listy.

- Dziękuję, Lindy. Gdy tylko Jim się odezwie, powiedz mu, żeby niezwłocznie do mnie zatelefonował. - Podała dziewczynie numer telefonu w daihatsu i kazała go powtórzyć. Następnie spróbowała porozumieć się Lynskeyem, lecz nie zastała go w zajeździe. Zostawiła swój numer i starała się przekonać recepcjonistę, że sprawa, o której musi porozmawiać z Irlandczykiem, jest niezwykle pilna.

Dominującym elementem krajobrazu Anakondy są górujące ponad miastem ogromne kominy hutnicze. Zresztą nie tylko one. Przybyszowi z Butte na początku rzucają się w oczy nie cudowne, szerokie parkowe aleje ani wymuskane domy, lecz olbrzymie hałdy żużlu - za-sługujące z racji wielkości niemal na miano gór. Chlubna górnicza przeszłość miasta stała się atrakcją turystyczną i w centrum handlowym Anakondy turyści mogą nabywać „worki z żuż-

R S

lem".

Jim Larsen przemierzył hałdy dwukrotnie - po raz pierwszy, gdy wjeżdżał do miasta, i po raz drugi na piechotę, gdy szukał kogoś, kto mógł się zetknąć z czarnym włóczęgą w sportowym dresie o barwie indygo. W końcu, kiedy był już bliski poddania się i postanowił po raz ostatni zasięgnąć języka w sklepach i w barach, dopisało mu szczęście.

Przy jednym ze stolików w restauracji „U Donovana” - w wąskiej i długiej sali, gdzie dominującymi odgłosami były brzęczące dzwonki automatów do gry nieopodal baru - siedziała starsza pani i popijała małymi łykami mrożoną herbatę. Obok niej stała podpórka na kółkach, pełniąca funkcję laski.

- Bardzo panią przepraszam. - Jim zaczekał, aż kobieta podniesie wzrok znad gazety z ogromnym zdjęciem księżnej Diany na pierwszej stronie.

- Słucham? - zapytała staruszka zacinającym się, urywanym głosem. Jej niepewna wymowa mogła świadczyć o przeżytym wylewie, lecz spojrzenie oczu zza okularów było bardzo bystre.

Larsen zadał kobiecie rutynowe pytania. Tym razem nie zobaczył w odpowiedzi puste-go spojrzenia, lecz lekkie wydęcie ust.

- Tak, domyślam się, o kogo panu chodzi. Człowiek ten pracuje w małym barze w Geo-rgetown. - Larsen nie wierzył własnym uszom. - Nie wiem, czy nadal tam przebywa... - Jej powolna wymowa była irytująca. - W każdym razie jeszcze wczoraj go tam widziałam. Z

okazji moich urodzin syn zabrał mnie nad jezioro i zwróciłam uwagę na mężczyznę, który wynosił śmiecie. Odpowiada podanemu przez pana rysopisowi. Zapamiętałam go, ponieważ nieczęsto...

- Wiem, wiem. - Larsen pragnął czym prędzej zakończyć tę rozmowę. - Nieczęsto można spotkać Murzyna w Montanie. Dziękuję pani za pomoc.

Biegiem wrócił do samochodu. Po drodze minął budkę telefoniczną i zastanawiał się przez moment, czy nie zadzwonić do biura i nie dowiedzieć się, jak sobie radzi stażystka. Być może czarnoskóry mężczyzna w barze wcale nie był tym, kogo szukał?

Postanowił nie telefonować, dopóki tego nie sprawdzi.

Dochodziła prawie dziewiąta, gdy Larry MacPherson z córką wrócili naprawionym daihatsu do szafasu. Sky nadzorowała zabezpieczenie uszkodzonych kabli. Używając do tego szczypiec, położyła przewody na tylnym siedzeniu dżipa i zamierzała umieścić je w plastikowym worku na mrożonki natychmiast po powrocie do chaty ojca.

R S

Kilkakrotnie próbowała skontaktować się zarówno z Jimem Larsenem, jak i z Lynskeyem. Niepokoił ją brak wiadomości od nich - zastanawiała się nawet, czy nie zadzwonić do znajomego policjanta w Butte. Nie chciała jednak wyjawiać nikomu całej historii bez porozumienia się z szefem i odrzuciła ten pomysł.

Uzmysłowiła sobie, że nie może się spodziewać rychłej odpowiedzi od Fergusa: mniej więcej w tym czasie miał się spotkać z mężczyzną o imieniu Matt.

Od pół godziny Lynskey tkwił na parkingu przed umówioną restauracją. Tym razem jednak nie działał w pojedynkę.

Z uwagi na rangę sprawy, a także nie mogąc reprezentować amerykańskich organów ścigania, Irlandczyk poinformował swych kolegów z FBI, z kim się zamierza dzisiaj spotkać i dlaczego. Na wyznaczone miejsce przybyli czterej agenci w dwóch samochodach - po dwóch ludzi w każdym - w nienagannych garniturach i w klasycznych fryzurach tak bardzo rzucają-

cych się w oczy, że Lynskey był zrozpaczony. Wiedział, że jeśli „Matt” zorientuje się, co w trawie piszczy, natychmiast zniknie. A Fergus nie miał wątpliwości, że jest na tropie właściwej osoby.

Znajomy Lynskeya z FBI potwierdził, że od południa człowiek z Heleny z nim się nie łączył.

Agenci początkowo nalegali, aby Lynskey oddał im inicjatywę w tej akcji, przekonał

ich jednak, że może uzyskać więcej informacji niż oni, tak więc zgodzili się w końcu poczekać na jego sygnał. Obecnie siedzieli wewnątrz lokalu i Lynskey miał nadzieję, że w ogólnym zamieszaniu wtopią się w tłum. Najwyraźniej restauracja cieszyła się dużą popularnością i to nie tylko wśród nastolatków, ale także u dorosłych. Rozległy parking oraz oferowane wraz ze stekami darmowe występy przyciągały turystów, rowerzystów, a także turystów podróżują-

cych z przyczepami.

Zanim Lynskey zajął swą pozycję, uważnie obejrzał lokal zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz: toalety, wszystkie wejścia i wyjścia oraz tę część kuchenną, którą zdołał dostrzec z głębi sali.

I teraz, gdy czaił się w cieniu wielkiej przyczepy kempingowej, uświadomił sobie, że chociaż jest pięć po dziewiątej, żaden z trzech samotnych mężczyzn, którzy przybyli w ciągu ubiegłych dwudziestu minut, nie wzbudził jego podejrzeń. Jeden przyjechał poobijaną półcią-

żarówką i Lynskey wątpił, aby zdołał przybyć nią aż z Heleny. Drugiego, w nowiutkim por-sche, odrzucił jako zbyt zwracającego uwagę. Trzeci zjawiał się ogromną ciężarówką załadowaną czekoladowymi batonami. Na widok reklamy z boku wielkiego pojazdu, przedstawiają-

R S

cej dzieci pałaszujące czekoladę, Irlandczykowi napłynęła ślina do ust. Od lunchu nic nie jadł.

Nadjechał następny samochód i czułki agenta zadrgały.

Pojazd powoli trzykrotnie okrążył parking. Kiedy znalazł się poza zasięgiem widzenia, Lynskey cichaczem pokonał dystans, jaki dzielił go do ciężarówki, której drzwi kierowca pozostawił otwarte, i wskoczył do kabiny. Z góry dostrzegł w półmroku światła pojazdu ostatniego przybysza: zataczały słaby łuk na obrzeżach parkingu, aż wreszcie zgasły na jego odległym krańcu. Lynskey skulił się w fotelu, ale po chwili zerknął znad kierownicy. Zobaczył

mężczyznę w momencie, kiedy tamten otwierał drzwi do lokalu. Niewysoki, w średnim wieku, miał na sobie typowy strój mieszkańca Montany: dzinsy, kraciastą koszulę oraz kowbojskie buty. Po chwili zniknął w głębi restauracji.

Agent policzył wolno do dziesięciu i podążył za nim. Gdy stanął w oszklonych drzwiach, natychmiast dostrzegł „Matta”. Mężczyzna siedział na stołku za barem, trzymał w dłoni oprawiony w plastik jadłospis i przeczesywał wzrokiem zgromadzonych gości. Lynskey spostrzegł kątem oka, że jeden z agentów wyprostował się na jego widok. Irlandczyk zatrzymał się i rozejrzał wokół, jak gdyby szukał osoby, z którą się umówił. Mężczyzna przy kontuarze dostrzegł jego przyjście, lecz obojętnie prześlizgnął się po nim wzrokiem.

Z wyjątkiem jednego stołka wszystkie miejsca przy barze były zajęte. „Matt” usadowił

się pomiędzy dwiema parami nastolatków.

Lynskey podszedł prosto do niego.

- Przepraszam, pan jest „Mattem”, prawda?

- Nie - odparł krótko nieznajomy. - Musiał mnie pan z kimś pomylić. Nazywam się Pe-te.

- Czyżby zmienił pan imię? - Chociaż Fergus instynktownie wyczuwał, że odgadł prawidłowo, mężczyzna doskonale odgrywał swą rolę. - Mógłbym przysiąc, że przedstawił się pan jako „Matt” - kontynuował uprzejmym tonem. - Głos się zgadza. Choć w przypadku au-tomatycznych sekretarek nigdy nie można mieć pewności.

Nieznajomy zsunął się ze stołka.

- Powiedziałem przecież, że wziął mnie za kogoś innego. Nie mam ochoty z panem rozmawiać ani teraz, ani w przyszłości. - Obrócił się na pięcie, lecz Irlandczyk był szybszy i mocno chwycił go za ramię.

- Niech pan usiądzie, jak na porządnego gościa przystało. Zamierzam z panem porozmawiać. Chyba nie chce pan wywołać sceny i ściągnąć sobie na kark policji? - Był o wiele *R S*

roślejszy i silniejszy od przeciwnika i tamten się poddał.

- Tak jest już lepiej. - Lynskey usiadł obok niego. - Ma pan ochotę na kawę?

- Też coś! - Mężczyzna bacznie mu się przyglądał.

- Bardzo dobrze. W takim razie ja też na razie nie będę pił herbaty. A teraz posłuchaj Matt, Pete, czy jak cię tam zwa...

Mężczyzna skoczył na równe nogi i rzucił się w stronę drzwi, lecz czterej agenci zerwali się z miejsc i zagrodzili mu drogę. Wobec ich miażdżącej przewagi uciekinier odwrócił

się na pięcie i pognał w stronę kuchni. Tym razem na jego drodze znalazł się Lynskey;

„Matt”, niewiele myśląc, wyrzucił Irlandczyka kolaniem w krocze.

Tracąc z bólu oddech, Fergus zgiął się wpół i wywrócił sąsiedni stołek, zrzucając na podłogę siedzącego na nim gościa. „Matt” ominął przeszkodę. W trakcie ucieczki wydobył z wewnętrznej kieszeni mały pistolet.

Cztery dziewczyny zaczęły wrzeszczeć, gdy agenci FBI, pędząc w stronę kuchni, przewracali wszystko, co napotkali na drodze.

Wymachujący pistoletem mężczyzna znacznie wyprzedzał pogoń. W metalowych wa-hadłowych drzwiach zderzył się z kelnerem, który zmierzał do pomywalni z tacą wypełnioną porcelanową

zastawą. Mężczyzna zdążył odskoczyć na bok, ale przeładowana taca runęła z hukiem na posadzkę. „Matt” stracił cenne sekundy, gdy poślizgnął się na kawałku stłuczonej filiżanki i walczył o utrzymanie równowagi.

Agenci wykorzystali tę sytuację na wydobycie własnej broni, lecz ścigany chwycił młodego pomocnika kelnera i przystawił mu pistolet do głowy.

- Cofnijcie się! - wrzasnął do funkcjonariusza Biura Federalnego.

Wszyscy zamarli w bezruchu. Trzej kucharze stali jak zahipnotyzowani. A kelnerka, która nakładała ziemniaki na talerze, wypuściła łyżkę z ręki.

Przerażony chłopak mógł mieć co najwyżej piętnaście lat; był w zbyt wielkim szoku, żeby krzyczeć, gdy porywacz, ciężko dysząc i powoli wycofując się w stronę wyjścia, oddalał się od pogoni.

Jednakże któryś z agentów przesunął się do przodu, odłożył broń i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Możemy się dogadać. Puść chłopca.

- Ani kroku dalej!

„Matt” mocniej przycisnął lufę pistoletu do skroni nastolatka, nie przestając się cofać w *R S* stronę drzwi.

W sali restauracyjnej Lynskey, choć nadal oszołomiony i nękany nudnościami oraz pa-lącym bólem, na wpół biegnąc, na wpół kuśtykając do wyjścia, chwycił po drodze garść sztućców.

Na zewnątrz zaczerpnął do płuc świeżego powietrza, co spotęgowało ból, lecz zmniejszyło nudności. Kulejąc, okrążył budynek. Zmierzał w stronę służbowego wyjścia i modlił się w duchu, aby zdążyć na czas.

Po lewej stronie podwórza stał kubeł na śmieci, za którym Irlandczyk się ukrył. Niemal w tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i uzbrojony mężczyzna, trzymając przed sobą chłopaka jak tarczę, wolno wycofywał się z kuchni. Jeden z agentów nadal szedł za nim z rękami uniesionymi w górę, aby pokazać, że nie jest uzbrojony.

- Daj spokój, porozmawiajmy - perswadował cichym głosem. - Puść tego dzieciaka!

- Cofnij się, cofnij!

Choć „Matt” panował nad sytuacją, był bardziej zdenerwowany, niż Lynskey by sobie tego życzył przez wzgląd na bezpieczeństwo chłopca. Irlandczyk czekał w napięciu, nie zwracając uwagi na ból, który nadal promieniował z okolic krocza.

W chwili gdy agent również znalazł się na otwartej przestrzeni, wciąż odciągając uwagę przestępcy, Irlandczyk wyłonił się z cienia, zwinnie podbiegł od tyłu do uzbrojonego męż-

czynny i przyłożył mu do szyi trzonek łyżki.

- Rzuć broń! - zawołał, chwytając tamtego za nadgarstek.

Wykręcił mu rękę, a pistolet, nie wyrządzając nikomu krzywdy, upadł na ziemię.

Szlochający zakładnik wyrwał się i z krzykiem pognął pędem przed siebie.

Dwie sekundy później „Matt” leżał na ziemi, obezwładniony przez Lynskeya i agenta, a reszta funkcjonariuszy FBI biegła do nich od strony głównego wejścia.

Rozdział 33

Nareszcie! Sky, która swoimi częstymi telefonami z pewnością wystawiła na próbę cierpliwość pracowników recepcji z zajazdu „Pod Indiańskim Pióropuszem”, w pośpiechu chwyciła słuchawkę telefonu stojącego obok CB radia jej ojca. Rozmówcą okazał się jednak Jim Larsen, a nie Lynskey. Znalazł autora anonimowego listu i choć mężczyzna gubił się w *R S*

szczegółach, gotów był przysiąc, że volvo Margaret Treacy potrafiło owej feralnej nocy jego przyjaciela.

Wczesnym popołudniem tamtego dnia obaj raczyli się alkoholem, mężczyzna zapewnił

jednak, że żaden z nich się nie upił. Szli poboczem autostrady w kierunku stodoły, gdzie zamierzali spędzić noc. Po wypadku ów człowiek wpadł w panikę - zawsze denerwował się na widok przedstawicieli prawa. Kiedy jednak się zorientował, że kobieta nie zostanie pocią-

gnięta do odpowiedzialności, jako że jego przyjaciel został uznany za pijaka, który umarł przy drodze w wyniku nadużycia alkoholu, miarka się przebrała. Postanowił coś z tym zrobić i aby nadać większy rozgłos sprawie, wybrał się do Butte.

- Ja też mam dla ciebie nowiny... - oznajmiła Sky i opowiedziała Jimowi o uszkodzonych przewodach hamulcowych w dziupie ojca.

- To będzie można łatwo sprawdzić. - Larsen wpadł w uniesienie. - Mamy go, Sky.

Świetna robota!

- Czy nie powinniśmy zawiadomić policji?

- Zrobię to niezwłocznie.

- A zatem nie muszę już lecieć do Irlandii?

Nie mogła się zdecydować, czy się z tego cieszy, czy też jest zmartwiona. Oswoiła się z myślą o wyprawie w towarzystwie Lynskeya. Podróż odwlekała moment podjęcia decyzji w stosunku do niego. Sytuacja uległaby diametralnej zmianie, jeśli Fergus miałby zniknąć sam po drugiej stronie Atlantyku.

- To jeszcze nie koniec sprawy, Sky. Jestem gotów się założyć o milion dolarów. Rozmawiałem z Lynskeyem... - Jimbo się zawahał.

- Podły szczur. Dlaczego do mnie nie zadzwonił? Tysiąc razy telefonowałam do jego hotelu z prośbą o kontakt.

- Nie ma go w zajeździe, pojechał do Heleny z kilkoma agentami FBI. Okazało się, że obawy o twoje bezpieczeństwo były w pełni uzasadnione. Myślę jednak, że sam zechce ci o wszystkim opowiedzieć.

- Co się stało, Jim?

Oszołomiona wysłuchiwała relacji o tym, jak Irlandczyk prawdopodobnie ocalił jej życie.

Po tak stresującym dniu Sky nie mogła zasnąć tej nocy, którą spędzała pod dachem Larry'ego MacPhersona. Wystarczająco przykre było stwierdzenie, że jej stosunki z ojcem pozostawiają wiele do życzenia, a wewnętrzną rozterkę potęgowała dodatkowo pociągła twarz Fergus'a oraz jego wesołe spojrzenie, które miała przed oczami za każdym razem, gdy się bu-R S

dziła. Facet był prawdziwym bohaterem, szczerym jak złoto.

Ale wciąż nie dzwonił...

Rzucając się pod skłębioną pościelą, Sky usiłowała sprecyzować to, co się pomiędzy nimi dzieje. Sprawy seksu były bez zarzutu, nie miała co do tego wątpliwości - jej ciało wciąż płonęło na wspomnienie owego zbliżenia. Jednak satysfakcję seksualną dzieliła od miłości długa droga. Stosunki fizyczne z byłym mężem Sky również uważała za szalenie ekscytujące i czym skończyło się ich małżeństwo? Zresztą z Gregiem też dobrze jej było w łóżku, niemal do samego końca. W otchłani nocy przed oczami Sky przewijały się kolejne epizody z jej ero-tycznego życia, począwszy od obłapiania się na tylnych siedzeniach poobijanych chevroletów w czasach licealnych i w studenckich, do bardziej wyszukanych metod współżycia seksualnego, które cechowała jeszcze większa emocjonalna pustka, we wczesnych latach zawodowej kariery.

W większości owe zbliżenia doprowadzały ją do konkluzji, że jest zakochana. Nastę-

poważało to jednak zbyt szybko; jej serce było spragnione miłości, toteż wszyscy chłopcy i młodzi mężczyźni, przed którymi je otwierała, wpadali w panikę. Aż do czasów Randy'ego.

Po rozstaniu z nim zbudowała wokół siebie mur i ukryła się za nim przed światem.

Przez większość swojego dorosłego życia doskonale obywatela się bez miłości i miała za co być wdzięczna losowi. Jej praca zawodowa, pomimo zdarzających się potknięć i upadków, pod względem atrakcyjności biła na głowę kariery urzędniczek z Chicago i Detroit czy też agentek

handlujących nieruchomościami i oprowadzających pary małżeńskie po jedno-kondygnacyjnych lub wielodziałowych domach, które zwykle okazywały się dla nich zbyt drogie. A na dodatek mieszkała w najpiękniejszym zakątku Ziemi; zimą mogła korzystać z pobliskich tras narciarskich - najlepszych w całych Stanach, a środowisko naturalne było tu nieskażone, ludzie zaś żyli bez napięć. Wcale nie musiała się zakochiwać.

Fergus Lynskey jednakże zburzył ową pieczołowicie skonstruowaną fortyfikację. A co najdziwniejsze, Sky nie dostrzegła tego na czas: proces uzmysłowienia sobie własnej sytuacji był powolny niczym z trudem rozpalający się płomień; tlił się nawet wtedy, kiedy wpadła w furję po odkryciu kłamstwa Irlandczyka i gdy irytowały ją jego dyktatorskie zapędy. Ze złości zazgrzytała zębami: nie gniewała się już na niego, ale o miłości nie mogło być mowy.

A jednak o trzeciej, czwartej i piątej nad ranem chciała być zakochana w Lynskeyu, lecz o szóstej, kiedy z nocnej szafki rozległ się przeraźliwy dźwięk budzika, na nowo ogarnął

ją lęk. Badawczo przyjrzała się w lustrze wrakowi człowieka, jakim się stała - ziemistej cerze *R S*

i zmierzwionym włosom - i miała ochotę ukryć się gdzieś głęboko. Przed wszystkim i przed wszystkimi: przed redaktorem naczelnym, który oczekiwał od niej zbyt wiele i przed ojcem, który nie oczekiwał od niej niczego. Czy przed Lynskeyem również chciała uciec?

Przypuśćmy, że nie ucieknie, zasugerowało jej niezbyt skłonne do współpracy odbicie.

Przypuśćmy, że zaufa temu mężczyźnie i zwiąże się z nim. Ale co będzie, jeśli ich związek zakończy się fiaskiem i Fergus ją porzuci? Poza tym, on mieszkał w Dublinie, w Irlandii, a ona w Butte, w stanie Montana. Odległość, która ich dzieliła, nie była zachęcająca.

- Znalazłaś się w cholernie kłopotliwym położeniu, R. Sky MacPherson - przemówiła do lustra. - Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Szeryf z Mayville się golił. Chociaż jego lot do Denver przez Billings był zaplanowany dopiero na wczesne popołudnie, Brian O'Connor zawsze należał do rannych ptaszków, ponieważ nie najlepiej sypiał.

Gdy przyglądał się własnemu odbiciu w upstrzonym przez muchy lustrze w zaniedbanej łazience, usiłował na nowo wzbudzić w sobie dobry humor, który mu dopisywał zaledwie przed dwudziestoma czterema godzinami. Zanim nadeszła zapłata, która nie spełniała jego oczekiwań, i póki nie uszkodził hamulców w dziupie. Był ciekaw, co się stało po jego odjeź-

dzie. Czy samochód wpadł do strumienia? Szeryf uznał, że musi zasięgnąć języka. Nagle przypomniał sobie, że dzisiaj nie zdąży już tego zrobić i rozchmurzył się: już tylko godziny dzieliły go od życiowej przygody.

Nagle rozległ się dzwonek i szeryf wychylił głowę z łazienki. Przez oszkloną górną część frontowych drzwi rozpoznał sylwetkę kolegi. Czego ten mógł chcieć o tak wczesnej porze?

- Chwileczkę, Ed! - zawołał.

Pośpiesznie wytarł niezbyt czystym ręcznikiem pianę z twarzy, włożył spodnie, które leżały na brzegu wanny, i w samym podkoszulku, z szelkami zwisającymi na biodra poszedł

otworzyć drzwi.

- Ale sobie znalazłeś porę... - zaczął, lecz w tym momencie został wepchnięty do środka przez agentów FBI, którzy przeczytali mu jego prawa i zakuli w kajdanki. Szeryf dobrze widział, że odgrażanie się i zaprzeczanie nie ma sensu. Zapytał tylko, czy może włożyć sweter.

Kilka minut później, w samochodzie, zaproponował układ.

Dwie godziny po aresztowaniu szeryfa sprzed okazałego gmachu biblioteki publicznej *R S*

w Helenie inny mężczyzna - przypięty pasami i z włączonym kierunkowskazem, nie uchybiając żadnym przepisom drogowym - włączał się do porannego ruchu, kiedy dwa policyjne radiowozy na sygnale zajęły mu drogę. Trzeci ze spiskowców został aresztowany na podjeździe przed własnym domem na przedmieściach Park Ridge, gdy zmierzał w stronę swego samochodu. Czwarty, czekając na przepisany lek, został wyprowadzony z kolejki przed okienka w nowojorskiej aptece. Piątego zatrzymano w chwili, kiedy otworzył drzwi swego mieszkania w Nashville, w stanie Tennessee, a szóstego, gdy w drodze na lotnisko w Dallas podwoził wnuka do miejscowego liceum.

Trzej pozostali członkowie grupy wymienieni przez szeryfa z Mayville byli chwilowo nieuchwytni, choć agenci federalni zatelefonowali zarówno do domów, jak i do miejsc pracy dwóch z nich. Jeden był policjantem i wytropienie go nie powinno nastęczyć większego problemu, natomiast w domu drugiego, niejakiego Joego Masona, hydraulika mieszkającego w Santa Barbara, nikt nie podnosił słuchawki. Był kawalerem i nie miał nikogo, kto by mógł mu przekazać wiadomość, z wyjątkiem automatycznej sekretarki, która dzisiaj nie zarejestrowała żadnych połączeń.

W należącej do Jerry'ego Flynna rozległej posiadłości na północ od Calgary w stanie Alberta funkcjonariusze Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej również nie zastali nikogo.

Właściciel w tym czasie stał już w długim ogonku przed okienkiem urzędu imigracyjnego na lotnisku w Dublinie, ściskając w rękę paszport wystawiony poza granicami krajów Wspólnoty Europejskiej. Oczywiście nie występował pod swoim prawdziwym nazwiskiem, lecz jako John Mulqueen, mężczyzna o wyglądzie Skandynawa.

Przybył do Dublina z czterogodzinnym opóźnieniem. Po odprawie paszportowej w Nowym Jorku usłyszał, że lot został przesunięty na skutek problemów technicznych i choć poczekalnia była wygodna, a Kanadyjczyk nawet trochę się zdrzemnął, był zmęczony podró-

żą. Nikt go też nie uprzedził, że przed dwudziestominutowym lotem z Shannon do Dublina czeka go kolejna godzina zwłoki.

Zapominając na moment, że powinien się wmieszać w tłum, powrócił do dawnych zwyczajów i zaczął narzekać na opóźnienia oraz na długie stanie w kolejce. Był zirytowany, że pasażerom

pierwszej klasy nie stworzono specjalnych udogodnień w wydzielonym miejscu tego obskurnego lotniska. Miał też po dziurki w nosie wysłuchiwanie głupekowatych Amerykanów, którzy pobrzękiwali monetami w kieszeniach swych spranych dżinsów i narzekali na europejskie sposoby załatwiania spraw.

R S

Lecz nade wszystko złościł go fakt, że w kraju przodków jego pieniądze i status społeczny nie mają żadnego znaczenia.

Uświadomił sobie, że jest drugi w kolejce i prędko przywołał się do porządku. Amerykanin przy okienku przed nim wciąż się awanturował:

- Dlaczego nie skierujecie do pracy więcej ludzi? Na miłość boską, tylko we dwóch chcecie obsłużyć wszystkich pasażerów boeinga 747?

Urządник był cierpliwy.

- To nie nasza wina, proszę pana. Jeden z samolotów miał opóźnienie.

- Tak, ale niech pan spojrzy, co się dzieje! - Amerykanin wskazał dłonią na zawijającą się za jego plecami kolejkę.

- Bardzo mi przykro z powodu niedogodności, na które zostali państwo narażeni. -

Urządник kontroli paszportowej zachowywał niezmacony spokój. - Niestety, mamy poważne braki kadrowe. Życzę panu miłego pobytu w Irlandii.

Flynn czuł suchość w ustach, gdy w końcu nadeszła jego kolej. Dotknął piersi, jak gdyby chciał się upewnić, czy proklamacja, którą zamierzał wygłosić światu, wciąż tkwi nienaruszona w jego wewnętrznej kieszeni. Natychmiast jednak pośpiesznie opuścił rękę i gest pozostał niezauważony.

- Dzień dobry panu. - Urządник otworzył jego paszport. - Jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Przyjechałem na... na urlop. - Flynn zakasłał, aby ukryć zdenerwowanie.

- Właściwą porę roku pan wybrał. W Irlandii panuje teraz nie najgorsza pogoda. - Męż-

czynna przewrócił stronę w swym wykazie podejrzanych i przebiegł ją wzrokiem, a Flynnowi zaczęło mocno walić serce. - Jak długi pobyt pan planuje?

- Zamierzam spędzić tu około trzech tygodni. - Przynajmniej tej odpowiedzi udzielił zdecydowanym i mocnym głosem.

- Wspaniale. - Urządник zamknął wykaz i oddał Flynnowi paszport. - Życzę miłego wypoczynku.

I tak oto Jerry Flynn został wpuszczony do kraju swych przodków.

W centrum miasta wsiadł do autobusu komunikacji miejskiej i dotarł nim do zaniedbanej dzielnicy Dublina, gdzie zameldował się w małym hotelu nieopodal przystanku autobusowego.

Pół godziny potem, ze znacznym opóźnieniem, ponieważ okres urlopowy pogarszał i tak już trudną sytuację kadrową w służbach publicznych, w wykazie osób podejrzanych, który *R S*

był regularnie uaktualniany przez Ministerstwo Sprawiedliwości umieszczono szereg nowych nazwisk i numerów paszportowych. Nazwisko Flynna również figurowało na tej liście wraz z nazwiskami obu mieszkańców Kalifornii: policjanta i hydraulika.

W tym czasie John Mulqueen, w beżowych spodniach z poliestru, w nowej, praktycznej, granatowej wiatrówce i z zawieszonym na szyi aparatem fotograficznym firmy Pentax o średnim zasięgu obiektywu, wmieszał się w tłum na ulicach stolicy. Zmierzał Talbot Street w stronę O'Connell oraz miejsca będącego jego prywatną mekką, o którym słyszał i czytał przez całe swoje życie: gmachu Głównego Urzędu Pocztowego, gdzie rozpoczęło się powstanie wielkanocne.

Jedyną osobą, której nazwiska szeryf z Mayville nie wyjawiał agentom FBI dla ratowania własnej skóry, był Rupert de Burgh. Szeryf wciąż się łudził, że jeśli Irlandczyk nie zostanie zdemaskowany, dzięki zajmowanej przez niego pozycji plan nadal może mieć szanse powodzenia. I, podobnie jak pozostali członkowie grupy, O'Connor stanowczo odmówił ujawnienia jakichkolwiek szczegółów oraz motywów spisku.

Pomimo obaw Sky, która w sposób bolesny wyzbyła się złudzeń co do ojca, poranne rozstanie z nim przebiegło szybko i bez przykrego wydźwięku - zapewne za sprawą niedawnego stresu i zmęczenia. Larry, odwożąc ją do samolotu, znowu był w milczącym nastroju i najwyraźniej nie miał pojęcia o nieodwracalnej zmianie, która zaszła w ich wzajemnych stosunkach.

Sky nie mogła pojąć, co ją skłoniło do omawiania z ojcem swych życiowych problemów. Po tym, jak oznajmiła, że „poznała mężczyznę”, ani Larry, ani ona nie wracali już wię-

cej do tego tematu.

- Przykro mi z powodu hamulców - powiedziała, gdy od pasa startowego dzieliło ich zaledwie półtora kilometra. - To wszystko przeze mnie.

- Nie ma o czym mówić. - Uśmiechnął się do niej swym beztróskim uśmiechem. -

Chociaż wygląda na to, że zawód dziennikarki jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż przypuszczałem. Uważaj na siebie w Irlandii, dobrze? - Wyraźnie widziała, że ojciec, mówiąc to, myślami znajduje się już w swej ukochanej leśnej głuszy.

Gdy podjechali pod barak, samolot stał już na pasie startowym. Larry oddał Sky jej bagaż i mocno ją objął.

- Do zobaczenia, skarbie. Życzę ci wspaniałych wrażeń z podróży. Kocham cię!

- Ja też cię kocham, tato - odpowiedziała automatycznie, odwzajemniając uścisk i po-R S

biegła w stronę czekającego samolotu. Kiedy mała maszyna oderwała się od ziemi i Sky wyjrzała przez okno, stwierdziła, że dziup ojca już zniknął.

Nie miała jednak czasu na ponure myśli, gdyż lot trwał bardzo krótko, a po wylądowaniu wydarzenia rozgrywały się w zawrotnym tempie.

Sky w głębi serca liczyła na to, że Lynskey będzie na nią czekał na lotnisku i była trochę rozczarowana, widząc, że go nie ma. Do diabła z nim, pomyślała, a jednak, wbrew samej sobie, tęskniła za rozmową z Fergussem.

Pomimo wczesnej pory - nie było jeszcze ósmej - nie zastała nikogo w domu. Zajrzała najpierw do sypialni matki, a potem do łazienki. Wszędzie panował porządek, dostrzegła też ślady niedawnej obecności babki. Mogła zaufać zapewnieniom Elizabeth, że potrafi sama o siebie zadbać. Prawdopodobnie starsza pani wybrała się już do szpitala.

Tymczasem babka Sky znajdowała się w towarzystwie Daniela Treacy'ego w Choteau.

Ku zdumieniu Daniela, ochoczo przystała na propozycję wybrania się do jego żony.

- Wszystkiego przynajmniej raz w życiu trzeba spróbować - oświadczyła. Dla zyskania na czasie skorzystali z helikoptera.

- Może popełniamy błąd?

Treacy przyglądał się jej uważnie, gdy po wylądowaniu śmigłowca na obrzeżach pasa zieleni szli po trawie w stronę kliniki. Personel zakładu był uprzedzony o tej wizycie, dzięki czemu uniknęli problemów z pracownikami ochrony, którzy zazwyczaj pilnie strzegli obiektu.

- Ależ skąd, Danielu! Tylko młodzi ludzie popełniają błędy. Osoby w naszym wieku żyją pełnią życia, aby jak najlepiej wykorzystać czas, który im pozostał.

- Potem, jeśli będziesz miała ochotę, możemy zajechać do miasteczka. Jest bardzo ład-ne.

- Chętnie, ale tutaj też jest uroczo.

Rozejrzała się wokół siebie z uznaniem i Treacy, patrząc jej oczami, musiał przyznać, że architekci wybrali doskonałe miejsce pod budowę sanatorium: wyłożony gontami z wyblakłego drewna cedrowego dach budynku zlewał się z zielenią oraz ze złocistą barwą prerii.

Choć okolica nie dorównywała Yellowstone czy Parkowi Lodowcowemu, to o jej uroku decydowała bezmierna przestrzeń - bezkresne, falujące łany łąk, ciągnących się aż do wzgórz na zachodzie. Stan Montana prawdopodobnie dzięki temu właśnie krajobrazowi zyskał przydomek „Wielkiego Nieba”.

R S

Daniel denerwował się przed spotkaniem z żoną. Kiedy próbował zrozumieć, dlaczego zabrał ze sobą Elizabeth, nasuwał mu się tylko jeden wniosek: w obliczu rychłej śmierci odczuwał potrzebę połączenia dwóch końców życia - zamknięcia koła.

Choć starał się to ukryć, od samego rana nie czuł się dzisiaj dobrze i gdy powoli zmiierzali w stronę budynków sanatoryjnych, zachowanie normalnego oddechu wymagało odeń nie lada wysiłku. Być może koniec był nawet bliższy, niż się tego spodziewał.

- Czy wszystko w porządku, Danielu? - Elizabeth się zatrzymała. - Bardzo cierpisz?

- Dawno nie byłem w tak dobrej formie.

Próbował się uśmiechnąć, lecz ból coraz dotkliwiej dawał mu się we znaki i potężniał niczym nadciągająca burza. Treacy spostrzegł, że nie zdoła wywieść Elizabeth w pole.

- Usiądźmy na moment. - Rozejrzała się za jakimś odpowiednim miejscem. - O, tam. -

Wzięła go pod ramię i podprowadziła do niewielkiego, porośniętego trawą, wzniesienia. -

Usiądź, Danielu. Nie musimy się śpieszyć.

Z ulgą pochylił się, aby zająć miejsce na szorstkim, gąbkowatym podłożu, które w tej części Ameryki bywa szumnie nazywane trawnikiem. Do głowy cisnęły mu się uporczywe wspomnienia o delikatnych i miękkich jak aksamit źdźbłach irlandzkiej trawy z dzieciństwa.

- Obiecałem, co prawda, że nie będę sentymentalny, ale od chwili twojego przyjazdu nie mogę przestać myśleć o dawnych czasach na Przylądku Béara.

Pożałował tych słów już w chwili ich wypowiedzienia. Bał się, że może ją wystraszyć.

Elizabeth jednak usiadła obok niego i położyła dłonie na kolanach. Niegdyś była beztroską dziewczyną o niezwykle żywym usposobieniu, teraz Daniel zauważył, że od czasu kiedy ją widział przed wieloma laty, nauczyła się sztuki panowania nad emocjami.

- Możemy rozmawiać o wszystkim, o czym tylko zechcesz, Danielu. Bylebyś tylko pamiętał, że to, co było pomiędzy nami, jest już zamkniętą kartą. Nie dlatego, że się skończy-

ło, lecz że zostało uwięzione w czasie. Podobnie jak te cudowne szafiry, które mi podarowa-

łeś; to, co w nich żyło i decydowało o ich urodzie przed milionami lat, jest w nich zamknięte na zawsze. Nie można ich zmienić ani bardziej upiększyć. Rozumiesz? Mam nadzieję, że cię nie ranię?

- Nie ranisz mnie, Elizabeth. - Spojrzał na jej pełną uroku, spokojną twarz i miał ochotę się rozplakać. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem szczęśliwy.

Został jednak ukarany przez bogów za pychę - ból przeszył go niczym uderzenie pio-runy. I choć

Daniel starał się nie okazać tego, Elizabeth spostrzegła, że bardzo cierpi.

R S

- Masz przy sobie środki przeciwbólowe?

- Obawiam się, że już wziąłem dozwoloną dawkę - wykrztusił. - Prawdopodobnie jest mi potrzebny zastrzyk... - Zgiął się wpół, gdy ponownie złapał go atak, tak potężny i wszech-obecny, że Daniel nie potrafił go zlokalizować.

Zaalarmowana Elizabeth dźwignęła się z miejsca.

- Danielu...

- Za minutę przejdzie.

Atak powtórzył się po raz trzeci, a potem ból minął, pozostawiając Treacy'ego bez sił.

- Zaraz poczuję się lepiej, naprawdę - powiedział, ciężko dysząc, gdy tylko odzyskał mowę. - Niestety, tak to ostatnio wygląda.

- Powinieneś być w szpitalu, Danielu.

- Wykluczone.

Zrozumiała, że jakiegokolwiek argumenty nie mają sensu i zaniechała dalszej dyskusji na ten temat.

Około dwustu metrów dzieliło ich od parkingu przed pierwszym z budynków kompleksu sanatoryjnego i choć widzieli nieśpiesznie poruszających się ludzi, którzy wychodzili i przychodzili, nie dobiegały ich żadne odgłosy. Słyszeli tylko przelotne brzęczenie pszczoły, które równie prędko umilkło, jak się rozległo. Dochodził ich także z oddali dziwnie stłumiony ptasi świergot, potęgujący ciche szemranie rozległych, spokojnych przestrzeni.

Pomimo osłabienia po zmaganiach z niedawnym bólem, Treacy zdobył się na odwagę:

- Nigdy cię nie przeprosiłem za twojego męża, Elizabeth. Nie miała ochoty tego słuchać.

- To stare dzieje, Danielu. Proszę cię, nie rozgrzebuj dawnych ran. Wszyscy byliśmy wtedy młodzi i lekkomyślni, w każdym razie na pewno ty i ja.

- Mam coś dla ciebie.

To jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi.

- Dałaś mi już wystarczająco wiele. Nic więcej nie chcę.

- Ta rzecz nigdy nie należała do mnie i dlatego chciałbym ci ją zwrócić. - Z wewnętrznej kieszeni

marynarki wyjął srebrną kasetkę, w której znajdowała się rodzinna fotografia Elizabeth. - Wszędzie ją ze sobą nosiłem. Teraz nie jest już mi potrzebna.

- Jak ją zdobyłeś? - Elizabeth wpatrywała się w otwarte pudełko.

- Wydałem majątek na odnalezienie negatywu za pośrednictwem mojego znajomego w *R S*

Irlandii, lecz w końcu zrobiłem to, od czego powinienem był zacząć. Zwróciłem się z prośbą do twojej córki.

- Johanna dała ci zdjęcie?

- Nie gniewaj się na nią, Elizabeth. Obawiam się, że byłem bardzo uparty, a ona jest kobietą o gołębim sercu.

Na pytanie Elizabeth, co go teraz skłania do oddania fotografii, stwierdził, że robi to z oczywistych względów.

- Nie zabiorę jej przecież ze sobą do grobu, prawda? Poza tym, noszę cię teraz w sercu taką, jaka naprawdę jesteś. Nie przerywaj mi, proszę - uprzedził jej zamiar.

Ogarnął wzrokiem szorstką trawę, zbyt gęstą na wskutek przesadnych zabiegów pielęgnacyjnych i nawożenia. Nie bał się śmierci, lecz perspektywa rozstania z Elizabeth teraz, kiedy ją odnalazł, przepełniała go bezbrzeżnym smutkiem.

- Nie powstrzymuj mnie przed wyjawieniem na głos uczuć. Przecież to tylko słowa, Elizabeth. Nie mam czasu na nic innego, jak tylko na prawdę.

Uznał, że być może trochę za daleko się posunął i nieśmiało spojrzął w jej stronę. Elizabeth jednak patrzyła w innym kierunku: na lśniące morze dachów samochodowych na parkingu. Pozostawała jeszcze pewna kwestia do omówienia i uznał, że obecny moment jest równie dobry jak każdy inny.

- Czy powiedziałaś szczerze, że możemy rozmawiać na każdy temat?

- Tak - odrzekła, jak gdyby wyczuwając jego zamiary.

- Poczyłem pewne ustalenia.

Spojrzał na jej profil. Był boleśnie świadom oszałamiającego, piżmowego zapachu, który dochodził z dywanu wonnego kwiecica za ich plecami. Postanowił, że w przypadku choćby najmniejszego przejawu obawy lub niezadowolenia z jej strony natychmiast zamilknie.

- Mam w domu zapas narkotyków. - O ile dobrze widział, nie zdradzała na razie żadnych oznak niechęci. - Czy będziesz przy mnie, kiedy nadejdzie moja pora?

- Chyba nie prosisz mnie, żebym... - Elizabeth wciąż wpatrywała się w samochody.

- Nie. Proszę cię tylko o to, żebyś była ze mną. Opuściła wzrok na ręce, które wciąż trzymała spokojnie złożone na kolanach.

- A co z prawnymi konsekwencjami? Spodziewał się tego pytania.

- Dopilnuję, żebyś w żaden sposób nie została w to wplątana.

R S

- Możesz to zrobić? - Spojrzała na niego niemal ze zdziwieniem. - Czy to jest w twojej mocy?

- Wszystko przemyślałem i omówiłem z prawnikiem, który zna się na tego typu sprawach. Nie będzie cię w pobliżu, w momencie gdy ja...

- Proszę cię, nie mów nic więcej. - Mocno zacisnęła powieki. - Zrobię to dla ciebie, Danielu.

- Przypuszczam, że nastąpi to już niebawem. - Podtrzymywała go, gdy poczuł się na ty-le silny, aby iść dalej w stronę sanatorium.

Rozdział 34

Amerykańskie władze energicznie zabrały się do dzieła, zgarniając nie tylko zdemaskowaną przez szeryfa grupę spiskowców, lecz także formalnie zorganizowaną bandę najemników, która była na usługach kobiety z Orientu - byłej mieszkanki Vancouveru.

Aresztowany w restauracji przedstawiciel owej kobiety został zawieziony przez agentów FBI do biura urzędu w Helenie. Kiedy się dowiedział, że jego zleceniodawczyni znikła, nie widział powodu do zachowania dalszej dyskrecji czy też silenia się na rycerskość. Wyjawiał wystarczająco wiele, aby przed świtem można było dokonać niespodziewanych nalotów na nieznanе dotychczas domy w Anchorage, Los Angeles i Orlando. Siostrzane siły FBI w Meksyku zorganizowały podobną obławę w Mexico City.

W Irlandii, ku uldze głównego inspektora policji, przemytnik został zatrzymany na promie przez jednego z pracowników irlandzkich służb specjalnych, zanim zdążył postawić stopę na angielskiej ziemi. Dzięki temu Irlandczycy uniknęli upokorzenia, jakim byłoby uciekanie się do pomocy Brytyjczyków, oraz nonsensownych procedur ekstradycyjnych.

Jednakże ów niewielki sukces ani o krok nie zbliżył ich do odnalezienia narkotyków.

Zatrzymany przestępca z uporem odmawiał wyjawienia miejsca ich ukrycia. I nie chciał ani potwierdzić ani zaprzeczyć, gdy przedstawiano mu nazwiska współników. Właściciel domu *R S*

pogrzebowego, który wystąpił z pretensjami z powodu zatrzymania trumny oraz kapitan statku „Agnes Monica” również udawali głupców.

W czasie gdy irlandzcy policjanci domagali się większych środków finansowych, by móc skutecznie radzić sobie z coraz poważniejszymi problemami, wodolot opadł na taflę płytkich przybrzeżnych

wód o kobaltowym odcieniu, otaczających wyspę Świętego Tomasza, która została tak nazwana przez jej obecną właścicielkę.

Wyspa, położona pomiędzy archipelagiem Abrolhos a brazylijskim lądem, z którym było połączenie lotnicze, a przelot trwał niespełna dwadzieścia minut, nie figurowała na żadnej międzynarodowej mapie i obejmowała zalewie trzy hektary powierzchni porośniętej drzewami i krzewami. Jednakże niewielka plaża, kształtem przypominająca muszlę, szczyciła się piaskiem o konsystencji i barwie kosmetycznego pudru, a artezyjska studnia, wywiercona na polecenie właścicielki, zapewniała stały dopływ wody pitnej. Padające popołudniami, regularnie jak w zegarku, lutowe deszcze zapewniały roczny zapas wody. I z wyjątkiem tego jednego miesiąca klimat wyspy oferował tylko słońce, słońce i słońce.

Kiedy wodolot wylądował, od brzegu odbiła motorówka, której pilot otworzył drzwi na ciepły, nieco słodkawy zapach morskiej bryzy.

W Oczekiwaniu na łódź kobieta z Orientu przyglądała się swemu niewielkiemu domowi. Zbudowany z najbardziej trwałych i najdroższych materiałów osiągalnych w Brasili i oraz w Rio de Janeiro, usytuowany był w pewnym oddaleniu od brzegu, w cieniu palm. Po obu jego stronach stały inne zabudowania. W pierwszym znajdowały się mieszkania dla służby, drugi przeznaczony był na magazyn i mieścił generator mocy, a trzeci i największy służył ja-ko hangar i przechowalnia łodzi.

Po raz pierwszy w życiu kobieta poczuła, że ma prawdziwy dom - miejsce, gdzie może spędzić wygodnie resztę swego życia w samotności i bez udręki spowodowanej kłopotliwymi dokumentami, takimi na przykład jak sądowy nakaz ekstradycji.

Wizyta u żony Daniela była bardzo przygnębiająca. Zastali Midge samą w pokoju i kiedy rozgniewany Treacy zaczął się dopytywać o wynajętą opiekunkę, dowiedział się, że bez uprzedzenia zrezygnowała z posady. Dyrektor sanatorium przypuszczał, że porzuciła pracę; kiedy nie zjawiała się rano, zatelefonował do motelu w Chateau, gdzie mieszkała, i został

powiadomiony, że wyjechała w wielkim pośpiechu, nie udzielając żadnych wyjaśnień.

Jednakże Midge, której wciąż aplikowano silne środki uspokajające, było całkiem obojętne, pod czyją znajduje się opieką. Na wpół przytomna, nie ożywiła się ani na widok męża, ani towarzyszącej mu kobiety. Jęczała tylko nieustannie, wypowiadając litanie pozbawionych *R S*

sensu słów: „sałatka jajeczna, drzewa pośrodku, całkowicie wymazana przeszłość, ciemność pośród ścian...”.

- Przepraszam - wyszeptał Treacy. - Jest mi naprawdę przykro. Sam nie wiem, po co cię tutaj przyprowadziłem.

- Nie warto tego roztrząsać. Twoja żona musiała być prawdziwą pięknoscią.

Treacy spuścił oczy, zatrzymując wzrok na zaczerwienionej twarzy kobiety o przerzedzonych włosach i głębokich zmarszczkach wokół ust.

- Rzeczywiście, kiedyś była piękna.

Kobieta na łóżku westchnęła głośno i zaczęła kręcić głową z boku na bok:

- ...wstyd, stare sprawy, miliony, tryliony, dwadzieścia pięć, trochę chleba i masła...

- Nie denerwuj się, Danielu - Elizabeth dotknęła jego ramienia.

- W dawnych latach cieszyła się powszechną sympatią. - Treacy spojrział na swą irlandzką ukochaną; jego twarz, na której wycisnęła piętno choroba, miała tragiczny wyraz. -

Biedna Midge. Była kiedyś taka wrażliwa i delikatna.

W milczeniu skierowali się do drzwi wyjściowych, a kiedy ponownie znaleźli się w blasku słońca, dostrzegli samochód policyjny. Wsiadł z niego młody oficer. Był zaróżowiony ze zdenerwowania.

- Pan Treacy?

- Tak.

- Muszę pana poprosić, żeby pan z nami pojechał. Mamy do pana kilka pytań.

- Czy jestem aresztowany? - Przeniósł wzrok z młodego funkcjonariusza na jego kolegę i z powrotem.

- Nie, chcemy tylko pana przesłuchać.

Treacy wyraźnie się załamał, zaraz jednak, odzyskując nieco panowanie nad sobą, zapytał:

- Jeśli dam wam słowo, że przed upływem godziny stawię się na posterunku w Butte, czy pozwolicie mi odwieźć moją przyjaciółkę z powrotem do miasta? Jest moim gościem i...

wybacz mi, Elizabeth - uśmiechnął się do niej przelotnie - osobą w dość podeszłym wieku.

- Sam nie wiem... - Młody mężczyzna spojrział nerwowo w stronę drugiego policjanta, który stał obok pojazdu.

- Zatelefonujcie - zaproponował biznesmen - i spytajcie waszego szefa. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Weźcie mój portfel jako zabezpieczenie. W środku znaj-R S

dziecie nie tylko gotówkę, lecz także karty kredytowe. - Uśmiechnął się blado. - Bez nich daleko nie ucieknę.

Obaj funkcjonariusze wyraźnie się wzdrygnęli na sugestię o zarekwirowaniu portfela.

- Zrób, jak mówi - polecił starszy. - Zadzwoń.

Słowo Treacy'ego okazało się wystarczającą gwarancją i obeszło się bez konieczności stosowania dodatkowych zabezpieczeń. Wraz z Elizabeth ruszyli powoli w stronę helikoptera.

Sky usiłowała nakłonić Teddy'ego Morzsansky'ego, aby przeszukał dokumenty bez wiedzy swego szefa. Nie chciała wyjaśnić, dlaczego jej na tym zależy.

- Zaufaj mi, Teddy. Pamiętasz, jak przyrzekaliśmy sobie dochować tajemnicy w ostatniej klasie?

- Stosujesz ciosy poniżej pasa, Sky.

- Nie przesadzaj, Teddy. Zrób to dla mnie, ten jeden raz. Obiecał spełnić prośbę, choć bez wielkiego entuzjazmu, lecz kiedy wkrótce się odezwał, był ogromnie podekscytowany. W

archiwach domu pogrzebowego braci Collinsów nie zachowały się żadne papiery dotyczące Midge Treacy.

- Nie mogę tego pojąć! Nigdy przedtem podobna sprawa nie miała miejsca, a Melinda jest niezwykle skrupulatna w prowadzeniu dokumentacji. Nie zdołałem nawet znaleźć kopii rachunku za trumnę. To niesłychane, Sky. O co chodzi?

- Później ci wszystko wyjaśnię. - Wcale nie była zdziwiona, że Teddy niczego nie znalazł. Sprawa zaostrzyła jednak ciekawość kolegi i Sky musiała improwizować: - Pomyślałam, aby przed wyjazdem do Irlandii zebrać trochę materiałów do książki, którą zamierzam napisać. Jest to historia Irlandczyków w Butte. Niestety, muszę już pędzić, Teddy. Pamiętaj, żebyś nie wspominał o mojej prośbie panu Collinsowi, dobrze? Ani nawet Melindzie. Wyglądałoby to bardzo niestosownie. Pani Treacy zmarła tak niedawno... Jeśli jednak na coś się natkniesz albo przypomnisz sobie o czymś, co widziałeś lub przeoczyłeś, daj mi natychmiast znać, zgoda? Jimbo Larsen będzie znał mój numer telefonu, pod którym zatrzymam się w Dublinie.

- Pamiętaj, że masz wobec mnie wielkie zobowiązanie, Sky MacPherson. Życzę ci miłej podróży.

Babka wróciła do domu, w chwili kiedy Sky odłożyła słuchawkę. Elizabeth sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej.

- Wracasz ze szpitala, babciu?

- Nie, jeszcze tam dzisiaj nie byłam. Miałam nadzieję, że mnie zawieziesz.

R S

Sky posunęła się dalej w swych spostrzeżeniach: babka była nie tylko przygnębiona, lecz wprost bezgranicznie smutna.

- Oczywiście. Dobrze się czujesz? Gdzie byłaś?

Zabrała się do prasowania, słuchając relacji z wizyty Elizabeth w sanatorium w Choteau. Złożone ubrania wkładała bezpośrednio do walizki, która stała obok na podłodze. Nagle pewna sprawa zwróciła jej uwagę.

- Czy dobrze cię zrozumiałam, babciu? Mama dała mu zdjęcie?

- Tak, oto i ono.

Starsza pani wyjęła z torebki srebrną kasetkę, która przypominała z wyglądu staromodną papierośnicę, otworzyła ją i podała poprzez stół wnuczce.

Sky pamiętała zdjęcie, lecz nie dlatego wydeła usta. Przypomniała sobie, jak to Johanna wybrała się niespodziewanie w odwiedzinach do Fredy do rezerwatu - wtedy po raz pierwszy w rozmowie padła wzmianka na temat Daniela Treacy'ego. A także zmieszanie matki po powrocie - teraz wszystko stało się jasne jak słońce.

Sky nie miała jednak serca robić matce wyrzutów, gdy wraz z babką zjawiły się u niej w szpitalu. Johanna, choć wciąż unieruchomiona, była przytomna i w bardziej pogodnym nastroju niż można by się tego spodziewać.

Jedynym trafnym określeniem miejsca, w które nagle został zamieniony szpitalny po-kój, było słowo „świątynia”: świece o bladych płomieniach w blasku dziennego światła biją-

cego od okna wyrastały niczym stalagmity na parapetach okiennych i nocnej szafce, ulubione zdjęcia stały w widocznym miejscu na telewizorze, w dusznym powietrzu unosił się zapach amarylisów, a na łóżku, zamiast szpitalnej pościeli, leżał udrapowany indyjski szal Hermany z frędzlami, który porażał oczy pełną gamą barw pawiego ogona.

- Czyż to nie cudowne, Sky? Mam wrażenie, że jestem kimś wyjątkowym. - A w centrum tego wszystkiego tkwiła promieniejąca niczym latarnia morska Johanna, która nawet nie mogła poruszyć głową. - I nie odczuwam żadnego bólu! - Skierowała oczy na siedzącą przy łóżku Buffy i posłała jej serdeczny uśmiech. - Moja kochana przyjaciółka wybrała się aż do rezerwatu, do Fredy, aby przywieźć dla mnie napar z ziół, który dokonał cudów. Twoja dobroć, Buffy, jest niesłychana. Czy wiesz, jak bardzo cię cenię?

- Cicho, już cicho. - Radość przyjaciółki można było poznać po jej zakłopotaniu. - Ty byś dla mnie to samo zrobiła.

- Czy przed wypiciem tych ziółek porozumiałaś się z lekarzem, mamó?

R S

Sky od dawna podejrzewała, że mikstury Fredy są nie tyle lekami, ile środkami halu-cynogennymi i obecny błysk w oczach matki jeszcze bardziej utwierdzał ją w tym przekonaniu.

- Ależ oczywiście, że go zapytałyśmy, prawda Buffy?

- Tutejsi lekarze są bardzo wyrozumiali - zapewniła Sky „Siostra Błogości”. - Specjalista opiekujący się twoją mamą był założycielem szpitala w rezerwacie i zna większość ziół

wchodzących w skład tej mieszanki. Twierdzi, że nie ma problemu, dopóki informujemy o jego

zażywaniu pielęgniarce, aby mogły dostać stosowne konwencjonalne leki.

Dalsze dociekania miały się z celem: Johanna była przytomna i najwyraźniej szczęśliwa - więc Sky nie miała powodu, żeby robić wymówki. Skoro napar z ziółek od Fredy wywo-

ływał błogi uśmiech na twarzy matki i przynosił ulgę w cierpieniu, dlaczego Sky miałyby go jej zabraniać?

- Nie chciałabym zmieniać tematu, mamó, ale babcia odzyskała właśnie pewną fotografię...

- Jaką fotografię?

Zdziwienie Johanny było tak szczere, że Sky straciła nagle ochotę do drażenia tematu.

Być może dlatego, że nieco wydołała w ciągu kilku ostatnich dni, dawne napięcie w jej stosunkach z matką najwyraźniej znikło. Miała wrażenie, że jest to nie tylko skutek rozłąki spowodowanej pobytem Johanny w szpitalu. Teraz nie było jednak czasu, aby się nad tym wszystkim zastanawiać.

- Nieważne. Babcia ci potem wszystko opowie. Przykro mi, ale nie mogę zbyt długo zostać. - Położyła na narzucie bukiet herbacianych róż; w porównaniu z kosztownymi dowodami troski „Sióstr Błogości”, przejaw jej uczucia wydawał się niezwykle skromny. - Włożę kwiaty do wody, nim wyjdę. Czy nic nie potrzebujesz, mamó?

- Nie, kochanie. Ten wypadek był dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Teraz wiem, jak bardzo jestem kochana. Wyobraź sobie, Buffy - ponownie skierowała rozpromieniony wzrok na przyjaciółkę - że moja matka przyjechała do mnie aż z tak daleka. A tuż przed waszym przyjściem kochanie, mówiłyśmy - ponownie zwróciła się do Sky - że nikt na świecie nie ma lepszej córki, prawda Buffy? - I wyobraź sobie, Sky, że Francey telefonował do szpitala. Poleciał, aby wszystkie rachunki zostały przesłane do niego. Buffy i Hermana są zdania, że powinnam się zgodzić, aby je zapłacił, ponieważ stać go na to. I chyba tak zrobię.

Dasz wiarę? Wszystko tak doskonale się układa. Jestem niezmiernie szczęśliwa.

R S

- Och, mamó! - Sky miała ochotę się rozplakać pod wpływem wyrzutów sumienia. -

Czyż trzeba było aż takiego wypadku, abyś poczuła się kochana?

Trafiła w sedno. To wypadek wpłynął na zmianę stosunków pomiędzy nimi.

Przyszła Hermana, żeby zastąpić Buffy. Chwilę później Sky pocałowała matkę i opu-

ściła szpital z dźwięczącym w uszach błogosławieństwem: *bon voyage* wszystkich trzech

„sióstr”.

- Zobaczymy się później, babciu. Czy weźmiesz taksówkę?

- Tak, oczywiście. - W głosie babki zabrzmiała znowu nuta niewypowiedzianego smutku.

Dopiero w chwili kiedy Sky zmierzała w stronę nissana, uzmysłowiła sobie, że nie wspomniała ani słowem o wizycie u ojca i że żadna z kobiet nie spytała o niego.

W drodze do domu wstąpiła do redakcji „Couriera”, aby odebrać paszport i nową kartę akredytacyjną, którą załatwił dla niej Jimbo.

- Masz szczęście, Sky, że cię tu wczoraj nie było - jednym tchem wyrzuciła z siebie stażystka. Jej szeroko otwarte oczy przywodziły na myśl spodki. - To wprost niewiarygodne!

Nie uwierzysz, ile telefonicznych rozmów musiałam przeprowadzić. A ta historia z Danielem Treacym! Jest wręcz niesamowita, nie sądzisz?

- Co z nim? - Sky, która niemal biegła już do gabinetu redaktora naczelnego, stanęła jak wryta.

- Jak to, nic nie wiesz? Został aresztowany. Och, miałam ci także przekazać wiadomość od pana Lynskya. Zapisałam jego numer. Jest w Helenie.

Treacy aresztowany? Zanim Sky zdążyła się nad tym zastanowić, wybrała numer do Irlandczyka.

Fergus chciał się tylko upewnić, czy oboje lecą wieczorem tym samym samolotem do Minneapolis. Tak wiele wydarzyło się od momentu, kiedy Sky osobiście z nim rozmawiała, że teraz słysząc jego głos, poczuła się dziwnie onieśmielona.

- Sądzę, że słyszałeś o Treacym? - Celowo wspomniała o tym wydarzeniu mimochodem.

- To tylko formalność. - Jak zwykle był w pogodnym nastroju. - Nie zostanie o nic oskarżony. Choć starał się zachować absolutną tajemnicę, wszyscy wiedzą, że jego dni są policzone. Poza tym, odegrał w tej historii raczej rolę ofiary niż przestępca. Prawdopodobnie jest już w drodze do domu.

R S

- To dobrze. Hej, Lynskey! Słyszałam, że ubiegasz się o tytuł Supermana.

- Doskonale. A ty oczywiście będziesz moją Lois?

- A teraz poważnie, gratuluję. Myliłam się co do ubiegłego wieczora, a ty miałeś rację.

Przepraszam.

Odezwał się po chwili milczenia:

- Daj spokój, MacPee, nie psuj nastroju. Nie znoszę honorowych przegranych.

Wyczuła niepewność w jego żartobliwym tonie.

- O co chodzi? - Spojrzała na Lindy i zniżyła głos: - Sam możesz przeproszać, a nie chcesz przyjąć cudzych przeprosin? Powiedziałam prawdę: jest mi bardzo przykro.

- Przeprosiny przyjęte. - Znowu zapadło niezręczne milczenie. - Porozmawiamy w sa-molocie.

- Zatem do zobaczenia! - Uśmiechając się, odłożyła słuchawkę i odebrała dokumenty od Jimbo. A potem niezwłocznie wyruszyła w drogę.

Po opuszczeniu posterunku policji Daniel Treacy pojechał prosto do domu. Czuł się bardzo źle; leki przestały działać. Konfrontacja z policją, do której doszło w obecności Elizabeth, była dla niego niezwykle poniżającym przeżyciem. Obudziła w nim także na nowo wszystkie dawne lęki i wspomnienia, choć myślał, że już się od nich uwolnił. Na szczęście Elizabeth obiecała, że przyjdzie do niego na kolację. Był skrajnie wyczerpany i przygnębiony.

Postanowił, że przed wejściem pod prysznic utnie sobie długą drzemkę. Zamierzał zamówić kolację do domu - wiedział, że Elizabeth nie weźmie mu tego za złe. Ostatnio jedzenie i tak stało się dla niego pojęciem czysto akademickim; zażywał tak silne leki, że sprawiało mu trudność rozróżnienie nawet najbardziej wyszukanych potraw. Wszystko miało identyczny, metaliczny posmak.

Każdy krok po schodach wymagał wysiłku dorównującego zdobywaniu góry. Daniel pocieszał się myślą, że wcześniej umrze, nim poniży się do zainstalowania windy umożliwiającej dotarcie do sypialni.

Ciężko dysząc, przycupnął na brzegu swojego śnieżnobiałego łóżka. Czuł, jak owe wszystkie małe, zdradzieckie komórki nowotworu rozprzestrzeniają się po organizmie, mnożą i zżerają każdą część jego ciała. Niemal wyobrażał sobie, jak przeżuwają go hałaśliwie na miazgę i wymiotują nim, zastanawiając się, który z organów wewnętrznych napocząć w na-stępnej kolejności. Śmierć jawiła mu się jako wybawienie. Nie kłamał, twierdząc, że nie boi się końca.

R S

Oklamał jednakże Elizabeth w innej sprawie, podczas owej błogosławionej chwili, kiedy siedziała w jego ogrodowym pokoju w otoczeniu kwiatów. Powiedział jej wtedy, że teraz, kiedy ją znowu odnalazł, może umrzeć. Był to największy frazes stulecia, przygotowany na wypadek, gdyby się okazało, że ona nie podziela jego uczuć.

I tak też się stało. W sprawach sercowych nie stać go było na „cywilizowaną postawę”, na „dojrzałość” ani „dorosłość”. Świadomość, że ona nie odwzajemnia jego miłości, przyprawiła Daniela o męczarnie dorównujące cierpieniu wywołanemu chorobą. Wcale nie był

szczęśliwy, że musi umrzeć i zostawić ją samą. Teraz, kiedy odzyskał Elizabeth, nie miał

ochoty odstępować jej ani na krok. Pragnął, żeby zawsze była przy nim. W głębi duszy nie przejmował się tym, że być może ona ukochana go nie chce. Gdyby miał czas, prawdopodobnie zdołałby jej uświadomić, że pomimo wszystko go kocha.

Krzyknął pod wpływem ostrego, szarpającego wnętrzości bólu. Uczono go, jak ciężar-ną w szkole rodzenia, wykonywania podczas ataku szybkich i płytkich oddechów. Zwinął się na łóżku, starając się je liczyć: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem... - z do-

świadczenia wiedział, że zwykle przy siedemnastym ból mija - piętnaście, szesnaście, siedemnaście...

Czekał, lecz ból zamiast zelżeć, jeszcze bardziej się nasilał. Daniel chwycił butelkę z lekarstwami z szafki nocnej, wziął dwie tabletki na język i połknął je wraz ze śliną. Ból stawał się nie do zniesienia. Treacy zmusił się, aby od nowa kontrolować oddechy: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście. Przy dwunastym par-kosyżm bólu opasał mu pierś niczym rozpalona do białości stalowa obręcz, wysyłając falujące sygnały do ramion, karku... do żuchwy... i głowy.

To już nadeszło. Nie, jeszcze nie teraz, za wcześnie... Elizabeth miała przyjść na kolację. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Ponownie próbował chwycić butelkę z pastylkami, lecz nie zdołał jej dosięgnąć.

Kiedy napiął mięśnie, miał wrażenie, że jego ciało pękło na pół. Zwinął się w kłębek, starając się zapanować nad cierpieniem, lecz było już za późno. Ból wyszedł z tej walki zwycięsko.

- Raz, dwa, raz, dwa!... - krzyknął na głos. - Raz, dwa!...

A potem coś, prawdopodobnie fajerwerki, wybuchły wokół jego twarzy i eksplodowały z tyłu głowy.

Daniel Treacy zmarł kwadrans po pierwszej po południu. Jego ciało zostało znalezione *R S*

w pozycji embrionalnej na przesiąkniętym krwią łóżku tuż po ósmej wieczorem. Miał oczy zastygłe w wyrazie wściekłego bólu, usta szeroko otwarte i wykrzywione, a obie pięści zaci-

śnięte. Z każdej dłoni, niczym dorodna, biała i poplamiona na czerwono róża, wysuwała się garść jedwabnego prześcieradła, którym było nakryte łóżko.

Tego wieczora sanitariusze, którzy odcięli jedwab i zabrali nieboszczyka z łóżka, powiedzieli w domu żonom, że prawdopodobnie była to najstraszliwsza ze śmierci.

I z pewnością najbardziej samotna.

Kiedy Elizabeth wróciła ze szpitala, aby pożegnać się z wnuczką, Sky w ostatniej minucie, działając pod wpływem impulsu, a także chcąc sprawić przyjemność babce, włożyła naszyjnik z szafirów. Nie przejmowała się, że klejnot nie pasuje do dzinsów ani do białej je-dwabnej koszuli.

- Będę go nosić przez cały czas w Irlandii. To mój najlepszy talizman.

- Nie pokazuj się w nim Danielowi - ostrzegła ją babka. - Mógłby się poczuć urażony.

Sky usłyszała klakson taksówki i zarzuciła Elizabeth ręce na szyję.

- Do widzenia, babciu. Życz mi szczęścia.

- Wiesz, że ci życzę. - Elizabeth mocno ją objęła. - Uroczą z ciebie dziewczyną i jestem dumna z takiej wnuczki.

- Czy aby na pewno dasz sobie sama tutaj radę? - Sky cofnęła się o krok.

- Przyjaciółki twojej matki pewnie ani na chwilę mnie nie opuszczą. - Babka się uśmiechnęła. - I jak już wspominałam, zamierzam poświęcić dużo czasu Danielowi. Wybieram się dzisiaj wieczorem do niego na kolację. I zdradzę ci sekret, Sky, być może zostaną nawet u niego na noc. Ten jeden raz. Co w tym złego? Powiedziałam mu, że nie ma o tym mowy, wiem jednak, że byłby szczęśliwy. Tylko nie mów swojej matce. Mogłaby nie pochwalać tego pomysłu.

- Mama miałyby czegoś nie pochwalać? - Na ulicy ponownie rozległ się klakson. - Mu-szę pędzić, babciu. Życzę udanej kolacji! I nie rób niczego, co nie przystoi prawdziwej kato-liczce!

Babka się roześmiała.

- Zmykaj, bo spóźnisz się na samolot!

Rozdział 35

R S

Dopiero gdy Sky od pół godziny znajdowała się w powietrzu po odlocie z Minneapolis, w pełni uświadomiła sobie, że odbywa podróż do Irlandii. Spojrzała na zegarek: była piąta po południu.

Jimbo dotrzymał słowa i wykorzystał swe kontakty: nie tylko dostała od ręki paszport i kartę akredytacyjną, lecz także bilet lotniczy w klasie biznes. I gdy popijając drinka, rozpięła się wygodnie w pluszowym fotelu na górnym pokładzie boeinga 747, myśl o tym, że Lynskey siedzi gdzieś skulony na dole, z kolanami pod brodą, wśród pasażerów klasy ekono-micznej, budziła w niej poczucie winy, a jednocześnie stanowiła źródło satysfakcji.

Była zadowolona, że sąsiedni fotel pozostał pusty. Nie zniosłaby wymuszonej rozmowy z kimś obcym podczas wielogodzinnej podróży. Zapomniała wziąć jakąś książkę i choć proponowano jej gazety, postanowiła, że przynajmniej raz pozwoli sobie na odpoczynek i niczym nie będzie się zajmować. Wyjrzała przez szybę, starając się rozpoznać kształty gęstych chmur w dole: w niektórych dopatrywała się zamku, inne przywodziły jej na myśl wieloryba, diabelski młyn czy skulonego królika.

Na wysokości dwunastu tysięcy metrów ponad ziemią odczuwała większe zdenerwowanie niż w chwili, kiedy próbowała zapamiętać informacje, którymi zasypał ją Jimbo. W

końcu otrzymała szansę, o której od dawna marzyła, ale na myśl o czekającej misji ogarniało Sky przerażenie. Jednak teraz nie było już odwrotu - nie po ośmiu latach uskarżania się na frustrującą,

nudną pracę. Modliła się w duchu, aby nie zaprzepaścić sensacyjnej historii i nie zmarnować pieniędzy „Couriera”.

Odstawiła kieliszek z alkoholem na małą tacę w oparciu fotela i aby podtrzymać się na duchu, wyjęła z portfela notes. Znajdowały się w nim numery telefonów wszystkich osób, z którymi szef radził jej się skontaktować, a także najważniejsze informacje, które powinna sobie przyswoić.

Wciąż nie miała pojęcia, czego szukać po przybyciu do Irlandii. Jakiś Eamonn Vaughan, który podczas rozmowy telefonicznej sprawiał wrażenie sympatycznego człowieka, nie robił jej wielkich nadziei. Chociaż interesował się przemysłem narkotyków, a nawet teraz zajmował się tym problemem, nie posiadał jednak żadnych informacji, jakoby Irlandia miała stać się centrum ich przetrwania, w którą to operację byliby również zamieszani mieszkańcy Montany. Sky zorientowała się też, że dziennikarz nie słyszał o drugiej fali aresztowań dokonanych przez FBI i przemilczała tę wiadomość.

Jimbo, na którym irlandzki reporter najwyraźniej zrobił pozytywne wrażenie, radził

R S

Sky, aby obdarzyła Eamonna całkowitym zaufaniem. „Możesz zaproponować mu wymianę znanych ci faktów w zamian za kontakty z odpowiednimi ludźmi. Jest bystrym dziennikarzem, ma najlepszych informatorów i mogę się założyć, że pozwoli ci skorzystać ze swych źródeł. Jako cudzoziemka nie stanowisz dla niego konkurencji”.

Vaughan był zaintrygowany i zgodził się z nią spotkać. Pierwszy krok został więc zrobiony.

Zarówno Sky, jak i Jimbo wiedzieli, że Lynskey trzyma w ręce klucz do zagadki i zamierzała uczepić się Irlandczyka jak rzep psiego ogona. „Użyj swych kobiecych wdzięków” -

szef Sky był niemal poważny. „W końcu on też cię wykorzystał”. Larsen, znakomity profesjonalista odnoszący duże sukcesy zawodowe, nigdy nie miał wycucia w sprawach sercowych innych ludzi.

- Nie powiedziałaś mi, jak się udała wizyta u ojca. - Sky, senna po alkoholu, otworzyła oczy i stwierdziła, że Lynskey sadowi się w fotelu obok.

- Skąd się tu wzięłaś? - Nie była pewna, czy jego widok ucieszył ją czy zmartwił.

- Urocza Sherrilyn, stewardesa z trzeciej klasy, pozwoliła mi wejść na górę i cię odwiedzić. - Znowu przyjął typową dla siebie nonszalancką pozę. - Powiedziałem jej, że jesteś moją narzeczoną...

- Co takiego?

- Podąłem się za muzyka w tarapatach finansowych. Uskarżałem się na twoją wstrętą firmę, która nie była skłonna zafundować mi biletu, abym mógł ci towarzyszyć w podróży służbowej. Wyznałem, że jesteśmy od niedawna zaręczeni i nie zniósłbym nawet chwilowej rozłąki. - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - Jak się czujesz w klubie zamożnych dupków?

- Lynskey! - Sky odruchowo rozejrzała się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy nikt go nie słyszał, ale

wszyscy pasażerowie albo mieli słuchawki na uszach, albo drzemali. - Nie wolno ci tu zostać - ofuknęła go,

- Przyznaję, ale dobrze wiesz, że nie uznaję żadnych przeszkód. Do twarzy ci w tym naszyjniku. - Spoważniał nagle, dotykając klejnotu. - Ma kolor twoich oczu.

- Dziękuję. - Przesunęła palcem po gładkich jak jedwab szafirach.

Lynskey rozłożył podnózek, wyciągnął swe długie nogi i westchnął z zadowoleniem:

- W ten sposób rzeczywiście można podróżować.

- Będzie pan musiał wrócić na swoje miejsce. Niebawem rozpoczniemy serwowanie kolacji. - Steward, który wyraźnie nie pochwalał wizyt pasażerów z niższej klasy, stał w *R S*

przejściu pomiędzy fotelami.

- Za chwilę - próbował go zbyć Fergus.

- Niezwłocznie, proszę pana - nalegał steward.

- Posłuchaj, przyjacielu - odezwał się Irlandczyk niskim i dobitnym tonem. - Za minutę wrócę na moje miejsce.

Wyraz oczu Lynskeya najwyraźniej ochłodził nieco gniew mężczyzny. Pomimo to, nie zważając na intruza, pochylił się i przed samym jego nosem rozłożył serwetę na tacy Sky.

- Bardzo panią przepraszam, ale już podajemy posiłek.

- Niedługo wrócę - szepnął Fergus. - Chyba że ty zechcesz przez jakiś czas posiedzieć ze mną wśród ubogich? - Zanim zdołał cokolwiek dodać, steward wrócił z przystawką, poło-

żył obok nakrycia widelec i stał z łyżeczką w powietrzu ponad tacą. Lynskey podniósł się z miejsca. - Do zobaczenia później.

Gdy Sky patrzyła, jak idzie wielkimi krokami w stronę schodów prowadzących na dolny pokład, na nowo zabrzmiały jej w uszach irytujące instrukcje szefa: „Użyj swoich kobiecych wdzięków...”. Wiedziała, że redaktor naczelny oczekuje od niej rzeczy niemożliwych.

Siódmy z konspiratorów biorących udział w spisku Bodentown, zatrudniony w departamencie policji w Los Angeles, został zatrzymany na dworcu głównym. W tym czasie ósmy spiskowiec, Joe Mason, szykował się do opuszczenia pokładu samolotu na lotnisku w Amsterdamie. Podobnie jak Jerry Flynn Mason podróżował pod przybranym nazwiskiem, posługiwał się fałszywym paszportem i choć w rzeczywistości cieszył się doskonałym wzrokiem, na zdjęciu nosił okulary.

Kiedy kapitan linii KLM włączył po wylądowaniu hamulce, Mason przetarł oczy, jak gdyby właśnie się obudził, i włożył szkła. Plastikowe oprawki były bliżej nieokreślonego koloru, a soczewki trochę

porysowane - najwidoczniej od długiego używania.

Z dziesięciu osób zamieszanych w spisek pozostały w akcji tylko trzy: Mason, Flynn -

bezpiecznie ukryty w swym obskurnym hotelu, oraz Rupert de Burgh. Lecz tylko ten ostatni wiedział, o jaką stawkę naprawdę w tej grze chodzi.

Premier Irlandii, szczuplejszy niż mogłaby to sugerować jego skłonność do wykwint-nych dań i szlachetnego wina, wziął serwetkę i zaczął wycierać zaschniętą kroplę wody, która szpeciła błyszczący blat biurka. Ten mężczyzna o wysublimowanych gustach nie zaprzesta-wał swojej czynności, dopóki po plamie nie pozostał ślad. A kiedy się uporał z zadaniem, starannie złożył papierową serwetkę, nim ją wyrzucił do kosza.

R S

Wszystkie osoby w jego gabinecie: dwaj urzędnicy państwowi, dwaj doradcy oraz sekretarz i minister sprawiedliwości czekali, aż przemówi. Pozostały mu już tylko dwie godziny na zajęcie stanowiska w sprawie przyjazdu brytyjskiego następcy tronu. Propozycja omal nie upadła poprzedniego wieczora na wniosek Ministerstwa Sprawiedliwości, premier poprosił

jednak, aby się wstrzymać z decyzją aż do dziś, do pory lunchu.

W Brukseli, podczas obiadu wydawanego dla przywódców krajów Wspólnoty Europejskiej, irlandzkiego ministra spraw zagranicznych zagadnął nieoficjalnie jego brytyjski odpowiednik, który chciał wysondować, jakie są szanse na spełnienie życzenia księcia Walii, który pragnął przybyć do Dublina na konferencję zorganizowaną przez Amnesty International.

Sprawa była na tyle delikatna, że irlandzki minister nie wspomniał o tym w rozmowie nawet ze swymi najbardziej zaufanymi doradcami, a po powrocie do kraju udał się prosto do premiera. O ewentualnej wizycie następcy tronu nadal wiedziała zaledwie garstka ludzi: obaj politycy, naczelny komisarz policji i co najwyżej dwie lub trzy inne osoby. Jeszcze godzinę temu nawet obecni w gabinecie urzędnicy państwowi nie mieli o niczym pojęcia. Teraz jednak, kiedy na przygotowania pozostały zaledwie dwadzieścia cztery godziny, decyzja musiała zapaść.

Żaden z członków brytyjskiej rodziny królewskiej nie złożył wizyty w Irlandii od czasów utraty przez republikę niepodległości w 1922 roku, choć niektórzy z nich bywali tu prywatnie - na wystawach koni czy w odwiedzinach u dalekich krewnych. Pojawienie się następcy tronu byłoby niezwykle doniosłym wydarzeniem w życiu kraju. I choć wizyta miała mieć prywatny charakter, to na skutek wielkiego rozgłosu, jaki środki masowego przekazu nadały konferencji - szczególnie w związku z zaplanowanym wystąpieniem Nabooma Kebelego -

nadzieje na to, że wizyta księcia pozostanie niezauważona, były płonne.

Gra toczyła się o wysoką stawkę: pomimo działalności IRA, a także kampanii lojalistów i nieustannych zamieszek w północnej części kraju, dzięki polityce prowadzonej przez Margaret Thatcher, a potem kontynuowanej przez Johna Majora, stosunki polityczne pomię-

dzy Irlandią a Wielką Brytanią ulegały systematycznej poprawie. Obecny moment był bardzo delikatny: niektórym przywódcom nacjonalistycznej wspólnoty Irlandii Północnej zaczęło już świtać w głowach, że być może przemoc, która przez ćwierć wieku rodziła tylko jeszcze większą agresję, nie jest właściwą drogą do celu, lecz trzeba sięgnąć po demokratyczne środki. I premier musiał się zastanowić, czy książęca wizyta, nawet jeśli będzie mieć charakter prywatny, nie rozdrażni nacjonalistów z północy, a niewielki prześwit w murze rozpaczy, któ-

R S

ry od dawna określano mianem „kłopotów”, z powrotem nie zniknie.

Premier, który jak większość polityków zabiegał o przychylność obywateli, był raczej przychylnie nastawiony do pomysłu. Kolejne badania opinii publicznej wykazywały, że brytyjska rodzina królewska nadal pozostaje w centrum zainteresowania wielu obywateli republiki i nie było wątpliwości, że owa wizyta znajdzie się na szpaltach licznych gazet. Jednakże każda niefortunna przygoda księcia podczas pobytu w Irlandii mogła mieć niewyobrażalne skutki: gdyby coś się stało, partia, do której należał premier, prawdopodobnie na długo musiałaby się pożegnać z władzą w kraju, nie mówiąc już o utracie prestiżu międzynarodowego.

Premier odchrząknął i rozejrzał się po gabinecie. Informowano go na bieżąco o postę-

pach śledztwa w sprawie spisku wykrytego w Stanach Zjednoczonych. Aresztowani, jak dotychczas, niczego nie ujawnili i premier był skłonny przyznać rację swym doradcom, że spisek, czegokolwiek dotyczył, nie miał nic wspólnego z księciem.

Sprawa była zagadkowa. Premier nie widział powodu, dlaczego ludziom o ultraprawicowych zapatrywaniach miałyby zależeć na wyrządzeniu szkody rodzimej władzy? Jednocze-

śnie wiedział z doświadczenia, że nie należy lekceważyć zapędów stukniętych irlandzko-amerykańskich wywrotowców.

- Co pan o tym sądzi? - Oczy premiera napotkały wzrok ministra sprawiedliwości. -

Osobiście jestem gotów zaakceptować ów pomysł. Nie zrobię tego jednak bez zasięgnięcia pańskiej opinii. Podobno większość tak zwanych spiskowców została zatrzymana?

- Siedmiu, według ostatnich doniesień. - Minister sprawiedliwości zniżył głos, jak gdyby w obawie że ktoś go może podsłuchać. - Nie zdołaliśmy odnaleźć dwóch pozostałych. Pię-

ciu z nich to policjanci, w tym niektórzy w czynnej służbie, da pan wiarę?

- Wcale mnie to nie dziwi. - Premier strzepnął pyłek ze swojego garnituru firmy Boss. -

Skoro jednak aż siedmiu zostało wyłączonych ze sprawy, ośmielę się twierdzić, że "spisek zakończył się fiaskiem. A jakie jest pańskie zdanie, panie ministrze? Czy możemy zapewnić księciu bezpieczeństwo?

- No cóż. - Po chwili wahania minister się rozchmurzył. - Zamierza przebywać w Irlandii zaledwie przez kilka godzin. I z Baldonnell możemy go przetransportować w obie strony helikopterem - użył nazwy małego wojskowego lotniska trzydzieści kilometrów za Dublinem.

- Przecież nawet Jego Świątobliwość zdołał przyjechać i wyjechać bez kłopotów, choć przez cały czas otaczały go rzesze wiernych. - Wizyta papieża w 1979 roku w Irlandii była jednym z najbardziej doniosłych momentów w karierze zawodowej ministra. - Cóż złego może stać R S

się w ciągu tych kilku godzin?

- Fantastycznie.

Jill Tully, jedna z organizatorek konferencji Amnesty International, której gwiazdą miał być Naboom Kebele, rzuciła słuchawkę na widełki. Była tak podekscytowana, że poderwała się z miejsca i zaczęła skakać.

Organizacja stanęła przed szansą zarobienia sporych pieniędzy. Zaproszenie zostało złożone księciu pod wpływem nagłego impulsu. Był to jeden z tych pomysłów, które przychodzą do głowy tuż przed nastaniem świtu, lecz w zimnym blasku dnia wydają się całkiem niedorzeczne. Jill Tuffy nie miała wielkich złudzeń co do decyzji księcia. Jednakże gdy upływały dni i tygodnie, a odpowiedź odmowna nie nadchodziła, Jill ośmieliła się mieć isierkę nadziei. Aż wreszcie bomba wybuchła.

Jill Tuffy usiadła przy biurku, starając się uspokoić. Instrukcje były wyraźne. O przyjeździe księcia mogły wiedzieć cztery osoby. Gdyby w prasie pojawiło się bodaj jedno słowo na ten temat, wizyta miała zostać natychmiast odwołana.

Sposób obejścia tego warunku stanowił nie lada problem...

Zgodnie z oczekiwaniami Jill konferencja wzbudziła w kraju spore zainteresowanie i wszystkie bardziej liczące się irlandzkie gazety wydelegowały na nią swych przedstawicieli.

Panna Tuffy miała jednak na myśli większy krąg odbiorców; pragnęła nadać konferencji na tyle wysoką rangę, aby przyciągnąć uwagę światowych mediów. Nie posiadała się z radości na wieść o tym, że Kebele zgodził się wygłosić przemówienie, jednak jej entuzjazm przygasł, kiedy się okazało, że z zaproszeń nie skorzystały żadne dzienniki o międzynarodowym zasięgu. Jedyne gazeta „The Economist” zapowiedziała przybycie swego korespondenta. Oczy światowych mediów zwróciły się na kraje Europy Wschodniej i na wyniki wyborów w Ameryce. Afryka - biedna, głodująca, umierająca i nękana domowymi wojnami - była tematem wyeksploatowanym.

Jill wyteżyła umysł. Przyciągnięcie uwagi międzynarodowej prasy, bez ryzyka odwo-

łania wizyty księcia, mógł spowodować jedynie przemyślany przeciek o przybyciu niespodziewanego gościa. Trzeba było tylko zarzucić przynętę. Jill liczyła na to, że złapią się na nią wszystkie dzienniki, w obawie że inne media uprzedzą je w podaniu sensacyjnej wiadomości.

Podniosła słuchawkę:

- Halo, czy to RTE? Proszę mnie połączyć z Eamonem Vaughanem z redakcji wiadomości...
Dziękuję, zaczekam...

R S

W irlandzkim Muzeum Historii Naturalnej, osiemset metrów dalej, reakcja po telefonicznej rozmowie z premierem była bardziej stonowana.

Wylękniony mężczyzna, który odebrał telefon, zdołał na tyle zebrać myśli, aby powiadomić swojego rozmówcę, że dyrektor muzeum przebywa obecnie w Islandii.

- Wiem, gdzie się zatrzymał i postaram się ściągnąć go z powrotem do kraju.

Po rozłączeniu się pracownik muzeum przez długą chwilę mierzył wzrokiem staromodny czarny telefon na biurku, jak gdyby aparat był wściekłym zwierzęciem. A potem podszedł do drzwi gabinetu i spojrzał w dół, ogarniając wzrokiem spokojne i sensne wnętrze po-wierzonego jego opiece wąskiego, liczącego sobie prawie dwieście lat budynku, usytuowanego pomiędzy gmachami parlamentu i rządu. Pokolenia uczniów oraz ich rodziców przemierzały te kamienne posadzki i drewniane schody, podziwiając olbrzymią sarnę oraz zwisający z sufitu szkielet wieloryba. Kolejne generacje przyglądały się dziurze po kuli w czaszce polar-nego niedźwiedzia, poklepywały słonia, głaskały żyrafę i wzdrygały się z odrazą na widok przyszpilonych do tekturowych planszy owadów czy macek ośmiornicy w szklanym słoju. To staroświeckie muzeum przetrwało do obecnych czasów w niezmienionej formie i było obecnie uważane za jeden z najbardziej znanych dziewiętnastowiecznych ośrodków przyrodni-czych. Większość kolekcji, aktualnie obejmującej ponad cztery miliony gatunków, została подарowana w 1857 roku przez samego Livingstone'a. Studenci biologii kochali to miejsce i pomimo rozwoju nowoczesnego muzealnictwa błagali, aby zostało zachowane w nienaruszonym stanie. I ich życzeniu stało się zadość, wyjąwszy wielkie porządki oraz odmalowanie ścian na żółto przed kilkoma laty.

Urzędnik nie przypominał sobie, aby za jego kariery muzeum odwiedziła osoba zajmująca stanowisko w rządzie czy jakiś inny ważny dygnitarz. Problem polegał na tym, że tego rodzaju wizyta miała się odbyć jutro, a dziennikarze nieco przedwcześnie podali informację o umieszczeniu wśród prezentowanych okazów kulika eskimoskiego. W związku z trudnościami finansowymi personel muzeum ograniczał się do czterech osób, które musiały zajmować się wszystkim, a to oznaczało, że na jednego zatrudnionego przypadał milion gatunków. Na skutek braków kadrowych górna galeria, w której mieściła się bezcenna kolekcja bezkręgowców, musiała zostać zamknięta dla odwiedzających.

Urzędnik miał nadzieję, że pracownicy muzeum zdołają naprędce zorganizować jakąś skromną wystawę: bardzo skromną, bo chociaż posiadali dwa okazy tego ptaka, to dokumentacja oraz opracowania materiałów dotyczących środowiska jego życia dalekie były od ukoń-

czenia. Sprostanie temu zadaniu wymagało od nich nie lada wysiłku.

Mężczyzna wrócił do biurka i sięgnął po słuchawkę, przystępując do zlokalizowania szefa. Nieco się rozpozgodził: po latach zaniedbań - w ostatnich czasach liczyła się tylko archeologia - było miło, że ktoś w końcu zauważył to urocze, stare muzeum.

Jill Tuffy przeprowadziła drugą rozmowę telefoniczną z dziennikarką zatrudnioną w telewizyjnym studio BBC, która ostatnio przeniosła się tutaj z RTE.

- Nie, nie wolno mi tego wyjawić, naprawdę. Gazety nie mogą się o tym dowiedzieć, rozumiesz? Wierz mi jednak, że jeśli się nie zjawisz, stracisz najbardziej sensacyjną historię stulecia. - Słuchała przez chwilę, a potem spytała: - Czy kiedykolwiek wprowadziłam cię w błąd?

Wyprostowała się krzesła, usatysfakcjonowana. Nie zdała się jedynie na reakcję Eamonna Vaughana. Wiedziała, że reporterka BBC, która mieszka z zastępcą redaktora naczelnego „The Guardian”, nie utrzyma długo języka za zębami i jutro wieczorem zjawią się tu wszyscy.

Rozdział 36

Wyobrażenie Sky o Irlandii, którego nabrała na podstawie informacji w biurze turystycznym oraz wyblakłych, niczym fotografie w barwie sepii, wspomnień matki, zupełnie nie zgadzały się z widokiem nowoczesnego, zatłoczonego dublińskiego lotniska. Jej zdumienie było jeszcze większe, gdy oboje z Lynskeyem wjechali taksówką do śródmieścia. Dublin w niczym nie przypominał stolicy z widokówek, na których turyści przy wtórze końskich kopyt przemierzają eleganckie place pojazdami konnymi albo trzymają się za ręce, spacerując po pełnych wdzięku mostach o ozdobnych balustradach z kutego żelaza. W mieście panował intensywny ruch samochodowy, na ulicach roiło się od przechodniów - przeważnie młodzieży -

a mieszkańcy prowadzili ze sobą do centrum psy spuszczone ze smyczy; taksówka omal nie rozjechała co najmniej dwóch, które niczym kamikadze przebiegły przez jezdnię przed samą maską pojazdu.

Sky przybyła do kraju swych przodków zaopatrzona w swetry oraz płaszcze przeciwdeszczowe i słoneczna, upalna pogoda - taka jak w Butte - była dla niej kolejną rewelacją.

Lynskey przyznał, że obecne warunki atmosferyczne są nietypowe dla tego regionu. Potwier-

dzwały to spalone od słońca nogi i ramiona mieszkańców miasta, ubranych w krótkie spodnie lub sukienki bez rękawów.

Sky oblewała się potem na tylnym siedzeniu małego volkswagena i zastanawiała się gniewnie, czy lepiej zamknąć, czy też otworzyć okno. Każde z rozwiązań było równie zatrważające. W dusznym i gorącym powietrzu za oknem czuło się woń samochodowych spalin oraz gryzący zapach roztopionej smoły, nie mówiąc już o pyłe, który się unosił nad licznymi odcinkami robót drogowych i placami

budowy. Na domiar złego Gardiner Street, która najwyraźniej stanowiła główną arterię komunikacyjną łączącą lotnisko z centrum, była na całej długości przebudowywana i łomot młotów pneumatycznych skutecznie konkurował z rykiem autobusowych silników. Jednakże kiedy Sky podciągnęła szybę, upał stał się nie do zniesienia. Niewiele też brakowało, a byłaby się udusiła od dymu dochodzącego z przodu pojazdu, gdyż kierowca, pomimo okazałego napisu na desce rozdzielczej z podziękowaniami za powstrzymanie się od palenia, sam wydmuchiwał kłęby dymu niczym komin parowca.

Sky czuła, że jest bardzo zmęczona - a z tego powodu również i poirytowana. Postanowiła więc wstrzymać się z wydawaniem opinii o Dublinie do momentu odzyskania dobrego nastroju. Kiedy po centymetrze posuwali się naprzód w potężnym korku ulicznym przy skupi-sku przystanków autobusowych we wgłębieniu ulicy, Sky spojrzała na Lynskeya. Drzemał ze zwieszoną głową. Jak mógł spać, kiedy ona cierpiała?

- Pysznic dobrze by mi zrobił, a tobie? - Szturchnęła go łokciem pod żebro.

- Jesteśmy już w domu? - Obudzony, rozejrzał wokół, a jego oczy wciąż były zamglone od snu. Wskazał palcem ponad swoim ramieniem. - Mieszkam tutaj. Mam kawalerkę na ostatnim piętrze.

Sky obrzuciła wzrokiem pięciopiętrowy budynek z cegły po drugiej stronie ulicy - z regularnie rozmieszczonymi oknami niczym wgłębienia w pudełku na jajka.

- Ładnie mieszkaś.

- Daruj sobie sarkazm. - Uśmiechnął się i ponownie zamknął oczy.

Po odwiezieniu Sky do hotelu zamierzał stawić się niezwłocznie na odprawę, a raczej na przesłuchanie do swego biura.

Zbliżała się pora lunchu, a w redakcji wiadomości RTE wrzało jak w ulu.

- Proszę zaczekać, zaraz wybiorę jego wewnętrzny numer. - Po raz nie wiadomo który tego dnia sekretarka nacisnęła cztery guziki i się rozłączyła.

- Słucham? - Eamonn Vaughan, który dwa biurka dalej niemiłosiernie walił w klawiaturę, jak gdyby od tego miało zależeć jego życie, podniósł słuchawkę.

R S

- Co takiego? - Lewą ręką zakrył ucho i wrzasnął na kolegów, którzy znajdowali się najbliżej niego: - Możecie trochę się uciszyć? - A potem powiedział do telefonu: - Przepraszam. Czy mógłby pan powtórzyć? - Rozumiem. - W zamyśleniu odłożył słuchawkę na wi-dełki.

To był już drugi, tak zwany, „cynk” w ciągu ostatnich dwóch minut, a oba nie mogły być bardziej odległe od siebie. Pierwszą z informacji Vaughan potraktował bardzo poważnie, gdyż pochodziła od Jill Tuffy. Drugą przekazał mu anonimowy rozmówca.

We wczorajszych „Wiadomościach o dziewiątej” Vaughan przekazał informację o nie-udanym przemyśle narkotyków i nieudolnym śledztwie w tej sprawie. Poranne gazety ochoczo podchwyciły ową historię, tym bardziej że policja w całym kraju nadal goniła w piątkę.

Anonimowy informator wyjawiał dziennikarzowi, że narkotyki ukryto w podziemiach hotelu w Glengarriff. Miejscowość ta znajdowała się na południowo-zachodnich obrzeżach Irlandii, niemal na drugim krańcu kraju od Killybegs.

Po kilku sekundach Vaughan wstał i biegiem pokonał pokój - nie miał zwyczaju chodzić - i zatrzymał się przy biurku korespondentki, która zajmowała się problematyką bezpieczeństwa narodowego.

- Bella, do kogo powinienem się zwrócić w sprawie informacji dotyczącej przemytu narkotyków?

- Do mnie. - Kobieta podniosła wzrok i zmarszczyła brwi.

- Tak, wiem, czym się zajmujesz - stwierdził Vaughan bez uśmiechu. - Chodzi mi o nazwisko - nie ministra i nie naczelnego komisarza ani też inspektora prowadzącego śledztwo, lecz o kogoś, kto okaże się skłonny do współpracy z nami w zamian za informację.

- A co to za informacja? Wkraczasz na moje terytorium, Eamonnie.

Kiedy Vaughan zapoznał ją z aferą narkotykową, która została przedstawiona we wczorajszym komunikacie, kobieta spojrzała na niego ze złością.

- Sądziłam, że powinniśmy przekazywać sobie wiadomości. A na ostatnim zebraniu zespołu...

- Przepraszam, że pytałem. - Vaughan pośpiesznie wrócił do swojego biurka.

Znowu przez chwilę się namyślał, a potem niechętnie zatelefonował do oddziału RTE

w Cork. Był ambitny jak inni, ale na pierwszym miejscu stawiał wiadomości. Jeśli informator powiedział prawdę i policja była już w drodze do Glengarriff, wiedział, że już nie zdąży tam na czas, żeby sfilmować akcję. Chciał, by pod jego nieobecność zjawił się tam przynajmniej *R S*

ktoś z kamerą.

- Nie zapomnij skontaktować się ze mną, nawet jeśli nic się nie wydarzy.

Pożegnał się z reporterem w Cork i spojrzał na zegarek. Żałował, że umówił się na spotkanie z dziennikarką z Montany. Zbyt wiele miał dzisiaj roboty.

Ponownie powrócił myślami do Jill Tuffy. Wyciągnął kartkę papieru i pośpiesznie sporządził listę nazwisk sławnych ludzi oraz światowych przywódców, których przybycie mogło przyprawić siły bezpieczeństwa o ból głowy. Im obecność tych osób na konferencji Amnesty International w tak małym kraju jak Irlandia, wydawała się mniej prawdopodobna, tym lepiej: Yasser Arafat, John Major, matka Teresa, Saddam Hussein, Robert Mugabe, Nelson Mandela, królowa Anglii, prezydent Bush...

Jeszcze gdy jechał wraz z ekipą na konferencję prasową, która została zwołana w jednym z hoteli w centrum miasta, dodawał kogoś i skreślał. W chwili przybycia na miejsce jego lista ograniczała się do trzech nazwisk: do Johna Majora, Yassera Arafata i Moshego Dayana.

Wchodząc do hotelu „Shelbourne”, wciąż rozważał ewentualne możliwe kandydatury.

John Major uczestniczył w europejskiej konferencji na szczycie w ubiegłym roku, jego po-nowna obecność w Irlandii nie byłaby więc wielką sensacją. Wszystko zależało jednak od tego, co zamierzał powiedzieć. Poza tym brytyjski premier na irlandzkiej ziemi zawsze stanowił pierwszy cel dla wywrotowców. Vaughan postawił znak zapytania przy jego nazwisku i postanowił zasięgnąć języka w brytyjskiej ambasadzie - choćby tylko po to, ażeby go skreślić.

Konferencja prasowa uległa opóźnieniu. Vaughan, korzystając z chwilowej zwłoki, zaszył się w cichym kącie holu, aby przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych.

Księżę Walii przechadzał się po fabryce wytwarzającej podzespoły do samochodów, gdzie pokazywano mu urządzenie, które ze strumienia szarego metalu wytłaczało małe krążki.

Po wyrażeniu stosownego zachwyty został zaprowadzony do kolejnej maszyny, gdzie odbywał się dalszy etap procesu: krążki spadały w dół niczym wodospad, a następnie były segregowane w celu wywiercenia otworów.

Kiedy zebrani podążali wzdłuż linii produkcyjnej, urzędnik pałacowy wysunął się na przód i szepnął coś księciu na ucho. Jego Wysokość zachował kamienną twarz, ale na końcu linii główny dyrektor został poinformowany, że księżę nie będzie mógł zostać na lunchu. Po kilku minutach kierownictwo i pracownicy zakładu zegnali gościa na lądowisku helikoptera na obrzeżach fabryki.

Jutrzejszy dzień w książęcym kalendarzu był pusty; oficjalnie następca tronu miał wol-R S

ne. W rzeczywistości nie zaplanowano żadnych spotkań na wypadek podróży do Irlandii. A teraz, kiedy problem stawał się faktem, urzędnicy pałacowi oraz pracownicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych pragnęli czym prędzej zabrać się do pracy. Każda sylaba i każde słowo, a nawet zaakcentowanie każdej zgłoski przez Jego Wysokość podczas kilkugodzinnego pobytu w Irlandii musiało być uprzednio skrupulatnie przeanalizowane. I choć miał przemawiać przed członkami organizacji Amnesty International, nie można było lekceważyć historycznego znaczenia tej wizyty. Wciąż nie zapadła decyzja, czy następca tronu wystąpi oficjalnie na forum irlandzkiego parlamentu. A jeśli tak, to co powie.

Dygnitarze, zarówno brytyjscy, jak irlandzcy, zdawali sobie sprawę z tego, że muszą uwzględnić w programie pobytu wizytę w Muzeum Historii Naturalnej. Pokusa zobaczenia kulika eskimoskiego była dla księcia nie do przewyciężenia. Na szczęście muzeum znajdowało się tuż obok gmachów rządowych.

Rupert de Burgh był pewien, że wiadomość o wizycie księcia prędzej czy później się rozniesie, zależało mu jednak na tym, aby jak najdłużej zachować ją w tajemnicy przed współkonspiratorami. Zważywszy na ich uszczuploną liczbę, skala przedsięwzięcia, na które się mieli nieświadomie

porwać, mogła ich przestraszyć. Pragnął posunąć jak najdalej przygotowania, aby nie mieli odwrotu. Materiały wybuchowe były już zgromadzone obmyślono tak-

że sposób ich podłożenia. Rupert wiedział, że owo miejsce będzie dokładnie sprawdzone i strzeżone, jak i cała trasa przejazdu księcia, ale wtedy także zamierzał sobie z tym poradzić.

Operacja zależała od poznania szczegółowego planu zabezpieczenia wizyty i Rupert de Burgh nie widział powodu, dlaczego nie miałby go zmienić, tak aby służył jego celom.

Zdobycie środków wybuchowych nie nastreczyło mu większych trudności. Pod pretekstem oficjalnej rewizji dotarł do nich za pośrednictwem pewnego przestępcy, należącego do jednego z dublińskich gangów i utrzymującego kontakty z IRA, którego dyskrecji Rupert był

pewien. De Burgh dobrze wiedział, że nie ma wielkich szans, aby wyjść z tej akcji bez szwanku. Był nawet pewien, że trafi do więzienia, a zatem kwestia zachowania milczenia przez kryminalistę już po dokonaniu zamachu była dla niego bez znaczenia.

Nigdy dobrze nie sypiał, jednak przez ostatnie noce był wyjątkowo niespokojny. Musiał potem wypijać ogromne ilości kawy i zjadać mnóstwo cukru, aby funkcjonować normalnie. Miało to pewne ujemne strony: nie mógł przecież okazywać irytacji przy kolegach. Zachowanie pozorów zwykłej swobody było ogromnie stresujące i nawet żona Ruperta, która nie należała do osób spostrzegawczych i nigdy nie potrafiła go rozgryźć, któregoś dnia rano *R S*

zapytała, czy nie stało się nic złego.

Unikał poważnych rozmyślań o tym, co będzie później, gdy pójdzie do więzienia i zostawi rodzinę na pastwę losu. Ilekroć podobne refleksje cisnęły mu się do głowy, jak miało to miejsce przed chwilą, natychmiast je od siebie odsuwał. Nie chciał dopuścić do tego, aby osłabiły jego wolę działania. Sprawa, na punkcie której od dawna miał obsesję, była zawsze obecna w jego życiu, nie odstępowała go jak cień, i niepodzielnie zajmowała w sercu miejsce, które inni mężczyźni rezerwowali dla żon i dzieci. Rupert de Burgh nie działał dla osobistej nagrody, lecz kierowały nim wznioślejsze i bardziej subtelne pobudki. Przemiana, która się w nim dokonała, gdy podczas studiów w Trinity poznał prawdziwą historię Irlandii, była równie dogłębna i całkowita jak powołanie kapłańskie.

Kochał swoje dzieci, a w szczególności najmłodszego syna, lecz miłość do żony wygasła przed wieloma laty, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała. Żona była cichą kobietą o spokojnym usposobieniu, które, jak przypuszczał, w dużej mierze wynikało z braku wyobraźni. Pracowała jako młodsza urzędniczka w jednym z rządowych departamentów, kiedy ją poznał na potańcówce w klubie policyjnym. W tamtych czasach niemal wszyscy z grona jego najbliż-

szych kolegów byli już zaręczeni. Nie znosiła swej pracy, a jej przyjaciółki chełpiły się pier-

ścionkami zaręczynowymi na serdecznych placach. Nic zatem dziwnego, że była szczęśliwa, gdy wreszcie znalazła kogoś, kto się nią zainteresował. Po ślubie zajęła się wychowywaniem ich trojga dzieci - sprawnie i bez narzekań.

De Burgh, ze słuchawkami na uszach, pilnie coś notował. Co jakiś czas odrywał się od pracy i namyślając się, obgryzał końcówkę pióra. Oczywiście koledzy w pokoju nie mieli pojęcia o tym, że prywatny magnetofon stereofoniczny Ruperta nastawiony jest na odbiór dźwięków z małego nadajnika umieszczonego pod blatem biurka głównego inspektora. Bill Daly odbywał właśnie naradę z naczelnym komisarzem policji, na którą został również wezwany Lynskey.

W słuchawkach de Burgh usłyszał słaby dźwięk telefonu na biurku Daly'ego i odpowiedź szefa:

- Dziękuję za wiadomość. Nie, na razie nie będzie żadnego komentarza. - Głos inspektora, który siedział po drugiej stronie biurka w sporym oddaleniu od pluskwy, miał niewyraź-

ne brzmienie. - Z pewnością podążymy tym tropem.

- Dzwonili z RTE - ponownie odezwał się szef. - Dziennikarz z Cork pytał o anonimową informację, jaką Eamonn Vaughan otrzymał w Dublinie. Wiadomość o tym, że w podziemiach

hotelu w Glengarriff zakopano narkotyki, została przekazana również de Burghowi, jednemu z moich ludzi...

Na drugim końcu korytarza Rupert pochylił głowę, jak gdyby nie mógł odczytać notatek.

- Zamierza ją pan potraktować poważnie? - Grzmiący głos komisarza, który siedział

tuż nad nadajnikiem, przywodził na myśl brzmienie kontrabas.

- Żartuje pan? - Głos Lynskeya, dźwięczny niczym altówka, był również wyraźnie słyszalny. - Kto by poważnie traktował anonimowego informatora, który kontaktuje się zarówno z nami, jak i z prasą? Glengarriff jest ostatnim miejscem, gdzie szukałbym narkotyków. Uwa-

żam, że powinniśmy się raczej zainteresować tym, kto telefonował i dlaczego tak mu zależało, aby nas tam wysłać.

Zaciśnięte wokół pióra palce de Burgha zbladły. Popęłnił błąd, kontaktując się z Vaughanem. Było to, jak dotychczas, jedyne potknięcie, ale wciąż mógł je naprawić. A zatem nie wybierają się do Glengarriff. Chociaż czasu pozostawało bardzo niewiele, de Burgh musiał

znaleźć inny sposób, aby osłabić siły bezpieczeństwa w Dublinie. Nadal obowiązywał zakaz zatrudniania policjantów w godzinach nadliczbowych i choć dotychczas nie przyniósł żadnych poważnych konsekwencji, w sytuacji kiedy do miasta wciąż napływały nowe tłumy, mógł zostać zniesiony w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- Obudź się, de Burgh! - Zirytowany Rupert zobaczył raczej, niż usłyszał mężczyznę, który stał przy jego biurku. Wskazując na słuchawki, przesadnie otwierał usta, jak gdyby przemawiał do głuchoniemego. - Zdejmij to.

- O co chodzi? Jestem zajęty. - De Burgh uniósł jedną ze słuchawek, starając się za po-

średnictwem drugiej nadażyć za rozmową w gabinecie głównego inspektora.

- Jakiś facet zatelefonował do ciebie do publicznej budki w holu. Twierdzi, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Mówi z amerykańskim akcentem. Rozmawia z automatu, więc nie może długo czekać.

Rupertowi nie pozostawało nic innego, jak udać się do rozmównicy. Wstał zza biurka i zsunął słuchawki na szyję. Nie mógł przejść obok grupy detektywów ze słuchawkami na uszach. Zaczęliby się zastanawiać, czy musi słuchać muzyki, idąc korytarzem w stronę głównego holu. Zapewne rozmówcą był Flynn. Niewiele osób w Irlandii potrafiło odróżnić akcent amerykański od kanadyjskiego.

I musiała wyniknąć jakaś nagła sprawa. Wszyscy wiedzieli, że mogą korzystać z tego R S numeru wyłącznie w sytuacji kryzysowej.

W czasie gdy Rupert de Burgh zajęty był rozmową, atmosfera w gabinecie głównego inspektora stała się ciężka.

- Wiecie równie dobrze jak ja - komisarz mówił grobowym tonem, jaki zwykł przybierać podczas publicznych wystąpień - że wywierane są na nas ogromne naciski.

Pozostali dwaj mężczyźni, podobnie jak wszyscy obywatele całego kraju doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że powodem jest kruczata ministerstwa sprawiedliwości przeciwko narkotynom.

- A z uwagi na pojawienie się w ostatnich dniach wielu nieprzychylnych nam publikacji musimy przynajmniej stworzyć pozory, że coś robimy - dodał.

- Według mojej opinii - Lynskey ponownie wtrącił się do rozmowy - nie powinniśmy poważnie traktować informacji o narkotykach w Glengarriff. Jestem o tym święcie przekonany. Pozwólmy działać RTE. Jeśli znajdą heroinę zakopaną pod jakimś krzewem fuksji, będą mieli swoją sensacyjną wiadomość i my także na tym zyskamy. Te przecieki są albo żartami, albo zaplanowaną próbą odciążenia sił policyjnych możliwie jak najdalej od Dublina. To nie zwykły zbieg okoliczności, że ktoś usiłuje nas stąd usunąć w tym właśnie szczególnym momencie.

- Podzielam opinię mojego podwładnego, ale decyzja należy do pana, panie komisarzu.

- Bill Daly założył ręce i czekał.

Komisarz namyślał się przez chwilę, a potem wziął rękawiczki.

- Zostawiam ten problem na pańskiej głowie. Jeśli RTE znajdzie narkotyki, wyjdziemy na głupców. Co się zaś tyczy drugiej sprawy, przynajmniej upewnijcie się, czy sprawdziliście wszystkie przejścia graniczne. Dotarły do mnie wiadomości o obławie w Ameryce i choć uważam za mało prawdopodobne, aby spiskowcy wiedzieli, kto zamierza nam złożyć wizytę, to jestem niespokojny. - Utkwił wzrok w punkcie na suficie powyżej głów podwładnych. -

Zjadłem na tym zęby i na kilometr wyczuwam każdą cuchnącą sprawę. Wygląda na to, że hydraulikowi zdarzało się znikać już wcześniej, jednak ten drugi konspirator, którego nie można znaleźć, niejaki Flynn, dotychczas uchodził w Kanadzie za wzorowego obywatela. A dobrze wiecie, że nie znoszę przykładowych obywateli. Przez cały czas trzeba mieć ich na oku.

Sprawdzenie paszportów wszystkich tych, którzy odlecieli z Ameryki do Europy, zakładając, że nie skierował się bezpośrednio tutaj, zajęłoby mnóstwo czasu. - Komisarz zrezygnował z dalszego przyglądania się sufitowi. - Gdyby to zależało ode mnie, nigdy by do tej wizyty nie

doszło. Jestem jej zdecydowanie przeciwny. Na miłość boską, jak zdołamy sobie ze wszystkim poradzić? - Pokręcił głową. - Kebele, księżę Walii, i całe miasto pełne terrorystów, kieszonkowców, członków zjazdu oraz turystów. To samo się tyczy Bodenstown przed południem. A także i potem. Jestem tylko skromnym policjantem.

- Czy możemy puścić w obieg zdjęcie Flynn'a? Spiskowca, którego znamy? - spytał

Lynskey. - Mam jedno ze sobą.

Komisarz przeniósł wzrok z jednego na drugiego.

- Możecie, choć nie sądzę, aby to się na wiele zdało. Słyszałem, że jest bogaty. Prawdopodobnie zmienił swój wygląd, mógł nawet poddać się operacji plastycznej. - Główny inspektor i Lynskey poderwali się z miejsc, gdy wstał. Komisarz trzepnął rękawiczkami o blat biurka. - Między nami mówiąc, panowie, ta wizyta będzie miała charakter politycznego cyrku. Chcą go pokazywać jak nagrodzonego byka na paradzie. - Uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili wejścia do gabinetu.

- John - Charlie - Byk?

- Bardzo zabawne, panie komisarzu. - Lynskey nie śmiał spojrzeć na Daly'ego. - Jeszcze jedna sprawa. Co z naszym kretem? - Stłumił ziewnięcie. - Skoro aresztowania zostały przeprowadzane równocześnie, a ci dwaj nadal przebywają na wolności, czy to możliwe, że zostali ostrzeżeni? Pytam tylko dlatego, gdyż zastanawiam się, czy w tutejszych telefonach nie założono podsłuchu.

- To niemożliwe. - Główny inspektor odruchowo sięgnął do aparatu na biurku, a potem cofnął rękę. - Z pewnością nie tutaj. Nikt nie ma dostępu do mojego gabinetu. I zawsze gdy wychodzę, zamykam drzwi na klucz.

- Nikt tutaj nie przychodzi podczas pańskiej nieobecności? Nawet sprzątaczkę? Książ-

kowy numer. - Lynskey cynicznie uniósł do góry brwi.

- Sprawdźcie cały pokój - zdecydował komisarz. - Telefony, komputery - wszystko, nawet żarówki. I przesłuchajcie sprzątaczkę, szczególnie te zatrudnione na pół etatu. To mało prawdopodobne, lecz biorąc pod uwagę najgorszy scenariusz, że byliście podsłuchiwani... czy ktoś wspomniał tutaj o... - zawahał się na moment - o Operacji Omega? Nie znoszę tych kryptonimów. Brzmiały jak w kiepskim filmie.

- Nazwisko padło tylko jedyny raz, przed niespełna pięcioma minutami, kiedy sam pan je wymienił, komisarzu.

Komisarz wpatrywał się w głównego inspektora, jak gdyby usiłował stwierdzić, czy *R S* został obwiniony o niesubordynację. A potem wciągnął rękawiczki.

- Przeczeszcie dokładnie gabinet i wstrzymajcie się najdłużej jak to możliwe z powiadomieniem ludzi. Opracujcie plan i trzymajcie wszystkich w pogotowiu. Do jutra nazwisko naszego gościa ma być zachowane w tajemnicy. Możecie na razie powiedzieć, że chodzi o Johna Majora lub kogoś innego - według waszego uznania. O której ma się odbyć narada strategiczna?

- O ósmej wieczorem.

- Będę na niej obecny. Miejmy nadzieję, że prasa nie dowie się do jutra o niczym.

Na dole w holu okazało się, że Jerry Flynn nie miał żadnych nowych wieści i Rupert de Burgh z ochotą by go powiesił. Oto skutki angażowania w sprawę dziecięcych idealistów, którzy nigdy dotychczas nie postawili stopy w starym kraju! Z uwagi na miejsce, w którym przebywał, de Burgh musiał nie tylko panować nad swym językiem, lecz również nad całym zachowaniem.

Jerry Flynn, czy raczej John Mulqueen, telefonował z dworca autobusowego. Lada chwila spodziewał się Joego Masona, który leciał z Amsterdamu i miał się zgłosić w tym samym hotelu.

- Chyba że on także został aresztowany, panie de Burgh. We dwóch nie damy rady wykonać zadania.

- Nie będziemy musieli. Nie słyszałem o żadnych kłopotach, ale dziękuję za telefon, panie Mulqueen.

- Przez wzgląd na osoby przechodzące obok budki, starał się mówić typowym dla siebie beztróskim tonem. - Proszę pozostawić ten problem mnie.

Flynn zrozumiał instrukcję.

- Telefonuję po to, aby powiedzieć, że przyleciałem zgodnie z planem. Chciałem się także dowiedzieć, czy spotkanie odbędzie się o ustalonej porze, czyli o trzeciej?

- Tak. I proszę się nie martwić. Dziękuję za wiadomość, panie Mulqueen. Będę w kontakcie. Do zobaczenia.

Zanim Kanadyjczyk zdołał coś dodać, de Burgh się rozłączył i pędem pobiegł na górę.

Kiedy przechodził obok gabinetu głównego inspektora, omal nie zderzył się z komisarzem, który właśnie stamtąd wychodził.

- Więcej rozwagi, a mniej pośpiechu, detektywie. - Komisarz nie wyglądał na rozbawionego.

R S

Rozdział 37

Początkowe wrażenie Sky o Dublinie wkrótce uległo zmianie. Jej hotel okazał się ma-

łym, prywatnym pensjonatem usytuowanym pomiędzy dwoma georgiańskimi placami w po-

łudniowej części miasta, gdzie ruch uliczny, choć też intensywny, nie był przynajmniej denerwujący. Jednakże i tu dochodziły odgłosy młotów pneumatycznych: widocznie w całym mieście nie było takiego miejsca, gdzie panowałaby cisza. Recepcjonista w małym holu przeproszał za hałas:

- Co roku dzieje się to samo.

Jeszcze bardziej irytująca była przyczyna owego łoskotu: okazało się, że rurociąg uległ awarii i hotel został chwilowo pozbawiony wody.

- Nie mogło nas to spotkać w gorszym momencie. - Recepcjonista był podwójnie zmieszany. - Wszystkie pokoje są zajęte, a miasto pęka w szwach od gości, którzy przybyli na weekend. Do szóstej uszkodzenie ma zostać naprawione. Tymczasem postawiliśmy dzbanek z wodą i miednicę na toalecie w pani pokoju, aby mogła się pani choć trochę odświeżyć po długiej podróży. A wraz z naszymi przeprosinami proszę przyjąć i to. - Oprócz klucza wręczył

jej kartkę z nazwą zakładu fryzjerskiego usytuowanego tuż za rogiem ulicy. - Zostali powiadomieni, gdzie mają odesłać rachunek.

Pokój był wygodny, choć jak na gust Sky zbyt upstrzony koronkami i kwiecistymi ozdobami. Miał za to telefon z bezpośrednim wyjściem na miasto oraz telewizor. Sky prędko rozpakowała bagaże i umyła się w zakresie, na jaki pozwalały ograniczone zasoby wody. I choć do spotkania z Eamonnem Vaughanem dzieliło ją jeszcze dwie i pół godziny, czuła się zbyt podniecona, by spróbować popołudniowej drzemki. Postanowiła skorzystać z hotelowej oferty, tym bardziej że po serii długotrwałych lotów i na skutek panującego upału jej włosy nieprzyjemnie się lepily.

Zakład fryzjerski mieścił się na drugim piętrze jednego z wysokich, georgiańskich do-mów. Pomimo panującego tu tłoku Sky uzyskała zapewnienie, że zostanie przyjęta, jeśli zaczeka kilka minut. Siedząc w małej poczekalni, wybrała irlandzkie czasopismo - jedyne wśród magazynów oferowanych klientom - choć pochodziło sprzed sześciu miesięcy. Niewiele brakowało, a tygodnik uszedłby jej uwagi, gdyż na pierwszej stronie widniały nachodzące na siebie zdjęcia księżnej Diany i jej męża, na których oboje patrzyli ponuro, każde w przeciwną stronę. Sky była zaintrygowana, widząc ich na okładce miejscowej gazety: zważywszy *R S*

na historię obu krajów, nie spodziewała się zainteresowania Irlandczyków rodziną królewską.

Zajrzała do środka. Artykuł okazał się typową publikacją o małżeńskich problemach opartą głównie na domysłach, w której aż się roiło od informacji zapożyczonych z innych źródeł

prasowych, co Sky natychmiast dostrzegła swym wprawnym reporterskim okiem: były tam wzmianki o problemach Diany z bulimią oraz o niewyszukanych muzycznych gustach księż-

nej, kontrastujących z wyjątkowym uporem Karola, jaki wykazywał, zgłębiając ornitologię, a także z jego zainteresowaniem naukami przyrodniczymi i malowaniem akwarel. W momencie kiedy Sky skierowała wzrok na swój horoskop sprzed sześciu miesięcy, ażeby stwierdzić, czy przepowiednia się sprawdziła, została poproszona do umywalni.

Czuła się o wiele lepiej, kiedy ponownie wyszła na słońce. Ponieważ od umówionego spotkania z Eamonem wciąż dzieliło ją dziewięćdziesiąt minut, postanowiła wybrać się na spacer.

Dotarła do uroczego małego parku, gdzie wśród klombów z kwiatami i szmaragdo-nych trawników siedzieli zasłuchani w poezję urzędnicy korzystający z przerwy na lunch.

Tutejsza atmosfera diametralnie odbiegała od pośpiechu i tłoku w centrum miasta, z którymi Sky zetknęła się podczas jazdy taksówką z lotniska. Choć za ogrodzeniem ze wszystkich czterech stron górowały nad parkiem domy o płaskich dachach, a kiedy Sky wyteżyła słuch, dotarły do niej stłumione odgłosy silników, poeta stojący na porośniętym trawą wzgórzu, które służyło za naturalną estradę, nie potrzebował żadnych urządzeń nagłaśniających, a jego głos konkurował jedynie z ptasim śpiewem.

Ten brodaty mężczyzna po trzydziestce o dużych, hipnotyzujących oczach czytał swe miłosne wiersze. I choć była w nich mowa o sekretnych, mrocznych tęsknotach, wcale nie wydawały się niestosowne w oślepiającym blasku dnia i w panującej wśród słuchaczy atmosferze odprężenia. Sky, pomimo piękącego pod powiekami piasku, pomimo dezorientacji i zmęczenia po wielogodzinnym locie, była zauroczona i niemal zapomniała o umówionym spotkaniu.

Niechętnie odeszła na pół godziny przed wyznaczonym terminem - o pierwszej trzydziści. Po drodze wstąpiła do banku, żeby wymienić amerykańskie dolary na irlandzką walutę. Urzędniczka w okienku okazała się niezwykle pomocna i zapytana o system połączeń telefonicznych, zaproponowała torbę monet. Poradziła też, by kupić powszechnie tu stosowane karty telefoniczne.

Hotel „Conrad” znajdował się naprzeciwko gmachu filharmonii, nad którego wejściem *R S*

umieszczono transparent informujący o zjeździe organizacji Amnesty International jutrzejszego wieczora. Sky po przybyciu na miejsce stwierdziła, że budynek w niczym nie ustępuje hotelom, z jakimi się zetknęła podczas pobytu w Chicago. Połyskujące i błyszczące wnętrza, nowoczesne wyposażenie, obite pluszem meble - wszystko to znacznie przerastało jej oczekiwania co do Dublina.

Przybyła przed czasem, udała się więc do hotelowego kiosku i kupiła telefoniczną kartę z pięćdziesięcioma impulsami. Dopiero wtedy usadowiła się na miękkiej jak gąbka kanapie za ogromną dekoracją z kwiatów i zaczęła przyglądać się badawczo każdemu wchodzącemu mężczyźnie, czy przypadkiem nie odpowiada on podanemu przez Vaughana opisowi. Niepotrzebnie się martwiła. Rozpoznała dziennikarza natychmiast po jego niespokojnym zachowaniu i lustrującym spojrzeniu, którym ogarnął wszystko wokoło, nim zamknęły się za nim drzwi.

- Pan Vaughan? - Sky poderwała się z miejsca. Czoło mężczyzny, które jeszcze przed chwilą pokrywały liczne zmarszczki, wygładziło się natychmiast.

- Panna MacPherson, jak sądzę?

- Sky.

- Eamonn. - Ruszył w górę schodami na półpiętro, a jej nie pozostało nic innego, jak pójść za nim. - Przepraszam za spóźnienie. Niestety, nie mam zbyt wiele czasu. Muszę napisać sprawozdanie z konferencji prasowej, która przed chwilą odbyła się w hotelu „Shelbourne”. Powinniśmy się byli tam spotkać, bałem się jednak, że mógłbym cię nie rozpoznać. - Poproszę o coca-colę - zwrócił się do dziewczyny w niewielkim barze na końcu półpiętra. - Co mogę dla ciebie zamówić, Sky?

Miał na sobie elegancki garnitur i wyczyszczone do połysku buty. Wyglądało na to, że tutejsi dziennikarze telewizyjni preferują oficjalne stroje, podobnie jak amerykańscy.

Sky była zadowolona, że zamiast džinsów włożyła niemnącą się letnią sukienkę.

- Dla mnie to samo. - Skinęła na barmankę.

- W czym mogę ci pomóc? - Rzeczywiście nie miał zamiaru tracić ani sekundy.

- Czy nasza rozmowa będzie nagrywana?

- Jak sobie życzysz. - Wzruszył ramionami.

- Wolę, żeby nie była. Proponuję współpracę. Mam pewne przecieki dotyczące dwóch historii, które są związane zarówno z Montaną, jak i z Irlandią.

- Wiemy już o powiązaniach narkotykowych.

R S

- O drugiej sprawie również wiecie? - Coca-cola została podana i Sky nalegała, że zapłaci.

Dziennikarz skrzywił się, wyławiając ze swej szklanki kostkę lodu.

- Skąd nagle Montana?

- Powiem ci o wszystkim, o czym mi wiadomo, w zamian za kontakt z tutejszymi informatorami. Czy zgadzasz się na taki układ? Wspólnie będziemy podążać tropem obu historii, a w razie ich rozpracowania jednocześnie je opublikujemy: ty tutaj, a ja w Stanach.

- Nikt nie złożył mi dotychczas podobnej propozycji. Muszę przyznać, że jest dość oryginalna.

- Umowa stoi?

- Czy, twoim zdaniem, samodzielnie nie potrafiłbym dotrzeć do tych spraw?

- Nie mam pojęcia. Zanim jednak cokolwiek powiem, muszę uzyskać twoje zapewnienie - nawet jeśli

nie będziesz zainteresowany współpracą - że oprócz nas dwojga nikt się o niczym nie dowie. I że nie opublikujesz podanych przeze mnie informacji bez mojej wiedzy.

Jeśli się przed kimś wygadasz, będę zmuszona rozejrzeć się za innym dziennikarzem. - I po-słała mu, jak miała nadzieję, czarujący uśmiech. Zdołała zaintrygować swego rozmówcę.

- Powiedz tylko, o co chodzi. - Wymieszał w szklance lód czubkiem palca. - Daję sło-wo, że jeśli temat mnie nie zaciekawia, nie będę ci wchodził w paradę. Muszę cię jednak uprzedzić, że jako pracownik redakcji nie mogę działać samodzielnie.

Uznała, że nie ma innego wyjścia, tylko mu zaufać. Najzwięźlejsz, jak potrafiła, opowiedziała mu o uczestnikach spisku.

- Czy masz coś jeszcze do dodania? - Spojrzał na zegarek, jak gdyby chciał przypomnieć, że czas ma ograniczony.

- Wiemy, że tutejsza policja wpadła na jakiś trop. - Sky nie zamierzała się śpieszyć. - I nawet wysłała na przeszpiegi do Montany jednego z detektywów. To właśnie za jego pośrednictwem zostałam wciągnięta w tę sprawę. Pewien mój artykuł zwrócił jego uwagę.

- Kogo wysłali? - Nie ulegało już wątpliwości, że Eamonn jest zaciekawiony.

- Niejakiego Fergususa Lynskeya. Znasz go?

- Nie osobiście, ale słyszałem o nim. Nazwiska pracowników tego wydziału często się pojawiają w raportach sądowych.

- Wspomniałam przy nim o terrorystach i nie podskoczył, ażeby zaprzeczyć. Wszystkie osoby zamieszane w tę sprawę noszą irlandzkie nazwiska i co najmniej siedmiu pochodzi z *R S*

innych stanów. Jeden fakt wydał mi się ponadto intrygujący, Eamonn. Jeszcze zanim nastą-

piły aresztowania, Lynskey nieoczekiwanie postanowił wracać. Lecieliśmy tym samym samolotem i wiem, że nawet nie wstąpił do domu, ażeby się przebrać. Pojechał prosto do biura.

- Jak dobrze go znasz?

- Całkiem nieźle. - Zdołała zachować poważną twarz. - Niebawem mam się z nim spotkać. Widocznie jego biuro znajduje się niedaleko stąd. Powiedział, że jeśli tu na niego zaczekam po naszym spotkaniu, przyjdzie po mnie.

- Nie mów mu, o czym rozmawialiśmy. Przynajmniej na razie. - Vaughan wyciągnął

notatnik. - Czy znasz nazwiska osób aresztowanych w Stanach?

- Jedno. Mój redaktor naczelny przekaże mi pozostałe, gdy tylko się z nim skontaktuję.

- Vaughan zapisał nazwisko szeryfa, a także nazwy miejscowości, gdzie została zatrzymana pozostała szóstka.

- Przypuszczam, że od tego powinniśmy zacząć. - Spojrzał z powątpiewaniem na swe notatki. - Masz jakiś pomysł, kto tutaj może być zamieszany w sprawę?

- Na razie nie, ale to wszystko trzyma się kupy, nie sądzisz? Teraz twoja kolej. Czy skierujesz mnie do kogoś, kto mógłby coś wiedzieć o obu historiach?

- Oczywiście. To zabawne, ale nie mogłaś się z tym zjawić w lepszym momencie. Słyszałem o innej sprawie, która również może okazać się interesująca, lecz tym razem ja muszę cię poprosić o zachowanie dyskrecji. Nie na długo. Jeśli wiadomość, którą otrzymałem, jest prawdziwa, wkrótce będzie wrzało w całym mieście. Nie sądzę, aby informacja ta była zwią-

zana z którąś z twoich historii. Pewna bardzo ważna osobistość ma przybyć w wielkiej tajemnicy na zjazd organizacji Amnesty International, odbywający się w filharmonii po drugiej stronie ulicy. Telefonowałem do ambasad - w brytyjskiej potraktowano mnie z tak ogromną niechęcią, iż zaczynam wierzyć, że jestem na właściwym tropie.

- O kogo może chodzić, twoim zdaniem? - Sky stłumiła westchnienie.

Postanowiła, że jeśli temat okaże się dobry, zajmie się nim, choć przytłaczała ją myśl o czekającej robocie. Vaughan wymienił ewentualne nazwiska i podał swe kontakty.

- Pozostawiam na twojej głowie problem zasięgnięcia języka w dyskretny sposób. Nie chciałbym, aby ktokolwiek wzmógł czujność z powodu zbyt wielu pytań. Czy zadzwonisz do mnie, jak tylko coś znajdziesz? Oto numer mojego telefonu komórkowego... - Przyglądał się, jak Sky zapisuje, a potem przechylił na bok głowę. - Być może ty i twój przyjaciel Lynskey zdołacie mi pomóc w zidentyfikowaniu ważnego gościa zaproszonego na konferencję. Gdzie *R S*

będę mógł potem cię znaleźć?

Podawała mu adres, pod którym się zatrzymała.

Uzgodnili, że Sky przyjdzie do studia RTE około siódmej i porównają swoje notatki.

Wkrótce potem Vaughan oddalił się w wielkim pośpiechu.

Czekając na Lynskeya, postanowiła zadzwonić do Jima Larsena po nowe informacje.

W Montanie była dopiero szósta rano, lecz Sky wiedziała, że redaktor naczelny wstaje wcześnie. Jednakże hotelowa telefonistka odezwała się ponownie:

- Pod podanym przez panią numerem zgłasza się automatyczna sekretarka i nie ma nikogo, kto by się zgodził pokryć koszt rozmowy.

Sky powinna była pamiętać: Jimbo z żoną zawsze rozpoczęli dzień od biegania.

- Dziękuję pani. Zatelefonuję później.

Przez moment zastanawiała się, czy nie zadzwonić do babki, lecz odrzuciła ten pomysł.

Pora była o wiele za wczesna i Elizabeth, o ile nocowała w domu, mogłaby pomyśleć, że wnuczka ją sprawdza. Chociaż Sky nie uważała się za romantyczkę ani za osobę przesadnie sentymentalną, musiała przyznać, że poraża ją myśl o dwojgu starych ludziach, którzy ponownie się odnaleźli po tylu latach. Tylko choroba Daniela, z powodu której nie mieli przed sobą dużo czasu, psuła tę idyllę.

Miała już wrócić na kanapę, gdzie oczekiwała przedtem na Vaughana, kiedy doszła do wniosku, że zamiast siedzieć bezczynnie, może pożytecznie wykorzystać czas do chwili poja-wienia się Lynskeya. Irlandzka książka telefoniczna okazała się bardzo zawila i połapanie się w niej zajęło Sky sporo czasu. Poza tym, najwidoczniej wciąż trwała przerwa na lunch, choć było już po drugiej, gdyż pod pięcioma numerami telefonów Sky nie zastała ani jednej osoby za biurkiem. Przy szóstym połączeniu telefonistka, która okazała się przyjazną duszą, wyja-

śniła, że w tak słoneczny dzień trudno złapać kogokolwiek w pracy.

- Najwcześniej można się go spodziewać z powrotem kwadrans po drugiej, moja droga.

- Jak długo trwa zwykle przerwa na lunch? - spytała Sky ze zdumieniem.

- No cóż, teoretycznie mamy półtorej godziny wolnego, lecz nikt nie bierze nikomu za złe kilkuminutowego spóźnienia, szczególnie w tak piękny dzień jak dzisiaj. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość od pani?

- Nie, dziękuję. Zadzwonię później.

Sky odłożyła słuchawkę. Półtoragodzinny lunch, który mógł się nawet przeciągnąć?

Cóż za dziwaczny pomysł! Sama nigdy nie była szczególnie zainteresowana jedzeniem. Nie *R S* wiedziałyby, co począć z tak ogromną ilością czasu.

Lynskeya nadal nie było widać. Sky znalazła numer organizacji Amnesty International i wybrała go, nie zważając na męczyznę za swymi plecami, który ostentacyjnie westchnął.

Rozmyśliła się jednak.

- Telefon jest do pańskiej dyspozycji. Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać -

powiedziała, wyjmując kartę.

Postanowiła osobiście zajrzeć do gmachu filharmonii, który mieścił się po drugiej stronie ulicy. Liczyła na to, że skoro konferencja została zaplanowana na jutrzejszy wieczór, ktoś z członków

komitetu organizacyjnego na pewno będzie czuwał nad ostatnimi przygotowa-niami.

Rozdział 38

Wnętrze foyer Filharmonii Narodowej było wysokie, przestronne i prawie całkiem puste. Jedyne przy stolikach w małej kawiarni siedziało kilka osób. Urzędniczka w recepcji oderwała tęskne spojrzenie od słońca za oknem, kiedy Sky zwróciła się do niej z pytaniem.

Oświadczyła, że o ile jest jej wiadomo, w całym gmachu nie ma nikogo z Amnesty International.

- Nie, proszę zaczekać, skłamałabym... widzę jedną z organizatorek konferencji, panną Tuffy - powiedziała, wskazując ręką kobietę wychodzącą z kawiarni.

- Przepraszam. - Sky pośpiesznie zastąpiła drogę nieznamym.

- Słucham? - Niska osóbką o kręconych włosach i wesołym spojrzeniu czarnych oczu zatrzymała się na stopniach przed frontowymi drzwiami.

Reporterka przedstawiła się, a kiedy miała już pewność, że zwraca się do właściwej osoby, od razu przystąpiła do sedna:

- Słyszałam, że jutro wieczorem będziecie tu gościć pewną ważną osobistość?

- Czy mogłaby pani powtórzyć nazwę gazety, dla której pani pracuje? - Kobieta manipulowała przy jednym ze swych kolczyków.

- Dla „Butte Courier”. Na pewno nie słyszała pani o niej, panno Tuffy, gdyż wydawana *R S* jest w Montanie, w Stanach Zjednoczonych.

- To nie do wiary, że wieść tak prędko się rozniosła. - Kobieta się roześmiała. - No cóż, ma pani rację... - spojrzała na wizytówkę Sky - ...panno MacPherson. Czeka nas ekscytujący wieczór. Czy chciałaby się pani zapoznać z naszymi publikacjami?

- Wolno spytać, kto przybywa? - Sky wyciągnęła swój notatnik.

- Naboom Kebele... - Kobieta urwała, patrząc z ukosa na swą rozmówczynię.

Sky okazała uprzejme zainteresowanie, nadal trzymając pióro zawieszony w powietrzu:

- Tak, wiem, widziałam jego nazwisko na plakatach. Czy ktoś jeszcze?

- Nie przyjechała pani tutaj z powodu konferencji, prawda? - Twarz kobiety przybrała sceptyczny wyraz.

- Nie.

- Czy zna pani kogoś z tutejszych dziennikarzy? Na przykład Eamonna Vaughana?

Albo kogoś z redakcji BBC w Londynie?

- Nie. Przechodziłam tędy i przeczytałam ogłoszenie.

- To skąd pani wie o przyjeździe ważnej osobistości? Oprócz Nabooma Kebelego, oczywiście.

- Och, plotki szybko się roznoszą - improwizowała Sky. - Powiedzmy, że choć pani nigdy nie słyszała o mojej gazecie, są tacy, którzy ją tu znają. - Pod wpływem zażenowania aż zacisnęła palce U nóg: sama nie mogła uwierzyć, że w ten sposób się zachowuje.

- Umówmy się tak, panno MacPherson - powiedziała Jill Tuffy, powoli cedząc słowa. -

Jeśli pojawi się tu pani jutro na kwadrans przed otwarciem konferencji, osobiście o wszystkim panią poinformuję. Umieram ze zniecierpliwienia, żeby to zrobić. - Odrzuciła maskę obojęt-ności. - Proszę mi wierzyć, nie zawiedzie się pani. Jego wizyta to wiadomość na pierwsze strony gazet. - Umilkła, uświadamiając sobie, że wyjawiała płeć gościa.

Sky udawała, że tego nie spostrzegła.

- Montana jest osiem godzin w tyle za czasem europejskim i jeśli przybycie tej osobistości jest rzeczywiście smaczkowym kąskiem dla mediów, dzienniki ze Wschodniego Wybrzeża wyprzedzą moją gazetę w podaniu informacji. Czy nie może mi pani podsunąć jakiejś sugestii?

- Osoba ta nigdy nie była jeszcze w naszym kraju. To wszystko, co mogę obecnie wyjawić. - Organizatorka konferencji Amnesty International ponownie się zawahała. - I nikt, szczególnie w Republice Irlandii nie przypuszczał, że on... że osoba ta postawi stopę na naszej ziemi. Nie mogę dodać nic ponadto. I tak już powiedziałam zbyt wiele.

R S

Sky zgodziła się przyjść kwadrans przed konferencją, choć wątpiła, czy panna Tuffy dotrzyma umowy, gdyż do tego czasu mogła znaleźć grubszą rybę ze światowych mediów.

Kiedy stała na krawężniku, czekając na przerwę w ulicznym ruchu, która umożliwiłaby jej przejście na drugą stronę ulicy do hotelu „Conrad”, dostrzegła Lynskeya. Serce zabiło jej mocniej, lecz natychmiast je uciszyła.

Zauważył ją od razu i pomachał ręką, lecz kiedy się zbliżył, Sky spostrzegła ze zdumieniem, że Fergus sprawia wrażenie zdenerwowanego. Nie przypominał owego pewnego siebie światowca z Montany.

- Jadłaś już lunch? - spytał, cmokając ją w policzek.

- Cała Irlandia właśnie je lunch, jak zdążyłam zauważyć. Nic nie powiedział, tylko wziął ją pod rękę i niezbyt delikatnie pchnął w wybranym przez siebie kierunku.

- Pójdziemy do O'Dwyera. Tam zrobią nam przyzwoite kanapki.

- Ojej! - wyswobodziła ramię. - Po co ten pośpiech? Może wcale nie mam ochoty na jedzenie? Poza tym czeka mnie mnóstwo pracy.

- Och, przepraszam. Nie poświęcisz mi nawet dziesięciu minut, Sky? Dobrze mi robi, jak posiedzę przez chwilę w przyzwoitym towarzystwie. - Był tak przygnębiony, że skapitu-lowwała.

Wnętrze pubu - świeżo oddanego do użytku albo odnowionego - błyszczało od ciemnego lakierowanego drewna. W lokalu było niewiele osób. Lyskey pamiętał, żeby przed zło-

żeniem zamówienia porozumieć się ze Sky co do wyboru menu. Kierując się jego radą, zgodziła się na szklankę piwa Guinness. Jednakże kiedy je otrzymała, stwierdziła, że ma ono smak orzechowy. Zaskoczyła ją też gęsta konsystencja napoju.

- Czy jest bardzo mocne?

- Jedna szklanka na pewno ci nie zaszkodzi. - Lyskey pociągnął solidny łyk ze swego kufła. - Wspaniale działa na skołatane nerwy. Jak poradziłaś sobie z Vaughanem?

Udzieliła Fergusowi wymijającej odpowiedzi, kiedy jednak wyciągnął rękę i w roztargnieniu dotknął szafirów, zauważyła, że nie słucha.

- Są naprawdę piękne.

Ciało Sky, reagując na jego dotyk, sygnalizowało jej, co się dzieje między nimi teraz, kiedy mężczyzna przesuwając palcem nie tylko po naszyjniku, lecz także po jej skórze. Już przedtem zauważyła, że podróże powietrzne zawsze potęgują jej seksualne napięcie i być mo-

że obecne sygnały były nie tyle wywołane dotknięciem dłoni Lyskeya, ile lotem samolotem.

R S

Cokolwiek spowodowało owo doznanie, straszliwe go pożądała.

- Przestań, proszę. - Odstawiła szklankę z piwem na kontuar.

- O co chodzi? - Zignorował prośbę, pochylił się do przodu i pocałował Sky.

- To nie fair. - Rozejrzała się po lokalu, nikt jednak nie zwracał na nich uwagi. Spojrzała mu prosto w oczy. - Wiesz, że teraz to niemożliwe. Oboje jesteśmy zbyt zajęci.

- Twój hotel znajduje się zaledwie dziesięć minut stąd.

- Muszę popracować, Lyskey.

- A sądzisz, że ja nie?

Niemal dostrzegła iskry w powietrzu, a już z pewnością je wyczuwała.

Siedzieli zwrócenii twarzami do siebie, gdy podeszła do nich barmanka, stukając obca-sami na drewnianej podłodze.

- Dwie kanapki z szynką i z serem - oświadczyła, kładąc zamówienie na kontuarze przed nimi.

- Dziękujemy. - Lyskey nie odrywał wzroku od Sky. - Proszę nie zabierać kanapek.

Wrócimy po nie później.

Rzucił garść monet na ladę i oboje, w zgodnym duecie, zsunęli się ze stołków. Nie odezwali się do siebie, dopóki nie znaleźli się w łóżku.

Młoda wdowa po kierowcy półciężarówki, który zginął w wypadku w Killybegs, zapamiętała pielila kwiatową rabatkę w ogrodzie przed domem. Nie mogła ścierpieć siedzenia w salonie i z coraz większym trudem znosiła wyraz wiecznego zatroskania na twarzach otaczających ją osób. Nie miała ani chwili dla siebie: wszyscy członkowie jej licznej rodziny radzili przy herbacie o jej przyszłości. Łzy - żalu oraz złości do świata, męża i do Boga -

spływały jej po nosie, gdy mocowała się z upartym i większym od marchwi korzeniem mle-cza. Złamał się na pół, gdy próbowała go wyrwać i głośno krzyknęła, dając upust swojej fru-stracji.

Kiedy kobieta się wyprostowała, aby odgarnąć kosmyk włosów z oczu, spostrzegła zmierzającego ulicą w jej stronę kapitana trawlera „Agnes Monica”, Właśnie został zwolniony z posterunku policji z uwagi na brak istotnych obciążających go dowodów. Sądząc po minie mężczyzny, chciał złożyć kondolencje.

W sercu kobiety eksplodowała nienawiść i zazdrość: ten oto człowiek żył i cieszył się wolnością, podczas gdy jej ukochany mąż leżał martwy, na zawsze uwięziony w drewnianej skrzynce.

R S

Wbiegła do domu.

Hotelowy bar, gdzie Rupert de Burgh spotkał się ze swoimi amerykańskimi towarzy-szami, był świeżo odnowiony i zbyt przestronny, aby spiskowcy czuli się w nim swobodnie.

Ponadto hotel, w którym Kanadyjczyk wynajął pokój, znajdował się zbyt blisko posterunku policji przy Store Street. De Burgh przeoczył ten szczegół w swych planach. Zabrał więc obu mężczyzn na dworzec kolejowy Connolly, po drugiej stronie ulicy. Kawa na zatłoczonym pe-ronie miała metaliczny zapach.

De Burgh zamówił trzy kubeczki kawy i zaniósł je do stolika. Flynn miał ze sobą no-wą, sportową torbę Adidasa, którą ścisnął, jak gdyby zawierała bezcenne perły. De Burgh nigdy osobiście nie

spotkał Kanadyjczyka, wiedział jednak, że jest zamożny. Zdziwił się na widok ptasiej szyi mężczyzny, krótko ostrzyżonych włosów oraz tanich ubrań. Jednakże oczy Flynn miał bystre; de Burgh wiedział, że człowiek ten jest znacznie potężniejszy, niż mogłyby wskazywać na to pozory, i niedoceniecie go byłoby błędem.

Joe Mason wyglądał niemal dokładnie tak, jak de Burgh go zapamiętał: tęgi, z wydatnym brzuchem i tego typu końską twarzą, jaka zwykle przekazywana jest w genach z pokolenia na pokolenie. Według opinii, którą sobie wyrobił o nim Rupert podczas całonocnej rozmowy w Kalifornii, Amerykanin był inteligentny, ale także uparty, co zawsze stanowiło niebezpieczną kombinację.

- Co się znajduje w tej torbie? - spytał Flynn.

- Portfel i rzeczy osobiste. Pomyślałem, że podkreśli mój wizerunek turysty.

- I podkreśla. Nie możemy siedzieć tutaj zbyt długo. - Podsunął obu mężczyznom fili-

zanki. - Mam dla was paczkę. - Przyniósł ze sobą walizkę, do której zapakował dwa pistolety oraz dwa półautomatyczne karabiny maszynowe wraz z amunicją. - Czy wiecie obaj, jak po-sługiwać się tym wszystkim?

- Odbylem szkolenie - oświadczył Flynn.

- Znam się na tym i nie ma potrzeby wyjaśniać, w jaki sposób zdobyłem tę umiejętność. - Mason skrzywił się, wypiwszy łyk kawy - szarej i wodnistej niczym pomyje.

- Jesteście zapewne świadomi, że ta broń stanowi jedynie pewną formę zabezpieczenia.

- De Burgh zmierzył wzrokiem parę nowo przybyłych gości, którzy właśnie sadowili się nieopodal, i ściszył głos. - Oczywiście będzie naładowana, mam jednak nadzieję, że nie będziecie musieli jej użyć.

I oczywiście nie będziecie wiedzieć, co zamierzamy zrobić, dopóki wam tego jutro ra-R S

no nie powiem... pomyślał, podnosząc filiżankę do ust.

- W torbie znajdziecie również rozkład jazdy do Bodenstown oraz informacje, kto przyjedzie na manifestację, a także inne szczegóły - powiedział, nie poruszając ustami. - Czy któryś z was widział już to miejsce? - zwrócił się do Flynn.

- Byłem tam dzisiaj rano i ponownie zamierzam się tam wybrać późnym wieczorem wraz z panem Masonem. Uroczy zakątek, muszę przyznać, i te wzgórza w oddali! Ale kierowca mojej taksówki nie wiedział, gdzie to jest. - Zmarszczył brwi. - Czy możecie to sobie wyobrazić! Jedno z naszych uświęconych przez historię miejsc, a on nigdy tam nie był! -

Flynn na moment zamilkł, nim znowu podjął wypowiedź: - Niepokoi mnie pewna sprawa, panie de Burgh. Powiem otwarcie: cmentarz w Bodenstown wydaje się zbyt duży do przeprowadzenia takiej akcji. I jest o wiele bardziej otwarty, niż to sobie wyobrażałem. Czy nasza misja przypadkiem nie

okaże się skazana na niepowodzenie? Czy we trzech zdołamy wykonać zadanie zaplanowane dla dziesięciu?

De Burgh uważnie przyglądał się obu mężczyznom. Obie pary wpatrujących się w niego oczu miały jedną wspólną cechę: stłumiony błysk fanatyzmu.

- Pozwólcie, że będę równie szczery. - Odsunął na bok filiżankę. - Zadanie nie będzie łatwe, a sytuacja uległa drastycznej zmianie, lecz jeśli uznamy, że to, co zamierzamy zrobić, jest ważne, i może mieć znaczące skutki polityczne, to uważam, że nie powinniśmy się wa- hać. I choć z uwagi na udział w marszu znanych działaczy liczebność sił policyjnych zostanie powiększona, to nikt w najbliższych dniach nie spodziewa się kłopotów w Bodenstown. Bę-

dziemy uzbrojeni, a o naszej przewadze stanowi element zaskoczenia. - Umilkł, pozwalając, aby słowa te głęboko zapadły w świadomość obu mężczyzn i, ku swej satysfakcji, spostrzegł

wymianę spojrzeń pomiędzy nimi. - Decyzja jednak należy do was - mówił dalej. - To wy znajdziecie się na pierwszej linii. Proszę, nie czujcie się zobowiązani do uczestniczenia w akcji za wszelką cenę. Być może kiedyś nadarzy się inna okazja.

Amerykanin i Kanadyjczyk spojrzeli po sobie.

- Uważam, że w końcu muszę coś zrobić. Zbyt długo trzymaliśmy się na uboczu - odezwał się Flynn; jego wiara najwyraźniej była niezachwiana.

Mason przejawiał większą powściągliwość w wyrażaniu swych opinii.

- Chyba nie mamy nic do stracenia - mruknął w końcu. - I przyznaję, że należy im się przeciwstawić. Nie jestem jednak przekonany o powodzeniu akcji... Teraz, kiedy zostało nas tylko trzech...

R S

De Burgh poważnie się zaniepokoił. Obaj byli mu potrzebni, jeśli jego plan miał mieć jakąkolwiek szansę powodzenia. Musiał teraz znaleźć sposób, by oszukać ich uwagę.

- Proponuję, żebyśmy nie podejmowali żadnych decyzji, dopóki nie będę dysponował

ostateczną listą uczestniczących w marszu osób. - Łudził się, że jego sugestia zabrzmiała uspokajająco. - Dzisiejszego wieczora nie musimy jeszcze nic postanawiać. Przygotowania nie są na tyle zaawansowane, abyśmy nie mogli się wycofać z akcji, jeśli obleci was strach.

Skontaktuję się z wami po odprawie, na którą muszę się stawić o ósmej wieczorem. A jutro, zgodnie z ustaleniami, skoro świt przyjdę zobaczyć się z wami. Czy nie mieliście kłopotów ze znalezieniem pubu?

Ostatnie spotkanie miało się odbyć w lokalu czynnym od wczesnych godzin rannych i usytuowanym nieopodal ich hotelu. Fakt, że zostało zaplanowane na piątek, gwarantował, że w pubie będzie się roiło od gości.

- Jeśli chodzi o mnie, nie mam zastrzeżeń co do planu - ponownie odezwał się Flynn.

Rupert zauważył jednak, że Mason nic nie powiedział.

- W porządku. - Wstał z miejsca. - Porozmawiamy o tym później. - Rozejrzał się po stolikach wokół, aby ponownie się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje i podniósł głos: -

Życzę szczęśliwej podróży... - Zostawił walizkę przy nogach Kanadyjczyka, opuścił kawiarnię i zszedł po schodach na dudniącą echem stację.

Zbyt długo czekał na tę chwilę, aby teraz, kiedy niemal trzymał księcia w garści, miał

mu pozwolić się wywinąć. A na zwerbowanie dodatkowej pomocy nie było już czasu. Musiał

więc utrzymać tych dwóch po swojej stronie, bez nich szanse na sukces były nikłe. Od samego początku zakładał, że nie pozwoli im zrealizować własnego planu. Co z tego, iż uda im się zatrzymać premiera na kilka minut, a nawet ogłosić swą proklamację? Choćby i dziesięciu spiskowców uczestniczyło w akcji w Bodenstown, de Burgh - w przeciwieństwie do swych partnerów z drugiej strony Atlantyku - nie miał złudzeń co do tego, jak ich działanie i deklaracje zostałyby przyjęte przez resztę świata. Wyobrażenia emigrantów ze Stanów o Irlandii były jak pamiątka zachowana dla następnych pokoleń, podczas gdy jego plany w związku z księciem należały do sfery polityki realnej.

Dopiero na jutrzejszym porannym spotkaniu zamierzał im wyjawić, jakie role mają odegrać. Był pewien, że zdoła ich przekonać, aby zostali przy nim. Przedtem musiał się jednak dowiedzieć, na którą dokładnie godzinę zaplanowana jest wizyta księcia w Muzeum Historii Naturalnej. To tam zamierzał wykonać najważniejszy ruch.

R S

Możliwe, że powodem decydującym o wyjątkowości ich fizycznych zbliżeń był fakt, iż zawsze dochodziło do nich w najmniej odpowiednich okolicznościach. Sky odwróciła się na plecy i odgarnęła z oczu włosy, które znowu stały się wilgotne i lepkie. Uniosła w górę łokcie, delektując się widokiem napiętej, sprężystej skóry, której każdy centymetr kwadratowy był gładki jak jedwab. Rozkoszując się owym doznaniem, wyprostowała najpierw jedną rękę, aż znalazła się pod właściwym kątem do ramienia, a potem drugą. Myśli Sky dryfowały z wolna niczym żdźbła słomy po tafli spokojnego jeziora.

Powinna zacząć się ubierać: za niespełna godzinę miała się spotkać z Vaughanem. Jej ubranie, podobnie jak i Lynskeya, walało się po wszystkich kątach pokoju. Wnętrze pomieszczenia było upstrzone cętkami rozproszonego przez koronkowe firanki światła, które wpadało do środka przez dwa okna o przesuwanych pionowo częściach. Sky spakowała tylko dwie letnie sukienki i teraz łudziła się, że ta pognieciona, leżąca na podłodze, wciąż będzie się nadawać do włożenia. Na razie nie zwracała sobie jednak tym głowy. Pragnęła jedynie za-paść w lekki, niekończący się sen.

Lynskey, który leżał na plecach obok niej z rozpostartymi nogami, dopiero teraz odzyskał oddech.

- Jezu, Mario i Józefie! - wydyszał. - Myślałem już, że to się nigdy nie skończy. Sądzi-

łem... że umieram. To najlepsze z moich dotychczasowych doświadczeń. - Dźwignął się w górę na łokciu i pocałował Sky w ramię. - Jesteś zdumiewająca. Oboje jesteśmy zdumiewają-
cy.

- Hm - Wtuliła twarz w wilgotne wgłębienie poniżej jego obojczyka. - Kim jest owa tajemnicza osobistość, która przyjeżdża jutro na konferencję organizacji Amnesty International?

Spojrzał na nią z wyrazem przerażenia na twarzy, a potem się szarpnął, jak gdyby przeszła go kula.

- Nie było to zbyt przebiegłe pytanie, Sky!

Nie zamierzała go indagować, teraz jednak, kiedy padły już te słowa, nie miała odwrotu:

- Powiedz mi, proszę, Fergusie. - Usiłowała pogłaskać go po plecach. - Czy to z powodu tej wizyty zostałeś wysłany do Stanów? - Ona również podparła się na łokciu i przytuliła do niego.

- Postępujesz nieuczciwie! - zawołał porywczo, odpychając ją od siebie i siadając na *R S* łóżku. - Wiesz, że nie mogę tego zdradzić. - Sięgnął po koszulę i zaczął się ubierać.

- Daj spokój, Lynskey. - Wszelka senność nagle zniknęła i Sky poczuła się rozdrażniona. - Wielka mi sprawa! Ty zachowałeś się podobnie w Butte. Podstępnie wyciągnąłeś ode mnie wiadomości o Danielu Treacym.

- Czy mam rozumieć, że chęć uzyskania tej informacji była jedynym powodem, dla którego robiliśmy przed chwilą to, co robiliśmy? - Zmierzył ją wzrokiem, a jego twarz, i tak już pociągła, nieprawdopodobnie się wydłużyła.

- Aha! - Sky usiadła również. - Wreszcie dotarliśmy do sedna! To dlatego znaleźliśmy się w moim łóżku w Butte?

Patrzyli na siebie ze złością. Niedawna bliskość poszła w zapomnienie albo została zbyt boleśnie obnażona; Sky nie dostrzegała żadnej różnicy.

Lynskey odwrócił od niej wzrok i spojrzał w stronę okna, a kiedy się odezwał, brzmienie jego głosu świadczyło niemal o poczuciu samotności:

- Źle to wszystko pojmujesz, Sky. Francuzi mają powiedzenie, że kobieta powinna przedtem stawiać żądania, a mężczyzna potem...

Gdy Rupert de Burgh zmierzał korytarzem do swego biurka w głównej kwaterze policji, dostrzegł pewnego mężczyznę, którego znał prywatnie. Drzwi gabinetu głównego inspektora zamknęły się właśnie za ekspertem do spraw bezpieczeństwa. De Burgh widywał go wcześniej na wystawach sprzętu komputerowego i elektronicznego. Dla Ruperta, w którego wyobraźni zgubny kawałek gumy pod biurkiem szefa urósł do rozmiarów pęku rabarbaru, istniało tylko jedno wyjaśnienie obecności

specjalisty.

Ponieważ widział go w przelocie, nie zdołał stwierdzić, czy mężczyzna miał przy sobie jego aparaturę podsłuchową. I zanim się zastanowił, co zamierza powiedzieć, zapukał do drzwi Daly'ego.

- Chwileczkę! - Dobiegł go z gabinetu głos szefa. Po chwili drzwi się otworzyły. - Och, to ty, de Burgh. - Inspektor wyglądał na zdenerwowanego. - O co chodzi?

Rupert niepostrzeżenie rzucił wzrokiem ponad ramieniem Daly'ego, lecz nie dostrzegł żadnych urządzeń.

- Proszę mi wybaczyć - bąknął. - Widzę, że jest pan zajęty. Przyjdę później. - Wycofał się i popędził w stronę biura, które dzielił wraz z innymi policjantami.

- Och, proszę zaczekać, właśnie przyszedł - powiedział jeden z nich.

- Kto telefonuje? - spytał Rupert, odbierając słuchawkę i przykładając ją do piersi: nie *R S* czuł się na siłach, aby zajmować się czymś jeszcze poza własnym palącym problemem.

- Ktoś z Killybegs. Twierdzi, że to pilne.

- Halo?

Czując ucisk w żołądku, wysłuchał informatorki, która powiedziała mu o grocie, gdzie zostały ukryte poszukiwane narkotyki. To była ostatnia wiadomość, jakiej dzisiaj potrzebował. Rozejrzał się po pokoju, lecz trzech koledzy z czterech prowadzili rozmowy telefoniczne, a czwarty coś zapamiętane notował.

- Dziękuję - powiedział cicho. - Mamy tu dzisiaj istne urwanie głowy, ale niezwłocznie się po to wybierzemy. Czy zechciałaby pani podać swoje nazwisko? Chciałbym się także dowiedzieć, gdzie moglibyśmy się potem spotkać? - Rozmówczyni rozłączyła się i Rupert został

z buczącą słuchawką w dłoni.

Zastanawiał się, czy nie zlekceważyć tej informacji, ale kobieta prosiła o rozmowę właśnie z nim. Wiedział, że jeśli nieznajoma w ciągu kilku następnych godzin nie zauważy ruchów ze strony policji, zadzwoni ponownie - i wtedy wybierze kogoś na wyższym stanowisku.

Nagle wpadł na pomysł, jak wykorzystać tę wiadomość dla własnych celów.

Wybiegł z pokoju i pędem pognał korytarzem w stronę gabinetu szefa. Tym razem zapukał w bardziej zdecydowany sposób.

- O co chodzi? - Ryk głównego inspektora słyhać było chyba na ulicy.

Rupert otworzył drzwi i wsunął w nie głowę.

- Wiem, że obiecałem zaczekać, szefie, ale przychodzę ze sprawą niecierpiącą zwłoki. -

Następnie zwrócił się do elektronika, nie dając po sobie zauważyć, że go rozpoznał. - Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale to naprawdę ważne.

Modlił się w duchu, aby główny inspektor nie wyszedł na korytarz, lecz wyprosił eksperta z gabinetu. Modły Ruperta zostały wysłuchane.

- Nie ma problemu. - Spec od bezpieczeństwa zerwał się na równe nogi. - Pójdę na filiżankę kawy. Wiem, gdzie mieści się kantyna.

De Burgh uśmiechnął się przepaszająco, gdy mężczyzna wyminął go w przejściu, a potem podszedł do biurka i zajął przy nim miejsce. Usunął gumę w ciągu trzech sekund. Nie przewidział tylko, że zostanie odesłany do Killybegs.

- Czy mogę prosić o przysługę, szefie? - Po głowie galopowały mu rozpaczliwe myśli.

- O co znowu chodzi? Wyruszaj w drogę, de Burgh, i niezwłocznie zajmij się tą sprawą. Nie ma czasu na dyskusje.

- Czy pozwoli pan, że będę szczery? - Rupert utkwiał wzrok w swym rozmówcy po drugiej stronie biurka, pragnąc żarliwie, aby szef zechciał go wysłuchać.

Główny inspektor westchnął:

- Jestem bardzo zajęty, de Burgh.

- Rozumiem. Chciałbym jednak prosić, aby ktoś mnie zastąpił w Killybegs, przynajmniej do czasu póki nie uporam się z moimi osobistymi problemami.

- Co to za problemy? Lepiej, żeby były istotne.

- Moja żona dowiedziała się dzisiaj rano, że jest w ciąży. Szef zmrużył oczy i w milczeniu zmierzył go wzrokiem.

- No i? - spytał w końcu. - Sądziłem, że to siostra pańskiej małżonki jest w odmiennym stanie.

- To prawda, lecz szwagierka lada dzień oczekuje rozwiązania. Dzisiejsza poranna nowina całkowicie wytrąciła moją żonę z równowagi.

Dwie minuty później, zwolniony z zadania i niemal oszołomiony z ulgi, znalazł się z powrotem na korytarzu.

Rozdział 39

Hałaśliwe pobrękiwanie naczyń i zgiełk prowadzonych rozmów sprawiały, że przestronna stołówka telewizji RTE, mieszcząca się w jednopiętrowym budynku z oknami od podłogi po sufit z trzech stron, przypominała klatkę z papugami kakadu. Eamonn Vaughan, ciągnąc za sobą Sky, szukał wolnego stolika.

- O, chodźmy tam - wypatrzył jeden pod oknem.

Po chwili Sky, siedząc z obolałymi ze zmęczenia nogami, obserwowała ze zdumieniem, jak Eamonn posypuje sadzone jajka i frytki lawiną białego proszku. Przypominał w tym Lyskeya: najwidoczniej Irlandczycy mieli bzika na punkcie soli.

Sky i Lyskey rozstali się, jeśli nie jak wrogowie, to z pewnością nie jak para szczęśliwych kochanków. Fergus odszedł nadąsany, gdyż uważał, że próbowała go wykorzystać, i im bardziej tłumaczyła, że ona pierwsza miała prawo zarzucić mu to samo, tym bardziej się przed nią zamykał. Wprost nie mogła uwierzyć, że znają się od tak niedawna. Chociaż okre

ślenia „dni” i „tygodnie” ostatnio niewiele dla niej znaczyły, obliczyła, że poznali się zaledwie przed dziesięcioma dniami. A pomimo to ciągle się ze sobą spierali, jak gdyby łączyła ich wieloletnia zażyłość. Wzięła do ust kawałek lazanii, próbując odsunąć od siebie myśli o Lyskeyu.

Ani ona, ani irlandzki dziennikarz nie poczynili żadnych postępów w rozwikłaniu za-gadkowych historii, którymi się zajmowali. Vaughan przez całe popołudnie zajęty był opraco-wywaniem materiałów do wieczornych wiadomości. Sky natomiast, przedstawiając fakty w nieco zawoalowanej formie, usprawiedliwiała się, że była zanadto zmęczona po podróży i spędziła kilka godzin w łóżku.

- Nic się nie stało - zapewnił Vaughan, pałaszując swoje danie. - Teraz będę miał trochę więcej czasu. Pójdziemy razem do mojej redakcji i skorzystamy z telefonów.

Wyglądało na to, że Eamonn jest telewizyjnym gwiazdorem w Irlandii i to bardzo po-pularnym. Wielokrotnie przerywano im posiłek, gdyż do stolika podchodzili ludzie, przynoszący różne plotki.

- Wszyscy są tu bardzo mili - stwierdziła Sky, kiedy na chwilę zostali sami. - Praca w takim miejscu musi być prawdziwą przyjemnością.

- Jesteś tu nowa, wstrzymaj się więc na razie z opiniami. Czy możemy już iść?

Zanim zdolali wstać od stolika, znowu zagadnął ich jakiś mężczyzna, który mógłby wykonywać zawód modela z racji permanentnie uśmiechniętej twarzy. Sky nie dosłyszała jego nazwiska. Był dziennikarzem telewizyjnym i prowadził przyrodnicze programy dla dzieci.

- Butte w Montanie? - powtórzył. - To jedno z tych miejsc, jakie przez całe życie chcia-łem zobaczyć.

I zaczął rozwodzić się nad projektem, którym od dawna starał się zainteresować zespół

redakcyjny działu wiadomości: aby na zakończenie biuletynów informacyjnych raz w tygodniu nadawano materiały poświęcone zwierzętom żyjącym w warunkach naturalnych.

- Choćby raz w miesiącu. Tematyka ta zaciekałaby telewidzów, zapewniam cię, Eamonnie. Nawet mieszkańców miast. Powinieneś przejrzeć moją korespondencję; wciąż pojawiają się w niej pytania dotyczące srok, lisów i myszy.

- Nie musisz mnie przekonywać do tego projektu. Dobrze wiesz, że przekazałem go mojej redakcji, nikt jednak nie był zainteresowany. - Vaughan ponuro pokręcił głową.

- Spróbuj jeszcze raz, zgoda?

- W porządku.

R S

Eamonn wstał i Sky również podniosła się z miejsca. We trójkę opuścili stołówkę i ruszyli w stronę budynku z arkadami, gdzie najwidoczniej mieściło się studio telewizyjnych wiadomości.

- Widziałem dzisiaj coś niezwykłego - oświadczył przyrodnik, gdy zbliżali się do wa-hadłowych drzwi. - Odwiedziłem z grupą dzieciaków Muzeum Historii Naturalnej i choć jestem tam stałym bywalcem od wielu lat, po raz pierwszy zobaczyłem coś, co w nazewnictwie muzealnym można by określić jako „szaleńcza aktywność”. - Roześmiał się. - Dostrzegłem troje ludzi, którzy biegali jak koty z pęcherzami. Był to cały personel, ponieważ dyrektor wyjechał. Czy nie zechciałbyś zrobić reportażu o tej instytucji, Eamonnie? To wstyd, że tak bardzo się ją zaniedbuje.

- A co było powodem tego zamieszania? - Vaughan pomachał na powitanie innemu koledze po drugiej stronie trawnika.

- Też chciałbym to wiedzieć. Oczywiście nie udzielili mi żadnych wyjaśnień, ale wyjęli z gabloty jeden z moich ulubionych okazów - być może w związku z wystawą, którą obiecali zorganizować. Pewnie nie słyszałeś o nowym okazie kulika eskimoskiego, którego ostatnio znaleziono?

- Nie.

Sky widziała, że Vaughan nie jest zainteresowany tematem, a jedynie sili się na uprzejmość. Po dotarciu do drzwi zatrzymali się, ponieważ miłośnik przyrody nie wchodził

do studia.

- To mały ptaszek, uważany za relik... nieważne. - Spostrzegł w końcu, że jest odosobniony w swym entuzjazmie. - Temat ten interesuje jedynie ornitologów.

- Może wybiorę się tam kiedyś razem z moimi dziećmi. Do zobaczenia... - Vaughan pchnął drzwi, a potem się cofnął, przepuszczając Sky przodem.

W trakcie pokonywania zgrabnych schodów z balustradą, prowadzących z holu na drugie piętro

telewizyjnego budynku, Sky nie dawało spokoju słowo „ornitolodzy”. Miało pewien wydźwięk, którego nie potrafiła określić, nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że ostatnio gdzieś już się z nim zetknęła i że może być ważne.

W redakcji wiadomości pomimo pracowitej atmosfery panowała cisza. Dominującym odgłosem był stukot klawiatur komputerowych. Vaughan zaprowadził Sky do małego gabinetu.

- Rozgość się. Nikt nie będzie ci tutaj przeszkadzał. Wybierz dziewiątkę, jeśli będziesz *R S* chciała wyjść na miasto.

Sky skontaktowała się z Larsenem. Nie miał jej wiele do zakomunikowania, prócz nazwisk pozostałych aresztowanych osób. Zapisywała je pod dyktando i odniosła wrażenie, że wyczuwa jakiś dziwny ton w głosie szefa. Kiedy lista była już skompletowana, Sky spytała, czy nie stało się nic złego.

- Telefonowałaś do domu?

- Nie. - Niemal czuła, że coś zimnego legło jej na karku. - Jeszcze nie zdążyłam. Zamierzałam to zrobić po rozmowie z tobą. Dlaczego pytasz?

Zawahał się przez moment.

- Przykro mi, że to ja muszę przekazać ci tę smutną wiadomość: wczoraj po południu zmarł Daniel Treacy.

- Och! Nie! - A jednak w tej samej chwili ogarnęła ją ulga, że to nikt z jej bliskich.

Obawiała się, że wiadomość może dotyczyć Johnny. A potem pomyślała o babce.

- Muszę zatelefonować do domu, Jim. Moja babka...

- Nie zastaniesz jej tam. To ona wczoraj znalazła ciało. I wykazała godny podziwu hart ducha. Jedną z przyjaciółek twojej matki... nie mogę przypomnieć sobie jej imienia.

- Hermana? Buffy?

- Ta ostatnia. Twoja babka zatrzymała się u niej.

Najszybciej, jak to możliwe, Sky przekazała szefowi szczegółowe informacje - niestety bardzo skąpe - o postępach śledztwa w Dublinie.

- Choć obecnie niewiele mam do powiedzenia, istnieje szansa, że... - Spojrzała w stronę Eamonna Vaughana, który szeptał coś do swej słuchawki i nie zwracał na nic uwagi... - od-kryjemy powód wizyty Lynskeya w Stanach.

- Czy to ma związek z przeprowadzonymi tutaj aresztowaniami?

- Być może. - Zniżyła głos. - Jutro wszystko się wyjaśni.

Jako następny wybrała numer do Buffy, lecz nikt nie odpowiadał. W chwili kiedy się wyłączyła, zamajaczyło jej w myślach ulotne wspomnienie - tak mgliste i nieuchwytnie, że niemal gotowa była je zlekceważyć. Sky czuła jednak, że jest niezwykle ważne; wiedziała, że musi je wyłowić z pamięci i skupić na nim uwagę.

Nie przejmując się tym, co ludzie sobie pomyślą, jeśli ją zobaczą, położyła czoło na chłodnym, drewnianym blacie biurka. Mocno zacisnęła powieki, wyężając umysł, aby wspomnienie rozjaśniło jej myśli. Było to coś naprawdę bardzo istotnego... I miało związek *R S*

ze słowem „ornitolog”... Mocniej przycisnęła głowę, aż poczuła ból w kości czołowej...

W nagłym przebłysku świadomości uzmysłowiła sobie, co to takiego. Niczym kombinacja cyfr w zamku szyfrowym, którą należy ustawić prawidłowo, wszystko ułożyło się w całość: artykuł ze starego magazynu ilustrowanego, wzmianka pracownicy organizacji Amnesty International o tym, że owa ważna osobistość nigdy dotychczas nie była w Irlandii i nikt nie spodziewa się owej wizyty, komentarz Vaughana o niechęci okazanej mu przez pracownika ambasady brytyjskiej oraz poruszenie w Muzeum Historii Naturalnej, o którym wspomniał

dziennikarz z redakcji dziecięcej, a które przypisywał nowej ekspozycji rzadkiego ptaka - kulika eskimoskiego.

- To on! - wykrzyknęła tak głośno, że Vaughan przestał szeptać do telefonu i spojrział

na nią poprzez pokój. - Wiem, kto to jest, Eamonnie!

- Czy mogę panu przypomnieć, że począwszy od jutra obowiązuje zakaz zatrudniania w godzinach nadliczbowych? - Głos zabrał Rupert de Burgh, oficer, który zwykle milczał na odprawach.

Zarządzenie to nie było w smak naczelnemu komisarzowi policji. Wszyscy policjanci zostali ściągnięci z urlopów na najbliższy weekend, a pomimo to, w sytuacji kiedy miasto pę-

kało w szwach od gości, a konferencja organizacji Amnesty International dziesięciokrotnie zwiększała ryzyko zakłócenia spokoju publicznego, komisarz miał wątpliwości, czy liczebność służb porządkowych jest wystarczająca.

- Czy dowiemy się, kogo mamy ochraniać? - zadał pytanie jeden z siedzących na końcu stołu detektywów-inspektorów.

- Nie! - odpowiedź komisarza zabrzmiała ostrzej, niż sobie tego życzył. - Na razie nie -

dodał bardziej pojednawczym tonem. - Poinformujemy was o tym jutro wczesnym popołudniem, choć nadal będzie to wiadomość poufna. Tymczasem uwierzcie mi na słowo, panowie... i panie - skinął głową w kierunku kobiet zgromadzonych na sali - ...będziemy mieli do czynienia z niezwykle sytuacją. Wierzę, że i tym razem zdołamy jej sprostać. - Kiedy uważnie przyglądał się rzędowi poważnych twarzy, wcale nie był o tym przekonany.

Po przydzieleniu stanowisk poszczególnym pracownikom służby bezpieczeństwa i przekazaniu im planów ochrony trasy, którą tajemniczy gość miał przejeżdżać, szef policji najwyraźniej o czymś sobie przypomniał.

- De Burgh! - warknął - Bądź w kontakcie z Killybegs i pilnuj połowu. Chcę żebyśmy, dla odmiany, mieli jakieś dobre wiadomości dla prasy.

R S

- Mój kumpel jest na odprawie - Eamonn Vaughan rzucił słuchawkę na widełki. - Może ty spróbujesz złapać swego przyjaciela?

- Oczywiście.

Sky zebrała całą swą odwagę. Chociaż umówiła się z Lyskeyem na jutro, wiedziała, że poruszenie tematu, który stał się powodem ich waśni, nie będzie łatwe.

W duchu odetchnęła z ulgą, kiedy się okazało, że Lyskey, podobnie jak informator Vaughana, również jest na odprawie.

- Być może wszyscy zostali na nią wezwani. - Vaughan bębnił palcami po biurku. - Nie pozostaje nam nic innego, jak zatelefonować bezpośrednio do ambasady.

Ambasador brytyjski w Irlandii brał udział w uroczystym bankiecie, nie mógł więc odebrać telefonu od Vaughana. Lyskey pojechał w teren i nie skontaktował się ze Sky. Milczał również przyjaciel Eamonna z oddziału służb specjalnych.

Próbowali wszystkiego. Irlandzki dziennikarz obdzwonił niemal wszystkie instytucje, których numery były zamieszczone w książce telefonicznej, a pomimo to po dwóch godzinach nadal nikt nie potwierdził ich domysłów. Buffy nie odpowiadała w Butte, a Sky nie chciała telefonować do szpitala, aby nie niepokoić Johnny.

- Musimy ich przyprzeć do muru, po prostu nie mamy innego wyjścia.

Vaughan nerwowo krążył po małej kabinie, gdzie się schronili po powrocie użytkowników gabinetu, z którego przedtem korzystali. Sky padała z nóg ze zmęczenia. Martwiła się też, że zwracają na siebie zbyt wielką uwagę. Już wyobrażała sobie, jak jej sensacyjna wiadomość dostaje skrzydeł i ulatuje w przestrzeń, a informacja, której wraz z Eamonnem szukali, wpada w ręce innego dziennikarza i rozgłośnia radiowa RTE podaje ją przez całą noc w komunikatach.

Vaughan chwycił słuchawkę telefonu już po pierwszym sygnale.

- Słucham? W porządku, połącz mnie z nią. Halo! - Jego głos zniżył się i przybrał słodkie brzmienie. - Co mogę dla ciebie zrobić? Zabawne, ale mnie również obięło się to o uszy.

Ciekaw jestem, czy twoja informacja pochodzi z tego samego źródła. Nie... to ty powiedz pierwsza. - Wykrzywił twarz, patrząc w stronę Sky. - Rozumiem. Myślałem dokładnie o tym samym. Sądzę, że

masz rację... Nie żartuj... Chyba nie oczekujesz ode mnie, że ci powiem. -

Słuchał przez chwilę. - Zatem do zobaczenia. Wpadnij do nas, może wtedy będziemy mieli więcej informacji do przekazania sobie nawzajem. - Rzucił słuchawkę na widełki. - To była dziennikarka z BBC, która kiedyś pracowała dla naszej redakcji. Otrzymała tę samą poufną *RS*

wiadomość, ale nie ma pojęcia, o kogo chodzi. Zdołała jedynie wykluczyć niektóre osoby. Na pewno tym ważnym gościem nie jest John Major. Powiedziała również coś ciekawego: w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych chcieli do niej strzelać, gdy do nich zatelefonowała. Zaczynam wierzyć, że jesteś geniuszem, Sky.

Zdobyła się na uśmiech. Z pewnością nie uważała się za geniusza; czuła się raczej jak rozdeptany przez słonia królik.

Vaughan spostrzegł to w końcu.

- Jesteś straszliwie zmęczona, Sky. Dlaczego nie pójdziesz porządnie się wyspać? Za-mówię taksówkę. Obiecuję, że natychmiast skontaktuję się z tobą, gdy tylko o czymś się dowiem. I tak niewiele możemy zdziałać w środku nocy - ambasador z pewnością nam nie podziękuje, jeśli zadzwonimy do niego o tej porze. Zamierzam od rana zająć się tym od nowa.

Jestem jednak skłonny przypuszczać, że masz rację.

- Oszczędź mi szczegółów, Toby. Zadzwon, gdy będziesz wiedział o czymś konkretnym. Dobrze wiesz, że ja tutaj nie mogę mówić swobodnie.

Rupert de Burgh rozmawiał z aparatu w sypialni. Przyjaciel brata z Ministerstwa Spraw Zagranicznych przychodził wieczorem do jego mieszkania na spóźnioną kolację po przygotowaniu przemówienia, które miał wygłosić książę.

Rupert objął dłońmi głowę. Teraz, kiedy termin był tak bliski, musiał trzymać nerwy na wodzy, nawet gdy wszystkim wokół - hydraulikowi i Toby'emu - odmawiały posłuszeństwa.

Nawet Jerry Flynn zdradzał oznaki niepokoju, gdy zadzwonił; wyglądało na to, że i jego zapal nieco ostygł.

Dobrze przynajmniej, że Rupert został przydzielony do ochrony tajemniczego gościa.

Niestety, podobna rola przypadła również w udziale Fergusowi Lynskeyowi. Gdyby de Burgh mógł decydować o tym, kto powinien zostać odsunięty od owego zadania, z pewnością wybrałby właśnie tego człowieka.

Od owego burzliwego dnia w roku 1972, kiedy Fergus Lynskey pchnął Ruperta na obecną drogę za sprawą jednej przypadkowej wzmianki o możliwości wstąpienia do policji, de Burgh żył w strachu, że Irlandczyk o orlim nosie przypomni sobie okoliczności tamtego spotkania i domyśli się jego zamiarów. Okres szkolenia w Templemore był trudny dla wszystkich rekrutów, lecz Rupert miał

dodatkowe obciążenie psychiczne - nieustannie obserwował swego towarzysza, by się przekonać, czy owo fatalne spotkanie nie utkwiło tamtemu w pamięci. Wciąż od nowa odgrywał tę scenę w swej wyobraźni, obserwując własną twarz *R S*

szpiega oczami Irlandczyka.

Jednakże w miarę upływu dni i tygodni Rupert nieco się odprężył. Chociaż Lyskey jasno dał do zrozumienia, że przyjaźń między nimi nie wchodzi w grę, de Burgh, który był bardzo ostrożny w ujawnianiu swych poglądów, przypuszczał, że stanowisko to wynika nie tyle z odmiennych zapatrywań politycznych, ile jest skutkiem osobistej antypatii, albo, w najlepszym wypadku, obojętności. Irlandczyk nigdy nie dał po sobie poznać, że kiedykolwiek przedtem widział Ruperta.

W następnych latach zawsze niezwykle czujny de Burgh, nadal wystrzegał się bliż-

szych kontaktów z Lyskeyem. Od czasu do czasu - w wypadku wspólnych zadań, jak obecne

- kiedy nie można było tego uniknąć, trzymał głowę opuszczoną i pracował jak najefektywniej, aby nie zwrócić na siebie uwagi tamtego.

Należy dodać, że nawet gdyby ich stosunków nie skomplikowały odmienne poglądy polityczne, de Burgh instynktownie nienawidziłby Irlandczyka: z powodu ogromnej pewności siebie, z jaką ten wykonywał swój zawód, dużej wykrywalności przestępstw, zaufania zwierzchników oraz niezwyklej skrytości w kwestiach osobistych. Z powyższych powodów de Burgh musiał zachowywać szczególną ostrożność, pracując obok Lyskeya, nawet w najlepszych czasach. A obecny moment z pewnością się do nich nie zaliczał. Rupert był realistą i wiedział, że nie wszystko potoczy się zgodnie z jego planem, miał jednak pewność, że w decydującej chwili stanie oko w oko z księciem.

Otworzył portfel i ponownie przeczytał list, który dzisiaj napisał do swej rodziny.

Żona wybrała się z przyjaciółką do kina, a trzej synowie, jako że nie chodzili obecnie do szkoły z powodu wakacji, w pełni korzystali z nieobecności matki. Na dole ryczał telewizor nastawiony na jakąś komedię, a w sypialni obok huczała aparatura stereo: starszy syn, który był dla Ruperta milczącą zagadką, nie słuchał niczego poza muzyką heavymetalową.

- Ścisz trochę!

Rupert zabębnił pięścią w ścianę działową pomiędzy pokojami, nie doczekał się jednak żadnej reakcji. W normalnych okolicznościach wpadłby do sypialni syna, lecz dzisiaj, prawdopodobnie dlatego, że był to ostatni wieczór, który spędzał pod dachem rodzinnego domu, postanowił dać za wygraną. Po kilku sekundach walki z uczuciami, do których nie przywykł, przesunął delikatnie palcem po liście, a potem schował go na powrót do portfela i zszedł na dół.

Minął kuchnię, tylnym wyjściem wymknął się do ogrodu i ruszył ścieżką do szopy, *R S*

która zawsze była zamknięta i do której klucz miał tylko on. Rodzina wiedziała, że gdy tam majstruje przy głośnikach hi-fi wygrzebanych w składzie złomu lub przy modelach samolotów, łodzi czy innych elektronicznych rupieci, należy zostawić go w spokoju.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi na klucz i wziął długi, głęboki oddech. Zawsze odczuwał tutaj spokój i był niemal szczęśliwy, choć zdefiniowanie tego pojęcia nie przychodziło mu z łatwością. Jedynie podczas burzliwych dni krótkiej kariery studenta Trinity mógł o sobie powiedzieć z pełnym przekonaniem, że jest szczęśliwy. Lubił unoszący się w szopie zapach: połączenie słodkawego aromatu starego drewna, kleju oraz ostrej, stęchłej wo-*ni*, jaka towarzyszyła otwieraniu paczek z elektronicznymi komponentami.

Zdjął z górnej półki semtex, schludnie zapakowany w folię po maśle - gdyby ktoś zobaczył ów materiał wybuchowy w aktówce Ruperta, wziąłby go za kostkę masła. De Burgh zagadnięty o paczkę, mógł odpowiedzieć, że żona kazała mu kupić po drodze masło do do-mowego "pasztetu. Siła ładunku wybuchowego mogła spowodować spore zniszczenia i wy-wołać panikę, nie była jednak na tyle duża, aby zagrażać czyjemuś zdrowiu czy życiu. Chyba że wydarzenia miałyby wyjątkowo pechowy przebieg.

Rupert zdjął także dwa inne, o wiele mniejsze pakunki, o znacznie bardziej osobliwym, płaskim i owalnym kształcie. Długość żadnego nie przekraczała dziewięciu centymetrów; by-

ły to materiały wybuchowe zaprojektowane tak, aby ulec samorzutnemu zapłonowi w określonym czasie.

Detonator i zasadnicza część bomby miały zostać uaktywnione za pośrednictwem telewizyjnego pilota. Początkowo de Burgh zastawiał się nad urządzeniem wyłączającym alarm samochodowy - nie wzbudzałoby podejrzeń, gdyż mógłby je nosić przy sobie razem kluczami

- nie zdołał jednak znaleźć małych komponentów o wystarczającej mocy. Postanowił wziąć telewizyjnego pilota do kieszeni - w razie odkrycia przedmiotu zamierzał odegrać zdziwienie: najwidoczniej któreś z dzieci włożyło mu go w czasie zabawy.

Ktoś zapukał do drzwi szopy.

- Tato?

- Słucham? - De Burgh znieruchomiał, układając wszystkie rzeczy w aktówce.

- Chciałem ci tylko życzyć dobrej nocy, idę już spać. - To był najmłodszy syn Ruperta, trzynastolatek, który jako jedyny z chłopców znajdował jeszcze czas dla ojca.

- Nie mogę teraz otworzyć drzwi. Jestem zajęty. Dobranoc.

- Dobranoc, tato.

R S

De Burgh nasłuchiwał pod drzwiami, dopóki odgłosy stóp chłopca biegnącego po wy-betonowanej ścieżce nie ucichły.

Choć istniało ryzyko, że plan zakończy się niepowodzeniem, Rupert był zdecydowany wcielić go w życie - w razie konieczności nawet samodzielnie. Gdyby miał zdefiniować siłę popychającą go do takiego czynu, nie potrafiłby tego zrobić. Wiedział tylko, że całą uwagę skupia na owej nadchodzącej chwili, kiedy znajdzie się twarzą twarz z księciem Walii. Miał

wrażenie, że niczym snop laserowego światła przesywa cienkim promieniem całą swą rodzinę oraz życie osobiste. Ale wszystko, co napotykał na drodze do realizacji ustalonego zadania, było nieistotne.

Sky zajęła pod hotel w dziesięć minut po opuszczeniu gmachu telewizji RTE. Kiedy płaciła za taksówkę, z samochodu zaparkowanego kawałek dalej nieopodal parku, wyłoni-

ła się postać. Rozpoznała Lynskya.

- Przepraszam - powiedział bez ogródek. - Wybaczysz mi?

- Nie ma za co. Miałaś rację, to było absurdałne pytanie. Powinieneś już wiedzieć, że często zdarza mi się palnąć coś bez zastanowienia.

- Twoje wyrzuty były w pełni uzasadnione. Ponoszę winę na równi z tobą.

- Nie, to przeze mnie... - umilkła. - Jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że jesteś tu teraz ze mną. Pocałuj mnie - powiedziała cicho.

Spełnił jej prośbę i po raz pierwszy całowali się nie jak partnerzy w trakcie aktu miłosnego czy zauroczeni sobą kochankowie, lecz jak ludzie, którzy potrzebują się nawzajem.

- Może powinniśmy się spotkać dopiero wtedy, kiedy już będzie po wszystkim? - spytała.

Fergus niespodziewanie wrócił do tematu, który niedawno stał się zarzewiem ich konfliktu. Odsunął nieco Sky od siebie, żeby ją lepiej widzieć.

- To już nie potrwa długo, obiecuję. Jutro wieczorem o tej porze nie będziemy już musieli ukrywać nic przed sobą w obawie przed konfliktem interesów.

W ten oto sposób Sky uzyskała ostateczne potwierdzenie swych domysłów.

Rozdział 40

Spojrzała na zegarek: pomimo wczesnej pory - była piąta trzydzieści rano - pokój ob-R S

lewało mleczne światło. Sky nie zasunęła przed snem kolorowych zasłon, ponieważ wołała bardziej przejrzyste koronkowe firanki.

Ociągając się ze wstaniem z łóżka, po raz szósty od czasu przyjazdu do Irlandii wykrę-

ciła domowy numer do Buffy. Tym razem telefon został odebrany.

- Och, Sky! - Przyjaciółka matki była powściągliwa w udzielaniu informacji. - U nas wszystko w porządku. A jak ty się miewasz? Podoba ci się w Irlandii?

- Wiem o Danielu Treacym, Buffy. Jak moja babka to zniosła?

- Jest tutaj obok mnie. - W głosie Buffy wyraźnie zabrzmiała ulga. - Oddaję jej słuchawkę.

Elizabeth była opanowana.

- Niepotrzebnie się o mnie martwisz. Buffy jest dla mnie taka miła, podobnie jak i Hermana. Obie opiekują się mną, jak gdyby miały do czynienia z dzieckiem.

Pogrzeb Treacy'ego miał się odbyć jutro wieczorem i Elizabeth nie paliła się zbytnio do uczestniczenia w tej ceremonii.

- Jest mi smutno, to oczywiste, i czuję się trochę winna. - Ton starszej pani nie zachęcał

do podtrzymywania tematu. - Dlaczego o tak wczesnej porze jesteś już na nogach? Jak ci się podoba Dublin?

- Podoba mi się, z tego co zdążyłam zobaczyć. - Sky nie czuła się na siłach, żeby opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło od czasu jej przyjazdu. - Jeśli zaś chodzi o wczesne wstawanie, nie mogę dłużej spać. Przypuszczam, że to skutek zmiany strefy czasowej. Zamierzam zatelefonować do szpitala. Jak się miewa mama?

Babka powiedziała, że matka czuje się dość dobrze, i zaraz dodała:

- Kończmy już, moja droga. Ta rozmowa będzie cię kosztować majątek.

- Wcale nie - zaprotestowała Sky. - Telefonuję na koszt „Butte Couriera”.

- Nie zapomnij zadzwonić do twojej ciotki Maggie w Lahersheen, dobrze?

- Mam lepszy pomysł, zamierzam tam pojechać po zakończeniu pracy nad artykułem.

Chcę zobaczyć miejsce, skąd pochodzi moja rodzina.

Po odłożeniu słuchawki Sky leżała jeszcze przez chwilę, wpatrując się w podobne do płatków śniegu wzory na firankach w najbliższym oknie. Jak łatwo padły pełne przekonania słowa o napisaniu artykułu. Gorzej, kiedy teraz trzeba je było wcielić w życie.

Sporządziła w myślach listę uzyskanych informacji. Zdawała sobie sprawę z tego, że historia z narkotykami nie zaciekawi mieszkańców Montany, może z wyjątkiem paru akapi-tów pod ogromnym nagłówkiem: „Kilku obywateli Heleny i Mayville zamieszanych w aferę *R S*

narkotykową”. W irlandzko-amerykański spisek grupy terrorystycznej działającej na terenie Stanów Zjednoczonych również był wplątany „człowiek z Mayville”. Ostatnią wiadomością o doniosłym

znaczeniu okazał się fakt, że na konferencję organizacji Amnesty International przybędzie dzisiaj do Irlandii książę Walii, który prawdopodobnie, korzystając z okazji, pragnął obejrzyć wystawę ptaków w Muzeum Historii Naturalnej.

Im dłużej o tym myślała, tym większe dostrzegała powiązanie pomiędzy księciem a domniemanym terroryzmem: niewątpliwie właśnie ów związek był powodem wizyty Lynskeya w Ameryce.

Sky, nagle rozbudzona, usiadła na łóżku. Do tego więc sprowadza się cała historia: celem spiskowców miał być następca tronu! A ponieważ konferencja miała zapewnioną silną ochronę policji, gmach filharmonii nie mógł być miejscem zamachu. Sky postanowiła niezwłocznie zapoznać się z trasą przejazdu księcia. Sięgnęła po telefon, ale kiedy zaczęła wy-kręcać numer do Eamonna Vaughana, przypomniała sobie, że nie ma jeszcze szóstej.

Rupert de Burgh również już nie spał. Bez końca analizował różne warianty przebiegu wydarzeń w nadchodzących godzinach. Zastanawiał się także, co się z nim stanie u schyłku dnia. Wziął pod uwagę każdą ewentualność: jego testament nosił aktualną datę, a list do żony i rodziny został bezpiecznie umieszczony w szopie. Wiedział, że będzie to pierwsze miejsce, do którego wtargną jego koledzy w poszukiwaniu wskazówek wyjaśniających jego postępowanie.

O szóstej trzydzieści wymknął się bezszelestnie z łóżka, wziął ubranie i poszedł na palcach do łazienki. Za jego plecami żona poruszyła się i westchnęła. Zamarł w bezruchu; wprawdzie była przyzwyczajona do dziwnych pór jego wyjść i powrotów, lecz dzisiaj rano nie miał najmniejszej ochoty na tłumaczenie się z czegokolwiek.

Zbliżała się pora umówionego spotkania z Masonem i Flynnem w jednym z pubów, czynnych od rana. Rupert wiedział, że nie zwrócą tam na siebie uwagi z powodu obecności licznych turystów, robotników z nocnej zmiany oraz pijaków. Spotkanie miało być krótkie.

De Burgh musiał wrócić do domu na czas, aby w drodze do pracy podwieźć młodszego syna, udającego się na wakacyjny obóz.

Opiekun rottweilera Bambiego przejawiał specyficzne poczucie humoru, nadając psu takie właśnie imię, w każdym razie tak uważali jego koledzy.

Treser nie podzielał ich opinii: Bambi, choć zbudowany potężnie i z pyskiem niczym pułapka na niedźwiedzia, był łagodny jak baranek. Pies mieszkał w domu razem z rodziną, a *R S*

często nawet sypiał u dzieci w łóżkach. Kiedy jego pan wszedł ociężale do kuchni, pies za-merdał swym grubym, krótkim ogonem i podbiegł do drzwi, w nadziei że zostanie wypuszczony na spacer.

- Dzień dobry, psino. - Mężczyzna nastawił elektryczny czajnik i poczłapał w stronę swego podopiecznego, aby go pogłaskać po aksamitnym łbie.

- Czeka nas dzisiaj wielki dzień. - Kiedy w grę wchodziły materiały wybuchowe, nos Bambiego był niezawodny.

- Ciekaw jestem tylko, jak pies zareaguje na te wszystkie kości. No cóż, na pewno nie będzie

problemu. Słyszałem, że został dobrze wyszkolony.

Dyrektor Muzeum Historii Naturalnej oraz jeden z jego podwładnych w ogóle nie spali: całą noc zajęło im urządzenie ekspozycji eskimoskiego kulika. A teraz, kiedy poranne światło załało poprzez oszklony dach trzy poziomową powierzchnię wystawową, obaj się cofnęli, aby podziwiać swoje dzieło.

- Czy był już tutaj kiedyś jakiś pies? - Dyrektor przetarł zmęczone oczy.

- Nie przypominam sobie - odparł pracownik muzeum, ziewając. - Pójdę do domu trochę się zdrzemnąć. Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Poza tym, jak długo nasz gość będzie to oglądał? Półtorej minuty?

- Mam nadzieję, że zabawi nieco dłużej.

Dyrektor zmarszczył czoło. Ogarnął wzrokiem swoje królestwo - ściany, z których wystawało tak wiele głów i poroży, że mogłyby stanowić kolekcję trofeów indyjskiego radzy.

- Jako ostatnie zrobią rundę po budynku sprzątaczkii.

- Tak, nie mówiąc już o funkcjonariuszach oddziału specjalnego oraz o tym ich choler-nym psie. Do zobaczenia za kilka godzin.

Jerry Flynn spał dobrze i pomimo lekkiego zdenerwowania pełen był optymizmu. Oto uczestniczył w prawdziwej przygodzie: dotychczas zwykł się zatrzymywać w pięciogwiazdkowych hotelach w znanych kurortach na całym świecie, lecz w tym małym hoteliku w za-niedbanej dzielnicy Dublina doświadczył więcej prawdziwego szczęścia niż w Nowym Jorku, Toronto czy w Las Vegas. Cóż z tego, że prysznic przeciekał, a hałas na dole utrudniał wypoczynek - generalnie Flynn czuł się tutaj dobrze.

Sam Dublin nieco go rozczarował - był zaśmiecony i unosił się nad nim ciężki smog.

Flynn musiał jednak uczciwie przyznać, że jedno miasto to jeszcze nie cała Irlandia, a poza tym dzielnica, w której mieszkał, cuchnąca wyciekami spalin, ulicznego ruchu oraz robót *R S*

drogowych, również nie mogła być uznana za prawdziwy wizerunek Dublina. Najbardziej deprymująca była atmosfera tego miejsca; Flynn zawsze sądził, że można rozsmakować się w mieście, spacerując po ulicach i oglądając telewizję. Tymczasem tutejsze ulice nie zachęcały do spacerów i przechadzanie się po nich nie dawało spodziewanego odprężenia, co się zaś tyczy telewizji, mnóstwo w niej było angielskiej i amerykańskiej produkcji. Nawet lokalne wiadomości przejawiały wsteczne tendencje demonstrowania „obiektywizmu” wobec unionistów, lojalistów oraz Brytyjczyków i udostępniały nieproporcjonalnie dużo antenowego czasu ludziom potępiającym akcje nacjonalistów. Nie licząc amatorskich plakatów porozlepianych na latarnianych słupach czy sprzedawanej przez młodzież przed gmachem Poczty Głównej nacjonalistycznej gazety „An Phoblacht”, Flynn nie dostrzegał tutaj nic, co odpowiadałoby jego własnym poglądom. Irlandczycy najwidoczniej zapomnieli o grzechach przeszłości i wymazali je ze zbiorowej pamięci. Poza garstką

młodych idealistów Flynn nie znalazł nigdzie odbicia własnego poczucia palącej niesprawiedliwości. I uznał, że właśnie owa sympto-matyczna zbiorowa amnezja i obojętność w pełni uzasadniają powód jego przyjazdu do Irlandii.

Jako człowiek głęboko wierzący był rozczarowany, że w żadnym z dublińskich kościo-

łów nie odprawia się porannej mszy na tyle wcześnie, aby zdążyć po niej na spotkanie z Joem Masonem i Rupertem de Burghiem, Dorastał, mając w pamięci przywódców ruchu 1916 roku, którzy w wigilię oddania własnego życia przystępowali do sakramentów. Uważał, że wysłuchanie mszy tego poranka byłoby miłym dopełnieniem dnia. Choć w głębi duszy nie przewidywał dzisiaj własnej śmierci, doszedł do wniosku, że niewiele go trzyma na tym padole: owdowiał, przeżył długie, pożyteczne życie, miał dorosłe i samodzielne dzieci. Czuł się przygotowany do odejścia z tego świata.

Podczas golenia musiał w duchu przyznać, że trochę go niepokoi brak należytego zaangażowania w sprawę kolegi z Santa Barbara. Hydraulik kilkakrotnie zgłosił poprzedniego dnia zastrzeżenia co do akcji i uważał, że ich szanse na sukces są nikłe.

Kanadyjczyk wierzył jednak, że Rupert de Burgh zdoła rozwiać niepokoje Amerykanina. Irlandzki policjant najwyraźniej podzielał gorące przekonanie Flynna, że to, co zamierzają zrobić, jest słuszne.

Kiedy budzik z podwójnym dzwonkiem zadzwieczał Lynskeyowi koło ucha, jedyną reakcją śpiącego było poruszenie powiekami. Oddychał równo i głęboko, gdy po upływie kilku minut przeraźliwy dźwięk rozległ się znowu. Kawalerka Fergususa znajdowała się na ostat-R S

nim piętrze budynku, lecz w mieszkaniu panowała cisza, pomimo otwartych okien - o tak wczesnej porze ruch na Gardiner Street był jeszcze niewielki, a robotnicy drogowi rozpoczynali pracę najwcześniej za godzinę. Dźwięk budzika wprowadził Lynskeya w stan półświadomości: miał wrażenie, że jako bezcielesna, nic nieważąca istota leży w hamaku zawieszonym pomiędzy snem a jawą.

Po chwili drugi zegar zaczął swe przerywane, powtarzające się co pięć sekund, sygna-

ły. Lynskey wiedział, że ten budzik nie da za wygraną. Jeszcze chwilę ociągał się ze wstaniem, lecz wkrótce dźwięk stał się tak drażniący, że Fergus zerwał się z łóżka i wyłączył

alarm.

Zatrzymał się przy toalecie, opierając się o nią dłońmi. Zastanawiał się, czy nie przestawić budzika i nie przedłużyć wypoczynku o kwadrans. Nagle jednak uświadomił sobie, jaki dziś jest dzień. Pod wpływem tej myśli, która niczym tornado przeleciała mu przez głowę, powłócząc nogami, wszedł pod prysznic.

Osobisty sekretarz przyniósł następcy tronu przemówienie na konferencję Amnesty International i zostawił je, ażeby książę się z nim zapoznał. Z konieczności było krótkie: jako następca brytyjskiego tronu dostojny gość nie mógł otwarcie powiedzieć nic, co miałoby wy-dźwięk polityczny. I choć

temat konferencji brzmiał: „Polityczne represje, światowy problem nowego holokaustu”, przyszły przywódca Wspólnoty Brytyjskiej nie mógł wyjawiać swych prawdziwych odczuć i myśli w tej sprawie.

Księżę przyleciał samolotem RAF-u bezpośrednio na irlandzkie lotnisko wojskowe, skąd został przewieziony helikopterem do prezydenckiej rezydencji usytuowanej w samym środku ogromnego parku. Niestety, ze względów bezpieczeństwa nie mógł obejrzeć miasta.

Wszystkie miejsca, które miał dzisiaj odwiedzić, znajdowały się w centrum stolicy. Gmachy rządowe, Muzeum Historii Naturalnej, Filharmonia Narodowa, gdzie odbywała się konferencja Amnesty International, oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych - wszystkie te instytucje leżały w promieniu ośmiuset metrów.

- Przepraszam, sir - powiedział sekretarz. - Pan de Burgh jest na linii. Czy mam go przełączyć?

Księżę odebrał telefon. Toby pragnął mu jedynie życzyć szczęśliwej podróży.

De Burgh znał Dublin i przez kilka minut gawędzili o interesujących gmachach publicznych, na które księżę w miarę możliwości powinien zwrócić uwagę. A potem następca tronu pożegnał się i ponownie skupił na przemówieniu.

R S

Chociaż dopiero minęło wpół do ósmej, powietrze w pubie zrobiło się już niebieskie -

zarówno w sensie metaforycznym, jak i dosłownym - i Rupert, który nie znosił dymu z papierosów, miał wrażenie, że można zawiesić w nim siekierę. Dla robotników z nocnej zmiany była to pora herbaty i odpoczynku, a dla mężczyzn prowadzących hulaszczy tryb życia, któ-

rzy jeszcze nie wrócili do swoich domów, kontynuacja zabawy. Ale przynajmniej panujący wokół gwar uniemożliwiał podsłuchiwanie rozmów.

De Burgh wcisnął się na stołek za barem pomiędzy rozpromienionego Jerry'ego Flynna i Kalifornijczyka. Chociaż dostrzegł kilku innych turystów - Holendrów oraz Niemców, jak zauważył wprawny okiem - niewątpliwie jego dwaj towarzysze również na nich wyglądali, w każdym razie na pewno Flynn ze swą sportową torbą Adidas. Kiedy De Burgh już się usadowił i zamówił kufel piwa Guinness, zniżył nieco głos:

- Musimy porozmawiać.

- Czy coś się stało? - Joe Mason natychmiast stał się czujny. Rupert przybrał swój najbardziej przekonywający ton, jakim zwykł rozmawiać przez telefon z Tobym.

- Nic się nie stało. Wręcz przeciwnie. Właśnie się dowiedziałem, że stanęła przed nami szansa przerastająca nasze najśmielsze marzenia. - Spostrzegł, że Mason stał się jeszcze bardziej podejrzliwy; Flynn był jedynie zdziwiony.

- Co to za szansa, panie de Burgh? - spytał Kanadyjczyk.

- Nie musimy jechać do Bodenstown. - Przyglądał się im uważnie. - Usłyszałem o czymś, *co* daje nam lepszą okazję do uderzenia. Dziś ma przybyć do Irlandii z niespodziewaną wizytą księżę Walii i w związku z tym wniosłem poprawki do naszego planu.

- Sądziłem, że...

Mason miał mocno zaciśnięte usta, jednak Rupert zdecydowanie uciął wszelkie protesty.

- Joe! Pomyśl tylko, jakie poruszenie wywołamy na świecie, jeśli zamiast irlandzkiego premiera zatrzymamy jako zakładnika brytyjskiego następcę tronu! Wszystko obmyśliłem i uważam, że mamy wszelkie szanse na sukces! - Wstrzymał oddech.

- Na nic się nie zgodzę, dopóki nie usłyszę, co wymyśliłeś.

Rupert de Burgh spostrzegł, że tamten umacnia się w swym uporze.

- Pozwólcie, że przedstawię wam moje plany. Przynajmniej mnie wysłuchajcie.

Przenosił spojrzenie z jednego na drugiego i wolno cedził słowa, starając się ich zahipnotyzować.

R S

- Gwarantuję wam, że jeśli zrobimy to, co powiem, dzisiaj wieczorem trafimy na telewizyjne ekrany na całym świecie i na pierwsze strony gazet. Nikt się nie ośmieli zlekceważyć naszych żądań. Czasami najbardziej skomplikowane zadanie można rozwiązać za pomocą najprostszych metod.

Ku swojemu rozdrażnieniu Sky stwierdziła, że Muzeum Historii Naturalnej, które od jej hotelu dzielił zaledwie kilkuminutowy spacer, otwarte jest od dziesiątej, a minęła dopiero dziewiąta.

Dwukrotnie próbowała skontaktować się z Vaughanem, ale zarówno u niego w domu, jak i w samochodzie odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka. Nie mając nic lepszego do roboty, weszła do parku, gdzie wczoraj poeta czytał wiersze. Dzisiejszego pochmurnego ranka panowała tu zgoła odmienna atmosfera: nienagannie utrzymane trawniki były opustoszałe i tylko kilku przechodniów z teczkami podążało dokądś śpiesznie. Kiedy Sky wyszła po drugiej stronie parku, na przystanek podjechał dwupoziomowy autobus. Postanowiła wsiąść -

miała jeszcze całą godzinę czekania.

Dziesięć minut później stała nad brzegiem brunatnej rzeki Liffey.

Ruszyła w kierunku głównego mostu, lecz po dotarciu do niego dostrzegła, że na sze-

ściopasmowej jezdni panuje ogromny ruch, huk i zgiełk. Uznała, że pokonanie mostu byłoby dla niej zbyt groźnym testem na szybkość i wytrzymałość nerwową. Postanowiła skręcić w lewo, z powrotem w kierunku hotelu i muzeum.

Kiedy ze wzrokiem utkwionym przed sobą zmierzała wzdłuż murowanego parkanu ze sztachetami, wypatrując okazałego, zwieńczonego łukowatym sklepieniem budynku, wpadła na starszego mężczyznę, który stał nieruchomo na środku chodnika.

- Bardzo pana przepraszam - powiedziała zarumieniona.

Jeszcze jeden turysta, pomyślała, widząc zawieszony na szyi spacerowicza aparat fotograficzny Pentax. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby zamierzał się uśmiechnąć, lecz nagle odwrócił się tyłem do niej. Miał jajowatą głowę porośniętą siwą szczeciną i był szczupły, jednak pomimo nierzucającego się w oczy wyglądu Sky uderzyło coś znajomego w jego sylwetce. A może był to cień uśmiechu, przelotny błysk złotego zęba.

- Na pewno nic się panu nie stało? - dotknęła ramienia domniemanego turysty, chcąc go zatrzymać i zastanawiała się pośpiesznie, czy go gdzieś wcześniej nie spotkała.

Skinął głową, potwierdzając, że wszystko w porządku, a potem obrócił się na pięcie i odszedł w kierunku, z którego przyszła Sky. Patrzyła za nim zaintrygowana.

R S

Flynnowi dudniło serce, kiedy szybkim krokiem szedł wzdłuż muru otaczającego miasteczko akademickie Trinity College. Co ta dziewczyna tutaj robi? Że też właśnie na nią musiał wpaść w tym milionowym mieście! Czy go rozpoznała?

Był przygnębiony z powodu własnej reakcji: skoro tracił nerwy przy tak niegroźnym incydencie, który przecież nie mógł mieć żadnych poważnych następstw, to jak zamierzał

sprostać poważnemu zadaniu, oczekującemu go niebawem? Pocieszał się myślą, że dzisiejszego wieczora będzie postępował zgodnie z instrukcjami. A do jego reakcji przyczyniło się całkowite zaskoczenie z powodu niespodziewanego spotkania.

Rozejrzał się wokół siebie: w panice szedł na oślep i chociaż się nie zgubił - wciąż widział parkan przed frontem gmachu uczelni - musiał przystanąć, ażeby się zorientować, gdzie jest. Stał naprzeciwko baru usytuowanego na rogu bocznej ulicy, która prowadziła donikąd: prawdopodobnie dochodziła do rzeki. Wiedział, jak stamtąd wrócić - jego hotel znajdował się na brzegu po północnej stronie.

W nieco lepszym nastroju przeszedł przez jezdnię i ruszył w kierunku wody.

Zatłoczona samochodami ulica była wąska, z wysokimi czynszowymi blokami po jednej stronie oraz z zaniedbanymi i zamykanymi na kłódkę garażami po drugiej. Kiedy Kanadyjczyk stał na skrzyżowaniu, czekając na zmianę ulicznych świateł, poczuł ostry ból pod łopatką. Jednocześnie ktoś gwałtownie szarpnął za pasek torby.

Flynn przytrzymał ją mocniej, a kiedy się odwrócił, stwierdził, że ma do czynienia z dwoma wyrostkami w wieku dziesięciu lub jedenastu lat. Kopnął z całej siły, trafiając jednego z nich w goleń, chłopak jednak nie dawał za wygraną i zamachnął się na niego dużym kamieniem

umieszczonym w nylonowej pończosze. Kiedy Flynn zrobił unik, drugi dzieciak pocią-

gnął mocno za torbę, pozbawiając go równowagi. W chwili kiedy Kanadyjczyk się przewró-

cił, światła zmieniły się, zatrzymując uliczny ruch. Kierowca jednego z samochodów oraz taksówkarz wyskoczyli ze swych pojazdów i puścili się biegiem w stronę napastników.

Jeden z chłopaków ponownie zamachnął się kamieniem, trafiając Flynna w rękę. Kanadyjczyk zawył z bólu i wypuścił torbę. Złodziej natychmiast ją pochwycił i rzucił się do ucieczki.

Kiedy jeden z mężczyzn zrównał się z Kanadyjczykiem, Flynn podniósł wzrok i zobaczył, że taksówkarz ruszył w pogoń za dwoma chłopakami. Po chwili wszyscy trzej zniknęli w znajdującej się nieopodal bramie. Nieznajomy pomógł Flynnowi podnieść się z ziemi.

- Co za chuliganeria! Nic panu nie jest?

R S

- Moja torba... moja torba... - Trzymając się dłonią za zranioną rękę, Flynn zaczął biec za chłopcami. Spozstrzegł jednak taksówkarza, który wyłonił się z bramy, bezradnie kręcąc głową.

- Co z pana ręką? Jeśli pan sobie życzy, zawiozę pana na pogotowie - zaproponował zadyszany kierowca taksówki.

- Nie, dziękuję, wszystko w porządku, naprawdę.

Flynn był oszalały z trwogi - nie tylko z powodu utraty torby oraz jej zawartości, ale z powodu uwagi, jaką ściągnął na siebie wskutek incydentu z chuliganami. Światła się zmieniły i w powietrzu zabrzmiała kakofonia klaksonów pojazdów, które stały za dwoma tarasującymi skrzyżowanie samochodami.

- Miałeś jakieś pieniądze w tej torbie, ojczulku? - Taksówkarz nie dawał za wygraną.

- Tak, ale to nieważne, naprawdę.

Flynn próbował się wycofać, lecz taksówkarz był nieustępliwy.

- Proszę zaczekać.

- Pójdę przestawić samochód. - Drugi z kierowców, którzy przyszli z pomocą, spojrzał przez ramię na niecierpliwących się pozostałych użytkowników drogi.

- Tak, niech pan idzie - odprawił go taksówkarz i ponownie zwrócił się do swego jeńca:

- Ktoś powinien zobaczyć tę rękę.

- Wybiorę się niezwłocznie do lekarza. - Flynn zdołał się opanować, przywołując cały swój autorytet, jaki wyrobił w sobie dzięki wieloletniemu kierowaniu licznym zespołem pracowników. - Naprawdę nic mi nie jest. I obiecuję, że pójdę na badanie.

- A także na policję. Posterunek mieści się tuż za rogiem, przy Pearse Street. Powinien pan też zatelefonować do amerykańskiej ambasady. Znajduje się przy Ballsbridge. Posłuchaj, ojcuzku... - Kanadyjczyk zamierzał odejść, lecz taksówkarz nie odstępował go ani na krok. -

Przeżył pan straszliwy wstrząs. Proszę wsiąść do mojego samochodu, to zawiozę pana... -

urwał. - Och, wspaniale! Dzięki Bogu. Tego nam było potrzeba!

Flynn patrzył z przerażeniem, jak zatrzymuje policjantkę, która właśnie wyłoniła się zza rogu.

Rozdział 41

R S

Kiedy de Burgh spotkał się z treserem oraz jego czworonożnym podopiecznym, Bambi obwąchał mu rękę i zaczął gwałtownie kichać.

Ubiegłego wieczora Rupert po zapakowaniu do teczki kostki semtexu - umył dokładnie ręce w soku z dwunastu cytryn. Powtórzył tę czynność rano, gdy żona jeszcze spała, i tym razem dodał do roztworu trochę mielonego pieprzu.

- Czym pachną twoje ręce? - zdziwił się treser.

De Burgh wyjaśnił, że wczoraj wieczorem smarował parkan w ogrodzie kreozotem i ów środek do impregnacji drewna dostał mu się za paznokcie. Żona poradziła, żeby spróbował soku z cytryny. Spojrzał na swe dłonie.

- Okazał się niemal równie skuteczny jak czarodziejski płyn!

Sky przed wejściem do muzeum zatelefonowała z budki do biura Lynskeya. Był bardzo powściągliwy:

- Nie mogę teraz rozmawiać.

Sky rzeczywiście usłyszała donośny gwar.

- Czy umówimy się na lunch?

- Spróbuję wyrwać się stąd na moment. Gdzie mogę cię złapać?

- Będę w hotelu o dwunastej trzydzieści. Rozłączył się bez pożegnania.

Słońce wyłoniło się zza chmur, gdy wchodziła do muzeum. Wewnątrz budynku panował osobliwy

półmrok z powodu trzech pustych nisz z zaślepienymi otworami okiennymi po obu stronach kamiennego wejścia i ponad drzwiami.

Początkowo Sky widziała tylko panujący wokół szary mrok oraz grę światła na gablotach z ciemnego drewna, ciemnych szkieletach i na mrocznym, zwisającym z sufitu, potęż-

nym cielsku wypchanego rekina. Jednakże po pewnym czasie przebywania w muzealnym wnętrzu ponure wrażenie zatrzymanego procesu rozkładu minęło dzięki bogatej kolorystyce eksponatów: mieniającego się barwami tęczy upierzenia zimorodka i delikatnie pocętkowanej miodowej sierści młodych lisiątek w legowisku.

Na piętrze znajdował się ciąg najbardziej niezwykłych pomieszczeń, jakie Sky kiedykolwiek widziała. Trzeszczące drewniane schody prowadziły do dużej galerii oraz dwóch mniejszych powyżej, ponad którymi dominował olbrzymi szkielet wieloryba. Były tu też niedźwiedzie i lwy, żyrafa, mały hipopotam, małpy, słonie, ryby i ptaki. A także liczne bezkręgowce, ośmiornice, motyle, pająki i muchy - wyblakłe w fiolkach i słojach lub rozłożone na czarnym aksamicie w gablotach wystawowych. Na każdym wolnym miejscu pionowych powierzchni umieszczono głowy zwierzęce - z porożem lub bez.

R S

- Przepraszam. - Sky podeszła do mężczyzny w koszuli z krótkimi rękawami.

- Słucham? - Sprawiał wrażenie onieśmiałego. Postarała się przywołać na twarz jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów.

- Jestem amerykańską turystką. Czy mógłby mnie pan zaprowadzić do dyrektora muzeum?

- Niestety, jest chwilowo nieobecny. - Pracownik muzeum miał zakłopotaną minę. - A może ja mógłbym w coś pomóc? Wybrała pani niefortunny moment na wizytę u szefa.

- Rzeczywiście. - Sky nie przestawała się uśmiechać. - Właśnie dlatego przyszedłam.

Wiem, że spodziewacie się dzisiaj bardzo ważnego gościa.

Jej rozmówca z przerażenia wybałuszył na nią oczy.

- Podobno to tajemnica. Zabroniono nam wspominać o tym nawet przy własnych żonach.

- Uzyskałam tę informację od moich krewnych z Anglii. - Sky starała się sprawiać wrażenie jednocześnie osoby pewnej siebie i wyniosłej. - Proszę się nie martwić. Chciałam tylko zobaczyć na własne oczy ekspozycję tego eskimoskiego okazu.

Nie zapamiętała dokładnej nazwy ptaka, której użył dziennikarz z działu przyrodniczych programów dla dzieci z RTE, miała jednak nadzieję, że szybko wypowiedziane sformu-

łowanie zabrzmiało naturalnie w ustach cudzoziemki.

Mężczyzna zmierzył ją ciężkim spojrzeniem, a potem oświadczył:

- Przypuszczam, że nie będzie z tym problemu. Najpierw jednak muszę mieć jakiś do-wód potwierdzający pani tożsamość. - Przypomniał sobie o względach bezpieczeństwa.

- Oczywiście. - Sky zaczęła grzebać w torebce, pośpiesznie się namyślając. Wiedząc, że ma do czynienia z reporterką, ten człowiek nabrałby wody w usta. - Czy to wystarczy? -

wyciągnęła swą nowiutką kartę kredytową oraz kartę członkowską kółka fotograficznego, na której również widniało jej zdjęcie.

Pracownik muzeum przyjrzał się uważnie obu dokumentom.

- Proszę za mną.

Zaprowadził ją na tyły sali wystawowej na parterze i wskazał na sporą szklaną gablotę, w której znajdowały się dwa wypchane ptaki średniej wielkości. Jeden był umieszczony w gnieździe z porostów i z mchu, a drugi siedział na kamieniu. Sky nie zdołała dostrzec nic nadzwyczajnego w tych stworzeniach o brązowobeżowym upierzeniu, z niebieskoszarymi nogami i dziobami przypominającymi miniaturowe kosy. Z pewnością nie były warte zamieszania-R S

nia, jakie wywołały swym pojawieniem się w Irlandii.

- Co pani o nich sądzi? - Dołączył do nich drugi, znacznie młodszy mężczyzna.

Twarz pracownika muzeum rozjaśniła się pod wpływem ulgi.

- Ta pani powiedziała, że wie, kto dzisiaj do nas zawita - oznajmił, a potem zwrócił się do Sky: - To nasz dyrektor. - Pani jest amerykańską studentką - wyjaśnił szefowi. - Sprawdziłem to.

- Nie ma powodu do paniki - odpowiedział z uśmiechem młodszy mężczyzna. - Plotki szybko się roznoszą i niewiele można na to poradzić. Nasze miasto jest jak duża wioska. Z

pewnością za krótko przebywa pani w Dublinie, żeby o tym wiedzieć. Ale za kilka dni będzie pani spotykać ciągle te same osoby. My wszyscy nieustannie wciąż gdzieś na siebie wpada-my. Nazywam się Declan Corkery i jestem dyrektorem tego muzeum.

- Sky MacPherson. - Wymienili uściski dłoni.

Dyrektor odwrócił się w stronę swego dzieła.

- Jak ocenia pani nasze wysiłki? Gablotę trzeba było zrobić na zamówienie i mieliśmy piekielnie mało czasu na zdobycie materiałów do odtworzenia środowiska życia tego ptaka.

- Ekspozycja bardzo mi się podoba, panie Corkery. - Sky się zawahała. - Czy możemy porozmawiać?

- Oczywiście, mam kilka minut. Zapraszam panią do mojego gabinetu.

- Przejdę od razu do sedna. - Sky zaczerpnęła głęboko powietrza, gdy zamknął za nimi drzwi. - Myli się pan, moim zdaniem, sądząc, że wszyscy wiedzą o tym, kto dzisiaj przyjeżd-

dza do Dublina. Wiedzą o tym jedynie przedstawiciele władz, organizatorzy konferencji Amnesty International, obaj panowie oraz ja.

Dyrektor okazał się bystry.

- Czego pani ode mnie oczekuje? Nadszedł nieunikniony moment:

- Nie jestem studentką, lecz dziennikarką. Reprezentuję niskonakładową i przynoszącą niewielkie dochody gazetę wydawaną w Butte, w stanie Montana. Nie stanowię konkurencji dla tutejszych reporterów, lecz gdybym uzyskała wyłączność na relacjonowanie wizyty księ-

cia Walii w waszym muzeum, byłby to dla naszego tygodnika bardzo lukratywny kąsek. -

Umilkła, siedząc jak na rozżarzonych węglach.

Dyrektor nie zachnął się, gdy wspomniała gościa - miała więc kolejne potwierdzenie.

- Proszę mówić dalej.

R S

- Czy wyrazi pan zgodę na moją obecność podczas wizyty księcia? Nie zbliżę się do niego ani nie odezwę, chyba że on pierwszy mnie zagadnie, ale i wtedy nie zdradzę się przed nim, że jestem dziennikarką. Chcę tylko napisać barwny artykuł o jego wizycie w muzeum i reakcji na widok eskimoskiego okazu.

- Eskimoskiego kulika. Skoro udaje pani zainteresowanie przyrodą, powinna pani przynajmniej posługiwać się prawidłowym nazewnictwem.

- Bardzo pana proszę, panie Corkery. - Sky pochyliła się do przodu, obejmując męż-

czynę spojrzeniem chabrowych oczu Johnny. - Reszta dziennikarzy będzie miała wiele innych okazji; na przykład podczas konferencji Amnesty International. Ja byłabym tam jedną z wielu. Nie ma pan pojęcia, jak wiele zależy od pańskiej zgody. Dla naszej gazety to kwestia ogromnej wagi, ponieważ moglibyśmy sprzedać ten artykuł innym dziennikom. Zostanę bez pracy, jeśli wkrótce nie zdobędę jakichś pieniędzy dla „Couriera”. Nie chodzi tu nawet o moją posadę, panie Corkery; to nasza gazeta pilnie potrzebuje ratunku. Jesteśmy jednym z ostatnich niezależnych głosów w Montanie, a może nawet w całej Ameryce. Reprezentujemy interesy małej lokalnej społeczności, która broni swego środowiska naturalnego i występuje przeciwko silnym chłopcom... - Umilkła w obawie, że może posunąć się za daleko.

Obserwowała dyrektora spod wpółprzymkniętych powiek, usiłując sprawdzić, czy kupił jej opowieść. Zachwycona dostrzegła jego uśmiech.

- Muszę przyznać, że pani argumentacja wywarła na mnie wrażenie. Jednak chociaż moja żona również jest dziennikarką, nie zgodziłem się na jej obecność tutaj.

Sky ogarnęło przygnębienie.

- Żartuję, panno MacPherson. Nie jestem żonaty. - Kiedy wszakże z ożywieniem wyprostowała się na krześle, wyciągnął rękę, powstrzymując jej entuzjazm. - Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę. Jestem urzędnikiem państwowym i mam nad sobą szefa.

- Czy nie znalazłoby się dla mnie jakieś zajęcie w muzeum? Pracownika naukowego, a nawet maszynistki? W razie późniejszego śledztwa wzięłabym całą odpowiedzialność na siebie. Mógłby pan potem powiedzieć, że pana oszukałam, a ja bym temu nie zaprzeczyła.

- Widzę, że nie ma pani pojęcia o sposobie funkcjonowania irlandzkich instytucji pań-

stwowych. - Uśmiechnął się krzywo. - Ażeby dostać tutaj zatrudnienie, trzeba mieć odpowiednik Aktu Oireachtas w trzech egzemplarzach. Bardzo chciałbym pani pomóc, obawiam się jednak, że nie mogę. Otrzymaliśmy w tej sprawie wyraźne polecenia. Poza tym lada chwila spodziewam się tutaj policji, która ma sprawdzić bezpieczeństwo muzealnych sal wystaw

wowych.

Sky usłyszała z tyłu ciche pukanie, a potem drzwi się otworzyły. Obejrzała się i zobaczyła starszego mężczyznę, z którym rozmawiała wcześniej.

- Przyszli z psem, Declan.

- Wprowadź ich. - Dyrektor podniósł się z miejsca.

Sky również wstała, gdy dwaj mężczyźni, którym towarzyszył duży pies, weszli do gabinetu. Zwierzę, lekko dysząc, natychmiast położyło się na ziemi przy nogach swego opiekuna. Niepokojąco blisko Sky. Drugi z nowo przybyłych zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- Nie mamy na naszej liście żadnych kobiet.

Poczuła się skrepowana świdrującym spojrzeniem niezwykle jasnych oczu.

- To panna MacPherson z Ameryki. - Declan Corkery rzucił jej krótkie spojrzenie, a potem skierował wzrok na policjanta.

- Obecność tej pani jest tutaj czysto przypadkowa, zapewniam pana. - Sky uśmiechnęła się do dyrektora z wdzięcznością, lecz wyraz jego twarzy pozostał jedynie uprzejmy.

- Obawiam się, że jestem zmuszony prosić panią o opuszczenie muzeum - powiedział

szorstkim tonem policjant o jasnych oczach. - Czy mogę zobaczyć dowód pani tożsamości?

Sky wyjęła z torebki te same dwie karty, które przedtem pokazała pracownikowi muzeum. Choć na obu znajdowały się zdjęcia, na żadnej nie figurował jej adres.

- Przyjechałam na urlop do Irlandii. Spacerowałam po parku i zawędrowałam aż tutaj.

Czy mogę dokończyć moją rozmowę z dyrektorem?

Policjant oddał jej oba dokumenty.

- Może pani pozostać do czasu, kiedy tu przyjdziemy. Zaczniemy od góry i będziemy schodzić na dół.

Policjant przestał się nią interesować i spytał dyrektora, czy wszystkie biura i magazyny są pootwierane. Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej oświadczył:

- Muszą zostać niezwłocznie zamknięte, gdy tylko je sprawdzimy. Czy mógłby pan pójść razem z nami i zabrać ze sobą klucze?

Pies wstał, gdy jego pan pociągnął za smycz.

- Proszę na mnie poczekać, panno MacPherson. Wrócę, gdy tylko będę mógł.

Dyrektor wyjął klucze z biurka i trzech mężczyzn, wraz z czworonożnym towarzyszem, opuścili gabinet. Sky natychmiast chwyciła za słuchawkę.

- Eamonnie? - szepnęła ponagłająco, gdy odebrał telefon.

R S

- Możesz się tu ze mną spotkać? Jak najszybciej?

- Jezus Maria! Nie mogę w to uwierzyć... A niech to wszyscy diabli...

Dwaj młodociani złodzieje, ukryci w bezpiecznej kryjówce na małym, zaśmieconym placu przy transformatorze energetycznym, przetrząsali zawartość torby firmy Adidas.

Nie spodziewali się takiego łupu. Okazało się, że zdobyli nie tylko spory plik banknotów, ale także coś jeszcze znacznie bardziej zaskakującego. Pistolet, który wyciągnął naboż-

nie starszy z wyrostków, wyglądał imponująco, lecz na drugiej zdobyczy mogli zrobić złoty interes. Chłopiec od razu rozpoznał karabin maszynowy, choć nigdy przedtem nie miał go w rękach.

- Czy to prawdziwa broń? - Oczy młodszego nastolatka zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Oczywiście, że prawdziwa, ty tępą głową.

Starszy chłopak schował pistolet wraz z karabinem do torby i oparł się plecami o transformator, ażeby pomyśleć.

- Czy nie ma pan ochoty na jeszcze jedną filiżankę herbaty, sir?

Jerry Flynn był zdręczany uprzejmościami na posterunku policji przy Pearse Street.

Chociaż nadgorliwego kierowcę taksówki udało się w końcu nakłonić do wyjścia, policjantka, która przyprowadziła tutaj Flynna, wciąż krążyła wokół niego z z troskaniem. Była typem hożej wiejskiej dziewczyny o świeżej twarzy i w innych okolicznościach Kanadyjczyk z pewnością byłby ją polubił.

Przeżywał katusze i marzył, by stąd wyjść. Skoro jednak miał uchodzić za turystę w podeszłym wieku, który dysponuje dużą ilością wolnego czasu, musiał odgrywać swą rolę.

Dobrze przynajmniej, że zachował przytomność umysłu i nie wyjawiał swojego prawdziwego nazwiska. Przewornie podał też nazwę hotelu, do którego przypadkiem wstąpił wczoraj na herbatę i który mieścił się w lepszej dzielnicy niż ta, gdzie faktycznie się zatrzymał.

- Muszę już iść. - Podniósł się z miejsca. - Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. W pełni doceniam pani uprzejmość.

- Naprawdę nie chce pan, żebym zadzwoniła do organizacji, która zajmuje się pomocą ofiarom przemocy? Pracują tam bardzo rozsądni ludzie. A może sprowadzę kogoś, kto od-wiózłby pana do hotelu?

- Dobrze mi zrobi spacer, proszę mi wierzyć.

Jednak szok, który przeżył w chwili, kiedy opuszczał budynek, był nawet większy niż ten podczas napaści dwóch młodocianych bandytów. Na parapecie okiennym leżało ilustro-R S

wane czasopismo z jego własną fotografią z rodeo, o wymiarach dwadzieścia centymetrów na dwadzieścia pięć, na której został uwieczniony w stroju kowboja.

Gdy Jerry Flynn wyszedł z budynku, gwałtownie trząśł się na całym ciele i był bliski omdlenia. Nadludzkim wysiłkiem woli zmusił się do przejścia przez jezdnię. Kiedy znalazł

się na małym placu przed kinem, przysiadł na murku obok rabatki kwiatowej, lecz zamiast opuścić głowę, jak podpowiadał mu instynkt, udał, że delektuje się promieniami słońca.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, byłby kolejny przejaw życzliwości ze strony jakiegoś z troskanego dublińczyka, niepokojącego się o stan jego zdrowia.

Z wolna wracał do siebie. Wyprostował rękę: bolała go i była trochę spuchnięta, miał jednak pewność, że nie jest złamana.

Za to serce miał złamane. Od tak dawna czekał na tę okazję, a teraz musiał uznać gorzką prawdę, że jego marzenia legły w gruzach. Jerry Flynn - idealista i patriota - nie był głupcem - wiedział, że jego rola w tej misji dobiegła końca.

Dobrze, że przynajmniej zostawił w hotelu bilet powrotny na samolot oraz fałszywy paszport.

Musiał czym prędzej zniknąć z Dublina.

Fergus Lynskey spotkał głównego inspektora w budynku komendy policji w męskiej toalecie.

- W jaki sposób zajmiemy się przedstawicielami mediów? Z chwilą kiedy się dowiedzą, kto przyjechał z wizytą, zrobi się tu prawdziwe piekło. Nie martwię się o dziennikarzy prasowych - informacja podana przez nich dotrze do odbiorców z opóźnieniem, ale wiadomość radiowa może przyciągnąć tłumy.

- Zamierzam podczas konferencji Amnesty International zwołać tutaj zaimprovizowaną konferencję prasową w sprawie odnalezienia narkotyków w Killybegs. Mam nadzieję, że odwróci to uwagę niektórych dziennikarzy, choć prawdopodobnie nie na długo.

- Dlaczego akurat tutaj? - Lynskey, zaczesując do tyłu swą bujną czuprynę, lekceważąco

przyjrzał się własnemu odbiciu w lustrze. - Nie dysponujemy tutaj żadnymi urządzeniami nagłaśniającymi. Dlaczego nie w centrum miasta?

- Ponieważ Harcourt Square znajduje się zbyt blisko filharmonii, głupcze! - Główny inspektor odkręcił wodę i namydlił ręce nad umywalką. - Gdzie się podziewa de Burgh? Pełni funkcję oficera łącznikowego z Killybegs i jego miejsce jest tutaj!

- Poszedł na obchód z psami. Nie powinno mu to jednak zająć aż tyle czasu. To jednak *R S* nie moje zmartwienie - nie ja go utrzymuję.

- Ty nikogo nie masz na utrzymaniu. A co z twoją Amerykanką?

- Pozostawię to pytanie bez komentarza. - Lynskey przyłapał się na tym, że śmieje się szeroko do lustra.

- Kogo chcesz oszukać, Fergusie? - Szef wytarł ręce, podszedł do przyjaciela i wymierzył mu kuksańca. - Jeśli gdzieś spotkasz de Burgha, powiedz mu, żeby niezwłocznie przyszedł do mnie. Czas nie stoi w miejscu.

Rupert de Burgh, Bambi oraz pan Bambiego zakończyli swój obchód po muzeum i dołączyli do innej grupy z psem, ażeby sprawdzić gmach parlamentu.

Wyjaśnili, że powodem nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa jest krótka wizyta Nabooma Kebelego, ale plotki zostały już puszczane w obieg. Podczas dziesięciu minut, które spędzili w kuchniach, ludzie kilkakrotnie zwracali się do nich z pytaniem, kto naprawdę przyjeżdża. I choć portier prawidłowo odgadł nazwisko, a jeden z pracowników administracji słyszał, że gościem ma być książę Edynburga, to większość stawiała na księcia Yorku. Rupert spędził w Irlandii połowę życia, a pomimo to wciąż się nie mógł nadziwić, jak błyskawicznie rozchodzą się tutaj wiadomości.

Właściwość ta podtrzymywała irlandzką tradycję, którą folk-loryści zwykli nazywać przekazem ustnym.

Rozdział 42

Po przeszukaniu gmachu parlamentu de Burgh wraz z towarzyszącym mu kolegą skierowali się w stronę parkingu. Rupert wziął własny samochód, używając pretekstu, że nie chce ciągnąć kolegi z psem na pocztę główną, gdzie na prośbę żony miał nadać list polecony.

- A niech to wszyscy diabli! - zaczął obmacywać kieszenie. - Nie mogę znaleźć kluczyków. W spodniach zrobiła mi się dziura i pewnie przez nią wypadły. Nie czekaj na mnie.

Jedź i powiedz na komendzie, że postaram się wrócić jak najszybciej.

- Jasne. - Policjant poklepał Bambiego. - Do zobaczenia. De Burgh grał na zwłokę, udając, że przeszukuje parking.

Dopiero kiedy kolega odjechał, podszedł do samochodu, który zaparkował w stosownej odległości, aby zapach materiałów wybuchowych nie zwrócił uwagi rottweilera. Wyjął z bagażnika teczkę, w której znajdował się semtex i przykuł ją sobie kajdankami do nadgarstka.

R S

- Myślałem, żeśmy się już was pozbyli - zauważył żartobliwie portier w muzeum.

- Postanowiłem jeszcze raz sprawdzić wszystkie pomieszczenia. - Teraz, kiedy de Burgh był sam, jego głos zabrzmiał niefrasobliwie. - Ostrożności nigdy za wiele. W czasie gdy sprawdzaliśmy na zewnątrz, mogliście umieścić bombę w trąbie słonia.

Schodami dotarł na górne galerie i zrobił po nich obchód, przypatrując się sufitowi i oglądając oświetlenie. A potem skierował się do gabinetu dyrektora, zapukał i otworzył

drzwi.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku.

Declan podniósł na niego wzrok.

- Obawiam się, że będę zmuszony skorzystać z pańskiej toalety. - Rupert uśmiechnął

się przepaszająco. - Wiem, że została już zamknięta, ale muszę tam wejść. A ja jestem w wyjątkowo niedogodnej sytuacji - dodał, wskazując na aktówkę przyczepioną do nadgarstka.

Męska toaleta mieściła się na pierwszym piętrze po lewej stronie klatki schodowej. Dyrektor otworzył drzwi, wręczył klucz portierowi i wrócił do gabinetu.

Umieszczenie semtexu za jednym z dwóch rezerwuarów i przywiązanie go kablem z detonatorem

trwało zaledwie minutę. De Burgh zamknął się od wewnątrz, stanął na muszli, wspiął się na ściankę działową i przeskoczył do sąsiedniej kabiny.

Następnie umył ręce, obficie polewając je sokiem cytrynowym, na wypadek gdyby się natknął na Bambiego lub któregoś z kolegów.

Portier czekał na niego na korytarzu.

- Teraz czuję się znacznie lepiej - Rupert uśmiechnął się jowialnie. - Dobrze się stało, że wróciłem, gdyż zapomnieliśmy o tym. - Zamknął drzwi, oddał klucz portierowi i wyjął z teczki dwa zwoje żółtej taśmy policyjnej, której zwykle używa się do zabezpieczania miejsc zbrodni. Okleił nimi futryny drzwi obu toalet: męskiej i damskiej. - Niech pan nikogo tutaj nie wpuszcza, nawet samego papieża, aż do czasu zakończenia wizyty ważnego gościa.

- Toaleta dla personelu również jest zapieczętowana. Co zrobimy, jeśli będziemy musieli z niej skorzystać? - zaprotestował portier.

- W sąsiedztwie muzeum znajduje się mnóstwo hoteli i restauracji - odrzekł Rupert. -

Czy mogę polegać, że przekaże pan moje polecenie szefowi? Pozostało mi jeszcze jedno miejsce do sprawdzenia, a jestem już spóźniony.

Musiał założyć, że personel, a nawet dyrektorzy instytucji tego typu nie są obeznani z zasadami postępowania w sytuacji zaostrożonych wymogów bezpieczeństwa.

I miał rację.

R S

- Proszę się nie martwić. - Portier niedbale machnął ręką. - Może pan na mnie liczyć.

Rupert zszedł na dół. Opuszczając budynek ponownie przyjrzał się uważnie zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym drzwiom wyjściowym. Już wcześniej zauważył, że choć wewnętrzne są zamykane na zamek yalowski, który odpowiadał jego celom, to zewnętrzne zabezpiecza od środka zarówno rygiel, jak i zamykana na zamek zasuwka. Po kluczu jednak, podobnie jak i przedtem, nie było śladu.

- Imponujące zabezpieczenie - stwierdził Rupert i nim się oddalił, zsalutował portierowi.

Kiedy dotarł do samochodu, uświadomił sobie, że ma spocone dłonie. Odczekał chwilę, ażeby odzyskać panowanie nad sobą.

Wjechał do centrum, minął Abbey Street, skręcił w prawo w Liffey i zaparkował przed tylnym wejściem do domu towarowego Arnott's. Włączył migające światła na dachu pojazdu, jak gdyby zjawił się w odpowiedzi na czyjś alarmowy telefon, zamknął samochód i wymijając w przejściu przechodniów, wszedł do sklepu.

Dział odzieży męskiej zdołał zachować staromodną atmosferę wiejskich sklepów tek-stylnych, a

personel, chociaż usłużny, nie był zbyt natarczywy i pozwalał klientom swobodnie oglądać towary. Rupert przechadzał się pomiędzy stoiskami i zmierzając w stronę ekspozycji z drogimi płaszczami przeciwdeszczowymi, co jakiś czas ściągał z wieszaka to garnitur, to samą marynarkę. Na końcu stojaka znalazł okrycie w rozmiarze pięćdziesiąt cztery. Zsunął je z plastikowego ramiączka, które, niczym wiosło, rozszerzało się na końcach, aby ramiona ubrań dobrze się układały.

De Burgh przymierzył płaszcz i z wieszakiem w dłoniach podszedł do lustra. Pomimo sporego ruchu dział z męską odzieżą dzisiejszego poranka nie był zatłoczony. Wśród klientów przeważali starsi mężczyźni i nikt nie zwracał uwagi na Ruperta, gdy wyginał się i obracał, jak gdyby oceniał swój wygląd. W trakcie przymiarki wcisnął paczuszkę w kształcie łezki we wgłębienie pod jednym z ramion wieszaka.

Obrócił się, obejrzał pod innym kątem i stwierdził:

- Niestety, chyba nie będzie dobry.

- Przepraszam, ale ten płaszcz jest na pana za duży - powiedział sprzedawca, zmierzając w jego stronę. - Pozwoli pan, że znajdę okrycie, które będzie pasowało.

Rupert był na to przygotowany.

- To dla mojego ojca. Wasz sklep jest jedynym miejscem, gdzie można dostać przyR S

zwoite ubiory w tak dużym rozmiarze. Nie jestem tylko pewien, czy ojcu będzie odpowiadał ten kolor. Obawiam się, że będę musiał go tutaj przyprowadzić.

- Bardzo proszę.

Sprzedawca stracił zainteresowanie Rupertem i odwrócił wzrok w poszukiwaniu innego potencjalnego klienta.

De Burgh zdjął płaszcz i odwiesił go na miejsce. Prawdopodobieństwo, że okrycie w tym rozmiarze będzie ponownie mierzone przed uruchomieniem procesu samozapalnego, to znaczy w ciągu najbliższych czterech godzin, było bardzo niewielkie, chyba że Rupert miałby wyjątkowego pecha.

Odegrał tę samą scenę dwieście metrów dalej, w domu towarowym Cleery's przy O'Connell Street.

Teraz, kiedy operacja się rozpoczęła, odczuwał ulgę, niemal radość. Wracając do pracy, utknął w korku ulicznym na College Green, zatelefonował do biura i został poinformowany, że szef niezwłocznie chce go widzieć.

- Jestem już w drodze - oświadczył. - Miałem kłopoty z samochodem. Będę na miejscu za jakieś dziesięć minut.

Sky rozmawiała z Eamonnem Vaughanem w jego samochodzie. Okazało się że dziennikarz również jeździ nissanem, choć o wiele większym niż jej własny.

- Naprawdę uważasz, że to niemożliwe? - Była przygnębiona. - A czy nikt z twoich znajomych nie może pomóc? Dyrektor jest sympatycznym człowiekiem. Sądzę, że zaakceptowałby moją obecność, gdyby otrzymał pozwolenie.

Eamonn wolno pokręcił głową.

- Nikt ze znanych mi osób nie kiwnie palcem w tej sprawie. Jeśli zgodzą się na jednego dziennikarza, będę mieli kłopot z całą resztą.

- A gdybym się zobowiązała, że przekażę innym wszystkie informacje?

- Tego typu precedens miał miejsce podczas wizyty Reagana, ale przedtem wszyscy musieliśmy uzyskać zgodę służb bezpieczeństwa, przydzielono nam stanowiska za linami i zostały podjęte wszelkie możliwe środki ostrożności. - Pod wpływem tych wspomnień Vaughan wykrzywił z goryczą usta. - Musimy wymyślić coś innego. Jesteś pewna, że zjawi się tam przed konferencją?

- Absolutnie pewna. - Przynajmniej tyle zdołała się dowiedzieć od dyrektora. - Ale proszę cię, Eamonne - wyprostowała się nagle - wierzę, że nie zjawisz się tam nagle z całym *RS*

sprzętem telewizyjnym. O ile mamy jakąś szansę, utracimy ją, jeśli to zrobisz. Pomóż mi, a ja obiecuję, że pędem przybiegnę do ciebie i opowiem o każdym najdrobniejszym szczególe: o każdym jego ruchu głowy i o każdym kiwnięciu najmniejszego palca.

Była zadowolona, że nie wyjawiała Vaughanowi swych podejrzeń o możliwości incydentu z udziałem amerykańskich spiskowców.

- W każdej chwili mogę tu ściągnąć ekipę i tobie jako pierwszej przekazać całą historię... - zaczęła.

- To ja rozszyfrowałam tożsamość gościa. Wyciągnęłam także pewne fakty od mojego informatora, Fergusy Lynskeya.

Widząc, że ją rozgniewał, Irlandczyk ustąpił:

- A podzielisz się ze mną wszystkimi informacjami? Również i tymi uzyskanymi od Lynskeya?

- Powiem ci o wszystkim, o czym dowiedziałam się w sposób legalny - zapewniła, kiwając głową potakująco.

- Pozwól, że się zastanowię.

Vaughan utkwiał wzrok w zaciemnionej przedniej szybie. Niemal słyszała odgłos jego pracującego umysłu. Nagle doznała olśnienia.

- Jak brzmi nazwisko tego dziennikarza z telewizyjnej redakcji przyrodniczej, którego przedstawiłeś mi wczorajszego wieczora?

- Rory Tranyor. Tak... - Spojrzał na nią z podziwem. - Rozumiem, do czego zmierzasz.

A między nami mówiąc, Rory ma nie tylko znajomości w muzeum, jest również w bardzo dobrych stosunkach z premierem, któremu umożliwia wygłaszanie oświadczeń o bezcennych zasobach środowiska naturalnego.

- Gdzie go o tej porze znajdę? Czy mogę skorzystać z twojego telefonu komórkowego?

- Spróbuj się połączyć z biurem numerów. Wydaje mi się, że mieszka gdzieś w Terenu-re. - Vaughan włączył swój aparat i podał go Sky.

Ku jej wielkiej radości Traynor sam odebrał telefon i natychmiast wiedział, z kim rozmawia.

- Posłuchaj, Rory, decyzja należy do ciebie. - Od razu przystąpiła do sprawy. - Powiedziałeś, że zawsze chciałeś zobaczyć Montanę. Jeśli mi pomożesz i zrobisz to, o co cię poproszę, po powrocie do kraju dołożę wszelkich starań, aby Park Narodowy w Montanie i Służby Ochrony Przyrody pokryły koszty twojej wycieczki do Yellowstone i Parku Lodowcowego. -

R S

Poruszała się po śliskim gruncie i była świadoma głupkowatego uśmiechu na twarzy Vaughana, lecz naprawdę zamierzała spełnić obietnicę.

Rory Traynor odparł z chichotem, że dla takiej nagrody mógłby nawet codziennie być przekupywany. Zachęcona wyjaśniła, czego od niego oczekuje.

- Słyszałam, że czasami przebywasz w towarzystwie wysoko postawionych osób. Czy mógłbyś od razu zwrócić się z prośbą do premiera? Jestem pewna, że ci nie odmówi, Rory!

- Czyż to miejsce nie jest urocze? - Lynskey obdarzył Sky zniewalającym uśmiechem.

Wybrali się na lunch do „Abrakadabry”. - O co chodzi? Widzę, że jesteś duchem nieobecna?

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Sky powiedziała Rory'emu, że zadzwoni za godzinę i od wyznaczonego terminu dzielił ją już tylko kwadrans. Usiłowała skupić uwagę na posiłku. -

No cóż, przynajmniej dostałaś mnóstwo mięsa. - Trochę sosu z kebabu poleciało na jej sukienkę. - Będę musiała wrócić do hotelu, żeby się przebrać.

- Czy chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Myślałam, że jesteś zajęty. Ojej! Właśnie sobie przypominałam! - Odłożyła kebab.

- O czym sobie przypominałaś? - Lynskey przestał przeżuwać.

- O rodeo. Tam też jadłeś danie z różna.

- I co z tego? - Był najwyraźniej zbity z tropu.

- Tam go widziałam.

- Kogo, na miłość boską? Posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Czy nie mógłbyś się zachowywać uprzejmiej?

- Mógłbym, oczywiście. Bardzo przepraszam, ale ostatnio moje nerwy napięte są do granic wytrzymałości, a ty zachowujesz się jak obłąkana. O kim ci przypomniałem? Kogo widziałas na rodeo?

- Kanadyjczyka Jerry'ego Flyna. Natknęłam się dzisiaj na niego. Wyglądał zupełnie inaczej, Fergusie: obciął włosy na krótko i zgolił wąsy, ale to na pewno był on. Od pierwszej chwili wiedziałam, że skądś znam tego przechodnia - z powodu złotego zęba. On jest w Dublinie, Fergusie.

Lynskey w jednej chwili zapomniał o reszcie kebabu.

W komisariacie panował organizacyjny bałagan: samochody policyjne odjeżdżały sprzed budynku z piskiem opon, a ludzie biegali raczej, niż chodzili, pomiędzy pokojami.

Atmosfera w biurze głównego inspektora była nie lepsza: Rupert de Burgh otrzymywał

właśnie srogą reprymendę. Pomimo cichych i wytrwałych wyjaśnień, że nie można go winić *R S*

za defekt opony, ani za to, że zapieczone śruby nie chciały się odkręcić, uniemożliwiając wymianę koła, szef był nieprzejednany w swym gniewie:

- Powinieneś zatelefonować, durniu. Szczególnie w takim dniu jak dzisiaj. Czterech funkcjonariuszy nie stawiło się jeszcze dzisiaj do pracy...

- To skutek zakazu zatrudniania w godzinach nadliczbowych.

- Dobrze o tym wiem, do cholery! - Ton głównego inspektora tak się miał do głosu podwładnego, jak ryk słonia do miauczenia kota. - Nie przypominaj mi o sprawach oczywistych!

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem, szefie, ale całkowicie pochłonęła mnie wymiana koła.

- Zapomnijmy o tym. - Główny inspektor ze zniecierpliwieniem machnął ręką. - Czy w Killybegs zostały znalezione narkotyki? Chcę mieć za kwadrans na biurku szczegółowy raport tej sprawie. Pragnąłbym się wreszcie dowiedzieć, co właściwie mamy do powiedzenia na konferencji prasowej za cztery godziny. - Rozległ się sygnał telefonu na biurku i szef podniósł

słuchawkę. - O co chodzi? - Słuchając, sprawiał wrażenie, że opuściła go cała energia. - Nie wierzę.

- Ciężko oparł się plecami o fotel. - Kiedy to było? Jak dawno temu?

De Burgh zaczął się wycofywać z gabinetu, lecz przełożony zatrzymał go wzrokiem.

- Zadzwoni natychmiast, gdy tylko zdobędziesz więcej szczegółów - powiedział do telefonu. -

Odłożył słuchawkę i podniósł oczy na swojego podwładnego.

- Dzwonił detektyw z biura śledczego w Mountjoy. W Finglas zatrzymano złodziei, którzy próbowali okraść supermarket. Kierowca pojazdu należącego do służb bezpieczeństwa został ranny, a także jeden z rabusiów. Są nam znani: to wuj z siostrzeńcem. Okazało się również, że użyli broni AK47. A posługujący się nią przestępca uciekł na górskim rowerze - na górskim rowerze! Musiałem wesprzeć tamtejszą jednostkę... Prawdopodobnie połowa radiowozów północnego oddziału policji krąży obecnie po Finglas.

Z pewnością była to przysłowiowa kropla, która przepełniła kielich goryczy głównego inspektora, i de Burgh niemal poczuł do niego litość; incydent ten nie mógł się jednak zdarzyć w lepszym dla Ruperta momencie.

W pierwszej chwili nie dostrzegł związku. A kiedy go sobie uświadomił, serce podeszło mu do gardła.

Zaraz się jednak opanował. Chociaż wśród broni, którą przekazał Kalifornijczykowi i Jerry'emu Flynnowi, znajdował się również karabin maszynowy typu Kałasznikow AK47, R S

który Rupert „wypożyczył” z policyjnych magazynów broni skonfiskowanej ze składów IRA, niekoniecznie oznaczało to, że ten sam egzemplarz został użyty podczas napadu na supermarket w Finglas. Broń maszynowa AK47 nie rosła wprawdzie na drzewach, ale zdobycie jej nie nastęrczało wielkich trudności.

- Idź i przygotuj raport, o który cię prosiłem - powiedział cicho główny inspektor. - A potem obaj z Lynskeyem pojedziecie do Baldonnel. A kiedy znajdę kogoś na wasze miejsce, wyrwiecie się stamtąd na konferencję prasową. Bądźcie ze mną przez cały czas w kontakcie!

- Tak jest, szefie.

Po opuszczeniu gabinetu głównego inspektora de Burgh dotknął pokrzepiającego kształtu telewizyjnego pilota w kieszeni marynarki. Gdy tylko znalazł się za biurkiem, zatelefonował do hotelu, nie zastał tam jednak ani pana Mulqueena, ani jego amerykańskiego przyjaciela.

- Dziękuję, nie mam do przekazania żadnych wiadomości - powiedział i odłożył słuchawkę.

- To przypomina trzecią wojnę światową!

Kobieta pchająca przed sobą wózek sklepowy zatrzymała się w bezpiecznej odległości od tego, co działo się na jej oczach.

- Hańba, że nikt nie zważa na obecność dzieci! - zawtórowała jej przyjaciółka.

Obie zajęły dogodne pozycje, aby obserwować kłacz galopującą po rozległej łące oraz trzymającego się boku matki wystraszonego źrebaka. Zwierzęta zerwały się do ucieczki, spłoszone przez zdesperowanego młodego człowieka, który pędził co sił w nogach na rowerze górskim. Dystans pomiędzy uciekinierem a ścigającą go kawalkadą, w skład której wchodziły trzy policyjne

radiowozy, szybko się zmniejszał. Syreny wyły, a światła na dachach błyskały w jasnych promieniach słońca.

Nagle młody człowiek gwałtownie zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku - w stronę głównej szosy. Ostro hamujące pojazdy zarzuciły na śliskiej trawie, dzięki czemu rowerzysta zyskał przewagę kilku cennych sekund. Pedałował teraz tak prędko, że trudno było dostrzec jego migające stopy. Na głównej szosie panował dość duży ruch, pojazdy jechały w obu kierunkach, niektóre przekraczały nawet dozwoloną prędkość. Chłopak przystanął tylko na moment, gdyż dostrzegł swą szansę w niewielkiej luce pomiędzy samochodem osobowym a nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówką. Wystrzelił pomiędzy oba pojazdy i bezpiecznie dotarł na drugą stronę jezdni, zanim którykolwiek z kierowców zdążył zahamować.

R S

Policjanci z radiowozów, widząc, że ścigany zjeżdża w dół stromego zbocza - pokrytego rozległymi, odzyskanymi pod uprawę nieużytkami, które graniczyły z rzeką Tolka i przemysłową dzielnicą Dublina na drugim brzegu - z piskiem opon włączyli się do ruchu na szosie, aby za zakrętem, osiemset metrów dalej, wjechać na most. Do ekipy dołączył funkcjonariusz na motocyklu. Motor miał również włączoną syrenę i migał światłami.

Sky nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu!

Kiedy ponownie skontaktowała się z Traynorem, na pięć minut przed uzgodnionym terminem, miał dla niej pomyślne wieści.

- Będę uczciwy. Powiedziałem premierowi, że ja też chcę być obecny w muzeum, a także o twojej obietnicy. On wie, że od dawna bardzo pragnęłam pojechać do Montany. Zobowiązałam się, że będę cię miał na oku. Jednak, w myśl naszej umowy, nie wolno ci puścić pary z ust żadnemu innemu reporterowi, zgoda?

Sky miała ochotę tańczyć.

- Och, panie Traynor, chętnie bym pana ucałowała!

Znów zachichotał.

- Czy to kolejna obietnica? Zabierz mnie tylko do Narodowego Parku Lodowcowego, a będziesz tam miała mnóstwo okazji.

Sky rozłączyła się i niezwłocznie zatelefonowała do Jima Larsena. Reakcja szefa zmroziła ją; miała wrażenie, że uleciało z niej całe powietrze.

- Rzeczywiście, w pewnym sensie to sensacyjna wiadomość - przyznał niechętnie Jimbo. - Kogo jednak w Ameryce obchodzi brytyjska rodzina królewska?

- Będziemy mieli wyłączność na relacjonowanie tej wizyty w światowych mediach, Jim. I przekonasz się, że materiał zainteresuje naszych czytelników. Poza tym, będziesz mógł

go sprzedać.

- Pewnie masz rację - odpowiedział bez przekonania. - A co z naszą historią? Czy udało ci się już coś odkryć?

- Przepraszam, ale kończą mi się drobne. Zadzwoń później.

Sky była tak wściekła, że przerwała rozmowę, chociaż na jej telefonicznej karcie pozostały jeszcze dwadzieścia trzy impulsy.

Szarpany wiatrem teren wojskowego lotniska w Baldonnel nie należał do ulubionych miejsc Lynskeya. Obecność w Dublinie Jerry'ego Flynna bardzo zaniepokoiła Fergususa i wołałby znajdować się teraz bliżej centrum miasta: w gmachach rządowych albo w Áras an Ua-R S

chtaráin - rezydencji prezydenckiej w Parku Phoenix.

Na płycie lotniska aż się roiło od funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa. Wszystkie drogi dojazdowe zostały zamknięte, okoliczne pola patrolowane były przez jednostkę komandosów irlandzkiej armii - wspaniale wyszkoloną grupę szybkiego reagowania - a na pasie startowym stały w szeregu helikoptery, gotowe do eskortowania gościa podczas przelotu do parku. Była jeszcze jedna sprawa: Lynskey nienawidził latać helikopterami - nie znosił ich lekkości ani manewrów powodujących sensacje żołądkowe. Nikt nie miał już wątpliwości, że z prywatną wizytą przybywa jakaś ważna osobistość. Lynskey ponownie prześlizgnął się wzrokiem po tłumie zgromadzonym na terenie przed hangarem: chociaż nie było warty honorowej ani pstrokacizny mundurów, towarzyszącej nieodłącznie oficjalnym powitaniom, na gościa czekała pięćdziesięcioosobowa grupa oficjeli, a wśród nich: brytyjski ambasador, irlandzcy ministrowie obrony i sprawiedliwości, urzędnicy państwowi, przypuszczalnie kilku bliskich znajomych księcia oraz kwiat wyższych rangą przedstawicieli wojska i policji, chlubiący się większą liczbą gwiazdek na mundurach niż amerykańska flaga.

- Przepraszam na moment - powiedział Lynskey, nie adresując tej uwagi do nikogo konkretnie, i odsunął się na bok, aby zatelefonować do szefa.

Stwierdzenie, że główny inspektor jest w kłopotach, byłoby eufemizmem stulecia.

Wszystkie borykające się z brakiem personelu komisariaty w mieście pękały wprost od bandytów i złodziei. A jedna z grup przestępczych, o czym zawiadomił Lynskeya główny inspektor, nabyła nawet kałasznikowa, usiłując dokonać napadu rabunkowego na supermarket.

- Tylko tego nam było trzeba: IRA.

- Czy dobrze zrozumiałem, że napad się nie udał? - Lynskey zakrył wolne ucho dłonią, gdy obok niego rozległ się wybuch ochryplego śmiechu. - Odzyskał pan broń?

- Tak. Została przekazana chłopcom z działu technicznego, lecz do przyszłego tygodnia nie będą się nią zajmować.

- Czas brać się do roboty, panowie!

Nieopodal stali wyżsi rangą policjanci z innego niż Lynskey oddziału. Zlustrował wzrokiem niebo po wschodniej stronie i dostrzegł światła lądującego samolotu RAF-u.

- Muszę iść. Zadzwoń, gdy będę już w parku.

- Jeszcze raz spróbuj się zastanowić. Skąd masz ten karabin?

Detektyw w stopniu sierżanta usiłował zastraszyć aresztowanego chłopaka swoją po-tężną posturą. Wyrostek, któremu, sądząc po wyglądzie, przydałby się przyzwoity posiłek, *R S*

siedział ze wzrokiem utkwionym w punkt na ścianie za głową detektywa. Uciekinier został w końcu odnaleziony w jednym z samochodów zaparkowanych na terenie fabryki w przemysłowej dzielnicy Dublina.

- Twój wuj jest w kiepskiej formie, synu. - Drugi z policjantów uderzył w bardziej jo-wialny ton. - Już po wszystkim. Dlaczego nie chcesz nam powiedzieć? Kto wie, czy **nie** zostaniesz lepiej potraktowany w sądzie, jeśli będziesz z nami szczerzy. Powiemy: „Uzyskaliśmy pełną pomoc z jego strony, panie sędzio”. Dobrze wiesz, co to może dla ciebie oznaczać.

Młody człowiek oderwał wzrok od ściany i rzucił spojrzenie w stronę przesłuchujących go funkcjonariuszy.

- Czy mógłbym dostać papierosa?

- Oczywiście, bardzo proszę.

Sierżant wyjął jednego z paczki Benson and Hedges i podał go zatrzymanemu. Wyrostek głęboko się zaciągnął i wypuścił powietrze, zapełniając dymem mały pokój przesłuchań.

Żaden z detektywów nawet nie mrugnął okiem.

Chłopak powiedział im, gdzie razem z wujem kupili broń.

W tym samym czasie oficer policji z oddziału technicznego przyklepił etykietkę do owiniętego w plastikową torbę karabinu AK47. Zamierzał schować go do sejfu w policyjnym składzie amunicji w Parku Phoenix.

- To zabawne.

Przeniósł wzrok z metalowej półki na pakunek, który trzymał w dłoni i poszedł sprawdzić archiwa.

Rozdział 43

Atmosfera w muzeum stawała się coraz bardziej napięta. Nieszczęsny portier w swojej

dotychczasowej swej karierze miał niewielkie problemy. Kiedyś musiał poradzić sobie z dwiema grupami niezadowolonych uczniów i ich nauczycielami, gdy okazało się, że obie wycieczki zarezerwowały sobie ten sam czas zwiedzania, od czasu do czasu uciszał również gniew pracowników naukowych i turystów, którzy wymachując ulotkami informacyjnymi oraz przewodnikami, wskazywali na zamieszczone tam informacje, sprzeczne z rzeczywistymi godzinami otwarcia muzeum, i domagali się wpuszczenia do środka.

R S

Siedząc z Rorem Traynorem i dyrektorem w jego gabinecie, Sky rozważała różne wersje artykułu. Była zdecydowana zainteresować czytelników, nawet gdyby musiała użyć pierwszej osoby w nagłówku, co nie leżało w zwyczaju „Couriera”: „Jak udało mi się stanąć oko w oko z księciem Walii”. Było to lepsze niż nic. Uznała, że uda jej się wyjść zwycięsko z zadania.

Jednakże na myśl o konieczności połączenia wszystkich informacji w całość ogarniała ją trwoga: pomijając już temat wizyty księcia, niełatwo napisać spójny artykuł, który traktowałby o narkotykach, broni oraz irlandzkich konspiratorach, mających powiązania z Montaną.

Doszła do wniosku, że nie obejdzie się bez wsparcia gazety „New Yorker”.

Dobrze przynajmniej, że wydarzenia rozgrywały się szybko, i jej pobyt w Irlandii nie narażał skąpego właściciela „Couriera” na zbyt duże koszty.

- Teraz to już lada chwila, prawda?

W porze lunchu dyrektor pojechał do domu, aby się przebrać, i wrócił wystrojony niczym witryna sklepu z pasmanterią. Pracownicy muzeum zostali powiadomieni, że mają spodziewać się księcia o trzeciej po południu.

- Samotny, poblądły, krąży podejrzenie...

- Co takiego? - Rupert de Burgh obrócił się wokół własnej osi, jak gdyby wykręcał pi-ruet na lodzie.

- Odpręż się, de Burgh. - Lyskey spojrzał na Anglika ze zdziwieniem. - To miał być dowcip. - Obrzucił długim spojrzeniem szeregi oddziałów policyjnych i wojskowych przed rezydencją prezydencką. - Szczerze mówiąc, uważam to wszystko za śmiechu warte. Oto za chwilę będziemy eskortować przez miasto tak zwanego anonimowego gościa, którego tożsamość do końca ma pozostać nieujawniona. Zważywszy na wstrzymany ruch, wyłączenie świateł ulicznych i obecność snajperów, spodziewam się, że będziemy mieli na karku połowę dziennikarzy pracujących w tym mieście, nim zdołamy dotrzeć do Parkgate Street.

Uchylając się od odpowiedzi, de Burgh podszedł do samochodu, którym miał jechać z Lyskeyem w eskorcie. Był świadom tego, że zdradza oznaki nadmiernej nerwowości. Sięgając po słuchawki samochodowe, zmusił się do zaczerpnięcia kilku głębokich oddechów. Od rozstrzygającego momentu dzielił go jeszcze tylko kwadrans...

Za plecami usłyszał chrzęst stóp na żwirze siedemdziesięciu policjantów śpieszących do swych

pojazdów. Odłożył słuchawki, wyprostował się i skierował wzrok w stronę drzwi rezydencji, aby zobaczyć panią prezydent oraz jej dostojnego gościa. Jednak zamiast spodziewanego widoku, napotkał wprawiające w zakłopotanie spojrzenie Fergusy Lynskeya.

R S

Organizatorzy konferencji - zaplanowanej na piątą po południu z uwagi na rozpoczynający się kwadrans po dziewiątej wieczorem program telewizyjny, w którym miał wystąpić ja-ko jedyny gość Kebele - byli oszołomieni i rozgorączkowani. Rzeczywistość przeszła ich naj-

śmielsze oczekiwania. Stało się już powszechnie wiadomo, że tajemnicza osobistość wylądowała na lotnisku Baldonnell w obecności brytyjskiego ambasadora, a następnie została zabrana helikopterem do Áras an Uachtaráin, w Parku Phoenix. Wszyscy wiedzieli również, że połowa policyjnych motocyklistów została oddelegowana do służby w mieście. Nie trzeba było geniusza, aby się domyślić, kto przyjechał na konferencję.

Dobrze poinformowani okazali się nie tylko żądni sensacji dziennikarze; dzięki sprawnie działającemu w Dublinie systemowi przekazywania plotek przed gmachem filharmonii zgromadził się już spory tłum gapiów.

- Mam nadzieję, że nie będą mnie za to winić. - Jill Tuffy z satysfakcją ogarnęła wzrokiem ekipy filmowców, którzy w poszukiwaniu drabin i stołków co chwila potykali się o kable i o przewody. - Nikomu nic nie powiedziałam.

- Nieważne, w jaki sposób ta informacja się wydostała. - Kolega obrzucił ją przecią-

głym spojrzeniem. - Mam tylko nadzieję, że nasi pozostali goście nie poczują się odsunięci na dalszy plan.

- Bzdura. - Kobieta przebiegła oczami listę nazwisk w notatniku. - Konferencja będzie głównym tematem we wszystkich wieczornych dziennikach w całej Europie. A nawet na świecie. Która godzina? Chciałabym wysłuchać wiadomości nadawanych o trzeciej.

Toby de Burgh był spocony. Trzy budki telefoniczne, z których miał przeprowadzić rozmowy, znajdowały się w bliskiej od siebie odległości, nieopodal Leicester Square. Musiał

się jednak prędko poruszać, aby zakończyć zadanie przed upływem sześciu minut wyznaczonych mu przez Ruperta.

Dwa telefony już miał za sobą.

Zadzwoił do dublińskich rozgłośni, wykorzystując słowny kod, który otrzymał od brata. Pierwszą stację radiową zawiadomił o bombie podłożonej w restauracji MacDonald's przy O'Connell Street. W drugiej przekazał podobną wiadomość, z tą jedynie różnicą, że miejscem rzekomego zamachu miał być inny lokal tej samej sieci usytuowany przy Grafton Street.

Szedł szybkim krokiem, starając się nie bieć. Obejrzał się zalekziony przez ramię, jak gdyby w

obawie że ludzie zdołają odczytać jego myśli. Piekiły go oczy, gdyż zalewał je pot, a pod luźną koszulą z jedwabiu czuł nieprzyjemne strumyki spływające spod pach aż do pasa.

R S

Mieli dzisiaj jedno z tych upalnych londyńskich popołudni, kiedy powietrze jest gęste niczym płótno opatrunkowe, a zrezygnowani kierowcy taksówek, stojący w dusznych ulicznych korytarzach, prowadzą ze sobą rozmowy przez otwarte okna samochodów.

- Chryste, Rupercie - wymamrotał, gdy odskoczył na bok, słysząc jedną z takich konwersacji. - Dlaczego się na to zgodziłem...? - Ponownie się obejrzał, przestraszony, że ktoś mógł go usłyszeć.

Dotarł do trzeciej budki - jednej z czterech na początku alei.

Przygotował dwie funtowe monety i wepchnął je do otworu automatu telefonicznego.

W trzeciej rozgłośni radiowej na liście, RTE, nikt nie odpowiadał. Wreszcie, po czternastym sygnale, ktoś podniósł słuchawkę. Zanim Toby przekazał wiadomość, miał wrażenie, że eksploduje mu serce. Tym razem informacja dotyczyła bomby podłożonej w lokalu „U

Bewleya" na George's Street.

Wszystkie trzy restauracje znajdowały się w ruchliwej części miasta. I wszystkie trzy były zwykle zapełnione po brzegi, a ewakuacja gości wiązała się z wielkimi trudnościami.

Gdy Toby wykonał to, do czego się zobowiązał, adrenalina w nim opadła niczym woda podczas odpływu. Zrobiło mu się słabo i bał się, że za chwilę zemdleje. Spojrzał na zegarek.

Uporał się z zadaniem dokładnie co do minuty. Była za dziesięć trzecia.

Za dziesięć trzecia przygarbiony starszy człowiek, który pomimo wspaniałej, słonecznej pogody nosił wełnianą czapkę, rękawiczki oraz szalik tak dokładnie owinięty wokół szyi, że zakrywał mu również część brody, wsiadł do taksówki nieopodal głównego dworca autobusowego. Nie miał ze sobą bagażu; polecił taksówkarzowi, żeby go zawiózł na lotnisko.

- Czy będę mógł uiścić należność kartą kredytową? - Kiedy się dowiedział, że ta forma płatności nie wchodzi w rachubę, sięgnął do kieszeni i wydobyl banknot pięćdziesięciodolarowy. - Na wszelki wypadek zawsze noszę przy sobie gotówkę.

- Nie będę mógł panu wydać. Nie jestem kasą walutową. - Kierowca przyjrzał się uważnie pasażerowi we wstecznym lusterku.

- Nieważne. - Starszy mężczyzna jeszcze bardziej się zgarbił i wtulił w szalik. - Czy pięćdziesiąt dolarów wystarczy na pokrycie opłaty za przejazd na lotnisko?

- Sądzę, że tak. - Taksówkarz wzruszył ramionami i pojechał.

Flynn nieco się odprężył. Powinien wcześniej opuścić miasto, lecz z obawy przed zde-maskowaniem spędził ponad godzinę w pokoju. Rozważał skutki wycofania się z akcji. Z

każdą chwilą nabierał coraz większej pewności, że znalazł się w pułapce. Czuł, że każda ko-R S

lejna minuta zwiększa ryzyko zde-maskowania. I to nie tylko z powodu niefortunnego incydentu z bronią. Flynn był pewien, że owa dziennikarka, z którą się zetknął wcześniej na rodeo, rozpoznała go.

Gdyby tylko zdołał złapać de Burgha. Telefonował dwukrotnie do jego biura, lecz za każdym był informowany, że policjant jest w terenie. Za trzecim razem Flynn zostawił dla niego wiadomość: „John Mulqueen i jego przyjaciel zostali wezwani w pilnej sprawie. Skontaktują się po powrocie do domu”. To najlepsze, co mógł zrobić w tych okolicznościach.

Taksówkarz przeklinał korek, w którym ugrzęźli na skrzyżowaniu Gardiner Street i North Circular Road, lecz nastrój Flyna nieco się poprawił: fakt, że ta operacja się nie udała, nie oznaczał jeszcze, że w przyszłości nie nadarzy się inna okazja. Sprawa była nadal aktualna i wciąż czekała, żeby ktoś się za nią ujął. Flynn usłyszał z oddali policyjne syreny i na moment ogarnęła go panika, zaraz jednak uświadomił sobie, że odgłosy słabną. Jeszcze tylko godzina i będzie bezpieczny.

Joe Mason, w swych porysowanych okularach, czekał już na lotnisku z zabukowanym biletem na lot do Amsterdamu. Nie marnował czasu na introspekcje. Opuścił hotel natychmiast, gdy tylko się dowiedział o przygodzie Kanadyjczyka.

Rupert de Burgh był zdany wyłącznie na siebie.

Po sprawdzeniu archiwów oficer, który wpisał do rejestru karabin AK47 - skonfisko-wany po nieudanej próbie obrabowania supermarketu - odkrył, że ten sam egzemplarz już wcześniej został wciągnięty do akt: było to przed niespełna miesiącem. A nie znalazł żadnych dokumentów o jego wycofaniu ze składu.

Po chwili dalszych poszukiwań odkrył kolejną osobliwość: brakowało innego karabinu maszynowego oraz dwóch pistoletów, które także figurowały w rejestrze.

Irlandzka policja zanotowała ostatnio wiele sukcesów w zlokalizowaniu i przeprowa-dzeniu obław na składy amunicji IRA na terenie kraju i policyjne magazyny pękały w szwach od zarekwirowanej broni. Nic dziwnego, że brak czterech sztuk został przeoczony. Szczególnie w tak trudnej sytuacji kadrowej jak obecna.

Oficer zameldował o wykrytej niezgodności swojemu przełożonemu, a ten niezwłocznie przekazał wiadomość wyżej.

Kawalkada pojazdów towarzyszących księciu na North Circular Road przejeżdżała przez duże skrzyżowanie z Dorset Street. Większość przechodniów, oswojonych z faktem, że ich ulica jest wykorzystywana do kręcenia kolejnego odcinka serialu „Starsky i Hutch”, śle-R S

dziła przejazd kolumny obojętnie. Jednakże motocykliści, którzy utknęli w typowym dla piątkowego popołudnia korku i zostali zmuszeni przez funkcjonariuszy na czele eskorty do zje-chania na bok,

reagowali na wydarzenia w sposób bardziej porywczy i ze złością naciskali klaksony.

De Burgh, z Fergusem na siedzeniu pasażera, prowadził jeden z pierwszych samochodów kolumny. Zatrzymani motocykliści robili za ich plecami tak ogłuszający hałas, że Lynskey raczej wyczuł na biodrze, niż usłyszał sygnał komórkowego telefonu. Wydobył z kieszeni aparat i wyciągnął małą gumową antenę.

- Słucham?

Dobiegły go jednak tylko trzaski.

- Nie słyszę, kto mówi. Proszę zadzwonić za kilka minut. Właśnie wjeżdżamy na Mountjoy Square. - Wyłączył telefon, spojrzał na de Burgha i wzruszył ramionami.

Przed gmachem filharmonii Eamonn Vaughan naradzał się w samochodzie z reporterką BBC, która była wczoraj drugą szczęśliwą odbiorczynią informacji Jill Tuffy. Pomiędzy członkami ekip omal nie doszło do bójki. Kiedy reporterzy porównywali swe notatki, policyjny samochód patrolowy, który dotychczas poruszał się z bardzo umiarkowaną prędkością, przyśpieszył i gwałtownie wystrzelił do przodu. A potem, z migającymi światłami na dachu i ogłuszającym rykiem syreny, zniknął z piskiem opon za rogiem.

- Co się stało? - Vaughan wyskoczył z pojazdu, nasłuchując. Dobiegł go dźwięk syreny jeszcze jednego wozu policyjnego. - Dochodzi trzecia! Prędko! Włącz radio w samochodzie!

Błyskawicznie wydobył swój własny odbiornik stereofoniczny i założył słuchawki.

- Och, mój Boże! - Kobieta, która oglądała męskie płaszcze w domu towarowym Arnott's, odskoczyła na bok, chwytając dziecko na ręce, gdy na końcu stoiska wystrzeliła w górę wiązka płomieni. Krzycząc i ciągnąc za sobą wózek, wpadła na stojak z koszulami firmy Viy-ella, który runął na podłogę. Personel zatrudniony w stoisku i klienci rozpierzchli się w po-płochu po sklepie. Jedyne bystry i wysportowany kierownik złapał ze ściany gaśnicę i stłumił

niewielki ogień, ale na powstrzymanie chaosu było już za późno. Kobieta nie przestawała wrzeszczeć, podobnie jak jej dziecko, i wszyscy rzucili się w panice do wyjścia.

W domu handlowym Clery's, niespełna czterysta metrów dalej, klient w średnim wieku

- turysta z Teksasu - nie miał tak wiele szczęścia. Był wysokiego wzrostu - w młodości uprawiał koszykówkę - i obecnie, gdy mięśnie zastąpiła tkanka tłuszczowa, nosił rozmiar pięć-

dziesiąt cztery. W momencie kiedy sięgał po płaszcz, nastąpił samozapłon. W jednej chwili R S

część twarzy mężczyzny oraz jego bujną, śnieżnobiałą czuprynę zaatakował ogień.

Stało się to tak szybko, że jego żona, która oglądała ubrania kilka metrów dalej, niczego nie spostrzegła, dopóki nie dobiegł jej krzyk ekspedientki. Obejrzała się w momencie, gdy ktoś zarzucił gruby, wełniany szal jej mężowi na głowę; niestety połowa jego twarzy przypominała wyglądem

dobrze wysmażony kotlet.

Informacje docierały nazbyt prędko. Główny inspektor chwycił się za skronie. Bom-bowe straszaki oderwały jego myśli od obrazu, który zaczął mu niejasno się zarysowywać.

Wyrwał z notatnika kartkę i położył ją przed sobą:

- W napadzie na supermarket pojawia się karabin maszynowy typu AK47, - a także pistolet, - broń krótka została zakupiona od dzieciaka, który zdobył ją podczas rabunku, - niewykluczone, że broń maszynowa pochodzi z tej samej kradzieży, - Jerry Flynn, rozpoznany przez dziewczynę Lynskeya, odpowiada opisowi obrabowanego turysty.

Szef policji dopadł do telefonu.

- Podajcie mi nazwiska wszystkich, których podpisy widnieją w ubiegłym tygodniu w magazynie zarekwirowanej broni. Chodzi mi o osoby, które nie są zatrudnione u was na stałe.

Chcę mieć tę informację natychmiast! - Cisnął słuchawkę z powrotem na widełki.

W tym samym momencie rozległ się dźwięk telefonu.

Przebywająca w muzeum Sky odczuwała absurdalnie podniecenie niczym nastolatka.

Usiłowała wmówić sobie, że to skutek zdobycia wyłącznego prawa do relacjonowania tego światowego wydarzenia. Uczciwie musiała jednak przyznać, że jej ekscytację potęguje perspektywa spotkania z prawdziwym następcą tronu.

- Co takiego ma w sobie monarchia?

Dyrektor się zachnął, jak gdyby wbiła mu żądło należące do któregoś z jego własnych okazów.

- O co pani chodzi?

- Nieważne. Czy naprawdę nie życzy pan sobie, żebyśmy poczekał na zapleczu?

Spojrzała na Rory'ego Traynora, który wydawał się całkowicie opanowany, jak gdyby codziennie komentował tego typu wizyty.

- Zostańcie tu, gdzie jesteście. - Dyrektor spojrzał na zegarek. - To kwestia minut.

Jak gdyby w odpowiedzi usłyszeli ryk syren.

- Jezu, on już tu jest! - Dyrektor podreptał truchtem w stronę drzwi, zaraz jednak wrócił na miejsce.

- Proszę się nie gorączkować, Declanie. - Zdenerwowanie dyrektora dziwnie uspokoiło Sky. - Za trzy albo cztery minuty będzie po wszystkim.

- Lepiej, żeby nasz gość zabawił tu trochę dłużej, W końcu zadaliśmy sobie niemało trudu...

- Kto taki? - Główny inspektor podniósł się z krzesła. - Prędko! Czy to pewne, że on jedyny nie jest tam zatrudniony na stałe?

Reakcją głównego inspektora na odpowiedź rozmówcy było rzucenie słuchawki na wi-dełki. A potem wybiegł z gabinetu i pędząc korytarzem, wystukiwał numer na swoim telefonie komórkowym.

- Lyskey! - syknął ponaglająco do słuchawki. - Czy jesteś sam?

- Nie, szefie! - Fergus wykrzywił twarz. - Jak pan słyszy, jesteśmy otoczeni całą armią motocyklistów. Zbliżamy się właśnie do muzeum.

W tym momencie policjanci na motorach przejechali obok i reszta wypowiedzi zwierzchnika utonęła w huku silników.

- Słucham, szefie?

Fergus wysiadł z samochodu, a za nim, ku największemu zdumieniu szybko rosnącego tłumu, również i księżę wraz z towarzyszącymi mu osobami. W słuchawce Lyskeya rozlega-

ły się trzaski. Połączenie z głównym inspektorem ponownie zostało przerwane.

Rupert spojrział w kierunku, gdzie spodziewał się zobaczyć Jerry'ego Flynna. Kanadyjczyk miał uprowadzić autobus wraz z pasażerami spod gmachu Trinity College, podstawić go tuż przed przybyciem gościa na skrzyżowanie Merrion Street z Merrion Square, a następnie podjechać pod gmachy rządowe, ażeby odwrócić uwagę policji od działań de Burgha. Rupertowi dudniło serce, gdy podązał za Lyskeyem w stronę osób zgromadzonych wokół księcia.

Po autobusie nie było śladu.

Spostrzegł, że następca tronu zamiast od razu ruszyć w kierunku żelaznej bramy muzeum, zatrzymał się tuż przed nią, ściskając dłonie i wymieniając uwagi z mieszkańcami Dublina oraz uszczęśliwionymi turystami, których natychmiast otoczył kordon policji.

- Spójrz! On ma broń! - zaimprovizował na oczekaniu, podbiegając do partnera i chwytając go za rękaw.

- Kto? - Lyskey obrócił się na pięcie.

- Tamten człowiek! - De Burgh wskazał na rozczochranego młodzieńca na drugim końcu ulicy, który, zaintrygowany zamieszaniem, biegł w ich stronę.

Komórkowy telefon w dłoni Fergus'a znowu zadźwięczał przenikliwie.

- Słucham? - wrzasnął Lynskey do słuchawki, nie spuszczać z oczu szybko zbliżającego się chłopaka. Nie dostrzegł jednak u niego żadnej broni.

Rozległy się trzaski, a potem wyraźny głos szefa:

- Trzymaj de Burgha z dala od księcia! - padł zdecydowany rozkaz. - On jest kretem, którego szukaliśmy.

Gość i jego ochrona minęli bramę i zmierzali ścieżką w stronę budynku muzeum. Lynskey spostrzegł, że de Burgh ruszył w ślad za nimi i prędko się do nich zbliżał. Wskazany przez niego młodzieniec nie miał nic w dłoniach. Lynskey puścił się biegiem za Anglikiem, torując sobie drogę pośród tłumu.

Dogonił go w chwili kiedy tamten zrównał się z księciem i towarzyszącymi mu osobami. Tylko metry dzieliły ich od wejścia do budynku i od grupy powitalnej, wśród której Fergus dostrzegł ku swojemu przerażeniu Sky MacPherson. A potem zobaczył wsuwającą się do kieszeni rękę de Burgha.

Za plecami ochroniarza wymierzył cios, dosięgając pleców Anglika. Pozbawił go równowagi w chwili kiedy budynkiem wstrząsnął wybuch semtexu. Ochroniarze rzucili się w stronę księcia i odciągnęli go w bezpieczne miejsce, ale siła eksplozji rzuciła Lynskeya i de Burgha w głąb budynku. Obaj znaleźli się nagle wśród tumanu kurzu i lecących z galerii odłamków. Tuż przed ich upadkiem na kamienną posadzkę Fergus dostrzegł w przelocie zaskoczenie na twarzy Sky.

De Burgh zamierzał wepchnąć księcia do gmachu muzeum i w momencie eksplozji bomby zamknąć podwójne, masywne drzwi. Miałby pięć minut, by zmusić swego więźnia do podpisania przeprosin za okrucieństwa Brytyjczyków, a potem zamierzał go zastrzelić. Tak jak angielscy spadochroniarze zastrzelili trzynastu niewinnych cywilów w Derry.

A tymczasem musiał walczyć o własne życie.

Dwadzieścia lat snucia planów i cierpliwego oczekiwania poszło na marne.

Ale dwadzieścia lat powstrzymanej wściekłości dodało nagle Rupertowi sił i umocniło jego determinację do walki.

Rzucił się na Lynskeya i wcisnął mu palce w oczy, a kiedy przeciwnik odruchowo się cofnął, zwałił go z nóg.

Fergus wpadł do sieni, ale de Burgh zdążył już w tym czasie doskoczyć do zewnętrznych, drzwi i zaryglować zamek. I w ułamku sekundy, zanim Irlandczyk zdołał go dopaść, *R S*

podniósł pistolet.

Lynskey powoli opuścił broń i wycofał się w głąb budynku.

De Burgh błyskawicznym ruchem zamknął również drzwi wewnętrzne.

Rozdział 44

Wydarzenia rozgrywały się w tak zawrotnym tempie, że Sky nie zdążyła nawet krzyknąć. Dopiero co stała na palcach i obserwowała ponad ramieniem dyrektora przybycie księcia, a już chwilę potem nastąpił potężny wybuch, którego siła wrzuciła Lynskeya wraz z drugim mężczyzną do wnętrza budynku. Górne neonowe oświetlenie zgasło, a połowa sufitu runęła w dół wraz z lawiną odłamków szkła. Sky dostrzegła kątem oka olbrzymi, ciemny kształt. Za-hipnotyzowana widokiem zmagających się mężczyzn nie śmiała poruszyć głową, aby sprawdzić, co to takiego.

Walka trwała kilku sekund i przeciwnik Lynskeya doskoczył do drzwi.

Sky niemal nie mogła oddychać; dusiła się od sierści, piór i kurzu w powietrzu. Zasłoniła dłonią usta i nos i dopiero wtedy ośmieliła się spojrzeć. Poprzez opadający grad odłamków zobaczyła, że tamten nieznajomy mężczyzna przy drzwiach ma w dłoni pistolet. Olbrzymim ciemnym przedmiotem okazał się szkielet wieloryba pochodzący z górnej galerii -

zwisał ze zniszczonego sufitu, trzymając się jedynie na elementach ogona.

Z boku dobiegł ją czyjś jęk. Dyrektor klęczał, a z rany na jego skroni - tuż poniżej linii włosów - sączyła się krew. Sky bez namysłu ruszyła w jego stronę, chcąc przyjść rannemu z pomocą, zatrzymał ją jednak okrzyk uzbrojonego mężczyzny: *R S*

- Zostań tam, gdzie jesteś!

- Daj jej spokój, de Burgh.

Lynskey, skrzypiąc butami na okruchach szkła, szedł wolno w kierunku Sky. On również miał broń, ale trzymał pistolet opuszczony wzdłuż ciała. Paradoksalnie, na dźwięk opanowanego i rzeczowego tonu Fergusa serce Sky przepęłniła trwoga.

- Jest osobą cywilną - powiedział cicho Lynskey. - Podobnie jak inni, z wyjątkiem mnie i ciebie. Wypuść ich stąd.

- Zostańcie na miejscach. Ostrzegam was wszystkich...

Mężczyzna o nazwisku de Burgh ugiął kolana i plecami mocniej docisnął wewnętrzne drzwi. A potem podniósł wyżej pistolet, który trzymał teraz w obu dłoniach.

- Ile masz naboju, de Burgh? Jest nas tutaj siedmioro.

Lynskey zasłonił sobą Sky.

- Stań za nią i rzuć broń! - polecił de Burgh, wykrzywiając twarz.

Lynskey wyciągnął rękę możliwie jak najdalej od siebie i teatralnym gestem upuścił pistolet, który

trzymał pomiędzy kciukiem a dużym palcem.

Sky przyszło na myśl, że od chwili zatrzaśnięcia drzwi upłynęła niespełna minuta.

Mgliście zdawała sobie sprawę z tego, że z tyłu, za plecami jej i Fergusa, portier, dyrektor, Traynor oraz dwaj pracownicy muzeum ścieśnili się, stając razem. Policyjna taśma zabezpieczająca drzwi do damskiej toalety pozostała nienaruszona i raziła oczy niczym żółta, absurdalna flaga. Sky przypomniała sobie, gdzie widziała już tego mężczyznę - był policjantem, który ją dzisiaj wylegitymował.

W ciszy słyszała jedynie chrapliwy i nierówny oddech dyrektora. Bała się poruszyć głową, aby ponownie na niego spojrzeć.

- I co teraz, de Burgh? - Głos Lynskeya był cichy, niemal hipnotyzujący. - Wiesz, że nie możesz zabić nas wszystkich. Dlaczego ich nie wypuścisz? Ja zostanę z tobą, ale pozwól im odejść. Nie jestem nawet uzbrojony. Chyba wiesz, że nie masz już odwrotu. Dlaczego nie pozwolisz im wyjść? - Zrobił krok do przodu.

- Cofnij się! - De Burgh podniósł wyżej broń, mierząc mu w twarz. - Stań za kobietą.

- Daj spokój! - Lynskey zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

Tamten zniżył pistolet i odbezpieczył spust. Sky podskoczyła, gdy rozdzierający huk wystrzału zabrzmiał echem w zamkniętym pomieszczeniu. Tuż przed stopami Fergusa wybuchło jakieś szkło. Tym razem krzyknęła, podobnie jak jeden z mężczyzn za jej plecami.

- Dobrze, już dobrze. - Lynskey podniósł ręce do góry, cofnął się i stanął obok Sky.

R S

Dyrektor upadł na odłamki szkła.

- On jest ranny i potrzebuje pomocy!

Krzyk Sky wyprowadził zamachowca z równowagi.

- Zamknij się!

Wystrzelił ponownie, tym razem w sufit, trafiając w wieloryba. Siła pocisku wymierzonego z tak bliskiej odległości oderwała resztki olbrzymiego rusztowania, do którego przy-mocowano szkielet, i jego resztki runęły na podłogę z ogłuszającym trzaskiem, doszczętnie niszcząc pozostałości szklanych gablotek.

Sky zamknęła oczy, zbierając całą swą odwagę, dopóki nie umilkł łoskot wystrzału i tłuczonych szyb. Dyrektor obok niej jęczał cicho.

- Ile zostało ci jeszcze naboju, de Burgh? - spytał Lynskey, gdy powietrze powoli znieruchomiło.

Jego cichy głos zdawał się uspokajać tamtego.

- W porządku, wy trzej - powiedział terrorysta stanowczym tonem i pomachał pistoletem w stronę trzech pracowników muzeum, którzy kulili się ze strachu za swym szefem. -

Wynieście rannego na zewnątrz. A ty, Lyskey, stań pod ścianą. - Zawahał się na moment. -

Ty możesz odejść razem z nimi - zwrócił się po chwili do Rory'ego Traynora. A potem wskazał na Sky. - Ty zostajesz, ale najpierw podniesiesz i podasz mi jego broń.

Na zewnątrz budynku słyhać było w megafonie czyjś głos, miał jednak przytłumione brzmienie i Sky nie mogła uchwycić sensu słów. Najważniejsze, że ktoś myślał o tym, jak ich uratować. Pistolet Lyskeya przypominał w dotyku bryłę lodu. Niosła go przed sobą niczym dziękczynne wotum, przemierzając zasłane pozostałościami po wybuchu pomieszczenie i w końcu oddała zamachowcowi. Niemal niedbałym gestem odebrał broń i ją wetknął za pasek spodni pod rozpiętą marynarką. Wyglądało na to, że z każdą sekundą odzyskuje pewność siebie.

- Stań obok mnie - nakazał Sky. - A teraz wy trzej wynieście rannego na zewnątrz.

Gdybyście próbowali jakikolwiek sztuczek w chwili otwarcia drzwi, zastrzelę tę kobietę. Proszę, abyście poważnie potraktowali moje ostrzeżenie. Nie mam nic do stracenia.

- Jej także pozwól odejść, de Burgh - ponownie odezwał się Lyskey ze swego miejsca pod ścianą. - Po co ją w to mieszasz?

- Zamknij się, Lyskey, radzę ci po raz ostatni. Zbyt wiele lat musiałem wysłuchiwać twojej cholernej gadaniny,

R S

Kiedy Sky stanęła obok zamachowca, poczuła zadziwiająco intensywny zapach cytryny.

Trzej przerażeni mężczyźni podeszli niepewnym krokiem do dyrektora muzeum, dwaj z nich wzięli go pod ramiona, a trzeci chwycił za nogi i dźwignął z ziemi. Kołnierz Declana koszuli zaczerwienił się od krwi, a po chwili także i reszta ubrania. Sky musiała odwrócić wzrok: mężczyzna miał otwarte usta, głowa mu zwisała i można było odnieść wrażenie, że ktoś poderznął mu gardło.

- A teraz posłuchaj, co masz zrobić. - Głos terrorysty zabrzmiał tuż przy jej uchu. -

Uchylę drzwi, w których się pokażesz. Nie wolno ci jednak zrobić ani kroku na zewnątrz, rozumiesz? Powiesz, że za chwilę zostanie stąd wyniesiony ranny. I to wszystko. Potem wrócisz do środka. Będę stał pół metra za tobą z pistoletem wycelowanym w twoją głowę. Jasne?

- Tak - zdobyła się na odpowiedź. Nie podejrzewała siebie o tyle odwagi.

Zamachowiec usunął się na bok. Miał teraz nie tylko Sky na muszce, ale także i Lyskeya pod przeciwległą ścianą. Powoli otworzył wewnętrzne drzwi. Sky poczuła na plecach jego dłoń. Pchnął

ją do przodu.

Bez pośpiechu, stojąc tyłem do wyjścia, odsunął zasuwę. W szparze pojawiło się dzienne światło.

A potem Sky zobaczyła po obu stronach drzwi - w odległości zaledwie paru kroków -

kilkunastu policjantów z bronią przygotowaną do strzału. Jakies dwadzieścia metrów dalej znajdował się posąg. Za nim ukryła się jeszcze liczniejsza grupa uzbrojonych funkcjonariuszy. Za parkanem Sky dostrzegła ze dwadzieścia policyjnych samochodów. Mężczyzna z me-gafonem stał w bramie i był w cywilnym ubraniu.

Kiedy drzwi otworzyły się szerzej, kilkunastu policjantów z bronią przykłęko, obiera-jąc cel. Ptaki śpiewały w gałęziach pobliskich drzew, jak gdyby nic się nie działo, lecz wszyscy zgromadzeni na zewnątrz ludzie zamarli w bezruchu niczym posąg z brązu stojący na cokole.

Sky poczuła szturchnięcie na plecach.

- Proszę zrobić przejście! Za chwilę zostanie wyniesiony stąd ranny!

Ucisk dłoni stał się silniejszy i choć przez tę przyprawiającą o zawrót głowy chwilę zastanawiała się, czy nie spróbować ucieczki, zawróciła w otwartych drzwiach i z powrotem weszła do gmachu muzeum. Zanim świat zewnętrzny zniknął jej z pola widzenia, zdołała dostrzec Eamonna Vaughana, który stał tuż za parkanem.

R S

Kiedy ponownie znalazła się środkiem, otrzymała polecenie, żeby stanąć obok Lynskeya.

Trzej mężczyźni ze swym ciężarem opuścili budynek. Za nimi wyszedł Rory Traynor. A potem terrorysta zamknął drzwi i Sky została tylko z nim i z Fergusem. Dla dodania sobie otuchy przysunęła się bliżej Irlandczyka i poczuła, że wciska jej do coś ręki: świstek papieru.

- Stańcie dalej od siebie. - De Burgh, dla podkreślenia swych słów, wykonał ruch pistoletem.

- A co teraz? - spytał Lynskey, nieco się od niej odsuwając. Znowu mówił cichym, hipnotyzującym głosem. - Jesteś w sytuacji bez wyjścia.

- Och, nieprawda. - Tamten się uśmiechnął. - Nie liczyłem na to, że wszystko się dla mnie szczęśliwie zakończy. Nie jestem aż tak wielkim głupcem. Ale przynajmniej zrobię to, co konieczne.

- A co uważasz za konieczne?

Badając podwiniętymi palcami zawartość dłoni, Sky była teraz pewna, że Lynskey przekazał jej wiadomość.

- Nie myśl, że łatwo mnie dostaniesz... - zaczął de Burgh. W tym momencie zadzwonił

telefon Lynskeya. Rupert zareagował gwałtownie na przenikliwy dźwięk, jak gdyby został

trafiony z własnej broni. - Wyłącz ten cholerny aparat!

- Jesteś bardzo nerwowy. - Fergus spełnił polecenie. Nie wypuszczając telefonu z dłoni, oparł się o ścianę i skrzyżował nogi. - Posłuchaj mnie, de Burgh. Jesteś otoczony przez wszystkich naszych przyjaciół z policji. Nie zmienisz własnego położenia, obaj dobrze o tym wiemy. Dlaczego więc marnujesz czas?

Z zewnątrz ciągle dobiegały wydawane głośno rozkazy. Ze wzrokiem utkwionym w zamachowcu Sky ukradkiem rozwijała kciukiem i małym palcem zwinięty w kulkę świstek papieru. Była pewna, że zawiera instrukcje dla niej. Przygotowała się, aby w razie nadarzają-

cej się okazji błyskawicznie je odczytać. Skupienie uwagi na tym niezbyt skomplikowanym, lecz ważkim zadaniu, a także ciepła bliskość Lynskeya oraz jego opanowanie przywróciły jej odrobinę poczucia bezpieczeństwa.

Świat skurczył się do rozmiarów tego mrocznego wnętrza, a fantastyczna sceneria, w jakiej rozgrywały się wydarzenia, zdawała się jak najbardziej na miejscu: olbrzymi wieloryb, rozpostarty niczym przewrócona drabina na podłodze, część przepołowionego poroża jelenia pod nogami zamachowca, a druga obok Sky, oraz małe szklane oko, które łypało na nią z pokrytego pyłem gniazda.

R S

- W porządku. - De Burgh najwyraźniej zdołał się opanować. - Ona zostanie tu razem ze mną, a ty, Lynskey, wyjdiesz na zewnątrz i powiadomisz ich, że chcę się spotkać z komisarzem. Tutaj. Ma być nieuzbrojony i sam.

- Ty tutaj rządzisz. - Fergus ruszył w stronę frontowych drzwi.

- Idź powoli i trzymaj dłonie uniesione wysoko nad głową - tak abym mógł je widzieć.

Anglik podniósł broń, przez cały czas trzymając na muszce poruszającego się kolegę.

Powoli, krok za krokiem i z rękami w górze - Sky spostrzegła, że nadal miał w dłoni telefon - Lynskey pokonywał odległość, która go dzieliła do wyjścia.

De Burgh ani na chwilę nie spuszczał go z oczu. Kiedy Irlandczyk zbliżył się do niego, cofnął się nieco, przez cały czas zachowując pomiędzy nimi półtorametrowy dystans. Fergus był już niemal przy drzwiach i zamierzał je otworzyć...

Sky wrzasnęła pełną mocą płuc.

Terrorysta spojrzał na nią.

Wtedy Lynskey cisnął telefonem komórkowym w twarz tamtego, zarzucając jednocze-

śnie pętlę z linki na pistolet, który upadł na ziemię i wypalił - kula, nie wyrządzając nikomu krzywdy, przeszła przez otwarte drzwi męskiej toalety. A potem Fergus doskoczył do terrorysty, przeprowadzając atak w sposób tak szybki i profesjonalny, że zamachowiec był bez szans. Po chwili leżał już na ziemi z lufą pistoletu przytkniętą do brzucha. Lynskey wykręcił mu rękę na plecy i zabrał swą własną broń.

W tym momencie frontowe drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn.

Był zmierzch, ale noc jeszcze nie zapadła. Przez kilka sekund Sky nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. A potem dobiegł ją głęboki, równy oddech Lynskeya, który spał obok niej na wąskim łóżku. Sądząc po zapadających ciemnościach, spali od kilku godzin.

Leżała cicho, wsłuchując się w odgłosy miasta w dole. Popołudniowe wydarzenia były niczym sen. Po zakończonej akcji nie zgodziła się jechać do szpitala. Nie pozwoliła nawet na badanie lekarskie, choć była na tyle obeznana z psychiatrią, by wiedzieć, że może się spodziewać zarówno fizycznej, jak i psychicznej reakcji swojego organizmu na niedawne prze-

życia. Obecnie nie odczuwała jednak nic, z wyjątkiem obojętności i dziwnego wyciszenia.

Po zakończeniu sprawy uparła się, aby niezwłocznie zadzwonić do „Couriera”. Okaza-

ło się, że najbliższy aparat telefoniczny znajduje się w gabinecie dyrektora. Czowała się nieswojo, przekazując materiał w obecności Lynskeya, innego policjanta oraz Eamonna Vau-R S

ghana. Spełniła swą obietnicę wobec tego ostatniego i zdołała nawet opanować się na tyle, aby udzielić mu krótkiego wywiadu przed gmachem muzeum. I przyjęła przeprosiny Jima za jego wcześniejszy sceptycyzm.

A potem prosto z muzeum wraz z Lynskeyem pojechali do jego mieszkania. Przynajmniej raz został zwolniony z odprawy, na którą zazwyczaj miał obowiązek się stawiać po zakończonej akcji.

Na początku Sky nie paliła się do tego, ażeby mu towarzyszyć. Uważała, że postąpiła-by rozsądniej, gdyby wróciła do hotelu, wzięła prysznic i przeprowadziła niezbędne rozmowy telefoniczne. Jednak już gdy się o to spierali, poczuła dziwne oszołomienie, co pomogło Fergusowi przekonać ją do owego pomysłu. W mieszkaniu rozebrał Sky, szybko i wprawnie, zaproponował jedną z własnych koszul zamiast piżamy i kazał położyć się do łóżka. Zasnęła po sekundzie.

W nikłym świetle zauważyła spartański wystrój mieszkania. Oprócz łóżka, w pokoju znajdowała się wąska wysoka szafa sięgająca od podłogi po sufit, komoda, najwyraźniej słu-

żąca również za toaletkę, jedno krzesło, na którym leżały schludnie złożone jej rzeczy, oraz pojedyncza szafka nocna z lampą, telefonem oraz staromodnym budzikiem z dwoma błyszczącymi, srebrnymi dzwonekami.

Nagle Sky uświadomiła sobie, że czuje ból w dłoni. Spostrzegła, że wciąż ma zaciśnię-

tą pięść, a rozprostowanie palców sprawia jej trudność. Nadal kurczowo trzymała kartkę od Lynskeya - od tamtego momentu, kiedy krzyknęła, żeby odwrócić uwagę de Burgha. Czy takiej reakcji oczekiwała? I czyżby teraz jej ręka była sparaliżowana?

- Obudziłaś się? - spytał Fergus, nie ruszając się z miejsca.

- Tak.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty... przepraszam, kawy?

- Oczywiście. - Zastawiała się, dlaczego rozmawiają szeptem.

Poczuła za plecami, że zsunął się z łóżka, a potem usłyszała jego kroki zmierzające w stronę drzwi. Położyła się wygodniej, zajmując ciepłe miejsce, które opuścił.

- Chcesz, żebym zapalił światło? - Wrócił po pięciu minutach z dwoma kubkami.

- Nie, tak jest miło.

Podciągnęła wyżej poduszkę i oparła się o nią plecami. Ponownie stwierdziła, że nie może rozprostować palców.

- Co się stało? - Lynskey odstawił oba kubki na bok i przykucnął przy niej. - Pokaż mi.

R S

- Sky pozwoliła mu wziąć się za rękę. Po krótkich oględzinach pochylił się i zapalił nocną lampkę. - Trochę krwawi. Skaleczyłaś się, Sky?

- Nie wiem. Nie mogę rozprostować palców. Wciąż trzymam twoją kartkę.

Wziął jej rękę i zaczął ją masować tuż poniżej nadgarstka. Powoli rozchodziło się ciepło - najpierw wzdłuż grzbietu dłoni, a potem kciuka. Dopiero po oderwaniu paznokci od skó-

ry, Sky poczuła pieczenie w miejscu czterech maleńkich półksiężyców zaschniętej krwi, które niczym małe sierpy złościły wewnątrz jej dłoni. Kartka była zmięta, zakrwawiona i nieczytelna.

- Nie przejmuj się tym. - Lynskey delikatnie zabrał świstek.

- Co tam było napisane?

- Nic ważnego. Zapomnij o tym. Postaraj się wymazać z pamięci wszystkie dzisiejsze przejścia.

- Muszę przedtem napisać artykuł. Przez telefon zdołałam przekazać jedynie ogólny zarys historii.

- Oczywiście. Jak mogłem być aż tak naiwny? - Uśmiechnął się szeroko. - Czy teraz napijesz się kawy?

Leżeli obok siebie na plecach.

- Proszę cię, Fergusie, powiedz, co było na tej kartce? - Sky patrzyła prosto w sufit.

Wyczuła moment wahania; usłyszała lekkie westchnienie, nim zaczerpnął powietrza.

- Napisałbym na niej, że cię kocham.

- Napisałbyś?

- Tak, kartka była czysta. Miałem nadzieję, że odwróci twoją uwagę od niebezpieczeństwa.

Kochał ją. Sky nie czuła zdziwienia ani zachwyty. Po raz pierwszy deklaracja ta nie przeraziła jej ani nie wywołała paniki.

- Myślę, że ja ciebie również kocham.

- Tylko myślisz? - Znowu zawahał się przez chwilę, a potem dźwignął się na łokciu.

- Tego typu słowa nie przychodzą mi łatwo - stwierdziła.

Uśmiechnął się, zamknął oczy i z powrotem opadł na poduszki, co było właściwą reakcją. Gdyby napierał, mógłby ją spłoszyć i czmychnęłyby natychmiast. Ta jej niedawno odkryta wiedza była jeszcze bardzo krucha. Ciepłe powietrze podpełzło pod wąskie łóżko, a paję-

czyzna dzielonych wspólnie chwil intymności, jakich Sky nie zaznała od lat, oddzieliła ich od reszty pokoju.

R S

Gdy kończyła kawę, oszołomiony jeszcze umysł wskazał jej praktyczne problemy, jakie niósł związek z Lynskeyem - mogli jeszcze okazać się nie do przewyciężenia.

- A co z praktycznymi problemami?

- Kocham cię, Sky.

Odwrócił się w jej stronę i przesunął nieco do tyłu, aby mogli patrzeć sobie w oczy.

Zareagowała uśmiechem na jego niezachwianą pewnością. Miała wrażenie, że uśmiech ów bierze swój początek w podeszwach jej stóp, wędruje wzdłuż ciała w górę aż do twarzy, i że nigdy nie będzie go można stamtąd wymazać.

- Czy pozwolisz, że zatelefonuję do szpitala? - Nie miała jeszcze ochoty dyskutować nad powodami tego uśmiechu. - Chcę uprzedzić mamę, nim zobaczy mnie w wieczornych wiadomościach.

Kiedy uzyskała połączenie, okazało się, że u Johnny właśnie bawią z wizytą babka i Hermana, a „niedługo przyjdzie także Buffy”.

- Mamy tu teraz prawdziwy żeński akademik, Sky, i urządzimy sobie bal - oznajmiła matka.

Jednakże kiedy córka zaczęła ją przygotowywać na to, co może zobaczyć w dzienniku telewizyjnym, natychmiast została wyprowadzona z błędu. Okazało się, że te wieści nie są dla Johnny nowiną.

- Fergus o wszystkim nam już powiedział. Prawdziwa z ciebie bohaterka, kochanie. Jesteśmy wszystkie bardzo dumne z ciebie.

Słyszac w słuchawce wyrazy uznania dobiegające z głębi szpitalnej salki, Sky obejrzała się na Lynskeya, który spokojnie popijał małymi łykami herbatę.

- Kiedy do was telefonował?

- Och, wieki temu. On również jest z ciebie bardzo dumny. Przekaż mu uściski od nas wszystkich.

- Kiedy odbędzie się pogrzeb Daniela? - Sky uznała, że bezpieczniej postąpi, zmieniając temat. Straciła poczucie czasu.

- Hm... - Matka coś ukrywała.

- O co chodzi, mamó? Czyżby już było po wszystkim? A może wydarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Twoja babka chce z tobą rozmawiać, kochanie.

Sky usłyszała szepty, a po krótkiej przerwie odezwała się Elizabeth.

R S

- Co tam knujecie, babciu?

- Proszę, nie gniewaj się na nas. Na razie zastanawiamy się tylko. I bez ciebie nie podejmemy żadnej decyzji. Wpadliśmy z twoją matką na pewien pomysł, który został entuzjastycznie przyjęty również przez Buffy i Hermanę. Co sądzisz o tym, abyśmy wszystkie -

oczywiście, z wiadomych powodów nie od razu - przejęły po pewnym czasie opiekę nad żoną Daniela?

Johanna odebrała babce słuchawkę, zanim Sky zdążyła zebrać myśli.

- I co ty na to? - Głos matki zabrzmiał tak świeżo, jak gdyby zrywała stokrotki na łące, a nie leżała unieruchomiona w gipsie. - To tylko projekt, którego realizacja, o czym wspomniała już twoja babka, nie nastąpi oczywiście natychmiast.

Obie z biedną Midge leżymy przecież w szpitalach. Nie musisz osobiście w to się angażować, Sky. Midge odziedziczy ogromne pieniądze, za które można by kupić połowę Butte.

A twoja babcia twierdzi, że dom u podnóża gór jest uroczy i przestronny. Zatrudnimy pielęgniarki, dopóki Midge nie wróci do zdrowia. Ona nie ma teraz nikogo bliskiego. Tylko pieniądze. Wszystkie będziemy mogły jej pomóc. Freda ma ogromne doświadczenie w radzeniu sobie z problemami alkoholizmu, wiesz o tym...

- Tak, wiem, mamó.

Sky odniosła wrażenie, że ktoś cofnął wskazówki zegara. Nic się nie wydarzyło podczas ostatnich trzech tygodni: nie było Lynskeya, Irlandii, pistoletów, pocisków ani niesamowitych wydarzeń. Jej stosunki z matką znowu znalazły się w punkcie wyjścia.

A jednak stwierdziła nagle, że tym razem jest inaczej. Na ogromnym zielonym polu dostrzegła otwartą furtkę z napisem: „Nie musisz osobiście w to się angażować”.

- Myślę, że to wspaniały pomysł.

Po drugiej stronie linii zapanowała pełna zdumienia cisza, która dobitnie świadczyła o tym, co właśnie wydarzyło się pomiędzy nimi.

- Jesteś tam, mamó?

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

- A dlaczego miałabym mieć? Czy babcia zamierza zostać, aby wam pomóc?

- Ależ skąd! - Matka zachichotała. - Jej miejsce jest w Irlandii, ale pragnie być tu z nami dopóty, dopóki ten plan nie zostanie wcielony w życie.











































































- Jesteś zdumiewająca, mamó. Czy wiesz o tym? Bardzo cię kocham.

Sky rozłączyła się nagle. Miała oczy pełne łez. I pozwoliła, by popłynęły.

R S

Lynskey przytulił ją do siebie.

Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
- 